PRZEGLĄD

POWSZECHNY.

Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK DRUGI. — TOM VII.

LIPIEC, SIERPIEŃ, WRZESIEŃ.

1885.

KRAKÓW.
Druk Wł. L. Anczyca i spółki,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1885.

O TŁUMACZENIU PISMA ŚW.

na język słowiański
przez śś. Cyryla i Metodego.

Przyjście śś. Cyryla i Metodego do Morawii dla opowiadania Ewangelii r. 863 stanowi w historyi Słowian, nietylko morawskich, lecz w ogóle wszystkich, najważniejsze zdarzenie, którego znaczenie po przyjęciu chrześcijaństwa przez Słowian dopiero w całej doniosłości uwydatnić się miało. Odtąd występują Słowianie jako nowy czynnik, równouprawniony innym narodom, do akcyi historycznej a po upadku państwa bizantyjskiego zajmują oni w polityce europejskiej takie samo stanowisko, jakie w przeciwległym biegunie germańsko-łacińskie państwo miało. W przebiegu czasu przeważają niejednokrotnie na szali toczących się wypadków i stają się w miarę okoliczności większą lub mniejszą siłą atrakcyjną, około której formowały się rozmaite konstelacye polityczne. Wprawdzie świat słowiański przybrał z czasem rozmaitą postać pod względem religijnym, która przecież nie jest dziełem pierwszych apostołów słowiańskich. Działalność śś. Braci należy do wszystkich Słowian, tak zachodnich, jako też południowych i wschodnich; działali oni najprzód w Bułgaryi, gdzie się sposobili do misyi swej apostolskiej, potem nad Czarnem Morzem u Chazarów, działali w Morawii, do której ziemia krakowska wówczas należała i między Czechami i Słowakami a wpływ ich działalności szerzył się na północ do połabskich Słowian a na południe i zachód do Chorwatów i Słowieńców.

Oprócz doniosłości pod względem politycznym, łączy się z działalnością apostolską śś. Cyryla i Metodego strona czysto naukowa,

która nie mniej ważną jest jak poprzednia a w życiu Słowian stanowi czynnik, którego istota dopiero w ostatnim czasie w właściwym poczęła okazywać się świetle. Całe pasmo najważniejszych kwestyi łączy się z ich osobą i ich misyą apostolską. Z jednej strony ich pochodzenie, przypadające na południowo-wschodnią dzielnicę słowiańską, z drugiej przeniesienie się do zachodnich Słowian, nasuwają pytania, dotyczące języka, w którym opowiadali słowo boże i na który przetłumaczyli pismo św. Niemniej ważnem jest pytanie odnośnie do pisma, które św. Cyryl miał dla Słowian urządzić i jego charakteru. Wszystkie te kwestye nie przechodzą podziś dzień jeszcze poza granice hipotezy, która w małej mierze znalazła dostateczne wyjaśnienie. To samo powiedzieć trzeba o ich życiu, które mimo dość sporych źródeł, pełne jest nierozjaśnionych zagadnień, czyniących z niego obraz, podobny bardziej do legendy, jak do historycznego pewnika. Przyczyna tego spoczywa w charakterze źródeł, a poniekąd w opracowaniu i zużytkowaniu tychże, stąd mimo licznych i gruntownych badań, najważniejsze kwestye rozjaśnione dotąd nie są.

Cała działalność polityczna księcia Rościsława i cel, dla którego udał się z prośbą o apostołów do cesarza Michała, zawartą jest w słowach, które według legendy posłowie do cesarza powiedzieć mieli: „naród morawski porzucił wprawdzie cześć bogów (pogańskich) i stara się wypełniać zakon chrześcijański, ale nie ma takiego nauczyciela, któryby ich nauczył czytać we własnym języku ojczystym i rozumieć dokładnie prawo (boskie). Prosi zatem książe, aby cesarz takiego męża w te strony posłał, któryby nauczył dokładnie ten naród wiary i porządku prawa bożego i drogi prawdy“. Translatio s. Clementis c. 7. wydrukowana w Ginzel, Geschichte der Slavenapostel Cyrill und Method und der slavischen Liturgie. Leitmeritz 1857, str. 5—11 dodatek. Język słowiański więc był tą osią, około której obracało się dzieło nawrócenia na wiarę chrześcijańską morawskich Słowian, on też miał stanowić podstawę całej missyi apostolskiej śś. Cyryla i Metodego. Zgodnie z tem podają wszystkie źródła, że praca misyjna obydwu apostołów zaczęła się od tłumaczenia pisma św. na język słowiański i że język ten przez nich jako liturgiczny do kościoła w Morawii wprowadzony został. W ścisłym związku z językiem słowiańskim stoi pi-

smo, którego dla języka tego używali, a którego alfabet św. Cyryl odpowiednio do potrzeb słow. mowy miał urządzić. Tak według legendy św. Cyryla, rozdz. IV.[1] w Konstantynopolu jeszcze rozpoczął św. Cyryl przekład pisma św. na język słow. od ewangelii św. Jana: na początku było słowo, a słowo było u Boga i t. d., które to dzieło w Morawii dalej wspólnie obydwaj bracia prowadzili. Kiedy r. 868 udali się do Rzymu, mieli już przetłómaczone, jak się powszechnie utrzymuje, na język słow. następujące księgi, które niezawodnie do aprobaty kościelnej ze sobą zabrali: ewangelia, rozdzielona porządkiem kościelnym na lekcye, potem apostoł, czyli dzieje apostolskie, również podzielone na lekcye, perikopy; psałterz i niektóre liturgiczne książki podług obrządku greckiego kościoła. Tłómaczenie to, pisane pismem słowiańskiem, podobnie i język słowiański jako liturgiczny otrzymały zezwolenie papieskie, i na podstawie tej były używane w kościele morawskim. Pokazuje się to z listu, pisanego przez papieża Jana VIII. dnia 14 czerwca 879 r. do Metodego, w którym mu zakazuje odprawiać mszy św. w słowiańskim języku: *unde iam litteris nostris, per Paulum episcopum Anconitanum tibi directis prohibuimus, ne in ea lingua (barbara hoc est in sclavina lingua) sacra minorum solemnia celebrares*[2]... Rozkaz ten papieski nie został jednakowoż wykonany, jak się pokazuje z tego listu i instrukcyi, danej przez papieża Stefana VI. legatom, których wysłał do księcia Świętopełka[3]. Kiedy Metody osobiście stanął w Rzymie, zawezwany listem powyższym przez papieża i sprawę tę w należytem przedstawił świetle, wówczas papież nietylko cofnął swój dawniejszy wyrok, ale zezwolił, aby w słow. języku pieśni kościelne były spiewane i opowiadane słowo boże: *litteras denique sclaviniscas a Constantino quondam philosopho repertas, quibus deo laudes debite resonent, iure laudamus; et in eadem lingua Christi domini nostri preconia et opera*

[1] Legenda ta wydaną została przez J. Šafařika v Památky dřevního písemnictví Jihoslovanův. Praga 1851 i z tłómaczeniem łacińskiem przez E. Rzimmlera i Fr. Miklosicha w Denkschrift. S. K. Akad. d. Wiss. phil. hist. Cl. t. 19, str. 203 i nast.

[2] List ten jest wydrukowany razem z innemi tegoż samego papieża przez Ginzla o. m. str. 57—63.

[3] Commonitorium to papieskie wydane zostało przez Evalda w Neues Archiv für die aelteste Geschichte Jahrg. 1879, str. 227 i nast. Nr. 31.

enarrentur jubemus. Nie sprzeciwia się bowiem ani zdrowej wierze, ani też nauce chrześcijańskiej, iż w języku słow. bywa odprawianą i ewangelia na język ten przetłómaczoną została: *nec sanae fidei vel doctrinae aliquid obstat, sive missas in eadem sclavinica lingua canere, sive sacrum evangelium vel lectiones divinas novi et veteris testamenti bene translatas et interpretatas legere aut alia horarum officia omnia psallere.* Dlatego rozkazał papież, ażeby język słowiański obok łacińskiego jako liturgiczny był używany w całem państwie Świętopełka: *iubemus tamen, ut in omnibus ecclesiis terrae vestrae, propter majorem honorificentiam evangelium latine legatur et postmodum sclavinica lingua translatum in auribus populi, latina verba non inttelligentis, adnuncietur, sicut in quibusdam ecclesii fieri videtur*[1]. Do tych dokumentów urzędowych dodać trzeba jeszcze jeden, który papież Stefan VI. (V.) do Świętopełka napisał, w którym jak najsurowiej zabronił używania słow. języka przy mszy św., a tylko na to zezwolił, aby ewangelie w nim były wykładane: *divina autem officia et sacra misteria ac missarum solemnia, que idem Methodius Sclavorum lingua celebrare presumpsit, quod ne ulterius faceret supra sacratissimum beati Petri corpus iuramento firmanerat, sui periurii reatum perhorrescentes nullo modo deinceps a quolibet presumatur. Dei namque nostraque apostolica auctoritate sub anathematis vinculo interdicimus, excepto quod ad simplicis populi et non intelligentis aedificacionem attinet, si evangelii, vel apostoli, expositio ab eruditis eadem lingua annuncietur, et largimur et exortamur, et ut frequentissime fiat monemus, ut omnis lingua laudet deum, et confiteatur ei*[2].

Dokumenta te urzędowe i inne źródła, niemniej pewne[3], po-

[1] List ten pisany w czerwcu 880 r. do Świętopełka wydrukowany jest u Ginzla o. m., którego autentyczność wraz i innych tamże wydanych potwierdzoną została przez papieskie regesta, podane przez Palackiego: Literarische Reise nach Italien im J. 1837. Prag, 1838, str. 15.

[2] List ten wydrukował Watttenbach: Beiträge zur Geschichte der christlichen Kirche in Mähren und Böhmen. Wien, 1849, str. 43 i nast. List powyższy, który Ginzel uważa za sfałszowany, okazał się jako prawdziwy na podstawie tak zwanego Commonitorium, które tenże papież dał legatom owym, posłanym do Świętopełka. Evald, Nr. 31.

[3] O tych zob. Dobrovsky: Cyrill und Method der Slaven Apostel. Prag, 1823, str. 39 i nast.; Hanuš: Der Bulgarische Mönch Chrabr w Archiv. für Kunde oesterreichischer Geschichtsquellen, t. 23, str. 21 i nast.

dają jako fakt niezaprzeczony, że cel księcia Rościsława rzeczywiście osiągnięty został, t. j., że tak słowo boże jako też i służba boża w kościele odbywały się w słow. języku, który śś. Cyryl i Metody zaprowadzili. Jeżeli w tej mierze nie może panować żadna wątpliwość co do urzędowego charakteru słow. języka jako kościelnego, natomiast drugie pytanie, dotyczące natury tego języka pod względem etnograficznym, napotyka na wielkie trudności, które dotychczas jeszcze dostatecznie nie zostały usunięte. Naturalną zdawałoby się rzeczą, że tylko ten język mógł być wzięty jako liturgiczny i tylko w tym mogło być opowiadane słowo boże przez pierwszych apostołów słowiańskich, którym mówił cały naród, który nauczali i wśród którego zakładali szkoły z językiem liturgicznym słowiańskim. Wszak to chodziło także o cel polityczny, ażeby państwo morawskie w kościelnym względzie uwolnić od zależności niemieckiej i dlatego też zwrócił się Rościsław na wschód po apostołów słowiańskich. Konsekwentnie więc postępując książe, mógł tylko na ten język, jako kościelny zezwolić, który zadokumentowałby narodowość morawską w kościele, jako samodzielną, niezawisłą od niemiecko-łacińskiego zwierzchnictwa zachodniego. To rozumowanie, wypływające z natury rzeczy, przemawia więc za morawskim charakterem tego języka na który przetłómaczyli śś. Cyryl i Metody pismo św. i którego używali w kościele.

Jednakowoż analogiczne przykłady historyczne pokazują, że dedukcya ta, chociaż logiczna, nie potrzebuje być prawdziwą. Wiadomą jest bowiem rzeczą, że Chorwaci przyjęli w IX.—X. wieku bardzo chętnie liturgią słowiańską, chociaż nie w ich narodowym była języku. Podobnie i Ruś, przyjąwszy chrześcijaństwo z Bułgaryi, używała bardzo długo bułgarskiego języka jako liturgicznego w kościele, podobnie jak dzisiaj w Bułgaryi język kościelny nosi na sobie przeważnie szatę ruską, którą z książkami liturgicznemi z Rusi otrzymał. Nawet Rumuni, chociaż niesłowiańskiego pochodzenia, aż do XVII. wieku posługiwali się w kościele językiem słowiańskim jako liturgicznym. Te, i tym podobne przykłady, nadają rozumowaniu temu o morawskim charakterze języka liturgicznego mniej dowodowego znaczenia.

Możebność niemorawskiego pochodzenia języka kościelnego w Morawii popiera w wysokim stopniu ta okoliczność, że zacho-

wane zabytki piśmienne słowiańskie, z których najstarsze pochodzą z X. stulecia, są prawie wszystkie pisane w języku, którego charakter żadną miarą z dzisiejszym morawskim nie może w bliższy wchodzić związek. Znajomość nasza filologiczna języków słowiańskich w dzisiejszem ich ustroju i ich historyczny rozwój, każą nam uważać za pewnik, że w czasie, w którym żyli i działali śś. Cyryl i Metody, dzisiejsze narzecza słowiańskie istniały już jako samodzielne, odrębne indywidua językowe z więcej lub mniej wybitną cechą gramatyczną. Ponieważ w żadnym z zachowanych zabytków piśmiennych narzecza dzisiejsze morawsko-słowackie nie występują w taki sposób, aby można sądzić o ścisłym genetycznym związku pomiędzy dzisiejszym naszym ustrojem a tym, który na podstawie tych dokumentów piśmiennych, za pomocą naukowej indukcyi moglibyśmy sobie odtworyć, dlatego wszystkie wnioski, jakieby na korzyść morawskiego charakteru tego języka postawić można, okazują się więcej niż wątpliwe. Trudno bowiem, nawet nie podobna przypuścić, ażeby z całej epoki, mniej więcej 30-letniej, przez którą liturgia słow. istniała w kościele morawskim, prawie żaden nie zachował się zabytek piśmienny, w tym napisany języku.

Dlatego też dzisiaj nikt w poważnych dziełach naukowych nie obstaje za morawskim charakterem tego języka, na który przetłómaczyli pierwsi apostołowie słowiańscy pismo św. Również i to mniemanie, jakoby język ten był macierzą wszystkich dzisiejszych narzeczy słowiańskich, które dawniej dość powszechnem było, a po dziś dzień jeszcze powtarza się u tych, którzy nie są obeznani z tą sprawą, nie zasługuje na uwagę[1], i słusznie w tym referacie pominiętem być może. Nie wiele różni się pod względem naukowym zdanie niektórych rosyjskich uczonych, którzy idąc za podaniem legendy Konstantyna, rozdz. VIII., (jakoby św. Cyryl podczas pobytu w Chersonie miał znaleść ewangelią i psałterz ruskiemi literami pisane i człowieka mówiącego tym językiem, z którym rozmawiał i wiele od niego skorzystał) utrzymują, iż mowa tu jest o rusko-słowiańskiem piśmie i języku, których apostoł ten później

[1] O dalszych zapatrywaniach na tę kwestyą, zob. Šafařik: Geschichte der slavischen Sprache und Literatur nach allen Mundarten. Prag, 1864, str. 96 i nast.

użył do tłómaczenia pisma św.[1]. W ten sposób powstają dwie hipotezy, z których jedna bułgarskie pochodzenie temu językowi przyznaje, podczas gdy druga za ojczyznę Panonią mu przeznacza.

Józef Dobrowsky, nestor filologii słowiańskiej, był pierwszy, który kwestyą tę sprowadził na drogę naukową i nadał jej nowy kierunek, oparty na krytycznej podstawie. W rozmaitych pracach[2] zajmował się tym językiem, który zaliczył do południowo-słowiańskiej grupy, stawiając go w spółrzędnym stosunku z innemi słow. językami. Pod względem zaś etnograficznym uważał go za identyczny z staroserbskim, który „na prawym brzegu Dunaju, od Białogrodu na wschód aż do Czarnego morza, na zachod do Adryatyckiego morza a na południe do miasta Saloniki, gdzie Cyryl jego się wyuczył, był w użyciu“. W dziele swem: Cyrill und Method, str, 135 nast., oznacza język ten wyraźnie jako serbsko-bułgarsko-macedońskie narzecze a w gramatyce tegoż języka[3] nazywa go ogólnem mianem: *lingua slavica vetus* , zaliczając go do grupy wschodnio-południowej.

Za Dobrovským poszła większa część uczonych słowiańskich, którzy język św. Cyryla i Metodego uważają za bułgarski, oznaczając go w przeciwieństwie do dzisiejszego jako starobułgarski. Szczególnie *J. Šafařík* wielkle w tym względzie położył zasługi, który w licznych pracach starał się uzasadnić bułgarskie pochodzenie jego[4] a *Schleicher* w systematyczny sposób przedstawił wszystkie jego właściwości, które z dzisiejszym językiem bułgarskim ma wspólne[5].

Jednakowoż i to zdanie, aczkolwiek cieszy się podziśdzień największą wziętością w świecie naukowym słowiańskim, znalazło zaraz od początku swego powstania przeciwników, których

---

[1] Sreznewskij w Zapiskach imp Akad. Nauk, t. I., str. 296 i Hilferding, Sobranije sočinenij Petersb. I., str. 308 i nast. O tej kwestyi zobacz Archiv. f. slav. Philol. I., str. 145.

[2] Zob. Slavin, Prag 1834 str. 242 nast.; Slovanka, Prag 1814, str. 159 nast.; Geschichte des böhmischen Sprache und älteren Literatur, Prag 1818, str. 30 nast., 38 nast.

[3] Institutions linguae slavicae dialecti veteris. Windobonae 1882, wyd. 2.

[4] Zob. Slovanské starožitnosti. Praga 1863, II. str. 494. n.

[5] Beiträge zur vergl. Sprachforschung. T. I.; zob. odnośną literaturę u Pypina i Spasowicza: Istorija slavjańskichъ literaturъ. I. Petersb. 1879, str. 37, nast.

imiona w historyi filologii słowiańskiej do najgłośniejszych należą. *Kopitar*, który poprzednio był zdania Dobrowskiego, ogłosił w recenzyi gramatyki starosłowiańskiej tegoż Dobrowskiego [1], ten język za starosłowieński, którym mówili Słowianie mieszkający w Karyntyi. Twierdzenie to opiera Kopitar na historyi nawrócnnia panońskich Słowian na religię chrześcijańską przez Cyryla i Metodego, a jakc językowe argumenta przytacza takie wyrazy, które z zachodniego kościoła przeszły do stsł. języka. Hipotezę tę o słowieńskim charakterze języka Cyryla i Metodego wyłożył obszernie i odpowiedniemi uzasadnił wywodami w znakomitem dziele: Glagolita Clozianus. Vindob. 1836 we wstępie.

Za zdaniem Kopitora poszedł *Miklosich*, najsławniejszy dzisiejszy sławista, który język ten nazywa w przeciwieństwie do dzisiejszego słowieńskiego „starosłowieńskim“ (altslovenisch) [2], przyznając mu tem samem korutański charakter. Potem zmienił Miklosich zdanie swoje o tyle, że pod względem jeograficznym nadał mu szersze granice. W altslovenische Formenlehre in Paradigmen, Wien 1874, str III. przyjmuje siedziby dla panońskich Słowian nietylko na prawym, ale także i na lewym brzegu Dunaju, wciągając w ten sposób także Morawiją pod jeograficznym i etnograficznym względem do Panonii. Odpowiednio do tego nazywa język Cyryla i Metodego panońskim, zarzuciwszy korutańskie jego pochodzenie. Ponieważ tylko w Panonii około połowy IX. stulecia powstała kościelna literatura słowiańska, dlatego, powiada dalej Miklosich, zabytki te starosłowiańskie pochodzić mogą tylko z tej dzielnicy słowiańskiej a więc jako panońskie uważane być muszą. Język ten zaginął wraz z narodem podczas napadu Magyarów (892 r.), a tylko w resztkach zachował się przeszedłszy do języka magyarskiego. W ten sposób można zrozumieć owe mnóstwo wyrazów łacińskich, które za pośrednictwem niemieckiem dostały się do kościoła chrześcijańskiego u zachodnich Słowian a które w zabytkach tych panońskich już się znachodzą [3]. Okoliczność ta wraz z innemi

[1] Jahrbücher der Literatur. Wien 1822, t. 17.

[2] Lautlehre des altslovenischen Sprache. Wien 1850; Vergleichende Grammatik der slavischen Sprache. I. Lautlehre. Wien 1852.

[3] Zob. Miklosicha: Ueber die christliche Terminologie der slavischen Sprachen, Sitzungsberichte der k. Akad. d. Univ. Wien 1875.

skłaniała także J. Šafařika, że pod koniec życia swego zmienił poprzednie zdanie o bułgarskim pochodzeniu tego języka i przyznał mu razem z Miklosichem panoński charakter [1].

Argumentacye te bardzo ważne, przemawiające za panońskiem pochodzeniem tego języka, tracą znów wiele na swej doniosłości w obec tego faktu, że z jednej strony Morawija z słowacką narodowością sięgała aż do lewego brzegu Dunaju, podczas gdy z drugiej strony na prawym brzegu górnego Dunaju kajkawska gałęź horwacko-słowiańskiej narodowości daleko ku brzegom Dunaju się rozciągała [2]. Ponieważ zaś zabytki panońskie do żadnego z tych słow. narzeczy (kajkawskiego i morawsko-słowackiego) nie są podobne, chociaż pod jeograficznym względem na miejscowość tę jako działalność apostolską śś. Cyryla i Metodego przypadają, dla tego ojczyzna ich musi się znajdować gdzieindziej.

Jeżeli się zwróci uwagę na język najstarszych zabytków piśmiennych [3], które uważają się za najwierniejszy wyraz języka liturgicznego, używanego przez śś. Cyryla i Metodego, trzeba przyjąć za fakt naukowy następujące punkta, które na podstawie rozbioru zabytków tych sformułował *Srezniewski* [4]:

1) Tak pod względem prawopisu jako też głosowni i użycia niektórych słów i ich form, pismo i język tych zabytków słowiańskich odróżnia się od tego stsłow. języka, który uważa się za czysty (t. j. panoński według Miklosicha) a którego główne rysy powtarzają się tak samo w tych zabytkach piśmiennych (jusowych) podobnie jak w zabytkach ruskiej recenzyi w jednych więcej, w drugich mniej prawidłowo.

2) W zabytkach tych różnice z czystym stsł. językiem nie są tak jednakowe, żeby można je uważać za okazy kilku różnych narzeczy, ponieważ różne, nawzajem sobie przeciwne właściwości, nie znachodzą się tylko w rozmaitych rękopisach jednego i tego sa-

---

[1] Ueber den Ursprung und die Heimath des Glagolitismus. Prag 1858, str. 25 nast.

[2] Jagić w Archiv. p. st. Phil. I., str. 445 nast.

[3] Zabytki te panońskie wylicza Miklosich w Altsloven. Formenlehre in Paradigmen, str. XIII.—XV.

[4] Drevnije slovjanskije pamjatniki jusovago pisma. Petersb. 1868, str. 166—167.

mego zabytku piśmiennego, lecz także w rozmaitych częściach jednego i tego samego rękopisu. Jakie to zaś były narzecza, na to odpowiedzieć stanowczo jeszcze nie można: przypuszczać atoli można, że w gronie ich znajdowały się bułgarskie i morawsko-słowieńskie.

Nie może być zadaniem tego szkicu informacyjnego, dotyczącego języka śś. Cyryla i Metodego, wchodzić w szczegółowy rozbiór filologiczny tych momentów językowych, które jako charakterystyczne znamiona jego się uważają a które mają służyć za dowód jego etnograficznej natury pod jednym z obu podanych względów. Jednakowoż jeżeli rozważymy wszystkie okoliczności tak historycznej, jakoteż i filologicznej natury, które przy całej tej kwestyi jako podstawy uważane być winne, wówczas możemy przyjąć za fakt następujące punkta.

a) Język słowiański w ogólnym swoim układzie rozpadał się w czasie apostolskiej misyi śś. Cyryla i Metodego na różne narzecza, które po dziś dzień istnieją a które podówczas miały wyraźnie oznaczony swój odrębny charakter. To pokazuje się z różnych zabytków piśmiennych jak freizyngskich urywków dla słowińskiego języka, dla serbskiego zebranych przez Šafařika w Serbische Lesekörner, Pesth 1833, dla bułgarskiego z zabytków wydanych przez Srezniewskiego w podanem wyżej dziele, dla ruskiego z ewangielium Ostromira i innych, które Miklosich w Altslov. Formenlehre in Paradigmen na str. XXII.—XXVIII. przytacza.

b) Żaden z zabytków słow., w których znajduje się tłumaczenie pisma św., nie pochodzi bezpośrednio od śś. Cyryla i Metodego, lecz od ich uczniów, których działalność kościelna przypada na inne miejscowości. Ponieważ zaś język miejscowy stanowił główną podstawę przy pracach literackich w owym czasie tak oryginalnych, jakoteż przepisywanych, dlatego w przechowanych nam zabytkach piśmiennych możemy przypuszczać egzystencye rozmaitych narzeczy odpowiednio do tego, przez ile rąk zabytek był odpisywany i przez jakiej narodowości pisarzy. Przedewszystkiem powinno być zadaniem krytyki, zebrać wszystkie te narzeczowe właściwości i odnieść je do jednego z dzisiejszych języków, a jeżeli zostaną jeszcze które odrębne, niemające nic wspólnego z dzisiaj żyjącemi, wówczas trzeba je uważać za osobne narzecza, które naukowo powinno być

zbadane. Jak dzisiaj ta sprawa stoi, język liturgiczny śś. Cyryla i Metodego jest tylko naukową hypotezą, która może się okazać po szczegółowem zbadaniu zabytków słowiańskich jako fikcya, niemająca nic wspólnego z historycznymi faktami, dotyczącymi działalności obydwu apostołów, i z historyą poszczególnych języków słowiańskich. Jako jeden z środków, mogących znacznie przyczynić się do rozjaśnienia należytego tej kwestyi, musi posłużyć gruntowne zbadanie narzeczy języków słow., w których niejedna zachowała się starożytna forma językowa, a która w zwyczajnym literackim języku zanikła. Niemniej i paleografia winna wchodzić w zakres szczegółowych badań nad tąż sprawą, ponieważ wiele mniemanych właściwości językowych może niczem więcej nie być, jak błędem ortograficznym.

Język ten w naukowy sposób rekonstruowany, posiadać miał następujące główne znamiona, które stanowiły jego organiczną naturę.

a) Nosowe samogłoski *ą*, *ę*, w zabytkach panońskich regularnie się używają, wskazuje to, że w żywym języku musiały w owym czasie być w użyciu.

Przeciwko temu trzeba jednakowoż nadmienić, że i w zabytkach tak zwanych czysto-panońskich, jak Glog. Cloz., nieprawidłowo mięszają się niekiedy te nosówki; a w innych zabytkach niepanońskich, jak bułgarskich, słowińskich (freizyngskich) znachodzą się także obydwa rodzaje nosówek. Użycie regularne, lub mniej regularne odnośnych dźwięków w zabytkach piśmiennych, nie stanowi jeszcze o charakterze języka, tylko o poprawności pisanego zabytku, który poprawnie, czy też niepoprawnie pisany, może z jednego pochodzić źródła. Okoliczność ta, że dla dźwięków tych zostały wprowadzone do alfabetu słow. tak głagolskiego, jakoteż cyrylskiego odpowiednie znaki piśmienne, dowodzi wprawdzie tego, że dźwięki te w żywym musiały istnieć języku, jednakowoż nie wykluczoną jest możebność, że proces ten językowy w tym względzie mógł się już znajdować w studyum rozkładowem (podobnie jak to np. w dzisiejszym języku polskim nosówki w ludowych narzeczach rozmaitym ulegają przemianom). Znaki piśmienne dla nosowych dźwięków samogłoskowych, używały się tradycyjnie przy przepisywaniu starszych tekstów, chociaż w żywym języku dźwięki te nie istniały, jak np. w serbskim i ruskim języku. Im starsze teksty, tem skrupulatniej trzymano się

oryginału, wiernie go kopiując; dopiero z czasem pozwalano sobie chcąc niechcąc własnych przymieszek, opartych na rodzinnym języku. Zachodzące zatem znaki piśmienne *ą*, *ę* w jakim zabytku, nie potrzebują być wiernym obrazem żywego języka, podobnie jak nim np. dzisiaj nie są w drukowanych książkach bułgarskich i ruskich kościelnych, używających starocerkiewnej ortografii.

b) Drugim charakterystycznem znamieniem tych zabytków są tak zwane głuche dźwięki ъ, ь, które w połączeniu z spółgłoskami miękczą takowe, lub pozostawiają twarde, a w połączeniu z płynnemi *r*, *l* zajmowały pewną pozycyą, tj. po nich, przed następującą spółgłoską.

Sprawa ta jednakowoż w obec dzisiejszego zapatrywania na system fonetyki indoeuropejskich języków, musi uledz wielkiej modyfikacyi w naukowem traktowaniu, a ze względu na to, że tak w bułgarskim, jakoteż i w słowińskim języku istnieją podziś dzień krótkie dźwięki, odpowiadające stsłowińskim ъ, ь, zchodzi do podrzędnego stanowiska w liczbie argumentów, mających świadczyć o wyłącznie panońskim ich charakterze. Również i to dodać mogę na podstawie studyów na miejscu podjętych, że w niektórych bułgarskich narzeczach dzisiejszych, zajmują dźwięki te w połączeniu z płynnemi *r*, *l*. tę samą pozycyą, jak w odpowiednich stsłow. zabytkach.

Inne właściwości tego panońskiego języka, które Miklosisch o. m. str. XXXII. przytacza, powtarzają się również w innych stsł. zabytkach, które do innych należą redakcyi. Zob. Jagić w Archiv. f. sl. Phil. I., str. 447 nast.

W obec tego kwestya, dotycząca narodowościowego charakteru języka śś. Cyryla i Metodego, którego użyli do tłumaczenia ksiąg kościelnych, musi się jeszcze uważać za księgę otwartą. Jednakowoż, jeżeli z Jagićem o. m. str. 452, przyjmiemy za prawdopodobne, że zanim obydwaj apostołowie słowiańscy powołani zostali na misyę apostolską do Morawii, byli już czynni w nawracaniu Słowian bułgarskich i w tej mierze znaczne osiągnęli rezultaty, w skutek których tylko tak ważna misya mogła im być powierzoną, wówczas możemy uznać następny przebieg za najbardziej zbliżony do prawdy. Urodzeni w Salonice obydwaj apostołowie słowiańscy, wyuczyli się na miejscu języka słowiańskiego, którym mógł być tylko buł-

garski. Tutaj też w Bułgaryi zrobili początek misyi swej apostolskiej, którą w słowiańskim odbywali języku. Podobnie pierwsze próby ich działalności literackiej przypadają na te strony, jak to legenda o św. Cyrylu podaje. Jako reminiscencyę tejże pracy naukowej na polu tłumaczenia na język słowiański, można przyjąć wzmiankę legendy o zajęciach św. Cyryla w Chersonie językiem i pismem ruskiem. Tłumaczenie na język słow. skłoniło Cyryla do urządzenia osobnego alfabetu, zastósowanego do natury bułgarskiej mowy. Ku temu celowi wziął z greckiego alfabetu, kursywą podówczas pisanego, te znaki, które odpowiadały wspólnym dźwiękom obydwóch języków; dla czysto słowiańskich zaś dźwięków dodał nowe znaki, z tamtych przez kombinacye pojedyńczych liter i za pomocą znaków diaktrytycznych wytworzone. Pomiędzy wyłącznie słowiańskiemi dźwiękami były także i nosowe samogłoski, które w tych okolicach podziś dzień jeszcze w wielu wyrazach się używają, jak o tem na miejscu przekonać się miałem sposobność. Tak więc jeszcze w Bułgaryi mogli już byli śś. Bracia przetłumaczyć Piśmo św. i takowe głagolicą wyrazić. Przybywszy na Morawy w opowiadaniu słowa bożego posługiwali się językiem krajowym, lub starali się ile możności najbardziej do niego zbliżyć podczas gdy książki liturgiczne mogły być używane w języku bułgarskim, podobnie jak to później w innych krajach słow. miało miejsce. Wraz z rozszerzeniem się obrządku słowiańskiego w sąsiednich krajach, przyjmowany był także język bułgarski jako święty zabytek kościelny, a z nim i pismo słowiańskie, przy czem praca około tłumaczenia ksiąg kościelnych postępowała dalej. W tej pracy brano za wzór gotowe już przez samych apostołów zrobione przekłady, jednakże w nowych przekładach wpływ miejscowego języka mniej lub więcej czuć się dawał (pragskie zabytki). Ponieważ w pracy tej literackiej przeważnie obydwaj bracia, jakoteż i ich bułgarscy pomocnicy brali udział, dlatego też podstawą pierwszych tych płodów piśmiennych, jest język bułgarski. Po śmierci śś. Cyryla i Metodego i wypędzeniu ich uczniów z Morawii, liturgia słowiańska znalazła na jakiś czas schronienie w innych ziemiach zachodnio-słowiańskich, jak w Czechach i Chorwacyi. W Bułgaryi utrzymała się ona stale, gdzie uczniowie ich działalność naukową słowiańską dalej rozwijali. Tłumaczenia oryginalne ksiąg kościelnych, dokonane przez Cyryla i Metodego, stano-

wiło normę dla późniejszych tłumaczy, którzy ile możności starali się ich naśladować. Jednakowoż przy nowszych tłumaczeniach pod wpływem panującego języka, odstępowano więcej od prawideł językowych, które śś. Cyryl i Metody postawili, podczas gdy przy przepisywaniu z oryginalnych źródeł trzymano się jeszcze ściśle pierwowzoru. W ten sposób obok poprawnych zabytków słowiańskich, tak zwanych czystych (panońskich według Miklosicha), powstały nowsze płody oryginalne słowiańskie, które odpowiednio do języka, jaki w nich obok pierwowzoru występuje, dzielą się na bułgarską, serbsko-horwacką i ruską redakcyą.

Antoni Kalina.

DARWINIZM

w obec rozumu i nauki.

II. O pochodzeniu człowieka.

(Dokończenie).

3. Moralność. Błędne mniemanie Darwina o moralności; sprzeczne wnioski do jakich dochodzi. — 4. Religijność. Twierdzenie Darwina, że religijność nie jest powszechnem znamieniem u ludzi, nie ma żadnych podstaw. — Świadectwa pisarzy starożytnych i nowożytnych. — Dowód Darwina o religijności psa jest śmiesznym. — Bluźnierstwa darwinistów. — 5. Rozum. Darwin miesza pojęcia rozumu, instynktu i przyzwyczajenia. — Czynności nieświadome w zwierzętach i w człowieku mają źródło swe w instynkcie. — Czynności świadome człowieka odnoszą się do rozumu, zwierzęce do zmyślności.

3. Moralność. Jakie są zasadnicze pojęcia Darwina co do moralności, czytelnicy naszego pisma mieli już sposobność z niemi się zapoznać w artykule „Moralność sekularyzowana“ [1]; w tem miejscu rozbierzemy tylko ten rozdział jego dzieła, w którym autor usiłuje zidentyfikować moralność ludzką z moralnością zwierząt. „Podzielam, mówi Darwin, zdanie tych myślicieli, którzy twierdzą, że ze wszystkich różnic, istniejących między człowiekiem a niższemi zwierzętami (sic), najważniejszą rolę odgrywa poczucie moralne czyli sumienie“. Czem zaś jest to poczucie moralne, dodaje zaraz: „streszcza się ono w owym stanowczym, rozkazującym i pełnym znaczenia wyrazie musisz, właściwiej mówiąc: powinieneś. Na czem polega to poczucie moralności u Darwina, nie da się zupełnie z jego rozumowań wyprowadzić, jest to jakiś nieokreślony altruizm płynący z egoizmu, wyrabia się w pożyciu społecznem, zmienny

[1] Ob. *Przegl. pow.* t. III. str. 340 i dalsze; t. VI. str. 437 i dalsze.

jest w różnych czasach, u różnych ludów i w różnych okolicznościach. Nie istnieje dla Darwina żadna norma w ocenianiu moralności; co u jednych ludzi uważa się za moralne, u drugich na to miano nie zasługuje. „Dzicy, mówi Darwin [1], rozpusty nie piętnują hańbą... nie rozumieją haniebnych skutków rozwiązłości i lenistwa [2]". Lecz nawet u cywilizowanych ludów cnota przeciwna tej nieprawości niekoniecznie uważaną jest za objaw moralności i sam mistrz potępia ją *implicite*, gdy mówi: „Lekkomyślny Irlandczyk, brudny i nieokrzesany rozmnaża się jak królik, ambitny Szkot... żeni się późno i zostawia mało potomków... Wczesne małżeństwa są szkodliwe dla obu płci" [3]. Jest to apologia najniegodziwszej teoryi, ob-

[1] L. c. str. 93 i 94.

[2] De Quatrefages daje w tej rzeczy odprawę Darwinowi: Powołujemy się tak często na zdanie naszego uczonego francuskiego z tego powodu, iż jak z jednej strony jest bezsprzecznie pierwszym dziś antropologiem, tak z drugiej nie należąc do naszego obozu, nawet w oczach naszych przeciwników winien być zaliczonym do bezstronnych. Oto co mówi: „Ze stanowiska jedynie faktów, nie uwzględniając zupełnie ani filozofii, ani teologii, możemy stwierdzić z zupełną pewnością, że nie ma ani społeczeństwa, ani nawet najmniejszego stowarzyszenia ludzi, w którychby pojęcie dobrego i złego nie okazywało się na zewnątrz w czynnościach, uważanych przez członków tego stowarzyszenia, jako moralnie dobre lub jako moralnie złe... Dziki Australczyk niezepsuty wódką i obcowaniem z Europejczykami, nie daruje nigdy temu, który godzi na cnotę jego żony i zabija go przy nadarzonej sposobności. U Hotentotów śmierć jest karą za cudzołostwo. Pomiędzy Murzynami Złotych-Wybrzeży jeśli idzie o wielką żonę czyli żonę fetysz, śmierć tylko albo zupełne zniszczenie napastnika zmywa hańbę"... (Esp hum. p. 339). A dalej w tym samym przedmiocie: „Les Negresses ne sont pas pour cela des Pénélopes. Je ne prétends nullement récuser sur ce point l'accord unanime des voyageurs; et les maris, comme nous venons de le dire, n'invoquent pas toujours la rigueur du code local. Quelle conséquence légitime peut-on tirer de ce fait? Seulement que les moeurs et la loi sont en contradiction chez ces races. Mais n'en est-il pas souvent de même chez nous? L'adultère ne se montre-t-il impunément que chez le Nègres? Les maris complaisants n'existent-ils que chez les Australiens. (Esp. hum. p. 346).

De Quatrefages poświęca cały rozdział w swem dziele temu przedmiotowi: przebiega treściwie najwięcej zdziczałe ludy, daje odprawę zarzutom stronniczym, wyjaśnia sprzeczne zdania podróżników i wreszcie wnioskuje: „Jeżeli smutną jest rzeczą widzieć zle moralne u ludów wysoko stojących, dobro moralne, i to w najdelikatniejszych odcieniach, jakie się spostrzega u ludów zdziczałych, jest bardzo pocieszającem". (L. c. p. 348). Ze stanowiska li tylko empirycznego przyznaje rodzajowi ludzkiemu moralność, jako znamię charakterystyczne.

[3] L. c. p. 93.

mierzłej Bogu i ludziom. Wyludnienie a przynajmniej powstrzymanie wzrostu ludności w kraju, upadek i zupełne wygaśnienie całych rodów, możnych niegdyś i mnogich, są tylko następstwami wynikającemi z zastosowania wniosków, tak zwanego prawa Malthusa. Te prawdy stwierdzone zostały ścisłą metodą naukową. Szkoła społeczna Le Play'a ogłasza monografie rodzin typowych. Na podstawie właśnie tych monografij widzimy z jednej strony, iż wszystkie rodziny, które nie zachowują przyrodzonych praw moralnych, znikają, przyczyniają się do wyludnienia i upadku państwa; z drugiej zaś, że jednym z czynników dobrobytu moralnego i fizycznego rodziny, jest właśnie wczesne małżeństwo[1].

Darwin nie przyznaje ludziom „istotnych wyrzutów sumienia", a różne sposoby zapatrywania na moralność i praktyki ztąd płynące, które się rozwinęły i ustaliły w obcowaniu społecznem, mają tylko wartość „prawideł towarzyskiej przyzwoitości". Tak, że, jak mówi, „gdyby naprzykład ludzie rozwijali się w tych samych wa-

---

[1] Czytamy w monografii rękodzielnika szewckiego, przez U. Guerin: „L'ouvrier malheureusement obéit aux préjugés de la classe au milieu de laquelle son existence s'écoule, et, sans souci de la loi morale dont il comprend à peine les prescriptions, il désire restreindre sa postérité dans laquelle il voit une source de dépences sèches. Il avoue, du reste naïvément, que cette tendance est partagée par les familles de son entourage; elles ne tiennet pas, dit-il, à plus de deux enfants... L'affaiblissement progressif de la population et la disparition des familles-souches empêchent la formation d'une émigration vigoureuse qui infuserait aux grandes villes affaiblies et démoralisées un sang fortifiant, donnerait à nos établissements lointains des colons vigoureux ou verserait dans les fonctions les plus nobles les enfants préparés par une forte éducation..."

Konsul francuski w New-Jorku, Gauldrée-Boilleau, w opisie rodziny kanadyjskiej mówi: „Tant que les Franco-Canadiens conserveront leurs habitudes rangées et laborieuses, qu'ils resteront fidèles à leurs sentiments religieux, qu'ils prêteront l'oreille aux directions amicales de leurs prêtres, que leur moralité ne subira pas d'atteintes sérieuses, *qu'ils se marieront jeunes* et ne seront pas embarassés de leurs nombreux enfants, ils demeureront les maîtres du terrain que leur ont legué leurs pères et s'étendront même constamment par de nouvelles conquêtes sur la forêt... Mówi dalej, w Kanadzie les famllles sont nombreuses; il n'est pas rare de voir sous un seul toit huit ou dix enfants; et, dans la péninsule de Gaspé, on en compte assez fréquemment jusqu'à 18 et 20... Peu d'entre eux sont riches, *mais ils sont presque tous à l'aise..*" (Ob. Les Ouvriers des deux mondes, t. V. 1885, nr. 39. Paysan de Saint-Irénée i nr. 41, Ouvrier Cordonnier de Malakoff).

runkach co i pszczoły, jest bardzo prawdopodobnem, że niezamężne samice, na wzór pracownic, uważałyby za święty obowiązek zabijać swych braci, matki zaś starałyby się niszczyć swe płodne córki, i nikt nie brałby im tego za złe, ani starał się temu przeszkodzić[1]". Oto moralność Darwina, oto są wnioski, do jakich muszą dochodzić ludzie wierzący w swe bydlęce pochodzenie; takim jest człowiek, którego niektórzy panowie mają czoło piórem i słowem, w pismach i z katedry przedstawiać naszej młodzieży jako ideał mędrców i wzór do naśladowania.

Wreszcie po tych i innych podobnie wstrętnych i niedorzecznych uwagach, ni ztąd ni zowąd konkluduje: „najwyższym szczeblem popędów moralnych jest, jak się zdaje współczucie dla zwierząt[2]".

---

[1] L. c. str. 68.

Co się tyczy wyrzutów sumienia rzecz tak się ma: Darwin dowodzi, że ludzie doznają wyrzutów sumienia i że ich nie doznają. Na str. 85 utrzymuje, że doznają: „Tem przeto dziwniej, mówi on, że człowiek nieraz doznaje pewnych wyrzutów sumienia — i to nawet wówczas gdy rozumowaniem stara się je przytłumić — że ubolewa nad swem postępowaniem i rozpacza, iż zaniedbując obowiązek, usłuchał egoistycznych podszeptów". Na str. 163 dowodzi, że ludzie nie doznają wyrzutów sumienia, albowiem skonstatować ich nie można: „Zrazu, pisze, dziwiło mnie to niezmiernie, że nie mogłem nigdzie odszukać żadnego przykładu, stwierdzającego tego uczucia u dzikich; ale i J. Lubbock upewnia, że skonstatowania tego uczucia nie zdarzyło mu się nigdzie napotkać. Chociaż z drugiej strony, jeżeli wykreślimy z pamięci naszej wszystko, cośmy czytali w romansach, widzieli na deskach teatralnych, lub słyszeli z kazalnicy o strasznych wyrzutach sumienia, wątpię, aby wielu z nas zdołało poświadczyć, iż byli rzeczywiście świadkami tortur i męczarni wewnętrznych, jakich doznają ludzie, których wnętrznościami targa rozpacz najwyższej potęgi". Jeżeli komu to Darwinowi najmniej przystoi lekceważenie romansów. Piszący zwykłe powieści i romanse, jeśli chcą być czytanymi, muszą się liczyć z uczuciami, jakich doznają ludzie, ztąd i ich wyobraźnia krępowana jest przedmiotowością; Darwin zaś, opisujący romanse bydlęce, wolnym jest od wszelkich więzów i szeroko z tej wolności korzysta: dzieła jego mogłyby nosić tytuł: „Tysiąc i jedna anegdota o protoplastach człowieka" i stanowić pendant do arabskiej powieści.

[2] L. c. str. 98.

Zresztą choćby było prawdą, co Darwin twierdzi, że cechą moralności jest współczucie dla zwierząt, wynikałoby z tego jeszcze, że zwierzęta nie posiadają tych cech moralnych, nie posiadają bowiem współczucia względem innych, i to właśnie te zwierzęta, któreby go najwięcej potrzebowały, bo żyją

Postawiwszy moralność na tym „najwyższym szczeblu“ mógłby był Darwin zaniechać swych wywodów, mających okazać, że i zwierzęta moralność posiadają, lecz chce być ścisłym i dowodzi. Oto próbki tych dowodów:

Str. 66 i 67:

„Według mego zdania jest bardzo prawdopodobnem, że każde zwierzę, obdarzone wybitnymi popędami towarzyskimi, wykształciłoby w sobie z pewnością owo poczucie moralne czyli sumienie, gdyby tylko jego umysłowe wła-

Str. 68:

„Najprzód jednak powinienem zauważyć, że nie myślę bynajmniej twierdzić, iż każde towarzyskie zwierzę, którego władze umysłowe rozwinęły się do tego stopnia co u człowieka, byłoby w stanie wytworzyć w sobie to

---

w dobrze uorganizowanych społeczeństwach i posiadają wysokorozwinięte przymioty towarzyskie. Świadczy to zwolennik i przyjaciel Darwina, badacz pszczół, os i mrówek, Sir John Lubbock. (Ob. Fourmis, Abeilles et Guêpes, t. II pag. 6 i inne). Lubbock zauważył, że mrówki nie mają żadnego popędu do do udzielania sobie pomocy wzajemnej; widział, jak królowa ich nosiła na głowie ogromnego pasożyta, lecz ani sama nie umiała się go pozbyć, ani żadna z jej poddanek o to się nie starała. Zanurzał badacz angielski mrówki jakiś czas w wodzie, lub je chloroformował i w stanie na półmartwym kładł je przy drodze, którą inne towarzyszki przechodziły, nie zdarzyło się ani razu, aby im niosły jakąkolwiek pomoc. Brak wszelkiego poczucia litości, współubolewania i niesienia pomocy innym, jest charakterystycznem u zwierząt. Oto jego słowa: „Nigdy nie zauważyłem najmniejszego współczucia u zwierząt, okazywały się one zupełnie nieczułemi i obojętnemi względem innych. Jakto już wspomniałem, wydarzyło mi się nieraz zabić pszczołę, nie wywarło to nigdy żadnego wrażenia na inne. I tak 11 paźd. zgniótłem pszczołę tuż obok innej zajętej spożywaniem miodu: były tak blisko siebie, iż dotykały się skrzydłami; pomimo tego, śmierć siostry nie wywarła żadnego wrażenia na biesiadującą, zajadała dalej żywo i ochoczo, jak gdyby nic nie zaszło. Zostawała obok trupa bez najmniejszej obawy, bez smutku, nie okazując żadnym znakiem, iż wie, co się stało obok. Widocznie śmierć siostry nie wywarła żadnego wrażenia, nie obudziła w niej obawy, iż to samo spotkać ją może. Inną razą cały przebieg był ten sam. Bardzo często również chwytałem pszczołę za łapkę, starała się wyrwać i przeraźliwie brzęczała, inne pszczoły, znajdujące się obok, nie zwracały zupełnie na to uwagi... Przywiązanie pszczół do swej królowej jest znane powszechnie, jest ono jednak bardzo ograniczone“... Opisuje Lubbock doświadczenie: zmienił był matkę w ulu, starą królowę umieścił w swym pokoju wraz z plastrem miodu i pewną liczbą robotnic; po paru dniach te ostatnie opuściły ją, a dawne jej poddanki zaglądały wprawdzie, od czasu do czasu, do miodu w plastrze, ale zupełnie nie zwracały uwagi na swą byłą monarchinią.

dze osiągnęły, chociaż w przybliżeniu, ów stopień rozwoju, jaki cechuje człowieka“.

samo poczucie moralne, jakie my posiadamy“.

Tak tedy mamy dwa twierdzenia, zostające z sobą w zupełnej matematycznej sprzeczności! Jaki będzie wniosek? Darwin nie każe nań długo czekać, zaraz na str. 84 konkluduje: „Ponieważ atoli nie mamy żadnych podstaw do przypuszczenia, że niższe zwierzęta obdarzone są taką duchową władzą, nie dostrzegamy więc żadnych moralnych czynników w postępowaniu małpy“. Moralność zatem nie jest znamieniem zwierzęcia — to wyznanie Darwina wystarcza i uwalnia zarazem od nużenia czytelników naszych dalszemi jego bałamuctwami w tym przedmiocie [1].

4. Religijność. Przy tem znamieniu Darwin stosuje swą zwykłą metodę: twierdzi naprzód, że religijność nie jest znamieniem ludzkości, następnie, że i zwierzęta posiadają religijność — przyjrzemy się bliżej tej sprawie.

Na str. 60 tłómaczenia polskiego „o pochodzeniu człowieka“ czytamy: „Wiara w boga — religia. — Nie mamy żadnych dowodów, żeby człowiek pierwotny wierzył w boga. Posiadamy natomiast liczne świadectwa nietylko podróżnych, bo ci zwykle pobieżnie zapatrują się na rzeczy, ale ludzi, co długo i stale mieszkali wśród dzikich, że istniały i jeszcze istnieją rasy, które nie mają żadnego

[1] Przykłady, które przytacza Darwin są często tak śmieszne, tak nieprawdopodobnie opisane, iż przychodzi na myśl, że mistrz żartuje sobie ze swych czytelników. Cały epizod o pawianie „prawdziwym bohaterze“ (str. 70 i 71), który „zstąpił z góry, zwolna podszedł ku młodemu, popieścił je i uprowadził tryumfalnie za sobą“ jest naciąganą niedorzecznością. Jakieś znowu papugi „interesowały się pewnem gniazdem“ i gdy samica z niego zlatywała nawoływały ją do obowiązku macierzyńskiego. Inną razą „konduita (pewnych) ptaków zasługiwała na naganę“; lecz na pochwałę zasługiwał „mały, bojaźliwy piesek broniący swej pani, która go na kolanach trzymała“. Bydło jest bardzo czułe, „któż bowiem może odgadnąć, co czuje bydło, kiedy otacza umierającą krowę, lub przygląda się padłu zdechłego zwierzęcia“! Ludzie nie doznają wyrzutów sumienia, lecz któż zdolny jest wypowiedzieć, jakie zgryzoty tłoczą serce jaskółki, która w późnej jesieni odleciała w dalekie kraje, zostawiając w gniazdku niewykarmione i niezdolne jeszcze do lotu swe pisklęta! I tak dalej, na tę samą nutę, do końca.

pojęcia o bogu lub bogach i w których języku nie ma wyrazów dla oznaczenia tych pojęć“ [1].

Ten ustęp nie jest tylko błędnym — błądzić mogą i ludzie dobrej woli — lecz gdy kto usiłuje szerzyć jakie wiadomości wbrew własnej świadomości i przekonaniu, wówczas nietylko błądzi ale i kłamie. Darwin nie mógł nie wiedzieć, iż wygłaszając podobne mniemania sprzeciwia się wszystkim danym historycznym, stąd słuszność wymaga aby jego przewrotność odnośnem mianem była napiętnowaną.

Znamię religijności człowieka rzeczą tak jest znaną, tak już dziś elementarną, iż ubliżylibyśmy naszym czytelnikom, gdybyśmy podejmowali zadanie dowiedzenia tej prawdy; jednakże wobec twierdzenia tak bezczelnie postawionego, należy przynajmniej coś pozytywnego przytoczyć.

Nie będziemy się powoływać na Pismo św. i przypominać dogmata przez nie stwierdzone, nie powołamy się nawet na Pismo św. jako na pomnik historyczny, któremu dziś, z wyjątkiem dyletantów, wszyscy to znamię przypisują, lecz przywiedziemy jedynie kilka świadectw pisarzy, których nikt ani o stronniczość, ani o brak wiedzy pomówić nie może. „Z wyjątkiem człowieka, pisze Cycero [2], żadne zwierzę nie posiada poznania Boga; a pomiędzy ludźmi niema narodu tak okrutnego i dzikiego, któryby nie wiedział przynajmniej, iż należy mieć Boga, choć nawet nie wie jakiego“. Plutarch dokładniejsze daje świadectwo: „Można spotkać miasta pozbawione murów, domów, praw, pieniędzy, nauk; lecz ludu bez Boga, bez modlitwy, bez przysiąg, bez obrzędów religijnych, bez żertw, nikt nigdy nie widział [3]“.

Te świadectwa starożytnych, po dwudziestu wiekach, potwierdzone zostały najnowszemi badaniami. Znakomity założyciel empirycznej szkoły socyalnej mówi [4]: „Po wszystkie czasy, we wszystkich krajach, i wśród wszystkich szczepów, religia była i jest znamieniem wybitnem społeczeństwa ludzkiego, podobnie i więcej nawet,

---

[1] Zachowujemy pisownię tłómacza i charakterystyczne małe *b* użyte w wyrazie Bóg.

[2] De Leg. lib. II., cap. VIII.

[3] Adver. Coloten.

[4] Le Play. Organisation du travail. Tours. 1877. p. 256.

aniżeli odżywienie, niezbędne dla istot ożywionych, odróżnia je i wyszczególnia od tworów martwych". De Quatrefages w dziele swem „Espèce humaine" cały rozdział poświęca temu przedmiotowi i streszcza go w tych słowach: „Z powodu nauki, którą się zajmuję, zmuszony byłem badać wszystkie plemiona ludzkie, poszukiwałem ateizmu tak u ludów stojących na najniższym stopniu rozwoju, jak i u stojących najwyżej. Nie znalazłem go nigdzie, wyjątkowo tylko pomiędzy indywiduami i szkołami w Europie tak dawniej, jak i obecnie... Ateizm istnieje tylko sporadycznie. Wszędzie i zawsze masy ludności uniknęły jego wpływu; nietylko żaden większy szczep ludzki, ale nawet nigdzie większa jakaś część szczepu nie uległa ateizmowi. Taki jest ostateczny wypadek badań moich, które mogę nazwać sumiennemi, a które rozpocząłem zanim jeszcze zająłem katedrę antropologii. Badałem zaś i wnioskowałem nie jako myśliciel wierzący lub filozof z powziętą *a priori* myślą, lecz jako przyrodnik, który przedewszystkiem szuka i stwierdza fakta" [1].

To samo, lecz dobitniej jeszcze mówi Max. Müller [2]: „Możemy śmiało powiedzieć, że pomimo wszelkich usiłowań, nie znaleziono dotąd istoty ludzkiej pozbawionej religii... Zdanie, jakoby znajdowały się ludy i szczepy bez religii, polega na niedokładnem badaniu lub pomieszaniu pojęć. Nie znaleziono dotąd ani narodu, ani plemienia, któreby nie miało znamion religijności; badacze, utrzymujący zdanie przeciwne, opierali się na powierzchownych spostrzeżeniach, które okazały się błędnemi. Ztąd słusznie powiedzieć można, że religia w znaczeniu ogólnem wyrazu jest powszechnem objawem ludzkości... Powierzchowny brak religijności objawia się wtenczas, kiedy istota ludzka całkiem moralnie upadła, to jest, kiedy wskutek zepsucia moralnego nastąpiła śmierć duszy... W prawdziwem znaczeniu wyrazu, człowiek przestając być religijnym, przestaje tem samem być człowiekiem..."

Najświeższe wreszcie badania Girarda de Rialle i Roskoff'a specyalnie wykazują tę prawdę. Znamię religijności człowieka jest tedy powszechnem; co się zaś tyczy owego „pierwotnego" człowieka

[1] L. c. p. 356.

[2] Wyjątek z czas. protestanc. „Christianisme au XIX. siècle"

o którym Darwin wspomina i kładzie nacisk, iż „nie mamy dowodów o jego religijności“ — odpowiadamy. Naturalnie że nie możemy posiadać żadnych dowodów o jego religijności, skoro nie mamy żadnych dowodów, ani śladów o jego istnieniu; co więcej gdyby Darwin chciał, czy mógł być logicznym, z braku dowodów nie wywodziłby jeszcze pozytywnego wniosku, tembardziej iż w dalszym ciągu usiłuje wykazać, że i zwierzęta pewną religijność posiadają.

Dowód, jaki Darwin daje o religijności psa, a który ma zarazem „objaśnić genezę tego uczucia“, przytaczamy w całości [1]: „Miałem psa bardzo czujnego; razu pewnego leżał on na gazonie, a opodal niego znajdował się rozpięty parasol. Zwierzę nie zwracałoby nań prawdopodobnie uwagi, gdyby ktokolwiek znajdował się w ogrodzie: ale ponieważ nie było nikogo, a lekki wietrzyk poruszał od czasu do czasu parasolem, pies więc niepokoił się i za każdym szelestem parasola warczał i szczekał. Musiał on więc wyobrażać sobie, że ten ruch parasola, niemający żadnej widocznej przyczyny, świadczy o istnieniu jakiejś obcej ożywionej siły, jakiegoś niewidzialnego czynnika, który — zdaniem jego — nie powinien był wkraczać na zajęte przezeń terrytoryum. Wiara w czynniki duchowe prowadzi zwolna i stopniowo do wiary w istnienie jednego lub wielu bogów“. A więc szczekanie psa na parasol poruszany wiatrem ma być objawem religijności! *quos Deus vult perdere dementat.*

Powyższy ustęp wielce pouczający, pokazuje mianowicie, w jaki obłęd umysłowy popaść mogą nawet tacy, którzy rozumem i wiedzą, przodowaćby winni innym. Ten zaś obłęd jest dopiero pierwszą oznaką tej moralnej choroby, która w końcu doprowadza do demonicznej nienawiści Boga i wszystkiego co boże, Kościoła i religii. Wszyscy niemal koryfeusze darwinizmu, w większym lub mniejszym stopniu byli nią dotknięci. Tyndall nie wzdryga się głosić, w publicznej mowie wypowiedzianej w Belfast, iż darwinizm „ma napoić katolicką młodzież irlandzką w zdrojach materyalizmu, zaszczepić w niej rozkład umiejętnością ateuszowską“. Były francuski minister oświecenia, Paweł Berth, zaprowadzając ateuszowskie szkoły zniża się do karczemnych zaczepek i okrzyków. Lecz słynny Haeckel w zaciekłości swej przechodzi wszystkich.

[1] O poch. czł. str. 62.

Deklamacye jego sypią się z taką gwałtownością iż zdają się pochodzić, nie z pod pióra profesora uniwersytetu, lecz z ust przywódcy petroolejowego motłochu. Haeckel jest bluźniercą we wszystkich swych dziełach, lecz w broszurze wymierzonej przeciw Virchow'owi [1] dochodzi do rzeczywistego demonizmu. „Od osiemnastu wieków, woła on, chrześcijaństwo zapisało się krwawemi głoskami w historyi... Ilość krwi, wylanej przez ludzi w różnych wojnach i zamieszkach, niknie wobec tego oceanu krwi, który rozlał chrześcijanizm po dokonaniu zwycięstwa... Nie było czynu wstrętnego, podłego i nieludzkiego w owych czasach i aż do dzisiejszej epoki, któryby nie był popełniony w imię i na rachunek p r a w d z i w e g o c h r z e ś c i j a n i z m u... Co powiedzieć o moralności kapłanów?... Długi, nieprzerwany ciąg strasznych zbrodni jakich się dopuszczali papieże rzymscy, odpowiada na to pytanie... A cośmy powiedzieli o chrześcijanizmie stosuje się do wszystkich religii, do wszystkich moralności...“

Jeżeli taką ma być religijność darwinizmu, co tu można powiedzieć więcej w tym przedmiocie!

5. R o z u m. Właściwie nie potrzebowalibyśmy tutaj zajmować się tą władzą umysłową: skoro bowiem wykazaliśmy poprzednio, że są objawy, które, jakkolwiek znajdują pewne mgliste podobizny w zwierzętach, należą wyłącznie do człowieka, nadto, skoro te objawy są pierwszorzędne, tem samem dowiedliśmy naszego twierdzenia; jednakże ponieważ Darwin, mieszając pojęcia, umieszcza samą władzę rozumu pomiędzy jej objawami, nadto, ponieważ nietylko Darwin i transformiści, ale i inni przyrodnicy biorą często wyraz r o z u m w niewłaściwem znaczeniu i przypisują zwierzętom rozum, albo przynajmniej, jak mówią, inteligencyą, zmuszeni jesteśmy zastanowić się nieco nad tym przedmiotem.

Darwin w dziele, które obecnie rozbieramy, tak się wyraża [2]: „Po nad wszystkiemi umysłowemi władzami człowieka, przyzna każdy, góruje r o z u m. Rzadko zaś spotkać można badaczy zaprzeczających zwierzętom rozumowania. Zasługuje też na szczególną uwagę to, że im bardziej przyrodnik bada zwyczaje jakiegokolwiek

[1] Les preuves du transformisme. Paris. 1882. p. 116, 117.
[2] O poch. czł., str. 43.

zwierzęcia, tem więcej przypisuje jego rozumowi, a tem mniej bezwiednym instynktom. W następujących rozdziałach wykażę, że zwierzęta stojące na najniższych szczeblach drabinki ustrojowej, okazują do pewnego stopnia widoczną działalność rozumu. Naturalnie, że trudno, i bardzo nawet trudno odróżnić objawy rozumu od objawów instynktu".

W tych kilku wierszach, obok nieświadomości przedmiotu, przebija nadto wielka doza złej wiary. Darwin stawia tezę obok antytezy, niewiadomo której chce dowieść, a w rzeczywistości żadnej nie dowodzi. Co jest rozum, jakie są jego objawy w człowieku, czy u zwierząt podobne objawy i w jakim stopniu istnieją, nigdzie wyraźnie nie mówi. Obiecuje w następnych rozdziałach wykazać rozum u zwierząt stojących „na najniższem szczeblu drabinki ustrojowej", lecz tego nie czyni; przytacza jedynie d w a przykłady r o z u m u małpiego, które ani rozumu, ani wielkiej nawet zmyślności nie dowodzą. Pierwszy, że małpy nauczyły się rozbijać surowe jaja, wybierały skorupki i następnie wypijały zawartość [1]; drugi, że przykładały do ucha kawałki cukru, zawinięte w papier, aby się przekonać, czy tam nie ma czego żyjącego, gdyż badający przyrodnik zamieścił był poprzednio w papierku, miasto cukru, żywe osy. Oto wszystko co Darwin przywodzi na poparcie rozumu zwierzęcego i dodaje [2]: „Kogo nie przekonają powyżej przytoczone objawy i kto nie uwierzy temu, co sam może na psach domowych sprawdzić, tego zaprawdę nic nie zdoła przekonać, cokolwiekbym tu przytaczał". Innemi słowami to znaczy: Nie mam lepszych dowodów na rozum zwierzęcy; kto przystępuje do badania tej rzeczy, nie będąc *a priori* przekonanym o rozumie zwierzęcym, tego ani te, ani żadne przykłady nie przekonają. Takie a nie inne może być znaczenie słów Darwina, jednakże sam widocznie nie ufa ich przekonywalności,

[1] Choćby przykład przywiedziony przez Darwina był prawdziwym, jeszczeby nie dowodził wielkiej zmyślności małpy, albowiem rzeczą jest wiadomą, iż tchórz, tumak i łasica okazują pod tym względem daleko większą zmyślność, która, gdyby nie była instynktem, o ich wiadomościach fizycznych dawałaby wysokie wyobrażenie: dla wypicia znalezionego w kurniku lub w gnieździe jajka, nietylko robią otwór w jednym z jego końców, ale nadto z przeciwnej strony świdrują małą dziurkę, przez którą przy wciąganiu, wchodzące powietrze wpycha im zawartość jaja w gardło.

[2] O poch. czł. str. 44.

skoro na tem nie kończy i sporą jeszcze ilość stronnic poświęca temu przedmiotowi.

Charakterystyczną cechą wszystkich wywodów Darwina jest pomięszanie pojęć o rozumie, instynkcie i przyzwyczajeniu. Nie daje żadnych określeń, wyraźnie nawet oświadcza, „że o tem ani myśli“ [1]; w twierdzeniu stawia instynkt, w dowodach przywodzi przykłady z przyzwyczajenia, wnioskuje zaś o rozumie. Darwin z umysłu trzyma z Condillac'em; lecz dziś, po pracach Fr. Cuvier'a, Flourens'a, Milne Edwards'a nierozróżnianie instynktu od przyzwyczajenia jest poprostu niedorzecznością.

Aby jasno uwydatnić błędne wywody Darwina, nie pójdziemy za nim krok w krok, obieramy inną drogę. Trzymając się metody empirycznej wykażemy, iż na mocy rodzaju objawów, jakie spostrzegamy w czynnościach człowieka i zwierzęcia, działania ich dadzą się podzielić na nieświadome i świadome; pierwsze są wrodzone i konieczne, należy je odnieść do instynktu, drugie nabyte i samodzielne mają swe źródło w rozumie. Czynności człowieka są przeważnie świadome i rozumne, a w drobnej tylko części instynktowe; czynności zwierzęcia są głównie nieświadome i instynktowe, te zaś, w których się przebija pewien odcień świadomości, nie rozumowi, lecz zmyślności przypisać należy.

Czynności nieświadome. Każda czynność istoty żyjącej, która co do pochodzenia jest dziedziczną, co do pobudki konieczną, co do sposobu wykonania nie została nabytą w życiu przez naukę i wprawę i nie była a nawet nie mogła być udoskonaloną, jest nieświadomą czynnością instynktową.

Czynności nieświadome w zwierzęciu. Wszystko, co jest podziwienia godnem w czynnościach zwierzęcych, odnosi się do tej działalności nieświadomej czyli instynktowej. Wybitność instynktu, jego natężenie, nie jest u wszystkich jednakowe, i znajduje się, rzec można, w odwrotnym stosunku do ich ustrojowego uposażenia: zstępując od ssawców do najniższych organizmów, instynkt zdaje się wzrastać. Podziwiamy budowy wodne bobrów, bogate kształty gniazd ptasich, dokładność geometryczną i zręczność pająka w jego tkani-

[1] De l'orig. des esp. p. 276.

nach; lecz podziw się zwiększa, badając komórkę pszczoły, przemyślność i zapobiegliwość mrówki, przeróżne i genialne środki, jakich używają owady do zachowania swego potomstwa, a rzuciwszy wzrokiem na działalność najdrobniejszych organizmów, często jednokomórkowych tylko istotek, podziw nasz przemienia się w zdumienie. Przejdźmy niektóre czynności instynktowe zwierząt, poczynając od czworonożnych. Przykłady te nie będą liczne, ani nie będą nowe, przywiedziemy takie tylko, które zna Darwin, lecz z których błędne wysnuwa wnioski.

A najprzód pierwszorzędni zoolodzy dają mu odprawę. Flourens[1] pomiędzy przykładami zamieszcza jeden o młodym bobrze schwytanym zaraz po urodzeniu; umieszczony on został w klatce, skoro tylko podrósł, zabrał się do budowy grobli i sztucznego domku, choć tego nie mógł się nauczyć od swych rodziców, ani też jego praca nie mogła mu być w żaden sposób użyteczną. Milne Edwards[2] mówi to samo o pszczołach, które zaraz po wyjściu

[1] Le castor, que Cuvier a étudié avec le plus de suite, avait été pris tout jeune sur les bords du Rhône; il avait été allaité artificielement; il n'avait donc pu rien apprendre, même de ses parents. On l'avait placé dans une cage grillée. On le nourrissait habituellement avec des branches de saules, dont il mangeait l'écorce, et l'on s'aperçut bientôt qu'après avoir dépouillé ces branches de leur écorce, il les coupait par morceaux et les entassait dans un coin de la cage. Il ressemblait des materiaux pour bâtir.

On l'y aida. On lui fournit de la terre, de la paille, des branches d'arbres; et dès lors on le vit former de petites masses de cette terre avec ses pieds de devant, puis les pousser en avant avec son menton, ou les transporter avec sa bouche, les placer les unes sur les autres, les presser fortement avec sa queue jusqu'à ce qu'il en résultât une masse commune et solide, enfoncer alors un bâton avec sa gueule dans cette masse; eu un mot bâtir et construire.

Or deux choses sont ici évidentes: l'une que cet animal ne devait rien à la societé des siens, source première, selon Buffon, de l'industrie des castors; et l'autre que cet animal travaillait sans utilité, sans but, machinalement, poussé par un besoin aveugle, car, dit F. Cuvier, „il ne pouvait résulter aucun bien-être pour lui de toutes les peines qu'il se donnait". (De l'inst. et de l'intel.p. 185).

[2] Ces ouvrières habiles n'ont besoin ni de modèle, ni de guide; dès leur début dans leur carrière architecturale, elles exécutent, sans tâtonnement ni méprises, une multitude d'opérations délicates dont l'utilité n'est pas immédiate; elles ne profitent jamais de l'expérience pour perfectionner leurs procédés, et de génération en génération, elles travaillent de la même manière sans que les jeunes individus aient besoin des leçons de celles déjà exercées

z komórki, bez nauki i doświadczenia, stają się odrazu biegłemi i wprawnemi robotnicami, wykonywają zaś te czynności nawet wtenczas, skoro przyrodnik postawi je w takich warunkach, iż te prace nie mają dla nich żadnej użyteczności. Stwierdzają to wszyscy przyrodnicy, sam nawet Lubbock. Przejdźmy do innych przykładów.

Wszystkie zwierzęta roślino-żercze, nie wyłączając bydła domowego, są od urodzenia dobrymi botanikami i nigdy im się nie zdarza, by kiedy spożyły jakąkolwiek roślinę trującą. Cóż na to Darwin? Darwin wie o tem, lecz naturalnie stara się umniejszyć doniosłość tych faktów, ale to co z nich pozostawia, uważa nie jako dane z natury, lecz jako nabytek doświadczenia „Małpy te, mówi[1] — wszak to można przypuścić (sic) — stronią od wielu szkodliwych owoców: człowiek tej władzy nie posiada. Byłby to znowu dowód ich wyższości instynktowej; gdyby nie to, że nasze domowe bydło, przegnane w obce krainy, spożywa zrazu trujące trawy, a dopiero z czasem uczy się wstrzemięźliwości. Może więc być bardzo, że i małpy na mocy własnego doświadczenia, lub też pouczone przez swych rodziców nabywają wreszcie wprawy w wyborze owoców". Jakto! więc tylko przypuścić można, że zwierzęta stronią od trucizny?; co za naiwność! Nie, tak nie jest. To co Darwin przypuszcza, przyrodnicy stwierdzają w swych spostrzeżeniach a zarazem zadają kłam owemu drugiemu przypuszczeniu Darwina, iż czasami bydło pożera truciznę[2]. A gdyby nawet padła

à bâtir; enfin, on les voit continuer leurs travaux lorsque les circonstances dans lesquelles elles sont placées les rendent inutiles. *On ne peut donc attribuer ces actes à l'influence de facultés analogues à celles de notre intelligence.* (Zool. 7. edit. p. 229).

[1] O poch. czł. str. 34.

[2] Owce i bydło rogate przewiezione z Europy do krajów zwrotnikowych umieją odrazu wyróżnić rośliny trujące, które po raz pierwszy spotykają. Znany naturalista francuski w szkole marynarki w Brest, który wiele lat przebywał w krajach zwrotnikowych pisze. (Lutte pour l'exist. p. 397, 398).

Il n'y a pas à proprement parler dans la nature de plantes effectivement vénéneuses pour les animaux, en ce sens que ceux-ci ont reçu un instinct merveilleux qui les prévient du péril. Tel végétal qui pourrait tuer une espèce ne tuera pas une autre espèce. Les insectes rongent les feuilles des plantes les plus toxiques. Les mollusques de nos jardins dévorent tout, le mouron est fatal aux petits oiseaux séulement, le persil n'empoisonne que les perroquets, les campagnols dévorent les aconits et les renoncules, et les lapins mangent la belladone. *Les ruminants dans les pâturages savent éviter les re-*

jaka sztuka po pożarciu trucizny, to ani nie miałaby czasu przed zdechnięciem do publicznych odczytów pouczających młode pokolenie, ani też nie mogłaby przekazać dziedzicznie swego smutnego doświadczania potomstwu, boby go nie miała.

Jakim sposobem ryby, uważane za najgłupsze ze zwierząt, po kilku latach bujania po oceanach, odnajdują miejsca swego wylęgnienia i tam składają swą ikrę?; dlaczego drobne okoniowate ryby tak śmiało pływają obok szczupaków?, czyż który z protoplastów tego wilka rzecznego, po niedoszłem połknięciu jakiego jazgierza, który mu się stał przyczyną śmierci, przekazał swym potomkom, których nie mógł posiadać, wstręt do tego całego gatunku?

Znane są powszechnie, podziw wywołujące instynkty ptasząt: w wędrówkach swych o tysiące mil odnajdują swe stare siedziby, temi samemi prawie narzędziami jaki przeróżny a zawsze estetyczny kształt umieją nadać swym gniazdkom, wiedzą, jakiego materyału do niego użyć, i w jakiem, najodpowiedniejszem dla swego przyszłego potomstwa, uwić je miejscu. Niektóre z ptasząt gniazd nie wiją, jaja swe składają w cudzem gnieździe; ten dziwny instynkt kukułki chciał Darwin wyzyskać dla swej teoryi; przyznaje on, iż dziś jest instynktem, sądzi wszelako, iż go zawdzięcza przypadkowi.

---

nonculacées vireuses. Il y a là un fait bien digne de remarque. Dans des régions nouvelles pour lui, au milieu d'une flore qu'il ne connait pas, l'homme à chaque instant se trompant sur la nature des végétaux s'empoisonne. Transporter un troupeau de boeufs ou de moutons sur n'importe quelle plage, qu'ils viennent d'Europe ou d'ailleures, un flair infaillible les éloignera des plantes inconnues qui seraient vénéneuses pour eux, ce ne sera pas par une expérience chèrement acquises qu'ils y arriveront, ce sera du premier coup. Le mouton lui même dont la stupidité est colossale ne se trompera pas, qu'il soit d'Andalousie, de France ou d'Australie, offrez lui le feuillage de l'ailanthe il refusera. J'ai vu plus d'une fois sur le rivage de Tahiti, de Cayenne, et des Antilles débarquer sans danger pour eux des animaux étrangers au pays, au milieu d'une végétation riche en poisons. J'ai constaté au contraire à la Martinique parmi les Indiens et Africains amenés là par l'émigration, de nombreuses méprises. Elles étaient encore plus fréquentes parmi les Chinois venus dans le même temps, et surtout parmi les transportés des bagnes de France... Un jour sur les plages de sable de la Pointe du Bout, en rade de Fort-de-France, un troupeau de boeuf et un Chinois nouvellement débarqués passaient. Le rivage était couvert des fruits tombés d'un arbre voisin, ils étaient à maturité, et répandaient un agréable odeur de pomme. Les boeufs dédaignèrent, mais le Chinois ramassa un de ces fruits alléchants et le mangea. Le Chinois mourut empoisonné par une pomme de mancenillier!".

Według Darwina cała ta sprawa taki mogła była mieć przebieg [1]. Pewna kukułka zniosła przypadkiem jajko w cudzem gnieździe, przypadkiem naturalnie to jajko przyjęła właścicielka gniazda za swoje i takowe wylęgła; pisklę kukułcze, wymagające obfitego pokarmu, przypadkiem lub może umyślnie wyrzuciło z gniazda przybranych swych braci, tym sposobem wychowało się cało i zdrowo. Stara kukułka, która temu wszystkiemu starannie się przypatrywała, postanowiła nowe robić próby: znosiła jajka w cudzych gniazdach i zawsze ze skutkiem jak najlepszym dla swego potomstwa, odtąd postanowiła, raz na zawsze, składać jaja w cudzych gniazdach. Młode pisklęta wychowane w cudzem gnieździe nabyły tego przyzwyczajenia do matki, a ponieważ ono było k o r z y s t n e m, Darwin kładzie na to nacisk, odtąd stało się ogólnym instynktem. Czyż można nagromadzić więcej przypadków, przypuszczeń, i luźnych wniosków! Niedorzeczność wywodów Darwina jest uderzającą, lecz jeszcze wybitniejszą się staje, skoro sobie przypomnimy niektóre szczegóły odnośnie do kukułki. Kukułcze jajo potrzebuje siedmiu, czasem jedenastu dni do zupełnego dojrzenia, stąd między zniesieniem pierwszego a ostatniego jaja potrzeba stosunkowo zbyt długiego czasu [2]; a ponieważ samica siada na jajach dopiero po zniesieniu ostatniego, kukułka przeto nie może wysiadywać swych jaj, albowiem pierwsze stałyby się przez ten czas niezdatnemi do wylężenia. Nadto kukułcze jajo, stosunkowo wielkości samicy, jest bardzo małe, a swemi rozmiarami, kształtem, zewnętrznem ubarwieniem jest zupełnie podobne do jaj tych ptasząt, w których gniazdach kukułka je składa. Nasze pokrzywki czyli gajówki są przybranemi matkami rodu kukułczego. Niektóre z nich jak *Sylvia phenicurus* i *Sylvia rufa* budują swe gniazda albo w dziopłach drzew, albo też dają im kształt worka z nadzwyczaj małym otworem, kukułka ani do nich wejść, ani barwy jajek ujrzeć nie może, składa jaje na brzegu i dziobem wsuwa je do gniazda. Otóż do licznych już i tak przypuszczeń i przypadków Dawina należałoby dodać jeszcze daleko więcej, przez co całość wywodu nabrałaby jeszcze większego nieprawdopodobieństwa, a raczej zupełnej niemożebności.

---

[1] De l'orig. des esp. p. 286.

[2] Ptaszęta zwykle codzień, lub co drugi dzień znoszą jajka.

Przechodzimy do owadów. Pomijamy rzeczy dobrze znane, mianowicie pszczoły i mrówki, choć musimy zauważyć, iż ta komórka, którą budują pszczoły, jestto praktyczne rozwiązanie zagadnienia, o jakie tylko wyższa analiza matematyczna pokusić się może; a tej zapobiegliwości i przemysłu, jakie mają mrówki w chodowli swych krów dojnych (mszyc), wiele z dzikich ludzkich plemion pozazdrościćby im mogły.

Bąk bydlęcy (Tabanus) wybiera do ukąszenia najzdrowsze i najtęższe osobniki: od kogo on nauczył się tej biegłości praktycznej, jeżeli sami rzeźnicy i garbarze oceniają dobroć sztuki po licznych ukłuciach tego owadu! Gziki składają swe jaja w miejscach, które bydlęta liżą swym językiem: jaki to zoolog wskazał im te miejsca? jak i od kogo dowiedzieć się mogły, że we wnętrznościach tych tylko bydląt zarodki ich wykluwać i pierwsze przemiany uskuteczniać mogą? Wszystkie owady umieszczają swe jaja w miejscach najodpowiedniejszych dla wzrostu swego potomstwa. Stosownie do tego, czem młoda gąsienica żywić się będzie, znoszą samice jaja na odpowiednich roślinach i drzewach, albo w osobnych jamkach, składając obok zapas żywności, który co do ilości i co do jakości ma zaspokoić wymogi mającej się wykluć istoty: wymogi te zaś i potrzeby tak są różne i tak wybredne, że najprzenikliwszy rozum nie byłby w stanie im sprostać i je zaspokoić. Zdarza się często iż samica, która się karmi roślinami, musi się starać dla swych gąsienic o pokarm zwierzęcy, innego bowiem nie znoszą. Lecz nie na tem jeszcze kończy się ten niepojęty instynkt; jakim sposobem przygotować pokarm azotowy, któryby się nie rozkładał, któryby zawsze był świeżym i pożywnym? — oto trudność, jaką w praktyce musi rozwiązać pieczołowita samica. Przemyślni Anglicy spożywają w swych podróżach i wyprawach zwrotnikowych bifsztyki, plomb-pudingi, kalafiory i inne konserwy, sporządzone i sprowadzone z ich zamożnej ojczyzny; drobniutki owad nie posiada tych potężnych środków, lecz te, którymi rozporządza, są dostateczne do urzeczywistnienia jego zadania. *Cerceris buprestícida*, z gatunku osmyków składa przy każdem jaju trzy gąsienice bogatkowatych, ubezwładnia je, lecz ich nie zabija. Czytamy w dziele p. Nowickiego[1]:

[1] Zoologia obrazowa, str. 168.

„Grzebacze na pożywienie dla swych gąsienic znoszą inne owady lub ich gąsienice... kolą złowioną żądłem w nerwy brzuchowe, ubezwładniając tym sposobem jej ruchy, zaopatrują każdą komórkę gniazdową takiemi ofiarami w ilości dostatecznej do żywienia się przyszłej gąsienicy aż do czasu jej przepoczwarczenia, składają potem w każdą po jajku i zamykają wnijście. Wylęgła gąsieniczka grzebacza pożera zwolna zapasowe owady, które jako otrętwiałe, nie są w stanie obronić się od niej, będąc zaś żywemi, wcale się nie psują.“ Ten zadziwiający instynkt stwierdzają wszyscy przyrodnicy i kładą nacisk, iż owady dokonywają czynności, w których doskonała znajomość anatomii połączona jest z wielką zręcznością chirurgiczną[1]. Co więcej, istnieje gatunek Grzebaczów, który nie zadaje sobie pracy budowania komórek dla swego potomstwa: liszka kapuściana jest dla nich gniazdem i spiżarnią zarazem. Samica grzebacza nakłuwa żywą liszkę i w jej kadłubie składa jaja a nadto pewnym środkiem, którego ona sama posiada tajemnicę, ubezwładnia przyszłe przeobrażenie swej ofiary. Liszka żyje życiem wegetatywnym, pożera dalej, trawi i szuka stosownego miejsca do swego przeobrażenia, próżne zabiegi. Gąsieniczki grzebacza wylęgają się w jej łonie, spożywają przygotowany i żyjący materyał na kapustnika i oto gotowe poczwarki, które niebawem w postaci dojrzałej dopomagać będą człowiekowi do ograniczenia mnogości tego niszczyciela naszych ogrodów warzywnych. Kto pouczył te nikłe

---

[1] Blanchard w *Métamorphoses des insectes* mówi: „Le fouisseur, pour saisir sa proie la pique de son aiguillon; le venin plonge l'animal dans une léthargie indéfinissable qui se prolongera fort longtemps et dans tous les cas sans que jamais l'individu piqué puisse revenir à la vie. Un besoin imperieux des larves de l'hyménoptère fouisseur, est d'avoir pour aliments des tissus vivants...“ Coutance w *Lutte pour l'existance* p. 141 robi uwagę: „On a constaté que les charançons dont le cercéris tuberculé fait provision pour ses larves vit encore, de la vie végétative au moins, quelque temps, car cet animal digère les aliments pris avant son malheur... Le poison seul ne suffirait pas à cet anéantissement subit, il y a lésion anatomique d'un centre nerveux essentiel. C'est en effet au point piqué qu'existent les ganglions thoraciques très rapprochés les uns des autres chez les curculioniens... L'homme peut avec une aiguille trempée dans l'ammoniaque imiter la cerceris, mais avec toute son adresse, il n'y arrive pas du premier coup, tandis que le cerceris qui n'a jamais pu voir cette opération délicate se faire devant lui, la pratique d'emblée avec une admirable sûreté.“

żyjątka tych tajemnic?, jakim sposobem mogły nabyć doświadczenia i wprawy te istoty, które w licznych gatunkach, jedno tylko żyją lato i po złożeniu pierwszych swych zarodków giną!

Dochodzimy nareszcie do pierwoszczaków; tutaj spostrzeżenie gołem okiem już nie wystarczy, kropla wody, w której żyją Przedzierzgnice, dobrze zwiększającym mikroskopem musi być badaną. Oto leży przedzierzgnica na samym dnie kropelki wody; po kilku minutach spostrzegać się dają, w pobliżu jej punkciki świetlne, które, łącząc się, tworzą drobniutką kulkę powietrza: kilka takich kulek przyczepia się w wydrążeniu jej skorupki, zwiększają jej objętość i zmniejszają zarazem stosunkowo ciężar. Przedzierzgnica powoli wydobywa się z głębi; jeżeli leżała na wznak, kulki powietrzne gromadzą się w znaczniejszej liczbie z jednej, aniżeli z drugiej strony, pyłek żyjący wraca do naturalnego położenia i po wytworzeniu jednej jeszcze lub kilku kulek, pływa już swobodnie na wierzchu kropli wodnej [1]. Kto wyuczył przedzierzgnicę tego archimedesowego prawa? kto i jak dał jej możebność wytwarzania gazu? jakim to przyrządem zbiera ona powietrze rozpuszczone w płynie, lub jaka to jest tu baterya elektryczna zdolna do rozłożenia wody? Powtórzmy za Lineuszem: „Oniemiałem z podziwu i uwielbienia. Odnalazłem ślady Boga w stworzeniach, w tych dziełach rąk Jego, w najmniejszych nawet, w tych, które wydają się żadne, co za siła, jaka mądrość, jaka niewytłómaczona doskonałość!"

Słusznie zatem wnieść możemy, że wszystkie czynności zwierzęce, wzbudzające w nas podziw są bezwiedne i wrodzone; nadto, jak dobrze zauważył Hartmann, nie są one koniecznem następstwem ich ustroju, albowiem istoty o podobnej organizacyi nie posiadają tych samych instynktów, przeciwnie zaś, istoty o organizacyach różnych, też same przedstawiają objawy instynktowe, nakoniec instynkt nie jest wywołany działaniem mechanicznym mózgu [2], nie jest rozwijalnym, przekazuje się dziedzicznością, niema zatem żadnej łączności z rozumem. „Wszystko co w zwierzętach, pisze Flourens [3], jest przypisywanem intelligencyi, a okazuje się wyższem od intelli-

[1] Pflüger, Arch. de phisiol., vol. II.

[2] Hartmann. Phil. de l'Incon. pag. 89 i następ.
De l'inst. et de l'int. des anim. Paris 1845, p. 49.

gencyi człowieka, jest w nich tylko skutkiem siły machinalnej i ślepej".

Na zakończenie sprawy o czynnościach bezwiednych zwierząt, przytoczymy tu ich cechy charakterystyczne, krótko a jasno podane przez filozofa francuskiego. „W czynnościach tego rodzaju, mówi p. Janet[1], nie widać żadnego nabytku przez wykształcenie, niema nic, coby nam pokazywało, iż zwierzę robi wysilenia do lepszego wykonania, osobnik niczem się tu nie wyszczególnia od innych: od pierwszego razu zwierzę działa tak, jak działać będzie całe życie, umie to, czego nauczyć się nie mogło; wykonywa czynności bardzo zawiłe z matematyczną dokładnością, nieomylnie, nieodmiennie... Wszystkie czynności tego dzieła odznaczają się brakiem: omylności, indywidualności, wahania, słowem brakiem wolności".

Z przykładów i wywodów, któreśmy wyżej przytoczyli słusznie wnosić można, iż w działalności zwierząt dadzą się wyróżnić doskonale czynności instynktowe, które są wrodzone, bezwiedne, nierozwijalne i przekazane dziedzicznością.

Czynności nieświadome w człowieku. Czynności tego rodzaju spostrzegają się u człowieka. Jego czynności wegetatywne są bezwiedne, wiele z objawów czuciowych tutaj zaliczonymi być muszą, nadto niektóre objawy poznawcze mają pewne podobieństwo do instynktowych. Te czynności nieświadome w człowieku wybitne są w jego dzieciństwie, lecz ogólnie, z wyjątkiem wegetatywnych, są nikłe, maleją z latami, a będąc zależne od władzy, jaką posiada, zacierają i zmieniają swą właściwą cechę.

W objawach działalności człowieka zdarzają się czasem przypadki, które materyaliści wyzyskać chcieli dla swej myśli przewodniej: chcemy tu mówić o przekazie dziedzicznością pewnych własności.

Dziedziczność ważną odgrywa rolę w jestestwach żyjących: rodzice wraz z życiem przekazują potomkom swoim nietylko podobieństwo gatunkowe, lecz nadto jeszcze te osobiste przymioty i wady, które, jakkolwiek niezmysłowe, wyryły swe ślady w organizmie. To prawo, wraz z atawizmem i niedość znajomym czynnikiem zmienności rządzi bezwzględnie światem roślinnym i zwierzęcym: rodo-

[1] Causes finales, p. 130.

wód źrebca arabskiego jest zarazem miarą wartości osobnika; nie tak rzecz się ma w człowieku.

Znane są fizyognomiczne podobieństwa dzieci do rodziców; wiadomo również, iż bardzo często podobieństwo nie ogranicza się jedynie do znamion zewnętrznych, podlegają mu pewne wewnętrzne usposobienia: siła, zręczność, pociąg, wstręt, nawet charakter pisma. Nieprawidłowy ustrój, skłonność do pewnych chorób, a również i choroby przekazują się dziedzicznie; co więcej, same nawet wady i przymioty duchowe zdają się być czasem przekazanymi. Lucas, Gatton, Ribbot szczegółowo tę rzecz rozbierali i na mocy danych statystycznych opierali swe wnioski, lecz je za daleko posunęli; wyjątki nie stanowią reguły, a tembardziej prawa — zastanowimy się nieco nad tym przedmiotem. Cały ciąg pokoleń przechował pewne usposobienie umysłowe swych przodków: rodzina Bacha wydała pięćdziesięciu siedmiu kompozytorów muzycznych, Beethovena trzech, pięciu było naturalistów z rodu Jussieu, dziewięciu malarzy z rodu Tyciana, pięciu było Cassini'ch, pięciu Bernouilli'ch, piętnastu Gregory'ch, rodziny Medycyusz'ów, Mac-Aulay'ów, Necker'ów szczycą się całym szeregiem uczonych. Przekazanie wad, namiętności, nałogów i zbrodni nawet zdarza się również w historyi rodów. Morel, Mandsley, Despine przytaczają przykłady, w których pijaństwo, niewstrzemięźliwość, złodziejstwo, morderstwa i samobójstwa bywały dziedzicznemi [1]. Co więcej, rodziny w szer-

[1] Dr. Despine przytacza w swem dziele (Psychologie naturelle, t. II. p. 410) taki rodowód.

Jan Crétien miał trzech synów: Piotra, Tomasza i Jana Chrzciciela.

Piotr miał syna Jana Franciszka, skazanego na galery za złodziejstwa i mordy.

Tomasz miał dwóch synów: 1. Franciszka, skazanego do ciężkich robót za morderstwo, 2 Marcina, straconego za morderstwo. Syn Marcina umarł więźniem w Cayenne za złodziejstwo.

Jan Franciszek, syn Jana Chrzciciela, ożenił się z Maryanną Tanné, z rodziny podpalaczy, miał z niej siedmioro dzieci: 1 Jana Franciszka, skazany za złodziejstwo, umarł w więzieniu. 2 Benedykta, kark skręcił, spadając z dachu w złodziejskiej wycieczce. 3 X... przezwanego Clain, po kilkakroć odsiadywał więzienie za złodziejstwo i umarł w 25 roku życia, 4 Maryannę (Marie-Reine), umarła w więzieniu, skazana za złodziejstwo. 5 Maryannę (Marie Rose), uległa temuż losowi za takież przestępstwa. 6 Wiktora, odsiadującego obecnie więzienie za złodziejstwo. 7 Wiktoryą, która wyszła za Lemaire'a i której syn został skazany na śmierć za mordy i złodziejstwa.

szem znaczeniu, całe plemiona i narody posiadają pewne znamiona charakterystyczne, po przodkach odziedziczone.

Wytworzyły się rasy ludzkie z tak odmiennemi znamionami zewnętrznemi, iż był czas, że nawet przyrodnicy dobrej woli znajdowali trudności w przeprowadzeniu jedności rodu ludzkiego i głębsze dopiero badania stwierdziły zgodność nauki z podaniem i wiarą, ale nadto, rasy, narody i plemiona wyrobiły w sobie wybitne znamiona moralne i umysłowe. Jeżeli Yankesi amerykańscy w ciągu jednego wieku tak odrębny posiedli charakter, jeżeli pierwsze pokolenie synów Albionu, zrodzone na ziemi australskiej, nosi już uwydatnione ślady nowo powstającej rasy, łatwo zrozumieć z jednej strony tę różnicę charakterów, jakie nam historya i etnografia, dawniejsza i dzisiejsza, wśród ludów naszej ziemi podaje, a z drugiej, trudno zaprzeczyć, żeby dziedziczność nie odgrywała w nich ważnej roli.

Dziedziczność jest czynnikiem urabiającym charaktery rodów i ludów, ale nie jest jedynym: sama plastyczność charakteru nas o tem przekonywa. W zwierzęciu dziedziczność jest czynnikiem determinacyjnym, *bon chien chasse de race*, z wyjątkiem bardzo ograniczonych nabytków osobnika, wszystkie cechy są tam przekazalne; w człowieku cechy jedynie organiczne podlegają temu prawu, umysłowe zaś i moralne mogą przekazać pewną tylko skłonność ograniczoną, która usposabia, lecz nie zmusza. Skłonność, wychowanie, otoczenie są nader potężnymi czynnikami w urabianiu charakteru człowieka i jego działalności, ale nie są jedynymi, ani też stanowczo decydującymi. Nie każdy syn zbrodniarza jest zbrodniarzem, ani świętym syn świętego; stąd, że w jednej lub w drugiej rodzinie można wykazać szereg świętych, uczonych lub zbrodniarzy, nie wynika bynajmniej, żeby to miało być prawo, a nadto nader nieliczne przykłady dowodzą, że to są wyjątkowe wypadki, przypadłości. Rodziny nie dadzą się klasyfikować według stałych swych cech moralnych lub umysłowych, takowych bowiem nie posiadają. To samo należy powiedzieć o rasach i narodach. Cechy organiczne ustaliły się w nich i przekazują się dziedzicznością; cechy nieorganiczne, zewnętrzne, długie czasem wieki przekazują się wychowaniem, sposobem życia i warunkami otaczającymi; cechy zaś wewnętrzne, umysłowe i moralne, jakkolwiek w ścisłym zostają związku, tak z pierwszemi jak i z drugiemi, nie przekazują się, ani

przekazanemi być mogą. Te cechy są funkcyą nieznajomej X, która z natury swojej będąc niezależną, sprawia, że są ciągle zmienne, nie podlegają żadnym prawom i są nierozwiązalne środkami ludzkimi. Tą nieznajomą jest wolna wola człowieka, która wbrew skłonności i nałogom, może iść lub nie iść za światłem rozumu; raz tę, drugi raz przeciwną obiera sobie drogę. O tym nowym czynniku, o tem znamieniu charakteryzującem człowieka wspominamy tutaj mimochodem tylko, Darwin nie przeczył go, lecz też i nie uwzględnił; powrócimy jeszcze doń później.

Streszczając cośmy o dziedziczności powiedzieli, możemy zawnioskować, że czynności człowieka, które mają źródło w znamionach przekazanych dziedzicznością, nie mogą się liczyć ani do nieświadomych, ani do koniecznych: refleksya i wola sprawiają, że są świadome i wolne.

Czynności świadome kierowane są celem świadomym, sposoby do osiągnięcia go znajdują się w związku z organizmem istoty, z jej władzami i nabytą wprawą: cechą ich charakterystyczną jest rozwijalność. W czynnościach tego rodzaju wszystko jest nabytkiem indywidualnym, zależnym od zdolności osobistej i samodzielnego usiłowania, a nie może być przekazane potomstwu; sama tylko władza przekazuje się dziedzicznie.

Czynności świadome w człowieku. W człowieku głównie i prawie jedynie widzimy przykład tych czynności świadomych: najsłabsza z urodzenia istota, bez broni, bez narządów ustrojowych i bez instynktu prawie dochodzi nietylko do takiej wysokiej potęgi fizycznej i umysłowej, iż owładnęła wszystkiemi innemi istotami żyjącemi, rozciągnęła swe panowanie nad całą przyrodą, lecz pojęciami swemi sięgnęła po nad świat zmysłowy.

Czynności świadome zwierząt. Co się tyczy zwierząt, nie można zaprzeczyć, iżby czynności tego rodzaju nie dały się u nich dostrzegać. Niektóre zwierzęta dadzą się tresować. Papuga uczy się gadać, kanarki i kosy wyśpiewywać różne arye, psa układa się do mnogich posług, sokoła do polowania, konia wyćwiczyć można w obrotach wojennych, słoń powolnym się staje na rozkaz swego Kornaka, małpę wyuczyć można różnych grymasów: czynności te są nabyte, rozwijalne, samodzielne, nie przekazują się dziedzicznie, nie są zatem instynktowemi, a nawet coś więcej. Im zwie-

rzę większym obdarzone jest instynktem, tem więcej jest upośledzone pod względem czynności świadomych. Mrówka tak przemyślna zdawałoby się rozumna, postawiona w warunkach wymagających cokolwiek tylko samoistnej bystrości, głupią jest i nieporadną. Poucza nas o tem J. Lubbock. Przytacza on w swem dziele doświadczenie bardzo szczegółowe, jakie robił nad zmyślnością mrówek, otóż nigdy żadna z nich nie okazała najmniejszej poradności [1]. Przebiegały bardzo długą drogę (16 stóp) dla zabrania jajek mrówczych, które znajdowały się w naczyńku tuż przy ziemi (o $^3/_{10}$ części cala), „nie przyszło im nigdy na myśl", jak się wyraża Lubbock, albo je wyrzucić na ziemię i skoczyć z tak niewielkiej odległości, lub też przysunąć kilka bryłek ziemi pod naczynie i tym sposobem skrócić sobie drogę. Mnożył Lubbock doświadczenia, skutki nie odpowiadały jego upragnionemu oczekiwaniu. „To mnie mocno dziwiło, mówi, znając całą ich inteligencyę i wprawę w budowach ziemnych". Jako darwinista taki tylko Lubbock wniosek wyprowadził, lecz wniosek logiczny całkiem jest inny, mianowicie, że można być głupiem zwierzęciem a przytem posiadać wysoki instynkt. Tysiące podobnych przykładów zaczerpniętych z życia zwierzęcego stwierdzić mogą, że objawy czynności świadomych stoją w każdym osobniku gatunkowym, w odwrotnym stosunku do czynności nieświadomych, a ztąd wysnuć możemy, iż różne muszą być źródła, z których pochodzą.

Wyrażenia: czynności nieświadome i świadome należy brać w ścisłem znaczeniu. Ludzie i zwierzęta w czynnościach swych nieświadomych nie są pozbawieni w s z e l k i e j świadomości, w czynnościach zaś świadomych, świadomość różnej jest w nich natury.

W czynnościach nieświadomych główną rolę odgrywa instynkt czyli przymiot wrodzony, który w każdym osobniku gatunkowym

[1] Il ne leur vint point à l'esprit d'entasser un peu de terre, quoiqu'il leur eût suffit d'en apporter une douzaine de boulettes, pour se créer un accès direct... Elles n'y songerent nullement... Il ne leur vint pas à l'idée de faire soit un pont, soit une digue à travers la glycérine, au moyen de la terre meuble, que je leur avais donnée si à propos... Il leur eût suffit d'une minute de travail pour en entasser deux ou trois particules, et former ainsi une petite éminence qui leur eût permis de monter et de descendre sans faire le tour. Cependant elles ne l'employèrent pas. (Fourmis, Abeilles et Guêpes, V. II. p. 6).

połączony jest z wszystkiemi władzami, jakie on posiada; czynności nieświadome człowieka i zwierząt mają wielkie podobieństwo, choć różnica jest wybitną. Różnica ta polega szczególniej na doniosłości: podczas gdy czynności nieświadome zwierząt tak co do pola działalności jak i co do skutków są wielostronne, potężne, słuszny wywołują podziw i podobne są przedmiotowo do czynności świadomych człowieka, czynności nieświadome tego ostatniego ograniczone są, drobne i nikłe.

Czynności świadome nie mają nic wspólnego z instynktem; z natury swej rozwijalności muszą pochodzić ze źródła władzy, jaką obdarzona jest istota. Rozpatrując się w czynnościach tego rodzaju u ludzi i zwierząt, twierdzimy, że źródła te są różne jakościowo.

Czynności świadome zwierząt są jednostronne i w nader szczupłych zamknięte są granicach; odnośne zaś czynności ludzkie są wszechstronne co do kierunku i nieograniczone prawie co do natężenia. Zwierzę może wykształcić jakiś przymiot dany mu z natury, ale poza ten jedyny przymiot nie sięga jego działalność. Papugę można nauczyć gadać, lecz ani śpiewać ani mówić nauczyć jej nie można. Niedźwiedź będzie chodził na dwóch łapach, będzie obracał pieczeń na rożnie, jak to się zdarzało niedawno jeszcze w niektórych klasztorach na Białej Rusi, będzie się nawet krył starannie, skoro ujrzy nadjeżdżających gości na podwórzec, by się uchronić od tej nieprzyjemnej dla siebie pracy, ale nic nadto więcej. W ciasnych uliczkach miast indyjskich, słoń okazuje wielką roztropność, odsuwa na bok ludzi trąbą, by ich nie zmiażdżyć swym ciężarem; otoczony dokoła zapalonym lasem przez barbarzyńskich myśliwców, macza podobno gałęzie w wodzie, oblewa się nią, by zmniejszyć doskwierające mu gorąco; może być, iż jakaś małpa tłukła orzechy kamieniem i podważała drągiem jaki ciężar, ale ród małpi nie używa ani tych, ani żadnych innych narzędzi.

Czynności świadome zwierząt mają jakieś podobieństwo do odnośnych czynności ludzkich, ale nietylko im nie dorównywają, lecz są zaledwie słabem tylko ich odcieniem [1]. Podziwiamy wprawdzie roztropność psa owczarskiego, niedźwiedzia tańczącego na dwu ła-

[1] Darwin mówi: „Ale jakkolwiek olbrzymią jest różnica między umysłem człowieka, a umysłem najwyższych zwierząt, każdy to jednak przy-

pach, małpę podpierającą się kijem, lub roznoszącą półmiski, lecz podziwienie nasze nie jest skutkiem samychże objawów przedmiotowych; podobne czynności najdzikszego z ludzi nigdy jeszcze nikogo nie zastanowiły, ani nie zastanawiają.

Wreszcie żadna z czynności świadomych wyższego rzędu nie pojawia się w zwierzęciu. Żadne zwierzę nie posiada mowy, nie okazuje refleksyi, nie ma żadnych śladów, aby pojmowało rzeczy oderwane, ogólne, żadnego w nim postępu, żadnych objawów moralnych i religijnych.

Ztąd źródła, z których płyną czynności świadome człowieka i zwierząt, muszą być różne. Jak je nazwać?

Pewne podobieństwo objawów skłoniło niektórych przyrodników, zwłaszcza francuskich, że tak ludziom jako i zwierzętom przypisują inteligencyę; a chociaż rozróżniają inteligencyę człowieka, od inteligencyi zwierząt, rodzi to zamęt i prowadzi do błędnych wniosków. Zamęt wzrasta szczególniej wtenczas, skoro przyrodnik miesza czynności instynktowe zwierząt z ich czynnościami świadomemi. Temu przypisać należy, że taki uczony mąż, jak de Quatrefages, wyraz intelligencya, odnośnie do ludzi i zwierząt, bierze *unisono;* to nam objaśnia łatwość, z jaką przychodzi niektórym naszym przyrodnikom, przetłumaczywszy inteligencyę przez rozum, utrzymywać, że zwierzęta posiadają rozum. Jeżeli jak świadczy sam Flourens [1], „wszystko co w zwierzętach jest intelligencyą, pod żadnym względem niepodobne jest do intelligencyi człowieka"; słuszną zatem jest rzeczą tym różnym władzom różną nadać nazwę, skoro w człowieku nazywamy ją rozumem, dla zwierząt język nasz posiada utarty dobrze wyraz zmyślności.

---

zna (sic), że jest ona ilościową tylko, a nie jakościową, czyli, że stosuje się jedynie do stopnia rozwoju". (O poch. czł. str. 103). Jakto! pomimo olbrzymiej różnicy wszyscy mają się godzić na to, co trzeba było dowieść! co stanowi zasadniczą kwestyę! Mistrz Darwin zanadto posuwa swą naiwność, która na całkiem inną a niepochlebną nazwę zasługuje.

[1] Tout ce qui, dans les animaux, est intelligeance, n'y approche, *sous aucun rapport*, de l'intelligence de l'homme... Tout, dans *l'instinct*, est aveugle, nécessaire et invariable; tout, dans *l'intelligence*, est électif, conditionnel et modifiable... Tout, dans l'instinct est inné; tout, dans l'intelligence, resulte de l'éxpérience et de l'instruction... Tout, dans l'instinct est *particulier:* tout, dans l'intelligence, est *général*. (De l'instinct, p. 47, 48). Ob. również wyżej zamieszczony dopisek (str. 27). Milne Edwards'a.

Na tem poprzestajemy w rozbiorze dzieła Darwina „o pochodzeniu człowieka“. Dowiedliśmy, że jego wywody, mające na celu wykazanie tożsamości objawów u człowieka i zwierząt są bezpodstawne, że istnieją nietylko ilościowe, ale i jakościowe znamiona wybitne w człowieku, możemy tedy zawnioskować, że „przesłanka mniejsza“ Darwina upada, a ztąd całe jego twierdzenie o pochodzeniu człowieka jest błędnem. Kończymy słowami Virchowa: „W dzisiejszym stanie wiedzy nie możemy nauczać, nie mamy żadnego naukowego dowodu na to, że człowiek pochodzi od małpy lub innego zwierzęcia“.

X. W. Zaborski.

MARCHIA BRANDENBURSKA ZA ASKAŃCZYKÓW

zarodkiem monarchii pruskiej.

(Dokończenie).

III.

Stany w Marchii. — Kolonizacya. — Miasta. — Kościół.

Dopóki Marchia brandenburska miała u granic swych nieprzyjaciela w Słowianach, stanowiła jak gdyby uzbrojony i obwarowany obóz. Pełno było nadgranicznych miejsc warownych, w których zgromadzały się hufce zbrojne i z których wypadały na nieprzyjaciela. Warownie te stanowiły punkt zborny oraz stolicę obwodów *(pagi)*, zamieszkiwanych przez lenników *(Burgmannen)*, którzy mieli obowiązek stawienia się za danym znakiem w przepisanem uzbrojeniu, aby pełnić służbę żołnierską. Na czele tych warowni i należącego do ich obwodu wojska lennego, stali z początku *burgrafy* i mieli zarazem powierzoną sobie jurysdykcyę, tak nad lennikami, jak i resztą mieszkańców swego obwodu. *Burgraf* sprawował zarazem przy boku margrafa taką samą funkcyę, jaką sprawował palatyn przy boku cesarza a sołtys *(Schultheiss)* przy boku grafa [1]. Po burgrafach szli w hierarchii *nobiles*, zwani także baronami margrafowskimi. Dokumenta mówią tylko o trzech burgrafach do r. 1215, poczem o nich milczą. Warowne miejsca, w których mieszkali, leżały zwykle nad granicą; gdy zaś granica przekroczoną została i dalsze zdobyto ziemie, pojawiają się w miejsce burgrafów *Vogty*, zwani także *ad-*

[1] *Kühns* Geschichte der Gerichtsverfass. d. Mark Brand. T. I. Kto zanosił skargę do grafa, musiał ją zanieść przed sołtysa, kto do cesarza, to przed palatyna, a kto do margrafa, to przed burgrafa.

vocati. Wspominają o nich już w XII. wieku dokumenta, a więc w czasie, gdy jeszcze istniały *burgrafy*. Prawdopodobnie funkcye jednych i drugich zbliżone były do siebie, t. j. *Vogty* zastępowały burgrafów[1]. Stwierdza to fakt, że w miejsce burgrafów nastały odrazu *Vogty;* należeli więc do najwyższej klasy lenników margrafa.

Lennicy niższej klasy, oraz tak t. zw. *ministeriales*, byli bardzo liczni w marchii. *Ministeriales* różnili się od reszty lenników tem, że za lenno swe, zwane *Hoflehen*, zobowiązani byli do pełnienia dziedzicznie służby dworskiej jako podkomorzowie, marszałkowie, podczaszowie i t. d., a mieli nadzór nad odpowiedniemi do służby swojej klasami niższych ministeryałów. Pośledniem było w początkach stanowisko wszystkich ministeryałów. Margraf miał nad ich lennem prawo zwierzchnej własności *(ratione superioris dominii)*. Nie mogli najmniejszej bez jego pozwolenia czynić donacyi, żenić się tylko mogli w familii ministeryałów swego pana, przywiązani byli do lenna i z niem razem przekazywani bywali tym, którzy lenno od margrafa kupili, lub których on takowem obdarzył; wreszcie wolno było tylko jednemu dziecku odziedziczać lenno, wraz z przywiązaną do niego służbą. Stosunku ministeryałów do siebie przestrzegali margrafowie z wielką ścisłością[2]. Oprócz margrafa, mieli ministeryałów swych barony, biskupi, opaci, proboszcze i t. d.

Stanowisko ministeryałów uległo przecież niezadługo zmianie. Oprócz *Hoflehen*, posiedli i *Mannlehen*, t. j. otrzymały ich allodya, zkądinąd nabyte, prawo lenn wojskowych, przez co poprawiło się poślednie ich stanowisko. Różnica zaś, jaka jeszcze istniała między lennie wolną a służbową klasą szlachty, znikła od chwili, gdy obie klasy połączyło stanowisko honorowe rycerza. O początkach stanu rycerskiego w Niemczech różne jeszcze dotąd istnieją mniemania, najwięcej prawdopodobieństwa ma to, które wywodzi wytworzenie się jego z wojen krzyżowych. Tyle jest, co do Marchii brandenburskiej, rzeczą pewną, że już w początkach wieku XIII. występuje w niej stan rycerski i że członkowie jego w krótkim czasie nadzwyczajnie są liczni. Znaczenia zaś jego dowodzi fakt, iż nawet panujący margrafowie pasować się kazali na rycerzy w roku

[1] *Riedel.* Cod. diplom. Brandenburg. I. X., s. 70, 75, 78 i *Kühns* o. c.
[2] *Riedel.* Mark Brand., T. II.

1231 [1]. Podczas gdy wprzódy nazywały wolnych lenników dokumenta *nobiles*, w odróżnieniu od *ministeriales*, znajdujemy teraz używane dla obu tych klas wyrażenie *milites*. *Milites* byli dwojacy, ci co już pasowani byli na rycerzy i ci, którzy dopiero pasowani mieli być na nich; ci ostatni nosili nazwę g i e r m k ó w *(Knappen)*.

W kraju ciągłych walk, jakim była Brandenburgia, dopomogły zapewne do uchylenia dawnych różnic między wojownikami, okazana wśród wspólnych niebezpieczeństw odwaga, oraz okoliczność, że synowie ministeryalów nie opatrzeni w *Hoflehen*, biegli na prawy brzeg Elby i tam zasługiwali sobie na *Mannlehen*.

Szlachta składała się i ze znaczniejszych Słowian, których oszczędził zabór i z lenników, których margrafowie przywodzili z sobą, lub których duch wojowniczy i żądza zdobyczy nasprowadzała. W początkach, kiedy nawet t. zw. Stara Marchia wystawiona była na ciągłe napady Słowian, mieszkali lennicy bądź w warowniach, bądź w ich pobliżu. W XIII. wieku mieszka już wielka ilość lenników w rozrzuconych siedzibach i po wsiach. Posiadłości ich były zwykle małe. Kiedy mieszkali jeszcze w warowniach, wyznaczali im margrafowie na utrzymanie część praw swych dominialnych na tej lub owej wsi sąsiedniej, później, gdy mieszkać przestali w warowniach, formują się małe d o m i n i a, nazywane rycerskiemi. Obszar ich normował zwyczaj [2]. Rycerz miał 6 łanów *(mansi)*, giermek 4, z których nie płacili żadnego podatku. Łany te reprezentowały stałą płacę i były utrzymaniem lennika w czasie pokoju. Do służby wojskowej zobowiązany był rycerz z 4-ma końmi, a giermek z 2-ma.

Wszelako i tu nastąpiła niezadługo zmiana. Jedne posiadłości rycerskie zmałały, drugie urosły, ale żadnego rycerza posiadłość nie urosła za czasów dynastyi askańskiej do wielkich rozmiarów i norma powyższa utrzymała się o tyle, że lenno bezpodatkowe rycerza wynosić będzie zawsze 6 łanów, co zaś posiędzie nad 6 łanów, podlegnie opłacie pieniężnej. Jest to zastósowanie wyraźne zasady, że ziemia należy do margrafa i ma przynosić dochód, z wyjątkiem udziałów, danych lennikom na to, aby na zawołanie pełnili służbę. Wielu lenników nie posiadało nic więcej jak ziemię, na której sie-

[1] *Riedel* M. Brand. II., s 160.
[2] *Landbuch.*

dzieli, było przecież wielu i takich, którzy już dawniej zyskali pewne znaczniejsze dochody i zbytkowne prowadzili życie. Gotowizny gospodarstwo lenne dostarczyć bez wątpienia nie mogło, starali się więc lennicy o otrzymanie w lenno dziesięcin, bądź od margrafa, bądź od duchownych, albo też o pozyskanie prawa ściągania czynszów rolnych i opłat, zwanych Bede, z kilku lub kilkunastu łanów w jednej wsi lub w kilku. Margrafowie bezustannie pieniędzy potrzebowali, doszło więc do tego, że nie było dochodu, któregoby nie byli oddali w lenno. Nawet najwyższej jurysdykcyi pozbywali się za pieniądze. Do praw, które nabyli tym sposobem rycerze i giermkowie, należało przedewszystkiem sądownictwo, bądź nad własnym, oraz lennym majątkiem, bądź nad cudzymi. W XIII. wieku dostały się sądy w ręce znaczniejszych tylko rycerzy, w w. XIV. w ręce niemal wszystkich.

Równocześnie z nadaniem lenn sadowił margraf osadników niemieckich w nowo założonych wsiach, lub rozdzielał ich po dawnych, zamieszkałych przez Słowian. O sposobie przeistaczania wsi słowiańskich już mówiliśmy. Na czele wsi stał sołtys; miał on następujące przywileje: jeden lub dwa łany wolne od podatku, wolny wypas owiec na gruntach wiejskich, prawo zakładania młynu lub karczmy i pobierania z nich dochodów, nadto przewodniczył sądowi wiejskiemu i brał pewną część dochodów z takowego. Urząd jego był dziedzicznym. W zamian za te przywileje dostarczać musiał z posiadanego gruntu konia na wojnę *(Lehnpferd)*, wybierać podatki i inne dochody i był odpowiedzialnym za ich dostarczenie margrafowi. Obok sołtysów napotykamy lennych chłopów *(Lehnbauern)*. Z pewnej części swych gruntów nie płacili także podatku, ale musieli tak samo jak i sołtysi dostarczać margrafowi konia.

Reszta chłopów nie była w żadnym lennym stosunku i płaciła czynsz z zajmowanego gruntu, wynoszącego blisko 3 łany[1]. Ostatnią klasę ludności stanowili t. zw. *Kosseter*, a po łacinie *Cossati*. Zkąd ta nazwa, trudno wyjaśnić, ale dostrzedz w niej można brzmienie słowiańskie. Chaty ich, które mniejsze były od chłopskich, zowią dokumenta *Choten* lub *Koten*. Różnili się oni zresztą tem od innych chłopów, że zobowiązani byli do osobistych ręcznych robót. Liczono do tych

[1] *Riedel*. Mark. Brand., s. 192. ss.

Kosseter i rybaków[1]. Jedni, choć zobowiązani do posług ręcznych, płacili podatki z małych ról, drudzy, biedni całkiem, dawali tylko daniny w kurach i jajach. Tak zwani *hortulani* mieli chatę i ogród przy niej. Większa część tych *Kosseter* (kosiarze? kośnicy?) zobowiązaną była k o s i ć pola i łąki pańskie, oraz inne pełnić posługi, była przecież nie mała ilość i takich *Kosseter*, którzy zobowiązani byli sołtysom a nawet chłopom do ręcznej roboty i ci nie płacili ani podatków, ani danin. W ogóle więc służba, jaką pełniły wszystkie kategorye tych *Kosseter*, polegała głównie na pracy ręcznej, którą zwano *Kosseterdienst*. O służeniu ich wojskowo nie wspominają dokumenta, nie należeli nawet do t. zw. obrony krajowej, która ciężyła na wszystkich chłopach. Była to więc klasa ludzi, w całem znaczeniu tego słowa, upośledzona. Czy składała się t y l k o ze Słowian? Trudno to powiedzieć. *Riedel*, jeden z najwytrawniejszych badaczy stosunków dawnych brandenburskich, chociaż gniewa się na tych, co piszą o zasadniczem upośledzaniu Słowian przez margrafów i Niemców marchijskich, nie może zamilczeć, zastanawiając się nad stosunkiem owych *Kosseter*, „o wielkiej różnicy w stopniach wolności i niewoli, co p o w i ę k s z e j c z ę ś c i przypisać trzeba różnicy pierwotnej Słowian a Niemców“[2]. *Kosseter* należeli w początkach, tak jak i chłopi, tylko do margrafa, później dostali się, za zezwoleniem margrafa, jedni i drudzy pod moc różnych panów.

W ogóle nie byli chłopi za czasu Askańczyków pozbawieni wolności; przekazywali bowiem grunt swój dzieciom, mogli go sprzedać bez pozwolenia pana włości i wynieść się dokąd chcieli, byli więc w lepszem położeniu od chłopów n. p. saskich, którzy byli *glebae adscripti*. Przyczyną tej różnicy w losie chłopów marchijskich a saskich, podaje jeden z glossatorów prawa saskiego w następujących słowach: „Kto w Saksonii zwie się *Lasse*, ten porzucać roli bez pozwolenia nie może. Ci *Lasse* są to ludzie, których przodkowie nasi pozostawili na gruncie, gdy kraj zdobyli. U nas zaś, w Marchii, mają chłopi prawo spadkowe do gruntu i mogą go opuścić. Pochodzi to ztąd, że gdy osiedleni zostali, otrzymali łany swoje w stanie

---

[1] *Landbuch*, s. 52—61, oraz 27, 68, 170, 178, 166, 155, 136 ss. i *Riedel*. Mark. Brand. T. II. s. 250. ss.

[2] *Riedel*. Mark. Brand. T. II., s. 272. ss.

dzikim i nieuprawionym, a przyprowadzili je pracą swą do dobrego stanu“ [1].

Że w Brandenburgii istnieli chłopi Słowiańscy *glebae adscripti*, wyraźnie powiada *Riedel* [2], ogranicza przecież to poddaństwo na Marchią Ukryjską, Przegnicę, Barnim i Teltow, oraz na najnowsze nabytki, w których zwano takich poddanych *Lassen*, a więc tak samo jak *glebae adscriptos* w Saksonii.

Jak wreszcie w Niemczech, tak i Brandenburgii powstawały w pobliżu miejsc warownych z wiosek miasta. Jednakże już Albrecht Niedźwiedź zastał był słowiańskie miasta Brandenburg, Hawelberg, Tangermünde, Salzwedel i inne, których nazwy dawne przechrzcili zaraz Niemcy. Miasta starej Marchii brandenburskiej powstały wogóle z potrzeby wojennej, przekształcenie zaś pierwiastkowych wsi na miasta odbywało się wedle wiadomej nam już metody zakładania wsi. Na czele miasta stał s o ł t y s. Sołtys miejski i osadnicy pierwotni otrzymywali osobne grunta, służyło im prawo polowania i rybołostwa na terytoryum miejskiem, oraz różnego rodzaju dochody. Sołtys, prócz tego, pobierał myta z targowisk, rzezalni, kramów, składów i t. d., oraz zapewnioną miał dziedzicznie posadę swoją wraz $^1/_3$ częścią dochodów z sądownictwa. Nowe miasto uwalniał margraf zwykle na lat 10—16 od wszelkich podatków.

Zapytać należy, jak mogli margrafowie pozbywać się nadziei tak wielkich dochodów na korzyść sołtysów miejskich? Rzecz wyjaśnią nam dokumenta wystawione przy zakładaniu wsi niemieckich sołtysom wiejskim. Czytamy tam, że przywileje swe otrzymują sołtysi za znaczną sumę pieniędzy. Jakie były te sumy, nie podają bliżej dokumenta, wnioskować wszelako trzeba, że skoro były znaczne przy zakładaniu wsi, musiały być jeszcze znaczniejsze przy zakładaniu miast.

Sołtys miejski przybierał do boku swego konsulów, czyli rajców, których margraf potwierdzał lub odrzucał. Konsulowie uzupełniali się wedle pewnych norm i zarządzali miastem, tak pod względem policyjnym, jak i ekonomicznym. Miasto nie przestało przecież

[1] *Glosse von Buch's* zum *Sachsenspiegel* II. 59, przytoczone przez *Riedla* (Mark. Brand. II., s. 281).

[2] *Mark Brand.* T. II., s. 273—279.

należeć do margrafa, płaciło mu, po upływie lat pierwszych kilkunastu, podatek, musiało zasięgać dla wszystkich ważniejszych rozporządzeń pozwolenia jego i płacić mu, jeśli sołtys dziedziczny stał na czele sądownictwa, $^1/_3$ dochodów sądowych; słowem, nie było wcale wyjęte z pod najwyższej jurysdykcyi margrafa, odnośnie jego *Vogta*[1]. Mieszczanie potrzebowali wprawdzie „wielkich swobód", jak się nieraz w dokumentach fundacyjnych wyrażali margrafowie, „ale niezawisłość miast musiała umieć pogodzić się z posłuszeństwem dla margrafa"[2]. Niepodobna zresztą przypuścić, aby mieszczanie miasteczek brandenburskich otrzymali od razu tak wielki przywilej, jakim jest najwyższa jurysdykcya, kiedy, jak zobaczymy zaraz, nawet taka potęga, jaką był Kościół, stósować się musiała do odrębnego ducha władzy margrafowskiej.

W kraju na pogańskich mieszkańcach zdobytym, miał Kościół większe jeszcze niż gdzieindziej znaczenie. To też zaledwie Albrecht Niedźwiedź zdobycze swe rozszerzył, przywrócił dawniejsze biskupstwa: brandenburskie i hawelberskie. Zajmowały one cały niemal kraj z prawej strony Elby położony, a niebawem licznymi pokryły się klasztorami, mianowicie na prawej stronie Elby klasztorami Cystersów i Premonstrantów, które przyczyniły się znakomicie do postępu rolnictwa. Z pomocą osadników, przeważnie Holendrów, osuszyli ci zakonnicy bagniste obszary, karczowali lasy i przygotowywali ziemię pod uprawę, której potem dokonywano ulepszonemi narzędziami; zakładano sady i ogrody. Usługi oddane przez duchowieństwo, były w ogóle wielkie w XII. i XIII. wieku, wielkie też płynęły dla niego dotacye, tak margrafów jak jego lenników. Liczono w Brandenburgii przeszło 180 klasztorów i kapituł.

Ponieważ z wyjątkiem posiadłości kościelnych nie istniała w Brandenburgii własność prywatna i wszystka ziemia należała do margrafów, nie mógł nikt fundować probostw bez potwierdzenia margrafowskiego. Dziesięcina stanowiła główny dochód Kościoła, wszelako już wcześnie zamienioną została na podatek, chociaż podatku tego nie pobierali w regule biskupi, ale margrafowie, mimo, że prawo pobierania go przysługiwało biskupom. Ztąd ciągłe prowadzili spory biskupi z margrafami. Albrecht Niedźwiedź brał dziesięciny nawet

[1] *Kühns* przeciw Riedlowi.
[2] *Ranke.*

z Starej Marchii; następcy jego upominali się o dziesięciny i na prawej stronie Elby, w ziemiach później zdobytych. Spór zaostrzył się jeszcze podczas zajęcia dalszych ziem słowiańskich za margrafa Albrechta II. i nie ustał, aż w r. 1237. W ugodzie dotyczącej przyznali margrafowie, że dziesięcina w całej Marchii należy do biskupów, biskupi natomiast zezwalali na pobieranie jej przez margrafów zważywszy na ich charakter zdobywców kraju, a zezwalali na tak długo, jak długo ród Askańczyków panować będzie w Marchii, poczem zastrzegli sobie powrót do swych, dokumentami cesarskimi potwierdzonych praw. Tymczasem zaś żądali i otrzymali, tytułem wynagrodzenia, 100 łanów ziemi w nowych do Marchii przyłączonych krajach [1]. Podaną więc mamy wyraźną tego układu przyczynę. Margrafowie, mówił Kościół, mogą pobierać dochód, który jest moim, a mogą dlatego, że są zdobywcami kraju; margrafowie zaś tak streścili swoje pretensye: bez nas, bez naszych wysiłków i bez naszych wojowników, których opłacaliśmy i którymi dowodziliśmy, nie byłby mógł Kościół ani rozszerzać się w Marchii, ani nawet istnieć, a więc należy nam się część jego dochodów. Za to usunęli troskliwie wszelkie zapory w czynieniu obfitych donacyj dla Kościoła i nabywaniu przezeń wszelkiego rodzaju majątków. Nabywał je też Kościół tak, że posiadłości jego objęły niemal połowę wszystkich ziemskich majątków [2]. Czerpali z dochodów swych biskupi, klasztory i ich kapituły na dostatnie utrzymanie; biskupi otaczali się świetnym orszakiem lenników, a były przykłady, że i klasztory, oraz kapituły oddawały w lenno znaczną część swych posiadłości.

IV.

Administracya Marchii.

Zaznaczyliśmy wyżej, mówiąc o stanach marchijskich, że w początkach istnieli w charakterze najwyższych urzędników margrafa, burgrafy i że po r. 1215 nastali w ich miejsce *Vogty*. Reprezentowali oni margrafa we wszystkich czynnościach państwowych

[1] *Riedel* Mark. Brand. T. II. s. 603 i tegoż Cod. diplomat Brandenb T. I. VIII. s. 15 i T. II. I., s. 19.

[2] *Riedel* Mark. Brand. s. 614.

byli sędziami, dowódzcami siły zbrojnej, administratorami, oraz urzędnikami skarbowymi powierzonej sobie ziemi czy obwodu. Oprócz tego reprezentował nieraz *Vogt* margrafa i w zewnętrznych stosunkach z sąsiednimi książętami, z którymi mógł nawet wojować i układy zawierać, wedle danej sobie ogólnej instrukcyi [1]. *Vogt* prezydował sądowi ziemskiemu i ogłaszał jego wyroki. Każde miasto i wieś miało także swe sądownictwo w obrębie sądów ziemskich. Sądy wiejskie trudniły się pod przewodem sołtysa sprawami cywilnemi tego rodzaju, jakie zwykle między ludem zachodzą, oraz sprawami kryminalnemi doniosłości policyjnej, lub t. zw. bagatelnej. I miasta miały prawdopodobnie w początkach tylko jurysdykcyę niższą [2], *Vogt* zaś sądził tak dobrze wyższe cywilne, jak i wyższe kryminalne sprawy, miał nawet prawo miecza *(Blutbann)* nad mieszczanami i chłopami. *Milites* i w ogóle lennicy margrafa nie podlegali sądownictwu *Voyta*, tylko margrafa, czyli sądu jego nadwornego *(curia)*. Tak było za Albrechta Niedźwiedzia i jego następców. Askańczycy mieli siebie za naczelnych wodzów z władzą zupełną nad swymi żołnierzami. Jako urzędnik skarbowy był *Vogt* w swym obwodzie poborcą wszelkich dochodów zwyczajnych, należnych margrafowi, a były one donośne i liczne [3], mimo to, nie poprzestawali margrafowie nakładać sporadycznie podatku nadzwyczajnego, zwanego *Bede (precaria exactoria)*, o którym niżej bliższe podamy szczegóły. *Vogt* miał pod swoim nadzorem sołtysów wiejskich i miejskich, którzy wybierali w zakresie swym podatki. Margrafom chodziło o dwie główne rzeczy, 1-o aby *Vogt* interes ich uważał także za własny i dlatego dawali mu tantiemę od dochodów, 2-o aby nie nadużywał władzy i dlatego postarali się o środki ostrożności, polegające przeważnie na tem, że nie mianowali nigdy *Vogta* dożywotnio, tylko zawsze czasowo. Z dokumentów XV. wieku widać, że margrafowie główny

---

[1] *Riedel.* Cod. dipl. Brand., I. XIV., s. 203., V, s. 371, 372, 374.

[2] *Kühns.* Gesch, der Gerichtsverf. d. Mark. Brand. T. II. s. 142—152.

[3] Margraf był właścicielem wszelkich kopalni, brał podatki od czółen, od drzewa w lasach, od paszenia, od straży, której użyczał podróżnym, pobierał mostowe, promowe, grobelne, drogowe, towarowe, bił pieniądze, które corocznie wracać musiały do mennic, gdzie zwykle pewną cząstkę wartości traciły. Z innych podatków pobierał podatek po wsiach od każdego morga, w miastach od każdej nieruchomości, od kramów, jatek, składów i t. d. Jako sędzia najwyższy pobierał część wszelkich dochodów sądowych.

przy mianowaniu *Vogta* kładli nacisk na następujące obowiązki: 1-o nie krzywdzenia nikogo, 2-o nie przywłaszczania sobie dochodów margrafowskich, 3-o nie wywoływania wojny z sąsiednimi książętami ani domowych bójek *(Fehde)* z lennikami [1], z czego wnioskować trzeba, że się *Vogty* często tych trzech przewinień dopuszczali. Margrafowie rozciągali nad *Vogtami* bezustanny nadzór, jeździli po całej Marchii, słuchali skarg i doglądali ładu. *Vogt* rozstrzygał także wszelkie spory graniczne, które były nieraz wielkiej wagi. Spory w ogóle bezustannie w całej wrzały Marchii, a przedewszystkiem spory o dziesięciny [2]. Jako dowódzcy wojskowi lenników i innych do służby wojskowej zobowiązanych ludzi, mieli *Vogty* pieczę nad zamkami i ich opatrzeniem, zwoływali siłę zbrojną swego obwodu, którą w początkach wszyscy pełnili mieszkańcy, z wyjątkiem *Kosseten*, nieposiadających ziemi. Do służby po zamkach (czyli do t. zw. *Burgwerk)* zobowiązani byli chłopi; musieli oni nietylko utrzymywać warownie w dobrym stanie, ale i przyczyniać się do ich budowania, oraz dostarczać podwody dla wojska. W pogranicznych z Słowianami ziemiach, jak np. w Marchii Ukryjskiej, zobowiązani byli nadto: dopomagać do obrony warowni i czuwać na szlakach *(ad custodienda propugnacula et viarum transitus)*, co zwało się obroną krajową *(Landwehre)* [3]. Mieszczan obowiązkiem było utrzymywać w dobrym stanie mury i rowy miasta i stawiać się w stosownem uzbrojeniu na każdy rozkaz margrafa, przedewszystkiem zaś w razie nieprzyjacielskiego najazdu.

Później, w miarę jak obawa napadów ustawała, ustawał obowiązek pospolitego ruszenia, tak dla mieszczan, jak i dla chłopów i zastąpiony został w XIV. wieku systemem t. z. kontyngensów.

Wszelako nie wystarczały margrafom milicye mieszczańskie, starali się więc wcześnie o wojsko płatne. Za Askańczyków było ono nieliczne, a werbowano je nieraz w krajach słowiańskich. Co się tyczy milicyi feudalnej, składała się ona z rycerzy i giermków, z których pierwsi 4 a drudzy 3 uzbrojonych ludzi przyprowadzać ze sobą musieli, podczas gdy sołtysi miast i wsi, oraz chłopi lub lenni mieszczanie, dostarczali po jednym koniu.

[1] *Riedel.* Cod. dipl. Br., III., I., 530. ss.
[2] *Riedel.* C. dipl., I., III. 5, 6. II., IX., 6. I., IX., 6.
[3] *Riedel.* Mark. Brand., II, 227.

Z czasem, gdy stosunki lenników się zmieniły, gdy jedni podnieśli się majątkowo, drudzy podupadli, zmienił się i stosunek powinności wojskowych. Tak samo rzecz się miała z miastami, odkąd te nabywać poczęły posiadłości rycerskie i sołtysowskie. Marchia jedynym była niemieckim krajem, w którym samowola wysokich urzędników nie rozbiła jedności władzy. Pochodziło to ztąd, że czuwali nad tą jednością margrafowie, utrzymując bezustanny nad *Vogtami* nadzór i poskramiając, w razach danych, ich samowolę. Margrafowie kładą w XIV. wieku częsty i wyraźny przycisk na prawo swoje monarsze, dają mu w objazdach po kraju praktyczne znaczenie, przyjmując nietylko skargi, ale i zachęcając do takowych, oraz usuwając od razu nadużycia [1].

Powyższe rozprowadzenie pokazało nam, jaką była polityczna i społeczna konstytucya Marchii brandenburskiej za panowania Askańczyków. Margraf był panem udzielnym, a jego prawa najwcześniejsze, on bowiem umieścił lenników na lennach, mieszczan w miastach, a chłopów po wsiach.

V.

Przekształcenie urządzeń marchijskich.

Z biegiem czasu zaszła wprawdzie bardzo wielka w owych urządzeniach zmiana, wszelako nigdy się one nie zatarły.

Zmiany spowodowała nieustanna potrzeba pieniędzy. Do przyczyn tej potrzeby policzyć trzeba zwykłą w onych wiekach szczodrobliwość dla Kościoła.

Charakter wojowniczy Marchii brandenburskiej sprawił, że w początkach i Kościół marchijski taki sam miał charakter. Donacye kościelne margrafów zawierają zwykle takie słowa: „zapobiegamy niedostatkowi Waszemu, abyście mogli zwiększać liczbę chrześcijan, a zmniejszać liczbę bałwochwalców“, lub: „zakładamy klasztór, jako twierdzę przeciw szatanowi“. Koniec końcem rozdali Askańczycy na Kościół blisko $^3/_4$ allodyów swych, oraz odstąpili mu znaczną bardzo część praw swych zwierzchniczych feudalnych. Były i inne przyczyny niedoboru finansowego. Wydatki na utrzymanie dwo-

[1] *Riedel*. Mark. Brand., II., s. 435.

rów margrafowskich, których po śmierci Albrechta Niedźwiedzia było kilka i na potrzeby rządowe pochłaniały wielkie sumy. Każdy z książąt krwi miał swój osobny dwór, swych osobnych dostojników dworskich, swoje uczty, zabawy, polowania i każdy z nich osobno uposażał kościoły i klasztory. Znaczne także były koszta objazdów margrafowskich, gdyż żywili oni lenników i ministeryalów wraz z ich służbą i końmi. Kiedy margraf odjeżdżał z miasta, które odwiedził, a nie miał czem zapłacić wierzycieli, zastawiał klejnoty, lub udzielał przywileje [1]. Oprócz tych ciężarów ponosili jeszcze margrafowie znaczne wydatki na administracyę, oraz na ciągłe wojny, podczas których nietylko żołd płacili zaciężnemu żołnierzowi, ale i utrzymywali drużyny swych lenników. Zmuszeni więc byli dość wcześnie Askańczycy do pozbywania się za pieniądze praw swych i dochodów. Majątek ich szczuplał coraz bardziej. Tu odstępowali zyski z mennicy, tam dochody z promów, dróg, mostów, młynów, łąk, lasów, targowego, składowego, jatkowego i t. d., owdzie sprzedawali różnorodne podatki gruntowe, lub rozdarowywali je kościołom, ubogim miastom i zasłużonym lennikom [2]. Nadewszystko zaś ucierpiała władza polityczna margrafów przez sprzedaże, darowizny i zastawy praw jurysdykcyjnych.

Landbuch z r. 1375 wykazuje, że mało już wówczas wsi podlegało bezpośredniej jurysdykcyi margrafa i tak n. p. z 90 wsi w ziemi teltowskiej tylko 2, z 104 w ziemi hawelskiej tylko 6 i t. d. Przemiana ta odbyła się powoli, w miarę, jak przez sprzedaże, donacye i zastawy przechodziły zwierzchnicze prawa feudalne na kościoły, klasztory, lenników, miasta, a nawet na pojedynczych mieszczan. Najczęściej nabywali lennicy margrafa grunt chłopski w jednej i drugiej wsi i osadzali na nim niemca z obowiązkiem płacenia czynszu, od margrafa zaś kupowali równocześnie jurysdykcyę w obrębie owych nabytych zagród chłopskich. Wszelako nie należy ztąd wnioskować, że sołtys wiejski pozbywał się przez to prawa sądownictwa; w zasadzie pozostawali sołtysi sędziami spraw, które dotyczyły onych zagród, a tylko opłaty jurysdykcyjne, pobierane wprzódy przez margrafa, pobierał teraz nowy pan [3]. Często bardzo

[1] *Riedel.* M. Brand., T. II.
[2] *Riedel.* M. Brand., II. 97 i I. 103.
[3] *Kühns.* Gesch. d. Gerichtsv. d. M. Brand., T. I. 169.

kupowało kilku naraz lenników całą wieś w ten sposób, że każdy nabywał po kilka zagród chłopskich; bywało także, że bogatsi lennicy kupowali mnogie wsie. Dość, że zmieniły się całkiem dawniejsze stosunki własności, a zarazem los chłopów.

Wyobrażenie o kompetencyi sołtysów wiejskich, jako urzędników, powziąść można tylko ze wzmianek, jakie napotykamy w dokumentach o takich wsiach, które jeszcze nie wyszły były z pod władzy *Vogta*, gdyż we wsiach patrymonialnych, kształtowały się rzeczy wedle poszczególnych stosunków ich panów. Odpowiednio temu występuje sołtys jako urzędnik administracyjno-skarbowy. Jako urzędnik sądowy przewodniczy sądowi wiejskiemu i ogłasza jego wyroki[1], oraz pobiera wszystkie, tak małe jak i większe opłaty ze sporów i kar. Małe opłaty zwano *judicium infimum*, większe *judicium supremum*, ma więc *judicium* tutaj znaczenie finansowe[2].

Pod koniec wieku XIV. przeszła już większa część wsi, wraz z owem finansowego znaczenia *supremum judicium*, w ręce prywatne, zamienili się więc i sołtysi w sołtysów dominialnych. Również zamieniły się posługi publiczne w prywatne. Chłop już nie służy wojskowo margrafowi, pracuje on teraz pewną liczbę dni dla pana. Już dokumenta z XIII. wieku wspominają czasem o *domini* i *subditi*. Po wygaśnięciu dynastyi askańskiej zmniejsza się coraz bardziej liczba chłopów, płacących podatki; wielu opuszcza swe siedziby i udaje się do miast, aby ujść losu *glebae adscriptorum*.

Mimo to nie doznał zasadniczego szwanku rozwój jedności terytoryalnej Marchii, margrafowie nie wypuszczali z rąk najwyższej sądowniczej władzy, chociaż przekazali jurysdykcyę lennikom[3] i miastom. Uformowały się niezliczone posiadłości patrymonialne, większe

---

[1] Gdzie ustawała kompetencya sądu wiejskiego, niepodobna choćby najbieglejszym badaczom dokładnie oznaczyć, tyle wszelako twierdzą takie, jak n. p. *Kühns*, powagi, że kompetencya sołtysa musiała być, bacząc na charakter jego urzędu, mniejszą, niźli sądu ziemskiego i *Vogta*, a jeśli liczne dokumenta mówią przy sprzedażach wsi o sprzedawaniu równoczesnem *judicium infimum et supremum*, to to *judicium supremum* nie może mieć znaczenia prawa miecza, ale tylko znaczenie odnośne do skarbowości margrafa, któremu przysługiwało było prawo pobierania opłat ze sporów większych o grunta chłopskie i z kar najwyższych za grubsze przestępstwa.

[2] Bliżej traktują ten przedmiot *Kühns* G. der Ger. d. M. Brand., II., s. 164. ss. oraz *Riedel*. C. dipl. Brand., I., XIII., 232, 234. I., I., 495.

[3] *Kühns*. Gesch. d. G. d. M. Br., T. I., 172, 173.

i mniejsze, których panowie mianowali sołtysów i ściągali opłaty sądowe, ale wszyscy oni wykonywać musieli jurysdykcyę w imieniu margrafa. W wielkich majątkach mianowali biskupi i panowie świeccy nietylko swych sędziów, ale nadto, zaprowadzali często osobne jeszcze obowiązki i stanowili osobne przepisy, mimo to, pozostał margraf panem i sędzią najwyższym. Istnieją dokumenta z pierwszej połowy XIV. wieku, gdzie margraf rozkazuje, „aby ci, którzy mają *judicium supremum* lub *infimum* i zaciężnych chłopów, nie ważyli się krzywdzić ludzi i marnować swych poddanych“ [1].

Czy słuchano tak bardzo w praktyce margrafów, tego śledzić nie będziemy; nam chodzi o fakt, że margrafowie dozorowali zawsze jurysdykcyą w Marchii i występowali po monarszemu. Im zaś dalej rozwijać się będzie Marchia, tem baczniejsze oko mieć będą margrafowie na wszystkie stosunki sądownictwa patrymonialnego, tem dobitniej zastrzegać sobie będą zwierzchnictwo monarsze *(die fürstliche Obrigkeit)* [2].

Jeśli władzę margrafów uszczupliło znacznie zaprowadzone po wsiach poddaństwo, tedy jeszcze znaczniej uszczuplić ją musiało wyzwolenie miast, które wzrósłszy w zamożność, wyzyskiwały smutne położenie finansowe margrafów. Kupowały one przyległe sobie wsie i zaprowadzały w nich jurysdykcyę miejską. Znaczniejsze z nich postarały się o własnego *Vogta* z prawem miecza, przez co wydobyły się z pod jurysdykcyi sądów ziemskich i *Vogta* margrafowskiego. Wszelako z początku mianował *Vogta* miejskiego zawsze jeszcze margraf, który też pobierał dochody z jego sądownictwa. Później zmusiła potrzeba margrafów do odstąpienia tych dochodów na rzecz bądź lenników, bądź biskupów, a wtenczas wchodzili lennicy ci, lub biskupi, w prawa margrafa do dochodów, płynących z miejskiej jurysdykcyi. Najczęściej jednak kupowały dochody te od margrafów same miasta, a w takim razie stawał się *Vogt* miejski urzędnikiem samodzielnym miejskim, którego wybierali rajcy, czyli konsulowie miejscy. W jednym tylko razie pociągany mógł być mieszczczanin przed sąd margrafa samego, lub kuryi jego nadwornej, t. j. gdy skarżył lennika, dla którego *forum* sądowe było

[1] *Riedel.* C. dipl. Br., I., XV., 78, (z r. 1324).
[2] *Kühns.* T. I., str. 173. (r. 1522).

przed margrafem. Wkrótce i od tego obowiązku wykupiły się miasta i odtąd stały się niemal samodzielnemi państewkami. W kodeksie dyplomatycznym Marchii brandenburskiej *Riedla*, śledzić można dokładnie to stopniowe usamowalnianie się miast.

Vogty margrafa pozostali zawsze najwyższymi jego urzędnikami, ale i tutaj zmiana nastąpiła w tem, że, już od w. XIV. począwszy, mianują margrafowie nad kilku *Vogtami, nad-Vogtów*, celem dozorowania tamtych. W XV. wieku nastaje w miejsce *nad-Vogtów* rodzaj starostów, czyli t. zw. *Landhauptmann*, który już wyraźnie reprezentuje w obec *Vogtów* osobę margrafa [1]. Takich starostów miały n. p. Stara Marchia, Przegnica, ziemia hawelska, Marchia ukryjska, powiaty barnimski i teltowski. Wyjątkowe stosunki Marchii objawiają się i w urządzeniu owych *Vogtów* i *Landhauptmannów*, albowiem, podczas gdy w reszcie Niemiec zamieniły się urzędy *Grafów* na leunności dziedziczne, byli w Marchii i *Vogty* i *Landhauptmanny* tylko czasowymi urzędnikami, chociaż faktem jest, że urzędy te otrzymywali zwykle dlatego, że się margrafowie u nich zadłużyli [2]. Margrafowie nadając urzędy *Vogtow* i *Landhauptmannów*, umieszczali klauzulę, że urzędy te tylko tak długo piastować będą, jak długo to się im (margrafom) podoba. Jeśli *Vogt* lub *Landhauptmann* był wierzycielem margrafa, umieszczał margraf zastrzeżenie, że albo zapłaci dług swój w oznaczonym terminie, albo, że uiści się wedle woli swojej, nie oznaczając terminu. Zadłużanie się doszło do tego, że sprzedać wreszcie musieli margrafowie ostatnie ze źródeł swego dochodu, tj. nadzwyczajny podatek, zwany *Bede*, lub *petitio*, a także *precaria exactoria*. Początek jego pochodzić ma od prośby *(Bitte)*; książęta niemieccy mieli się bowiem o niego zrazu prosić. Koniec końcem był to podatek nadzwyczajny, niestały [3], który jeśli w początkach nosił charakter *subsidii charitativi*, to później stał się obowiązkowym. Margrafowie

---

[1] *Riedel.* Cod. dipl. Br., I., V., 341, 484. XVI. 28 (z lat 1305, 1385, 1414) I. VII. (z r. 1443) I. XII. 167. I. XVIII. 234 (z r. 1369).

[2] *Riedel.* C. dipl. Br., I. V. 375, 379, I. XIV. 269 I. XVIII., 255 i *Kühns* o. c. T. I. s. 288.

[3] Podobny podatek istniał wówczas i we Francyi i zwał się *aides*. Płaciły go wszystkie stany, a pobierany był od napojów. W Polsce *subsidium charitativum* dawało tylko duchowieństwo.

zaczęli go coraz częściej pobierać i coraz wyżej normować i w końcu tak powszechne i dobitne odezwały się w całej Marchii reklamacye i skargi, że margrafowie zmuszeni zostali do zawarcia z lennikami i poddanymi swymi ugody. Najwyraźniejszym dokumentem w tej mierze jest układ, zawarty między margrafem a lennikami i poddanymi Starej Marchii, na mocy którego [1] sprzedaje margraf prawo *Bedy* za pewną oznaczoną od każdego łanu sumę i to w dwóch terminach, r. 1281 i r. 1282. Kto nie posiada żadnego łanu, jak zwykle *Kosseter*, płacić będzie po 6 fenigów od każdego t. zw. talentu wartości ruchomej [2]. Po uskutecznieniu tych wypłat obiecali margrafowie zrzec się dalszego pobierania *Bedy* i zastąpić ją podatkiem regularnym. Od każdego łanu pobierał odtąd margraf corocznie 2 razy po szelągu. Wyjątek stanowiły tylko te posiadłości, które nadane były rycerzom na utrzymanie, tj 6 łanów dla rycerza, a 4 łany dla giermka.

Margrafowie przyrzekli nie nakładać już nadal żadnych podatków, a chociaż zastrzegli sobie ściąganie nadzwyczajnej kontrybucyi w razie dostania się do niewoli, oraz w razie gwałtownych potrzeb wojennych, to sposób poboru kontrybucyi miał być rzeczą 4 rycerzy, mianowanych, za zgodą lenników, przez margrafa. Rycerze ci radzić mieli nad poborem, z przybraniem znakomitszych innych rycerzy i mieszczan. Taką samą ugodę zawarli margrafowie i innych części Marchii. W końcu tych ugód umieszczone zostały ważne zastrzeżenia, które brzmiały, że gdyby margrafowie nie dotrzymali ugody, wolno będzie lennikom albo obsadzić warownie margrafowskie na tak długo, jak długo krzywda nie zostanie usuniętą, albo odeprzeć siłą łamanie ugody.

Należałoby ztąd wnioskować, że skoro margrafowie przyznali lennikom swym prawo nadzoru i rokoszu, znikła też dawna władza tak silna i samodzielna. Ale wniosek taki nie zgadzałby się z rzeczywistością. Partykularyzm ówczesny rozpostarł się wprawdzie i w Marchii brandenburskiej, i w niej chcieli lennicy, biskupi, mieszczanie, zrzucić z siebie ciężar władzy centralnej, ale odrębne okoliczności przeszkodziły wykonaniu podobnych zamiarów.

---

[1] *Riedel.* M. Brand., II. 109.
[2] *Riedel.* Cod. dipl. Br., III., I, 10.

Powaga władzy margrafa zagrożona zewsząd, uledz wprawdzie nieraz musiała, ale nie abdykowała. Komisye finansowe, które wymieniona wyżej ugoda postanowiła, niewielkiem margrafom groziły niebezpieczeństwem. Zamieniły się wprawdzie komisye później na sejmy prowincyonalne stanów, ale sejmy te niezgodne były między sobą, a żaden z nich nie reprezentował całej Marchii, każdy tylko pojedynczą ziemię, jak n. p. ten staro-marchijską, ów lubuską i t. d. Jeden tylko margraf reprezentował całą Marchię. Zauważyć także trzeba, że ani lennicy, ani miasta nie potrafiły wzbić się w Marchii do takiej potęgi, aby stanęły o swojej sile i zerwały łączność z całością. Chociaż margrafowie tyle przywilejów nadali, tyle praw się pozbyli, mało który lennik stał się panem możnym. Posiadłości rycerskie były zwykle małe i rzadko stanowiły zwarty kompleks. Rycerstwo było w ogóle ubogie, bo ubodzy byli chłopi.

Co najważniejsza, to to, że margrafowie mimo egzemcyi, nie zaniedbali nigdy upomnieć się o prawo swoje najwyższych Marchii zwierzchników. Sądzono w całej Marchii zawsze jeszcze, jak już zaznaczyliśmy wyżej — w imieniu margrafa; *Vogty* i *Landhauptmanny* zatrzymały zawsze jeszcze prawo dozorowania sądów miejskich i patrymonialnych; przycisk na prawo swe zwierzchnicze kładli nawet słabi margrafowie z domów bawarskiego i luksemburskiego[1] a Hohenzollerowie zastali je nienaruszonem.

Najlepiej wykazuje przestrzeganie ciągłości prawa zwierzchniczego przez margrafów, stosunek ich do Kościoła. Na mocy prawa kanonicznego przysługiwała Kościołowi jurysdykcya nietylko nad księżmi i sprawami, które się tyczyły życia kościelnego, jako to nad apostazyą, kacerstwem, symonią i t. p., ale także w obrębie praw cywilnych, skoro tylko jedna ze stron wniosła skargę przed jego *forum*. W sprawach zaś kryminalnych sądzone być mogły przez sąd duchowny lub świecki takie przestępstwa, jak krzywoprzysięstwo, świętokradztwo, sodomia, magia, bluźnierstwo, cudzołostwo i lichwa. Kościół, którego władza świecka także wielką grała rolę, wykonywał, ile tylko się dało, władzę sądowniczą; władza natomiast świecka bezustannie występowała przeciw mieszaniu się Kościoła do spraw

[1] Zobacz wyżej przytoczony dokument margrafa Ludwika Bawarskiego z r. 1324.

świeckich. Margrafowie ciągle wydawali rozporządzenia, nietylko zabraniające sądom duchownym rozstrzygania spraw świeckich, ale zakazujące i stronom udawania się w sprawach świeckich do sądów duchownych [1]. Przepisy te i rozporządzenia nie osięgały celu, obie władze, duchowna i świecka, bezustannie sobie w drogę wchodziły; dowodzi tego, między innemi, list margrafa Ludwika z domu bawarskiego, z okazyi zabicia księdza z Bernau, na ulicy Berlina w r. 1336. Miasto obłożył biskup za zbrodnię tę interdyktem, ofiaruje ono więc bratu zabitego księdza, także księdzu, t. zw. głowszczyznę *(Wehrgeld)*. Ten jej nie przyjmuje i interdykt trwa dalej. Było to w czasie, kiedy syn cesarza Ludwika, chociaż jeszcze małoletni, władał Marchią. Cesarz rozkazuje mu [2] zapozwać przed siebie księdza i wyznaczyć mu termin do przyjęcia głowszczyzny, a gdyby nie miał na to przystać, każe mu odebrać beneficyum. Ksiądz się poddał rozkazowi, biskup milczał. Z tego samego w. XIV., a mianowicie z r. 1382, istnieje list margrafa Zygmunta do biskupa, w którym następujące czytamy słowa: „obkładacie interdyktem nasze miasta, nie zgłosiwszy się poprzednio ze skargą do nas. My jesteśmy sędzią i chcemy nim i nadal pozostać. Żądamy, abyście natychmiast zdjęli interdykt, a jeżelibyście tego nie uczynili, rozkazaliśmy aby Was i Waszych turbowano, czy Wam to miłem będzie, czy nie“ [3]. Istnieje jeszcze wiele podobnych świadectw, stwierdzających obstawanie margrafów przy pełni swej władzy. Kiedy n. p. cesarz Maksymilian ustanowił cesarski sąd t. zw. *Kammergericht*, wpisać kazał biskupów Marchii, porówno z innymi biskupami niemieckimi, w poczet książąt bezpośrednio cesarskich, których spory rozrządzać miał ów nowo ustanowiony najwyższy trybunał. Margraf ówczesny, z domu Hohenzollerów (1509), zaprotestował twierdząc, że biskupi marchijscy nie mają nic do czynienia z cesarstwem. W trakcie procesu, który trwał bardzo długo i nie doczekał się podobno konkluzyi, dostarczyli i margrafowie i biskupi wielką ilość dokumentów, z których niemała część sięgała czasów dynastyi Askańczyków. Szlachta i mieszczanie, wezwani w r. 1559 przed komisyę

[1] *Riedel.* Cod. dipl. Br., II., V., 5. I., XVIII., 438 i *Kühns* o. c. przytaczając miejsca z *diplomatische Beitraege* Fidicin's z lat 1401 i 1413.

[2] *Riedel.* C. dipl. Br., I. XII., 488.

[3] *Kühns* o. c. I., 279.

cesarską *ad hoc*, zeznali, że prawo zwyczajowe Marchii sprzeciwia się pretensyom cesarstwa. Z zeznań tych przytaczamy następujące ważniejsze i ciekawsze: 1) biskupi marchijscy nie byli nigdy książętami cesarstwa, byli oni zawsze poddanymi margrafa; 2) apelacya od sądów szła zawsze do margrafa; 3) listy cesarskie do biskupów odbierał nasamprzód margraf; 4) biskupi zobowiązani byli do służby wojskowej i dworskiej, nosili nawet barwy margrafowskie; 5) margrafowie nie nazywali ich „Wasza Przewielebność“, ale tylko „pan Brandenburski, pan Lubuski“ i t. d. Margraf oświadczył nadto w swym proteście, że i najznakomitsi jego dwaj lennicy świeccy nie mają tak samo żadnego bezpośredniego z cesarstwem stosunku. Zkądinąd znów wiadomo, że żadne z miast brandenburskich nie nosiło nazwy m i a s t a c e s a r s k i e g o.

Z wszystkiego więc, co przytoczyliśmy, wypływa, że nie zaginęła była w Marchii brandenburskiej ani dyscyplina, ani hierarchia, wprowadzona przez Askańczyków. Począwszy od Albrechta Niedźwiedzia, a kończąc na królach pruskich, śledzić można tradycyę władzy, górującej nad wszystkimi stanami Marchii, mimo przywilejów wielkich, jakie pozyskał był stan rycerski, duchowny i miejski.

Mimo wszelkich przemian, jakim uległy w biegu czasów urządzenia pierwotne w Marchii brandenburskiej, potrafili elektorowie utrzymać się na stanowisku panów zwierzchnich, stali twardo przy swojej monarszej władzy *(fürstliche Obrigkeit)*. I któż zresztą zaprzeczyć miał im tej władzy? Posiadłości rycerskie pozostały, z małymi wyjątkami, mierne, miasta nie wzbiły się w potęgę, stany zaś prowincyonalne reprezentowały tylko ziemie pojedyncze, a ziemie te były małe i bez wielkiego znaczenia. Instytucye, charakteryzujące Marchię, wytworzyły konieczność położenia, taż sama konieczność nadała jej i cechę i dążność. Marchia leżała wśród równiny niemiecko-słowiańskiej po obu brzegach środkowej Elby, nie mogła więc rozszerzać się od strony Niemiec, gdyż tam zajęte już były wszystkie terytorya, tylko od strony Słowian. Margrafowie starali się przecież nie o to, aby zajmować coraz dalej na Wschód równinę, ale o to, aby módz się posuwać wzdłuż Elby

tj. ku górom czeskim i ku morzu. Nabytki elektorów brandenburskich z domu askańskiego dotarły też aż po góry czeskie, była nawet chwila, w której werżnęły się w Szląsk, podczas gdy w kierunku ku morzu sięgały aż po Gdańsk, a zmierzały usadowić się w Sztralsundzie.

Mieści więc dawna historya Marchii brandenburskiej ważne wskazówki i nie przesadziliśmy twierdząc, że w tej dawnej historyi szukać trzeba głównego zarodka monarchii pruskiej. Księstwo pruskie nie było nigdy lennością Niemiec, ale była nią zawsze Brandenburgia. Królestwa w Prusiech nie można uważać za ważną samo przez się kreacyę, ważną stawała się ona dopiero w połączeniu z elektorstwem brandenburskiem. Nasamprzód bowiem nadawało połączenie to władzom brandenbursko-pruskim podwójny charakter, t. j. członków państwa Niemieckiego i panujących samodzielnych, a potem pozwalało rozprzestrzenić się tradycyi tej powagi wojskowo-patryarchalnej, jaką uosobiali elektorowie Brandenburgii.

Główne zarysy monarchii pruskiej widne są w urządzeniach Marchii brandenburskiej za dynastyi askańskiej. Dopatrzyć się bowiem można i tam i tu pewnych prowincyonalnych swobód, pewnych przywilejów miejskich, licznej szlachty o miernej zamożności i żądnej karyery, przedewszystkiem zaś wojskowej. Dziś jeszcze dyskutują Izby pruskie nie jedno prawo, które ma na celu usunięcie urządzeń, tkwiących korzeniami swymi w czasach zdobywczych Marchii Askańczyków, dziś jeszcze, mimo konstytucyi, ma się król pruski za coś więcej, niż za króla konstytucyjnego; monarszą tę władzę naznaczył w latach ostatnich kilkakrotnie publicznem orędziem, ministrowie jego nie są odpowiedzialni przed Izbą, ale przed królem samym. Co więcej, jego *fürstliche Obrigkeit* próbuje zawładnąć nad istytucyą Kościoła, chce pełnią wszechwładzy państwowej skoncentrować koniecznie w swej, tradycyą brandenburską uświęconej, prawicy. Margrafowie z domu askańskiego byli twórcami Marchii brandenburskiej i sprawcami coraz większego jej wzrostu. Nie spoczywali ani chwili, i co raz przedsięwzięli, nie spuszczali już z oka. Przedsiębiorczość tę askańską, chylącą się po wygaśnieniu ich domu ku upadkowi, podnieśli Hohenzollerowie, umacniali, rozszerzali i „zaokrąglali“ swe państwo, nie pytając się wiele o zasady moralne.

I inne tradycye, sięgające czasów askańskich, przetrwały także przez całą historyę państwa pruskiego, zespoliły się z organizacyą jego. Brandenburgia była krajem ubogim i niepowabnym. Aby podobną ziemię użyźnić, potrzeba było wielkich a ciągłych wysiłków, mnogich a pracowitych rąk, wedle jednej urobionych modły. Albrecht Niedźwiedz osadzał Niemców, a rugował Słowian. Hohenzollerowie zastali już tylko gdzieniegdzie Słowian w Brandenburgii właściwej, a choć byli mogli ich sprowadzać, sprowadzali tylko osadników Niemców. Przedewszystkiem odznaczał się elektor zwany Wielkim, Fryderyk Wilhelm I. i Fryderyk W., tendencyą kolonizowania dzierżaw swych wszystkich przybyszami niemieckimi.

Męczenników idei, mistrzów słowa, artystów, nie należy szukać w Marchii brandenburskiej, natomiast dostarczała ona i dostarcza dotąd żołnierzy i administratorów. Żołnierz i na jego modłę urobiony biurokrata, oto główne postacie. Askańczycy próbowali wszelkich ówczesnych systemów wojskowych, żalili się na wielkie wydatki, ale żaląc się oświadczali kategorycznie, że na wojsko pieniądze mieć m u s z ą. I ta tradycya ostała się, począwszy od elektora, zwanego Wielkim, a kończąc na królach pruskich; militaryzm, to cecha pruskiego państwa.

Historycy pruscy przypisują Brandenburgii posłannictwo chrześcijańskie w wiekach średnich, a posłannictwo germanizacyjne w czasach nowszych. Tymczasem posłannictwo chrześcijańskie trwało krótko. Albrecht Niedźwiedź byłby się zrzekł jak najchętniej chwały nawrócenia choćby całej Słowiańszczyzny, gdyby był mógł zostać księciem saskim. Hohenzollerowie zaś wzrośli przedewszystkiem nabytkami w Niemczech. I dla Askańczyków i dla Hohenzollerów przedstawiały zdobycze na Słowianach łatwiejszą pracę, ale obie te dynastye żądne były nabytków niemieckich. Obie chciały najprzód wzróść na ziemiach Słowianom odebranych, aby módz potem odnosić korzyści na Niemcach. Askańczycy pretendowali trzy razy do korony cesarskiej, Hohenzollerowie ją posiedli.

Ludwik Żychliński.

LE PLAY I JEGO SZKOŁA.

(Ciąg dalszy).

Obok wyłożonych dotychczas rysów niezmiennych, ludzkość, podług Le Play'a, przedstawia także pewne rysy zmienne. Odwieczna walka nowości z tradycyą pochodzi stąd, że oprócz prawa moralnego rodziny potrzebują, jak powiedziano, chleba powszedniego, z zwiększaniem się zaś ludności i pomnażaniem rodzin ta produkcya chleba musi się potęgować i nowe przybierać kształty, a te znów odmiany w pracy oddziaływują koniecznie na moralne stosunki społeczeństwa. I tak, póki rodzina sama wytwarza i spożywa wytwory własne, z zajęć tych prostych płynie pewna równość względna rodzin. Dalej, gdy prace stają się więcej złożonemi, wytwarzają przez różnicę w uzdolnieniu i zajęciu pewną hierarchię. Wreszcie gdy handel sprowadza codzienną styczność ludzi zewsząd dla wymiany przybywających, rodzina przestaje wystarczać sama do wychowania pokoleń, przekazywaniem im obyczaju przodków. Z konieczności powstają nowe władze i społeczeństwo pod ich wpływem, względnie do tego, czy utwierdzają lub naruszają prawo moralne, kroczy szybko ku pomyślności lub cierpieniu.

Stadya owe pracy współrzędnie istniejące w społeczeństwach cechują się żywiołami, jakimi w nich praca na chleb się posługuje, stąd autor je nazywa: Stadyum traw, stadyum machin i stadyum węgla.

Stadyum traw, czyli organizacya pierwotna pracy, powszechna u ras pierwotnych, dziś wyjątkowo się napotyka. Wśród wielu odcieni w rasach pierwotnych uwydatniają się: 1. Dzikie,

nomady, myśliwskie; 2. Współosiadłe pasterskie; 3. Rybacy, drwale, górnicy. Wszyscy zdobywają produkta gotowe *(produits spontanés)*. Duch tradycyj w nich przeważa, z namiętnością oddają się swym zajęciom polegającym na walce z losem, niechętnie porzucają je dla prac łagodniejszych.

Stadyum drugie czyli machin rozpoczyna się z zastąpieniem wysiłku rąk własnych człowieka, siłą zwierzęcia, wody, wiatru. Pierwsza skiba otwiera właściwe rolnictwo, mnożące naturalną wydatność ziemi, łódka i żagiel zdobywają ocean, leśnictwo i górnictwo, dzięki użyciu sił przyrody za pośrednictwem machin, organizują się, rękodzielnictwo, z doprowadzeniem pól do kultury, rozwija się coraz szybciej. Wówczas to wytwarzają się te wielkie miasta, gromadzące tak wytworne bogactwa, jak i instytucye, prywatnemi i publicznemi sprawami kierujące. W tych warunkach postępuje wiedza, która znów zmusza rzemiosła nowemi środkami do postępu. Wiedza i rzemiosła w połączeniu wytwarzają klasę ludzi, która we wspólnej hierarchii ważyć zaczyna.

Trzecie stadyum pracy nie cechuje się tak wyraźnym przełomem, jak między pierwszym a drugim, lecz ogromnem przyspieszeniem tętna działalności ludzkości, spotęgowanem parą i elektrycznością, (zkąd nazwa okresu węgla). Pół wieku przeobraża nie do poznania rzeczy, ludzi, idee, obyczaj, wierzenia, mowę, strój, metodę pracy i t. d. Rodzina trwała wyzyskuje te zdobycze nowości na korzyść swych odrośli, znajdujących w nich pole pracy. Postęp ten jednak ma ujemną stronę, mianowicie złudne poparcie doktryny o prawie ciągłego, koniecznego doskonalenia się ludzkości.

Historya ludzkości obejmuje jednak szerszy zakres niż postęp jej materyalny i intellektualny; okazuje ona przyczyny szczęśliwości oparte na spokoju. Starożytni upatrują erę tej szczęśliwości u pierwotnych ras w tradycyi. Współcześni widzą ją w dążeniu do nowości; obydwom tym opiniom sprzeciwia się historya i obserwacya ludzkości; dowodzi i wykazuje, że oba te czynniki, tradycye i nowości są równie niezbędne, jak kardynalne potrzeby ludzkości, prawo moralne i chleb powszedni. Te ludy nowożytne, które duchem nowości wyłącznie parte, niesłychany rozwój materyalny i intellektualny osiągnęły, zapoznając tradycyę, nie potrafiły zharmonizować zdobyczy trzeciego stadyum pracy o chleb; postradały też

trwałość, pokój, a więc szczęśliwość, zależącą, jak świadczy historya i obserwacya współczesnych społeczeństw, na zgodzie obyczaju i zasad, będących treścią zasadniczej konstytucyi społecznej.

Zasad tych czyli właściwych czynników kwitnącego społeczeństwa jest podług Le Play'a siedm; sprowadzają się one do trzech kategoryi. Prawo boże czyli dekalog i władza ojcowska, stanowią pierwszą kategoryę zasad; podwalinami społecznemi religia i władza państwowa, to druga kategorya, stanowiąca cement społeczeństwa; wreszcie trzecia kategorya budulcem społeczności jest własność, w trzech postaciach występująca, jako zbiorowa, osobista i patronalna. Czynniki te zasadnicze, z oczywistością występujące w pierwszem stadyum uspołecznienia, w następnych dwóch zastępowane bywają drugorzędnymi, nie słusznie za główne poczytanymi.

1. Dekalog u ludów kwitnących stał i stoi na czele zasad uspołecznienia. Gdzie tylko pokój i pomyślność panuje, wszędzie źródłem jej panowania są zasady dekalogu. Stanowił on punkt wyjścia prawa pisanego w Stanach Zjednoczonych, i sam Proudhon nazywa go „kodeksem najwyższej mądrości". Istotnie jest to dziedzina, mogąca być punktem zbornym dla zjednoczenia ludzi rozdzielonych błędami ducha nowości.

2. Druga zasada uspołecznienia, to władza ojcowska. Sama natura człowieka narzuca mu niejako tę jedyną, istotną ludzką władzę. Zatwierdzona objawieniem, przykazaniem, po wszystkie wieki rzeczywiście stanowi ona podstawę prawa pisanego, a obserwacya wykazuje, iż pierwszorzędne narody, obecnie w stadyum węgla zostające, t. j. Anglia i Stany Zjednoczone, na tej podstawie gruntują potęgę swej konstytucyi społecznej. Obserwacya też na odwrót przedstawia skutki naruszenia tej zasady prawem pisanem we Francyi w przymusowem podziale spadku, i w ślad za niem idącego ciągłego upadku rasy.

Że władzę ojcowską, jako podstawę trwałości uspołecznienia odjąć starano się, ilekroć rządzący o radykalne ubezwładnienie pewnych klas się starali, na to historya wybitne przedstawia do-

cyą, doświadczeniem historyi i dekalogiem, napotyka się u rodzin we wszystkich 3 stadyach rozwoju ludzkości. Monografie podają liczne typy tego rodzaju ze stadyum węgla w zimnych i umiarkowanych strefach Europy i Azyi [1]. Rodzina taka posiada własność jeżeli nie gruntu, to przynajmniej ogniska, nabycie tegoż idzie przed skojarzeniem nowego stadła, podstawą skojarzenia jest wzajemna skłonność, oparta na rozsądnym doborze. Przymioty rasy przelewają się dziedzicznością, dobór następcy ułatwia się przez pracę wspólną i oszczędność, pod wodzą ojca i matki wspartych IV. przykazaniem, od tego nieodłączna jest cześć niewiast, za której naruszenie odpowiada mężczyzna, wedle VI. i IX. przykazania. Członkowie rodziny jeżeli opuszczają rodzinę, wyniosłszy się nad jej poziom, nie zrywają naturalnych z nią węzłów. Wszyscy zaś łącznie pracują dla przechowania tradycyj i cnoty rodzinnej, które dziedzic w ognisku mieszkając, wychowaniem kierując i byt rodzeństwa zapewniając, wszczepia przykładem w następcę.

Wybitny obraz tej harmonii spotyka się u ras pierwotnych; objawia się ona spokojem tak w łonie rodzin jak w ich stosunku wzajemnym. Nie ma potrzeby władz publicznych, coby zniewalały do pełnienia obowiązków. Co najwięcej, powierza się pewnym rodzinom powinność zaradzania, w wypadkach utraty chleba powszedniego, lub zgwałcenia prawa moralnego. Obyczaj więc rodzinny zapewnia szczęście bez udziału obyczaju społecznego. Atoli takie idealne ustroje nie utrzymują się zwykle w następnych stadyach. Płodność powoduje utrudnienie coraz większe w zdobywaniu chleba, a zatem idzie zmiana terytoryów. Przemiany te tak historya, jak obserwacya, przedstawia jako niebezpieczne, ale nie jako koniecznie zgubne.

Komplikuje się organizacya pracy użyciem sił materyalnych i intellektualnych, ale to skomplikowanie nie jest niezbędną przyczyną cierpienia, owszem, rasy, trzymające się wśród niej zasad konstytucyi istotnej, kwitną i są szczęśliwe. W rozstrzygnięciu kwestyi socyalnej, powstającej z aglomeracyi ludności, ludy „cywilizowane“, najbardziej kwitnące, mają jednę i tę samą przeszkodę do zwalczenia: nierówność między rodzinami. Nierówność ta, to

[1] Ouvriers Europ. 2 edition 1877—79 Paris.—Tomy II., III., IV.

skutek różnic a nawet przeciwieństw w zdolnościach materyalnych i intellektualnych, rozwiniętych tysiącem zawodów, jakie ludzkość wyrobiła w zapamiętałem ściganiu za zdobyciem chleba. Ztąd też zapomnienie i zapoznanie zasad konstytucyi istotnej wyradza obyczaj rodzin. Okazuje się zatem konieczność zastąpienia go obyczajem społecznym, który z czasem takiej nabiera przewagi, że staje się rządem społeczeństwa. Ztąd się rodzą niezliczone cierpienia w dziejach ludzkości. Szczęśliwe ludy, mówi Le Play, co nie mają historyi.

Wyłuszczone w ten sposób zasady istotnej konstytucyi ludzkości, Le Play przenosi do historyi i w niej znajduje ich potwierdzenie. Nie wyłączność ducha tradycyi, ani wyłączność ducha nowości stanowią istotę tej konstytucyi, gdyż zawsze i we wszystkich stadyach te wyłączności prowadziły ludzkość do cierpienia i rozterki. W stadyum traw, u dzikich, trudność komunikacyi, powodując porzucanie słabych, starców, wytwarza wyłączny wpływ młodych — dążność do nowości. U pasterzy, gdzie tradycye wraz z umiarkowanym duchem wytwarzają najtrwalsze i wzorowe rasy, skoro zapanuje wyłączność ducha tradycyi, odpycha poleszenia pracy, skrzywia zdolności a w razach aglomeracyi wiedzie do okrucieństwa i łupieztwa. W stadyach machin, gdzie rozwój intelligencyi i pracy na chleb przemienia hierarchię socyalną, rozwijając wyższości indywidualne i tworząc mniejszość rodzin bogatych i rozumnych, górującą nad większością mierną i bezsilną, jednak harmonia i pokój panują, gdziekolwiek prawo moralne równorzędnie szanowane bywa przez obie połowy ludzkości, a dopiero pod wyłącznym zapanowaniem ducha nowości, w namiętnem zdobywaniu chleba z jednej a zapoznawaniu prawa moralnego z drugiej, owa nierówność nowej hierarchii wyradza się w cierpienie, któremu ludzkość od paru wieków coraz silniej ulega, a które w ostatnich 50 latach z szybkością potęgującą się bezprzykładnie w historyi rośnie i grozi kataklizmem. Wyłączność zapanowania jednego z kierunków przejawia się w oscyllowaniach, jakie ludzkość od pomyślności do cierpienia odbywa. Odchylenia oscyllacyi w stadyach węgla muszą być i są istotnie wybitniejsze i gwałtowniejsze, w miarę, jak życie ludzkości przy-

spieszonem tętnem bije. Wyjście z błędnego koła tych oscyllacyi jest arcytrudnem, niepodobnem jednak nie jest. Należy przedewszystkiem poznać przyczyny, by znaleść środki ratunku. Niechętnie uznajemy, że błędy przeszłe i fałszywe doktryny, do których nawykliśmy, są przyczyną obecnej niemocy; a jednak tak jest.

Ulubiona dziś doktryna, iż ruch społeczeństw od stadyum machin ulega fatalnemu prawu rozwoju, sprawia, że ludzie kierujący tym ruchem sądzą, że zbliżają ludzkość do osiągnięcia szczęśliwości. Zniechęceni zaś udziału w nim nie biorą, sądząc, iż on ludzkość od tego celu oddala. Usuwają się więc tak jedni jak drudzy z samowiedzą lub bezwiednie od zrobienia wysiłku ku wyciągnięciu kraju ze stanu cierpienia. Otóż metoda obserwacyi daje Le Play'owi do ręki probierz, którym panującą teoryę zwalcza, nie poglądami lecz faktami dowodząc, że z jednej strony chimerą jest liczyć na idealne panowanie pokoju, gdyż człowiek jest ułomny i wolny. Ale też i fatalne prawo, skazujące na niemoc i zwątpienie rozbitka, nie istnieje, gdyż pomyślność zawsze i stale jest rezultatem wypełnienia praw zasadniczej konstytucyi, a cierpienia dopiero skutkiem naruszenia takowych.

Z równą bystrością kreśli nasz obserwator i myśliciel przebieg pomyślności i cierpienia w dziejach nowożytnych. Z upadkiem ces. Rzymskiego, przez najście ludów pochodzących z plemion rybackich północnych i pasterskich wschodnich, potężnych siłą konstytucyi zasadniczej, wytwarzają się narody, które chrześcijaństwo utrwala, wyrabiając w nich klasy przewodnie, będące chlubą wieków średnich. Od IX. wieku, zepsucie duchowieństwa, na krótko zażegnane impulsem zakonów, przenika wszystkie klasy przewodnie, zwracając je do ducha gwałtu starej Galii i Germanii w wojnie stuletniej. Ludwik XI., Karol VIII. i Ludwik XII. pracują nad poprawą. Impuls odrodzenia z Włoch i Hiszpanii przez Francyę i Niemcy na północ, rozwija sztuki i rzemiosła, wzmaga bogactwo, lecz jednocześnie i nierówność. Wzięcie Konstantynopola wypiera do Włoch, wraz ze znakomitościami inteligencyi i zepsucie upadłego cesarstwa wschodniego. Odkrycie Ameryki, obok olbrzymiego dodatniego wpływu na rozwój ludzkości, ma i ujemny: rozbudzenie żądzy złota i ducha gwałtu. Z Włoch, po wojnie 1494 wracająca armia francuska szerzy zepsucie w ojczyźnie. Walezyusze 1515—1589 r.

smutne Medycyuszów tradycye w życie wprowadzają. I odrysowywać się zaczynają dwa kierunki: ducha tradycyi i ducha nowości. Ludzie pokoju dążą do zharmonizowania się; ludzie gwałtu przez krytykę, nie już obyczaju, ale zasad, osłabiają podstawy społecznej konstytucyi zasadniczej, a objąwszy ster ruchu społecznego, wiodą do wojen religijnych. Impuls zerwania daje Luter r. 1525 i Kalwin r. 1543; a zepsucie ciągłe klas przewodnich z jednej, wyłączności ducha nowości z drugiej strony, wiedzie pod wpływem kardynalnego błędu do przewrotu 1789 r. i otwiera w naszych czasach erę nowej stoletniej wojny.

Obok tego obrazu pełnego grozy, bystry spostrzegacz odsłania typy społeczności, dziś istniejące w stadyum traw [1], organizacyi tak trwałej i potężnej, iż mogą zasilać i reformować swem zetknięciem nawet wielkie narody osiadłe [2]. Przedstawia dalej typy harmonii ducha tradycyi z duchem nowości w narodowościach geografią pominiętych, a objętych w większe kompleksa państwowe, w stadyum machin lub nawet węgla, ukształtowanych w rodziny szczepowe i rządzących się wzorowo swobodną inicyatywą lokalną.

Trzy wielkie mocarstwa Anglia, Stany Zjednoczone i Chiny, na rasach trwałych oparte, osiągają w czasach naszych pomyślność, dzięki harmonii prawa moralnego, ze zdobywaniem chleba, dzięki zgodzie ducha tradycyi z duchem nowości, mimo, iż ulegały i ulegają jak cała ludzkość wpływowi złego; te mocarstwa, które rozwojem materyalnym i intellektualnym zdobyły, w krótkim stadyum węgla, środki rozprzestrzenienia się znacznie przewyższające obszar cesarstwa Rzymskiego, są żywym i namacalnym dowodem, iż zawdzięczają swe powodzenie, jak dowodzi Le Play, z a s a d n i c z e j k o n s t y t u c y i s p o ł e c z n e j, na której są oparte, nie zaś p o l i t y c z n e j, jak to o Anglii np. twierdzą ci, co nie wiedzą, lub nie chcą wiedzieć, jak dalece tam duch konstytucyi społecznej przeniknął konstytucyę p o l i t y c z n ą [3]. Chiny swą bez-

---

[1] Rasy pasterskie w górach Atlasu, Tiau Chau, Syberyi w Himalayach i Tybecie, nad Uralem i Wołgą, ob. Constitution essentielle, str. 148.

[2] Dwojedańcy nad rzeką Obi, płacący dwojaki haracz, będąc zarówno Rosyi jak Chin lennikami.

[3] Porównać La Reforme Sociale 5 tom. III. §. 61 p. t.: L'esprit de la

przykładną w dziejach ludzkości trwałością, swe czterdziestowiekowe istnienie zawdzięczają jedynie harmonii podstaw społecznych.

Szczupłe rozmiary tej pracy nie pozwalają nam zapuścić się z autorem w jego ciekawe studya o konstytucyi społecznej tych wyjątkowych państw. Na szczególną jednak uwagę zasługuje baczność Le Play'a, zwrócona ku Chinom. Przyszłość tego olbrzymiego narodu, w obec parcia z Zachodu prądu stadyum węgla, przeludnionego już dziś terytoryzmu i wobec przyswajania sobie wynalazków i owoców postępu w dziedzinie pracy i środków wojennych, jest „najciekawszem zagadnieniem historyi" ludzkiej.

Żadna kwestya społeczna nie jest żywotniejszą dla równowagi europejskiej i przyszłości świata całego, jak kwestya przyszłego ustosunkowania wielkich mocarstw. W obec ich niezmiernej i bezprzykładnej w dziejach ludzkości potęgi, pozostałe [1] państwa europejskie mając ograniczoną ekspansyę na inne części świata, przez to samo, że wielkie je zagarnęły, pozbawione są korzystania ze stadyum węgla w całej pełni. Winne więc skonfederować się na podstawie wspólności pojęć o 2 potęgach ludzkości, aby nie zniknęły z powierzchni ziemi. A znikną niezawodnie wśród rozterki społecznej, militaryzmem spotęgowanej [2]. Aby osiągnąć to skonfederowanie się, należy, aby „drobne państwa" pozbyły się ducha gwałtu, a przejęły się w interesie własnej konserwacyi duchem pokoju; jest to jedyna dla nich droga wyjścia z błędnego koła, z którego wychodzą zwycięzko wielkie mocarstwa. Aby to wykluczenie ducha gwałtu a zapanowanie ducha pokoju nastąpiło, należy podjąć reformę. Tę zaś zacząć wypada od

---

constitution Britannique orae, d'Organisation du travail. 3. 1871, str. 39, 186–8, 198, 229.

[1] Ob. Graficznie przedstawiony: „Diagramme des territoires" w końcu statystycznej tablicy str. 202—3 Constitution Essentielle. Ciekawa ta tablica wykazuje przewidywany wzrost ludności wielkich mocarstw, gdy dojdą do obecnego stanu zaludnienia terytoryów państw małych, wynosi on obecnie 828 milionów, a wyniesie wówczas 3125 milionów, czyli niemal cztery razy ludność ich się powiększy, kiedy równocześnie małe państwa zaledwie 10% zyskać są w stanie, tj. z 199 na 219 milionów wyrastając.

[2] Taka jest konkluzya Le Playa, mylnie zrozumiana przez autora art. wstępnego „Czasu" Nr. 89.

reformy idei, a dopiero pośrednio, pod jej powolnym wpływem, reforma instytucyi osiągniętą zostanie [1]. (Dok. nast.)

Achiles Breza.

[1] Cezar Cantu inicyując na konkursie medyolańskim (fundacyi prof. Ravizza) wybór tematu rozprawy konkursowej „La famille selon les idées de M. Le Play", w tym widocznie kierunku rozumie przeprowadzenie reformy, zaczynając od reformy pojęć, a w pojęciach tych pierwsze miejsce daje stanowisku rodziny, którą naprawić, to tyle co naprawić społeczeństwo. Z nieznanym przy otwarciu konkursu autorem, zapoznano się szybko i 18 rozpraw przed zamknięciem konkursu 31 czerwca 1884 r. do oceny złożono — wpłynie to bezwątpienia na odrodzenie pojęcia o rodzinie we Włoszech.

przykładną w dziejach ludzkości trwałością, swe czterdziestowiekowe istnienie zawdzięczają jedynie harmonii podstaw społecznych.

Szczupłe rozmiary tej pracy nie pozwalają nam zapuścić się z autorem w jego ciekawe studya o konstytucyi społecznej tych wyjątkowych państw. Na szczególną jednak uwagę zasługuje baczność Le Play'a, zwrócona ku Chinom. Przyszłość tego olbrzymiego narodu, w obec parcia z Zachodu prądu stadyum węgla, przeludnionego już dziś terytoryzmu i wobec przyswajania sobie wynalazków i owoców postępu w dziedzinie pracy i środków wojennych, jest „najciekawszem zagadnieniem historyi" ludzkiej.

Żadna kwestya społeczna nie jest żywotniejszą dla równowagi europejskiej i przyszłości świata całego, jak kwestya przyszłego ustosunkowania wielkich mocarstw. W obec ich niezmiernej i bezprzykładnej w dziejach ludzkości potęgi, pozostałe [1] państwa europejskie mając ograniczoną ekspansyę na inne części świata, przez to samo, że wielkie je zagarnęły, pozbawione są korzystania ze stadyum węgla w całej pełni. Winne więc skonfederować się na podstawie wspólności pojęć o 2 potęgach ludzkości, aby nie zniknęły z powierzchni ziemi. A znikną niezawodnie wśród rozterki społecznej, militaryzmem spotęgowanej [2]. Aby osiągnąć to skonfederowanie się, należy, aby „drobne państwa" pozbyły się ducha gwałtu, a przejęły się w interesie własnej konserwacyi duchem pokoju; jest to jedyna dla nich droga wyjścia z błędnego koła, z którego wychodzą zwycięzko wielkie mocarstwa. Aby to wykluczenie ducha gwałtu a zapanowanie ducha pokoju nastąpiło, należy podjąć reformę. Tę zaś zacząć wypada od

---

constitution Britannique orae, d'Organisation du travail. 3. 1871, str. 39, 186–8, 198, 229.

[1] Ob. Graficznie przedstawiony: „Diagramme des territoires" w końcu statystycznej tablicy str. 202–3 Constitution Essentielle. Ciekawa ta tablica wykazuje przewidywany wzrost ludności wielkich mocarstw, gdy dojdą do obecnego stanu zaludnienia terrytoryów państw małych, wynosi on obecnie 828 milionów, a wyniesie wówczas 3125 milionów, czyli niemal cztery razy ludność ich się powiększy, kiedy równocześnie małe państwa zaledwie 10% zyskać są w stanie, tj. z 199 na 219 milionów wyrastając.

[2] Taka jest konkluzya Le Playa, mylnie zrozumiana przez autora art. wstępnego „Czasu" Nr. 89.

reformy idei, a dopiero pośrednio, pod jej powolnym wpływem, reforma instytucyi osiągniętą zostanie [1]. (Dok. nast.)

Achiles Breza.

[1] Cezar Cantu inicyując na konkursie medyolańskim (fundacyi prof. Ravizza) wybór tematu rozprawy konkursowej „La famille selon les idées de M. Le Play", w tym widocznie kierunku rozumie przeprowadzenie reformy, zaczynając od reformy pojęć, a w pojęciach tych pierwsze miejsce daje stanowisku rodziny, którą naprawić, to tyle co naprawić społeczeństwo. Z nieznanym przy otwarciu konkursu autorem, zapoznano się szybko i 18 rozpraw przed zamknięciem konkursu 31 czerwca 1884 r. do oceny złożono — wpłynie to bezwątpienia na odrodzenie pojęcia o rodzinie we Włoszech.

PRZED 800 LATY.

Na dniu 25 maja 1085 r. umierał w Salernie papież-wygnaniec, Grzegorz VII. z słowami na ustach: *Dilexi justitiam, odio habui iniquitatem, ideo morior in exilio.* A jednak Europa była naówczas katolicką, i ledwo pół wieku minęło od śmierci świątobliwego cesarza Henryka II., który całe życie będąc najposłuszniejszym synem Kościoła, jako reprezentant najwyższej władzy świeckiej, zawarł z najwyższym przedstawicielem władzy duchownej, Benedyktem VIII. konkordat w Bambergu 1020 r., zabezpieczający harmonią i miłą zgodę obojej władzy dla dobra „rzeczypospolitej chrześcijańskiej". Cesarz brał w obronę papieża i Kościół i ojcowiznę św. Piotra przed napaścią siły brutalnej, aby niezależny od świeckich potęg papież i Kościół, mógł swobodnie wykonywać duchowne rządy i spełnić swoją cywilizacyjną misyę w społeczeństwach. Papież zaś nadawał wyższą bożą sankcyę cesarskiej koronie i pozwalał jej mieć swego stałego reprezentanta przy boku Stolicy św. i dawać głos stanowczy w wyborze papieża, który odtąd z rąk rzymskiego ludu miał przejść do szlachty rzymskiej. Wszystko więc ułożyło się cudownie i zapowiadało złotą erę spokoju w Europie. Konkordat bamberski był zresztą tylko zatwierdzeniem polityki cesarzów z domu saksońskiego, dążących do podniesienia narodu niemieckiego do pierwszorzędnej chrześcijańsko-cywilizacyjnej potęgi, za pomocą Kościoła i nauk grecko-łacińskich. Wielkość państwa, oparta na podstawie wielkości Kościoła oto ideał cesarzów, jak dwaj pierwsi Henrykowie i trzej Ottonowie.

Nie ta była myśl przewodnia cesarzów z domu frankońskiego. Wielkość państwa mieli i oni na celu, ale oprzeć ją pragnęli na

zdruzgotaniu wielkości Kościoła, który chcieli zamienić w swoją służebnicę, a szereg papieży niegodnych, jak Benedykt IX., i Sylwester III. dziwnie im pomagał do tego. Już też zaraz pierwszy frankoński cesarz Konrad II. bierze w obronę wygnanego przez panów rzymskich Benedykta IX., wprowadza go do Rzymu, otacza swą strażą a tem samem czyni go zależnym od siebie. Równocześnie łamie i kruszy potęgę biskupów, wakujące stolice obsadza swemi kreaturami, nie bacząc, czy to mężowie kościelni, *viri ecclesiastici*, ale czy to dworacy, *homines aulici*. Z równą bezwzględnością gniecie i dusi wasalów świeckich, księstwa i ziemie przyłącza do korony a władzę koncentruje w swej monarszej osobie. „Mąż ten, z którym runęła głowa i potęga świata“, jak się wyraża kronika hildesheimeńska, umiera 4 czerwca 1039 r. w Utrechcie, „nie opłakiwany przez nikogo“; panowie nie cierpieli praw swoich ciemiężcy, duchowieństwo, co lepsze, nie kochało gwałciciela Kościoła. Syn jego, Henryk III. pójdzie tą samą drogą, zabierze się nawet do reformy Kościoła, tępiąc symonią i konkubinat księży, ale uczyni to na własną rękę, dla wzmocnienia monarszej władzy, nie dla naprawy i świetności Kościoła. Stolicę św. ujarzmi do reszty, nadając prawo wyboru papieża ludowi rzymskiemu na to, aby to prawo wraz z patryarchatem rzymskim z rąk jego wziąć dla siebie i swoich następców. Stanowi też Henryk III. papieży, jakby swoich urzędników, zmusza do złożenia tiary symoniackich papieży Benedykta IX. i Sylwestra III.; burmistrzuje na synodzie w Sutri 1046 r., Grzegorza VI., który trapiony szkrupułami, że drogą symonii, acz w szlachetnym celu dostał się do tyary, złożył takową dobrowolnie, odstawia do Wormacyi, a wprowadza na papiestwo trzech z kolei Niemców, Klemensa II., Damaza III. i Leona IX., słowem, konstantynowskie *imperium mundi*, władztwo nad światem wykonuje i nad Kościołem.

Nie lepiej się działo z biskupami. Tych, którzy wraz z pastorałem dzierżyli książęcą władzę, *regalia*, mieli własną juryzdykcyą i prawo wybierania ceł i bicia monety, mianował i instytuował cesarz, nie pytając się o pozwolenie papieskie. Czynili to samo w swoich państewkach książęta i panowie lenni, wasalowie cesarza i książąt, a symbolicznym wyrazem tej zależności biskupa od świeckiej władzy była *investitura*, oddanie biskupowi przez świeckiego księcia pastorału i pierścienia. A jak w forytowaniu na biskupie stolice

patrzały świeckie pany na dworaczość, rycerskość i polityczne talenta swego nominata, nie zaś na jego obyczaje i kościelne usposobienie, tak znów ci łaską pańską na godność wyniesieni dostojnicy nie troszczyli się wiele ani o papieża, ani o Kościół, ani o owieczki swoje, ale o to jedynie, jak przypodobać się i przysłużyć swemu suzerenowi i panu i jak najwięcej nagromadzić pieniędzy, aby żyć wystawnie i używać. Nawet rozdawnictwem niższych dygnitarstw kościelnych, probostw i prebend szafowali świeccy panowie, „sprzedając je więcej dającemu“, drogą jawnej niemal licytacyi, simonią. Za pieniądze też biskupi święcili kapłanów i konsekrowali biskupów.

Obok tej symoniackiej ambicyi, popychającej nierzadko do zdzierstwa i okrucieństw, dwie inne brzydkie wady plamiły duchowieństwo: obyczajowa rozwiązłość i nieuctwo. „W całych Włoszech, woła ze smutkiem świątobliwy kardynał Piotr Damiani, trudnoby było znaleść kapłana czystych obyczajów“, a gdzieindziej nie było lepiej. Cesarze z domu saksońskiego dbali wielce o to, aby na biskupie stolice dostawali się ludzie naukowo wykształceni, a wznoszące się z dniem każdym klasztory, przyjmujące sporą liczbę uczniów dochodzących, *discipuli exteriores*, jak benedyktyńskie klasztory w Herford (Erfurcie), Nordhausen, Kwedlinburgu, Hildesheimie i t. d., oraz szkoły katedralne po wielu miastach i wyższe szkoły prawa w Rzymie, Rawennie, Bolonii, Florencyi, Bergamo, w Benewencie i Luce, ułatwiały adeptom stanu duchownego naukę. Ale odkąd biskupami stawali się dworacy lub łakomce symoniacy, albo młodsi synowie pańskich rodów, chciwi dochodów i rycerskich przygód, odtąd wykształcenia świeckiego kleru zaniedbano zupełnie. Nie było też wtenczas i długo jeszcze potem seminaryów, czyli szkół duchownych. Zwyczajnie żonaci, t. j. w konkubinacie żyjący księża swoich synów sposobili do stanu duchownego, wyuczywszy ich czytania po łacinie i liturgii. A nawet klasztory Benedyktynów, to główne ognisko pobożności i kultury umysłowej za Sasów, poczęło chwiać się w swej karności i naukowości, zarażone tchnieniem ducha czasu. Trudno sobie wyobrazić bardziej upokarzającej i bardziej niebezpiecznej doli Kościoła, i gdyby on nie był instytucyą bożą, musiałby zachwiać się w swych posadach i runąć niechybnie z początkiem XI. wieku. Nie zachwiał się wszakże i nie runął. Założyciel jego, Chrystus Pan, obmyślił środki

i sposoby ratunku, i wybrał za narzędzie tego właśnie papieża-wygnańca, który, lat temu 800, d. 25 maja żywot swój zamknął w Salernie.

Żaden z papieży nie doczekał się u współczesnych i u potomności tylu wielbicieli i tylu oszczerców, jak Grzegorz VII., i samo wyliczenie tytułów dzieł o nim rozprawiających, zajęłoby jaką stronicę bitego druku. Ta jedna okoliczność dowodzi aż nadto wielkości Grzegorza VII.; nie uwielbia się bowiem, nie nienawidzi tego, co mierne. Nie myślę też pisać ani biografii tego papieża, ani historyi jego wieku; podniosę tylko kilka momentów z tego żywota pełnego przygód i czynów, dla nauki i pociechy dzisiejszego pokolenia, bo nic nowego pod słońcem, a historya mistrzynią życia.

I.

Pomimo niesłychanej różnicy urządzeń polityczno-państwowych, stosunków społecznych, i cywilizacyjno-naukowych warunków dzisiaj a lat temu 800, zachodzą pewne punkta styczne między XIX-tym a XI-tym wiekiem. Charakterystyką naszej doby jest dążność do wskrzeszenia starorzymskiego władztwa nad światem, *imperii mundi* a drogą do tego stworzenie u siebie w domu wszechwładzy państwa, bez różnicy, czy formą rządu jest monarchia absolutna lub konstytucyjna, czy republika: *salus reipublicae suprema lex esto:* interes państwa, oto najwyższe prawo dla rządów i parlamentów, dla dyplomacyi i administracyi państwowej. Dziwnem zbiegiem okoliczności stało się, że te same Niemcy, które w XI. w. z frankońskimi władcami na czele gniotły swoją przewagą Europę, także za dni naszych dążą do hegemonii nietylko w Europie ale w świecie całym i już do pewnego stopnia zdobyły ją sobie; zaprzeczyć się bowiem nie da, że od lat 15 żadna ważniejsza sprawa nie odbyła się bez ich przeważnego wpływu. Prawda, że przewagę tę zawdzięczają Niemcy osobistym przymiotom księcia Bismarka, ale grunt pod nią przygotowali Frydryk Wilhelm elektor wielki, a jak głębiej sięgniemy w historyą, to przekonamy się, że już margrabiowie z domu askańskiego pierwsze ziarno do tego posiewu rzucili. Twarda, bezwzględna, brutalna niemal konsekwencya towarzyszyła polityce i rządom Hohenzollerów,

margrabiów brandenburskich i królów pruskich; książę Bismarck, znalazł już grunt wybornie przygotowany, nie stworzył, ale wziął gotowy już system, rozwinął go tylko na wielką skalę i wykończył należycie znów z tą samą żelazną bezwzględnością, jaka cechowała poprzednikow jego. Rzecz jasna, że w tak utworzonej wszechwładzy państwa stopnieć musiały wszystkie resztki chrześcijańskich tradycyj. Inni mężowie stanu i mocarze czynili to częściowo, wywracając i niszcząc rzecz samą zostawiali przynajmniej formę, zachowali pewne *decorum* w tym swoim powrocie do poganizmu, który od traktatu westfalskiego zastąpić miał w wielkiej polityce i dyplomacyi a niebawem i w urządzeniach społecznych, zasady i tradycye chrześcijańskie. A jak w onem *imperium romanum* „boski cezar" był zarazem najwyższym kapłanem, *Caesar imperator et pontifex maximus*, a religia służyła polityce państwowej i jej była niewolnicą, tak po wszystkie czasy monarchowie lub mężowie stanu, dążący do ideału starorzymskiego państwa konieczną loiką faktów gnani, dążyć musieli do obalenia wszelkiej, nawet moralnej i duchowej potęgi, którąby w ramy państwa wtłoczyć się nie dała.

To jest klucz do zrozumienia wszelkich zatargów władzy świeckiej z Kościołem, o których wspomina historya. Inaczej być nie mogło. Starorzymskie państwo opierało się na sile i było jej konkretnym wyrazem, jakby wcieleniem siły. Kościół opiera się na zakonie Chrystusowym i był i jest konkretnym wyrazem moralnego porządku rzeczy: dwie te instytucye, z dwóch przeciwnych elementów złożone, ostać się razem nie mogą — ztąd walka. Za czasów Merowingów i Sasów przeważył Kościół; państwo musiało brutalną swą siłę miarkować moralnem prawem, którego głosicielem i tłumaczem Kościół a względnie papież. Cesarze frankońscy próbują rozerwać więzy nałożone ich władzy moralnem prawem Kościoła, i dlatego nie mogąc go zniszczyć, pragną zawładnąć nim, ujarzmić go, aby Kościół służył państwu. Warunki, jak wspomnieliśmy wyżej, sprzyjały po temu. W młodych ówczesnych społeczeństwach, potomkach dzikich Alanów, Gotów, Wandalow, tkwiło jeszcze mnogo niesfornych, barbarzyńskich pierwiastków, których prawo moralne Kościoła, cywilizacya chrześcijańska nie przerobiła, nie przesiąkła i nie okiełznała jeszcze. I jakże wyglądały społeczeństwa ówczesne? Masy

ludu, lubo ochrzczone, wierzące, ale grube, ciemne, bezmyślne i na pół dzikie; szlachta krewka, butna, do swawoli, do pijatyk i rozboju skora, do nauki i ćwiczenia duchowego leniwa, rozkoszy żądna, nie o wiele głębiej pojmowała ducha Chrystusowej wiary, jak ten lud ciemny, nad którym przewodziła. Najwięcej jeszcze elementu cywilizacyjnego przedstawiały miasta, ale te — gęsto porosłe we Włoszech i Francyi, zaledwo dźwigać się poczynały w Niemczech. Wyjątkowe postacie wielkich Świętych, biskupów lub mnichów i pobożnych niewiast nie były w stanie zrównoważyć ogromu złego. Takie grube, surowe żywioły korzą się łatwo przed siłą; przyjmą i moralne prawo i ucywilizują się, ale tylko wtenczas, gdy po za tem prawem uczują siłę. Nie przejęte, nie przesiąkłe jeszcze poczuciem moralności będą niemym świadkiem wszelkich nadużyć władzy świeckiej i jej powolnem narzędziem, bo dla nich gdzie siła tam prawo. To też w Galii pomimo tysięcy wyznawców wiary Chrystusowej wtenczas dopiero zapanowało prawo moralne, gdy król Klodoweusz został chrześcijaninem. Bonifacego dzieło nawrócenia Niemiec ustalił dopiero cesarz Karol Wielki. Tak było wszędzie. Jednostki a nawet pojedyncze rodziny zdolne są zrozumieć i przyjąć naukę Chrystusową nawet w czasach starorzymskiego państwa, mimo prześladowań krwawych; ale ludy i narody całe nie przychodzą do Chrystusa inaczej, tylko za przykładem swych królów i książąt bo w nich czują siłę.

Tej krewkiej, namiętnej, surowej młodzieńczości społeczeństw za czasów Konrada II. i Henryka III. przypisać należy w wielkiej części zepsucie obyczajowe i korupcyą, która szpeciła hierarchią Kościoła, duchowieństwo. Księża, biskupi, papieże, wyszedłszy z łona społeczeństwa, wśród którego żyli, wnosili tem samem z sobą wady jego i namiętności do stanu duchownego, a znów ani organizacya Kościoła nie była do tyla wykończoną, ani ogólno-cywilizacyjne instytucye, jak akademie i szkoły do tyla liczne i świetne, ażeby z tych surowych żywiołów wyrobić charaktery zacne i wielkie, zdolne do abnegacyi i poświęcenia i do pracy apostolskiej sposobne, i ztąd ten rażący widok żonatych księży, swawolnych biskupów, symoniackich papieży. Dopieroż gdy tym rozhukanym ujemnym żywiołom przyjdzie w pomoc protekcya książąt i panów świeckich zachęta, jak to miało miejsce za cesarzów frankońskich — to już

wpływ moralny Kościoła, jego powaga i władza przystępu tam nie znajdzie — złe róść musi i olbrzymieć. Rozumieli to doskonale w XI. wieku cesarze frankońscy; rozumieją to i za dni naszych mężowie stanu, dążący do wszechwładzy państwa i w przeprowadzeniu swoich antykościelnych aspiracyj liczą wiele na korupcyą kleru; dosyć przypomnieć owo głośne prawo pruskie *Brodkorbgesetz*, odejmujące pensyą i dochody biskupom i księżom, niechcącym uznać praw majowych, albo owo forytowanie przez rząd pruski starokatolików z pseudobiskupem Reinkens'em na czele.

Z drugiej zaś strony moralne rozpasanie duchowieństwa i jego nieuctwo nie mogło jak tylko najfatalniej oddziałać na wyższe stany i lud; ten pozostawał w ciemnocie, bo nie miał kto nad nim pracować; tamci zaś gardzili księdzem lub biskupem, który im nie imponował ani cnotą ani nauką, a w dodatku ośmielali się ich przykładem do złego, w wytykaniu ich wad i grzechów usprawiedliwienia własnej niecnoty szukając. Był to więc *circulus vitiosus*, zaklęte koło, droga bez wyjścia. A jednak znalazł się ktoś kto zaklęte to koło przerwał i drogę wyjścia wskazał.

W dziejach ludów chrześcijańskich, zakony odgrywają ważną dodatnią rolę, należy się też im osobna karta w historyi. W wiekach X., XI. i XII. zasłynęła kongregacya Benedyktynów kluniackich. Wyjęta z pod juryzdykcyi biskupów i wszelkiej władzy świeckiej, jedynie jeneralnemu opatowi i papieżowi podległa, kongregacya ta liczyła w pierwszej połowie XI. w. a więc w epoce najsmutniejszej dla Kościoła, 150 klasztorów, między niemi nasze opactwo tynieckie, a w nich przeszło 10.000 zakonników — później cyfry te doszły do 2000 klasztorów, a 100.000 zakonników — odznaczała się wysoką asceza i umysłowem wykształceniem swych członków, pracą naukową w szkołach, gościnnością, hojnością dla ubogich, bogactwem majątków i szerokim wpływem moralno-politycznym. Co tylko było goretszych, podnioślejszych umysłów w Francyi i Niemczech, wszystko to cisnęło się do Kluniaku, albo z nim zawiązywało ożywione stosunki, a kluniaccy opaci Odilo i Hugo stali się wyrocznią monarchów, podporą papieży, mecenasami nauki i sztuki. W murach Kluniaku gościli papieże, królowie, książęta. Pokazało się i tutaj, że niezależność od władzy świeckiej stała się głównym warunkiem wielkiej duchowej potęgi instytucyi, która upadać poczęła

natychmiast, skoro władza świecka, królowie francuzcy i możne rody arystokratyczne wpływać poczęli na elekcye opatów, a niebawem rządy opactwa przekazali t. z. komendataryuszom opatom.

Z Kluniaku też rozchodził się na cały świat chrześcijański okrzyk oburzenia na podwójne, opresyą władzy świeckiej i korupcyą obyczajów, spowodowane spodlenie Kościoła i nawoływanie do reformy. Pracowano nad nią na zjazdach i synodach prowincyonalnych, ale dzieło reformy nie postępowało naprzód, bo mięszali się do niego ludzie niepowołani w ambitnych, egoistycznych widokach, cesarze jak Henryk III. i panowie świeccy, a prawowita władza duchowna papieży rzymskich właśnie dla tej opresyi przez władzę świecką, okazała się bezsilną. Pomiędzy tymi, którzy najgłębiej czuli i boleli nad smutną dolą Kościoła i podźwignienia jego z upadku gorąco pragnęli, był młody mnich kluniacki Hildebrand, urodzony w Rzymie, według innych w Toskanii, z rzymskiej pańskiej rodziny Aldobrandeschi, wychowany starannie przez wuja swego, pobożnego kapłana kościoła Najśw. Maryi Panny na Awentynie, a potem przez arcyb. z Amalfi Wawrzyńca, i archipresbitera rzymskiego Jana Gratiani, późniejszego Grzegorza VI., poświęcił się stanowi duchownemu i pomimo młodego wieku był doradzcą Grzegorza VI., a po abdykacyi onego na synodzie w Sutri 1046 r., towarzyszył mu do Niemiec i w Kluniaku przywdział habit benedyktyński. Ówczesny opat Hugo, który od 24 roku życia przez lat 60 przewodniczył świetnie kongregacyi kluniackiej, otoczył go swoją przyjaźnią, a na ćwiczenie zakonne oddał go świętobliwemu mnichowi (który dla starości dobrowolnie złożył opactwo Kluniaku) Odilonowi. Niezadługo nasz Hildebrand został dla swej nauki i cnoty przeorem klasztoru, a po śmierci Grzegorza VI. (prawdopodobnie w Kluniaku) wysłano go jako kaznodzieję do Spiry na dwór cesarza Henryka III. Tu zastał go i poznał bliżej świeżo obrany na zjeździe w Wormacyi 1048 r. przez cesarza, prałatów, panów i deputatów rzymskich, papież Leon IX. (Bruno biskup z Toul) i zaprosił z sobą do Rzymu. Odmówił Hildebrand, dowodząc, że „jak każdego biskupa, tak i biskupa rzymskiego obierać powinien jego kler i lud“. Podobała się ta śmiała mowa pobożnemu papieżowi, opowiedział mu szczegóły swej elekcyi i opór, jaki jej zrazu stawiał, zwierzył się przed nim z swoich zamysłów oswobodzenia Kościoła z pod wpływów świec-

kich i ze zgorszeń kleru, raz jeszcze prosił, aby chciał mu być pomocny w tem zbożnem dziele. Zgodził się Hildebrand pod warunkiem wszelako, że papież jako prywatny pielgrzym podróż swą odprawi do Rzymu, i że wybór swój wormacyjski uprawomocni i zatwierdzi elekcyą rzymskiego kleru i ludu, na co gdy chętnie przystał Leon IX., podążył z nim Hildebrand do Rzymu i stanął tam w lutym 1049 r.

Odtąd przez lat blisko 40 Hildebrand już to jako kardynał i archidyakon Kościoła rzymskiego, już to jako papież dąży do urzeczywistnienia idei rzeczypospolitej chrześcijańskiej, pod hegemonią rzymskich papieży. *Respublica christiana* nie była pojęciem obcem X. i XI. wiekowi, ale rozumiano przez to przedewszystkiem społeczeństwo świeckie skonfederowanych książąt pod wodzą cesarza, albo federacyę księstw i państewek pod egidą cesarstwa. Wyzyskali to pojmowanie rzeczy cesarze frankońscy i powoli rzpltę chrześcijańską przekształcali na *imperium romanum*, na cezaryzm, któremu jak ongi za Oktawiana Augusta, ulegać ma i najwyższe kapłaństwo, pontyfikat i Kościół. W myśl Hildebranda wszystkie ludy chrześcijańskie, tworzyć miały jedną wielką rodzinę, uznającą papieża za głowę swoją i przedstawiciela Chrystusowego, a książęta, króle i cesarze jako zwierzchnicy różnych gałęzi tej wielkiej rodziny poddani być mieli supremacyi papieża, iżby między nimi a Stolicą św. zapanował stosunek podobny do stosunku wazali do swego suzerena. Myśl ta niebyła utopiją, opierała się ona na ówczesnych urządzeniach polityczno społecznych, a w gruncie rzeczy nie była czem innem, jak przywróceniem zasady prawo przed siłą, zamiast zaprowadzanej przez frankońskich cesarzy maksymy: siła przed prawem. To też myśl ta stała się rzeczywistością; przez 300 lat papieże dzierżą w ręku ster spraw świata *imperii reipublicae christianae*; nic się bez przemożnej a dobroczynnej ich przewagi nie stało, są rozjemcami królów, obrońcami uciśnionych, powaśnione narody nakłaniają do zgody i wiodą je w bój wzniosły, ascetyczny, bo dla idei uwolnienia ziemi św. z rąk pohańców, pielęgnują nauki, tworzą akademie i coraz to nowe instytucye cywilizacyjne, wysyłają misyonarzy do pogańskich ludów i nowe Kościołowi i Chrystusowi zdobywają krainy: są w całem słowa znaczeniu mentorami książąt, edukatorami ówczesnych społeczeństw, ojcami chrześcijaństwa. Pod-

waliny do tej wielkości prymacyalnej Stolicy św. Piotra, w której pewna szkoła historyków nic, oprócz ambicyi i chęci tyranizowania sumień ludzkich dopatrzeć się nie umie, położył Hildebrand, Grzegorz VII.

Przybywszy, jak wspomnieliśmy wyżej, do Rzymu z Leonem IX., był świadkiem pokornego wjazdu tego papieża 12 lutego 1049 i zatwierdzonej przez duchowieństwo i lud jego elekcyi. Od tego też dopiero dnia papież używać począł tytułu i nazwy Leona IX., i wystąpił publicznie, jako ojciec chrześcijaństwa. Był to pierwszy walny krok, podjęty za inicyatywą Hildebranda, na drodze wyzwolenia Kościoła z pod państwa; na razie nie można było uczynić więcej. Za to znów za poradą Hildebranda, mianowanego świeżo kardynałem subdyakonem i ekonomem Kościoła rzymskiego, zabrał się papież do leczenia drugiej plagi Kościoła, symonii i rozpusty duchowieństwa. Skoro bowiem Kościół miał być instytucyą wolną od ingerencyi państwa, to hierarchia jego odznaczać się powinna taką czystością obyczajów i wyższością moralną, iżby wszystkim, nieprzyjaciołom nawet swoim, nakazała cześć i szacunek. Moralnie upadłe instytucye pójść muszą wcześniej czy później w przemoc obcą; rozumiał to dobrze kard. Hildebrand, parł więc na pobożnego Leona IX., aby coprędzej zwołał synod do Rzymu. Odbył on się na wiosnę 1049 r., wielu biskupów z różnych krajów stawiło się na nim. Wszystkie dawniejsze dekreta przeciw synonii zatwierdzono ponownie, łagodząc ich surowość w ten sposób, że ordynowani przez symoniackich biskupów kapłani, mogą spełniać swe funkcye duchowne odprawiwszy pierwej 40-dniową pokutę; na przyszłość jednak symonia ściąga karę klątwy i wieczną suspensę od funkcyj duchownych. Także co do niemoralności księży wznowiono dawne dekreta soborów, księżom w Rzymie i w miastach kazano mieszkać razem w klasztorach; kobiety ich pozbawiono praw cywilnych i zamknięto w Lateranie jako niewolnice. Tego jeszcze roku w Zielone świątki odbył się pod przewodnictwem papieża synod w Pawii, i też same na nim co w Rzymie uchwalono dekreta. Niedosyć na tem, za radą kard. Hildebranda Leon IX. przeprawił się przez Alpy do Niemiec, w Kolonii spotkał się z Henrykiem III. d. 29 czerwca 1049 r., i o wykonanie dekretów przeciw symonii nalegał; herszta rokoszan przeciw cesarzowi, Godfryda księcia lotaryńskiego wyklął, pokutę

jego przyjął i rokosz zażegnał. W jesieni 1049 r. widzimy Leona IX. we Francyi u grobu św. Remigiusza w Reims, odprawiającego synod prowincyonalny, pomimo oporu króla francuskiego Henryka, który znaczną część prałatów zabrał z sobą na wyprawę wojenną przeciw buntującym się wazalom. Synod w Reims odbył formalne śledztwo co do symonii i obyczajów nad zebranymi tam biskupami i prałatami, sądził czterech podejrzanych o te występki biskupów, wyklął wszystkich biskupów, którzy wezwani na synod nie przybyli i swej absencyi nie usprawiedliwili, oraz wyklął imiennie 4 biskupów, którzy samowolnie wyjechali podczas obrad synodu i takowe opuścili, i arcybiskupa hiszpańskiego z Kompostelli, który przywłaszczał sobie nazwę apostolskiego biskupa. Wyklął dalej francuzkich hrabiów Engelreda i Eustachego za kazirodztwo, Hugona de Braine za odpędzenie żony; zabronił księciu Normandii Wilhelmowi żenić się z bliską krewną swoją, hrabianką Flandryi; zacytował przed sąd przyszłego synodu w Moguncyi hrabiego z Anjou za to, że więził biskupa z Mans, wyklął wszystkich, którzy przeszkadzali zebraniu się synodu, a więc i samego króla Henryka, a wreszcie wydał 12 kanonów krótkich a stanowczych, usuwających symonią i lichwę z pośród kleru, kazirodztwo i rozwody z pośród świeckich.

Zrozumiano teraz w Francyi, że jest w kościele bożym władza, i słuchano jej. Lud usunął się od wyklętych prałatów i zmusił ich do opuszczenia swych stolic. Strach padł na występnych księży i rozpustnych panów, bo szereg nowych synodów zapowiedziany został w Reims, a każdy z nich był dla nich trybunałem sądowym.

W powrocie z Francyi zatrzymał się Leon IX. w Moguncyi i odprawił tam synod dla Niemiec w obecności cesarza Henryka III., wielu panów, pięciu arcybiskupów i przeszło 30 biskupów. Lubikona biskupa Spiry sądzono o cudzołostwo, wydano srogie kanony przeciw symonii i niemoralności kleru i polecono ścisłe ich wykonanie. Tak więc i Niemcy zrozumiały wreszcie, że w kościele bożym jest władza.

W rok potem angielski król Edward wyprawia do Rzymu, do Leona IX., czterech posłów z prośbą, o rozstrzygnięcie sporu między nim a panami[1]. Leon IX. odprawiał synod w Lateranie,

[1] Król ten będąc na wygnaniu, ślubował w razie powrotu na tron, piel-

na którym potępiono błędnika Berengaryusza i prowadzono dalej wewnętrzną reformę Kościoła, zwolnił króla od ślubu pielgrzymki do Rzymu, a nakazał za to wybudować klasztor Westmunsterski. Król duński Swenon na polecenie papieża oddala od siebie bliską krewnę, którą wbrew przedstawień Adalberta, biskupa hamburskiego chciał pojąć za żonę. Raz jeszcze papież przejdzie Alpy w 1052 r., w Augsburgu spotka się z cesarzem, zapośredniczy przez legata swego Hugona opata Kluniaku, zgodę między nim a królem węgierskim Andrzejem, przyjmie w lenność Stolicy św. królestwo Węgier, poskromi butę i swawolę arcybiskupa Rawenny Humfryda i biskupa z Frysingen Nizona, naczelników opozycyi antipapiezkiej w Niemczech, nakłoni cesarza do oddania Stolicy św. opactwa Fuldy na wymianę za księstwo Benewentu, uzyszcze nawet od niego pomoc zbrojną na poskromienie napadów Normanów, którzy w dwa lata potem posłusznymi synami Kościoła się staną. Równocześnie posłowie papiezcy, kard. Humbert, arcyb. z Amalfi Piotr i kanclerz Kościoła rzymskiego dyakon Frydryk, brat Gotfryda księcia lotaryńskiego, późniejszy papież Stefan IX., pracują w Konstantynopolu nad przytłumieniem schyzmy patryarchy Ceraliusza. Słowem władza papiezka za Leona IX. odzyskuje swoją żywotność, ma ona przeważne słowo do powiedzenia we wszystkich sprawach Europy; liczyć się z nią musi cesarz i królowie i możne pany, lękać się jej muszą symoniaccy i skażonych obyczajów prałaci i księża. Wielka w tem zasługa świętobliwości Leona IX., ale też nie mała tej zasługi cząstka spada na doradzcę Leonowego, Hildebranda.

Wiedziano o tem w Rzymie, a skoro Leon IX. w sile wieku, bo liczył zaledwo lat 50, zamknął ten żywot 19 kwietnia 1054 r., kler i lud rzymski polecił kard. Hildebrandowi, aby przeprowadził u cesarza Henryka III. wybór papieża, „w razie gdyby w Rzymie nie znaleziono odpowiedniego okolicznościom politycznym papieża“, jak się wyraził Leon z Ostyi, tj. takiego, któryby odzyskał przewagę Kościoła nad państwem, potrafił trzymać w ryzach Normanów w Apulii, którzy mogli łatwo złamać daną Leonowi posłuszeństwa

---

grzymkę do Rzymu. Odzyskawszy tron, chciał spełnić swój ślub. Rada królewska opierała się temu, obawiając się pod nieobecność króla rozruchów i buntów domowych.

przysięgę i przeprowadził do końca dzieło reformy w łonie Kościoła. Hildebrand zwrócił swe oko na biskupa Gebharda z Eichstaedt, kanclerza i krewnego cesarskiego, męża wielkiej prawości charakteru i znajomości spraw publicznych, przeprowadził jego wybór najprzód u kleru i ludu rzymskiego i z gotową już elekcyą podążył do Moguncyi, gdzie Henryk III. sejm państwa odbywał. Pomimo oporu cesarza i samegoż Gebharda, uzyskał wreszcie na zjeździe w Augsburgu 1055 r. przyjęcie elekcyi rzymskiej i przywiózł nominata do Rzymu, który też 13 kwietnia 1055 r. wstąpił na stolicę Piotrową jako papież Wiktor II.

Był to drugi walny krok kard. Hildebranda na drodze wyswobodzenia Kościoła z pod supremacyi państwa. Inicyatywa elekcyi i sama elekcya papieża wychodzi, zkąd wyjść była powinna, od kleru i ludu rzymskiego, cesarz nagina się do niej po kilkomiesięcznym oporze; biskup Gebhard przyjmując wreszcie ofiarę, żegna cesarza słowy: „chociaż czuje się niegodnym Stolicy świętej, będę posłuszny, i duszą i ciałem oddam się św. Piotrowi, byleś ty, cesarzu, oddał św. Piotrowi co mu się należy". To też Wiktor II. idzie drogą Leona IX., zwołuje w tym jeszcze roku 1055 synod do Florencyi, na którym obecny jest cesarz Henryk III., zatwierdza dawne dekreta Leonowe przeciw przywłaszcicielom dóbr kościelnych, symoniakom i rozpustnym duchownym, wyklina ponownie Berengaryusza, a kardynała Hildebranda wysyła w charakterze legata papieskiego do Francyi, aby koniec położyć symonii. Legat zwołał synod do Lyonu, biskupa lyońskiego przekonanego o symonią złożył z biskupstwa, co tak przeraziło innych, że 45 biskupów i 27 prałatów winnych symonii dobrowolnie swe godności złożyło. Drugi synod odprawił legat w Tours, potępił ponownie Berengaryusza i załatwił w imieniu papieża spór o tytuł cesarski między Ferdynandem I. królem Kastylii a cesarzem Henrykiem III. na korzyść tego ostatniego. Szereg synodów dyecezalnych i synod prowincyonalny w Toulouzie odbył się w tym czasie w Francyi, a wszystkie ożywione duchem kard. Hildebranda, dążyły do wykorzenienia symonii, poprawy obyczajów kleru, i utrwalenia tak zwanej *treuga Dei*, która w owych burzliwych czasach okazała się bardzo skutecznym środkiem cywilizacyjnym. To też powaga Stolicy św. rosła z dniem każdym, zwłaszcza, że przy boku cesarza stał spowiednik jego, Hanno, arcybi-

kup koloński, który cesarskiego penitenta swego twardo trzymał, naznaczając nieraz za pokutę odprawienie dyscypliny i znaczne jałmużny. Za radą Hannona zaprosił cesarz papieża na zjazd najprzód do Goslaru, potem do Bothfeld, a czując się chorym i bliskim śmierci wyznał publicznie swe winy, polecił zwrócić wydarte Kościołowi dobra duchowne i uprosił u papieża i zebranych stanów zatwierdzenie na króla niemieckiego sześcioletniego syna swego Henryka IV., którego też ukoronowano w Achenie 21 czerwca 1054. W kilka miesięcy potem 5 paźdz. umarł cesarz Henryk III.

Papież stanął teraz na czele *imperii reipublicae christianae* jako najwyższa duchowna władza i jako opiekun małoletniego Henryka IV., w imieniu którego regencyą sprawował arcyb. Hanno i matka cesarzowa Agnieszka i natychmiast zapośredniczył zgodę między zbuntowanemi wazalami, flandryjskim hrabią Baudouin i księciem lotaryńskim Godfrydem a Henrykiem IV. Kościół brał górę nad państwem, prawo nad siłą. Niedługo potem umarł Wiktor II. 29 paźd. 1056 w Toskanie; przy łożu konającego stał nieodstępny jego doradzca kard. Hildebrand. Kler i lud rzymski tak już był pewny praw swoich, że nie czekając na powrót Hildebranda, z własnego popędu zawezwał na papiestwo kardynała Fryderyka lotaryńskiego, i pomimo jego oporu dokonał elekcyi jego w Bazylice św. Piotra w Okowach. Nazajutrz odbyła się konsekracya i koronacya papiezka u św. Piotra. Nowy papież przyjął imię Stefana X., odprawił natychmiast kilka synodów w Rzymie, aby raz wreszcie położyć koniec klerogamii i kazirodztwom wśród możnych. Rozpustnych księży, nawet po oddaleniu od siebie nieprawej żony, odsądził raz na zawsze od kapłaństwa i wygnał z Rzymu. Równocześnie przeprowadził reformę kongregacyi benedyktyńskiej *de Monte Cassino,* a na wyleczenie dyecezyi medyolańskiej z simonii wyprawił trzech legatów: naszego kard. Hildebranda, kardynała Piotra Damiana i Anzelma biskupa z Lukki. Jakby w przeczuciu przyszłych walk z Henrykiem IV., który wtenczas jeszcze był chłopięciem, nosił się z myślą oddania korony cesarskiej bratu swemu Godfrydowi, kciu lotaryńsko-toskańskiemu, i w tym celu wybrał się na dwor książęcy do Toskany, ale niebawem zapadł w ciężką niemoc i umarł w Florencyi 29 marca 1058. Przed wyjazdem swoim z Rzymu zebrał synod i polecił pod karą klątwy, żeby na wypadek jego śmierci zaczekano z wyborem nowego

papieża na powrót kard. Hildebranda, który podówczas sprawował legacyą na dworze cesarzowej Agnieszki, bo tylko pod jego kierunkiem dokonany wybór zapewnić może Kościołowi godnego papieża.

Stało się inaczej. Na pierwszą wieść o śmierci Stefana X. kilku panów rzymskich przeprowadziło w nocy tłumnie i zbrojno elekcyą Benedykta X. wbrew protestom kardynałów i pomimo klątwy jaką, nastarszy kardynał-biskup Ostyi, Piotr Damian na nich rzucił. Benedykt X. był więc antypapą, nie tyle przewrotny, jak ograniczony, a koronacyi jego dokonał archidyakon ostyjski, zwykły ksiądz „nieumiejący nawet dobrze czytać". To też kard. Hildebrand spieszył, co tchu stało, do Rzymu, a dowiedziawszy się o antypapie w Florencyi, zatrzymał się tam, zwołał kardynałów, biskupów i przedniejszych księży rzymskich, porozumiał się listownie z lepiej myślącymi panami rzymskimi i pod osłoną księcia Godfryda, przeprowadził w Siennie wybór na papiestwo florenckiego biskupa Gerarda, który przyjął imię Mikołaja II. Król Henryk IV. a raczej regencya jego zgodziła się chętnie na tę elekcyą.

I zaraz na synodzie rzymskim w kwietniu 1059 r. przeprowadził nowy papież za poradą Hildebranda ważną zmianę w elekcyi papieża. Odtąd już nie kler i lud rzymski, ale kardynałowie tylko obierać mają papieża, kler i lud dają swoje przyzwolenie. Cesarz rzymski tylko na podstawie przywileju Stolicy św. przywiązanego do osoby a nie do godności cesarskiej, ma prawo zatwierdzić obranego w ten sposób papieża. Był to trzeci walny krok na drodze oswobodzenia Kościoła z pod przewagi państwa; radykalny zarazem środek przeciw symonii na stolicy Piotrowej. Na synodzie w Malfi w Apulii przyjął papież przysięgę wierności od normandskich książąt, Ryszarda księcia Kapuy i Roberta Guiskarda księcia Apulii i Kalabryi, i oddał im rzeczone księstwa jako lenno Stolicy św. Tym sposobem zyskał Kościół pomoc skuteczną na przyszłość przeciw możliwym ingerencyom cesarstwa, a na razie przeciw panom rzymskim przywłaścicielom dóbr kościelnych i rozbójnikom, których wojska normandzkie zniosły do szczętu. Równocześnie szereg synodów w Rzymie, we Włoszech i w Francyi pracował nad wytępieniem niemoralności kleru i simonii protegowanej, bo zyskownej, przez świeckich książąt. W Niemczech tylko, gdzie wpływ cnotliwego Hannona słabnął z dniem każdym, a dwaj przebiegli a łakomi dworacy, Adal-

bert arcyb. Bremy i hr. Werner opanowali umysł młodziutkiego króla, sprzedawali za pieniądze biskupstwa, prebendy i urzęda, możni zaś biskupi i panowie wydzierali zakonnikom opactwa i krwawe o nie staczali boje; zapowiedziany synod w Wormacyi nie przyszedł do skutku, pomimo że legat papieski Anzelm biskup z Lukki dokładał wszelkich starań. Zabolał ciężko nad tem papież i gromki list wystósował do Hannona. Pobożny ten ale gwałtownego nieco charakteru prałat podjudzony namową doradzców królewskich, odpowiedział papieżowi groźbą klątwy i detronizacyi z papiestwa, co tak zmartwiło Mikołaja II., że wnet potem „z aprehenzyi“ umarł w czerwcu 1061 r.

I znów kardynał Hildebrand ratuje godność Stolicy św. Nie zważając na to, że kardynała Stefana legata od Stolicy św. nie przypuszczono nawet do posłuchania u cesarzowej Agnieszki i z nieodpieczętowanemi listami precz odprawiono, że na synodzie a raczej zjeździe w Bazylei świeckich panów i kilku występnych biskupów potępiono i anulowano wszystkie rozporządzenia Mikołaja II. a samowolnie nadano Henrykowi IV. tytuł patrycyusza rzymskiego i koronowano go królem; przeprowadził łącznie z kardynałami i w porozumieniu panów rzymskich prawowity wybór Anzelma biskupa z Lukki na papieża, który przyjął imię Aleksandra II. i koronował się 30 września 1061 roku. Na nic się nie przydał wybór antypapy Cadalous'a, symonią i rozpustą głośnego biskupa Parmy, dokonany z namowy niemieckiego dworu przez dwóch podobnych mu biskupów z Werceli i Placencyi i herszta rozbójników włoskich, hr. Gwiberta. Wlazł on siłą zbrojną do Rzymu, szafował hojnie złotem, ale wygnany przez wojsko ks. Godfryda wasala Stolicy św., błagać musiał o życie i skrył się w Parmie. Ten sam Hanno, który tak groźne listy pisał do Mikołaja II., dołożył teraz wszelkich starań, aby synod w Osbor'ze (Augsburgu) złożył niegodnego antypapę, co się też i stało 27 paźd. 1062 r. Co więcej, udał się sam osobą swoją do Rzymu 1064 r. Przyjęty uprzejmie przez papieża, rzekł mu zbyt dobrodusznie: „bracie Aleksandrze, jakże mogłeś przyjmować papiestwo bez rozkazu i przyzwolenia mego, króla i pana; królowie bowiem są od niepamiętnych czasów w posiadaniu tego prawa“. Na to podniósł się obecny tej wizycie kard. Hildebrand: „wierzaj mi, rzekł, że według kanonów, królowie nie mają żadnego prawa do

wyboru papieża". Wywiązała się dłuższa o tym przedmiocie dyskusya, w której brali udział inni także kardynałowie. Arcyb. Hanno dał się przekonać i w imieniu swego króla uznał Aleksandra II. papieżem. Odtąd aż do chwili objęcia rządów przez Henryka IV., Stolica św. miała spokój od Niemiec; Kościół żył w zgodzie z państwem.

Przy boku nowego papieża stał kardynał Ostyi, św. Piotr Damian i nasz Hildebrand. Za ich poradą synod Rzymski 1063 r. zreformował księży świeckich przy katedrach biskupich na sposób zakonny; wspólną mieli żywność, mieszkanie, pacierze w chórze, słowem, wspólną regułę życia; nazywano ich też dlatego kanonikami regularnymi a instytucya ta przyczyniła się wielce do świetności stolic biskupich i podźwignienia moralności wśród świeckiego kleru. W częstych w owej epoce sporach przemożnych biskupów z kongregacyami zakonnemi i opactwami nie udawano się już do królów i książąt o rozjemstwo, lecz zawsze do Stolicy św. Na pierwszą wiadomość o zamiarze rozpustnego Henryka IV. porzucenia swej żony Berty, arcybiskup moguncki, w imieniu episkopatu niemieckiego udaje się do Aleksandra II. o radę i pomoc. Legat papieski, Piotr Damiani przybywa na walny zjazd do Frankfurtu 1069 r., przedstawia królowi w imieniu papieskiem niegodziwość zamysłu, grozi klątwą i odmówieniem cesarskiej korony — i Henryk IV. pogodził się z żoną. W rok potem papież przyzywa do Rzymu, nie oglądając się wcale co na to co powie Henryk IV., arcybiskupów Sygfryda mogunckiego, Hannona kolońskiego i biskupa bamberskiego Hermana, daje im twardą reprymendę za to, że sprzedają kościelne godności, że święcą symoniaków i z nimi przestają, przyjmuje ich wyznanie winy i obietnicę poprawy i surową na przyszłość grozi karą. Co więcej, mianowanego przez króla Henryka IV. biskupa konstancyjskiego Karola, podejrzanego o symonią, zabronił papież konsekrować arcybiskupowi Sygfrydowi. Nalegał król, opierał się Sygfryd z obawy przed papieżem, zwołał do Moguncyi 1071 r. synod, który miał roztrzygnąć sprawę. Król zaprzysiągł, jako żadnych pieniędzy nie wziął od Karola, pomimo to nie dokazał swego, a Karol odesłał mu pastorał i pierścień, twierdząc, że według dekretów Celestyna papieża nie godzi się być biskupem tam, gdzie go nie chcą.

Orgie rozpusty, gwałty i bezprawia Henryka IV. i jego zbrojnej drużyny, bezczelna frymarka, jaką ten król praktykował z opactwami i biskupstwami, iż już trudno było w Niemczech znaleść biskupa lub prałata wolnego od zarzutu symonii i rozpusty, wszystko to wyczerpało miarę cierpliwości jego poddanych. Kilku zacniejszych biskupów z świętym Benonem na czele, wielu możnych panów i zacnej szlachty saskiej zaniosło skargę na króla przed papieża, a równocześnie upomniało króla, że jeżeli nie zaprzestanie burzyć kościół boży, gorszyć i tyranizować poddanych, to mu wypowiedzą otwartą wojnę, jako „barbarzyńskiemu ciemiężcy chrześcijaństwa“. Właśnie podtenczas arcyb. Hanno i bamberski biskup Herman przybyli do Rzymu, jako posłowie króla. Papież wręczył im list pozywający Henryka IV. do Rzymu, przed sąd Stolicy św., aby się usprawiedliwił z ciężkich zarzutów o symonią, bezprawia i brzydkie występki. Był to ostatni akt Aleksandra II., który wnet po wręczeniu pozwu Henrykowi IV. zszedł z tego świata 20 kwietnia 1073 r., było to nowe zwycięstwo zasady: prawo przed siłą — i znów przeważna część zasługi w tem dziele należy się Hildebrandowi, który i elekcyą Aleksandra II. przeprowadził i we wszystkich ważnych i trudnych sprawach był nieodstępnym jego towarzyszem i doradzcą. (Dok. nast.)

Ks. Stanisław Załęski.

PAMIĘTNIKI PREFEKTA POLICYI.

Souvenirs d'un préfet de police par L. Andrieux.

Na początku bieżącego roku, dziennik paryski *la Ligue* rozpoczął drukować w odcinku Wspomnienia prefekta policyi, obecnie zebrane w dwa tomiki, noszące ten sam tytuł. Książka narobiła wiele hałasu, nie tyle może dla treści, jak z powodu stanowiska autora. Na wstępie ostrzedz winniśmy, że nie kwalifikuje się na budującą lekturę dla dorastającej młodzieży. Zawiedzie się mocno, kto sądząc z tytułu, szukać w niej będzie wielkich sekretów policyjnych, lub na wiarę spisu rzeczy, tajemnic masońskich, lecz uważny czytelnik znajdzie mnóstwo szczegółów, świadczących, czem jest i co warta partya dziś Francyą rządząca, gdzie ona idzie i jaki duch nią kieruje.

Autor urodził się w Lyonie w 1840 r. Wychowany w zakładzie naukowym, utrzymywanym przez księży, przystał do liberałów i republikanów. Zostawszy adwokatem w rodzinnem mieście wszedł do loży masońskiej, piastował nawet godność członka rady najwyższej wolnomularstwa francuskiego. Po upadku cesarstwa, był czas jakiś prokuratorem Rzeczypospolitej, zasiadał i zasiada w Izbie deputowanych, należał do owych 363, co obalili prezydenturę marszałka Mac-Mahon'a, jest filarem dzisiejszych rządów, a od roku 1879 przez lat dwa i kilka miesięcy pełnił urząd prefekta policyi w Paryżu. Człowiek z taką przeszłością, rozumny i niepospolicie sprytny, dzielnie przytem władający piórem, miałby niemało do opowiedzenia, gdyby chciał i mógł wytrząść do dna worek swoich wspomnień. Nie mając zamiaru palenia mostów za sobą i zerwania z własnem stronnictwem, już tem samem nie mógł się wszystkiem z publiczno-

ścią podzielić. Pisząc dla dziennika, którego jest właścicielem, chciał czytelników przyciągnąć i zaciekawić, obok tego zaś i siebie pochwalić i różnym przeciwnikom pięknem za nadobne odpłacić, i wreszcie ludziom pokazać, że we Francyi rzeczy nie idą tak, jakby iść powinny. Ulotna publikacya jest nielitościwą satyrą na teraźniejsze rządy republikańskie, na rzeczy i ludzi. Jakie są właściwie przekonania i opinie autora, tego nikt się nie dowie. W wielu miejscach jasno daje do zrozumienia, że dzisiejsza republika a niedorzeczność to jedno i toż samo, że oportunizm rujnuje kolejno wszystko, na czem Francya stoi, że rządy Izby deputowanych są niedołężne i wręcz pryncypiom republikańskim i zdrowemu rozsądkowi przeciwne, ale wszystko i wszystkich niemiłosiernie wydrwiwszy, rady i lekarstwa nie podaje, bo sam nie ma gruntu stałego i punktu oparcia, a zdaje się być gotów przykładać rękę do rzeczy, przez siebie najmocniej potępianych, jak wykonywał dekreta przeciwko zgromadzeniom zakonnym, które w swoim czasie naganiał i teraz wyśmiewa.

W prefekturze policyi p. Andrieux odziedziczył po poprzedniku wielki nieład i rozprzężenie. Uderzywszy się w piersi, powinienby przyznać, że on sam do dzieła się przyczynił, dopomagając do doskonalenia się instytucyj republikańskich wedle ideału swego stronnictwa. „Liberalizm, powiada jeden z lepszych tegoczesnych publicystów francuskich i gorący zwolennik liberalnych zasad [1], dą„żył do przeniesienia rządów z rąk władz tradycyjnych w ręce na„rodu, reprezentowanego przez swoich wybrańców. Na miejscu da„wnej zasady osobistego panowania dziedzicznego naczelnika, stawiał, „jeśli nie *de jure*, to *de facto*, wszechwładztwo narodu, wykonywane „za pośrednictwem rodzaju selekcyi. Pochlebiano sobie, że tym spo„sobem stanie rząd bardziej narodowy i lepszy, łączący w sobie „summę zdolności społeczeństwa i służący jedynie interesom kraju. „Podczas gdy monarcha, odosobniony na tronie, zdawał się nie „módz odkryć i skupić wszystkich ludzi najlepiej usposobionych „do życia publicznego, naród wprost zapytany, powinien był takich „ludzi odrazu i bez trudu wynaleść. Podczas gdy monarcha, pod „wpływem przesądów dynastycznych i intryg dworskich, zdawał się

[1] Anatole Leroy-Bealieu. Les mècomptes du libéralisme. Revue des deux Mondes 15 Mai 1885.

„dbać jedynie o dobro swego rodu lub kasty, władza wyszła z wnę-
„trzności narodu, powinna była słuchać tylko głosu dobra powsze-
„chnego. Następstwa zadały kłam obietnicom liberalizmu. Rządy
„reprezentacyjne rzekomo na woli narodu oparte, doprowadziły
„wszędzie, gdzie drogę wolną znalazły, do rządów większości, czyli
„do panowania stronnictw. Każde stronnictwo stanowi gatunek ar-
„mii, wiecznie wojującej o zdobycie władzy. Po zwycięztwie, stron-
„nictwo, które władzę zdobyło, zamyka się i barykaduje jak w for-
„tecy; wyparte ztamtąd nie cofa się przed gwałtem i podstępem,
„byle odzyskać straconą pozycyę. W teoryi rządy reprezentacyjne
„obiecywały erę pokoju i zgody; w życiu prowadzą do wojny usta-
„wicznej, do rządu stronniczego i często ciemiężącego, a co więcej,
„teorya zawiodła i na innym punkcie, nie zdołała złożyć władzy
„w ręce ludzi najświatlejszych i najgodniejszych. Przypuszczenie
„wszystkich bez wyjątku do wszystkich urzędów obniżyło poziom
„intelektualny i moralny ludzi politycznych i urzędników; polityka
„zamiast się oczyszczać, poczęła psuć się coraz bardziej, walać ręce,
„co ją robią, i ludzi, co z niej żyją. W niejednym kraju kwiat spo-
„łeczeństwa usuwa się od życia publicznego, które stało się rzemio-
„słem i przemysłem, wymagającym więcej śmiałości i intrygi, ani-
„żeli inteligencyi i nauki. Dla największej części polityków z pro-
„fesyi, polityka jest sztuką robienia dobrych interesów kosztem pu-
„bliczności, i czem sfera życia politycznego bardziej się rozszerza,
„tem z niższych warstw wychodzą ludzie polityczni i tem bezwsty-
„dniej eksploatują społeczeństwo. Rozszerzenie prawa wyborczego
„i zerwanie się do życia politycznego demokracyi, grozi Europie przy-
„wróceniem tych właśnie nadużyć, które liberalizm chciał znieść
„bezpowrotnie. Pod płaszczykiem demokracyi i wolności odradzają
„się najgorsze niecnoty monarchij absolutnych: faworytyzm, nepotyzm,
„sprzedajność, gra giełdowa, żebractwo urzędów, grabież grosza pu-
„blicznego, handel urzędami i łaskami. Zamiast żywić arystokracyę
„przedpokojową i dworactwo, nadużycia tuczą plebejuszów i pochleb-
„ców ludu. Jak niegdyś monarchizm z Bożej łaski, tak lud wszech-
„władny ma swoich dworaków, faworytów i pasożytów, chciwych,
„drapieżnych, bezwstydnych, korzystających z głupoty i łatwowier-
„ności swego pana i władzcy. Między imionami monarchów najsmu-
„tniej zapisanemi na kartach historyi, trudno znaleść istotę ciem-

„niejszą, a przytem bardziej zarozumiałą, kapryśną i upartą jak ci „nowi władzcy o milionach głów, którym cywilizacya demokratyczna „chce całą powierzyć władzę. Sami rządzić niezdolni, podobni są „do owych książąt niewyszłych z wieku dziecinnego, a urzędownie „uznanych za pełnoletnich. Obcy sprawom publicznym, niezdolni „dobrych sług od złych odróżnić, wpadają w ręce szarlatanów o gład- „kiej mowie. I tak, w społeczeństwach najbardziej oświeconych na „pozór, głosowanie powszechne wydaje przerażające lub śmieszne „owoce; stolica jak Paryż dobiera sobie radę municypalną, w któ- „rej niema ani jednego nazwiska z pomiędzy tych, co zaszczyt „Francyi przynoszą. Po takich przykładach, ironią byłoby powie- „dzieć, że elekcya jest synonimem selekcyi".

Osiadłszy w prefekturze policyi, p. Andrieux zaczął zbierać ziarno własnego posiewu. Selekcya głosowania powszechnego udarowała go radą municypalną i radą departamentową, złożoną z demagogów i komunardów, którzy mu wprawdzie rozkazywać nie mogli, ale mieli prawo pociągać go do tłumaczenia się, interpelować, krytykować, łajać i w oczach ludności miejskiej, oraz podwładnych, poniżać. Selekcya naprowadziła do Izb większość chcącą republikę doskonalić, fundować nieograniczoną wolność obywatelską, *vulgo* samowolę, ale dla siebie tylko i swoich, znosić stare prawa i stare instytucye, stwarzać nowe urządzenia według reguł teoryi. Ci sami ludzie, między nimi i pan prefekt, przez wiele lat zaklinali się na wszystkie bogi, że posiadają monopol mądrości politycznej i sekret dobrego rządu. Przyszedłszy do władzy, zaczęli najprzód wszystko burzyć, ale dotąd nic nowego nie wznieśli. *Ubi solitudinem faciunt, pacem appellant,* powiada p. Andrieux, chętnie przypominający, że Pismo św. czytywał. Dyplomacya, administracya, magistratura przesiane zostały przez sito republikańskie, na urzęda szukano kandydatów coraz niżej, bo tam mieszkać miał prawowierny patryotyzm. Thiers i Mac-Mahon opierali się powodzi, dopóki sił starczyło; p. Grévy założył ręce, zacisnął usta i na wszystko „amen" odpowiadał. Nowe elekcye wywiodły z ukrycia zastęp czystych republikanów, wiernych pełnomocników ludu, czułych na głos publiczny, przemawiający codziennie przez gazety z wspólnej parafii. Gazetom solą w oku stała prefektura policyi. Niemal każdy gazeciarz radykalny miał nieraz w życiu zatargi z policyą,

odgrażał się na siepaczy Cezara i pogromcy komuny; zresztą krzyczeć na policyą było pewnym środkiem zyskania odbytu między ludkiem paryskim, który policyanta nie lubił i nie lubi. Bez względu na nazwę i mundur, policyant zawsze nie pozwala hałasować na ulicy, bierze za kołnierz krnąbrnych obywateli, jest wszędy obecnym uchem, okiem i ramieniem władzy. Cezar poszedł na wygnanie, reakcya była pobita, przyjaciele ludu rządzili, ale policya, rzecz obrzydliwa, nie przestała istnieć i zawadzać. *Latarnia* poczuła w sobie posłannictwo obalenia filaru wszelkich despotyzmów. Ajenci policyjni chodzili z raportami do redakcyi *Latarni*; codzień *Latarnia* ogłaszała opisy nowych zbrodni, którym policya nie zapobiegała, albo wywołała, albo sama spełniła. Kiedy żadna zbrodnia się nie stała, wymyślano niebyłe. Pijacy i włóczęgi przytrzymani na ulicy wołali: poczekajcie, poskarżę się *Latarni!* Żeby dowieść, jak nisko upadło bezpieczeństwo nocne w stolicy, a upadło z winy policyi, która zamiast zbrodniarzy pilnować, śledzi i prześladuje dobrych patryotów, jeden z redaktorów *Latarni* chodził nocną porą krok w krok za spokojnymi przechodniami, straszył zbójeckim gwizdaniem i na gorącym uczynku pojmany został. Stało się to już za rządów p. Andrieux, który *Latarni* się nie bał. Jego poprzednik zapraszał do siebie głównego redaktora *Latarni* na konferencye, ten protegował swoich donosicieli, żądał dla nich awansów, oskarżał innych i kazał ich odsuwać; nakoniec gdy pretensye doradcy za daleko poszły, prefekt wytoczył sprawę przed parlament. Parlament wyznaczył komisyę, ale komisarze sami się cofnęli, nie chcąc nikomu się narazić, i prefekt podał się do dymisyi. *Latarni* i jej przyjaciołom leżało na sercu skasowanie policyi politycznej, a w dalszym ciągu zrobienia z policyi narzędzia fakcyi komunardów, innemi słowy, chciano, żeby policya spokojnych i porządnych ludzi traktowała jak złoczyńców i dopomagała do przywrócenia rządów komuny. Ministrowie wiedząc, czem grozi taka robota, pewni, że rząd pozbawiony ucha, oka i ramienia, ani doby się nie ostoi, w duchu brali stronę policyi i prefekta, ale głośno wystąpić nie bardzo śmieli, bo wisząc na łasce większości przewidywali, że sprawę przegrają. Większość bowiem stała po stronie przeciwników policyi. Jedni czuli wstręt nieprzełamany do instytucyi, która trudniła się dozorem politycznym, rzeczą w ich oczach zdrożną, niezgodną z zasadami wolności i równości. Ten sam wstręt

spotyka się zawsze i wszędzie u doktrynerów liberalnych, nowicyuszów politycznych, retorów parlamentarnych, dusz poczciwych i naiwnych, chcących rządzić ludźmi, jak stadem czystych duchów. U nas, w r. 1831, ile razy dyrektor jeneralny policyi przychodził do rządu, pan Wincenty Niemojowski mierzył go pogardliwym wzrokiem i czemprędzej salę opuszczał, na znak, jak brzydzi się człowiekiem i jego rzemiosłem. A cóż dopiero mówić o republikanach francuskich w dzisiejszej Izbie tak obfitych, o zaszarganej przeszłości i teraźniejszości, mających na sumieniu moc sprawek policyi wiadomych. Na teraz i na później potrzebowali w prefekturze swego człowieka, któryby im najprzód pooddawał *les dossiers*, kartony z ich historyą, a następnie zamykał oczy na dalsze operacye prywatne i publiczne.

P. Andrieux takim człowiekiem nie był. Sekretarz prefektury na wstępie wręczył mu uświęconym obyczajem *le dossier L. Andrieux*, który teraz spoczywa w szufladzie biblioteki byłego prefekta. Względem bliźniego, p. Andrieux postępował na opak, zaglądał do dawnych kartonów i starannie pomnażał dokumenta. Czując ważność służby policyjnej w tak olbrzymiem mieście, wśród ludności zbałamuconej i rozzuchwalonej, choć niegdyś był antagonistą siepaczów Cezara, powziął mocne postanowienie przywrócenia ładu i karności mocno nadwyrężonej. Pokazało się, że kto ma władzę i umie jej używać, ten sobie da rady. Żeby złamać przemoc *Latarni*, kazał ją skonfiskować za rozsiewanie fałszywych wieści, obronił się w Izbie i dokazał, że jego podwładni przestali drżeć przed *Latarnią* i chodzić tam z donosami. Wiceprezesa rady municypalnej, demagoga z długą brodą i włosami, mianował naczelnikiem policyi municypalnej. Ministrowie kiwali głowami na taki wybór, ale stał się mały cud: dygnitarz się ostrzygł, ucichł i swoje robił, jak każdy inny. Jeśli wszystko jest prawdą, co autor opowiada o swoich sztuczkach prefektoralnych, trzeba mu oddać sprawiedliwość, że dowcipem i sprytem nie każdy mu dorówna.

Policya z obowiązku powinna wszystko wiedzieć, a choć nie o wszystkiem dowiaduje się w porę, wie podobno więcej, niż pospolicie myślimy. Żeby dużo wiedzieć, musi wglądać nawet w życie prywatne i towarzyskie. Niekoniecznie trzeba być przestępcą, konspiratorem albo podejrzaną figurą, żeby mieć swój karton w poli-

cyi; w Paryżu ma go każdy mężczyzna, wyróżniający się stanowiskiem czy majątkiem, każda kobieta odznaczająca się pięknością i elegancyą. Mniej więcej tak samo dzieje się wszędzie na świecie. Policya zbiera i chowa materyały biograficzne najdrobniejsze, nawet wycinki kronikarskie z dzienników, bo nie wiadomo, co kiedy przydać się może. Każdy minister i znaczny mąż ma anioła stróża, który czuwa nad jego całością, a wieczorem pisze raport o każdym jego kroku. O zwyklejszych śmiertelnikach raportują korespondenci, zgłaszający się sami, z różnych pobudek, najczęściej dla miłego grosza. Portyer donosi o swoim domu, służba o państwu, i tak dalej. Prawda mięsza się z plotką, złość nieraz spowoduje fałszywą denuncyacyę, o tem policya wie z doświadczenia lepiej niż ktokolwiek i dlatego jest zazwyczaj oględną i dyskretną.

Wiadomo powszechnie, że żaden spisek nieco rozgałęziony, żaden zamach zbiorowy, nie uszedł całkowicie wiadomości władz interesowanych. Przed zabójstwem cesarza Aleksandra wiedziano co się gotuje i że tuzin bomb znajduje się w rękach spiskowych; dziewięć bomb policya zabrała, trzech pozostałych szukano i te posłużyły do spełnienia zamachu, bo cesarz pomimo ostrzeżeń, nie chciał czekać z wyjazdem, aż wszystkie narzędzia zbrodni będą wyłowione. Co do spisków i zamachów, policya dopina swego najczęściej, przekupując słabego na duchu uczestnika przedsięwzięcia, który w zgromadzeniu kolegów najgłośniej krzyczy, a następnie wspólną zdradza tajemnicę. Na tym punkcie delikatnym policye wszystkich krajów często przekraczają dozwolone granice, wszelka broń uchodzi za godziwą, organ władzy nierzadko przemienia się w prowokatora, już to w skutek rozkazu z góry, już to przez gorliwość, w widokach zyskania nagrody. Nie idzie przecież zatem, żeby literalnie przyjmować baśnie o systematycznej korupcyi, sianej przez policyę, lub też o zamachach przez policyę urządzanych. Człowiek sprzedający drugich jest już moralnie upadły. Jeśli policya dopomaga w urządzaniu zamachów, dostarcza pieniędzy na piekielne machiny, to dla łatwiejszego ujęcia i przekonania winnych. Prawdziwe nadużycia należą do wyjątków; pochodzą ztąd, że z jednej strony służba policyjna nie rekrutuje się między śmietanką społeczeństwa, a ma do czynienia z ludźmi, co nic nie szanują i w środkach nie przebierają. Ze stanowiska absolutnej moralności, dałoby się wiele zarzucić na-

wet niejednej sztuczce, opowiedzianej przez p. Andrieux. Dostarczył pieniędzy na kaucyę i wydawnictwo tygodnika *La révolution sociale*, pod redakcyą „wielkiej obywatelki“ Luizy Michel. „Dać dziennik „anarchistom, znaczyło tyle, co urządzić telefon między konspiracyą „a biórem prefekta policyi. W osobie mego pełnomocnika, który „złożył kaucyę i utrzymywał pismo, zasiadałem codziennie za stołem „redakcyjnym, pomiędzy naczelnikami partyi czynu; bywałem przy„tomny otwieraniu korespondencyi międzynarodowej; otwierałem zda„nie co do środków ukrócenia eksploatacyi człowieka przez czło„wieka“. Jednym z takich środków miało być wysadzenie w powietrze dynamitem pałacu, w którym Izby obradują. Medytowano nad tem długo, zastanawiano się, czy nie lepiej zacząć od banku, ministeryum spraw wewnętrznych, albo innego gmachu. Brakowało dostatecznej ilości dynamitu i odwagi; *pour se faire la main* postanowiono na początek podłożyć minę pod posąg Thiersa w Saint-Germain. „Jechałem, powiada prefekt, do Saint-Germain, przez „prokuracyę; wiozłem stare pudełko z sardynek, naładowane ba„wełną piorunującą, z za drzewa przypatrywałem się, jak podłożono „blaszankę pod fotel, na którym siedzi wielki mieszczanin“. Zapaliwszy lont, sprawcy uciekli co tchu i dopiero w Paryżu dowiedzieli się, że posąg stoi jak stał, tylko na postumencie została plama zakopcona. I w końcu pokazało się, że kodeks kryminalny nie wystarcza do ukarania sprawców zamachu; co najwięcej, mogli być pociągnięci przed sąd poprawczy za nocne burdy. Wracając do rzeczy, w jednym i drugim razie policya chodziła niezupełnie prostą drogą, ale cóż ma czynić społeczeństwo, żeby się bronić od bandy dynamitardów? Mszczą się na społeczeństwie francuskiem stare grzechy, burzenie rozmyślne boskiego i przyrodzonego porządku, usuwanie religii i księdza od nauczania; mszczą się i nowe grzechy; w ich liczbie amnestyonowanie komunardów, które Gambetta przeprowadził, żeby nie stracić głosów przy wyborach.

A kiedy mowa o policyi, dodajmy, że o spiskach i zamachach rządy dowiadują się często i inną, lepszą drogą, naturalniejszą. Czasem spiskowcą ruszy sumienie i dla spokoju sumienia odkryje co się święci, czasem człowiek dobrej woli dowie się przypadkiem o złem jakiem dziele i przestrzeże. Oto jest fakt autentyczny, zaszły w Niemczech około r. 1865. Polska rodzina wraca wieczorem do

domu; służący oznajmia, że na biórku leży list, przyniesiony przez *Dienstmanna*. Nie patrząc na adres, otwierają pismo tej treści: „Osoba podróżująca po Niemczech dowiedziała się o przysposobio„nym zamachu na życie Napoleona III.; bomby Orsiniego, przy„wiezione z Anglii, złożono u studentów Polaków w *Quartier La„tin*“. Żadnego podpisu. List adresowany do sekretarza legacyi francuskiej, mieszkającego w tym samym domu, przez pomyłkę oddano na inne piętro. Nie pozostawało, jak list odnieść, wytłumaczyć co zaszło i obiecać dyskrecyę. W parę tygodni potem *Indépendance Belge* doniosła o rewizyach w *Quartier Latin* i znalezieniu bomb. Rząd mający siłę, urok i zaufanie, może być pewny podobnych usług.

Amnestya komunardów wyszła z tego samego źródła, co i rozpędzenie zgromadzeń zakonnych. „Naczelnicy oportunizmu oparli „swoją popularność i fortunę polityczną na nierozważnych obietni„cach, porobionych ludności robotniczej wielkich miast“. Innemi słowy przyrzekali proletaryatowi raj na ziemi, życie wygodne bez pracy, i dotrzymać nie mogli. Gambetta podpisał program wyborców w dzielnicy Belleville, obejmujący między innymi punktami zniesienie stałej armii, rozdział między państwem i Kościołem i t. d., rzeczy, których robić wcale nie myślał, bo chciał panować i rządzić. Wypadło „stopniowo przygotować wyborców do zawodu“ niechybnego, obrzezać program, uciszyć „tę znaczną frakcyę demokra„cyi, która, wedle okoliczności, nazywa się ogonem, głową, albo „sercem partyi“; dostarczyć jej żeru, chwilowo zająć i zadowolnić. Dla ugłaskania zawiedzionych mas, przywołano z wygnania komunardów, których rząd się jak ognia obawiał; rozniecono namiętności anti-religijne i wywołano *Kulturkampf* demokratyczny. Gambetta rzucił hasło: *Le cléricalisme, voici l'ennemi;* pod tem hasłem odbyły się wybory 1877 r. „Przez czas długi zgłodniali kontentowali „się pożeraniem księży; liberałom zachody około gnębienia cudzej „wolności, kazały zapomnieć troskę o zabezpieczeniu własnej wol„ności“. Za cenę rozpędzenia zgromadzeń zakonnych, Gambetta kupił poparcie Izby.

Zkąd większość Izby zaczerpnęła nienawiść do wiary katolickiej, Kościoła, klasztorów, duchowieństwa? Z rozmaitych źródeł, ale mię-

dzy niemi niepoślednie zajmuje miejsce sekta wolnomularska. Zaraz się to pokaże.

O początkach wolnomularstwa, nic pewnego nie wiadomo. Filiacya lóż od kabały, Templaryuszów i innych sekt średniowiecznych, polega na domysłach i kombinacyach. W dzisiejszej formie loże wypłynęły na jaw na początku XVIII. wieku (1717) w Londynie. Anglicy zakładali pierwsze loże we Francyi i w Szwajcaryi, pod zwierzchnictwem wielkiej loży londyńskiej. Organizacyę, rytuał, symbole pożyczono u stowarzyszenia mistrzów i pomocników „Królewskiej sztuki budowniczej". W drugiej połowie XVIII. wieku, sekta, rozgałęziona po całej Europie, rozdrobniła się na mnóstwo odnóg, których związku między sobą dojść prawie niepodobna. Z początkiem bieżącego stulecia, sekta podzieliła się na oryenty narodowe. Skorzystał z tego głównie Napoleon I., aby sektę podciągnąć pod nadzór rządowy. Dał jej mistrza ze swego ramienia, najprzód arcykanclerza Cambaceressa, później króla Józefa. Ten porządek utrzymał się aż do naszych czasów. Za Napoleona III. wolnomularstwo francuskie otrzymało egzystencyę prawną pod zwierzchnictwem wielkiego mistrza, ks. Murata, marszałka Magnan, jen. Mellinet, tego lub owego dygnitarza państwa. Miało i ma konstytucyę i statut drukowany, opatrzony podpisem w. mistrza. Artykuł I. konstytucyi niesie: „Wolnomularstwo, instytucya przedewszyst-„kiem i z natury swej *(essentiellement)* filantropijna, filozoficzna „i postępowa, ma za przedmiot szukanie prawdy, badanie moral-„ności powszechnej, umiejętności i sztuk, tudzież uczynki miłosier-„dzia. Opiera się na zasadzie istnienia Boga, nieśmiertelności duszy „i solidarności ludzkiej. Uważa swobodę sumienia, jako prawo przy-„sługujące każdemu człowiekowi i nikogo z powodu wyznania nie „wyklucza. Ma za dewizę wolność, równość i braterstwo". Dalej: „Wolnomularstwo szanuje wiarę i przekonia polityczne każdego członka „swego, lecz zabrania w swoich zgromadzeniach wszelkich dyskusyj „religijnych i politycznych, krytyki władz istniejących i form rządu. „Przyjmuje obowiązek pracy za wielkie prawo ludzkości, potępia „dobrowolne próżniactwo. Dąży do zjednoczenia całej ludzkości w bra-„terstwie i w tym celu zaleca członkom propagowanie zasad masoń-„skich słowem, pismem i przykładem. Każdy mularz winien każde-„mu bratu swemu (mularzowi) nieść pomoc, oświecać go, opiekować

„się nim, bronić go od niesprawiedliwości, nawet z narażeniem ży-„cia“. To wystarcza do ocenienia istoty wolnomularstwa. Przyjęcie w zasadzie istnienia Boga i nieśmiertelności duszy jest jedyną więzią, łączącą sektę pozornie z chrześcijaństwem, lecz każdemu wolno wierzyć lub nie wierzyć w „zasadę“. Stowarzyszenie nie gwałci sumień i nie wyklucza nikogo, kto do wspólnej przystępuje pracy. Teraz znaczna liczba lóż Boga i duszę odrzuca, inne oświadczają się przeciwko materyalizmowi, scysye z tego powodu wynikające są domowemi kłótniami o abstrakcye. Usunąwszy z konstytucyi masońskiej dwa zdania o Bogu i duszy, cała budowa pozostaje nietknięta, ostatniem słowem jest szukanie prawdy i moralności niezależnej, uniwersalne braterstwo w jednej owczarni pod jednym pasterzem, wielkim mistrzem. Dążąc do uniwersalnego zwierzchnictwa nad ludzkością, oraz do ustanowienia własnej nauki i moralności, sekta w założeniu postawiła się jako *status in statu*, jako kościół odrębny, współzawodnik i przeciwnik chrześcijaństwa, tem bardziej Kościoła katolickiego. Żeby utrzymać racyę swego bytu, żyć, szerzyć się, jak zamierza po całej kuli ziemskiej, wolnomularstwo znalazło się w konieczności rozpoczęcia wojny z istniejącemi i od niego starszemi potęgami; takie przedsięwzięcia rozpoczynać się muszą od podkopania i obalenia nauki przeciwnej. Zaraz też w początkach powstania lóż w republikańskiej Genewie, pastorowie protestanccy nazwali lożę „szkołą niedowiarstwa“, chociaż u protestantów tak wielka w rzeczach wiary panuje swoboda i dowolność. Jeśli sekta nie była założona z świadomym celem szkodzenia Kościołowi katolickiemu, to ją doprowadziła do tego sama siła rzeczy. Dwie instytucye, zmierzające do uniwersalności i wyłącznego zwierzchnictwa, nie mogły żadną miarą żyć z sobą w zgodzie i pokoju; instytucya mularska przyszła na świat później, więc pierwsza walkę z poprzedniczką rozpoczęła. Kościół nie pozwala każdemu szukać prawdy i moralności na własną rękę, na drogach od Kościoła niezawisłych, wymaga poddania się dogmatom i karności duchownej; kto w naukę Kościoła wierzy i Kościołowi jest posłuszny, do loży po światło nie pójdzie. Sekta zatem ujrzała się prędko zniewoloną przeobrazić się w szkołę przeczenia, nieposłuszeństwa i niedowiarstwa. W ściślejszym zakresie i w stosunku do państwa, sekta opatrzona w organizacyę władz hierarchicznych, była od początku państwem w państwie; chcąc za-

garnąć pod skrzydła swej władzy ogół obywateli, stanęła w przeciwieństwie z państwem i żeby swego dopiąć, otworzyła w lożach szkołę rewolucyi.

Konstytucya zabrania w lożach kontrowersów religijnych i politycznych. Co się tyczy pierwszego punktu, niepodobna uniknąć kontrowersu religijnego, szukając prawdy i badając moralność powszechną. Religia może nie być wprost i otwarcie zaczepianą, lecz w gruncie o przekonania religijne chodzić będzie, a djabeł na tem nie straci. Świadkiem p. Andrieux, który powiada: „Dla wolno„mularstwa także głównym nieprzyjacielem klerykalizm, *le cléri„calisme c'est l'ennemi;* sekta propaguje tolerancyę, lecz lepiej zna „się na teoryi, niż na praktyce tolerancyi". Gdyby sekta nie trudniła się religią, gdyby nie była wrogiem Kościoła nieprzejednanym, jej adepci nie przyjęliby za hasło: *le clérícalisme c'est l'ennemi!* Z polityką dzieje się jak z religią. Za cesarstwa, wyznaje p. Andrieux, „pomimo konstytucyi i rytuałów, polityce zawdzięczałem „zaszczyty wolnomularskie. Marszałek Magnan piastował urząd wiel„kiego mistrza, na bankietach wnoszono pierwszy toast na cześć „cesarza, lecz toast bywał przyjmowany szemraniem, a mularstwo „było ogniskiem opozycyi". W obec takich wyznań zbytecznem gromadzić wywody, że sekty specyalnością: szerzenie niedowiarstwa i rewolucyi, walka z Kościołem katolickim i prawnym porządkiem. Jak wielu monarchów, tak Napoleon I. i Napoleon III. łudził się, że ujęciem sekty w prawne formy, zapobiedz zdoła złym skutkom wolnomularstwa, jako tajnego towarzystwa. Bo w rzeczy wolnomularstwo nie jest czem innem. Nigdy nie wiadomo, przy kim jest najwyższa władza centralna sekty, a choćby takiej władzy nie było, jak to dziś zdaje się prawdopodobnem, prace lóż są tajemne, biorą w nich udział adepci, związani przysięgą zachowania tajemnicy, więc i posłuszeństwa. P. Andrieux podaje brzmienie przysięgi, jaką sam złożył: „Obiecuję nie zdradzać żadnego sekretu wolnomularstwa „pod karą, że mi będzie głowa ucięta, język wyrwany, kadłub wrzu„cony do oceanu". W naszych czasach brat wiarołomny nie naraża się na ucięcie głowy, wyrwanie języka i wrzucenie do morza; o głowę i język drżeć nie potrzebuje, albowiem policya czuwa i obyczaje się zmieniły. Kiedyś mogło być inaczej; teraz są inne pęta, zdolne powstrzymać od złamania obietnicy. Kogo dane słowo wią-

zać nie będzie, ten zawaha się na myśl, że wypędzenie z loży pozbawi go dobrodziejstw i korzyści braterskiej solidarności. Mularz winien mularzowi opiekę i pomoc, stowarzyszenie wspiera swoich członków, dopomaga im w życiu codziennem, posuwa do urzędów, rozporządza głosami przy wyborach. W dzisiejszej Francyi mularze zajmują krzesła ministeryalne, większość Izby składa się przeważnie z mularzy; poucza nas o tem p. Andrieux. Kto chce z tego korzystać, musi się liczyć z wpływem sekty, nie zrywać z nią otwarcie. Niedyskretne rewelacye p. Andrieux'a naraziły go wprawdzie na pociągnięcie do odpowiedzialności przed trybunał loży i wymazanie z listy mularzy, ale koniec końcem drwił on tylko z przestarzałych komedyj, które wielu teraz liczą przeciwników; żadnej ważnej tajemnicy nie zdradził, a za to ma na swoim rachunku w loży zapisane niemałe usługi, choćby wykonanie dekretów przeciwko zakonom; prócz tego jest człowiekiem mającym przyszłość przed sobą i skłonnym działać dalej w duchu sekty. Takiemu wiele będzie przebaczonem. W danym razie, sojusz loży z p. Andrieux znowu ktoś lub coś okupi i zgoda może być przywróconą, jak gdyby nigdy nic między niemi nie zaszło. Człowiek małych zdolności, bez stanowiska, drżący o chleb, szukający karyery, zastanowi się dwa razy, zanim z sektą się poróżni i zrobi sobie nieprzyjaciela z wielkiej potęgi.

I na to liczy sekta zdemokratyzowana, działająca pośród mas i klas niższych towarzystwa. W zeszłym wieku i ona była arystokratką. Lud miał więcej wiary, mniej oświaty, dużo poszanowania dla władzy, zwierzchności, zwyczaju, wreszcie przesądów; filozofią, filantropią i polityką się nie zajmował. To go wstrzymało od wchodzenia do lóż, które o drobnego mieszczanina nie dbały. Sekta operowała u góry, wciągając w sieci książąt i możnych tego świata. Wstępował do loży wielki pan, choćby dlatego, aby uzyskać patent na filozofa niezawisłego umysłu, przyjaciela ludzkości i t. d. Wstępował awanturnik wielkoświatowy, bo dostawał paszport, otwierający mu podwoje dworskie i salonowe. Wstępował kwiat inteligencyi, a sekta przez nich rozpowszechniła na szczycie społeczeństwa porządek myśli, przygotowujący rewolucyę francuską. Potem przyszła kolej na mieszczaństwo oświecone, które przez długi czas znajdowało w lożach sposobność niemal jedyną zadośćuczynienia dwom potrze-

bom cywilizowanego człowieka: zakładania stowarzyszeń niezawisłych i swobody słowa. „Wszedłem do loży przez ciekawość, powiada p. „Andrieux, żeby zobaczyć, co się tam robi; zostałem, żeby módz „mówić do syta. Nie było wtedy we Francyi, ani wolności stowarzy„szeń, ani wolności mowy. W Paryżu młodzi adwokaci mogli przynaj„mniej brać udział w konferencyach [1], na prowincyi tylko w loży znajdo„waliśmy trybunę zawsze przystępną. *La loge était pour moi une par„lotte*", miejscem, gdzie mógł się wygadać do woli z wszystkiem, co mu na sercu ciężyło, mianowicie z nienawiścią do Cezara i zbierać oklaski. Uniwersalność sekty spoczywa w tem, że odzywa się ona do najrozmaitszych instynktów człowieka. Pójdź do nas, mówi idealiście, co w życiu nie chce stosować się do reguł religii, krępujących wolną wolę; pójdź do nas, nie pytamy się, czy w co wierzysz, nie posłyszysz u nas o ścisłych obowiązkach, o Bogu żywym, prawodawcy i sędzi, będziesz razem z nami szukał prawdy i moralności, zbliżysz się do światła czystego. Innych wabi na lep równości, braterstwa, filantropii, solidarnej pomocy, tajemnicy, haftowanych wstęg, blichtrów, obliczonych na głupotę ludzką. Dzisiejszy drobny mieszczanin francuski, zazdrosny o swą wolność, nieprzypuszczający myśli, żeby mu kto rozkazywał, nie uznaje powagi swego rządu, papieża, proboszcza, którego zna i którego postępki ciągle może śledzić, ale się poddaje pod zwierzchnictwo sekty, uznaje władzę niewidomą i nieznaną. *Il faut une religion au peuple*, uważa gdzieś p. Andrieux, i to wielka prawda. Zbieg od prawdziwego Kościoła, prędzej czy później, przylgnie do jakiegoś kościółka fantastycznego, jeśli nie do loży, to do socyalistów, albo dynamitardów; człowiek jest zwierzęciem towarzyskiem, instynkt ciągnie go do połączenia się z podobnymi sobie. Zwyczajnie wpada pod stokroć gorszą tyranię niż ta, od której chciał się uwolnić, lecz oślepiony głupotą, wcale nie wie, co się z nim stało.

Niemieckie mieszczaństwo protestanckie, kobiety i mężczyźni lgną do lóż, które na pozór wyłącznie trudnią się wychowaniem sierót. W takim zakładzie edukacya jest „świecka", o ile tylko na to ustawy krajowe pozwalają, prowadzoną przez członków loży; pastor, gdzie pastor ma wstęp, należy do najskrajniejszego odcienia, redukującego

[1] Zgromadzenia młodych adwokatów, ćwiczących się w wymowie sądowej.

wiarę do najskromniejszej porcyi. Nie trudno przewidzieć, jakie tam wzrastają pokolenia. Niejedna Niemka, której ani przez głowę nie przejdzie burzyć religię, przystępuje do stowarzyszenia, aby módz umieścić dziecko z miłosierdzia przytulone, potem chodzi na zebrania regularnie, bo ją pomyślność zakładu blisko interesuje. *Es wird gesungen, gegessen,* jeden ze starszyzny ma mówkę, wychwala dobrodziejstwa instytucyi, jej szlachetne cele i dążenia, zagrzewa do wytrwania i kupienia się koło wspólnego znaku, wzmacnia wewnętrzną karność i robi propagandę. Rzecz na pozór drobna i niewinna, chowa w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Każdy widzi i czuje, że istnieje jakaś władza, której nie zna, którą jednak sądzi według namacalnych owoców; przywyka do powolności i posłuszeństwa, nie wiedząc o tem. Później, w danym razie, dość będzie jednego słowa, wsuniętego w ucho, żeby nadać umysłom kierunek, zjednoczyć myśli i usiłowania. Ani człowiek się opatrzy, kiedy i gdzie go poprowadzą. W tem tkwi cała siła sekty i jej niebezpieczeństwo dla dusz i dla całego społeczeństwa.

W łonie sekty odbywa się od lat kilkunastu proces reformatorski. *Le respect s'en va,* sceptycyzmowi nowoczesnemu zaczyna być wstrętną „maskarada rytuałowa“ [1]. „Gdyby mi, pisze p. An„drieux, kazano obiecać po prostu, że niczego, co zobaczę w loży, „nie wygadam, byłbym sobie prędzej dał uciąć ręce, niż napisać „ten rozdział moich W s p o m n i e ń (opowiadający ceremoniał przy„jęcia), ale groźba odcięcia głowy, wyrwania języka i rzucenia ka„dłuba do oceanu przypomniała mi, że jestem w p r a c o w n i (ate„lier) i że mularze jak malarze, lubią żarty“. Ludzie uczęszczający do teatrów i nawykli do sztuk dekoratorskich, nie mogą brać na seryo „symbolicznej podróży“, ogni różnokolorowych, szczęku mieczów; dzisiejszy Francuz zaraz pozna, że „czara goryczy“ zawiera *Vermouth* albo *absynt.* Profan na wstępie do loży pisze testament; ostatnia wola p. Andrieux nieść miała, „moje długi przekazuję rodzinie, „resztę biednym“. Starszy loży, dziś prezes senatu, uznał za lepsze testamentu nie odczytywać, pochwalił tylko wstępującego za pamięć o rodzinie i ubogich. W Besançon wprowadzano adepta do ciemnicy i pokazywano mu uciętą głowę brata zdrajcy. Głowa należała do

[1] Patrz między innemi: *Souvenirs du Jubilé Centenaire de la juste et parfaite Loge l'Union des Coeurs, Orient de Genève, en 1870.*

kadłubu znanego w mieście kawiarza, nazwiskiem *Cassard*. Jeden z jego gości stałych, mimowoli zawołał: *Mais, c'est le Père Cassard!...* Cicho bądź, profanie! zawołał grobowym głosem tenże i znowu pogrążył się w obowiązkową nieruchomość. Przy dzisiejszym kierunku umysłów, podobne skandaliczne epizody mogą się coraz częściej powtarzać, dyskredytować stowarzyszenie, używające tak dziecinnych fortelów, na które w końcu nikt się nie złapie; przeto partya reformatorów chce usunąć przestarzały ceremoniał, wpuścić do lóż „powietrze i światło". Na tem skończy się niezawodnie, ale djabeł nic nie straci. Obok testamentu, profan pisze odpowiedzi na szereg zadanych mu pytań, następnie odpowiedzi przychodzą pod wspólny rozbiór. P. Andrieux ten punkt ważny zbywa drwinkami, twierdząc, że loża przywykła do elukubracyi *„de voyageurs en liquides"*, sądziła, że w jego osobie Platon zstąpił na ziemię. Kwestyonaryusza i dyskusyi nad nim nikt znosić nie zamierza, a nie może tu iść o nic innego, jak tylko o wyznanie wiary kandydata i sprowadzenie go na drogę prawdy, czyli innemi słowy, o napompowanie zaraz na wstępie zasadami masońskiemi. Maskarada odpaść może bez szkody dla przedsięwzięcia sekty, ostanie się rzecz główna, urabianie umysłów na masońskie kopyto, organizacya, kierująca ludźmi wedle potrzeb sprawy.

Czem dla pewnych kół liberalnych jest Jezuita, tem znowu dla pewnych kół zachowawczych jest mason, „sekta i loża": straszydłem. Około masonów powstała legenda, wszystko tłumaczyć mająca. Masoni zrobili rewolucyę francuską i wszystkie późniejsze rewolucye współczesne, masoni kazali Benedekowi dać się pobić przez Prusaków; oni światem z jakiejś kryjówki kierują, jakiś ich jenerał wszystkie nici w ręku trzyma, i tak bez końca. Tak źle chyba nie jest. Najwyższego jenerała farmazonów na cały świat, nawet na całą Europę, podobno niema; niema również ostatecznego sekretu, klucza objaśniającego, zkąd sekta wyszła i dokąd zmierza. Cel ostateczny tkwi w naturze rzeczy i w naturze stowarzyszenia, które dąży do wcielenia ludzkości w kadry lóż i do zastąpienia nauki i moralności chrześcijańskiej, zwłaszcza nauki, opowiadanej przez Kościół katolicki, nauką i moralnością ustanowioną przez sektę. Nad zbudowaniem własnej doktryny próżno się sekta mozoli, tymczasem burzy religię i powagę Kościoła.

Z wszystkiego co o wolnomularstwie wiadomo, zdaje się wypływać, że nigdy nie było ciałem czynnem, bezpośrednio działającem, lecz bardziej zajmowało się przygotowaniem roli i posiewem idei religijnego, politycznego i społecznego wywrotu. Dziś polityczna robota sekty odbywa się w ciałach rządzących i prawodawczych, tam też właściwe miejsce do walki z nią. Trucicielstwo moralne jest żwawsze niż kiedykolwiek przez druk i nauczanie, drukiem też i nauczaniem należy bronić społeczeństwo od tej plagi. Afiliacya bezpośrednia zwróciła się ku spodnim warstwom towarzyskim, a w tej mierze najdzielniejszą bronią katechizm i dobry przykład katolickiego życia. Kto chodzi do Kościoła i do spowiedzi, ten do loży nie przystanie, albo z niej prędko ucieknie. Na filantropię masońską jest miłosierdzie chrześcijańskie. Społeczeństwa nie mogą narzekać na niedostatek środków zaradczych i obronnych przeciwko zarazie mularskiej. Stojąc twardo przy Kościele i nie zakładając rąk, katolicy są pewni zwycięztwa. Posłuchajmy, jak p. Andrieux opowiada rozpędzenie zgromadzeń zakonnych.

Duchowieństwo wzięło udział gorący w wyborach 1877 r. Zwyciężone, dało zwycięzcom nowy powód do dalszej walki, która wnet przybrała charakter srogiej zemsty. „Nie ma wolności dla nie-„przyjaciół wolności“, mówił wówczas p. Paweł Bert, a p. Andrieux dodaje: „Pod pozorem zastosowania na księżach, klerykalnych za-„zasad, liberały zamienili się na oprawców, bez względu na to, że „sami głosili program wolności, wiary, myśli, druku, nauczania, „stowarzyszenia. Za pierwszy odwet posłużyć miało prawo naucza-„nia. P. Juliusz Ferry, minister oświecenia, złożył projekt prawa, „w którym zawarty był i ów artykuł 7, mający przejść do potomności. „Nikomu, opiewa artykuł, dozwolonem nie będzie brać udziału „w publicznem lub wolnem nauczaniu, ani kierować jakimkolwiek-„bądź zakładem naukowym, jeśli należy do kongregacyi religijnej, „nie uznanej“. Artykuł ten silną znalazł opozycyę nawet między liberałami, jako niezgadzający się z wolnością nauczania. Pastor protestancki, p. Bersier, energiczną przesłał ministrowi protestacyę. Senat odrzucił artykuł 7. Mocno tem zirytowana Izba deputowanych, postanowiła przynajmniej istniejące prawa przeciwko „nieuznanym kongregacyom“ zastosować. Rząd obiecał gorliwie zająć się tą sprawą. Niebawem też wyszedł dekret (marzec 1880), nakazujący zwi-

nięcie zakonu OO. Jezuitów i opuszczenia wszystkich zajętych przez nich domów „na obszarze terytoryum Rzeczypospolitej“. Przedłużono o parę miesięcy termin ewakuacyi dla domów wychowawczych, żeby nie przerwać nauki w ciągu roku szkolnego. Drugi dekret zniewalał wszystkie przez rząd nieuznane kongregacye do przedłożenia statutów swoich, oraz do podania prośby, aby ich rząd łaskawie uznać raczył. Wszystko to odbyć się miało w ciągu trzech miesięcy.

„Trudność przeprowadzenia ustawy, pisze p. Andrieux, prze-„widywanie możliwego oporu, konieczność użycia siły przeciwko „b i e r n e m u nieprzyjacielowi, ostateczność gwałcenia drzwi do ka-„plic i cel zakonnych, żeby z nich wyrzucać modlących się starców, „jednem słowem, brutalne czyny, których się z urzędu dopuszczać „miałem, wzbudzały we mnie wstręt, który wzrastał ze zbliżającą „się chwilą wykonania rozkazów“. Przekładał prefekt policyi p. Gambecie, że stronnictwo liberalne tylko stracić może przy tych gwałtach, że wygnani zakonnicy przeniosą się na prowincyę do hotelów, do znajomych; że istnienie życia zakonnego, oparte na wspólnych ślubach, wspólnej regule i wspólnej dyrekcyi, bynajmniej zagrożonem nie zostanie; owszem, prześladowanie wzmocni zakony i ogólną otoczy sympatyą. Na te uwagi odpowiedział p. Gambetta, „że uważa dekreta za użyteczne i ważne, *en tant que l'indication d'une „politique*“. Właściwie, prezydentowi Izby chodziło o zadowolenie ludności miast (był deputowanym z Belleville), choćby kosztem oburzenia większej części narodu. Zapewnić sobie mir u przemysłowca i rzemieślnika, to był grunt polityki p. Gambetty. Nie otrzymawszy nic w ministeryum, udał się p. Andrieux do przełożonych kongregacyj, które miał za parę dni rozwiązać, choć z małą nadzieją, aby zakonnicy wymaganiom rządu poddać się chcieli. „Między „zakonnikami, z którymi usiłowałem przyjść do porozumienia, wi-„nienem osobne wspomnienie ojcu Dulac S. J., który był przeło-„żonym domu na ulicy *des Postes*. Gdyby rozum i dobra wola, „były mogły doprowadzić do rozwiązania tej niemożliwej sytuacyi, „jego współudział byłby z pewnością trudności pokonał. Nie pozo-„stawało mi, pisze dalej p. Andrieux, jak tylko rozkazy rządowe „wypełniać, albo podać się do dymisyi. Przyszło mi później nieraz „żałować, żem wówczas urzędu nie porzucił. Wstrzymała mnie do „serca wzięta walka ówczesna przeciwko zachciankom autonomi-

„cznym rady miejskiej i chęć nie rozłączenia się z mymi podwła-„dnymi, którzy mi bezustannie dawali dowody zaufania i życzliwo-„ści. Zdawało mi się, że miałem powierzoną sobie fortecę i że „opuszczając ją, dokonałbym dezercyi". Jest to sąd człowieka mającego opinie na miejscu zasad.

„Pokój cywilny" zapowiedziany, jako niezawodny skutek dokonanych dekretów, rozpoczął się burdami i manifestacyami ulicznemi bynajmniej „pokoju" nie zapowiadającemi. Policya zaledwo zdołała uratować życie jednemu z ostatnich zakonników opuszczającemu swój klasztor. Sądząc, że obecnością swoją doda znaczenia oporowi zakonników, prefekt policyi postanowił nie być przytomnym przy wypróżnianiu klasztorów, lecz przestrzeżony w ostatniej chwili przez głównego komisarza, że cała ulica de Sévres natłoczona była ludźmi odgrażającymi się na policyę, udał się p. Andrieux na miejsce „tak dla poparcia moich ajentów, pisze, jak dla „zapobieżenia zajściom brutalnym w wypełnieniu dekretów". Zastał około sześćset osób, po większej części studentów. Pomiędzy niemi, kilkunastu członków parlamentu, którzy postępowali tuż za komisarzami policyi, protestując głośno przeciwko ich czynnościom. W obec tego, prefekt policyi wziął górę nad człowiekiem; od razu kazał aresztować ludzi, dla których miał zresztą „najgłębsze uszanowanie". Dalszy ciąg wypadków tak p. Andrieux opisuje: „Wy-„próżnianie domu trwało długo. Dla mających odpowiedzialność wy-„konania dekretu, widok był bolesny i upokarzający. Tak jak się „tego spodziewałem, ajenci spotykali wszędzie bierny opór; zmu-„szeni byli za drzwi wyrzucać księży bezbronnych z modlitwą na „ustach, z wyrazem smutku i poddania się ciężkiemu losowi, bło-„gosławiących klęczącemu tłumowi wiernych. Użycie siły w obec „tych postaci, dziwną wywoływało sprzeczność. Nie potrzeba było „być katolikiem wierzącym, żeby tego doznać wrażenia, i nie do „takiej roboty tyle dawnych, zacnych żołnierzy przywdziało mundur „stróżów pokoju. Po ukończeniu wszystkiego, zaniosłem ministrowi „spraw wewnętrznych raport, tego nie chwalebnego zwycięstwa". Gdy komisarz policyi pieczęcie przykładał na drzwiach kaplicy OO. Jezuitów na ulicy Sévres, nie wiedział, że Sanctissimum w niej pozostało. Nazajutrz arcybiskup paryski zrobił podanie do rządu, prosząc o chwilowe zdjęcie pieczęci, żeby Najśw. Sakrament módz

przenieść do kościoła św. Sulpiciusza. Otrzymawszy zezwolenie, postanowił natychmiast translacyę uskutecznić. Lecz już się wiadomość o tem była rozeszła i tysiące osób, między niemi reprezentanci najpierwszych rodzin francuskich, deputowani, senatorowie zalegali ulicę Sévres. O godzinie 2-giej przybył ks. biskup Richard, koadjutor arcybiskupa paryskiego; równocześnie zjawił się komisarz policyi z dwoma ajentami w celu zdjęcia pieczęci. Przerażony widokiem niespodziewanej manifestacyi, komisarz, posłał po prefekta. Przybyły czem prędzej p. Andrieux, z wszelkiem, należącem się uszanowaniem oświadczył ks. biskupowi, „że w interesie religii, „którą on sam ma obowiązek i najszczerszą wolę, przeciw wszelkiej „zniewadze na ulicy bronić, sprzeciwia się przeniesieniu Najśw. Sa„kramentu wobec tego tłumu, do kościoła św. Sulpiciusza". O. Pitot, jeden z Jezuitów, który pozostał dla pilnowania domu, sam podał myśl, żeby Sanctissimum przenieść do wewnętrznej kapliczki klasztoru. Tymczasem zgromadzony lud udał się do kościoła św. Sulpiciusza, gdzie niebawem przybył biskup Richard; od razu wstąpił na ambonę, spokojnie i w serdecznych wyrazach podziękował wiernym za ich gorliwość i udzielił błogosławieństwa. Na tem się te bolesne wypadki skończyły.

Dużo mniej ciekawy jest drugi tom „Pamiętników prefekta". Sprawy czysto lokalne i szczegóły przerażające o zepsuciu obyczajów ludności Paryża, często czytelnika nużą, jeszcze częściej obrzydzenie wywołują. Wyjątek stanowi rozdział pod tytułem: *Un peu plus de lumière sur les fonds secrets*, w którym p. Andrieux dowodzi jak na dłoni, że minister spraw wewnętrznych, prócz 60.000 franków pensyi osobistej, dysponuje jeszcze dwoma milionami, „któ„rymi rozrządza, jak mu się podoba. Może ich użyć tak dobrze na „płacenie ajentów, jak na utrzymanie tancerek, na przekupywanie „sumień lub na nabywanie 5-cio lub $4^1/_2$ procentowych akcyj. Od„powiedzialny jest z tych dwóch milionów jedynie przed swojem „sumieniem. A jak niema sumienia? Natenczas i przed sumieniem „się nie rachuje". Dalej dowodzi, że dla omamienia publiczności odgrywa się z końcem roku rodzaj komedyi: minister przesyła prezydentowi Rzeczypospolitej podpisany własnoręcznie dokument, jako owe „sekretne fundusze użyte zostały, wedle ich przeznaczenia". Za czasów cesarstwa, władzca kraju miał prawo od każdego ministra

żądać sprawozdania z czynności ich i wydatków. Inaczej się ma w rządach Rzeczypospolitej. Ministrowie sami są odpowiedzialni; prezydent ani panuje, ani rządzi. Wybrano go dla formy i dla parady. Czyż potrzeba dodać, że nadużycia pieniężne, których się ministrowie bezwstydnie dopuszczają, skwapliwie naśladowane są przez wszystkich niemal urzędników hierarchii administracyjnej.

Drugi rozdział zasługujący na wzmiankę „Rzeczpospolita parlamentarna“ zakrawa już na gruntowne, poważne ocenienie dzisiejszych stosunków politycznych Francyi. P. Andrieux, były prefekt policyi pod rządem Rzeczypospolitej, mający się za republikanina, temi słowami się wyraża: „Parlamentaryzm jest niemożliwy przy „głosowaniu powszechnem. Chcieć pomieścić w jednej i tej samej „konstytucyi: głosowanie powszechne, Rzeczpospolitą i parlamenta„ryzm, to już nie jest zabezpieczenie się przeciwko nadużyciom wła„dzy wykonawczej, to jest zniszczenie samej władzy; to nie jest „uratowanie wolności, tylko rzucenie jej w objęcia anarchii“. A dalej jeszcze na zakończenie: „Jeśli naród przyzwyczai się uważać „Rzeczpospolitą i parlamentaryzm za jedno i to samo, moglibyśmy „się wnet doczekać miecza przecinającego mrzonkę odpowiedzial„ności ministeryalnej, zanimby się zbudziły zobojętniałe umysły“. Skończywszy czytanie drugiego tomu tych pamiętników, pozostaje czytającemu wrażenie, że były prefekt policyi miasta Paryża, po trochu drwi sobie z wszystkiego i z wszystkich, zacząwszy od Rzeczypospolitej francuskiej, której służył, a skończywszy na Masonach, do których należał; osobistość to ani szlachetna, ani zacna, nie zupełnie jednak przewrotna i moralnego zmysłu nie całkiem jeszcze pozbawiona. Pamiętniki doczekały się już 34 wydań, a są wybornym komentarzem politycznej bezsilności i moralnego upadku Francyi.

X.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Pacowie. Materyały historyczno-geologiczne ułożone i wydane przez *Józefa Wolffa*. Petersburg. 1885. X. i 377 str.

Pod tym tytułem wyszła w Petersburgu w r. b. monografia znakomitej na Litwie rodziny Paców; jest to bodaj czy nie pierwsza w tym rodzaju praca w polskiem piśmiennictwie, zawierająca najważniejsze szczegóły z życia i wypadków dziewięćdziesięciu dziewięciu członków tej rodziny, z których niemal każdy był senatorem, przez co monografia ta ma ścisły związek z dziejami kraju i niejedną rzecz wyświeca. Żebyśmy mieli więcej podobnych monografij znaczniejszych rodzin senatorskich, na autentycznych źródłach opartych, nie ulega wątpliwości, historya wieleby na tem zyskała.

Był czas, kiedy, za przykładem Długosza, w książętach litewskich upatrywano pochodzenie rzymskie; stolica Litwy, Wilno, miała być założoną przez Rzymian. Nic więc dziwnego, że i Niesiecki wywodzi litewskich Paców od florenckiej rodziny Pazzi, jeden z członków której miał jakoby z Palemonem przybyć do Litwy. Istniała taka tradycya i przed Niesieckim, skoro, jak tenże Niesiecki wspomina, książe Etruryi przysłał Mikołajowi Pacowi, biskupowi wileńskiemu „ząb i włosy św. Maryi Magdaleny de Pazzis karmelitanki", gdyż książe Paców blizkich krwi tej świętej uznaje [1].

[1] Jest to niewielka kryształowa kula, której wydrążenie, w pośród emaliowanych złotych lilij, zamyka jeden ząb przodowy i trzy pączki włosów świętej dziewicy. Podstawa kuli, pas na poprzecznem spojeniu i samo jej uwieńczenie, są szczerozłote, emalią białą pokryte, ozdobione 126 dyamentami. Bogaty ten relikwiarz jeszcze niedawnymi czasy w skarbcu katedralnym wileńskim się znajdował. (Acta kap. Wil. pod r. 1684 d. 15 maja, f. 99. — Wizyta ko-

Autor przytacza imiona i tych Paców z czasów odległych, których zalicza do bajecznych, uważa zaś Paców za czysto litewskiego pochodzenia. Podług *Kurschat'a* wyraz *Pac*, a raczej *pats*, po litewsku znaczy *sam*, lub *małżonek*, a musiało to być, mówi autor, imię bardzo pospolite za czasów pogańskiej Litwy, skoro przetrwało do XV. wieku.

Protoplastą senatorskiej rodziny Paców, autor uważa *Paca Dowkszewicza* z połowy wieku XV. Faktycznie Pacowie występują na scenę w r. 1445, kiedy Pac z Kieżgajłą i Radziwiłłem posłowali na sejm w Piotrkowie, a w r. 1453 Mikołaj Pac, namiestnik lidzki, był posłem do Parczowa[2]. Od tego czasu Pacowie idą w nieprzerwanej linii do początków dzisiejszego stulecia, jak stwierdza starannie ułożona przez p. Wolffa tablica genealogiczna, załączona do dzieła, w której Pacowie podzieleni na linie Paców hetmańskich na Rożance i Paców kanclerskich na Jeznie, składających się z trzynastu pokoleń, zawierających dziewięćdziesiąt dziewięć osób, o życiu których autor podaje nam szczegóły, nieopuszczając pokrewnych rodzin z linij żeńskich, przez co monografia nabiera jeszcze większej doniosłości. Ażeby zrozumieć znaczenie tych pokrewnych stosunków, dość jest wymienić nazwiska najpierwszych na Litwie rodzin, z któremi Pacowie byli skoligaceni, jak n. p. z książętami Kobryńskiemi, ks. Holszańskiemi, ks. Radziwiłłami, Chodkiewiczami, ks. Sapiehami, Zawiszami, Tyszkiewiczami, Wojnami, ks. Masalskiemi, ks. Szujskiemi, ks. Druckiemi-Podbereskiemi, ks. Ogińskiemi, ks. Wiśniowieckiemi, ks. Hołowczyńskiemi, ks. Sołomiereckiemi, Chreptowiczami, Ożarowskiemi, Despotami Zenowiczami, Tryznami i w. i.

Podług naszego wyliczenia, z liczby wymienionych przez autora Paców od r. 1445 do r. 1835, tj. do wygaśnięcia linii męzkiej, w ciągu 390 lat, było: 9 wojewodów, 5 biskupów, 11 kasztelanów, 4 podkomorzych, 1 podskarbi nadworny, 1 podskarbi wielki, 1 podkanclerzy, 1 kanclerz, 1 hetman polny, 1 hetman wielki. Inni piastowali urzęda cześników, ciwunów, marszałków sejmowych, marszałków trybunalskich, chorążych nadwornych, chorążych wielkich,

---

ścioła kat. 1828, f. 70). Dziwna, że i taki uczony i krytyczny mąż, jak prof. Michał Homolicki wierzył w włoskie pochodzenie Paców. (Wizerunki i roztrząsania naukowe, t. XIII. poczet drugi, 46—47).

[1] Podług Stryjkowskiego, chociaż Długosz wymienia innych posłów.

sekretarzy królewskich i wielkoksiążęcych, stolników, podstolich, strażników, obożnych, wreszcie jenerał-majorów, jenerał-leitnantów, jenerał-inspektorów i t. d. Wszyscy oni piastowali urzęda wyłącznie w wielkiem księstwie litewskiem. Ostatni zaś, Ludwik Pac, był jenerałem dywizyi wojsk Napoleona, w r. 1825 mianowany senatorem królestwa polskiego. Gdy Chłopicki został naczelnym wodzem, Ludwik Pac przeznaczony jego zastępcą. Umarł w r. 1835 w Smyrnie na emigracyi. Jedyna jego córka była poślubioną księciu Ksaweremu Sapiesze, dziedzicowi Wysoko-Litewska w gubernii grodzieńskiej, dzieliła z nim w r. 1846 wygnanie do Smoleńska, co wszakże niedługo trwało, po roku zaś 1863 przenieśli się do Francyi, gdzie ks. Ksawery umarł w r. 1882, a małżonka jego, Ludwika, dziś ostatnia przedstawicielka rodu Paców.

Nader ciekawe, umiejętnie opracowane dzieło p. Józefa Wolffa przedstawia nam żywy obraz cnót i przywar, najwyższej miłości ojczyzny i poświęcenia, a zarazem buty pańskiej; byli ludzie wielkich zasług, byli i niedołęgi, którzy zawdzięczali swoje wyniesienie się jedynie znakomitości rodu i skoligaceniu z pierwszymi domami. W drugiej połowie XVI. wieku, jak w całym kraju, tak i w rodzie Paców przejawia się chęć do pieniactwa; niemal w każdym życiorysie czytamy o najazdach, kadukach, banicyach, sublewacyach, relaxacyach, wyderkafach, gleitach, exkomunikach i innych smutnych objawach bezprawia, a nieraz dzikiej swawoli, które cechowały owe czasy i ludzi, chociażby najwyżej postawionych. Pod tym względem również nader ważną jest praca p. Wolffa, bo daje nam nie same tylko fakta historyczne, ale i etnograficzne.

Pacowie pisali się hrabiami na Rożance, nie wszyscy jednak tego tytułu używali; ostatniemu zaś, Ludwikowi, w r. 1824 senat przyznał tytuł hrabiego. Pacowie byli bardzo bogaci; bogactwa te coraz więcej zwiększały się przez koligacyę z rozmaitymi domami, a znowu przez dzierżenie bogatych starostw, których każdy prawie z Paców posiadał kilka. Znaczniejsze dobra Paców na Litwie byli: Rożanka, Jezno, Choroszcz, Woroncewicze, Czabiszki, Dusiaty, Dowspuda, Duszmiany, Hołowczyn i inne. Mieli i pod Warszawą pałac belwederski z folwarkiem. Do najwspanialszych rezydencyj należało Jezno, dziś w powiecie trockim. Możnaby zrobić zarzut szanownemu autorowi, że mało nam daje szczegółów o dobrach Pa-

cowskich, gdy niektóre z nich nastręczają ważne materyały historyczne i obyczajowe. Niema tu dokładnych opisów pałaców, niezmiernych bogactw w nich zawartych, dzieł sztuki, urządzeń gospodarczych i t. d. Wprawdzie można o tem znaleść niektóre szczegóły w Balińskim, Święckim, w słowniku geograficznym, dorzuciliśmy i my trochę do opisów niektórych znaczniejszych posiadłości na Litwie, ale to wszystko jeszcze niewyczerpujące. Wspomina autor o pałacu w Jeznie, który już w r. 1644 istniał i musiał być wspaniały, skoro, jak sam autor przytacza, król Jan Kazimierz wyraził się o nim: „wart Pac pałaca, a pałac Paca“, co też zamieniło się w przysłowie. W młodości znaliśmy ludzi, którzy jeszcze pod koniec przeszłego stulecia widzieli taki napis nad bramą, a takiż podobno był i na pałacu pacowskim w Wilnie. Pałac jezuieński, jakim go my jeszcze pamiętamy, chociaż już był uległ wielu klęskom, zawsze przedstawiał wspaniały widok, jak swoim ogromem, tak ozdobami i stylem wzorowym. Po śmierci Michała Paca (1800), syn jego Ludwik, w skutek bardzo zawikłanych interesów, dobra jezuieńskie zmuszony był oddać pod eksdywizyę. Następnie pożar w r. 1837 zadał cios ostateczny pałacowi. A jednakże i w ruinie przedstawiał znakomitą pamiątkę lepszych dawno ubiegłych czasów. Pałac ten wzniesiony był podług systematu kalendarzowego. Widoczna w tem fantazya pańska. Cztery pory roku, a więc cztery główne bramy; podług miesięcy było 12 wielkich salonów; podług tygodni 52 izb dużych, a pomniejszych ogromna ilość; podług dni 365 okien. Wszystkie oddrzwia, ramowania okien, gzemsy i bardzo wiele najrozmaitszych ozdób, były z marmuru. Tuż przy pałacu duży park z jeziorem, a od strony obszernego placu dokoła zabudowanego, piękny kościół, w którym były groby familijne. Jezno w skutek eksdywizyi rozpadło się na kilka części, część zaś podobno, z wielu innemi dobrami Paców uległa konfiskacie po r. 1831. Dziś należy do sukcesorów Ignacego Kwinty, który w ostatnich latach zdołał połączyć rozdrobione części, niektóre przynajmniej.

Pałac pacowski w Wilnie należy do najwspanialszych, wraz z kardynalią Radziwiłłowską, pałacem Chodkiewiczów i niewielu innymi. W tym to pałacu Pacowie dawali świetne uczty; tu miały miejsce wielkie bale z powodu przybycia do Wilna Napoleona I. w r. 1812, a następnie po rejteradzie na cześć Aleksandra I. Po

konfiskacie oddany został na mieszkanie dowódzcy korpusu, oraz umieszczenie biór wojskowych.

Ten sam Ludwik Pac z wielkim nakładem i w kolosalnych rozmiarach w r. 1823 wzniósł pałac w Dowspudzie, (w kraju Zapuszczańskim, dziś w gubernii Suwalskiej), w stylu ostrołukowym, bogaty w dzieła rzeźby, freski, z galeryą obrazów. Po roku 1831 Dowspudę skonfiskowano. Dziś pałac w ruinie.

Kochali się Pacowie w pięknych i wspaniałych gmachach. Biskup wileński Mikołaj Pac wzniósł wspaniały pałac w Warszawie i darował go następcom swoim, biskupom wileńskim, na mieszkanie podczas sejmów lub innych potrzeb, ile razy do Warszawy przyjadą.

Autor dość szczegółowo mówi o pięknym, czarownym Pożajściu pod Kownem, gdzie kanclerz, Krzysztof Pac wzniósł kościół z klasztorem dla Kamedułów i obdarzył ich znacznym funduszem (1667). Erem Pożajski, na szczycie lesistej góry nad Niemnem, cały marmurem wyłożony, bez kawałka drzewa, gdyż wszędzie było żelazo i kamień, niezaprzeczenie należał do najpiękniejszych i najbogatszych świątyń dawnej Polski. Nie wspomina autor, że podług tradycyi, Pac wyłożył na ten kościół, na Forestoryum, na salę dużą, zwaną pacowską, wysoką wieżę i inne budowle 8 beczek złota, podług zaś ksiąg rachunkowych, całe to urządzenie kosztowało 8 milionów złotych. Wypadki 1831 roku spowodowały zamknięcie eremu, a kościół na cerkiew przerobiono. Cudowny obraz Bogarodzicy arcybiskup litewski (następnie metropolita), Józef Siemaszko, osobiście przewiózł do Kijowa. Dziś w Pożajściu mieszka archierej, wikary prawosławnej dyecezyi wileńskiej.

Pacowie odznaczali się gorliwością do wiary św. katolickiej i niejedna piękna świątynia przez nich wzniesioną została. Michał Pac, kasztelan, a następnie wojewoda wileński i wielki hetman litewski w r. 1668 założył kościół śś. Piotra i Pawła na Antokolu w Wilnie, z klasztorem dla zakonników reguły św. Augustyna (kanoników lateraneńskich), wraz z nadaniem im znacznych dóbr. Autor idąc za Przyałgowskim (Żywoty biskupów wileńskich) powiada, że kościół św. Piotra i Pawła, „na wzór watykańskiego, co do gustu i sztuki, najpiękniejsza z wileńskich świątynia i równej sobie niemająca na Litwie“. Nie godzimy się z tem zdaniem. Kościół to niezaprzeczenie piękny, odznaczający się szczególnie bogactwem ar-

tystycznie wykonanych bareliefów i w ogóle ozdób rzeźbarskich; ale pod względem sztuki, szeroko pojętej, nie może iść w porównanie z arcydziełem swojego rodzaju, gotyckim kościołem św. Anny, lub majestatycznym, zadziwiającym swoim ogromem pojezuickim kościołem św. Jana.

Wielki hetman Pac, stosownie do wyrażonego przed śmiercią życzenia, pogrzebiony został pod progiem kościoła św. Piotra i Pawła, z lakonicznym napisem na tablicy: „Hic jacet peccator", t. j. tu leży grzesznik. Nie wspomina autor o ciekawym wypadku z powodu śmierci w. hetmana. Był on bardzo miłosierny i litościwy dla biednych. Otóż w rocznicę jego śmierci, tłumy najuboższych ludzi, żebractwa i kalek zalegają kościół Panny Maryi na Piasku (Franciszkanów), a liczne duchowieństwo odprawia uroczyste żałobne nabożeństwo za duszę hetmana. Nabożeństwo to przez nichże, najbiedniejszych wileńskich mieszkańców, zamówione zostało.

Jeszcze przed tem Stefan Pac, referendarz, ojciec biskupa Mikołaja, dwa kościoły z klasztorami w Wilnie fundował: św. Teresy ostrobramski (1626) z klasztorem dla Karmelitów bosych i św. Józefa (1638), z klasztorem dla Karmelitanek bosych (przy ulicy Rudnickiej, dziś już zbity). A ileż to jeszcze innych było kościołów i klasztorów fundacyi Paców w całym kraju!

Dziwne to były czasy i zwyczaje! Nie mówimy o Pacach wyłącznie, ale w ogóle o panach ówczesnych. Fundują świątynie, poświęcają wszystko dla obrony kraju, dają tysiączne i niezaprzeczone dowody wysokiej i rzetelnej miłości bliźniego, i jednocześnie za lada pozorem, za lada uchybienie dumie rodowej, robią najazdy, niszczą, rujnują, a nieraz i mordują.

A tenże biskup wileński, Mikołaj Pac, alboż nie ciekawa, typowa postać. Był panem rozległych włości, wojewodą trockim, następnie kasztelanem wileńskim, miał żonę, człowiek przeszło pięćdziesięcioletni i nagle zachciewa mu się być biskupem! Znany już był Mikołaj Pac ze swej bogobojności. W dobrach swoich Choroszczy, fundował on kościół z klasztorem dla Dominikanów. Bractwu Imienia Maryi przy kościele katedralnym zapisał 20 tys. złp. Wyjednał zgodzenie się swej małżonki, miał po sobie króla, miał zapewnione zezwolenie Stolicy św. Został więc klerykiem, król napisał do kapituły „niech WPP. łaskawi będą przyjąć go do swego grona, na

kanonika", a następnie mianował go biskupem wileńskim. Kapituła zrazu wybrała kleryka na biskupa, później jednak stawiała mu rozmaite trudności, wzbraniała rządu w rzeczach duchownych, wzbraniała zasiąść na tronie biskupim. Dziesięć lat trwały spory, niesnaski, skargi nieustanne. Skarżyła go kapituła, że mniszki wizytuje za klauzurą, że po zmarłych księżach spuścizny zabiera; że łaje prałatów, nazywając osłami i cielętami, że codzień się upija i biesiady do późnej nocy przeciąga i mnóstwo innych zażaleń. Pac zniósł to wszystko mężnie, w Rzymie przyjął święcenia kapłańskie, usprawiedliwił się ze wszystkich zarzutów, i w końcu wyjednał zgodzenie się Ojca św., został konsekrowany, najuroczyściej odbył akt wstąpienia na katedrę i zasiadł już bez przeszkody na tronie biskupim. Kapituła upokorzyła się, on też hojnie obdarzył katedrę drogocennymi aparatami. Dwa lata niespełna zaledwie cieszył się zdobyciem stanowiska, którego tak pragnął i dla którego poświęcił i najwyższe zaszczyty i godności świeckie. Umarł w 1684 r, zapisawszy kapitule majątek swój Czabiszki, jakoż kapituła nietylko pogrzebem wspaniałym, mowami, w których cnoty jego głosiła, ale i uchwałą cztery razy do roku nabożeństwo za duszę jego odprawiać — wdzięczność swą mu wykazała.

Pacowie doścignął największego znaczenia za panowania Jana Kazimierza i Michała Wiszniewieckiego, kiedy jednocześnie trzech Paców zajmowało najwyższe urzędy na Litwie: w. kanclerza (Krzysztof), wojewody wileńskiego i w. hetmana (Michał) i biskupa wileńskiego (Mikołaj, rodzony brat Krzysztofa). Po śmierci króla Michała wszyscy trzej zbrojno zjechali na sejm konwokacyjny (1674) i zaraz oświadczyli, że Litwa nie zgadza się na króla Piasta. Nic więc dziwnego, że Jan III. okazywał Pacom swoją niechęć. Wtedy to Radziwiłłowie i Sapiehowie stanęli górą.

Zmieniły się jednak okoliczności i w następstwie czasu widzimy Paców jako najbliższych wspólników Radziwiłłów, szczególnie od czasu, kiedy Antoni Pac, pisarz litewski, ożenił się z Teresą Radziwiłłówną. Ignacy Pac, podstoli, po wyroku konfederacyi litewskiej 1764 r., która pozbawiła księcia Karola Radziwiłła godności wojewody wileńskiego, dzielił losy i towarzyszył mu do Węgier. Tak samo, po powrocie ks. Karola do Nieświeża, Michał Pac, jenerał-leitnant, działał z nim wspólnie we wszystkich ówczesnych sprawach krajowych.

Ostatni Pac, Ludwik, zostawił dobrą pamięć, jako dzielny wódz i żołnierz, jako kochający ojczyznę i uczciwy, zacny człowiek.

Prawdziwa wdzięczność należy się p. Józefowi Wolffowi za tę sumiennie opracowaną monografię. Jest to praca, która chlubę stanowi w naszem piśmiennictwie.

A. H. Kirkor.

Senatorowie i dygnitarze wielkiego księstwa litewskiego 1386—1795, przez *Józefa Wolffa*. Kraków. 1885. VII. i 354.

Od czasu kiedy historya u nas weszła na nowe tory, kiedy badania ścisłe zaczęły się opierać przeważnie na wiarogodnych źródłach, każdy pracownik czuł wielką niedogodność w braku dokładnych, chronologicznych spisów senatorów i dygnitarzy, szczególnie litewskich. Wprawdzie Niesiecki sporządził spis senatorów; Lelewel w części go dopełnił; ważne są prace Juljana Bartoszewicza w tym względzie; inni przyczynili się do uzupełnienia tej ważnej gałęzi cząstkowemi obrobieniami, jak n. p. Buszyński ułożeniem spisu starostów żmudzkich, Maurer i Kwiatkowski urzędów kancelaryjnych z w. XVI., wreszcie Julian Błeszyński spisem senatorów i dygnitarzy koronnych świeckich z XVIII. w.; ale wszystko to nie zaradzało potrzebie, nie obejmowało całości, nie mogło służyć za rękojmią autentyczności źródeł, na których się opierało.

Wdzięczność należy się p. Józefowi Wolffowi, który pierwszy, daje nam dokładny, całość obejmujący podręcznik dla pracowników nad dziejami Litwy od roku 1386—1795. Mozolna ta praca tem większą ma doniosłość, że oparta na najważniejszych, nieulegających żadnej wątpliwości źródłach, a mianowicie „aktach metryki wielkiego księstwa litewskiego“, oraz na ogłoszonych już drukiem dyplomataryuszach i zbiorach aktów. Jest to pierwsza praca w tak szerokim zakresie, a ażeby ocenić zasługę badacza, dość jest przypomnieć, że praca ta zasadzała się na ścisłem i dokładnem przejrzeniu przeszło pół tysiąca ksiąg metrycznych, zawierających nominacye i przywileje królewskie, jakie przechowały się do dni naszych. Wszakże i na tem nie poprzestał p. Wolff; szukał on źródeł nietylko w archiwach i w dziełach już wydanych, w dyplomataryuszach, ko-

deksach, w dawnych kronikach, we współczesnych gazetach, ale i w prywatnych rodzinnych zbiorach i zapiskach ludzi, którzy przechowali oryginalne nominacye, przywileje i nadania królewskie z rozmaitych epok.

P. Wolff dzieli senatorów na trzy kategorye: wojewodów, kasztelanów i ministrów. Do ostatnich zaliczeni są: hetmani, marszałkowie, kanclerze, podkanclerze, podskarbiowie. Następują dygnitarze: chorążowie, cześnicy, jenerałowie artyleryi, jenerałowie inspektorowie, instygatorowie, koniuszowie, krajczowie, kuchmistrzowie, łowczowie, miecznicy, mierniczowie, oboźni, pisarze i sekretarze, piwniczowie, podczaszowie, podkomorzowie, podkoniuszowie, podstolowie, referendarze, stolnikowie, strażnicy, wojscy.

Praca tak olbrzymia, przez jednego człowieka podjęta, niepodobna, ażeby uniknęła niektórych, zresztą mniej znacznych niedokładności i opuszczeń, które tylko z czasem, przy odszukaniu nowych źródeł mogą być usunięte.

P. Adam Boniecki, który, jak sam oświadcza, posiada materyały historyczne i heraldyczne, podaje niektóre sprostowania i uzupełnienia pracy p. Wolffa[1]. Najważniejszy zarzut, jaki przytacza, jest ten, że niepotrzebnie marszałków królewskich (hospodarskich), zamieścił w oddziale ministrów, i że w spisie tych marszałków opuścił kilkudziesięciu, piastujących ten urząd w latach 1490—1556. Szanowny krytyk przypuszcza, że to opuszczenie spowodowanem zostało przez zarzucenie w drukarni części rękopismu. Tak nie jest, skoro p. Wolff sam wyraźnie mówi o tem niewolnem opuszczeniu (str. 172): „W XV. wieku, powiada autor, było ich (marszałków) stale po kilku naraz. Mniej więcej od 1480 r. liczba ich znacznie została powiększoną; za Aleksandra, Zygmunta I., Zygmunta Augusta, do Unii, było ich tak wielu, iż listy ich ułożyć niepodobna“. A więc nie zarzucenie w drukarni, jak się zdawało p. Bonieckiemu, ale niemożność ułożenia listy, jak to sam autor zeznaje, a co tylko z czasem zapewne da się uzupełnić.

Na Litwie, powiada p. Boniecki, spotykamy trzy kategorye marszałków: ziemskich, czyli wielkich, nadwornych (albo dwornych) hospodarskich, czyli królewskich, zwykle wprost marszałkami zwa-

[1] Biblioteka warszawska, maj, str. 311.

nych. Otóż, ponieważ ci ostatni nie wchodzili w skład senatu, należało ich zamieścić między dygnitarzami, a nie zaliczać do ministrów.

Lista marszałków nadwornych u p. Wolffa zaczyna się od Hrehorego Ostykowicza. P. Boniecki zaś twierdzi, że pierwszym marszałkiem ziemskim litewskim był Czupurny, chociaż w aktach raz wielkoksiążęcym, drugi raz nadwornym zwał się marszałkiem, ale w r. 1409 na erekcyi kościoła w Trokach, podpisany jest marszałkiem ziemskim. Nadto p. Boniecki prostuje niektóre inne usterki; nie wszystkie jednak jego zarzuty mają dokładną podstawę. Tak np. twierdzi p. Boniecki, że w liczbie wojewodów smoleńskich opuszczony Jerzy Wasilewicz Tyszkiewicz, który podpisał testament Dowojny, wojewody połockiego, sporządzony w Moskwie w r. 1566, mianując się wojewodą smoleńskim. Tymczasem autor (p. Wolff) miał przecie na względzie ten sam testament Dowojny i mówi o nim (str. 55, przyp. 5), tłumacząc, że to omyłka przepisywacza, gdyż Tyszkiewicz był wtedy wojewodą brzeskim, co i Karamzin wymieniając ówczesnych posłów do Moskwy, potwierdza. Tyszkiewicz zaś pokazany w liczbie wojewodów brzeskich, od roku 1566, w czem powołuje się autor na Dogiela (Codex dipl. V., 277).

Tak samo zarzuca p. Boniecki, że Hrehory Chodkiewicz został kasztelanem wileńskim i hetmanem wielkim litewskim, nie w 1564 r., ale w r. 1563. Ależ p. Wolff wyraźnie go i mianuje w r. 1563 (str. 92) hetmanem, tylko nie wielkim, ale d w o r n y m, jakim został jeszcze przedtem, 9 listopada 1561 r. (str. 155), w kwietniu zaś 1564 r. został z trockiego wileńskim kasztelanem, a jednocześnie był hetmanem polnym (str. 79), nakoniec wielkim hetmanem mianowany nie w r. 1563, ani r. 1564, ale zaledwo w r. 1566, (str. 150)[1].

Większą mogą mieć doniosłość uwagi p. S...ckiego, zamieszczone w „Kraju“ (Nr. 7). P. S...cki, jak sam powiada, miał sposobność korzystania z tych samych wyłącznie źródeł, co i p. Wolff, tj. z metryki litewskiej, głównego źródła pracy p. Wolffa. Sprosto-

[1] Autor powołuje się na metrykę litewską, ks. Zap. 38, d. 230; 38, f. 420; V. 277; na Lachowicza listy f. 202 i inne poważne źródła. Ważniejszą jest rzeczą, że autor prostuje omyłki w dacie śmierci Chodkiewicza: umarł on 12 listopada 1572 r., gdy u Kossakowskiego (w Monografiach, 111) pokazana data śmierci w r. 1574, a u Niesieckiego 1569.

wania, jakie czyni p. S...cki, prawie wyłącznie są chronologiczne, mianowicie co do określenia dat objęcia urzędów i kilka innych. Słusznie też powiada, że za dni naszych o m y ł k i d r u k u stały się istnym biczem bożym na autorów, jakoż przytacza w odnośniku dość długi szereg bardziej krzyczących i rażących błędów.

Pomimo to, jak p. Boniecki, tak również i p. S...cki z wielkiem, a prawdziwie zasłużonem uznaniem mówią o pracy p. Wolffa. I rzeczywiście; usterki wykazane przez tych dwóch panów, nie mają jeszcze tak wielkiej doniosłości, ażeby mogły osłabić wrażenie, jakie praca p. Wolffa musi wywierać na każdego czytelnika, jak swoją sumiennością, tak niemniej zaradzeniem potrzebie naglącej. To niezawodna, że dla każdego pracownika nad dziejami ojczystemi, książka p. Wolffa stanie się niezbędnym podręcznikiem i zapewne, niezbyt długo czekać będzie na powtórne wydanie, co da możność uzupełnienia listy marszałków i sprostowania błędów, jakie p. Wolft uzna za słuszne.

A. H. Kirkor.

Przegląd pism peryodycznych.

5. **The Month.** A catholic Magazine and Review. London. Twenty-second year. January, February, March 1885.

Katolicyzm w Anglii przybiera coraz to większe rozmiary, nietylko dzięki liberalnej konstytucyi politycznej, ale także w skutek naukowych prac, badań i publicystyki peryodycznej w katolickim kierunku redagowanej. Od 22 lat Jezuici angielscy, przy pomocy ludzi świeckich, ale tych samych co oni przekonań religijno-społecznych, wydają miesięczne pismo *Miesiąc*, w zeszytach 10-arkuszowych dziwnie zbliżone pod względem celu i programu do naszego *Przeglądu*. Redaktorom *Month'a* chodzi przedewszystkiem o wprowadzenie w świat naukowy angielski zasad katolickich. Do tego zmierza szereg artykułów, omawiający stylem przystępnym kwestye teologiczno-moralne. A nie są to ciężko uczone rozprawy *in abstracto*, ale powód do nich daje jaki wypadek z kryminalistyki angielskiej, jaki spór między uczonymi różnych wyznań, jakaś relacya lub

zaczepka niepowołanych teologów, występujących w dziennikarstwie poważniejszem angielskiem, słowem, artykuły te noszą cechę aktualności. Obok rozpraw umieszcza *Month* dokładne relacye z ruchu katolickiego nietylko w Anglii, ale i w krajach, jak północna Ameryka, z którymi interesa Anglii wielokrotnie plączą się i wiążą. Polemika poważna, przedmiotowa, polemika zasad a nie osób, a przytem bogata bibliografia i nowiny z literackiego świata zapełniają prawie połowę każdego zeszytu. Nie jest też wykluczona powieść, albo rozprawa artystyczno-literacka o dziełach sztuki lub lżejszej literatury. Za to polityką, tą wielką, szeroką polityką i dyplomacyą nie zajmuje się *Month* zgoła, zostawiając to niewdzięczne pole pismom codziennym i fachowym. Wyłączność ta jednak nie przeszkadza mu wcale omawiać i oceniać z punktu widzenia katolickiego bądźto pojedyńczych wypadków, bądź trwałych urządzeń, które w polityczno-państwową sferę sięgają. Zaletą wszystkich zgoła artykułów *Month'a*, zaletą zdaniem naszem najwyższą, bo niełatwą do zrealizowania w comiesięcznem piśmie, jest ich krótkość i treściwość obok aktualności i znaczenia chwili. Mają one swoją rzetelną wartość, bo są zawsze rozumne, zasadniczo opracowane, a budzą zajęcie, bo dotykają kwestyj bieżących, a nie nudzą rozwlekłością.

Na dowód naszej oceny *Month'a* podajemy treściwy pogląd na pierwszy kwartał b. r. Znany nam z dzienników sądowy wyrok ocalonych majtków okrętu *Mignonette;* trzech ich ocalało na łodzi ratunkowej, dwaj przyciśnięci głodem zabili, a raczej dobili umierającego 17 letniego swego towarzysza i jego mięsem od głodowej śmierci uratowali się; sąd londyński skazał ich za to na 6 miesięcy więzienia; wyrok ten spowodował rozprawę naczelnego wydawcy *Month'a* jezuity Cklarcke, pod tytułem: *The „Mignonette" case as a question of moral theology.* (Minionet, wypadek oceniony ze stanowiska teologii moralnej). Na podstawie nauki św. Tomasza z Akwinu i św. Alfonsa Liguori objaśnia autor kwestyę, o ile dozwolono kosztem cudzego życia, bronić własne swoje życie i dowodzi, że owi dwaj majtkowie przekroczyli granice prawem bożem naznaczone, że byli zbrodniarzami; dalej, że obrona lorda Coleridge, jako *Chief Justice,* usiłująca zastosować do tej zbrodni prawo obrony własnego życia, czyli zasadę *inculpatae tutelae,* jest z gruntu mylną, a tem samem wyrok trybunału na tej obronie oparty, jest niesprawiedliwy,

bo grzeszy łagodnością. Być może, że zbyt łagodny wydając wyrok, uniknąć chciano oburzenia opinii publicznej, która stanęła po stronie obżałowanych; zmniejsza to, ale nie usuwa niesprawiedliwości wyroku.

Inny głośniejszy jeszcze wyrok sędziów przysięgłych w Paryżu, uwalniający od winy panią Hugues, która dziennikarza oszczercę strzałem rewolwerowym zabiła, dał powód do artykułu: *The influence of positive morality on law.* (Wpływ pozytywnej moralności na prawo). Pan Maude, autor powyższej rozprawy omawia bardzo ważne pytanie: co jest podstawą moralności *principium moralitatis,* czyli co jest ostateczną przyczyną, dla czego niektóre czynności są same z siebie złe i występne, inne zaś dobre i godziwe? Amerykański filozof Henryk Maine dowodzi, a nie on sam tylko, ale cała szkoła racyonalistów, że taką ostateczną moralną przyczyną jest społeczeństwo, to dobre i godziwe, co społeczeństwu pożyteczne, albo co opinia społeczeństwa uzna za takowe, to zaś co społeczeństwu szkodzi, lub co głos opinii publicznej jako złe potępi, to jest złem i niemoralnem. Zasada taka z gruntu mylna, ale raz postawiona jako pewnik, znosi wszelką powagę prawa, gdyż skoro społeczeństwo toleruje zbrodnie, to i prawo, strażnik moralności społecznej, nie ma obowiązku jej karcenia i karania. Werdykt przysięgłych paryskich, uniewinniający panią Hugues był na podstawie tej mylnej zasady sprawiedliwy. Tymczasem przypomina i dowodzi *p. Maude* że podstawa *moralności, principium moralitatis,* nie może być coś tak chwiejnego i zmiennego, jak społeczeństwo i opinia publiczna, która „jest tylko stałą w niestałości swojej", *et tantum constans in levitate sua,* jak śpiewał rzymski poeta. Tkwi ona głębiej, bo w odwiecznym prawie bożem, mocą którego to jest dobre i moralnie godziwe, co zgadza się z nieskończoną doskonałością bożą, to zaś, co się jej sprzeciwia, jest moralnie złe, niegodziwe i występne. Pojęcie tedy cnoty i występku, zasługi i winy, opiera się nie na ludzkiem mniemaniu, ale na odwiecznych niespożytych prawach zależności człowieka od Boga i podporządkowania jego czynów pod wolę bożą objawioną w dekalogu. Na prawie bożem, na dekalogu opiera się wszelkie prawo ludzkie, a celem jego uzacnienie i uszlachetnienie społeczeństwa i dlatego stać ono musi na straży porządku społecznego i wymierzać karę na tych, którzy ten porządek społeczny

psują, w przeciwnym razie prawo zamieni się w instytucyę służalczą, schlebiającą namiętnościom upadającego społeczeństwa. Jest to co się zowie praktyczne aktualne wprowadzenie w świat naukowy i w publiczne życie zasad chrześcijańskich; tak pojęta wiara i religia staje się istotnie dźwignią moralną i wciela się w społeczeństwo.

Obok tych rozpraw na tle teologii i filozofii chrześcijańskiej, znajdujemy w *Month* dokładny obraz ogólnego ruchu katolickiego świata. Na wstępie zwraca uwagę artykuł p. t. *The third plenary council of Baltimore*, z którego dokładne można powziąść wyobrażenie o historyi Kościoła w północnej Ameryce i obecnem jego urządzeniu, niemniej jak o pracach podjętych tam przez duchowieństwo około wykształcenia młodzieży. W tym celu radzono o założeniu uniwersytetu katolickiego dla Ameryki północnej, równie jak o środkach, zapobiegających tajnym towarzystwom, których zatrute wpływy podkopują społeczeństwo Nowego świata.

Dalej znowu widzimy *Lord Ripon's indian administration*, w której to pracy pułkownik H. S. Jarrett opisuje intelektualny stan tej angielskiej posiadłości i usiłowania podjęte dla umoralnienia narodu podczas rządów Lorda Ripona, natchnionych gorliwością katolicką, obok tolerancyi zdobywającej liczne nawrócenia. *The „Saturday Review" on the Chines Rites*, jest odpowiedzią angielskiemu tygodnikowi *„Saturday Review"*, który w ostatnim zeszycie z ubiegłego roku wystąpił z *Historyą obrzędów chińskich*. Prostując mylne szczegóły, wyjęte z nieznanego rękopisu prywatnej monachijskiej biblioteki, podaje nam autor historyę Kościoła w Chinach, i opowieść o pracach missyjnych, podjętych tam przez zakon Tow. Jezusowego.

X. H. Gibson opisuje znowu Afrykę i mówi o przyszłych pracach missyjnych w tej części świata, a p. Emanuel Amor prowadzi nas do Mexyku, opowiadając piękną i poetyczną historyę obrazu Najśw. Maryi Panny z Gwadalupy, która ukazując się ubogiemu Indyaninowi, dała mu pęk kwiatów, jako dowód dla *don Fray Juan de Zumárraga*, wówczas biskupa mexykańskiego. Prostaczek zawija otrzymany skarb w swoją tilmę indyjską i spieszy do mieszkania biskupiego, a rzucając przed nim kwiaty rozwija ową tilmę, na której obecni ujrzeli obraz M. Maryi Panny, do dziś czczony w Meksyku. W tymże zeszycie zastanawia nas praca, pod

tytułem *The crucifix and its history*, w której p. Ellis Schreiber wyczerpującą podaje historyę krzyża tak w znaczeniu religijnym, jak artystycznym. Cytując najstarsze zabytki sztuki chrześcijańskiej, umiejętnie zaznacza epokę, w której odnajdujemy ślady malowideł na krzyżach; rzeźby na krzyżach napotykamy dopiero około IX. wieku. Pierwsi chrześcijanie samego tylko krzyża, jako symbola wiary używali.

Pominąwszy kilka pomniejszych artykułów, wspomniemy jeszcze o pracach czysto literackiej treści. P. Agostino Olivieri daje nam gawędę o Dancie, p t.: *Some Gossip about Dante*, opowiadając wdzięcznie początek miłości wielkiego poety dla ośmioletniej Beatrice dei' Portinari i dochowanie tego uczucia po śmierci dla czystej i symbolicznej przewodniczki z Boskiej komedyi. Następnie p. H. Wilson rozbiera *Kupca weneckiego* Shakespear'a, a raczej bada, zkąd powziął myśl wielki poeta do najdoskonalszego utworu swego. Pan Percy Fitzgerald w swojej *Religion of Hamlet* ukazuje nam ducha poety ze wszystkiemi pojęciami synów katolickiego Kościoła. Popierając zdanie swoje, mnogie przytacza przykłady z pism poety, dla którego zimny i oschły protestantyzm mógł być tylko zewnętrzną formą.

Month daje nam także powieść *The lady of Raven's Combe*, przez E. H. Dering'a, osnutą na tle stosunków społeczeństw protestanckiego i katolickiego. Zaledwie rozpoczęta ta powieść, nie pozwala jeszcze o sobie wiele powiedzieć. Przeznacza też *Month* w każdym zeszycie obszerne miejsce dla bibliografii, której bogaty dział jest przeglądem ruchu umysłowego w katolickim świecie. Obok angielskich widzimy sprawozdania z dzieł łacińskich, francuskich, niemieckich, hiszpańskich i włoskich. Z pism peryodycznych stale zamieszcza *Month* rozbiór z *Civilta Cattolica*, *Katholik* i *Stimmen aus Maria Laach*.

M.. S.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł historycznych.

ZBORNIK MATERYAŁÓW odnoszących się do historyi Złotej Hordy. *W. Tisenhausena.* T. I. Petersburg, 1884.

Pomimo doniosłości dziejów Złotej Hordy dla Rosyi, zostającej przez dwa wieki pod jej panowaniem, dotychczas jednak historyografia rosyjska nie zdobyła się ani na jedną pracę w tym przedmiocie godniejszą uwagi, ani nawet na zbiór najważniejszego materyału historycznego. Obowiązkiem przedewszystkiem Akademii nauk było postarać się o wypełnienie tego braku. To też przed czterdziestu jeszcze laty petersburgska Akademia ogłosiła konkurs na najlepszą pracę z dziejów Złotej Hordy, którego rezultatem było dzieło Hammera Purchstona w języku niemieckim, nieuznane jednak za godne nagrody z powodu nieznajomości źródeł rosyjskich i nader powierzchownej krytyki. Dopiero w roku przeszłym jeden z młodszych uczonych rosyjskich, W. Tisenhausen, zebrał i wydał z rozmaitych źródeł wschodnich pokaźny materyał, mający związek z dziejami tego najważniejszego odłamu państwa Dżingischanowego. Praca ta nie może być obojętną i dla naszych historyków z powodu dosyć ożywionych stosunków Jagiellonów ze Złotą Hordą, dotyczących najdonioślejszych podówczas kwestyj dla wschodniej Europy, jak wzrostu Moskwy lub rozwoju chanatu Krymskiego.

W skład świeżo wydanego tomu, obejmującego 570 stronic, weszły wyciągi z pisarzy arabskich, pozostające w związku z dziejami Złotej Hordy. Dawniej wydane dzieła pisarzy wschodnich umieścił wydawca w tłumaczeniu rosyjskiem; wydane zaś po raz pierwszy, w oryginale i w tłumaczeniu. Wyciągów tego rodzaju, ułożonych w porządku chronologicznym, znajduje się w tomie I. w liczbie 26, które pochodzą z tyluż autorów arabskich.

W następnym tomie obiecuje p. Tisenhausen dać wyjątki z autorów perskich, tatarskich i tureckich, i uzupełnić je uwagami treści historycznej i geograficznej, zdobytemi własną pracą nad tym przedmiotem.

A. Sulima.

INSCRIPTIONES CLENODIALES ex libris iudicialibus palatinatus Cracoviensis, collegit et editit *Boleslaus Ulanowski.* Cracoviae 1885, sumptibus Academiae litterarum in 4-to, str. XV. i 626.

Wydawnictwo dzieł ściśle naukowych, a zwłaszcza ze źródeł rękopiśmiennych, dotąd przez nikogo niebadanych stanęło na porządku dziennym w różnych stronach Polski a przeważnie w Krakowie. Liczyć się z temi wydawnictwami tam zwłaszcza, gdzie znachodzą się nowe i całkiem nieznane dokumenta i dowody do przeszłości naszej w jakimkolwiek zakresie należące, koniecznie potrzeba. Takiego właśnie rodzaju materyał nowy, dotąd nieznany, mamy przed sobą w dziele p. Bolesława Ulanowskiego *Zapiski herbowe krakowskie.* Wydawca zaszczytnie znany

z kilku rozpraw naukowych, odnoszących się do prawa polskiego i historyi, rozczytując się wzorem Zyg. Ant. Helcla w starodawnych prawa polskiego pomnikach, znajdujących się w najdawniejszych aktach sądowych, powziął szczęśliwą myśl wydobycia z tych aktów dokumentów prawnych, odnoszących się do szlachectwa rodzin polskich w XIV i XV. wieku. I oto mamy przed sobą poważne dzieło, które nakładem Akademii umiejętności w Krakowie w styczniu b. r. opuściło prasę. Ś. p. Ant. Zyg. Helcel przez długie lata rozczytując się w najdawniejszych księgach sądowych ziemi krakowskiej z XIV. i XV. wieku, z 52 najstarszych voluminów wybrał około 5000 ważniejszych zapisków sądowych, które nowe całkiem i nieznane prawne i sądowe materyały dały nam do życia społecznego praojców naszych z tak oddalonej epoki; a rezultat swych badań drukiem ogłosił w roku 1870 w drugim tomie *Starodawnych prawa polskiego pomników*. W tym bogatym materyale jedną tylko mającym wadę, iż wydany jest bez żadnego indexu, między pięciu tysiącami zapisek sądowych różnej treści, znajduje się około 200 takich, które odnoszą się do heraldyki polskiej. Kto ksiąg tych, z których wypisy były robione, nie znał w oryginale, mógł sądzić, że wszystko co tam znajdowało się z zapisków herbowych, Helcel wydrukował; tak jednakże nie jest. — Poucza nas o tem nowo ogłoszona praca p Ulanowskiego, w której znajdujemy imponującą liczbę zapisków herbowych nieznanych dotąd. A rezultat z nich jaki? Oto, że co wiedzieliśmy z heraldyków naszych, Paprockiego, Okolskiego, Niesieckiego i z innych, którzy ich przepisywali, wszystko jest niedostateczne, a dzieło to nowe, nowe rzuca światło na herby i rodziny polskie z XIV. i XV. wieku. Więcej powiem, dzieło to, wywody genealogiczne heraldyków naszych nietylko uzupełnia, lecz w miejsce gołosłownych twierdzeń ich, gruntowne i wierne stawia dowody i argumenta o szlacheckim pochodzeniu tej lub owej rodziny. Wydawca nie heraldykę miał na myśli, ale dokumenta prawne sądowe pewnego gatunku procesów, które przed forum sądowem rozstrzygane były. I nie heraldykę mając na myśli, lecz procesa ubliżające czci i sławie, dał mimowoli źródłowy materyał do heraldyki i genealogii polskiej.

Jakim teraz sposobem w księgach sądowych znalazły się heraldyczne materyały, objaśnię pokrótce. Od dawnych czasów wiadomo, że szlachcie polskiej udarowanej herbowym klejnotem, przysługiwały pewne prawa i przywileje, i to takie, jakich inne stany nie miały. Zdarzało się jednakowoż nierzadko, gdy sądy rozstrzygały sprawy jakie, iż tam gdzie nie było notorycznie wiadomem o szlacheckiem pochodzeniu pozwanego lub pozywającego, lub gdy zapozwany chciał na mniejszą sądownie zasłużyć karę, wtenczas pozywający, jeśli był uważany tylko za szlachcica, *naganiał szlachectwo* według terminu sądowego *Vituperatio militiae nobilitatis*, to jest zarzucał pozwanemu, że szlachcicem nie jest. Powód, którego spotkał ten zarzut, musiał, chcąc uchylić prawne jego skutki, oczyścić naganione swoje szlachectwo w przepisany zwyczajem i ustawą sposób. I to się nazywało w terminie sądowym *expurgatio nobilitatis*. Gdyby tego zaniechał, lub gdyby na to nie miał dowodów, to nietylko że w danym wypadku przegrywał sprawę, ale w każdym następnym sporze, w którymby się powoływał na wypływające ze stanowiska szlacheckiego prawa, mogła strona przeciwna odwołać się na niepomyślny dlań wynik poprzednio przeprowadzonego dowodu. Je-

dnem słowem, dopóki kto nie wykazał zwycięzko bezpodstawności nagany swego szlachectwa, uchodził w obliczu prawa za nie szlachcica. Owoż chcąc naganiającemu szlachectwo i sądowi udowodnić prawo swe herbowe, gdy nie miał piśmiennego dokumentu i dyplomatu, potrzeba było stawić przed sądem świadków herbowych, którzy pod przysięgą lub deklaracyą tejże zeznawali, że oczyszczający się z zarzutu jest rzeczywiście szlacheckiego pochodzenia i szlachcie właściwe przysługują mu prawa. Tym oto sposobem po księgach sądowych nagromadziły się tysiączne zapiski naganianego szlachectwa i znowu tysiączne zeznania świadków, które ono naganienie oczyszczały. Naganiony o nieszlachectwo sprowadzał do sądu znanych dobrze świadków herbowych 2, 4, 6, a czasem i więcej, a w tych zwykle co najmniej dwóch tego samego herbu co naganiony i ci pod przysięgą zeznawali, że bratem ich jest, to jest do ich herbu należy. Rota przysięgi była krótka w tych słowach zwykle: „*Tako nam pomoży Bóg jako N. de N. jest naszego szczitha, naszego zawołania, i nasz brat naszej krwie*“ (N. 1359); tak zeznawali herbowni tego samego herbu. Herbowni zaś inni takie dawali świadectwo: „*Tako nam pomoży Bóg i święty krzyż jako świadczymy, iże* (np.) *Piotrasz jest prawy brat Januszewy i Domenikowy ich szczitha i zawołania*“. (N. 1345). Legitymowali się powszechnie z herbu ojcowskiego, ale bardzo często i z herbu *macierzy*, z herbu *dziada, baby, pradziada i prababy*.

Do summarycznego teraz przechodząc spisu zaznaczamy, że w książce p. Ulanowskiego znajdujemy herbów i zawołań 150 w ogóle, z tych trzecia część jest całkiem nieznanych albo co do nazwisk, albo co do określań tychże, lub wreszcie co do zawołań, dalej pobieżnie obliczając liczbę świadków, znajdziemy ich więcej niż 3000, a w nich znów co najmniej połowę nazwisk rodzin nieznanych heraldykom naszym. Szczegółowiej to wykażę poniżej przy wzmiance o herbie Jastrzębiec. Materyały czerpał p. Ulanowski z ksiąg od r. 1341 do 1531, a najprzód z ksiąg krakowskich zapisków *in extenso* podał 1150; zapisków zaregestrowanych z dzieła Helcla 190; z ksiąg konsystosza krakowskiego i archiwum kapitulnego podał zapisków 150 i nakoniec z archiwum głównego w Warszawie, z archiwum aktów dawnych w Lublinie i z archiwum książąt Czartoryskich w Krakowie, razem zapisków 141.

Zapiski tu pomieszczone dzielą się na kilka kategoryj: jedne tak zwane terminowe, te są bardzo krótkie, bo w nich imienna jest tylko wzmianka osób, zapozywającego i zapozwanego, iż stanąć mają na terminie sądowym w sprawie naganienia szlachectwa, bez bliższych wszelako innych szczegółów. Drugiego rodzaju zapiski także bardzo krótkie, ograniczają się przeważnie do wymierzonej kary sądowej, jaka spada na przegrywającego sprawę. Kara bywała dwojaka; przegrywający płacił takową albo samej tylko stronie, albo i stronie i sądowi i to zwykle po XV grzywien sądowych; i w tych zapiskach jeszcze nie są wspominane herby. Inne opiewają proste stawiennictwo świadków. Inne odnoszą się wyłącznie do ogólnikowego szlachectwa, bez oznaczenia bliższego powodów i motywów. Inne poprostu do słów obelżywych lub ubliżających, jak np. *tu es rusticus* albo *tu es ribaldus (ty jesteś chłop)* (954), albo też *tu mentiris ty łżesz* (56), albo *lepszy jestem jako ty melior sum quam tu* (68), albo tyś jest *stradny syn* (640), *syn nieprawego łoża* (14) lub coś podobnego, a takie sprawy sądzono bezwłocznie.

Oto przykład: Klemens z Łapanowa za to, że w sądzie odezwał się do notaryusza Michała temi słowy: *nie skazuj ty, niechaj skazują lepsi niż ty.* Michał upatrzył w tem obrazę, że naganił mu przez to szlachectwo jego i nazwał go chłopem; za to Klemens skazany został na podwójną karę. Michałowi musiał zapłacić XV grzywien i tyleż sądowi; było to roku 1400! Ostatnia kategorya i to najważniejsza i najliczniejsza zawiera już czysto heraldyczny materyał; tu już wspominane są herby i ich zawołania i wymienieni są familianci do tych herbów należący. Pierwsza część kończy się na zapisce 1340 i te wyłącznie czerpane są z aktów sądowych krakowskich — po nich 37 zapisek z ksiąg sądowych z metryki koronnej, a po nich 128 zapisek z aktów konsystorza krakowskiego i 22 zapisek z aktów kapituły krakowskiej. Z tych 150 zapisek faktycznie jedna tylko odpowiada ściśle tytułowi dzieła. Jest to akt nobilitacyi kanonika krakowskiego Bernarda Galli (1499) w innych zapiskach, a powiedziałbym aktach całych, materyał odnośny do heraldyki polskiej z wymienieniem herbów i rodzin, jak to miało miejsce w zapiskach sądowych, tu prawie się nie znajduje, a natomiast czysto prawny, tyczący się procesów o obelgi, o zarzuty ubliżające czci, honorowi, dobrej sławie i t. d. Kapitulne zaś akta dają wprawdzie szereg zapisek, odnoszących się do installacyi kanoników katedralnych, ale tu tyle tylko zapisano, iż świadkowie zeznali, iż installujący się z ojca i z matki szlacheckiego jest pochodzenia, ale z jakiego oni są domu i jakiego są herbu, z tem w zapiskach nie spotykamy się. Konsystorskie zapiski, prócz kilku bardzo interesujących, między któremi te zwłaszcza, co odnoszą się do instytucyi hierarchii i nominacyi notaryuszów papieskich, cesarskich i miejscowych, prócz żywota Tomasza Strzempińskiego biskupa krakowskiego, skreślonego przez Długosza, a zupełnie zgodnego z jego *Vitae Episcoporum*, zapiski wszelkie odnoszą się wyłącznie do wyroków konsystorskich już to między duchownymi, już między duchownymi a świeckimi w sprawach przeróżnych a przeważnie w skargach, jak już wspomniałem, o wyrządzenie obelgi lub uczynionych zarzutach tyczących się rodu i pochodzenia, życia i obyczajów. Część ostatnia znowu, sądowe zapiski z ziemi lubelskiej i z aktów, znachodzących się w archiwum książąt Czartoryskich, wyłącznie heraldyczny przynosi materyał. Tak bogatym i nieznanym materyałem ubogacając i prawo i heraldykę polską, niemałą krzywdę wyrządził autor dziełu swemu, oszczędnością się rządząc dla umniejszenia wydatku na druk kilku kart więcej, gdy najciekawsze zapiski herbowe, które Helcel drukiem ogłosił w 1870 r., zamiast poprawione w lekcyach oddrukować na nowo, zaregestrował tylko. Utrudnia to badaczom heraldykom studya a książkę p. Ulanowskiego uczyniło defektową, bo kto nie ma pod ręką drugiego tomu Helcla, lub nabyć go nie może, z tej książki korzyści całkowitej nie odniesie.

Drugi niedostatek, to brak indexu osób, którego p. Ulanowski dla tego jedynie nie dodał, że index taki powiększyłby wydawnictwo o 6 arkuszy druku (?), a „niezmiernie szczupła dotacya komissyi prawniczej“ wydatku tego podjąć nie mogła, przez co właściwa korzyść z tak znakomitej publikacyi została zwichnięta. Ten index osób i rzeczy mógł nie obejmować wszystkich imion własnych a mianowicie tych świadków, którzy podani są z imion tylko, lecz bez żadnego określenia, natomiast konieczny był tych, przy których zapisany był herb

lub zawołanie onego a ten nie byłby tak przestraszający. Wszak i przy najstarszych książkach rachunkowych krakowskich, i aktach krakowskich opuszczono nazwiska osób bez znaczenia, a mimo to indexa przy tych księgach są arcyużyteczne.

Do indexu wejść także powinny z objaśnieniami słowa nie dla wszystkich przystępne i zrozumiałe. *Swetczna, pluthas, schindem, liczowan* i t. d. Że index taki jest konieczny, przytaczam na próbkę liczne uwagi, które poczyniłem nad herbem Jastrzębiec. Zapisków do tego herbu odnoszących się, z temi już licząc co są u Helcla, jest razem 34, w tych rodzin do tego herbu należących jest 48 a osób 82. Porównywając tedy nazwiska tych 48 rodzin z nazwiskami podawanemi przez heraldyków, a jest ich nie mało bo 345, znalazłem, że tylko 13 znanych jest heraldykom naszym a 35 jest pomijanych całkiem. Ale nim do tego doszedłem rezultatu, musiałem wpierw mozolny zrobić index osób odnośnych. Mówiąc o tym herbie żałujemy wielce, że p. Ulanowski, wypisując wiele ciekawych zapisek z aktów sądowych archiwum głównego w Warszawie, nie dał nam z metryki koronnej przywileju Ziemowita księcia mazowieckiego z r. 1408 wydanego dla 50 rodzin szlacheckich herbu Jastrzębiec, a który stanowił prawną obronę w oczyszczeniu szlachectwa, gdy ono naganione było jakiemu Jastrzębczykowi. Dokument ten znany z Paprockiego, Kapicy i Czarneckiego ale niedokładnie, jedynie p. Ulanowski z ścisłością dyplomatyczną mógł nam dać poznać w formie właściwej.

X. I. Polkowski.

Z dzieł literackich.

Listy Zygmunta Krasińskiego do Stanisława Małachowskiego. Kraków 1885. str. 317.

Nie zostało powszechnie uznanem do dziś dnia, czy drukowanie wszystkich pozostałości po najznakomitszych nawet ludziach, przysparza im sławy i przynosi zarazem pożytek czytającej publiczności. W każdym razie takie rozbieranie do ostatniej nitki człowieka niezdolnego się już ani bronić, ani tłumaczyć, ma w sobie coś niedelikatnego, żeby nie powiedzieć nieludzkiego. Czytając np. listy Słowackiego do matki zdaje się, że jakiś głos krzyczy: „nie wolno! to moje!“ Czytając całe tuziny kartek listów Krasińskiego do Małachowskiego czuje się znowu, że to miało wartość wyłączną między nimi dwoma. Jest w tem pisaniu takie *laisser-aller* nie wątpiące ani na chwilę, że listy będą zniszczone, jest nawet wiele kontradykcyj, tak jak w myśleniu bywa, gdy się ogląda fakta i ludzi z różnych stron, nie licząc się z tem, że dzisiaj sądzi się ich tak, a jutro inaczej.

A jednak dla tych kilku, może kilkunastu błysków, którymi ta wielka dusza odsłania się znowu przed nami, przebacza czytelnik z łatwością to, co mu się zrazu niedelikatnością wydawało. Poezya, cofnięta dziś na ostatni plan, a tak żywo bijąca z tych kart, przypomina każdemu choćby jedną jakąś chwilę życia własnego, chwilę, w której piękno było prawdą.

Faktem jest, że Krasiński kochać

umiał. Miał ten dar Boży nie uszczęśliwiający wprawdzie, ale niewątpliwie uszlachetniający człowieka. Któżby chciał oddać swoje bóle i swoje miłości, swoje tytuły moralnego szlachectwa? Pan Bóg zajmował wielkie miejsce w tej duszy; w każdem zdarzeniu był pierwszą jego myślą, — a z jego smutków największym jest zawsze troska o honor i cześć Boską na ziemi. Taki traktacik o Trójcy św., zostawiony Małachowskiemu na pamiątkę, cały symboliczny lecz bez cienia herezyi, mógł wyjść tylko z serca rozmiłowanego w tym przedmiocie; takie ujmowanie się o to, że w jakiejś proklamacyi powiedziano kilka razy słowo Bóg, a ani razu Chrystus Pan, to także drażliwość serca przejętego duchem katolickim. Przestronę miejsce w duszy zostawione Bogu, to już kawałek świętości; całkowita świętość, to gdy całe serce jest Boże. We wszystkich listach Krasińskiego przebija ton świadczący o głębokiem wczytaniu się w Ewangelią; brał on wzory z najlepszych źródeł, szukając rozwiązania zagadek życia tam, gdzie szukający w dobrej wierze wszystko znaleść może. „Proszę cię przeczytaj Pismo św. (pisze w liście VI) zobaczysz że po księ„gach królewskich następują księgi „proroków. Czy teraz nie to samo się „dzieje? *Delirant reges, plectuntur „Achivi,* można powiedzieć i *delirant „prophetae.* Jest w nas niepohamo„wana próżność; tytułów pragniemy „nadewszystko, za tytuł rzecz odda„my: za tytuł króla, władzę królew„ską; za tytuł pułkownika pułk, za „tytuł proroka prawdziwe natchnie„nie". A dalej w tym samym liście: „Boleść wszelka, tem samem że nie„sprawiedliwa, niepojętą jest rzeczą w „Boskiej miłości, w Boskiej całości, „w Boskim rozumie; jak tylko nie„pojętą zatem i nie istniejącą wie„cznie tylko znikomie; nie będącą „prawdziwie tylko fałszywie, to jest „przeznaczoną zmniejszać się stopniami „i nareszcie zniknąć. Ztąd zaraz mo„żesz wyciągnąć, że nasz cały byt, „ponieważ jest jednym splotem bole„ści, musi także tem samem być je„dnią spiralną ciągłą postępu w którem „Złe jest tylko środkiem ku Dobremu, „Brzydota ku Pięknu, a którego osta„teczny koniec jest Dobro i Piękno „najwyższe. Że go zaś sami odkryć „musimy w pocie czoła myślącego i o „krwi serca czującego, to właśnie czyni „z nas ludzi pełnych wyższej godno„ści niż Anioły" etc.

Wgłębienie się w sprawy wyższego porządku, nie sprowadza wcale u Krasińskiego mglistego i niezrozumiałego przedstawienia rzeczy, owszem daje mu większe bogactwo stylu i niekrępowanie się w tworzeniu wyrazów zwłaszcza gdy mówi o swoich cierpieniach: „Ja „kamieniem tu leguję (zapewne częstotliwie od leżeć) a czuję się codzień „trupszym na ciele; dożyłem dni, „które chciałbym był przemrzeć", a gdzieindziej: „Jakiż otchłanny „odstęp między ideami co krążą nad „głową światu a praktycznym jego „obyczajem" etc.

Przedmiotem większej części listów do Małachowskiego są wypadki polityczne w kraju, odbijające się w najboleśniejszy sposób w duszy autora Trzech psalmów. Nawołuje on do zgody, do pokory, do życia nieposzlakowanego, jako do jedynych warunków zabliźnienia ran. O wysileniach ludzi dobrej woli tak mówi: „Nikt pismem „nie wstrzyma tego co się dzieje te„raz. Dziecko jak się sparzy staje się „doświadczeniem rozumniejsze, tak sa„mo z ludami, tak samo z narodami; „z stronnictwami zaś nie: nie zmą„drzeją póki nie poginą, daremne do „nich przemowy, Bóg je pokarze i „nauczy!"

Mylne zapatrywania na wojnę wło-

ską w 1849 nie mogą dziwić. Źle się widzi patrząc zbyt blisko, a sądy historyczne pod wrażeniem przegranej lub wygranej bitwy są zawsze bardzo niepewne. Natomiast w 1851 mówi: „Kiedy chcesz wiedzieć dzieje obecne „Rzymu, czytaj Tacyta; wszystkie po„dłości, zdrady, fałsze, wiarołomstwa „jego czasów odnajdziesz tu teraz, „czy w jednych, czy w drugich; jeden „tylko Pius IX. pozostał czem był, „czystym i świętym duchem".

Przerażające są epizody o stanie zdrowia Krasińskiego. To prawie czyściec takie życie: w bólach niezmiernych, w rozstroju nerwowym, w bezsenności, często bez wzroku, posuwał się na dwóch kulach całymi miesiącami. A wśród tego umysł wyzwolony z siebie, z tem więcej rozwiniętem pojęciem wielkich spraw świata i poczuciem doli bliźniego, bezustannie zajęty jest drugimi, wszystkiem co się dzieje w świecie, wszystkiem co się drukuje w zakresie historyi, polityki, poezyi. On sam nazywa życie swoje służbą idei, gdy pisząc o Słowackim mówi: „.... myślał, że ty przyjechawszy pa„dniesz krzyżem przed człowiekiem, „a zapomniał, że od wielu już lat le„żym krzyżem przed ideą!" *A. D.*

FUNDUSZE I STYPENDYA wileńskiego naukowego okręgu. Podręcznik informacyjny. Ułożył *M. Junickij*. Część I. Wilno, 1884 r.

Chociaż autor nazywa swą pracę „podręcznikiem informacyjnym", to jednak stosownie do tego co zapowiada we wstępie, będzie ona miała i obszerniejsze znaczenie, a nawet wartość obrazu kulturno-historycznego Litwy. Najpierw wziął sobie za zadanie wykazać wszystkie fundusze i stypendya, jakimi rozporządza wileński okręg naukowy. Jak się z tego okazuje, zasobność jego jest wielką, albowiem wynosi około 900.000 rubli srb. kapitału. Obok warszawskiego i kijowskiego najbogatszy to okręg naukowy w państwie rosyjskiem. A wszystkie te zapisy i fundacye, jak sam p. Junickij przyznaje, pochodzą prawie wyłącznie z ofiarności szlachty polskiej i do r. 1832 układane były przeważnie w języku polskim. Treść tych zapisów, ich duch i kierunek, warunki przywiązywane do otrzymania stypendyum, będą przez autora zużytkowane w dalszych zeszytach i mogą stać się w razie sumiennego traktowania rzeczy, ważnym przyczynkiem do historyi oświaty w tej części dawnej Polski. Pierwszy zeszyt ma tylko znaczenie informacyjne, praktyczne, a na część historyczną przyjdzie kolej w dalszych zeszytach, których liczby nie oznacza.

A. Sulima.

NOWELLE I SZKICE LITERACKIE, p. *Stefanię Chlędowską*. Lwów. Nakład Gubrynowicza.

Umysł jasny łaknący nauki, zamiłowanie oraz znajomość sztuki i przyrody, niezaprzeczony talent, przytem szlachetna żądza być krajowej literaturze użyteczną, oto znamiona pism nieodżałowanej Stefanii Chlędowskiej. Gdyby ją Bóg nie był za młodu z tego świata zabrał, byłaby według wszelkiego prawdopodobieństwa do rzadkiej doszła autorskiej doskonałości. Z wiekiem byłaby się wyzwoliła z pod zgubnego dla niej (i dla czytelników) wpływu nowoczesnej, lekkiej literatury francuskiej. Z własnych zasobów stać było tej szlachetnej kobiecie tworzyć samorodne, rodzime, uczciwe polskie powieści. Fałszywy blask francuskiego realizmu widocznie uderzył jej do głowy. Zdawało się p. Chlędowskiej, że chcąc świat towarzyski przedstawić takim jakim jest, a raczej takim jakim się jej bujnej fantazyi wydawał, należy bezustannie brnąć w mętnych wodach

zakazanych uczuć i zdrożnych stosunków, kończących się zwykle na samobójstwie, jako na najszlachetniejszem wyjściu z fałszywego położenia. Chwała Bogu, tak źle jeszcze u nas nie jest, lecz strzeżmy się starannie przed tą ze wszech miar szkodliwą kontrabandą francuskiego towaru, ukrywającego się pod pseudo-polską postacią. Kogo Opatrzność obdarzy twórczym darem powieściopisarskim, niech się z rozwagą rozgląda na pracę p. Chłędowskiej; niech się przejmie rzeczywistą jej dystynkcyą, niech się od niej uczy „l'art de bien dire", ale niech z daleka obchodzi szkopuł, o który się rozbiły dobre chęci autorki, w zupełnej będące sprzeczności z treścią „Nowelli". W moralnem bowiem znaczeniu „Nowelle" użyteczne być nie mogą. Prawdopodobnie „Szkice literackie" odpowiadające warunkom i zaletom talentu p. Chłędowskiej będą prawdziwą ucztą umysłową dla czytelnika. Zapowiedziane oddawna, mają lada dzień wyjść z druku.

A. M. L.

GILL'S ILLUSTRATED Magazine for Young Peaple. A Journal of Good and Plesant Reading. Issned in weekly numbers and monthty parts. Dublin *M. H. Gill.* and son. 1885.

Nieraz zadajemy sobie pytanie zkąd to lub owo skrzywione pojęcie dostało się do jasnowłosej główki dziecięcia, daremnie szukając odpowiedzi w sobie samych i otoczeniu naszem, nie domyślając się nieprzyjaciela, który niemy a wymowny zakradł się do naszego ogniska.

Tym nieprzyjacielem jest książka, nie mówiąc już o niestósownej dla młodzieży, którą zwykle opieka rodzicielska usuwa przed niewinnem okiem, ale o książce jako podręcznik naukowy, która bez wyboru brana, nieraz zaród trucizny w sobie chowa, a bardziej jeszcze o książce przeznaczonej ku rozrywce, z której zaciekawione główki często na życie całe fałszywe wynoszą pojęcia; pierwszym wrażeniom nic nie dorówna w sile, są to bowiem ziarna zapadające głęboko w ledwie zoraną glebę, niepodobną wcale do stepu wysuszonego wichrami, ubitego deszczem i nawałnicą nieraz, do którego przyrównaćby można późniejszą wrażliwość człowieka.

Zagrażające to niebezpieczeństwo za pośrednictwem książek, zniewala oko rodzicielskie do ciągłej baczności, którą podwoić powinniśmy dając w ręce młodzieży cudzoziemskie pisma, gdyż obok innych stron ujemnych, a sukienki zawsze strojnej i wykwintnej, są one po większej części kalwińskie lub anglikańskie, całe protestanckiemi doktrynami przesiąkłe, których poczwarki inkrustują się w dziecięce duszyczki, aby po latach ożyć, rozwinąć się w człowieku, który błędnie łudząc się, poczytuje je za rozumowania własne, ledwie nie cząstki swej duszy.

Literatura angielska nie posiadała dotąd czasopisma poświęconego młodzieży katolickiej, i dopiero z rokiem 1885 ukazały się tygodniowe zeszyty *Gill's Illustrated Magazine.* Rozmaitość treści, staranne illustracye, opowiadania przeplatane humoryzmem i towarzyskiemi grami zapowiadają wziętość publikacyi, którą rodzinom katolickim śmiało polecić można.

M. S.

Z dzieł filozoficznych.

O Namiętnościach. Studyum psychologiczne *Prof. Dr. Antoniego Kosiby*. W Tarnopolu. Nakładem autora 1884.

Autor tej naukowej broszury znany już jest z kilku poważnych prac na polu psychologii, jako sumienny i utalentowany badacz a zarazem (co rzadko z poprzednim warunkiem się schodzi) jako niepospolity stylista i literat. Nie kładąc zatem więcej nacisku na te przymioty, pozwolę sobie wejść od razu w głąb rzeczy i zwrócić uwagę na szczegóły, w których miałbym coś do zarzucenia poglądom autora. Od tego jest przecież naukowa krytyka.

Niniejsza praca Dra Kosiby na dwie rozpada się części: na psychologiczną i etyczną. W psychologicznej przedstawia nam autor namiętność jako ostateczny rozwój pożądania. Powtarzanie aktów w tym samym kierunku przekształca proste pożądanie w nałóg, nałóg zaś „głęboko zakorzeniony, spotęgowany do tego stopnia, że nietylko wyzwala się z pod kierownictwa rozumu, lecz owszem do własnych używa go celów, równie jak podbija pod swe panowanie wszystkie inne władze duszy“ (str. 7), wytwarza namiętność. Pożądanie więc przez nałóg dochodzi do namiętności. Rzeczony rozwój pożądania jest więcej etyczny niż psychologiczny. Według psychologii bowiem pożądanie w pewnym kierunku wzmacnia namiętność, powtarzanie zaś aktów jednej i tej samej namiętności przeradza się w nałóg. Jednakowoż zwykliśmy uważać w etyce nałóg i namiętność za jedno i to samo, (chociaż mylnie, bo jedna nauka drugiej sprzeciwiać się nie może), tak że miana np.: namiętny-nałogowy karciarz uważane bywają za identyczne, chociaż i tu nałogowy np. karciarz silniejszem jest wyrażeniem od karciarza namiętnego. W określeniu pożądania (str. 1), chociaż szanowny autor zgadza się z nami zupełnie, na pozór jednak zdaje się zachodzić różnica. I tak to, do czego pożądanie według autora zmierza, nie jest przedmiot jako taki, ale spotęgowanie wyobrażenia „Jeżeli, mówi autor, łaknący pragnie chleba, spragniony wody... to nie chleb, nie woda jest bezpośrednim przedmiotem pożądania, lecz wyobrażenie a raczej czucie przyjemne wynikające z użycia chleba i wody i t. d.“ Przebija tu pewien brak ścisłości w wyrażaniu się, trzeba bowiem rozróżnić porządek logiczny od ortologicznego. W logicznym bezpośrednim przedmiotem celem i pobudką do aktów pożądania jest bezsprzecznie usunięcie niemiłego stanu a sprowadzenie stanu przyjemnego, pośrednią zaś rzeczą jest przedmiot, który stan rzeczony wywołuje. W porządku ortologicznym, który zwykle mamy na oku, bezpośrednio pożądanie zmierza do przedmiotu, pośrednio zaś wywołuje taki lub inny stan w podmiocie.

Tak samo pewna nieostrożność w wyrażaniu się znamionuje następujące zdanie autora: „Pożądanie nie jest odrębną władzą psychiczną niezawisłą od wyobrażenia i uczucia, jak to dawniejsi pojmowali psychologowie“ (str. 5). Z tego bowiem jak niżej autor dowodzi, że wyobrażenie jest pobudką aktów pożądania, nie wynika bynajmniej jego identyczność z pożądaniem. Wyobrażenie należy do sfery władz poznawających, pożądanie do pragnących, wątpię zaś, by autor miał na myśli ztożsamienie władz poznawczych z władzami pragnienia. Starzy scholastycy (dawniejsi psychologowie)

słusznie je rozróżniali, a mistrz szkoły św. Tomasz z Akwinu różnicę ich wskazuje zawartą w tem, że w pragnieniu przedmiot pociąga ku sobie, w poznawaniu poznający wciąga przedmiot w siebie; ztąd też miarą moralnej wartości człowieka nie jest jego poznawanie, lecz pragnienie od zacności lub podłości przedmiotu, czerpiące swą zacność lub podłość, co innemi słowy wyraził Byron w Manfredzie, w pierwszym akcie, pierwszej scenie, „drzewo wiadomości nie jest drzewem życia".

Na stronnicy 13 i 14 przytacza autor zdania różnych autorów wychwalających namiętności, na stronnicy zaś 14-ej i 15-ej zbija autor ich zdanie, okazując namiętność jako zaćmienie rozumu tamujące wolność woli i raczej nagany, niż pochwały godne je przedstawia. Na stronnicy 16-ej tak się autor wyraża: „Wychwalać namiętności dla ich błogich skutków i twierdzić, że Opatrzność mądrze je wszczepiła w naturę ludzką, jako sprężyny i pobudki do wzniosłych i wielkich czynów, znaczy szydzić z wszelkich zasad moralności". Zdanie powyższe autora oderwane od jego nauki, prawdziwie na naganę zasługuje, według nauki bowiem Kościoła, człowiek wychodzi z ręki Stwórcy z różnemi namiętnościami; zadaniem zaś człowieka ma być zapanowanie nad niemi a zarazem skierowanie ich ku dobremu. Tak się nam namiętność przedstawia według pojęć na początku tej pracy narzuconych. Zważając jednak na filozoficzne upomnienie Schyllera: „Wer den Dichter will verstehen, Muss in's Land des Dichters gehen", raczej podziwiać nam należy logikę autora. Według pojęć bowiem jego wychwalanie namiętności będącej rozwojem nałogu inaczej przedstawić mu się nie mogło, jak tylko jako brak odpowiednich pojęć moralnych. Pomnąc na prawdziwe znaczenie namiętności, nie zadziwi nas wcale, że to zdanie autora u pewnych osób wywołało okrzyk oburzenia.

Zresztą w psychologicznym rozwoju namiętności, występuje przed nami p. autor nietylko jako niepospolity erudyt, ale zarazem jako sumienny badacz obdarzony szczególnym darem refleksyi śledzącej namiętności a raczej nałogi w najdrobniejszych nawet odcieniach.

Na niemniejszą pochwałę zasługuje cała część etyczna jego pracy. Dodajmy do tego piękność wyrażania się, styl treściwy a pełen polotu, przeplatanie pracy różnemi przedstawieniami namiętności i jej przewagi w człowieku, z klasycznych poetów zaczerpniętemi, a będziemy mieli przed sobą udatną całość niniejszej broszury godnej czytania.

Ks. Wł. Długołęcki.

L'ÉDUCATION MORALE et civique avant et pendant la révolution (1700—1808), par *l'Abbé Augustin Sicard.* Ouvrage couronné par l'Académie française. In 8, de XVI—582 pages. Paris, 1884. Poussielgue frères, Prix 7 fr. 50 cnt.

Zadaniem tej książki jest wykazać drogi Opatrzności Bożej, dopuszczającej niekiedy, aby w edukacyi publicznej zapanował prąd bezbożny, niemoralny. Pozorne tylko przynosi on szkody, owszem, im śmielej zdobywa sobie katedry nauczycielskie, tem prędzej sprowadza panowanie religii w wykładach szkolnych. Żeby dowieść tego założenia, dziwnego na pierwszy rzut oka, ks. Sicard użył sposobu, który w naszym wieku najwięcej przekonywuje: oparł się na doświadczeniu i nietylko unika wszelkich wywodów filozoficznych, ale nawet nie chce sam rozumować nad wypadkami, które przytacza. Za to zestawił nader troskliwie

namacalne wyniki ze spostrzeżeń ludzi, których nikt o stronniczość posądzić nie może. Warto bliżej wglądnąć w to ciekawe dzieło. Składa się ono z czterech ksiąg, z których dwie pierwsze pokazują stan wychowania publicznego we Francyi przed rewolucyą wielką, dwie następne przedstawiają, jak podczas rewolucyi bezbożność w nauczaniu po szkołach doszła do szczytu i zrealizowała marzenia Woltera i Russa, ale wnet okazała, że ateistyczny ten system nie ma punktu oparcia ani w sobie, ani w narodzie i ze wstydem niewiara ustąpiła panowania wierze. Nadzwyczaj skrzętnie zebrane tu tysiące zdarzeń, szczegółów, świadectw i sądów wybitniejszych osobistości z tamtych czasów. Bez żadnych uwag z swej strony autor wprowadza nas w wir dziejów ówczesnych i każe nam słuchać, czego one z niezbitą siłą dowodzą. Czytając te karty, doznaje się z razu pewnego znużenia, ale w dalszem czytaniu przekonywujemy się, że tylko tak nagromadzone dowody z całą filozoficzną prawdą doprowadzają do wniosku, że bezbożność nawet na szczycie swej potęgi ostać się nie może w obec głęboko w społeczeństwie zakorzenionych instynktów, uczuć i pojęć chrześcijańskich. Szczególniej druga połowa dzieła dowodzi założenia autora w sposób bardzo przekonywający. Litość budzą wysiłki dyrektoryum, żeby utrzymać wychowanie bez Boga na wyżynach, z których ją strącić usiłował już prawie cały naród. Nie pomogły żadne rozporządzenia; nie można było wpoić w umysły, że najszczęśliwszem jest pokolenie, wychowane beż żadnego hamulca i bez żadnych pojęć o Bogu. Siła doświadczenia dzielniej rozumowała i zmusiła rząd do wprowadzenia napowrót do szkół wiary i sług ołtarza. Owszem z samego obozu Woltera wychodzą tacy ludzie, jak *La Harpe, Grégoire* i inni, którzy spostrzegają, że zbawienie społeczeństwa wymaga nauki wiary w szkołach. Kończy się to dzieło jędrnemi słowy, w których po tylu dowodach autor już śmiało wypowiada myśl świetnie przeprowadzoną w swojej pracy.

Nie dziw więc, że Akademia francuska uwieńczyła to dzieło nagrodą a pochwały z tysiąca ust zapewniają mu powodzenie w społeczności.

K. C.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Stolicy św.

List Ojca św. do kard. Wikarego w sprawie ukształcenia duchowieństwa. — Obchód ośmsetletniej rocznicy śmierci Grzegorza VII. w Salernie. — Deputacya stowarzyszenia kongresów katolickich. — Znieważenie zwłok Klemensa IV. w Salernie. — Kongres antyklerykalny w Rzymie. — Protestacya p. Rendu. — Wiec protestancki w Berlinie. — Dzienniki greckie. — Kościół św. Genowefy i Wiktor Hugo.

Nikt tak jak papież dzisiejszy nie rozumie potrzeb swego czasu. W wieku realizmu i pozytywizmu szermierze wiary muszą umieć przemawiać do mas ich językiem. Nie są to już czasy, gdzie prosty wykład wiary wystarczał, aby prawda i miłość się odezwały; dziś trzeba stanąć oko w oko z fałszem, opierającym się na wrzekomym postępie i nowych zdobyczach nauki i wiedzy. Potrzeba ta wywołała list Leona XIII. w sprawie wykształcenia duchowieństwa, do kardynała Wikarego, datowany 20 maja 1885. Podajemy go tutaj w dosłownem brzmieniu:

„Do naszego ukochanego Syna X. Lucyda, kardynała presbytera, tytułu Świętego Krzyża jerozolimskiego, wikaryusza naszego w mieście Rzymie.

„Jasno to rozumiesz, co już tylekroć powtarzaliśmy nie bez przyczyny, że z jak największą usilnością i gorliwością dążyć do tego należy, aby stan duchowny odznaczał się coraz bardziej znajomością nauk. Jestto konieczność, którą warunki czasu obecnego więcej niż kiedykolwiek potęgują, gdy wśród takiego współzawodnictwa talentów i w obec tak rozbudzonej żądzy nauki, stan du-

chowny zadań i obowiązków swoich z należną godnością i właściwym pożytkiem nie mógłby spełniać, jeżeliby zaniedbał naukę, o którą się inni tak gorliwie ubiegają. Z tego powodu zwróciliśmy usiłowania nasze ku wykształceniu młodzieży, poświęcającej się stanowi duchownemu, a rozpoczynając od najważniejszej umiejętności, staraliśmy się o odrodzenie filozoficznych i teologicznych nauk, według starej tradycyi św. Tomasza z Akwinu — jak zaś te starania były na czasie, dowiódł tego skutek. Ponieważ jednak znaczna część wiedzy, i do nabycia przyjemna i w życiu, oraz w stosunkach społecznych niezbędna, zawiera się w uprawie literatury nadobnej, postanowiliśmy obecnie zająć się środkami, mającymi na celu jej podniesienie.

„Ważną jest przedewszystkiem rzeczą, aby duchowieństwo samo dbało o swoją godność: wielka jest bowiem zacność wyzwolonych nauk: kto je posiada, używa wielkiego poważania, a kto ich niema, nie znajdzie wyższego szacunku u ludzi. Łatwo ztąd pojąć, jak zbrodniczym i podstępnym był zakaz cesarza Juliana, zabraniający chrześcijanom zajmowania się literaturą i sztuką. Rozumiał on, że pozbawieni tej ozdoby łatwiej wpadną w ludzką wzgardę i że chrześcijanizm ogłoszony jako obcy sztukom wyzwolonym, nie będzie mógł długo kwitnąć. A wreszcie gdy już tak utworzeni jesteśmy, że przez poznanie rzeczy pod zmysły podpadających wznosimy się do poznania nadzmysłowych, nic bardziej nie pomaga do rozwoju umysłu, jak sztuka pisania wytwornie i gładko. Styl bowiem poprawny i wykwintny dziwnie pociąga ludzi do słuchania i czytania, i łatwiej trafia do przekonania prawda ozdobiona perłami słów i sentencyj. Jest w tem niejakie podobieństwo z czcią zewnętrzną Bogu oddawaną o tyle, iż wynika ztąd to wielkie dobrodziejstwo, że umysł podnosi się aż do Bóstwa na widok wspaniałości rzeczy ziemskich. Owoce te wykształcenia pochwala przedewszystkiem św. Bazyli i św. Augustyn, a poprzednik nasz Paweł III. zalecał bardzo mądrze pisarzom katolickim, wdzięk i poprawność stylu w zwalczaniu heretyków, przywłaszczających sobie wyłączną chwałę nauki i erudycyi.

„Jeżeli mówimy, że literatura powinna być gorliwie uprawianą przez duchowieństwo, rozumiemy przez to nietylko literaturę włoską, lecz także łacińską i grecką. Potrzeba nawet, aby się przykładano bardziej do literatury dawnych Rzymian najprzód dlatego, iż język

łaciński jest narzędziem i organem religii katolickiej na całym Zachodzie, a następnie dlatego, że wielu zajmuje się nią pobieżnie i niedość poważnie, tak, iż sztuka pisania po łacinie z godnością i wytwornością znika stopniowo. Należy także pilnie studyować autorów greckich, gdyż ich wzory są o tyle wyższe i doskonałe, że nie można sobie wyobrazić nic bardziej skończonego i doskonalszego. Potrzeba także zauważyć, iż u narodów wschodnich literatura grecka została dotąd w całej swej żywotności, a objawia się w zabytkach Kościoła i w codziennej praktyce; musimy tu dodać, iż znawcy literatury greckiej łatwiej pojmują ducha łaciny Kwirytów.

„Zważywszy użyteczność tych nauk, Kościół katolicki otaczał je poszanowaniem, jak to zawsze czynił względem wszystkiego, co jest dobre, piękne i pochwały godne, i nieustannie poświęcał swe najusilniejsze starania, aby je wspierać.

„W rzeczy samej święci Ojcowie Kościoła, o tyle o ile im na to pozwalała epoka w której żyli, wszyscy uprawiali nauki i zajmowali się niemi; nie braknie między nimi takich, którzy o tyle celowali talentem i wyrobionym smakiem, iż nie zdają się być niższymi od najsławniejszych autorów rzymskich i greckich. Winni jesteśmy Kościołowi to najwyższe dobrodziejstwo, iż uchronił od zguby i zniszczenia większą część dawnych ksiąg poetów, mowców i historyków łacińskich i greckich.

„Wszyscy wiedzą, iż w czasach, gdy nauki popadły w zapomnienie przez niedbalstwo, lub gdy były zmuszone zamilknąć, zgłuszone szczękiem broni, napełniającym całą Europę, wtedy pośród tylu zamieszek i barbarzyństwa, znalazły one schronienie w klasztorach i domach kapłańskich. Nie możemy też pominąć milczeniem, iż pomiędzy najwyższymi kapłanami rzymskimi, naszymi poprzednikami, znajdowało się wielu takich, którzy byli sławni ze znajomości nauk klasycznych; ztąd też pochodzi, iż ci, którzy je posiadają, noszą nazwę erudytów. Nazwa ta łączy się z pamięcią św. Damazego, wielkich papieży Leona i Grzegorza, Zacharyasza, Sylwestra II., Grzegorza IX., Eugeniusza IV., Mikołaja V., Leona X. W długim szeregu papieży zaledwie kilku możnaby znaleść, którymby nauki nie były wiele winne. W istocie dzięki ich mądrości i hojności, założone zostały szkoły i kolegia dla młodzieży łaknącej wy-

kształcenia literackiego, biblioteki otworzone dla uprawiania umysłów, a biskupi zachęcani do zakładania w dyecezyach swoich instytutów naukowych; oni to uczonych ludzi obsypywali dobrodziejstwami i zachęcali nadzieją wielkich nagród do odznaczenia się w naukach. Wszystko to jest tak prawdziwem i widocznem, iż częstokroć nawet potwarcy Stolicy Apostolskiej przyznawali, iż papieże wiele zasług położyli około rozwoju nauk.

„Dlatego też uznając pożyteczność i idąc za przykładem naszych poprzedników, postanowiliśmy zaradzić spiesznie, aby nauki te kwitnęły między duchowieństwem, i powołane zostały do nowego życia na wzór dawnego ich blasku. Pełni ufności, ukochany synu, w twoją mądrość i gorliwość zaczniemy wykonywać zamiar, któryśmy niniejszem przedłożyli, w naszem rzymskiem seminaryum.

„Chcemy aby w tym celu utworzono osobne kursa dla uzdolnionej i pilniejszej młodzieży, aby po skończeniu zwykłych kursów włoskich, łacińskich i greckich nauk, mogli pod przewodnictwem zdolnych profesorów dosięgnąć wyższych i doskonalszych stopni w owym potrójnym rodzaju literatury. I dlatego polecamy ci, abyś wybrał ludzi sposobnych, którzyby staraniem swem i pracą za inicyatywą naszą do tego celu pożyteczni być mogli.

„Jako zadatek łask niebieskich i dowód naszej życzliwości dla ciebie, ukochany synu, udzielamy ci w Panu apostolskiego błogosławieństwa. Dan w Rzymie u św. Piotra dnia 20 maja 1885; papiestwa naszego roku ósmego".

Leon XIII. papież.

Życzymy wszystkim, co obwiniają Kościół o niechęć ku wiedzy, o zacofanie i wstecznictwo, aby przeczytali uważnie ten list Leona XIII. Papież ten, sam wielki zwolennik nauk klasycznych, których zakosztował w pensyonacie jezuickim, a które później do tyla uprawiał, że piękne rymy w łacińskim języku składał, ubolewa nad tem, że sekret czystego i wytwornego pisania po łacinie coraz bardziej upada i pragnie zaradzić złemu. Po wszystkie czasy byli dzięki Bogu w Kościele ludzie uczeni i pisarze, zaszczyt mu przynoszący. Kościół też nauką swoją wykołysał i wypielęgnował grube one i dzikie celtyckie, germańskie, słowiańskie i inne ludy na cywilizowane narody, jednakże obowiązkiem duchowieństwa jest nietylko aby szło za ruchem ogólnym, lecz aby ten ruch opanowało

i było pierwszem w tem „szlachetnem współubieganiu się o wiedzę“ będącem, jak słusznie uważa Leon XIII., cechą charakterystyczną naszych czasów.

Zalecając kształcenie się ogólne nietylko w naukach podstawowych, jak teologia, filozofia, historya, ale i w pięknej formie przedstawienia rzeczy, Leon XIII. ma na myśli duchowieństwo całego świata; chce, aby wszyscy używali tego potężnego środka wpływu i apostolstwa. Św. Augustyn powiada w Wyznaniach swoich, że pił truciznę dla złotego kubka czytając pisma autorów starożytnych. Leon XIII. pragnie, aby kapłani katoliccy wzięli ten złoty kielich i podawali w nim prawdę. A nietylko literaturę klasyczną, ale i własną rodzimą narodową każe duchowieństwu pielęgnować uczony papież. I zaiste zaprzeczyć się nie da, że zaniedbanie albo niedostateczne pielęgnowanie literatury swojskiej i wymowy kościelnej w instytutach duchownych naukowych, może się stać jedną z przyczyn braku wymownych kaznodziei po miastach zwłaszcza większych. „Pismo Leona XIII., powiada słusznie prof. Smolka w wybornym swym artykule: *Leon XIII. w obec nauki i cywilizacyi*, (Czas Nr. 122) zaliczy historya do najznakomitszych dokumentów w dziejach cywilizacyi naszego wieku. Znaczenie dokumentów tego rodzaju mierzy się treścią, a zarazem potęgą i rozległością wpływu, jakiego się po nich można spodziewać; w tym zaś akcie oba czynniki składają sią na to, iż go podnoszą do znaczenia wyjątkowego“.

Miasto Salerno obchodziło w dniu 26 maja ośmsetletnią pamiątkę papieża Grzegorza VII., który tam znalazł schronienie jako wygnaniec i tam umarł. Na tym jednak grobie zakwitła niezależność Kościoła, a w trzydzieści siedm lat po śmierci Grzegorza VII. myśl jego przybrała ciało w sławnym konkordacie wormacyjskim, zaprowadzającym pokój pomiędzy Rzymem i cesarstwem, zrywającym łańcuch upokorzeń, które krępowały Kościół, gdy od papieża aż do najuboższego opata cała hierarchia duchowna jęczała pod ubliżającym obuchem inwestytury. Grzegorz VII. wygnany wyrzekł słowa, które mógłby dziś słusznie i Leon XIII. powtórzyć: „w którąkolwiek stronę się obrócę, czy to na wschód, czy na zachód, widzę wszędzie Oblubienicę Chrystusową w kajdanach“. Ileż punktów stycznych, ile analogii między temi dwoma położeniami; myśl tę rozwi-

jamy dokładniej w artykule „Przed 800 laty“. Nazwiska obu papieży mięszały się w uroczystościach, jakie się odbyły w Salernie. Stowarzyszenie „kongresów katolickich“, które zajęło się urządzeniem uroczystości na cześć Grzegorza VII., wysłało deputacyę, złożoną z 300 osób do Watykanu, dla złożenia hołdu Ojcu świętemu. Audyencya odbyła się w sali konsystoryalnej; papież przybył w towarzystwie siedmnastu kardynałów, między którymi znajdował się i kard. Ledóchowski. Adres odczytał prezydent komitetu nieustającego stowarzyszenia, mającego siedlisko w Bolonii, Comandor Marcelli Venturoli. Wyraził w nim w prostych i rzewnych słowach, co Włochy winne są papieżom; powiedział między innemi: „my reprezentanci całych Włoch katolickich korzystamy z ośmsetnej rocznicy śmierci Wielkiego Grzegorza VII., aby jeszcze raz oświadczyć, iż nie chcemy, aby na nas spadła hańba i zbrodnia niewoli Kościoła, owszem, pragniemy zapewnić Ojca św., że Włochy katolickie istnieć nie przestały, że te Włochy, wraz z milionami synów swoich opłakują nieustannie wojnę, jaką Ci Ojcze św. wytaczają w ich imieniu, i że prosząc Boga o Twoją wolność, proszą zarazem o swoją. Pobłogosław Ojcze św. to stowarzyszenie, iżby się stało pożytecznem naszej Matce Kościołowi i wszystkim braciom naszym na włoskiej ziemi“. Ojciec św. odpowiedział mową, którą kilkakrotnie przerywały oznaki najwyższego uznania; zaznaczył charakter niezależności Kościoła i jego głowy, konieczność władzy świeckiej dla obrony tejże, za którą to niezależność, a nie w celach ambicyi walczyli poprzednicy i Leon XIII. walczyć nie przestaje. Ta to niezawisłość Kościoła jest tak wielkiej wagi, że obrona jej nadaje męztwo, którego świat nie rozumie... Dobrobyt Włoch zależy w wielkiej części od ich wierności papieżowi, a zatem deptanie praw Stolicy św. pod pozorem dobra Włoch, jak to dziś mówią, może wypływać tylko z natchnienia sekt idących w ślady wrogów Grzegorza VII. Po skończonej audyencyi wręczył Ojcu św. w imieniu katolików rzymskich świętopietrze książe Altieri.

Podczas gdy katolicy obchodzili tak uroczyście pamięć Grzegorza VII. w Salernie i w Rzymie, kilku nędzników pod przewództwem władz miejscowych znieważyło w Viterbo, w państwie niegdyś kościelnem, szczątki Klemensa IV. *Voce della verita*, liberalny dziennik i *Stampa*, niemniej skrajny, podają w korespon-

dencyach wstrętne szczegóły, wyrażając swoje oburzenia. W smutnych tryumfach rewolucyi włoskiej niema równego wandalizmu, chyba kamienie odbijające się o trumnę Piusa IX. Oto relacya dziennika *Voce*: „Przypomnijmy najprzód, że Klemens IV. Francuz rodem, był sekretarzem św. Ludwika IX. Obrany papieżem w 1265 r. w Peruzie, umarł w Viterbo 1268 r. i pochowany tam został w kościele Dominikańskim Sta Maria-dei-Gradi. W r. 1793 grób został otwarty przez rewolucyonistów, lecz nie śmiano dotknąć się ciała. Zaszczyt tego barbarzyństwa pozostał dla dzisiejszych Herostratów. Kościół Sta Maria-dei-Gradi, odebrany już dawniej Dominikanom, jest haniebnie spustoszony. W nocy z 19 na 20 maja b. r. kilku robotników, na czele których znajdował się sekretarz miejski i inżynier, zabrało się cichaczem do rozebrania pomnika Klemensa IV. Znaleziono trumnę marmurową, a w niej drugą drewnianą, w tej zaś kości ułożone jeszcze w ten sposób, jak spoczywało ciało. Zawieszono wtedy czynność, lecz nazajutrz rano podprefekt i syndyk udali się na miejsce i bez żadnej formalności kazali zdjąć z palca szkieletu bogaty sygnet papieski, rękawiczki, sandały, zapinkę od kapy i stuły, a potem zesypano kości w pośpiechu do skrzynki, którą zaniesiono do pałacu municypalnego, zkąd ma być odesłana do pinakoteki czyli muzeum św. Franciszka. Wszystko stało się bez najmniejszego protokółu, udowadniającego tożsamość zwłok Klemensa IV.“

Przechodzi to czyny najdzikszych ludów, u których groby są przynajmniej w poszanowaniu.

Fanatyzm antychrześcijański dochodzi ostatecznych granic nie tylko w Rzymie ale i w Genewie. Oddawna już nie wolno w szwajcarskich miastach odbywać katolickich procesyj publicznie po za murami świątyni, to też procesya Bożego Ciała odbywała się we wnętrzu katedry genewskiej. Tymczasem 50 fanatyków uzbrojonych w kije i kamienie zebrało się na placu przed katedrą, gwiżdżąc, wyjąc i bluźniąc, a gdy procesya przechodziła koło głównych drzwi wchodowych, nędznicy ci wpadli do wnętrza świątyni z wrzaskiem i bluźnierstwem na ustach i rzucili się na otoczenie, celebrującego kapłana bijąc i tłukąc kijami i kamieniami, zranili ciężko trzech panów niosących baldachim, innych potłukli i sponiewierali i wyrządziwszy tę iście piekielną psotę wyszli spokojnie. Policyi

nie było wcale, zjawiła się po dokonanem świętokradztwie; liberalne dzienniki piętnują i świętokradztwo i policyę. *O tempora o mores!* W katolickiej Francyi, w katolickich Włoszech, w stolicy katolicyzmu Rzymie nie wolno katolickiej procesyi wysunąć się po za mury kościoła; w wolnej chrześcijańskiej Szwajcaryi nawet wewnątrz świątyni napadają procesyę zbujeckie bandy, a równocześnie w Konstantynopolu, stolicy mahometanizmu, procesya Bożego Ciała wychodzi przez główną bramę z kościoła katedralnego na plac publiczny, posuwa się wspaniale i tłumnie, bo 12.000 ludu, wszystkie zakony i kler świecki bierze w niej udział, przez ulice Dżebel i Dżedidie, na której urządzono okazały ołtarz i wraca ulicą Idżadie do świątyni, nie turbowana przez nikogo.

W Anglii w nowem muzeum hist. nat. w South-Kensigton odsłonięto pomnik Darwina, głośnego autora książek „O początkach gatunków“ i o (małpiastem) „pochodzeniu człowieka“. Oprócz wielu znakomitości naukowych, obecnym był temu festynowi anglikański arcybiskup i prymas z Kantorbury, z niemałem zgorszeniem dzienników uczciwszych: „Zaiste, pisze *le Temps* paryski, jeżeli kto w naszym wieku wymierzył ciężki cios nietylko przeciw istniejącym religiom, ale nawet przeciw biblii, to był nim Darwin. Rozprawiano o nim na wszystkich katedrach duchownych aby go potępić, pomimo to Darwina pochowano w Westminsterze, i wpisano w poczet wielkich mężów Anglii obok Nelsona, Szekspira i Newtona. Czegoż jeszcze nie stało? oto kler anglikańki chyli przed nim czoło i spieszy wraz z narodem pokłonić się tej wrzekomej wielkości.

Cóż to za gmatwanina pojęć i przekonań, aby naczelnik chrześcijańskiego wyznania hołdy składał koryfeuszowi materyalistów naszego wieku!

Do Brukseli przybył nareszcie nuncyusz papieski, Mgr. Ferrata i zamieszkał w nuncyatarze. Belgijscy katolicy są zachwyceni uprzejmością i godnością postawy papieskiego reprezentanta, król Leopold II. przyjmował go nader serdecznie na zamku swym w Lucken. Tak więc obelga Frére Orban'a, zadana Stolicy św., została wreszcie wynagrodzoną.

W Francyi uchwały parlamentu zniesiono subwencyą rządową, dawaną na podstawie konkordatu 1802 r. seminaryom misyj zagranicznych. Kardynał arcybiskup Afryki, ks. Lavigerie, który w ciągu

lat 20 stworzył całą kongregacyę misyonarzy afrykańskich, puścił się tej wiosny na kwestę po Francyi i w liście do dyrektora seminaryów wschodnich *(l'oeuvre des Ecoles d'Orient)* donosi mu, że dzięki hojności Francuzów a jego poparciu zebrał tyle, ile na ten rok potrzeba, aby uchronić od zguby dyecezye afrykańskie, pozbawione pomocy w skutek zawieszenia rządowej subwencyi i prosi o dalsze jałmużny, zanim nareszcie rząd zrozumie, że w politycznym nawet interesie Francyi przywrócić należy to, co nieprawnie teraz usunięto.

Na porządku dziennym są obecnie kongresy antyklerykalne. W dniu 28 maja odbył pierwsze posiedzenie przygotowawcze kongres taki w Rzymie. Trudno uwierzyć, aby pod rządem, który się uważa za katolicki, w sercu katolicyzmu, w Rzymie, mogły się odbywać publicznie takie zebrania, jakich nie widziano za najgorszych mazzinistowskich czasów. Nasuwa się pytanie, czy rząd pozwoliłby na kongres anarchistów, którzyby znieważali ideę monarchii i propagowali jej obalenie? Gdzież tu spełnienie gwarancyj i dotrzymanie najuroczystszych obietnic? „Świat nie zechce wierzyć, iż system tolerujący takie nadużycia, może być systemem trwałym", pisze *Moniteur de Rome*. Dzienniki radykalne podają szczegóły pierwszego posiedzenia: Deputowany hiszpański, p. Gabaros, zaproponował „utworzenie ligi międzynarodowej antyklerykalnej, jako przeciwstawienie tej, którą księża utworzyli przeciw ludzkości". Deputowany socyalista Costa odpowiedział mową, którą zakończył aksyomatem: „Omnes Itali athei sunt". Taxil, delegat francuski, proponował zawieszenie kongresu z powodu zbyt szczupłej liczby członków. Reprezentanci włoscy oświadczyli, że nie wezmą udziału w kongresie i że ustępują miejsca delegowanym obcokrajowym. Jest coś tak ohydnego w zwołaniu takiego kongresu do Rzymu, że ludzie zkądinąd obojętni, lub wrogo usposobieni dla Kościoła, zaczynają się oburzać na to; tak uczynił ex-karmelita Loyson, który zobaczywszy imię swoje na liście członków, pospieszył sprostować pomyłkę w liście do dziennika *l'Italie:* „Uważam to za obowiązek sumienia i honoru, pisze on, oświadczyć publicznie, że jestem obcy temu kongresowi i pragnę takim pozostać, nie pochwalając bynajmniej ani jego ducha, ani dążności, ani postępowania". Dalsze zebrania kongresu nastąpią po pogrzebie Wiktora Hugo; tymczasem przybywają delegaci z Algieru, Hiszpanii, Francyi. Przyjmują ich w sali federacyi demokratycznych

Via Sistina 75 D. Z Francyi są delegowanymi: ohydny człowiek, znany pod pseudonimem Taxil, dalej hr. Donville-Maillefeu deputowany, p. Jvon Guyot, dawny prezes rady municypalnej miasta Paryża, Kamil Dreyfus członek rady municypalnej — razem około stu deputowanych z rady miejskiej i parlamentu. Z Hiszpanii: Ruis Zorilla, dawny minister króla Amadeusza, Józef Corbajal i inni. Z Portugalii ze dwudziestu, którzy nie podali nazwisk. Z Czech rzeźbiarz Gura z Pragi. Z Guatemali pięciu delegowanych. Z Anglii ma przybyć, głośny swem ateuszostwem, Bradlangh i kilku innych *ejusdem farinae*. Na jednem z posiedzeń wniósł Taxil zniesienie ambasadorów przy Stolicy św., a jednak te niezdrowe i haniebne wnioski z takich ust nie tyle oburzają, jak samo istnienie podobnego kongresu w Rzymie. Wielkim aktem niezależności zdania i odwagi cywilnej odznaczył się na tym kongresie francuz, p. Eugeniusz Rendu. Wszedłszy na salę, przysłuchiwał się jakiś czas tym bluźnierstwom, a gdy już sala była dobrze napełnioną, prosił o głos. „Zgromadziliście się tu w imię wolności myślenia, a raczej w imię wolnodumstwa, co nie jest jedno i to samo; pozwólcie więc, że i ja będę wolnomyślnym wobec was. Otóż protestuję przeciw statutom, któreście wczoraj zatwierdzili; obrażają one sumienie moje, jako człowieka wierzącego i patryoty, jako Francuza, i pozwólcie sobie powiedzieć, Francuza-Włocha....

„Wasze bezbożne przedsiębiorstwo, wasze statuta antyklerykalne i furya wasza anty-papieska pochodzą, o ile widzę, z myśli, która nie jest ani narodową, ani filozoficzną. Jeżeli mi powiecie, że to wszystko pochodzi z Francyi, odpowiem wam, że chociaż kraj mój przyczynia się najwięcej do ogólnej cywilizacyi, trzeba niekiedy umieć wybierać między rzeczami, które on eksportuje, aby nie chwycić za produkta nadpsute i nie zaciągnąć do siebie zarazy. Dlatego protestuję przeciw tym statutom i całej akcyi jako katolik, Francuz, demokrata i przyjaciel waszej włoskiej ojczyzny!“

Od kongresu antyklerykalnego tylko krok do wiecu protestanckiego w Berlinie. „Kuryer poznański“ podaje o nim ciekawe szczegóły. Odbywał on się od 27 do 29 maja i odznaczał się tem, że z równą zaciekłością mówiono na nim o Kościele katolickim, jak i o protestanckiej „ortodoksyi“. Rocznica przeto pamiątkowa Lutra, którą zeszłego roku z taką pompą obchodzono, nietylko nie poje-

dnała powaśnionych przeciwników, ale przepaść zionącą między nimi jeszcze rozszerzyła. Fundamentalna różnica między protestantami prawowiernymi a zwolennikami „protestantenverein'u polega na tem, że pierwsi uważają za obowiązujące pisma symboliczne, drudzy zaś odrzucają je, jako niewygodne więzy, a posuwając główną myśl protestantyzmu aż do ostatecznych jej wyników, zaprzeczają zasadniczych dogmatów wiary chrześcijańskiej. Mówią oni: „Jeżeli kardynalnem prawem protestantów jest wolne i niczem nie ścieśnione prawo pojmowania tłumaczenia pisma św., to i dogmata nie stanowią dla nas hamulca. Wszakże w tej mierze wstępujemy tylko w ślady wielkiego Lutra. Uchodzące dotąd za niewzruszone artykuły wiary wstrzymywać nas nie powinny, bo tylko przez odrzucenie tego, co się sprzeciwia duchowi nowszej epoki, możemy pozyskać tych, co względem chrześcijaństwa zajęli postawę bądź obojętną, bądź wręcz nieprzychylną".

„Protestantenverein" istnieje już od lat dwudziestu i głosi w tegorocznem sprawozdaniu, że posiada 26.500 adeptów, podzielonych na 86 filialnych stowarzyszeń. Zwolennicy „protestantenvereinu" mogą się poszczycić konsekwentnością, stoją bowiem na stanowisku Lutra, prowadząc dalej dzieło budowy, czyli raczej destrukcyi, do którego on pierwszy rękę przyłożył. Jak on nie poszanował „słomianych listów apostolskich", tak i oni nie szanują pisma św., jeżeli treść jego nie jest im dogodną. W tegorocznem zebraniu, mimo głośnej reklamy, wzięło udział tylko 250 osób. Z rozpraw jedynie może obchodzić katolików wypowiedziane twierdzenie, że ultramontanizm i demokracya socyalna staną się biegunami osi, około której życie duchowe w bliskiej przyszłości obracać się będzie. W słowach tych zawarte jest przyznanie, że w walce światowej pomiędzy całkowitą wiarą chrześcijańską i jej zupełnem zaprzeczeniem, protestantyzm rozstrzygającej roli nie odegra. Kościół katolicki może ten wyrok przyjąć z tem większem zadowoleniem, że pochodzi z ust najzaciętszego wroga.

Dużo mówi „protestantenverein" o zjednoczeniu całego narodu niemieckiego, ale sam w obozie protestanckim nietylko nie popiera sprawy zjednoczenia, lecz sieje rozterkę. Pomiędzy katolikami niemieckimi panuje najzupełniejsza zgoda, a klin staro-katolicyzmu,

którym chciano rozsadzić tę jedność, rozłupał się, nie wyrządziwszy szkody.

Ze Wschodu dolatuje raz po raz powiew budzący w sercu chrześcijańskiem otuchę. Nie ma już dziś dziennika w Konstantynopolu, któryby zaprzeczał korzyści z połączenia się obu Kościołów. Szczególnie *Neologos*, bardzo rozpowszechniony w Konstantynopolu podtrzymywał myśl zjednoczenia obu Kościołów przy sposobności listu pasterskiego Mgr'a Rotelli; na co jednak *Neologos* nie może się zdecydować to na prymat papieża z p r a w a b o ż e g o, uznając jednak, że papież jest najwyższą głową p r z e z u z n a n i e b r a c i. Inny dziennik noszący nazwę *Konstantinopolis* nieprzychylny Joachimowi IV. i dziennikowi *Neologos* nie zaprzecza, że unia byłaby pożądaną i że jest nawet upragnioną przez Kościół wschodni, lecz uważa ją za niemożebną, „gdyż (jak mówi) papiestwo jest nieprzyjazne wolności ludów i dąży do podbicia w niewolę Kościoła greckiego a przewaga łacińska zagładziłaby wszelkie przywileje samorządu". Jestto zwyczajna zwrotka, lecz co jest ciekawe, to to, że *Konstantynopolis* zapytuje dzienników *Neologos* i *Anatolé*, czy jest prawdą, że istnieją negocyacye pomiędzy Fanarem a Stolicą św. Otóż ani organ patryarchy ani dziennik katolicki nie mogły odpowiedzieć na pytanie przechodzące ich kompetencyę.

Natomiast dziennik *Le phare du Bosphore* pochwala twierdzenia dziennika *Neologos*, uznając pożytek Unii lecz podając w wątpliwość, czy chwila obecna jest do tego odpowiednią. Uwaga ta wywołała odpowiedzi wszystkich trzech dzienników; dwa pierwsze zachowały ton umiarkowany, lecz *Konstantynopolis* wystąpił w tonie uwłaczającym Kościołowi katolickiemu i wszelkiemu zamiarowi pojednania. Zresztą *Konstantynopolis* jest organem stronnictwa, które okazało najzupełniejszą nieudolność w słusznej obronie sprawy hellenizmu i dziś stoi wrogo przeciw jego obrońcom, którzy w interesie tej sprawy pragnęliby zbliżenia z Kościołem. Tem się tłumaczy wielka popularność i poczytność dziennika *Neologos* pomiędzy grekami konstantynopolitańskimi.

Dziennik *Anatolé* dał w tych dniach artykuł, w którym twierdzi, że ani zjednoczenie dogmatyczne, ani narodowe, będące oba podstawą fundamentalną unii, nie utrzymają się bez najwyższej jurysdykcyi papieża, z mocy prawa bożego. Prymat papieski, mówi

dalej *Anatolé*, nie sprzeciwia się ani duchowi narodowemu, ani postępom hellenizmu nawet pod względem kościelnym. Cytuje tu przykłady narodów wschodnich, które przyjmując katolicyzm, zachowały swobody tradycyi i obrządku pod opieką Rzymu. Można powinszować dziennikowi temu, że pracuje z taką gorliwością i zrozuzumieniem, w celu prawdziwie szlachetnym i wielkim.

Umieszczenie zwłok Wiktora Hugo w kościele św. Genowefy w Paryżu przemienionym na panteon, jest profanacyą godną nowej Rzeczypospospolitej francuskiej i smutnych czasów w jakich żyjemy. Montesquieu mówiąc o swoich czasach, rzekł był: „Trudno sobie wystawić, jak daleko posunęła się w tym wieku podłość uwielbiania". Cóżby powiedzieć o naszych czasach? Jestto wątek do poważnych, ale nie wesołych spostrzeżeń. Nowa rewolucya powtarza błędy i skandale poprzedniczek swoich. Ślepe uwielbienie geniuszu, bez względu na zastosowanie tego najwznioślejszego daru, jest cechą zwichnięcia moralnego naszej epoki; na szczęście, kościół św. Genowefy był już dwa razy w tym wieku panteonem, a dwa razy oddany na użytek służby bożej, spodziewać się należy że i tym razem nie na zawsze stał się przybytkiem chwały świeckiej.

W Izbie deputowanych francuskich wygłosił p. Mun gorącą protestacyę przeciw zajęciu kościoła św. Genowefy na muzeum. Dowodził on, że prócz bezprawia była w tym czynie obraza sumienia katolickiego całej Francyi; że z pogrzebu wielkiego poety, którego ostatnie słowa były: „Wierzę w Boga", uczyniono tryumf dla nowożytnych pogan, gdyż ze sklepienia dominującego nad Paryżem zerwano krzyż Chrystusowy. Przypomniał słowa Wiktora Hugo potępiające przeniesienie Woltera do panteonu.

Piękną bardzo myśl miała redakcya *Moniteur de Rome*, poświęcając cały feuilleton pamięci Wiktora Hugo w ten sposób, że pominąwszy zarzuty przeciw paradoksom przepełniającym najświetniejsze karty pism jego, wezwała raczej do modlitwy za jego duszę, a potem przytoczyła kilkanaście ustępów z poezyi jego, w których mówi o Bogu z całą siłą wiary, z całą rzewnością duszy miłującej i rozumiejącej. To zestawienie poczciwe a mądre przejednywa po części z wielkim geniuszem przeczącym, i dozwala zapo-

mnieć na chwilę saturnalij pogańskich wyprawionych po jego śmierci. Przytaczamy jeden z ustępów zacytowanych powyżej i jego przekład:

....Qui sait comment Dieu travaille
Qui sait si l'onde qui tressaille,
Si le cri des gouffres amers,
Si la trombe aux ardentes serres
Si les éclairs et les tonnerres,
Seigneur! ne sont pas nécessaires
A la perle que font les mers.

Czy my znamy pracę Bożą?
Może trąby co się srożą
Prując gorzkie łono morza
I te wichry lodowate
I błyskawice skrzydlate,
To właśnie robota Boża,
Którą topiel zniewolona
Perłę wydobywa z łona!

M. J.

Z Księstwa Poznańskiego.

I.

Ciężka dola Księstwa. — Pomyślne walki na polu religijno-moralnem. — Germanizacya. — Dotkliwe straty na polu ekonomicznem.

Ciężko nam tu i duszno. Dokądkolwiek spojrzysz, w każdej gałęzi duchowego i ekonomicznego życia ucisk, gnębienie, znęcanie się formalne. Nie mówię już o kulturkampfie, który dotkliwy pod względem religijnym, wywołał skutek wręcz przeciwny, jaki nim osiągnąć chciano. Spotęgował on w społeczeństwie naszem przywiązanie do wiary ojców i kościoła. Dzisiaj już u nas głos powszechny: tylko pod sztandarem katolicyzmu nasz ratunek i ocalenie. Paranie się z rewolucyą międzynarodową, nie ma już u nas dzisiaj zwolenników, i najzacieklejszy wolnodumca nie ma odwagi głosić, że katolicyzm, to wróg wolności, to grabarz cywilizacyi. Prawa majowe, mające podważyć podwaliny Kościoła i narodowego bytu, potępiły niemal wszystkie stronnictwa w sejmie pruskim, sprzykrzyły się one

sądom i urzędom; wypuszczono z opieki proboszczów państwowych, którzy mieli rozsadzić naszą religijną i narodową jedność; dzisiaj już drugi z kolei, ks. Kolany, wrócił do swoich, trzej inni myślą o tem. Godząc w najdroższe uczucie, w wiarę, obudził kulturkampf poczucie i świadomość polskości w tych, którzy wyborną administracyą pruską i sprawiedliwością sądów pruskich oszołomieni, przyzwyczajać się już i przywiązywać poczynali do niemczyzny, zaostrzył w nas wszystkie instynkta zachowawcze narodowe i powołał do biernego wprawdzie, ale skutecznego oporu. Czternastolecie walki kulturnej rozdarło zasklepiające się rany zadane rozbiorem kraju, rozszczepiło tę spójnię, jaką łagodne rządy Fryderyka Wilhelma IV. między nami a rządem nawiązały. Dzisiaj nietylko szlachcic i obywatel miejski, ale każda baba wiejska nie ufa, nie dowierza rządowi pruskiemu, wie, że każdy krok tego rządu obliczony na pognębienie albo wiary, albo języka polskiego. Dzieje się to samo na Górnym Szląsku, nieufność ludu do swego rządu rośnie z dniem każdym, a w równej mierze rośnie przywiązanie do tego, co katolickie i polskie. Wypowiedziano to otwarcie kilkakrotnie w berlińskim parlamencie; źle się obliczył książe Bismark inaugurując walkę z Kościołem i upornie przy niej trwając. Gazetka górnoszląska *Katolik*, liczy do 8000 prenumeratorów wśród samych chłopów. *Wielkopolanin* poznański datujący swój byt od sześciu miesięcy ma przeszło 4500 abonujących. Germanizacya w szkołach średnich i ludowych doszła wprawdzie do kulminacyjnego punktu. W gimnazyum św. Magdaleny w Poznaniu liczono 1872 r. 30 profesorów, z tych 8 Niemców, koło 700 uczniów, z tych ledwie 50 Niemców i Żydów; dzisiaj profesorów Polaków jest tam zaledwie 7 czy 8, wszyscy inni Niemcy, a do tego przeważnie protestanci; połowa uczniów należy do niemieckiej i żydowskiej narodowości. Germanizacya szkół ludowych gwałtowna, nie mądra, bo przeciwna elementarnym warunkom pedagogii, piętnowana tylokrotnie przez koło polskie na sejmie pruskim, wywołuje wręcz przeciwny skutek. Dziecko nienawidzi niemieckiego języka, mechanicznie wyucza się go, bo musi, ale skoro ze szkoły wybiegnie, myśli i mówi po polsku, a skoro kurs szkoły ludowej ukończy, zapomina to, czego powierzchownie tylko i z przymusu się wyuczyło. Za to dwory i chałupy wiejskie dołożyć powinny tem większych starań, aby dziecku dać polską

książkę do ręki, polskiego wyuczyć go katechizmu i do polskiej przywiązać mowy. Ta walka domu ze szkołą, rodziny z państwem, ma coś nad wyraz bolesnego w sobie, bo to pasowanie i borykanie się ustawiczne elementów, które w harmonii i zgodzie z sobą być powinny, to *bellum civile*, wojna domowa. Rząd pruski szczególniejszą zwrócił baczność na dzieci ubogie, zaniedbane lub opuszczone i w tym celu urządził i bogato uposażył zakłady protestanckich dyakonisek. W Poznaniu mają one 2 domy, na Zagórzu i przy ulicy królewskiej, i ochronkę na Jeżycach tuż pod Poznaniem, o której przez dwa lata mało kto wiedział, a gdzie biednym dzieciom oprócz nauki udzielają hojnie jadła i napoju, w szpitalu swym na Zagórzu dostarczają chorym wszelkich możliwych wygód. Za to nasze Siostry miłosierdzia przy placu bernardyńskim i na Ogrodowej ulicy, zostają pod surowym nadzorem policyjnym, ograniczone jedynie do pielęgnowania chorych; broń Boże, żeby nauką choćby jednej sieroty się zajęły. Dyakoniski formalnie szpiegują je w tej mierze; biedne Siostry musiały nawet przerobić swój dom, aby ujść podejrzeń o propagandę edukacyjną. Forytowanie dyakonisek zapowiada na razie pomyślny dla germanizatorskich planów skutek; ale da Bóg, znajdzie się sposób sparaliżowania tych wrogich usiłowań. Już to na polu religijno-umysłowego życia, pomimo wyższości cywilizacyi niemieckiej, pomimo misternie obmyślanego, konsekwentnie i wytrwale przeprowadzonego planu wynarodowienia, robota ta nie udaje się; niespożytość Kościoła katolickiego, w który godzono, nadaje nam tej żywotnej odpornej siły. Za to na polu ekonomicznem odbieramy cięgi.

Postępowy organ pruski, „Vossische Ztg.," podając cyfry ludności wielkopolskiej, taki zestawia budżet. „Dokładne obliczenie ludności W. Księstwa Poznańskiego wykazało, że ludność tej prowincyi od r. 1825 do 1871 wzrosła nieco po nad 50 procent; kiedy bowiem w r. 1825 było 1,031.925 dusz, to w r. 1871 wynosiła 1,569.958 głów. W r. 1825 było katolików 677.083, t. j. 65.061 prct., ewangelików 289.711, t. j. 28.067 prct. żydów 65.131, t. j. 6.031 prct. W r. 1871 było katolików 1,000.461, liczba ta atoli już tylko 63.072 prct. ogólnej ludności wynosiła; liczba ewangelików wzrosła do 508.060, t. j. do 32, 36 prct. ogólnej ludności; liczba żydów zmniejszyła się pod każdym względem, było ich bowiem

w 1871 roku 61.437, czyli tylko 3,91 prct. ogólnej liczby ludności". Ubytek ludności żydowskiej tłumaczy „Vossische Ztg." głównie wynoszeniem się żydów z tych „ciasnych stosunków zacofanej" prowincyi; natomiast przyrost ludności ewangelickiej zawdzięczyć należy, zdaniem tejże „Vossische Ztg.", znacznemu napływowi ewangelików z innych części Niemiec do dzielnicy, której „germanizacya wprawdzie zwolna, ale stale postępuje naprzód." Ludność wzrosła w ogóle w tym okresie w prowincyi poznańskiej o 52,14 prct.; szczegółowo zaś wzrosły każde z dwóch wyznań: katolickie o 47,76 prct., ewangelickie o 75,36 prct., natomiast żydowskie cofnęło się o 5,67 prct." „Do r. 1880 wzrosła ogólna liczba, tak oblicza dalej „Vossische Ztg." do 1,703.397: w dziesięciu latach podniosła się zatem o 133,439 dusz, t. j. 8,49 prct. Gdybyśmy przyjęli, że kto ewangelik to Niemiec, a kto katolik to Polak, to w takim razie ze stosunkowo znacznie większego wzrostu ludności ewangelickiej moglibyśmy wnosić, że ludność niemiecka w tej prowincyi zawdzięcza wzrost swój nietylko znacznemu napływowi z innych prowincyj, ale nadto większej liczbie małżeństw i ich płodności po stronie niemieckiej, aniżeli polskiej, a wreszcie wzrost żywiołu niemieckiego zawdzięczamy większej sile odpornej w walce z przeciwnościami wszelkiego rodzaju. Zgadzają się z tem spostrzeżenia robione z innych prowincyj, n. p. z Górnego Szląska. Nie należy także pominąć tej okoliczności, jak energicznie fanatyczno-polskie duchowieństwo w ostatnich 20 latach pracowało nad spolonizowaniem czysto niemieckich kolonij. Dokładne a najdrobniejszych szczegółów wymagające zbadanie wszelkich warunków, wpływających na liczbę zawieranych małżeństw, na większe lub mniejsze rozrastanie się rodzin, na większą lub mniejszą śmiertelność i na wędrówki różnych plemion, będzie mogło działającemu rządowi dać cenną wskazówkę, jak się ma obchodzić z narodowościami i wyznaniami religijnemi".

Taką sporządziła „Vossische Ztg." statystykę nowego powolnego wymierania. Jeżeli liczby te są zgodne ze stanem ludności naszej, to przekonywają nas o powolnem tylko zwalczaniu nas przez żywioł innoplemienny. Pomijamy niedorzeczny zarzut robiony duchowieństwu katolickiemu, jakoby polonizowało Niemców; tyle już dowodów na zbicie tego twierdzenia przytoczono, że choćby najwięcej uprzedzonego przekonać one były powinny, ale widać,

że na dany przykład z góry, bajka ta nawet statystykom weszła w głowę, chociaż właśnie ta poważna część nauki ludzkiej powinna stronić od tendencyjnych fałszów.

Do zmniejszenia liczby ludności polsko-katolickiej, przyczyniają się różne czynniki. Tysiące robotników wynosi się do Ameryki i na zachód Niemiec, szukając zatrudnienia, bałamuceni obietnicami ajentów, których nieuczciwej gospodarce, mimo tylu gorących a przekonywających nawoływań, dotychczas kresu nie położyli ci, do których to należy.

Znaną jest dzisiaj dokładnie statystyka wychodźctwa z Niemiec z r. 1880. W roku tym wyemigrowało 106.190 osób. Z liczby tej przypada na Prusy Zachodnie 11.998, a więc 8,5 prct., na W. Księstwo Poznańskie 10.174, t. j. 6,5 prct., a więc Prusy Zachodnie i W. Księstwo Poznańskie największego dostarczyły kontyngensu wychodźctwa. Jeżeli zważymy, że Polak nie lubi tak jak Niemiec wałęsać się po świecie, gdyż zbyt przywiązany jest do ziemi ojczystej, to muszą być ważne przyczyny, które ludność polską pędzą poza ocean. Ucisk religijny, brak narodowego wykształcenia młodzieży w szkołach, zaprowadzenie języka niemieckiego w sądach i w zakładach naukowych, upadek rolnictwa — oto główne powody, dla których ludność polska lepszych i znośniejszych szuka warunków za morzem. Ubytek ten sił roboczych zapełniają innoplemienni właściciele robotnikami protestanckimi, sprowadzonymi z Zachodu. Młodzież nasza zdolna, ochocza do pracy, wykształcona fachowo, nie może znaleźć na ziemi rodzinnej stanowiska i urzędu, które dostają się protestantom Niemcom, zjeżdżającym do nas rok rocznie, a wypychana młodzież nasza musi szukać chleba po szerokim świecie i ginąć jako produkujący członek społeczeństwa, z którego wyrosła. Ustęp ze statystyki powyższej, przyznający Niemcom większą, aniżeli Polakom wytrwałość, jest czczym frazesem, w którym lubują się Niemcy. Ale proces ten, właśnie dla tego, że zbyt powolny, nie zadowalnia widocznie naszych germanizatorów. Schwycono się więc inszych środków. Co ocalało z pod miecza dawnych przedstawicieli tegoż germanizmu, to ma paść dziś pod obuchem doraźnej proskrypcyi, nakazanej dekretem rządowym z d. 26 maja, a mającej być wykonaną najdalej w październiku b. r. Przeszło 30.000 polskiego żywiołu wyrugowano w ten sposób. Na dniu 26

maja przychodzi tedy rozporządzenie rządowe, nakazujące wydalenie z czterech nadgranicznych prowincyj pruskich wszystkich Polaków, niemających obywatelstwa pruskiego. Początkowo nie dawano wiary, ażeby w wieku cywilizacyi odważono się na krok podobny. Atoli nagie fakta rozproszyły wkrótce nadzieje tych, co łudzili się jeszcze pewnemi wątpliwościami.

Różne te ciosy, niezależne od nas, przerzedzają szeregi nasze. Na domiar złego społeczeństwo nasze zadaje sobie rany, które najtrudniej mu zagoić przyjdzie, przez usuwanie ziemi ojczystej z pod nóg swoich. Znaną jest powszechnie statystyka p. Ludwika Żychlińskiego, obliczająca ubytek ziemi, należącej do właścicieli dóbr rycerskich. Cyfry te przerażające, a ogólnie znane, pomijamy i zapisujemy, że w jednym tylko r. 1882 nieobjętym w wzmiankowanej statystyce, przeszło w inne ręce 76 dóbr z 237,000 hektarami areału. Z dóbr tych przypada na obwód rejencyi poznańskiej 41, a na obwód rejencyi bydgowskiej 35. Polacy stracili w 1882 r. 5,554 hektarów (około 22,200 morgów); z rąk bowiem polskich przeszło w niemieckie 8,954, a z rąk niemieckich w polskie tylko 3,400 hektarów. Postradaliśmy bardzo, bardzo wiele. Gdzie osiadł innoplemieniec, tam zagraża niebezpieczeństwo i ludowi wiejskiemu, jego zwyczajom i obyczajom narodowym i językowi, tam usuwa się z pod nóg podstawa naszej legalnej agitacyi podczas wyborów do sejmu, tam wysycha źródło naszej egzystencyi.

Urobiło się mniemanie, że przyczyną tego wyzbywania się ziemi jest lekkomyślność, życie nad stan, nieporadność i niedołęstwo poznańskiej szlachty. W wielu wypadkach mogło tak być rzeczywiście, ale przyczyn złego szukać należy gdzieindziej. Księstwo jest krajem przeważnie rolniczym, obywatele nasi chcąc dotrzymać placu Niemcom, prowadzić muszą gospodarstwo forsowne, wymagające wielkich wkładów pieniężnych. W braku leżącego kapitału zapożyczyć się musieli w tak zwanej landszafcie i w innych bankach, a było tych banków dosyć, kredyt był łatwy. Jak długo ceny zboża stały wysoko a popyt był znaczny, można było z roli wydobyć tyle, aby i procent opłacić i fortunę utrzymać, ale od kilku lat w skutek zalania targów europejskich zbożem amerykańskiem ceny spadły, popytu nie ma; w całych Niemczech stagnacya i zastój. Leżą tysiące korcy zboża w spichrzach, stoją setki owiec w oborach, a kupca

nie ma, nie ma więc pieniędzy, a tu terminy bankowe nadchodzą, opłacaj podatki, płać robotnika, wyżyw dwór cały. Pożyczyć trudno, bo każden mórg ziemi już obdłużony na dwie trzecie części swej wartości. Nie ma rady, tylko sprzedaj majątek i ratuj resztki fortuny, a nie uczynisz sam tego, to bank wystawi twój majątek na subhastę. Jest jeszcze inna przyczyna złego. Młodzież obywatelska nie ma u nas karyery przed sobą. Zawód wojskowy bardzo kosztowny, po wielu dopiero latach dać może pensyę 800 talarów, a do tego grozi zupełnem zniemczeniem i wynarodowieniem. Zawód urzędniczy nic lepszego nie obiecuje. Żaden Polak nie otrzyma naczelnej, samodzielnej posady, choćby był najzdolniejszym urzędnikiem a w dodatku przeniosą go do Westfalii lub Brandenburgii; dla kraju jest on stracony. Pozostaje więc znów tylko zawód rolniczy, który przy rozdrobnieniu ojczystej fortuny i podziale majątkowym, staje się coraz trudniejszy.

Temu rozpaczliwemu stanowi rzeczy zapobiedz może jedynie radykalna reforma w wychowaniu młodzieży wyższych stanów. Ta jedna z najważniejszych gałęzi naszego żywota leży zupełnie odłogiem. Nawet tak dbała o dobro publiczne prasa nasza wielkopolska rzadko dotyka się tej rany, absorbującej zdrowe zresztą soki organizmu naszego. W Wielkopolsce nie mamy ani jednego pisma poświęconego pedagogice. Szlachetne w tym względzie usiłowania rozbiły się o obojętność ogółu. W nauce rolnictwa, chowu inwentarza, dotrzymujemy kresu Zachodnim narodom, ale jesteśmy nowicyuszami w dziedzinie wychowania domowego. Wychowanie to zostawione na los szczęścia, odbywa się bez planu i wyższej myśli. Dzieci nasze uczą się wiele, często rzeczy niepotrzebnych, ale mało albo nic się nie pracuje nad wyrobieniem ich charakteru, a jest on tą niezbędną siłą, która z dziecka robi męża nieugiętego w złej i dobrej doli, umiejącego sobie dać radę w każdej przygodzie życia. Uczciwy i szlachetny z natury charakter polski, nie wyniósłszy z domu hartu duszy, łamie się później i upada. Cała nasza dziejowa przeszłość smutne w tym względzie przedstawia widowisko; ogólny brak silnych charakterów, to źródło wielu klęsk i niepowodzeń naszych. Płyniemy z wodą, a nie umiemy stawić czoła jej prądowi i ująć jej w łożysko wedle naszej myśli i woli. Nie tu miejsce na badanie tej najujemniejszej strony naszego żywota;

chcieliśmy tylko zwrócić uwagę ludzi stojących na czele prac naszych narodowych, aby jak najprędzej wzięli inicyatywę w tem wielkiem dziele, które prędzej czy później podjąć będzie potrzeba, jeżeli nie chcemy budować gmachu na piasku.

V. R.

Listy z Wiednia.

Charakterystyka akcyi wyborczej. — Jej rezultaty. — Porażka liberałów w Wiedniu i przyczyny tejże.

Wybory do rady państwa i połączony z nimi ruch polityczny przez ostatnich kilka tygodni wyłącznie zajęły uwagę powszechną we wszystkich krajach monarchii, po tej stronie Litawy. Zebrania przedwyborcze, relacye byłych posłów, programy kandydatów ubiegających się o mandaty, wywołana walką stronnictw agitacya, jej szanse, sukcesy i niepowodzenia — oto jedyne sprawy, które w tym czasie interesowały ogół i wypełniały szpalty dzienników. Nowe zwycięztwo Komarowa nad Afgańczykami nie mogłoby wywołać takiego wrażenia, jakie wywarło zwycięztwo kandydata tej lub owej partyi politycznej.

Charakterystyką tej olbrzymiej akcyi, która w ostatnich tygodniach się rozegrała, jest brak wszelkich motywów wyższych, moralnych, które w społeczeństwach chrześcijańskich gromadzą koło siebie licznych, lub mniej licznych zwolenników, stają się hasłem i nadają nazwę frakcyom i stronnictwom, świadczą o ich religijnych przekonaniach i płynących zasadach politycznych. Tu ani tych motywów wyższych, ani tych przekonań i zasad wybitnych nie szukaj, zastąpiła je taktyka polityczna kompromisem, a więc ustępstwem i modyfikacyą zasad i przekonań okupiona, a za jedyny motyw mająca utilitarność, korzyść, interes chwilowy, słowem, oportunizm, a nierzadko wzgląd osobisty, partykularyzm. Ztąd ta niejasność programów, ta mnogość odcieni w liberalnym zarówno, jak konserwatywnym obozie, ta przewlekłość i jałowość parlamentarnych obrad, ta połowiczność, mdłość i to niedołęztwo w przeprowadzeniu nawet najzbawienniejszych na chrześcijańskim pierwiastku

opartych reform socyalnych. Przekona nas o tem proste przedstawienie akcyi wyborczej.

Chodziło tu o kwestyę, jaki będzie skład nowego parlamentu, i jakiemi drogami pójdzie w najbliższej przyszłości działalność ustawodawcza w Austryi. Mowa tronowa, którą cesarz zamknął sesyę ubiegłą, wskazała wprawdzie w zarysach ogólnych kierunek, w jakim rząd i nadal iść zamierza, ależ potrzeba zapewnić w Izbie poselskiej większość dla tego kierunku.

Wiedziano z góry, iż większość będzie po stronie rządu, chodziło tylko o to, jakiemi cyframi się większość ta wyrazi. W krajach innych, tam gdzie do wyboru posłów czy to bezpośrednio w głosowaniu powszechnem, czy też choć pośrednio, powołane są szerokie warstwy ludności, ogólny wynik wyborów często jest wątpliwy i nieprzewidziane może przynieść rezultaty, prawdziwe sprawić niespodzianki. W Austryi system wyborczy nadaje prawo wyboru niewielkiej stosunkowo liczbie osób, a i te nierówne mają prawa. I tak kilkunastu członków Izby handlowej, kilkudziesięciu właścicieli większych folwarków, tylu wybiera posłów, co kilka tysięcy wyborców gmin wiejskich, lub kilka tysięcy wyborców miejskich. Izby handlowe wybierają ogółem 21 posłów, większa własność ziemska 85, gminy wiejskie 131, miasta 116. Konstatujemy tylko fakt, nie myśląc krytykować systemu wyborczego.

W tych okolicznościach zaś nie zbyt trudno przewidzieć rezultat ogólny wyborów. Trudno bowiem przypuszczać, iżby uprawnione do wyboru z kuryi większej własności, lub z Izb handlowych osoby z dnia na dzień zmieniały przekonania polityczne. Zmiana reprezentacyi tedy w zwykłych warunkach tu wtenczas tylko zajść może, gdy się zmieni skład samego ciała wyborczego. Zmiana taka zaszła n. p. teraz przez to, iż w czasie ostatniej sesyi rada państwa zreformowała regulamin wyborczy dla większej własności ziemskiej w Czechach, i że nastąpiła reorganizacya Izb handlowych. Przysporzyło to klubowi czeskiemu ośmiu posłów — o tem jednak wiedziano z góry.

Nieprzewidziane zmiany mogą zajść przy wyborach z gmin wiejskich i z miast. Ale wiadomo, że w gminach wiejskich wpływ inteligencyi wiejskiej, tj. właścicieli większych i duchowieństwa, i innych czynników, dużo znaczy; znany zresztą charakter

ludności pozwala odgadnąć rezultat wyborów. I tak wie każdy, że np. w Tyrolu wyborcy z gmin wiejskich nie wybiorą Herbsta lub Koppa. W krajach zaś zamieszkałych przez ludność różnych narodowości, zwykle w okręgu każdym jedna narodowość przeważa i wybór kandydata narodowego z góry zapewniony. Próbowali wprawdzie liberalni Niemcy poważnić wyborców w okręgach, gdzie zwykle zwyciężali kandydaci konserwatywni, namawiając chłopów, aby nie szli za inteligencyą, lecz własnych z grona swego stawiali kandydatów, ale manewr się nie udał. Z posłów wybranych w gminach wiejskich zasiądzie 98 na prawicy, 29 na lewicy, 4 w stronnictwach środkowych.

Do sprawiania niespodzianek wyborczych pozostają zatem głównie miasta. Tu już, choćby z przyczyny fluktuacyi ludności, przy sześcioletnich odstępach pomiędzy wyborem jednym a drugim, niepodobna przewidzieć naprzód rezultatu wyboru. Ludność tu też ma usposobienie zmienniejsze i działa często pod wrażeniem chwilowem, nie ulegając stałemu wpływowi; mamy oczywiście głównie na myśli miasta większe.

Wynik wyborów w miastach tym razem jeszcze bardziej zaciekawiał, bo pomiędzy ostatnimi wyborami z r. 1879 a tegorocznymi zaprowadzono reformę ustawy wyborczej, która, mianowicie w miastach większych, liczbę wyborców w dwójnasób, nawet w trójnasób powiększyła; nowa ustawa obniżyła bowiem znacznie *census* wyborczy, nadając prawo głosowania już tym, którzy opłacają pięć guldenów podatku rocznego.

Zwykle — w innych krajach przynajmniej — z podobnego rozszerzenia prawa wyborczego najwięcej korzyści się spodziewają stronnictwa liberalne, nawet radykalne. Liberalna partya, połączona lewica, w parlamencie austryackim opierała się odnośnej reformie; przeprowadzenie jej jest prawie wyłącznie zasługą prawicy t. zw. konserwatystów. Umyślnie powiadamy „tak zwanych“ konserwatystów, bo aczkolwiek zasiadające na prawicy stronnictwa noszą miano konserwatywnych, to jednakże ze stanowiska czysto politycznego nazwy takiej im nadać nie można.

Już to w ogóle powiedzieć trzeba, że w pojęciach „konserwatywny“, „liberalny“, „demokrata“ i t. d. w ostatnim dziesiątku lat mianowicie, zaszło właśnie dla tego braku zasad i przekonań wybi-

tnych pewne zamięszamie, iżby za Ciceronem powtórzyć można: *amisimns vera rerum nomina.* Ludzie, których pojęcia o wolności, zastosowane w praktyce, prowadzą do najfatalniejszego absolutyzmu, zależności jednych od drugich, prawie niewoli faktycznej, choć nie prawnej, mienią się być wolnomyślnymi, liberalnymi. Ale o tem tylko mimochodem wspominamy. Wracając do stosunków tutejszych podnieść musimy, iż w parlamencie austryackim stronnictwa właściwie nie grupują się około zasad liberalnych lub konserwatywnych, jak to przeważnie ma miejsce w parlamentach innych. Odrębne stosunki etnograficzne, będące wynikiem jeograficznego położenia Austryi, i rozwój historyczny, sprawiły, iż walka o zasady konserwatywne lub liberalne, stoi w parlamencie austryackim na drugim planie, a właściwie zeszła z pola, pierwsze miejsce zajęła kwestya inna.

Ludność zamieszkująca monarchię austro-węgierską różnej jest narodowości, z których niektóre odrębną zupełnie mają indywidualność wyrobioną przeszłością historyczną, która z historyą państwa rakuskiego w żadnym nie pozostawała związku. Przeszłość państwa rakuskiego była prawie wyłącznie niemiecką, niemieckość na jej historyi główne wycisnęła piętno. Dalej w strony niemieckie zachodziły też zagony państwa, cesarz austryacki był cesarzem niemieckim. W ostatnim wieku jednakże zmieniło się to. Panowanie rakuskie coraz więcej ustępowało z samych Niemiec, a natomiast już przedtem rozszerzyło się nad krajami niemieckimi. Pomimo to trzymał się rząd tradycyi, starając się zaprowadzić wszędzie język i obyczaj niemiecki. Uchodziło to za czasów absolutyzmu; gdy jednakże cesarz nadał konstytucyę, a równocześnie idea narodowości coraz więcej zyskała znaczenia, zaczęto domagać się nietylko swobód konstytucyjnych, lecz i uznania praw narodowościowych, uszanowania tradycyj poszczególnych krajów przez nadanie im samorządu.

Do zapasów z Niemcami, którzy jedni w Austryi wtedy nietylko się pod tym względem cieszyli swobodą zupełną, lecz poprostu panowali nad wszystkimi innymi, stanęły wszystkie inne narodowości. Wyemancypowanie się z pod przewagi niemieckiej, wywalczenie praw narodowych i autonomii krajowej, stały się hasłem reprezentantów narodowości nie-niemieckich.

Nie mamy zamiaru pisania historyi ostatnich 25 lat, ani chce-

my przedstawiać koleje, jakie przechodziła walka o te idee i walne zwycięztwo, jakie odniosła, gdy nadano osobne rządy krajom należącym do korony św. Szczepana. Pobieżne te wzmianki czynimy tylko dla wykazania, czemu w parlamencie austryackim nie istnieją jedynie, jak w innych parlamentach partye polityczne, liberalne, konserwatywne, lecz część posłów grupuje się wyłącznie około sztandaru narodowego i zasady autonomii krajowej. Zjawisko to samo, tylko liczebnie na mniejszą skalę, spostrzegamy zresztą także w parlamencie niemieckim, gdzie Polacy, Francuzi, Duńczycy łączą się w kluby narodowe, i w parlamencie angielskim, w którym Irlandczycy tworzą osobną grupę.

Niemcy w Austryi ani mieli, ani mają dziś potrzebę tworzenia stronnictwa narodowego, ich praw narodowych nikt zaczepiać, ani im uszczuplać nie myśli. Dzielili się też dotychczas na stronnictwo liberalne i konserwatywne. Od czasów ery konstytucyjnej liberalni pozyskali po kilkakrotnie przewagę, zdołali w ręce swoje ująć ster rządu i dzierżyć go przez pewien przeciąg lat. Wytworzyli sztuczną większość, którą jeszcze wzmocniła długoletnia abstynencya Czechów, tak iż prawodawstwo austryackie poszło przez czas niejakiś wydeptanemi dalej na zachodzie ścieżkami t. zw. liberalnego kierunku. Liberalizm ten odznaczał się wszędzie arogancyą i zarozumiałością. Liberalni Niemcy austryaccy nie widzieli potrzeby stanowienia pod tym względem wyjątku. Głosili ciągle i głoszą dotychczas, że oni jedni w Austryi reprezentują postęp i cywilizacyę, że im zatem należy się przodownictwo i rządy w Austryi. „Niemcy jedynie są dźwignią cywilizacyi w Austryi, o ile inne szczepy posiadają cywilizacyę, zawdzięczają takową Niemcom... Cokolwiek bądź istnieje w Austryi dobrego, wszystko to jest dziełem liberalnych Niemców"; tak opiewa dosłownie ostatnia odezwa przedwyborcza liberalnego komitetu wiedeńskiego. Nieodrodni to bracia pruskich kulturtregerów na północy. Nic zatem dziwnego w tem, że narzucenie języka swego, tej kultury swojej innym, uważają za łaskę, którą im świadczą. Liberalizm ich też nie stał na przeszkodzie uciskaniu narodowości innych według wzorów dawnych absolutnych rządów austryackich.

Inne stanowisko zajęło w obec ruchu narodowego szczepów słowiańskich niemieckie stronnictwo konserwatywne. Czy to dlatego,

że z zasady są skłonniejsi do uznania tradycyi historycznej, czy też dlatego, że było to według woli monarchy, czy nareszcie z własnego interesu, w rzeczywistości zapewne z wszystkich trzech powodów pogodzili się konserwatyści z tym ruchem, a równouprawnienie wszystkich narodowości nietylko na papierze, w teoryi, lecz w praktyce, i autonomię krajów przyjęli jako podstawę ustroju państwowego w Austryi. Jeżeli mówimy o „interesie własnym", to nie mamy wcale na myśli interesu pojedynczych osobistości, lecz jedynie interes, jaki ma każde stronnictwo w przeprowadzeniu zasad, które przyjęło, uważając je za zbawienne dla ogółu. Konserwatyści, zdaje nam się, przekonali się, iż jeżeli chcą, aby rządy w Austryi odpowiadały mniej więcej ich intencyom, muszą się porozumieć z szczepami słowiańskimi, a porozumienie to nastąpić może tylko na podstawie uznania równouprawnienia. Z tego nie wynika, iżby Polacy, Czesi lub Słoweńcy hołdowali jakimś ideom zacofanym, lub opierali się zdrowemu rozwojowi i postępowi. I owszem, dążenie do postępu i rozwoju właśnie u tych narodów jest większe, aniżeli u jakiegokolwiek innego. Zresztą nie ma dziś poważnego stronnictwa, które miałoby chęć wstrzymania świata w biegu i cofnięcia społeczeństwa ludzkiego wstecz o kilka wieków. Tylko że pojęcia o tem co stanowi postęp i rozwój ludzkości, u Polaków, tak samo jak u Niemców konserwatywnych nie mają nic wspólnego z pustą frazeologią liberalnych Niemców.

Otóż przekonanie, że w Polakach, Czechach i t. d. znajdą sprzymierzeńców do zwalczania przewrotnych idei nowoczesnego pseudo-liberalizmu, który tylko burzyć, ale nic stałego w to miejsce postawić nie umie, to przekonanie powtarzamy, zbliżyło konserwatystów do klubów narodowych. Interes ten zobopólny jest też rękojmią, że istniejący stosunek przyjazny się utrzyma. Zanadto wielka jest różnica zasadnicza pomiędzy konserwatywnymi Niemcami a lewicą, iżby z powodów zagrożonego wspólnego interesu narodowego porozumienie jakie nastąpić mogło. Z wyjątkiem Lienbachera, który sposobem popierania kandydatury exministra Bacha dowiódł, że według jego pojęć germanizowanie, jak się praktykowało za Bacha, jest zasługą, a centralizm jedyną możliwą formą rządów w Austryi, patrzący bez uprzedzenia konserwatyści wiedzą, że narodowość niemiecka w niczem nie jest zagrożona, że sprzeciwiałoby się to nawet

wprost interesowi Polaków, Czechów i innych narodowców, gdyby Niemcom przyrodzonych praw narodowych uszczuplić chcieli.

Bajkę o ucisku Niemców przez Słowian w kurs puścili Niemcy liberalni, w nadziei, iż tym sposobem uda im się odzyskać utraconą — n. b. przez niezgodę w własnym łonie — władzę rządową. Taktyka ta każe im w każdej nowej szkole czeskiej, w każdym nowym urzędniku czeskim, w każdym zgoła ustępstwie na korzyść równouprawnienia narodowości, widzieć zamach na Niemców. Na wszystkie tony wołali gwałtu podczas ostatniej sesyi, aby podkopać gabinet hr. Taaffego, który w programie swoim umieścił „pojednanie“ wszystkich szczepów różnych, zamieszkujących Austryę po tej stronie Litawy. Jak żydzi na ruinach Jerozolimy, tak lamentowała „połączona (w nieszczęściu) lewica“ na gruzach zdruzgotanej potęgi i władzy swojej. A kiedy nareszcie zakończyło się sześciolecie sesyi parlamentu, rozesłali wicie pospolitego ruszenia pomiędzy lud swój, wzywając do walki na życie i śmierć. Ale wysłańcy wracając niepomyślne przynieśli wieści. „Hołota“ wyborcza podniosła bunt przeciwko prorokom. Jedni, co uwierzyli jeremiadom, powiedzieli: jeżeli byt nasz rzeczywiście zagrożony, to na cóż go tak słabo bronicie. Jesteście mazgaje, nam potrzeba ludzi odzywających się w tonie ostrzejszym; — i przy odgłosie znanych pieśni: *Die Wacht am Rhein* i *O du mein Deutschland,* wybrano nad Łabą mężów ostrzejszego tonu.

Jeżeli na ranę zadaną solidarności i karności w stronnictwie mógł być kierunek, odzywający się za tonem łagodniejszym, i to nawet łagodniejszym od tego, którego lewica używała w ostatniej sesyi, to podnieść należy, iż balsam taki znalazł się w kilku miejscach. Wypróbowani menerzy połączonej lewicy, hr. Wurmbrand i Chlumecky dali hasło do takiego kierunku. Nietylko z tonu, w jakim się odzywali ci dwaj posłowie — na nowo wybrani, — lecz i z charakteru kompromisu, który za przyczynieniem się Chlumeckyego przyszedł do skutku w kuryi większej własności na Morawie widać, iż przekonani siłą logiki i cyfr skłaniają się do występowania mniej ostrego i drażliwego przeciwko gabinetowi hr. Taaffego, i jego programowi.

Dwa tedy się uwydatniły kierunki podczas wyborów w obozie połączonej lewicy. Jeden domagający się jeszcze gwałtowniej opozy-

cyi, niżeli ta, którą stawiła lewica rządowi dotychczas, domagający się dalej połączenia się liberałów niemieckich w klub niemiecki, jako przeciwstawienie do narodowych klubów: czeskiego i koła polskiego, w celu specyalnej obrony narodowych praw Niemców. Drugi kierunek stoi na stanowisku wręcz przeciwnem, bo chce opozycyi łagodniejszej. Ci, którzy chcą pozostać przy dotychczasowej taktyce lewicy, tworzą środek, chociaż niekoniecznie *le juste milieu* pomiędzy dwoma powyżej scharakteryzowanymi kierunkami. Najwięcej przykrości jednakże sprawił przewódzcom lewicy nowy zupełnie kierunek, który się wyłonił przy wyborach w samej stolicy monarchii we Wiedniu. Już to wybory wiedeńskie w ogóle pełne były przykrych niespodzianek dla lewicy.

Lewica uważała Wiedeń dawniej zawsze za fortecę swoją, której nietylko nikt zdobyć, lecz nawet wyłomu w niej zrobić nie zdoła. Jeżeli była walka jaka, to tylko pomiędzy dwoma adherentami lewicy. Nowa reforma wyborcza, nadająca prawo wyboru pięcioguldenowym, zaniepokoiła wprawdzie lewicę, ale jej nie odebrała ducha. Trzy lata temu próbowano w Wiedniu utworzyć stronnictwo demokratyczne; na czele agitacyi ówczesnej stanęli nawet ludzie popularni, mianowicie dr. Fischhof i bar. Walterskirchen. Ale stronnictwo to przyjęło zasadę programu hr. Taaffego: pojednania różnych narodowości zamieszkujących Austryę; to wystarczyło dla tutejszych patryotów lewicy, aby w zarodku przytłumić usiłowania inicyatorów o utworzenie stronnictwa demokratycznego. Na pierwsze zebranie, na którem organizacya partyi miała przyjść do skutku, zebrali się licznie zwolennicy lewicy i wywoławszy skandale rozbili zebranie.

Przycichły wtedy owe usiłowania, a dzienniki będące na usługach lewicy, już tylko w tonie przedrwiwającym wspominały o tych usiłowaniach.

Tymczasem zbliżał się termin nowych wyborów, a wtedy już demokraci wystąpili z agitacyą dobrze zorganizowaną. Wybory prawyborców na przedmieściu Wiednia w Währingu, najpierw zamanifestowały siłę partyi. Znaczną większością głosów wybrano w Währingu prawyborców, przeciwnych wyborowi znanego posła lewicy dra Exnera. Pomimo to, przy wyborach na posła, dr. Exner przeszedł, wybrany znaczną większością głosów.

Bardziej natomiast okazał się zagrożony wybór członka lewicy,

Suessa, w okręgu przedmieścia Sechshaus. Na 250 przeszło głosujących, uzyskał Suess tylko dwa głosy ponad absolutną większość.

Nareszcie nadszedł termin wyborów w samym Wiedniu. Agitacya była z obu stron bardzo ożywiona, ale organa prasowe lewicy jeszcze sobie lekceważyły demokratów. Obliczenie głosów i ogłoszenie rezultatu wyborów wyrwały ich z nieograniczonego zaufania do Wiedeńczyków. Okazało się, iż na dwunastu posłów wybrano w Wiedniu ośmiu kandydatów lewicy, trzech demokratów i jednego antysemitę. We wszystkich innych okręgach, z wyjątkiem centrum miasta, city wiedeńskiej, gdzie kandydaci lewicy przeszli, otrzymali niewielką większość, a i to tylko dzięki tej okoliczności, iż ich przeciwnicy w niektórych okręgach postawili jako kandydatów ludzi prawie zupełnie nieznanych. Ogólny rezultat głosowania we Wiedniu był taki, iż na 31.600 głosujących, 20.305 głosów padło na kandydatów lewicy, zaś 11.295 na ich przeciwników. W obliczeniu tym wliczamy kandydatom lewicy 1.148 głosów, które padły na Löblicha, chociaż Löblich nie był kandydatem lewicy. Gdybyśmy głosy te przerzucili na drugą stronę, wypadłoby $^3/_5$ głosów na kandydatów lewicy, $^2/_5$ na ich przeciwników. Jesteśmy zaś przekonani, że stosunek ten dla lewicy byłby się pogorszył, gdyby demokraci we wszystkich okręgach postawili kandydatów znanych i poważnych.

Łatwo jednak wyobrazić sobie, że i rezultat taki, jaki był, nietylko w zdumienie wprawił, lecz i przeraził lewicę. Do klęsk przewidzianych jeszcze ta niespodziewana, i to w samej stolicy; tego było za wiele.

W obec ogólnego rezultatu wyborów lewicy organa *font bonne mine, au mauvais jeu.* Lewica straciła na czysto przeszło tuzin mandatów, ale się pociesza tem, że mogła stracić więcej. Szczęśliwe usposobienie, które potrafi się tak łatwo pogodzić ze smutną rzeczywistością.

Już na czele listu niniejszego rozpisaliśmy się o przyczynach, dla których większe i nagłe zmiany w składzie parlamentu austryackiego uważamy za niemożliwe. Utrata kilkunastu mandatów w obec tego nam się wydaje dosyć znaczną.

Podczas ubiegłej sesyi był skład Izby taki, iż prawica zupełnie solidarna małą miała większość. W nowej Izbie, według obrachunku naszego, cztery kluby autonomistów, t. j. koło polskie, (55

członków), klub czeski (66 członków), klub Hohenwarta (40 członków) i klub ks. Liechtensteina (16 członków), będą miały większość, bo 177 głosów na ogólną liczbę 353 posłów. Niewątpliwie do autonomistów, jeżeli nie do Koła polskiego, zaliczyć należy 4 Rusinów. Oprócz tego pięciu ministrów, pomiędzy nimi dwóch Polaków i jeden Czech, posiada mandaty. Rząd tedy, skoro zechce, i dla spraw autonomicznych znajdzie większość 186 głosów w Izbie, choćby konserwatywny centralista Lienbacher z sztabem swoim przyłączył się do opozycyi.

Wyłuszczyliśmy już powody, dla jakich secesyi w szeregach Niemców konserwatywnych spodziewać się nie należy. Co się dziać będzie na lewicy — to przewidzieć trudno. Tymczasem zwalczają się dwa przynajmniej kierunki; zwolennicy „ostrzejszego tonu“ koniecznie chcą utworzyć narodowy klub niemiecki, ale projekt ten wielu bezwzględnych ma przeciwników. *Neue fr. Presse* naśmiewała się zawsze z programu „pojednania“ hr. Taaffego. Teraz sama bezustannie swoich partyzantów nawołuje do *Versöhnung*, ale jak dotychczas, to jej *Versöhnungsprogramn* nawet takimi sukcesami, jak „program pojednania“ hr. Taaffego poszczycić się nie może.

Dr. A. D.

Z Petersburga.

Polemika religijna między p. Włodzimierzem Sołowjewem a p. Danilewskim.

P. Danilewski w dwóch numerach na marzec i luty r. b. w czasopiśmie „Izwiestija Sankt Pietiersburgskaho Slawianskaho Błahotworitelnaho Obszczestwa“ zamieścił artytuł przeważnie polemiczny przeciw p. Włodzimierzowi Sołowiewowi, pod tytułem „Г. Владиміръ Соловьевъ о православіи и католицизмѣ“. Artykuł ten odznacza się dyalektyką czysto protestancką, opartą na niektórych podejrzanej wartości teologach, przeważnie na dziełach X. Guettée, które były potępione przez Stolicę św. 22 stycz. 1852, 11 czerw. 1855, 15 grud. 1863 r. Ten X. Guettée zawieszony był w obowiązkach kapłańskich, jako otwarty jansenista i zażarty wróg Stolicy św. Odpowiedź p. Sołowiewa na artykuł p. Danilewskiego wielkiej jest doniosłości i zna-

czenia, pełna roztropności i prostoty iście chrześcijańskiej i zarazem dokładnie określająca to, co napisał zbyt rozwlekle p. Danilewski. Artykuł ten zamieszczony jest w „Izwiestiach“ za m. marzec r. b., pod tytułem: „Odpowiedź M. J. Danilewskiemu“. Podajemy go w dosłownem tłumaczeniu [1].

Przygotowując do druku dzieło obszerne w kwestyi kościelnej, mógłbym nie odpowiadać na krytykę tyczącą się poprzednich moich poglądów, jednakże ponieważ wydawnictwo mej pracy, pomimo mej woli może być opóźnione, sądzę, iż nie powinienem pozostawić bez odpowiedzi zarzutów tak ważnych i szczegółowych tyle zasłużonego pisarza, jak p. Danilewski.

P. Danilewski rozpoczyna od oskarżenia mnie o stronniczość, zarzuca mi, że staję po stronie katolicyzmu rzymskiego. Będąc przekonanym (jak o tem poprzednio oznajmiłem), że ortodoksya i katolicyzm nie wyłączają się, ale dopełniają wzajemnie, nie mam potrzeby stawać po jednej stronie, poświęcać jedno dla drugiego. Jednak że p. Danilewski może najsłuszniej twierdzić że ujmuję się za katolicyzmem, bronię go (защищаю) od rozmaitych oskarżeń. Pisząc w Rosyi i mając na względzie nadewszystko literaturę rosyjską, która jest wrogą dla katolicyzmu, pełna przesądów i nieporozumień, jeżeli występuję tu jako jedyny obrońca katolicyzmu, spełniam wedle mego przekonania tylko powinność bezstronności i sprawiedliwości. Gdyby dzieła pisarzy katolickich miały do nas wstęp wolny, i jeśliby z drugiej strony ktokolwiekbądź z piszących u nas w tym przedmiocie oceniał sprawiedliwie i życzliwie zasadnicze sprawy (елементовъ) religijne przez katolicyzm przedstawiane, wtedy i moje rozprawy mogłyby mieć charakter mniej apologetyczny. Wreszcie co do bezstronności, pozwolę sobie przytoczyć sąd innego mego krytyka, więcej jeszcze niezadowolnionego ze mnie jak p. Danilewski, a mianowicie autora artykułów „Nasi filozofowie i teolodzy nowi“, umieszczonych w naukowo-religijnem piśmie „Wiara i rozum“, który bezwarunkowo potępiając moje zapatrywania na Kościół, nie odmawia mi jednakowoż bezstronności. Mówi o mnie ten krytyk: „On w wskazanym przez nas poglądzie chce być bezstronnym; z wysokości „swoich szczególnych punktów widzenia, początkowe źródło poróżnienia widzi „zarówno tak w Kościele wschodnim jak i zachodnim, to jest, nie usprawiedliwia „ani tego ani drugiego, a jeżeli jego sympatye więcej skłaniają się na korzyść „Kościoła zachodniego, widocznie wypływa to tylko z jego zasad filozoficznych, „a nie z jakichkolwiek wypadków dziejowych, a w każdym jednak razie opiera „się na zasadzie miłości, życzącej dobra kościołowi wschodniemu“ [2]. Dodam od siebie, że chociaż w swojem miejscu wskazałem wielkie i święte przymioty wschodu ortodoksyjnego, pobożność i wierność podaniom ojcowskim, troskliwość w zachowaniu świętości kościelnej, dążenie do heroizmu ascetycznego

[1] Za zgodą M. J. Danilewskiego. drukujemy tutaj nieznaną mu jeszcze odpowiedź na artykuł jego. Czytelnicy z całego przebiegu polemiki niezawodnie z zadowolnieniem spostrzegą, że kwestya podjęta przez naszych szanownych współpracowników, rozjaśnia się coraz głębiej i dokładniej, a następnie powinna wejść jeszcze na wyższe sfery (подняться на еще дальшую высоту).

Uwaga Redakcyi Izwiestii.

[2] Вѣра и разумъ Нр. 1. 1885 г. страница 52 и 53.

i wzniosłości badań duchownych, jednakże mówiąc o Bizancium, niemniej obowiązany byłem wykazać wydatną i charakterystyczną sprzeczność, pomiędzy wzniosłością zakonno-kościelną, a upadkiem głębokim życia świeckiego. W tej sprzeczności znajdowałem usprawiedliwienie moralno-historyczne, dla panowania niechybnej i nieobłudnej (цѣльной и прямодушной) potęgi islamu nad wewnętrznie rozdwojonym Wschodem ortodoksyjnym, a z tego powodu p. Danilewski zapytuje: a czyż na Zachodzie nie toż samo? Niewątpliwie, byli i tam ludzie na swój sposób występni jak i w Bizancium, lecz w tymże samym czasie gdy na Zachodzie liczymy setkami sobory, zwoływane w chwalebnym celu poprawy obyczajów i żywota duchowieństwa i świeckich[1], to czyż może p. Danilewski wskazać w Bizancium choć na jeden sobór z takim charakterem i znaczeniem. Przy całem swem zepsuciu, Zachód średniowieczny nigdy nie ścierpiał ażeby rzeczywistość żywota wśród świata była w sprzeczności z pierwowzorem religijnym i starał się o ile możności usunąć tę sprzeczność lub w razie ostatecznym osłabić i dla tego sameż zakony na Zachodzie miały charakter przeważnie czynny. A wreszcie Kościół zachodni lub lepiej powiedzieć, ludzie kościelni Zachodu mogli mieć swe grzechy, może cięższe jeszcze aniżeli grzechy Bizancium, za co nastąpiła kara w postaci protestantyzmu a z tego następna, ruchu antychrześcijańskiego, który niewątpliwie więcej wrogi i szkodliwy dla Kościoła, aniżeli islamizm.

P. Danilewski wskazuje na moją stronniczość z powodu Unii Florenckiej, lecz w tej materyi wywody mojego krytyka zdają się być bardzo dalekie od dziejowej rzeczywistości. Tu nie będę wskazywał na akta Soboru Florenckiego, ani na badania jakichbądź zachodnich pisarzy, lecz tylko usilnie zalecę przewyborną rozprawę p. Sadowa o Bessaryonie nicejskim i jego czasie[2].

Następnie p. Danilewski w zasadzie i szczegółach odrzuca zjawisko od-

---

[1] Soborów było w VI. wieku około 100 soborów; w VII.—100; w VIII.—100; w IX.—200; w X.—120; w XI. z górą 300; w XII.—300; w XIII.—300; w XIV.—200; w XV. około 150; w XVI.—100; w XVII.—100; w XVIII.—30; w XIX., oprócz watykańskiego—13 we Francyi, kilka soborów w Ameryce, Niemczech i Włoszech Są tu wliczone i Synody prowincyonalne.

[2] Dzieło Sadowa noszące tytuł: Виссаріонъ Никейскій. Его дѣятельность на Ферарo флорентійскомъ соборъ, богословскія сочиненія и значеніе въ исторіи гуманизма. С. Петербургъ типографія О. Елеонскаго и ком. Нев пр. 9. Пр. 134. 1883 г. Rejestru 4 stron, przedmowy 16 stronnic. Dzieła 282 stronic bitego druku z licznemi uwagami petitem. Dzieło tylko pod względem historycznym bardzo zdaje się wierne i tylko z tej uwagi, że oparte na dziełach katolickich, w tej materyi wydanych przez Mignégo i innych również katolickich. Bessaryona działalność i mowy jego wierne, ale popsute dzieło wywodami Sadowa: i tak, nie może darować Bessaryonowi, iż obietnicę, że bramy piekła nie przemogą, wyłącznie stosuje do Kościoła rzymskiego, że Bessaryon kościół grecki tylko uważa za prawdziwy wschodni a pomija cerkiew ruską. Widocznie Bessaryon widział dobrze, że działalność Kościoła rzymskiego na Rusi, była przed działaniem Greków, nie może także darować Bessaryonowi na str. 130, że wyznawał nieomylność Stolicy św., którą Sadow odrzuca.

P. Sołowiew N. 23 Rusi 1883 r. należycie ocenił z jenialną dokładnością i prawdą wyrachowane po ziemsku stanowisko Greków na soborze florenckim zarzucając im bardzo słusznie nieszczerość, obłudę, brak miłości dla prawdy, brak prawdziwej miłości braterskiej, i to właśnie nie podobało się p Danilewskiemu.

wiecznego antagonizmu Wschodu z Zachodem w zapatrywaniu się na dzieje o rozdziale Kościołów. Zestawianie Wschodu z Zachodem p. Danilewski poczytuje za okólnik zbyt luźny i niedokładny i uzasadnia to na podstawie swej teoryi o kulturo-dziejowych typach[1], a wyłożonej drobiazgowo w jego znanem dziele „Rosya i Europa". Lecz to samo można powiedzieć o kulturo-dziejowych typach p. Danilewskiego, jeżeli zapatrywać się na nie będziemy z jakiegokolwiek punktu specyalnego. Tak np. dla uczonego badacza plemion drawidyjskich w Indyach; wyraz „Indya", jako pojęcie o jedynym typie kulturno-dziejowym nie ma żadnej wagi i może się zdawać ogólnikiem dowolnym i bezpożytecznym. Wszystko zależy z jakiego punktu widzenia zatrzymujemy się. Jeżeli staniemy na krańcowym stopniu uogólnienia, nie ma potrzeby odrzucać stopni poprzedzających. Istnienia typów kulturno-historycznych p. Danilewskiego wcale nie zaprzeczam, lecz typowe ich różnice nie zasłaniają mi przeciwieństwa jeszcze ważniejszego między Wschodem a Zachodem dziejowym, jak również nie przeszkadzają mi przyznawać logicznego następstwa w dziejach powszechnych bardziej skomplikowanego, aniżeli zwyczajny porządek chronologiczny.

Co się tyczy oddzielnych zapatrywań historycznych mego szanownego krytyka, to one nie zdają się być zasadnicze a po części niezupełnie zrozumiałe. Twierdzenie p. Danilewskiego, jakoby na początku dziejów napotykał się tylko jedyny „Wschód" na arenie dziejowej, jest bezpodstawne. Jeżeli należy to rozumieć o świecie pogańskim (bo mowy o Żydach między nami nie było), to niewątpliwie epokę wojny trojańskiej, odnieść potrzeba do początkowych czasów historycznych, a w epoce tej (to jest na 1000 lat przed Narod. Chr.) napotykamy na arenie dziejowej i Wschód z jego despotami (деспотіями) patryarchalnymi w Indyach, Baktryi, Chaldei, Egipcie, i Zachód z jego wolnemi społeczeństwami w Helladzie. Na tę dwoistość bardzo dawną, jeszcze Herodot wskazywał, a określenie jej dostatecznie dokładne dał Arystoteles. Czyż i stary Herodot grzeszył stronniczością w przedmiocie pojęcia o dwoistości lub przeciwległości (въ пристрастіи къ двойственнымъ или полярнымъ схемѣ).

P. Danilewski nie chce się godzić na to com okazał, że Wschód chrześcijański skupił się około cara (Царя) w Bizancium, a Zachód chrześcijański około najwyższego arcykapłana w Rzymie. Ten mój wywód poczytuję i nadal poczytywać będę jako pewnik dziejowy. Tymczasem p. Danilewski przeniesienie stolicy cesarskiej (Императорской) z Rzymu do Bizancium uważa jako ślepy traf, następnie zwraca uwagę, że bywali cesarze na Zachodzie, jakby już z tego wynikać miało, że oni korzystali z takiegoż samego znaczenia jakie przyswoili sobie cesarze bizantyjscy na Wschodzie. Nakoniec p. Danilewski wskazuje i na fakt przeciwny, że niekiedy na Zachodzie cesarzy wcale nie było. A więc kiedy ich tam nie było to tem dogodniej narody Zachodu mogły się skupić około papieża, który był z nimi zawsze. Napróżno także p. Danilewski wspomina i o Karolu Wielkim: Karol Wielki przy całej swej wielkości uważał się jak również i inni go uważali za drugorzędnego władzcę po papieżu; to należało okazać. Być może, że w tem wszystkiem między nami jest jakieś nieporozumienie; inaczej poczytuję za wielkie niepodobieństwo, aby p. Danilewski prze-

[1] Może z tego powodu że Europa nie istnieje, jakto sofistycznie dowodzi w swem dziele „Rosya i Europa" p. Danilewski.

czył widocznemu przeciwieństwu pomiędzy znaczeniem cara (Царя) na Wschodzie ortodoksyjnym i takimże znaczeniem centralnym papieża na Zachodzie katolickim.

Nie mam potrzeby spierać się o wszystkie uwagi historyczne mego szanownego krytyka, ponieważ one złego znaczenia nie mają a wreszcie, i p. Danilewski nie nadaje im istotnego znaczenia. Przechodzę do rzeczy głównej, do kwestyi o *Filioque*.

Tu p. Danilewski stoi najwidoczniej na gruncie całkiem niepewnym. Zaufawszy bardzo płodnemu a niezawsze pewnemu pisarzowi l'abbé Guettée, p. Danilewski bez żadnych zastrzeżeń powołuje się na list papieża Jana VIII. do patryarchy Focyusza, jako na dokument najzupełniej bezsporny; tymczasem list ten, ma cechy widocznego fałszerstwa, a przez najkompetentniejszych uczonych poczytuje się za podrobiony. List ten z wykazaniem fałszerstwa, zamieszczony jest w wiadomych zbiorach kościelno-historycznych dokumentów. Nie powoływał by się p. Danilewski i na papieża Leona III. gdyby wiedział, o czem mianowicie papież ten mówił do posłów Karola Wielkiego na soborze akwizgrańskim, o treści zaś tej mowy papieskiej istnieją świadectwa współczesne.

Co się tyczy twierdzenia pana Danilewskiego że kwestya o *Filioque* zadecydowana była przecząco (отрицательно) na 2-im soborze powszechnym i że wyrok ten zawiera się w 8-ym artykule symbolu konstantynopolitańskiego; na takie zdanie musimy odpowiedzieć że nie jest ono ani logicznym wynikiem, ani też prawdą dziejową. Każde proste twierdzenie wyłącza tylko swe przeczenie, wyrok zatem, że Duch św. pochodzi od Ojca znosi tylko twierdzenie że On nie pochodzi od Ojca. Z dziejów wiadomo niewątpliwie, że sobór konstantynopolitański w 8-m artykule swego symbolu, miał na widoku określoną naukę heretycką pneumatomachów (walczących z Duchem) odrzucającą odwieczny związek Ducha św. z Ojcem, odmawiającą Mu bóstwa (божеское достоинство), uznającą Go za stworzenie Syna. Przeciw takiej kłamliwej nauce dostatecznie i celowo było powiedzieć, to co i powiedziane w artykule 8-ym symbolu. Ażeby zaś Ojcowie soboru mieli zamiar dać zupełną i ostateczną definicyę o Duchu św. to się wcale nie okazuje, gdyż mieli tylko na celu pneumatomachów. Nadto na wszystkich następnych ortodoksyjnych soborach i w formułach wiary aż do rozdziału Kościołów każdą razą, kiedy się przytacza 2-gi sobór powszechny, to przyjęcie wyroku jego dogmatycznego zawsze wyraża się w takiej formule „przyjmuję także i sobór 150 Ojców w cesarskiem mieście „(царствующемъ) za Teodozyusza W., który to sobór zatwierdził symbol Nicejski „i wyjaśnił go przeciwko bluźnierczej nauce pneumatomachów, od„rzucających Bóstwo Ducha św. i poczytujących Go za stworzenie". Katolicy nie odrzucają Bóstwa Ducha św. i za stworzenie Go nie poczytują. Jeżeli zaś kiedykolwiek z nich popadł w błąd inny, nowy, co do stosunku Ducha św. do Syna, to aby ten nowy błąd osądzić, konieczny byłby inny wyrok Kościoła powszechnego, gdyż na drugim soborze powszechnym, jakoteż przed nim, kwestya czy Duch św. pochodzi i od Syna, przez nikogo jeszcze nie była podejmowana ani rozstrząsana, a zatem nie mogła być w tym lub innym rozumieniu zawyrokowaną. Tym sposobem, na pytanie moje, przez jaki sobór powszechny potępione zostało *Filioque*, jedyna możliwa odpowiedź pozostaje ta, że potępienia takiego nigdy nie było, a następnie my, nie mamy żadnego prawa zaliczać nauki katolickiej o Duchu św. do herezyi. Niema nawet tego prawa i p. Da-

nilewski ze swego punktu widzenia, utrzymujący, że w artykule 8-m symbolu konstantynopolitańskiego *implicite* albo domyślnie zawarte jest potępienie o *Filioque*. Wyrażenie prawdy domyślne byłoby dostateczne, gdyby tylko błąd był domyślny; lecz w wypadkach takich kiedy błąd występuje jawnie i dobitnie, wtedy Kościół nie ograniczał się nigdy wyrokiem domyślnym, a wypowiadał go również jawnie i dokładnie usuwając możliwość wszelkiej dwuznaczności. Z tego powodu i heretycy potępieni na soborach powszechnych, nie mieli możności wykręcać na swą korzyść wyroków kościelnych, a byli zmuszeni odrzucać wprost sobory, które ich potępiły (tak aryanie odrzucili sobór nicejski, nestoryanie efezki i t. d.) Gdy zaś przeciw nim były tylko domyślne jeszcze wyroki soborów poprzednich, które oni mogli tłumaczyć na swą korzyść, wtedy oni nie poczytywali się za wyłączonych z Kościoła. Lecz Kościół nie cierpiał nigdy takiego stanu dwuznacznego. Cała historya soborów powszechnych dowodzi, że prawdom wiadomym, poprzednio domyślnym, w obec ujawnienia się nowych błędów nadawano nowe stałe określenie już niedozwalające na wątpliwości lub przekręcanie. I tak gdy z herezyi monofizytów wyrodził się błąd monotelitów, to ortodoksyjni nie ograniczyli się powołaniem na sobór chalcedoński, który w wyroku potępienia monofizytów potępił monotelitów *implicite*, lecz zwołali nowy szósty sobór powszechny na którym *explicite* potępili monotelitów.

Jeżeli p. Danilewski życzy sobie, to mogę swemu pytaniu nadać formę niedopuszczającą żadnego nieporozumienia, mianowicie: Ponieważ katolicy przyjmują wraz z nami drugi sobór powszechny i jego symbol, a twierdzą, że w 8-m artykule tego symbolu, chociaż nauka o pochodzeniu Ducha św. od Ojca i Syna nie jest wyłożoną, ale też nie jest wyrzuconą, w naszej zaś teologii wschodniej zakorzeniło się przeciwne zdanie, zapytuję się: jaki wyrok Kościoła powszechnego katolickie rozumienie potępił, a nasze zatwierdził.

Na taki wyrok p. Danilewski nie może się powołać, a zatem gdyby niewiem jak był przekonany, czy on, czy ktokolwiekbądź o heretyctwie katolików, to takie przekonanie pozostanie osobistem i prywatnem zdaniem, przeciwnem zdaniu wielu znakomitych przedstawicieli ortodoksyi.

W sądach swoich o *Filioque*, p. Danilewski, podobnie jak większość naszych polemistów, czasami umyślnie łączy, czasami bez zamiaru miesza kwestyę dogmatyczną o pochodzeniu Ducha św. z kwestyą historyczną o dodaniu do symbolu carogrodzkiego wyrazów „i od Syna". Tymczasem mniemanie, podtrzymane przez p. Danilewskiego, jakoby dodatek ten miał pierwszorzędne znaczenie, w drugiej części jego artykułu przez niego samego jest obalane. To dowodzi, że nie dodając żadnego wyrazu do tekstu symbolu ortodoksyjnego, ani też żadnego nie ujmując, tekst ten można pojmować w rozumieniu najzupełniej heretyckim. I tak artykuł n. p. 9 symbolu (o Kościele), chociaż go katolicy wykładają najzupełniej tak samo jak i my, to niemniej, wedle zdania p. Danilewskiego, katolicy i co do tego punktu wpadają w błąd cięższy i ważniejszy, którego p. Danilewski nie lęka się nazywać także herezyą. Widocznie zatem i z jego punktu widzenia kwestya prawdy i błędu ortodoksyi i herezyi nie może ostatecznie zależeć od tego lub innego wykładu symbolu konstantynopolitańskiego, lecz się rozstrzyga według innych zasad. Na jakich zaś zasadach opiera się w tej kwestyi p. Danilewski, niezupełnie dla mnie jest zrozumiałe. Sądzę, że p. Danilewski miesza tu dwie kwestye nader różne, a miano-

wicie łączy kwestyę o istocie Kościoła, jako jedynego, świętego, powszechnego i apostolskiego z kwestyą o formie rządu Kościoła. Istota Kościoła jest określona artykułem 9 naszego symbolu i artykuł ten katolicy nietylko wykładają lecz i rozumieją tak samo jak i my. Kwestya zaś o ogólnej formie rządzenia Kościołem powszechnym, na żadnym z siedmiu soborów powszechnych rozwiązywaną nie była, a zatem nie mamy prawa poczytywać za herezyę to, co w tej kwestyi było postanowionem. Urządzenie Kościoła powszechnego, p. Danilewski porównywa ze stanami zjednoczonemi Ameryki. Teolog katolicki znalazłby więcej odpowiednie porównanie z naszem państwem ruskiem. Lecz cóż z tego wynika i przez kogo rozwiązany był ten spór?

W rozumowaniach p. Danilewskiego o Kościele, jest niezrozumiały dla mnie punkt najgłówniejszy, a mianowicie kiedy mówi, że Kościół wierzy tylko samemu sobie, że Kościół sam daje sankcyę i ratyfikacyę wyrokom soborowym; dla mnie niezrozumiałem jest to, co tutaj znaczy sam Kościół, i jakim sposobem poznać głos samego Kościoła? Niechaj nie mówi p. Danilewski, że każdy należący do Kościoła, albo żyjący w Kościele, w samym sobie bezpośrednio znachodzi jego wyroki i że w tych wyrokach wszyscy członkowie Kościoła są między sobą zawsze zgodni. Wiadomo, że tak nie jest. Naprzykład p. Danilewski, niewątpliwie człowiek ortodoksyjny, żyjący w Kościele, mówiąc o bardzo ważnej kwestyi kościelnej, mianowicie o znaczeniu katolicyzmu, wyrokuje, że katolicyzm jest herezyą i że katolicyzm znajduje się po za Kościołem powszechnym. Tymczasem z drugiej strony p. Stojanow, współpracownik naukowo-religijnego czasopisma „Wiara i rozum“, także niewątpliwie ortodoksyjny i żyjący w Kościele, pisze co następuje: „Czy w rzeczy samej my, chrześcijanie „wschodni, podobnie jak zachodni, wpadamy w tę ciasną jednostronność, wedle „której tylko swój wyłącznie Kościół wschodni poczytujemy za powszechny? „stanowczo nie! Wiemy bardzo dobrze, że w tym względzie należy rozróżniać dwa zapatrywania: zapatrywanie do Piotra W. i zapatrywanie po Piotrze „W. Jeżeli zapatrywanie pierwsze, oparte na niedostatecznej znajomości Kościoła rzymskiego, poczytało go za heretycki, aryański, „nestoryański, sabeliański a nawet za żydowski — to któż za naszych czasów trzyma się zapatrywań podobnych?[1] Następnie tenże sam autor, powołując się na trzech znanych teologów ortodoksyjnych, okazuje, że Kościół katolicki, powinien być uznany za część Kościoła powszechnego Chrystusowego.

P. Danilewski w swych zarzutach kierował się pytaniami, które niegdyś stawiane były przezemnie w jednej uwadze polemicznej. Te pytania właściwie zwrócone były do Protojereja, ojca Iwancowa, któremu znane były w części te stanowcze zasady, z jakiemi jego łączyłem. Te zasady nie są znane czytelnikom i p. Danilewskiemu, a ztąd większa część tychże pytań nie miała dla niego właściwego znaczenia. Z tego powodu niech mi pozwoli zwrócić się do niego z trzema pytaniami, wywołanemi bezpośrednio przez jego własne uwagi.

1. Jakim sposobem Kościół sam sankcyonuje i ratyfikuje wyroki soborów powszechnych?

2. Ponieważ przedstawiciele ortodoksyi różnią się między sobą w zapatrywaniach na katolicyzm w praktycznych zastosowaniach: jedni bowiem z nich postępują z katolikami, jakby z poganami, (przechrzciwają ich), drudzy poczy-

[1] Вѣра и разумъ Нр. 3 стр. 180.

tują ich za heretyków, trzeci zaś zaliczają ich do członków Kościoła powszechnego — jakim sposobem dowiedzieć się mogą o wyroku samegoż Kościoła w tym przedmiocie?

3. W obec różnicy zapatrywań patryarchatu carogrodzkiego i synodu naszego, na odszczepieństwo bułgarskie, od kogo dowiem się, po czyjej stronie znajduje się sam Kościół?

Odpowiedź p. Danilewskiego na powyższe pytania będzie zapewne w wysokim stopniu interesująca dla mnie i dla czytelników „Izwiestii". Jeżeli p. Danilewski zechce dać odpowiedź, to ze swej strony wstrzymam się od dalszych zarzutów, aż do wydania mej wielkiej pracy w kwestyi kościelnej.

Kwestya ta byłaby bezpożyteczna i antagonizm nasz z katolicyzmem byłby bez wyjścia, gdyby było niewątpliwem, że pojęcie zachodnie katolickie o formie rządu kościelnego nie da się pogodzić z ortodoksyą. Lecz to jest właśnie punkt sporny. Nasze zapatrywania na katolicyzm i stosunek jego do ortodoksyi, jak dowodzi p. Stojanów, zasadniczo się zmieniły. Wszak był czas, kiedy w skutek naszej nieznajomości Kościoła rzymskiego, poczytywaliśmy go za aryański, nestoryański, żydowski? Obecnie bardzo poważni przedstawiciele ortodoksyi, nie odejmując katolicyzmowi charakteru kościelno-chrześcijańskiego, widzą w nim albo „sam cząstkowy" kościół, (Audjusz Wostoków), („или самую частную церковь Авдій Востоковъ) albo kościół chociaż i prawdziwy, lecz nienależycie prawdziwy (Mitropolit Filaret, или церковь хотя истинную, но не чисто истинную). Po bliższem zapoznaniu się z katolicyzmem, to ostatnie zapatrywanie być może, że sprawdzi się i usprawiedliwi, lecz być może i zmieni się. W każdym razie to bliższe, zupełne i wszechstronne zaznajomienie się, nadewszystko jest konieczne, a ono tylko możliwe przy zupełnej teologicznej wolności. Oto nakoniec, gdzie się zgadzamy z szanownym p. Danilewskim we wspólnem życzeniu. Mając to na uwadze, na jego wszystkie przewyborne spostrzeżenia zgadzam się zupełnie i raduję obecnie, że on je wypowiedział.

Obecnie, gdyśmy się zeszli na wspólnym gruncie, N. J. Danilewski nie weźmie mi za złe wszystko to, com był wypowiedział, a co skierowane było nie tyle do niego, ile w ogólności do jednomyślących z nim. Można zapytać Słowianofilów, tak wysoko trzymających chorągiew ortodoksyi i gruntujących jej istotę na miłości braterskiej, czy dość okazali oni miłości braterskiej względem katolików? Czy mogą katolicy zawierzyć słowu, że istota ortodoksyi oparta jest na miłości, kiedy w nas, przedstawicielach ortodoksyi, widzieli albo oddzielanie się tylko, albo oskarżenia przesadzone? Pierwszy warunek miłości — postawić się w położeniu drugiego, stanąć na jego punkcie widzenia. Lecz któż z nas próbował wejść w położenie katolika wierzącego, stanąć na jego punkcie widzenia? Pan powiesz, że ten punkt widzenia kłamliwy, lecz widocznie dotychczas to tylko pańskie zdanie osobiste. Lecz przypuśćmy, że pan masz słuszność, przypuśćmy, że punkt widzenia katolicki, jest błędny, jednakowoż nie więcej błędny od punktu widzenia pogan, Greków, do których w areopagu ateńskim przemawiał św. Paweł apostoł? A jak, i co on do nich mówił? Czyż nie starał się zasypać przepaści pomiędzy chrześcijaństwem i pogaństwem, czyż nie starał się stanąć na punkcie widzenia filozofii i poezyi greckiej, czyż nie mówił do nich: wy i mądrzy i pobożni i o Bogu prawdziwym dobrze rozumiecie i nawet ołtarz macie dla Niego, tylko imienia Jego nie znacie — i otóż ja przyszedłem zwiastować Go wam. Tak i nam wypadałoby

postępować względem katolicyzmu, gdybyśmy nawet poczytywali go na r z pogaństwem. Wniknijcie w właściwą istotę cudzego zapatrywania, wykr właściwe jego znaczenie, doprowadźcie do minimum wzajemne różnice, i można będzie zwrócić się do jednomyślących w języku dla nich zrozumia ze słowem dla nich dostępnem. Odszukajcie u nich najprzód ołtarz Boga wdziwego, a potem przedstawimy im nowe Boże imiona, wtedy, być może, ich nie odrzucą.

Jeżeli odpowiedź moja obecna, w której niekiedy ograniczałem pomknieniami a nierzadko uciekałem się do postaci zamilczania, nie zaspo mego szanownego krytyka, to upraszam go wziąć na uwagę, że moją zupe i dokładną odpowiedź przygotowywam, dlatego nie chciałem na długo odry się na wycieczki urywkowe i przedwczesne objaśnienia.

Korespondencya Redakcyi.

Kilka uwag z powodu artykułu o Słowniku synonimów polskich przez i skupa A. S. Krasińskiego — m. Czerwiec 1885 r.

W zeszycie czerwcowym *Przeglądu powszechnego* znajduje się niepodp sany artykuł[1] o Słowniku synonimów polskich biskupa A. S. Krasińskieg artykuł tak dalece uderzający, zwłaszcza tych, którzy już mieli sposobność p znać Słownik synonimów, iż niepodobna się powstrzymać od wyrażenia uwa które niejednemu czytelnikowi posłużą może do sprawiedliwszego ocenien znakomitego i niewątpliwie pomnikowego dzieła.

Szanowny recenzent rozróżnia w dziele ks. biskupa Krasińskiego dwi strony: naukową, filologiczną i literacką, zapytując przytem: „czy dzieło t posuwa naprzód umiejętność językoznawstwa, czy obala lub potwierdza te lub ów system umiejętny, czy wszystko w niem odpowiada dzisiejszym wy maganiom i postępom nauki?“

Przedewszystkiem trudno się zgodzić na taką miarę w ocenieniu i są dzeniu dzieła, którego głównym zadaniem są dokładne i ścisłe definicye odpo wiednio dobranych synonimów. Powstaje też pytanie, ażali są systemy umie jętne i jakie mianowicie w definijowaniu znaczenia wyrazów? Niemniej ciekawą jest rzeczą, w jaki to sposób Słownik synonimów mógłby posunąć naprzód umiejętność, (oczywiście umiejętność definijowania), zwłaszcza, że w literaturach obcych szczupłą tylko liczbę dzieł podobnych znajdujemy, w naszej zaś i u wszyst kich Słowian zgoła słowników takich nie masz. Wprawdzie porównanie definicyj i bogactwa synonimów w dziele naszego autora z pracami na tem polu niemieckiemi, francuskiemi, angielskiemi i włoskiemi wypada bezwarunkowo na korzyść pierwszego, wszelako nie jest to ani posunięciem naprzód umiejętności,

[1] Autorem filologicznej części recenzyi o Synonimach jest p. Kalina; wymieniamy go za jego upoważnieniem.

ani też potwierdzeniem lub obaleniem „systemów umiejętnych“. W dalszym ciągu sprawozdania czytamy wielce nieprzystępny wykład o dwojakiej sile, odśrodkowej i dośrodkowej, (?) z pomocą której (?) odbywa się proces na polu przemian językowych, dotyczących znaczenia wyrazów. (?) Jaki jest związek tego wykładu z krytyką Słownika synonimów, zrozumieć nie możemy, jak nie rozumiemy wielu zarzutów, Słownikowi czynionych, na podstawie jakoby dzisiejszej nauki.

Zarzutom tym godzi się przypatrzeć, by z łatwością przekonać się, jak dalece nie mają one podstawy.

Czytamy tedy, że dla poznania, w jaki sposób „znaczenia pierwotnie różne przemieniły się w podobne sobie, nie wystarczają wyrazy, przedstawiające ostatnią epokę tworzenia się mowy“, trzeba zatem udać się do samego źródła, t. j. do pierwiastków. „Nie można bowiem, mówi sprawozdanie, z liścia poznać całej natury drzewa“. Ostatnie to zdanie ma zapewne znaczyć, iż całą naturę drzewa dopiero z nasienia poznać można, a nasienie tu ma być obrazem pierwiastku wyrazów. Otóż nie wiemy, czyli nasienie więcej od liścia powie nam o całej naturze drzewa, jak niepodobna zgodzić się na twierdzenie szanownego recenzenta, jakoby pierwiastki miały zasadnicze znaczenie dla Słownika synonimów. I tak *mr* jest pierwiastkiem wyrazów: śmierć, mróz, zmrok, zamarzanie, zmartwychwstanie, morze, zmartwienie. Gdzież tu synonimy? Autor Słownika atoli nie odmawia właściwego znaczenia pierwiastkom, jak mniemać chce szanowny sprawozdawca, owszem, oddaje im, co się należy, zastrzegając jedynie, iż nie mogą one być brane za kryteryum przy określaniu znaczenia wyrazów. Skutkiem więc wrzekomego pominięcia pierwiastków, zdaniem szanownego recenzenta „objaśnienia cieniowań pojedynczego znaczenia wyrazów nie są filologicznie pewne“. Odnośny ustęp sprawozdania brzmi dosłownie tak: „Następstwo tego pominięcia genetycznego związku pomiędzy różnemi przemianami jednego i tego samego znaczenia jest nieuniknione, występuje też na jaw w całem dziele. Objaśnienia bowiem cieniowań pojedynczego znaczenia różnych wyrazów nie są filologicznie pewne, gdyż nie osnute na przedmiotowej stronie istotnej natury tychże (?) i t. d.

W powyższych słowach, o ile domysł nie myli, mieści się zarzut, dotyczący definicyj. Zarzut to kardynalny i byłby do pewnego stopnia usprawiedliwionym, gdyby szanowny recenzent choć jedną definicyę „filologicznie pewną“ i lepszą podać raczył. Co więcej, ze słów powyższych sprawozdania wnosić wypada, że wszystkie objaśnienia niepewne!

Naprzód samo wyrażenie „filologicznie niepewne“ nie jest tu na miejscu, albowiem zadanie definicyi każdej polega na podaniu takiego znaczenia, jakie się w ciągu wieków aż do dni naszych stanowczo ustaliło tak w ustach narodu, jako też u najcelniejszych pisarzy. Ciekawość tedy niepospolita budzi pytanie, dla czego owe definicye są niepewne i jakie mianowicie byłyby pewniejsze. Ale tej ciekawości szanowny sprawozdawca nie zaspakaja. O definicyach Littré'go można wprawdzie powiedzieć, że są niepewne, (poprostu bez sensu, nie filologicznie) gdy czytamy: *„La chaleur ce qui est chaud. La distance ce qui est distant“*! Niepodobna jednakże znaleść ani jednej podobnej w naszym Słowniku synonimów, jak niepodobna niezgodzić się na którekolwiek z trzech tysięcy, w Słowniku tym zawartych objaśnień z taką jasnością i dokładnością podanych, iż każdemu niemal z czytelników zdawać się może, iż

mu takie mianowicie znaczenie wyrazu z ust wyjęto. Jakaż tu może być „pewność filologiczna“, jakie „osnucie na przedmiotowej stronie tychże“?

Co się zaś tyczy etymologii, do której szan. recenzent już z filologicznym aparatem przystępuje, to tyle tylko powiedzieć możemy, iż autor Słownika synonimów, bardzo zresztą konsekwentnie i zgodnie z istotnem zadaniem swej pracy, nie wykracza zgoła po za epizodyczne jedynie uwagi etymologiczne, poddając je chętnie specyalistom *ad referendum* i nie czyniąc przez to najmniejszej ujmy dla samego dzieła. Przekonani też jesteśmy najmocniej, iż nie jedna wskazówka etymologiczna w Słowniku, cennym okaże się nabytkiem w dziedzinie językoznawstwa naszego.

Do niedokładności między innemi zalicza sprawozdanie w Słowniku pochodzenie wyrazu *miąższy* od *miazga*, zamiast od *miękki*. Pewności atoli ściśle naukowej w tym względzie nie mamy. Podobnie wyraz *izba* nie ma oznaczać *miejsca gdzie się jadło*, „gdyż jest, jak się zdaje, germańskiego pochodzenia“. „Zdaje się“ więc tylko, a to już w żaden sposób ani dzisiejszym, ani dawniejszym wymaganiom nauki nie odpowiada.

Przyznajemy słuszność sprostowaniu szan. recenzenta, że *obfitość* od *obpławitość* pochodzi, nie od st. sł. *ob△do*, jak mniema autor Słownika synonimów. Nie bierzemy też słusznej tej uwagi za zarzut, albowiem ks. biskup Krasiński wyraźnie domysł swój podaje jako mniemanie—a ileż to mniemań spotykamy w dzisiejszej etymologii! Staruszek sanskryt milczącą swą powagą osłania najróżnorodniejsze eksperymenta lingwistyczne!

Dowiadujemy się dalej ze sprawozdania, iż większa część wyrazów, przytoczonych na początku dzieła, nie są starosłowiańskimi; a jakiemiż? Pytanie nierozstrzygnięte. Również nie dowiedzieliśmy się, o jakich to „siedmiu albo ośmiu“ patryarchach indoeuropejskiej rodziny języków mówi szan. sprawozdawca, zamiast trzech, dobrze znanych, jak romański, germański i słowiański. Uderza tu szczególnie owo albo, nie dość ściśle naukowe. Gdybyśmy jednakże nie siedm albo ośm, lecz siedmnaście albo ośmnaście patryarchów językowych naliczyli i samemu Miklosziczowi ocenę etymologicznych wzmianek w Słowniku synonimów powierzyli, pozostanie jeszcze nienaruszoną całość i istotna doniosłość dzieła, pozostanie trzy tysiące definicyj nieporównanych, sumiennie i tak mozolnie opracowanych, że dwadzieścia lat nieustannej pracy i myślenia pochłonąwszy, budzą podziw i uwielbienie dla czcigodnego autora, którego niepospolity trud nie byłby zaiste mniej godnym każdej Akademii nauk. Trud to nie na dziś i dzisiejszy sąd o nim nie jest decydującym, tem mniej wyczerpującym być może.

Na zakończenie niniejszych uwag zapytujemy szanownego sprawozdawcę, dlaczego mówi „synonima polskie“ zamiast synonimy?

E. Wojnarowicz.

Druk ukończony dnia 25 czerwca 1885.

BÓG I WOLNOŚĆ.

(Fragment z rozpoczętego dzieła ks. Juliana Felińskiego).

Od JE. Arcybiskupa ks. Felińskiego otrzymujemy następujące pismo, które służyć może za prolog, oraz i komentarz niniejszego artykułu:

Szesnastego maja bieżącego roku zgasł w Gorycyi, po długiej i ciężkiej chorobie, jeden z niepospolitych pracowników w winnicy Pańskiej, ks. Juljan Feliński, który przed dwudziestu laty, razem ze zmarłym już także ks. Zygmuntem Goljanem, wykładał teologię dogmatyczną w Akademii duchownej warszawskiej, a wstąpiwszy następnie do zgromadzenia OO. Zmartwychwstańców w Rzymie, był z kolei mistrzem nowicyuszów, wice-rektorem kollegium polskiego, przełożonym domu rzymskiego i asystentem Ojca Generała...

Przejrzawszy po zgonie jego pozostałe po nim papiery, znalazłem w nich początek rozpoczętej w roku zeszłym na większą skalę pracy, której upadek sił fizycznych dokonać mu nie dozwolił, tak, że zaledwie wstęp i parę rozdziałów napisać zdołał. Że jednak krótki ten urywek mieści w sobie wiele głębokich poglądów i to w jednej z najżywotniejszych kwestyj, pozwalam sobie przeto przesłać te kilka kartek do redakcyi *Przeglądu*, z prośbą umieszczenia ich w swem cennem piśmie. Ogół czytelników znajdzie tu zdrowy i pożywny dla umysłu pokarm, dla szczupłej zaś garstki osobistych przyjaciół zmarłego będzie to głos z za mogiły, ostatnie słowo pożegnania, w którem poznają całą treść tej głębokiej a tak jasnej duszy, co zawsze prawdą i miłością żyjąc, aż do ostatniej chwili wierną pozostała Bogu, Kościołowi i tej świętej sprawie, do służenia której podobało się Panu powołać go na ziemi.

Ks. Z. S. Feliński (Arcyb.)

Niema podobno człowieka na ziemi, któryby nie chciał być wolnym. Rozumiemy potrzebę mądrego swej wolności użycia, pod-

dajemy więc swoją wolę pod jakieś prawa moralne, ale nie chcemy w żadnym razie przymusu, niewoli. I czyż nie słuszne to pragnienie? Czyż nie sam Bóg obdarzył nas rozumem, byśmy się nim w czynnościach swych rządzili, a tem samem działali z przekonania, z wyboru wolnej woli, a nie pod naciskiem przemocy? Czyż niewolnicza bojaźń nie jest pobudką niemoralną, hańbiącą?

Czyż z drugiej strony cała ludzkość nie jest jedną rodziną, węzłem braterstwa połączoną, przez ciernie tego życia do niebieskiej ojczyzny zdążającą? Czyż w tym związku rodzinnym, przy normalnych jego warunkach, jest miejsce dla przemocy, dla gwałtu? Czyż wszelka władza na ziemi nie ma być władzą ojcowską, ogniskiem zjednoczenia, opieką, wsparciem, przewodnictwem, przedmiotem upragnienia i miłości powszechnej, jak władza Ojca niebieskiego, którego jest obrazem i zastępstwem? Czyż posłuszeństwo takiej władzy nie ma być szczęściem dla wszystkich, wykluczającem wszelki cień niewoli? A jeśli już koniecznie między nami znaleść się muszą Kainy, jeżeli zbrodnia nigdy już nie ma zniknąć z oblicza tej ziemi, to czyż nie można na nią jedną rozciągnąć środków przymusowych, stawiając wolność ludzi dobrej woli pod strażą sprawiedliwości?

Takby się mogło zdawać, gdyby nie smutna rzeczywistość. Dzieje ludzkie, z małymi wyjątkami, przedstawiają nam od początku obraz panowania fałszu, a z nim przemocy i zbrodni. Cnota nigdy trwale nie panuje. Wprawdzie zwycięztwo ewangelii nad pogańskim światem ogromny w dziejach postęp ku zdobyciu wolności zaznaczyło, ale to było tylko jakby świtanie wschodzącego słońca, po którem ciężkie chmury znowu nad światem zawisły, mrokiem nocy go pokrywając.

Sławimy wprawdzie nowożytne swobody, zdobyte przez tak zwaną wielką rewolucyę, chlubimy się uznaniem praw człowieka, a jednak właśnie od tej pory jad zawiści i nieufności zatruwa coraz bardziej serca dla miłości stworzone, przewroty polityczne mnożą się nieustannie, konstytucye zmieniają się jak mody salonowe, najgłębsze podwaliny społeczeństwa się chwieją. Istnienie Boga, istnienie nieśmiertelnej duszy, znowu jak za czasów pogańskich podane są w wątpliwość, a tem samem pojęcie cnoty i zbrodni, dobrego i złego, coraz bardziej zaciera się w sumieniach. Nietylko zakon objawiony poszedł dziś w jawną poniewierkę, nietylko

ludzie Bogu poświęceni cierpią dziś ucisk niemal wszędzie, ale najświętsze nawet prawa przyrodzone, prawa rodziców względem dzieci, prawa małżeńskie, samo prawo własności, są nietylko gwałcone, ale zasadniczo drogą ustawodawstwa, w imię władzy zwalczane.

Jakoż, pomimo tylu nowych wynalazków, pomimo olbrzymiego postępu na drodze cywilizacyi materyalnej, gwałtowne acz tłumione prądy niezadowolenia wstrząsają głębie społeczeństwa. Rządy zmuszone są mnożyć siły zbrojne i środki ostrożności, stawiać straże na każdym węgle ulicy, śledzić miny podziemne, co nie zraża bynajmniej ważących się na wszystko anarchistów. Z drugiej strony ludzie spokojni, jakkolwiek przez despotyczne ustawy boleśnie nieraz pokrzywdzeni, gotowi są w przerażeniu ścieśnić już i tak szczupłą miarę swobód, byle okupić tą ofiarą choć trochę bezpieczeństwa, byle ich życie i mienie nie zostawały wciąż na łasce motłochu.

Czyż nie ma wyjścia z tego smutnego położenia? Czyż nawet wolność ludzi dobrej woli, wolność czynienia tego co sprawiedliwe, co święte, nie może być osiągnięta na ziemi? Czy nawet jej pragnienie mamy z serca wyrzucić, kładąc je w poczet owych chorobliwych zachceń, którym im więcej dogadzamy, tem więcej powiększamy chorobę? Czy mamy przeto w biernej rezygnacyi patrzeć na panowanie złego, i tylko mniejsze złe wybierać, aby większego uniknąć? A jeśli jest ratunek, to gdzie, na jakiej drodze?

Na te pytania odpowiada nam Kościół, że wolność zgodna z wysokiem przeznaczeniem człowieka, pragnieniom nieskażonego serca w pełni odpowiadająca, nie jest bynajmniej urojeniem. Bóg ją dał człowiekowi w chwili jego stworzenia, dla niego i dla jego potomków aż do skończenia świata, pod warunkiem dobrego jej użycia. Skutkiem grzechu człowiek rychło ją spaczył, ale przez łaskę Zbawiciela może na powrót odzyskać, choć nie bez trudu i bolu. W najszlachetniejszej części swej istoty, w duszy własnej, każdy z nas może się stać doskonale wolnym przez ścisłe z Bogiem zjednoczenie niezależnie od okoliczności zewnętrznych; z tej zaś duchowej wolności jednostek rodzi się miłość braterska i jednomyślność, na których się opiera wolność w życiu społecznem. Gdyby więc grzech nie był zapanował na ziemi, lub gdyby znowu całkiem z niej ustąpił, ludzkość cała przedstawiałaby nam rzeczywiście obraz społecznej wolności, podobny temu, jakiśmy wyżej nakreślili. A że

grzech nie jest bezwzględną koniecznością, przeto i wolność powszechna nie jest niepodobieństwem. Byłoby to Królestwo Boże w pełni ziemskiego rozwoju, spełnianie woli Bożej jako w niebie tak i na ziemi. Wszak mamy rozkaz modlić się o to nieustannie, a modlimy się o to tylko, co być może; więc tak z pewnością być może, a nawet być powinno. Czy istotnie kiedy tak będzie przed skończeniem świata? Czy przyjdzie taka chwila, iżby już grzechu nie było i wszyscy ludzie bez wyjątku zupełnej używali wolności? Tego nam Bóg nie objawił, próżnem więc byłoby przenikać tajemnice przyszłości. Przypowieść o pszenicy i kąkolu, które róść mają razem aż do czasu żniwa, równie jak inne wskazówki każą nam raczej przypuszczać, że źli i dobrzy będą razem do końca świata; wolność zaś synów Bożych wtedy dopiero w pełni nastąpi, gdy Pan Bóg nowe niebo i nową ziemię dla nich stworzy. (Rzym VIII, 21; 2 Piotr. III, 13; Obj. XXI, 1).

W każdym razie od nas zależy pracować nad ziszczeniem na ziemi tego pożądanego ideału, od nas zależy zbliżyć się doń mniej lub więcej. Szerząc Królestwo Boże w duszach, szerząc prawdę i miłość, pracujemy tem samem nad szerzeniem wolności. Będzie ona tem powszechniejsza i pełniejsza, im więcej będzie ludzi dobrej woli, prawdą i miłością żyjących. Gdy ich przewaga tak wielką będzie w społeczeństwie, że im najwyższa władza powierzoną zostanie, już wielki krok się zrobi na drodze do wolności. Wtedy już wolność czynienia tego, co dobre zabezpieczona będzie prawem, zasłonięta opieką władzy od niesłusznej napaści. Zawsze jednak źli w pewnej mierze krępować będą wolność dobrych, tem więcej im ich większa będzie siła i wyższy stopień przewrotności; bo zbyt powszechnym bezprawiom najlepszy rząd nie zapobieży całkowicie. Miłość zresztą zabrania używać ostatecznej surowości i każe raczej wiele znosić niż gubić winowajcę. Zbrodniarzom nawet lepiej być w mocy dobrych, niż pod przemocą podobnych im złoczyńców. Więc i tych nieszczęśliwych tem lepszą będzie dola, im większą liczba sprawiedliwych, którzyby ich miłością ogarnęli, z upadku powstać dopomogli. Z drugiej strony, bez wyzwolenia jednostek z jarzma grzechu, wolność społeczna jest próżnem urojeniem. Gdzie tak rządzący jak rządzeni gwałcą zarówno zakon Boży, tam siła miejsce prawa zastępuje. Im większy jest upadek moralny społe-

czeństwa, tem większą jest samowola rządzących, tem cięższe jarzmo podwładnych.

Wbrew przeciwne zasady głoszą stronnicy rewolucyi. Oni też twierdzą, że wolność niepodobieństwem nie jest i obiecują jej zdobycie na ziemi, ale całkiem inaczej ją pojmują, a ztąd całkiem innemi dążą doń drogami. Jak wolność z Bogiem jest dążeniem Kościoła, tak celem rewolucyi jest wolność bez Boga. Wolność zamknięta w granicach posłuszeństwa Bogu, nie jest wcale wolnością dla zwolenników rewolucyi, owszem, jest najstraszniejszą w ich oczach niewolą. Sam człowiek ma stanowić ich zdaniem co złe a co dobre, ma być jako bogowie wiedzący dobre i złe (Gen. III, 5). Żadnej więc wyższej woli nad swą własną nikt nie powinien uznawać, każden sam sobie ma być prawodawcą. Precz więc przedewszystkiem z Bogiem i wszelkiem jego prawem, precz następnie z Kościołem i wszelką władzą od Boga pochodzącą. Chwila ostatecznego wyzwolenia ludzkości wtedy dopiero ma nadejść, gdy nawet pamięć o Bogu bez śladu między ludźmi zaginie. W tych zasadach mają się wychowywać pokolenia, wszelki wpływ religijny ma być surowo wzbroniony.

W stosunkach zaś społecznych interes samolubny ma być jedynym bodźcem do łączenia się ludzi między sobą. Ponieważ człowiek sam sobie jest najwyższym celem, bezrozumnem jest wszelkie zapomnienie o sobie, szaloną wszelka poświęcająca się miłość. Jak przy tem wszystkiem pogodzić sprzeczne wymagania jednostek, żadnem prawem moralnem w karby nieujęte — to trudność, której rewolucyjni utopiści rozwiązać nie zdołali. Najpowszechniej przyjętą jest zasada, że w razie sporu mniejszość ma ulegać większości. Byłoby to logicznem, gdyby mniejszość sama się na to zgadzała; ale cóż kiedy zgodzić się niechce, jak to niemal zawsze się zdarza? Śmiesznemby było wtedy mówić o sumieniu, odwoływać się do obowiązku, skoro wola każdego jest jego prawem najwyższem. Musi więc siła rozstrzygać, a że siła jest zwykle po stronie większości, mniejszość ustąpić musi jako słabsza. Za to zostaje jej na pociechę wieczne prawo rokoszu, prawo do nowej walki, ilekroć do niej dość silną się poczuje. Zwykle jednak nie dwa ale więcej stronnictw do walki między sobą występuje; wtedy jest droga sprzymierzeń. Słabsi mogą się wiązać przeciw silniejszemu, aby znów potem,

wspólnego pokonawszy wroga, walczyć pomiędzy sobą. Walka wszystkich przeciwko wszystkim ma być tedy normalnym stanem społeczeństwa. Jakoż najlogiczniejsi ze zwolenników rewolucyi dążą do zupełnego usamowolnienia jednostek, do rozwiązania wszelkich węzłów społecznych, do obalenia wszelkiej na świecie władzy, słowem, do całkowitej anarchii, nie troszcząc się o następstwa. Inni, bardziej praktyczni, choć mniej zgodni z zasadą, tak zwani zwolennicy p o r z ą d k u, wpadają w drugą ostateczność: dla nich jednostka jest niczem, człowiek tylko zbiorowy czyli p a ń s t w o jest Bogiem tego świata. Ono jedno ma prawo do wolności, do narzucania swojej woli wszystkim, nie uznając nad sobą nic wyższego.

Ubóstwienie jednostek lub ubóstwienie państwa, a ztąd anarchia lub despotyzm: oto ostatnie słowo wolności przez rewolucyę obiecywanej. A że anarchia trwałą być nie może, zapanować musi despotyzm. Wolność jest tedy przywilejem siły: biada słabym, oni niegodni są wolności; niech giną, a na ich trupach zwycięzcy hymn wolności zanucą. Jeżeli dotąd synowie rewolucyi nie wymówili głośno tego słowa, to je czynami stwierdzają.

Że tak potworne zasady znajdują pewną liczbę zwolenników, temu się dziwić nie można. Syn Boży odsłania nam tajemną owych ludzi pobudkę: *Światłość przyszła na świat, a ludzie raczej miłowali ciemności niż światłość, bo były złe ich uczynki. Każdy bowiem, który źle czyni, nienawidzi światłości: ani idzie na światłość, żeby nie były zganione uczynki jego* (Jan III., 19, 20). Łatwo się przeto rozumie zawziętość synów ciemności przeciwko Bogu i przeciw Kościołowi.

Ale czemże się dzieje, że nawet między wierzącymi i szczerze zkądinąd przywiązanymi do Kościoła, zasady polityczne wielkiej rewolucyi są mniej lub więcej uznawane, nawet cenione, uwielbiane jako rękojmia wolności? Czem się dzieje, że w całym niemal świecie, nawet w krajach przeważnie katolickich, stały się one w głównych rysach podstawą prawa publicznego? Nie wszędzie wprawdzie imię Boga wykreślonem zostało z prawodawstwa, nie wszędzie zaprzeczono pochodzenia wszelkiej władzy od Boga, ale wszędzie poddany został zakon Boży pod wszechwładzę państwa, wszędzie człowiek sam wyrokuje, w czem i o ile słuchać należy Boga. I takeśmy do tego stanu rzeczy przywykli, że niemal się lękamy katolickiego prawo-

dawstwa, opartego na Bogu i na religii. Za wielką już rządowi poczytujemy zasługę, jeżeli ten nie krępuje ostatecznie Kościoła, jeżeli mu zostawia pewną choć ograniczoną swobodę; o synowskiej zaś uległości Kościołowi już ani mowy nawet nie ma. Niemal powszechnem jest mniemanie, że wolność niezależna od Boga, wolność jaką zakreśla państwo, lepszą jest i pełniejszą od tej, jaką dać może Kościół.

Czem się dzieje, pytamy, że takie jest nierozumienie rzeczy nawet między katolikami, nawet w kraju tak religijnym, dla tylu powodów, jak nasz? Nagie wprawdzie zasady rewolucyi wstrętne są dla serc polskich; za to zbyt częstem jest u nas szukanie dróg pośrednich, godzenie prawdy z fałszem.

W części da się to wytłumaczyć dzisiejszem szkolnem wychowaniem, gdzie fałsz i prawda równych praw używają, równie swobodnie są wpajane w młodociane umysły. Jeśli jeszcze wierzymy, bo tak nas uczy katechizm, że Kościół się nie myli ilekroć chodzi o dogmat, lub o moralność w zakresie życia domowego, to już w życiu publicznem innych się zasad trzymamy. Tu już jesteśmy pod wpływem zwykłych poglądów dziejowych, jakie się spotykają w szkolnych podręcznikach. Kościół przybiera tam niemal zawsze postać nieprzyjaciela wolności, zbrojnego w inkwizycyę, tortury i całopalenia, a rewolucya przychodzi jako zbawca, by rozkuć pęta średniowiecznego fanatyzmu. Nic więc dziwnego że tak wychowani w najlepszym razie sercem kochamy Kościół, ale głową potępiamy go i rządów jego sobie nie życzymy.

W części tedy ów zamęt pojęć da się wpływem wychowania wytłumaczyć; ale źródło złego musi być jeszcze głębsze, gdyż nawet ludzie z wyższem wykształceniem nie zawsze są od tego błędu wolni. Tkwi ono, naszem zdaniem, w zapatrywaniu się po ludzku na rzeczy należące do dziedziny wiary. Kościół jest dziełem łaski, owocem odkupienia, ma więc zupełnie nadprzyrodzony charakter i tylko ze stanowiska wiary zrozumianym być może. To tylko dziełem jest Kościoła co duch Boży w nim sprawia, co wypływa z jego nauki, z jego zasad, co nakoniec on sam uznaje za swe dzieło[1]. Wszystko

[1] Kanonizacya świętych jest jednym z takich aktów, przez które Kościół uroczyście poświadcza co w dziejach duch jego zrodził.

inne jest dziełem ludzkiem, choć przez członków Kościoła dokonanem. Dlatego Kościół jest zawsze święty i niepokalany, niemający zmazy, ani zmarszczku, jak mówi św. Paweł (Efez. V., 27), choć mieści w sobie tak sprawiedliwych jak grzeszników. Grzesznicy do Kościoła należą wiarą i sakramentami, tem co w nich Boże, święte: grzechami zaś swoimi należą oni do świata. Aby więc w dziejach odróżnić co sprawił Kościół a co ludzie, trzeba się wznieść koniecznie na te wyżyny wiary, gdzie mądrość Boża przyświeca naszym sądom i odsłania przed nami tajniki dróg Opatrzności. Na to nie dosyć wierzyć w sposób ogólny, niewyraźny; trzeba zgłębić zasady wiary i do dna duszy je wprowadzić.

Podobna trudność zachodzi w ocenieniu obecnej walki, jaka w dziedzinie wolności między Kościołem a rewolucyą się toczy. Ponieważ w średnich wiekach Kościół był panujący, a dziś panują przeważnie rewolucyjne zasady, przypisujemy zwykle Kościołowi cały porządek średniowieczny, a ustrój nowożytny społeczeństwa za dzieło rewolucyi uważamy. Ponieważ zaś niejedno złe istotne zwaliła rewolucya, niejedno zaś natomiast dobre się rozwinęło, łatwo nastręcza się wniosek, że rewolucya była dobrą, przynajmniej w pewnej mierze, a panowanie Kościoła było przeszkodą do naprawy. Całkiem jednak inaczej wszystko to nam się przedstawia, jeżeli głębiej wnikniemy w naturę tych czynników i odniesiemy każdy skutek do właściwej przyczyny. Nie jest winą Kościoła, że wiele ustaw pogańskich, wiele rażących nierówności społecznych siłą podboju wprowadzonych, pozostawało jeszcze w katolickiej Europie za przyjściem rewolucyi. Kościół tych ustaw nie stworzył ani ich uznał za swoje, ale je znosił cierpliwie i łagodził stopniowo, biorąc w opiekę ubogich i pokrzywdzonych. Byłyby one ustąpiły powoli, bez gwałtownego przewrotu, pod tchnieniem chrześcijańskiej miłości, jak tyle innych krzywdzących ludzkość nadużyć już było dawniej ustąpiło za staraniem Kościoła. Nieszczęsny zwrot ku pogaństwu w najwyższych sferach społeczeństwa wstrzymał owo zbawienne dzieło odrodzenia przez wiarę; moralność upadała, z nauk Kościoła szydzono, a w miarę tego ucisk ubogich się zwiększył. Potrzebna była kara Boża dla naprawienia złego. Wtedy to Bóg dopuścił klęskę rewolucyi, by złe się objawiło w całej swojej nagości i pobudziło ludzi do szukania naprawy. Rozigrały się dzikie, zwierzęce namię-

tności, Kościół skazany został na zagładę, wszystkie zdobycze cywilizacyi chrześcijańskiej zdawały się zapadać w przepaść. A jednak w tym zamęcie Bóg czuwał nad swem dziełem, i gdy złe zadawnione bezpowrotnie runęło, wszystko, co stworzył Kościół, wracać poczęło do życia. Pod wielu nawet względami życie to rozwinęło się silniej, nie iżby rewolucya sprzyjała mu w jakikolwiek sposób, ale iż Kościół ma z Boga siłę wszechożywczą. Ucisk jego trwa dotąd, a nawet w pewnej mierze wzrasta, a jednak w dziedzinie ducha ciągłe odnosi on zwycięztwa. Pokorną, mrówczą pracą naprawia w pewnej części, co rewolucya wielkimi zamachami psuje; gdzie jakąkolwiek pozostawiono mu swobodę, wszędzie on działa, buduje, ziarno Boże zasiewa. Sami jego wrogowie muszą mu nieraz służyć i naginać się do żądań wierzącego ludu. Nie jest przeto zasługą rewolucyi, jeśli wiele dobrego w tych czasach się dokonało; ona zdolna jest z siebie tylko niszczyć, wywracać, i bez ciągłego oddziaływania Kościoła zgubiłaby ostatecznie społeczeństwo. W zamiarach Opatrzności złe nawet służy ku dobremu, ale stąd nie wynika, aby złe było dobrem. Złe służy ku zasłudze dobrych, ku ich większemu uświęceniu; walka ze złem wydaje męczenników, wyznawców, tworzy największych bohaterów chrześcijaństwa, lecz biada źle czyniącym, oni odbiorą należną im zapłatę. Jak *miłującym Boga wszystko pomaga ku dobremu*, tak *biada światu dla zgorszenia* i *biada człowiekowi onemu, przez którego zgorszenie przychodzi.*

Obecne przeto panowanie złego, a w następstwie ucisk Kościoła, jest klęską niewątpliwą. Złą jest obecna postać wolności, bo to jest wolność prześladowców, wrogów Kościoła, wrogów prawdziwej wolności. Jeśli zaś oni nie mogą tyle złego uczynić, ile im pozwalają przez nich ukute ustawy, zawdzięczamy to tylko sile moralnej Kościoła, zawdzięczamy wiernemu, przez Kościół wychowanemu ludowi. Ale i tam dosięgnie zatrute żądło rewolucyi i lud nakoniec da się uwieść, jeżeli ludzie dobrej woli mający przystęp do władzy nie staną pod sztandarem Kościoła i tamy szerzącemu się złemu nie położą. Złe pod opieką władzy wszędzie swoboduy ma przystęp, gdy Kościół skrępowany nawet odezwać się nie zawsze może. Nie lęka się on wprawdzie ostatecznej zagłady, bo ma za sobą obietnice Boże; ale świat może ciężko uczuć następstwa zaślepienia, z jakiem odtrąca i tamuje zbawienny wpływ Kościoła.

Nie chodzi tedy wcale o to, by dawne wskrzeszać formy, nie chodzi o wracanie do ustaw średniowiecznych, chyba w tem co w nich było z natury swej niezmiennego, Bożego, co wszystkim czasom i miejscom zarówno odpowiada. W ludzkich ustawach Kościół chętnie przyjmuje nowe formy, o ile duchem jego dadzą się ożywić i ku świętym celom zwrócić. Błądzą więc ci, co wiążą sprawę Kościoła z upadłymi rządami, równie jak ci co pragną, by Kościół się pojednał z duchem czasu. Pierwsi zapominają o tem, że wszystko ludzkie się zmienia, drudzy — że prawda Boża trwa na wieki. Kościół wprawdzie żadnego bezprawia nie uświęca, przeciwko wszelkim gwałtom podnosi głos upomnienia, ale pokutującym grzesznikom zawsze gotów przebaczyć, na takiem poprzestając zadość uczynieniu, jakiego oni w danych okolicznościach są zdolni. Z fałszem tylko i ze złą wolą nigdy się nie pogodzi, żyjąc jedynie prawdą i świętością. Jeśli więc społeczeństwo nowożytne chce się z Kościołem pojednać, powinno przedewszystkiem duchem się jego przejąć. Wtedy dopiero się pokaże, jakie ustawy do tego ducha przypaść mogą, a jakie muszą się pod jego wpływem przeobrazić. Wtedy też Kościół osądzi, jakie krzywdy naprawić będzie trzeba, a jakie pokryć się dadzą płaszczem przebaczenia. Z góry nie głosi on nigdy wyroku przebaczenia, póki nie widzi skruchy w winowajcach.

Tak się przedstawia w świetle wiary wpływ Kościoła na przeobrażenia społeczne. Wszystko co dobre, zbawienne, a więc i wolność prawdziwa, rodzi się z ducha Kościoła, ducha miłości i prawdy; przeciwnie duch rewolucyi, duch nienawiści i zniszczenia, rodzić musi prześladowania, ucisk i niewolę. Aby to lepiej uwydatnić, oczywistszem uczynić, zamierzamy zastanowić się nad istotą i warunkami wolności wedle Boga. Nie wchodząc w rozbiór szczegółowy przeróżnych form społecznych, jakiemi ludzie usiłują wolność swą zabezpieczyć i rozszerzyć, ograniczymy się na wiecznych i niewzruszonych prawdach, na których zawsze i wszędzie wolność prawdziwa opierać się musi. Przykładem i zachętą dla nas pod tym względem są drogocenne upomnienia, przychodzące nam tymi czasy od Stolicy świętej. Nie przesądzając o tem, co Kościół w danym razie postanowi, co może uledz zmianom wedle wymagań czasu, zwraca nas Pasterz nieomylny ku przedwiecznym prawdom, na któ-

rych się opiera wszelki porządek społeczny Tam każe szukać lekarstwa na wszelkie bole obecne, w nich daje klucz do rozwiązania wszelkich trudności praktycznych, którym daremnie dyplomacya dzisiejsza bez Boga chce zaradzić.

Nie z własnymi więc przychodzimy pomysłami, ale jedynie z prawdą Bożą, o ile nam ją dano było poznać. Mamy w Bogu nadzieję, że i to drobne światełko, jako słabe ale wierne odbicie światła przedwiecznego, niejeden błąd w umysłach czytelników rozproszy, niejedną niedość znaną prawdę uwydatni.

PRAWDZIWY UCZONY.

(Dokończenie).

Jedna z najstarszych a najbliżej człowieka dotyczących sztuk i nauk, medycyna, od kilku tysięcy lat walczyła z chorobami, nie znając ich właściwej treści ani przyczyny. Aż do ostatnich czasów, nawet najbieglejszy lekarz patrząc na cierpiącą ludzkość, zwłaszcza podczas epidemii, chociaż ratował bliźnich jak mógł, i nieraz skutecznie, w gruncie rzeczy widział tyle co my widzimy, patrząc na cudowną i tragiczną grupę Niobidów Praxytelesa, jak cierpią i padają ludzie, niby od pocisków jakiegoś niewidzialnego bóstwa zagniewanego. Od tych strzał tajemniczych sztuka lekarska broniła ludzkość jak mogła i umiała, tradycyjnemi lub świeżo wypróbowanemi środkami, broniła nawet we wielu wypadkach coraz lepiej i skuteczniej, ale czem one są, te śmiertelne razy czy zarazy, nikt nie wiedział. Świadczą o tem aż nadto wymownie tradycyjne techniczne nazwy chorób w medycynie, same przenośnie ze skutków na przyczynę, przenośnie nie mniej mityczne, i tyle właśnie naturę i przyczynę rzeczy trafiające, co i ów myt o Apollinie rażącym Niobidy.

Jednakże od czasu, kiedy mikroskopy odsłoniły oczom ludzkim nowe światy, nigdy przedtem niewidziane, już w XVII. wieku, pomimo wielkiej jeszcze niedoskonałości instrumentów optycznych, Loewenhueg podejrzywał, czy też w tym drobniutkim świecie żyjątek nie kryje się *morbus*, ów tajemniczy wróg ludzkości? i przekonanie to miało odtąd zawsze swoich nieśmiałych wyznawców. Ale z równoczesnym coraz większym rozwojem chemii, teorye jatrochemiczne tłumaczące, jak fizyologiczne procesy, tak i patologiczne objawy w or-

ganizmach samemi prawami różnych połączeń chemicznych pierwiastków, przygłuszały wszystkie inne hipotezy. I tak było aż do czasów Pasteur'a, gdy teorye Liebiga co do fermentów i dawniejsze na chemii oparte teorye Virchowa, co do objawów patologicznych, były panującemi.

Lecz już angielski fizyk Robert Boyle przepowiedział, że „ten co wniknie do gruntu w naturę fermentacyi, będzie mógł łatwiej niż kto inny wytłumaczyć także febry i zarazy", a prorocze te słowa spełniły się właśnie najzupełniej przez najnowsze prace Pasteur'a. Zbadał on, jak widzieliśmy, naturę fermentów, dowiódłszy niezbicie, że wszelka fermentacya jest dziełem najdrobniejszych żyjątek, mikrobów, aerobów i anaerobów. Od studyów nad fermentacyą do praktycznych i doniosłych dla wielkiego przemysłu odkryć środków przeciw zepsuciu, czyli przeciw chorobom piwa i wina, przez ogrzewanie tych napojów do 60° Celz., co dziś powszechnie Pasteuryzacyą się zowie, był już tylko krok jeden. A dalej już sam praktyczny zmysł narodu francuzkiego, szukającego rady na ogromną klęskę zarazy jedwabników w latach 1850—1865, wyrządzającą rok rocznie setki milionów franków szkody w południowych departamentach, zmusił Pasteur'a, pod ogólną presyą, do zajęcia się chorobą jedwabników, chociaż, jak sam powiadał, nigdy przed tem jedwabnika nie miał w ręku. Później w tych samych okolicznościach przyszła kolej na zarazę bydlęcą i cholerę kurzą. Z własnej ochoty wziął się potem Pasteur do studyów nad wścieklizną, a w bieżącym roku powierzono mu znowu piekącą sprawę filoxery.

I pokazało się na całej linii, że to, co jest *primum movens* we fermentacyi, żyjątka, to samo jest także przyczyną chorób substancyj organicznych bez życia, jak piwo i wino, jakoteż chorób zaraźliwych u żyjących jestestw organicznych od jedwabników aż do człowieka. Choroba, to rodzaj fermentacyi, a jak niemasz samorodztwa fermentu, tak też i choroby nie powstają w organizmach żywych samorodnie, lecz przez naniesione w nie zarodki i ztąd powstające roje nowego życia wibrionów, bakteryj, mikrobów...

Zdawało się, że już dawno minęły dla człowieka czasy nierównej walki o byt z tem co razem z nami żyje na ziemi, te czasy, kiedy największym bohaterem ludzkości mógł być „Nimrod wielki myśliwy przed panem". Świat zwierzęcy z początku z człowiekiem

o lepsze idący, dawno pokonany, walka z nim zeszła do wesołej igraszki polowania. Tymczasem pokazuje się, że nieraz w najczystszej na pozór atmosferze otaczającego nas świata czychają na życie ludzkie wrogi, nie wiadomo czy z fauny czy z flory, a stokroć gorsze i straszniejsze od lwów, tygrysów i białych niedźwiedzi, bo czyhają w miliardach a niewidzialne, utajone, bo wciskają się niepostrzeżenie w najciemniejsze wnętrza organizmu, by toczyć z nami bój na śmierć w strasznysh zapasach choroby, we furyach zarazy.

Ten wróg nareszcie wytropiony! a ci których to jest dziełem, czyż nie godni nieśmiertelnej sławy dawnego dobroczyńcy ludzkości Nimroda? Najgodniejszym zaś tej sławy Pasteur, bo nietylko, że pewniej od innych wytropił zwierza, ale pierwszy, w niektórych przynajmniej wypadkach ze zarazkami wprost skuteczny bój rozpoczął i wytknął drogę, po której postępując nauka, może z czasem ludzkość i dobytki nasze w stadach i trzodach od największych klęsk zabezpieczyć potrafi. Tą drogą jest tak zwana kultura zarazek, czyli wydzielanie i stopniowe osłabianie działalności *virusu* chorób zaraźliwych, przez szczepienie go w przyrządzonych potemu bulionach lub w żywych na śmierć skazanych zwierzętach, przez co idąc od kultury do kultury w końcu otrzymuje się *virus* tak łagodnej natury, że następnie zaszczepiony w organizm, nietylko, że nie zabija, lecz owszem chroni go i zabezpiecza od tejże samej zarazy, podobnie jak krowianka zabezpiecza od ospy, tylko z tą różnicą, że krowianka nie jest naszą ospą, a tutaj tłumi się *idem per idem* i że nie natura dostarcza, ale kultura przygotowuje antidotum na chorobę. Jestto jedna z najpiękniejszych kart nowożytnej historyi nauk, ta długa i mozolna, bo dwudziestokilkoletnia już kampania Pasteur'a przeciw niepochwytnym zarazkom różnych chorób, jakoteż przeciw objekcyom, napaściom i przesądom różnych uczonych i lekarzy, jak: Davaine, Valde-Grace, Jaillard, Leplat, Bastian, Guérin, Dr. Koch, Gaffki, Loeffler etc., z którymi krok za krokiem Pasteur musiał walczyć, a walczył zawsze zwycięzko. Nie brakło mu też także i zachęty i uznania przez pierwsze powagi naukowego świata. Już w roku 1876 pisał doń Tyndal: „Po raz pierwszy w historyi nauk możemy żywić niepłonną nadzieje, że co do chorób zaraźliwych medycyna uwolni się z czystego empiryzmu, a stanie na istotnych, naukowych podstawach, a gdy ten wielki dzień nadejdzie, ludzkość

będzie musiała uznać, że Panu należy się lwia część jej wdzięczności". A profesor Huxlej mógł powiedzieć nie bez słuszności te pamiętne słowa: „że odkrycia Pasteura na tem polu, (skuteczna profilaxya na zarazę jedwabnjków i bydła), powetowały Francyi haracz pięciu miliardów, zapłacony niedawno Niemcom po nieszczęśliwej wojnie".

Ale nie o to chodzi nam tutaj, żeby głosić sławę Pasteura na polu nowych odkryć w medycynie, jakie porobił, chociaż nigdy medykiem nie był, ani weterynarzem, jak to sam często powtarzać lubi tym, co mu nowe patologiczne przedmioty do badań nastręczają. Ktoby chciał bliższych szczegółów o tej drugiej najgłośniejszej epoce zawodu Pasteura, odsełam po nie do wspomnianej już książki: *Histoire d'un savant par un ignorant.* My zaś dzisiaj poprzestaniemy na powyższem prostem zaznaczeniu prac Pasteura dla przyszłości medycyny, a wrócimy raczej do tego, co było przedmiotem poprzednich rozdziałów mojej o nim rozprawy, do pierwszej epoki odkryć jego, do teoretycznej strony i do ogólnego filozoficznego znaczenia jego naukowej działalności.

III.

Pasteur jest dzieckiem swego wieku. Widzieliśmy jak w początkach swej karyery naukowej przejęty był na wskróś głównemi dążnościami i nadziejami panującego wówczas, bardziej może niż dzisiaj, materyalistycznego, czyli monistycznego kierunku nauk przyrodzonych, skoro przypuszczał po swem odkryciu asymetryi w układzie molekularnym i w krystalizacyi substancyi organicznych, że życie na ziemi „musi być funkcyą powszechnej dyssymetryi świata", skoro wytężał siły swego geniuszu na tysiączne próby, aby wprowadzić materyę w takie warunki, iżby sama z siebie układała się w postacie organiczne i samorodnie wytwarzała życie, wierząc, iż to w mocy człowieka byćby mogło i naturze materyi, jako materyi zupełnie się nie sprzeciwia. Ale w tem właśnie wielka wyższość Pasteura po nad zwykłą miarę wielu dzisiejszych przyrodników i twórców rozległych i głośnych doktryn i systemów, że odrazu przestał on wierzyć w swe ulubione przedtem teorye, gdy tylko inaczej pouczyło go własne doświadczenie, gdy przekonał się do-

wodnie, „że samorodztwo jest chimerą". A doświadczenie własne poucza Pasteura zawsze lepiej i bardziej stanowczo od wielu innych, właśnie dlatego, że nie ulega on nigdy tej zwykłej dzisiaj pomiędzy uczonymi, a bardzo nauce szkodliwej pokusie: naciągania faktów obserwowanych do ulubionych z góry hipotez i teoryj, lecz gotów jest zawsze umiejętny sąd swój poddać faktycznej prawdzie, rzeczywistości, którą stawia ponad wszystko i która jedynie w każdej kwestyi ma dlań ostateczne, decydujące słowo.

Gdy na pamiętnym kongresie przyrodników w Monachium przed kilkoma laty, Virchow zarzucił Darwinistom, że ich teorye o pochodzeniu człowieka niemają gruntu, są hipotezą bez żadnych dowodów, Haeckel odpowiedział na to w broszurze swej „Dowody „Transformizmu" (1879 r.), „że teorya descendencyi nigdy nie będzie „dowiedzioną", jeśli będziemy czepiać się szczegółów", gdyż pewność jej nie spoczywa na takich lub innych szczegółowych obserwacyach, lecz na zbiorowej całości fenomenów biologicznych, na związku przyczyn ewolucyi", i to właśnie nadaje według niego „największą gwarancyę pewności całej teoryi ewolucyonistów, że nie można wymyśleć lepszej, jeśli fenomena biologiczne mają być wytłumaczone przez przyczyny mechaniczne" [1] które Haeckel uważa za jedynie godne uwzględnienia przez umiejętność przyrodniczą.

U Haeckla więc: a z nim i u wielu innych, z góry postawiona doktryna o całości natury, *une idée préconçue*, powiedziałby Pasteur, stanowi o tem nieomylnie, jak sądzić poszczególne fakta i zjawiska. Wprost przeciwnie postępuje Pasteur w swoich badawczych pracach, prowadzących go do coraz nowych i tak doniosłych odkryć. Przyznaje on [2] „że w nauce nic nie można zrobić bez uprzednich pomysłów *(sans idées préconçues)*", ale dodaje „trzeba mieć ten rozum żeby o tyle tylko wierzyć w dalsze z nich dedukcye, o ile potwierdzają je poszczególne faktów doświadczenia. Uprzednie pomysły *(Les idées préconçues)* poddane jak najściślejszej kontroli eksperymentu są płomieniem ożywczym nauk postrzegawczych, przeciwnie zaś przesądy *(les idées fixes)* są dla nich

[1] Haeckel. Les preuves du Transformisme, Réponse à Virchow. Paris, 1879 str. 24—25.

[2] M. Pasteur. Hist. d'un Savant etc. str. 284.

największem niebezpieczeństwem. Pamiętajmy o pięknych słowach Bossueta, że „niema większego zboczenia umysłu, jak wierzyć w coś dla tego, że się chce, aby tak było". „Puścić się za swym pomysłem w pewnym kierunku, ale zatrzymywać się co chwila, za każdym krokiem oglądać się, aby upewnić się czy się nie jest w błędzie, oto prawdziwa metoda"... „W kwestyach naukowych, mówił innym razem Pasteur, [a lubi gawędzić o tych rzeczach na przechadzkach z przyjacielem, choć rzadko sobie pozwala takiego wypoczynku], rzecz ma się całkiem inaczej niż w dyskusyach politycznych gdzie o dowód na swe twierdzenie czasem trudno... W naukach o przyrodzie, teorya, doktryna umiejętna powinna być ustalona na zbiorze wyników z poszczególnych obserwacyj i eksperymentów. Jeśli na polu nauk przyrodzonych jaka doktryna nie znajduje pewnego kryteryum swej prawdy w kilku faktach decydujących, we faktach tej natury, że są zgodne z wyrazem postawionej zasady, natenczas pewnie jest fałszywą. A najczęściej jeden fakt dobrze wybrany wystarcza aby obalić lub stwierdzić doktrynę" [1]. I dla tego to Pasteur w naukach przyrodniczych ponad wszystko stawia experyment, „*cette merveilleuse méthode experimentale*, o której można prawdziwie powiedzieć, nie, że na wszystko wystarcza, lecz że rzadko myli, a gdzie nie może dotrzeć eksperymentem, tam wstrzymuje się od śmiałych twierdzeń... „Experymentator, mówił Pasteur w akademii paryskiej, człowiek zdobyczy i zwycięztw nad naturą, jest w ciągłych zapasach z faktami, któremi dowolnie kieruje... przytłumia jedne, inne wywołuje, a zawsze zapytuje naturę i zmusza ją do odpowiedzi a nie zatrzyma się aż póki rozum całkowicie nie jest zaspokokojony. Cały wdzięk naszych studyów, czarujący zachwyt w umiejętności, jeśli tak wyrazić się wolno, zasadza się na tem że zawsze i wszędzie możemy dać pełne usprawiedliwiedliwienie naszych zasad i złożyć jasne dowody naszych odkryć" [2].

Oto jak przemawia prawdziwy uczony, w przeciwieństwie do sofisty, który po kryteryum pewności dla swej doktryny w umiejętności ścisłej sięga „nie do szczegółowych faktów obserwacyi, lecz

[1] M. Pasteur. Hist. du Savant etc. str. 346.

[2] Mowa Pasteura umieszczona w Revue: La Philos. Posit. z Sierpnia r. 1882. str. 135.

odwołuje się do mglistej „zbiorowej całości fenomenów“ do „tajemniczego związku przyczyn ewolucyi“. Prawdziwy uczony, według Pasteura nie może obejść się bez hipotezy, owszem nikt bardziej nią się nie posługuje jak eksperymentator, lecz używa jej li tylko tytułem przewodnika i podniety w swych poszukiwaniach, z ciągłą rezerwą ścisłej kontroli, a odrzuca ją natychmiast skoro tylko eksperyment przekona go, że nie jest zgodną z przedmiotową, z faktyczną rzeczywistością“ [1]. Przeciwnie przyrodnik sofista, jakich dzisiaj wielu, zwłaszcza w szkole ewolucyonistów, własną hipotezę stawia ponad wszystko jako pewnik niewzruszony, albo przynajmniej jako wyłącznie możliwe i jedynie racyonalne przypuszczenie, któremu faktyczna rzeczywistość musi poddawać się i służyć jak może, a jeśli się buntuje czasem, tem gorzej dla niej, bo trzeba ją naciągać lub obcinać, od czegóż bowiem prokrustesowe łoże sofistycznej logiki, z ostatecznym, w spaczonym umyśie ludzkim najgłębiej tkwiącym argumentem: „jużciż musi tak być skoro całem sercem się pragnie żeby tak było a nie inaczej“... żebyśmy rodowód nasz wiedli od Atomu, albo od Amfioxusa a nie od Adama.

I w tem właśnie widzę dzisiaj największe znaczenie działalności naukowej Pasteura, że w czasie powodzi literatury naukowo popularnej o rzeczach przyrodniczych, literatury natchnionej przykładem i pismami Darwina, pośród dzieł niby ściśle naukowych, a pełnych mglistych teoryj, hipotez niczem nieusprawiedliwionych, wniosków przedwczesnych, systemów awanturniczych i subjektywnych: *zdaje mi się... tak sądzę... prawdopodobnie nie inaczej być musi* i t. d. [2] naraz staje przed nami mąż nauki, który niczego nie twierdzi, o czem się sam najdowodniej nie przekonał, który ścisłość metody badania posunął do ostatnich granic, dla którego *zdaje mi się* w sprawach czysto naukowych wcale nie istnieje.

Prostota, sumienność i szczerość ze samym sobą, w metodzie badania i w rozumowaniu, ścisłość i pewność w twierdzeniach surowa cześć dla rzeczywistości i miłość prawdy ponad wszystko... zatracone już prawie przymioty, a przynajmniej zagrożone bardzo

[1] Mowa Pasteura w Akad. Revue: La Philos. Posit. z sierpnia r. 1882 str. 136.

[2] Porównaj pod tym względem bardzo nauczający artykuł: „Darwinizm w obec rozumu i nauki“ O. Zaborskiego w „*Przegl. Powsz.*

u wielkiej części dzisiejszych przyrodników, święcą w Pasteurze swoje najpiękniejsze odrodzenie, które prędzej czy później blaskiem swej prawdy zaćmić musi i zdyskredytować mgliste drogi t zw. darwinistów, ewolucyonistów, czy pozytywistów.

Nie polemiką, nie dyskusyą wcale, jak Sokrates albo Plato zwalczył, rzec można, Pasteur dzisiejszą sofistykę umiejętności, ale poprostu czynem, przykładem, osobą swoją, zasłonił ją tak że zmalała od razu, gdy przez szczere postawienie się w obec Boga i natury, geniuszem swoim otworzył dla ciekawości ludzkiej naraz tyle dróg nowych, tyle wielkich i praktycznych zadań w granicach ludzkich sił i ludzkiej możliwości, że porwać za sobą musi chyba wszystkie wyższe i zdrowsze umysły, w naukach przyrodniczych pracujące, odciągając je od próżnych na tym gruncie sporów o pochodzenie i o najwyższy cel człowieka i natury, o rzeczy daleko po za zakresem tychże nauk leżące, a tylko niebacznie w nie wplątane i normalny ich rozwój tamujące. Po takim przykładzie jak Pasteur, łatwiej dziś każdy zrozumie, kto zechce, gdzie droga prawdy naukowej i coraz nowych w najwyższym stopniu dobroczynnych dla ludzkości odkryć i zdobyczy, a gdzie tylko czcza i błaha sofistyka, która żadnym wielkim tryumfem ludzkiego ducha, ani żadnem istotnem dobrodziejstwem dla ludzkości poszczycić się nie może. Bo pytam się, jakiem wielkiem odkryciem, jakim nowym wynalazkiem przyczyniła się gdziekolwiek do poprawienia doli człowieka na ziemi, szkoła darwinistów? — a przecież tego dzisiaj od przyrodników słusznie domagać się można, — otóż bezpłodniejszej pod tym względem szkoły ani doktryny chyba nie było od czasu rozkwitu nauk przyrodniczych... a przyszłość po owocach sądzić będzie!

Kontrast między prawdziwym uczonym a nowoczesnym sofistą może nigdzie żywiej się nie uwidocznił, jak przed trzema laty w akademii paryskiej, gdy Pasteur wstępną mową swoją, według przyjętego zwyczaju żegnał cienie zmarłego, na którego miejsce wszedł do akademii; oceniał Littrégo, a odpowiadał mu Renan, najklasyczniejszy sofista naszego wieku. Był to umysłowy turniej tak świetny i ciekawy, jak rzadko się zdarza, pozwalam sobie więc podać z niego najważniejsze momenta, chociaż to rzecz nie ostatniej no-

wości, ale rozgrywała się tam sprawa wiecznie nowa, bo chodziło o najwyższe prawdy i zasady.

„Jeśli raczyliście zwrócić oczy na mnie, mówił Pasteur w obec wybranego grona i wykwintnej publiczności, natura prac moich zapewne przemówiła za mną. W kilku punktach dotknąłem objawów życia, a dowiodłszy, że do dziś dnia życie nigdy nie pokazało się oczom ludzkim jako wytwór sił panujących w materyi, oddałem usługę doktrynie spirytualistycznej, bardzo dziś zaniedbanej, ale nie mniej przeto na zaszczytny przytułek w waszym dostojnym gronie zawsze liczyć mogącej."

„Może dla tego także byliście na mnie łaskawi, że wniósłem w zawiłą kwestyę początku istot nieskończenie małych, pewną jasność i ścisłość experymentalną, która wreszcie znużyła moich przeciwników. W każdym razie zasługa za to spada na wierne zastósowanie prawideł i metody, przekazanej nam przez wielkich experymentatorów, jak Galileusz, Pascal, Newton i ich następcy od dwóch wieków. Zadziwiająca to, udzielna w swoim rodzaju metoda, która za przewodnika i nieustannego stróża ma postrzeganie i doświadczenie, oswobodzone od wszelkich przesądów... metoda tak płodna, że niektóre rozumy olśnione jej zdobyczami już uwierzyły, że ona rozwiązać może wszystkie zagadnienia. Mąż o którym mam mówić (Littré) podzielał to złudzenie. Tyle dobrego mam powiedzieć o pięknem życiu Littrégo, że wybaczcie mi moją szczerość, jeśli zaczynam od zaznaczania różnicy między mojemi przekonaniami a jego zapatrywaniami filozoficznemi".

Skreśliwszy następnie w kilku trafnych rysach sympatyczny i pracowity żywot Littrégo [1], Pasteur nie szczędzi ostrej krytyki pozytywizmowi, a sąd o pozytywizmie z ust mistrza w naukach pozytywnych, szczególne ma znaczenie, zwłaszcza że Pasteur odsłania nam przytem całą głębią swojej duszy.

„Zasadą fundamentalną Augusta Comta, mówił Pasteur, jest usunięcie wszelkich poszukiwań metafizycznych nad pierwszemi i celowemi przyczynami wszechrzeczy, aby zredukować wszystkie nasze pojęcia i teorye naukowe do wiedzy samych faktów, i żeby nie

[1] Szczegóły o nim znajdzie czytelnik w świeżej znakomitej pracy o Pozytywizmie O. Stefana Pawlickiego w *Przegl. polskim*, jakoteż w mojej dawniejszej rozprawie: Niepozytywny pozytywizm w *Przegl. powsz.*

przypisywać charakteru pewności niczemu innemu, jak tylko dowodom experymentalnym. Tymczasem ani Comte ani Littré nie znali właściwej metody experymentalnej, biorąc ją za jedno z mniej ścisłą metodą obserwacyi. Nie experymentowawszy nigdy, nadają oni obydwa słowu „doświadczenie“ takie znaczenie, w jakiem używa się go w świecie, w zwykłej potocznej rozmowie, w zupełnie innym sensie niż ten, jaki przywiązany jest do tego wyrazu w języku naukowym. W języku zwykłym „doświadczeniem“ nazywamy prostą obserwacyę rzeczy i indukcyą, która wnioskuje z niej co było i co być mogło, z mniejszem lub większem uprawnieniem, nie żądając dowodów ścisłych. Prawdziwa zaś metoda experymentalna zmierzać musi zawsze aż do dowodów bez żadnej repliki, innych nie uznając ani przypuszczając... Littré i Comte wierzyli sami i wmawiali w umysły powierzchowne, że ich system spoczywa na tych samych zasadach, co metoda naukowa, której Archimedes, Galilei, Pascal, Newton, Lavoisier są fundatorami, ztąd pochodzą złudzenia wielu umysłów, umocnione jeszcze gwarancyą dobrej sławy naukowej i dobrej wiary Littrégo. Do iluż błędów może doprowadzić taka konfuzya“!

„System pozytywizmu obejmuje klasyfikacyę nauk, jakoteż wrzekome prawo historyczne, o trzech stanach ducha ludzkiego: teologicznym, metafizycznym i wreszcie naukowym czyli pozytywnym. Littré nie szczędził pochwał tej doktrynie, jak i jej autorowi... Nie rzadkie to zjawisko u najszlachetniejszych uczonych, że przeceniają cudze zasługi nad swoje. Ja przyznam się, że doszedłem w ocenieniu dzieła Augusta Comte'a, do zupełnie odmiennego zdania od Littré'go“.

„Warunki w jakich znajduje się człowiek pracy w naukach ścisłych, codzienne tej pracy owoce usposabiają jego umysł tak, że nie może przyznać postępu, jak tylko tam, gdzie jest jakieś odkrycie, jakiś wynalazek. Idea postępu w nauce identyfikuje się u niego z ideą inwencyi. To też aby osądzić wartość pozytywizmu, pierwsza rzecz, szukałem w nim inwencyi... i nie znalazłem. Nie można przecież nazwać wynalazkiem prawa o trzech stanach ludzkiego ducha, ani też owej klasyfikacyi hierarchicznej nauk u Comte'a, jedno i drugie same przypuszczenia *des à peu près* bez wiel-

kiej wagi. Pozytywizm nie przedstawia mi żadnego pomysłu nowego, a więc nie ufam mu i trzymam się odeń z daleka“. . .

. . . „Littré za Comtem pogrążył się w dogmatyzmie supprymującym wszelką metafizykę. W obec takiej doktryny Littré powiedział sobie: Nie będziesz zajmował się ani początkiem ani końcem wszechrzeczy... nie będziesz myślał, ani o Bogu, ani o duszy, ani o teologii, ani o metafizyce, unikaj absolutu, kochaj tylko relatywność, pogrąż się w niej... Myliłby się jednakże ten, ktoby myślał, sądząc z fałszywych pozorów, że Littré był ateuszem zdecydowanym i spokojnym... Nie zaprzecza on właściwie istnieniu Boga, ani nieśmiertelności duszy, tylko broniąc sobie z zasady wszelkiego *à priori* w myśli swojej, ogłasza niemożliwość naukowego stwierdzenia ich rzeczywistości... Co do mnie zaś, który w nauce postęp i wynalazek mam za synonimy, pytam się, w imię jakiego to nowego odkrycia filozoficznego, lub naukowego, można wydzierać duszy ludzkiej jej najwyższe przeświadczenia? One są wieczne, jak zagadka świata osłonięta tajemnicą... Nauki ścisłe odcięte od nich, straciłyby swą wielkość, jaką czerpią z tego związku z innemi prawdami wiecznemi, które przeczuwamy“.

Aby zaś dać wyraz swoim osobistym w tym względzie uczuciom, przypomina Pasteur anekdotę o fizyku angielskim Faraday'u, który na lekcyach swoich w królewskim instytucie w Londynie, nie wspominał nigdy imienia Boga, chociaż był głęboko religijnym. A gdy raz słowo Bóg z ust mu się wyrwało i znalazło w audytoryum odgłos sympatyczny. Faraday przerwał lekcyą słowami: „Sprawiłem wam niespodziankę, wspominając tutaj imię Boga. Nie zdarzyło mi się to dotąd nigdy, gdyż na tych lekcyach przedstawiam li tylko naukę eksperymentalną, lecz zapewniam was, że myśl o Bogu i cześć dla Stwórcy budzą się w duszy mojej pośród tak pewnych i radosnych przeświadczeń jak te, które prowadzą nas do prawd w porządku fizycznym“. Taką samą niespodziankę sprawił właśnie Pasteur wykwintnemu audytoryum w sali akademii paryzkiej.

W końcu za największą próżnię w systemie pozytywizmu ogłasza Pasteur w tem akademickiem przemówieniu swojem to, że w swem niby pozytywnem pojęciu świata nie liczy się z najpozytywniejszą rzeczą, z ideą nieskończoności, (Plato powiedziałby: z ideą najwyższego dobra), której najwyższym wyrazem jest Bóg, a której

ślady wyciśnięte wszędzie w całym świecie i w głębi serc ludzkich, w popędzie do nadprzyrodzoności, do pojęcia ideału, czy to w sztuce, gdy patrząc na rzecz piękną, porwani jesteśmy do wystawiania sobie piękności wyższej ponad wszelki wyraz, czy w nauce, gdy namiętność wiedzy budzi w nas żądzę zrozumienia tajemniczej zagadki wszechświata. „A gdzież są, woła, prawdziwe źródła ludzkiej godności, wolności, równości, jeśli nie w tem pojęciu nieskończoności, w obec której wszyscy są równi!

„Wielkość czynów ludzkich mierzy się natchnieniem, które je rodzi. Szczęśliwy ten co nosi w sercu swego Boga i jest mu posłuszny. Ideał piękności, ideał sztuki, ideał umiejętności, ideał ojczyzny, ideał cnoty ewangelicznej.... oto są źródła żywe wielkich myśli i wielkich czynów!"

Po tak podniosłych i entuzyastycznych słowach Pasteura, porwanego niby świętym szałem platońskiego Faidrosa, a nie liczącego się wiele z formą krasomowczą dla swych najszczerszych wyznań wprost z głębi duszy idących, zabrał głos mistrz formy, dziś nieprześcigniony *Renan, la plus brillante expression de la conscience française.* A przemówił z całem poczuciem swej „krytyczno-skeptycznej" wyższości po nad „spontaneiczną prostotą" naiwnego fachowca, któremu retorta i mikroskop wyglądają z kieszeni, który ma ręce spracowane, a czoło troską i trudem niedospanych nocy poorane, a przytem nosi ideały w sercu i śmie nawet o nich mówić z wielkim zapałem godnym lepszej sprawy. Nic bardziej charakterystycznego jak ta odpowiedź Renana rzucona Pasteurowi od niechcenia z wysokości Olimpu, z widocznym na ustaeh lirycznoironicznym uśmiechem, z wyrazem jakby niemej prośby do nieśmiertelnych współolimpijczyków akademickich: przebaczcie mu, bo biedny prosty śmiertelnik sam nie wie jak tu wszedł, sam nie wie czego chce, ale dam mu zaraz pierwszą lekcyą swojej filozofii, dobrego tonu i smaku i artystycznej finezyi, ucywilizować go trzeba, skoro raz jest między nami w tak dobranem gronie....

Mógłby kto myśleć, że byłem naocznym świadkiem tej ciekawej sceny pod kopułą akademickiego Olimpu w Paryżu, skoro tak piszę. Otóż nie — tylko język Renana jest tak czarujący, tak dziwnie wyrazisty, że dosyć czytać jego mowę, by koniecznie widzieć całą mimikę i grę jego twarzy, i tylko strach mię bierze, jak to

przetłumaczyć, co chcę przytoczyć z jego mowy, a nie zatracić woni, tego *bouquet spirituel* uroczej słów kadencyi. Ale niepodobna nawet kusić się o to.

„Porobiłeś pan zastrzeżenia, mówił Renan, co do kierunku doktryn filozoficznych, do których przywiązał się był Littré i którym, jak sam mawiał, zawdzięczał szczęście swego życia. Byłeś pan w swojem prawie zastrzedz się, lecz ja przyznam się, nie śmiałbym nigdy robić użytku z takiego prawa. Urokiem, albo jak dawniej mówiono „bukietem duchowym“ właśnie takiego zebrania jak nasze powinno być to ogólne poczucie, że gorący zapał do dobrego niezależny jest od takiej lub innej filozoficznej opinii. Zresztą co do mnie, wyznaję, że gdy w polityce albo we filozofii spotkam się z kim ze zasadami bardzo ustalonemi, jestem z góry zawsze jego zdania, bo nareszcie, w sprawach tak delikatnej natury, każdy ma słuszność z jakiejś strony i już sama grzeczność i sprawiedliwość nakazuje, żeby w opiniach w obec nas wygłoszonych szukać zawsze jakiejś prawdziwej strony, niezawodnie w nich zawartej. Bo właściwie chodzi tu o zagadnienia, które podobało się opatrzności (a rozumiem pod tem słowem nie co innego, tylko zbiór warunków biegu rzeczy tego świata) pogrążyć w absolutnej tajemnicy. To też zwłaszcza w tym porządku myśli trzeba strzedz się zbytniej śmiałości, *d'un partis pris*, a dobrze jest zmieniać swój punkt widzenia, nasłuchując brzmień pochodzących ze wszech stron horyzontu... Wahanie się w tych rzeczach, jest zdaniem mojem, o wiele wykwintniejszym kultem odwiecznych ideałów, aniżeli zbyt śmiałe rozcinanie kwestyi, które przedewszystkiem zadowalniać zwykło umysły powierzchowne...

„O! prawda, mój drogie panie, to wielka kokietka, nie lubi być poszukiwaną z nadto wielką namiętnością. Obojętność często więcej u niej wskóra. Gdy zdaje ci się, że już ją posiadasz, ona ci ucieknie, a odda ci się, jeśli umiesz czekać. W godzinie, kiedy myślisz, że wziąłeś z nią rozbrat na wieki, ona ci się objawia, a przeciwnie trzyma cię z daleka, gdy ją zbyt gorąco zatwierdzasz, tj. kochasz nad miarę...

„Nad filozofię p. Littrégo przekładasz pan inną, która, jak sądzisz, ma mieć tutaj swój przytułek. Ah! nie ufaj temu zbytnio mój panie; sfera naszej protekcyi literackiej jest bardzo szeroka,

rozciąga się od Bossueta aż do Voltaira; często lubimy być przytułkiem zwyciężonych i ze sprawą, która ma mieć u nas ostatni przytułek, może być w istocie bardzo źle na świecie... My w ogóle nie opiekujemy się żadnemi doktrynami, my nie uwzględniamy nic oprócz talentu, i dlatego nie mylimy się nigdy i nie wystawiamy się na *démentie*. Wszystko przechodzi, my nie przechodzimy, gdyż trzymamy się tylko dwóch rzeczy, których, jest nadzieja, we Francyi nigdy nie braknie: dowcipu i geniuszu. Szanujemy wszystkie formy, w które przyoblekają się wysokie myśli. Pan zaś używasz dwóch słów, których ja nigdybym nie użył: spirytualizm... materyalizm... Jużciż celem świata idea, ale nie znam jednego wypadku, gdzieby idea objawiła się bez materyi; nie znam szczerego ducha, ani dziel szczerego ducha. Dzieło boże spełnia się przez wnętrzną tendencyę całego świata ku dobru i prawdzie. Nie wiem czyli ja jestem spirytualistą, czy materyalistą...

„Sama roztropność nakazuje, żeby nie robić zależnym losu swych moralnych przekonań od żadnego systemu. Słowo zagadki, która nas dręczy, lub nas oczarowuje, i tak nie będzie nam nigdy odsłonięte. Co do mnie, gdy kto zaprzecza fundamentalne dogmaty, zaraz bierze mię ochota w nie uwierzyć, a gdy kto je zatwierdza, inaczej jak w pięknych wierszach... chwytają mnie wątpliwości nie do przezwyciężenia. Boję się zbytku pewności w tych rzeczach, i jak ów mistyk, o którym wspomina Joinville, miałbym ochotę nieraz spalić raj — z miłości dla Boga. W takich rzeczach największą zasługą... wątpienie. Wielkość prawd tego rzędu jest w tem, że przedstawiają się nam w podwójnym charakterze: niemożliwości fizycznej i absolutnej konieczności moralnej. To też gdy widzę gdzie cnotę zbyt rachującą na dobre procenta w życiu przyszłem, zaraz mam niezmierną pokusę, szepnąć jej dyskretne słówko o tem, jak łatwo może się przeliczyć. Instynkta ludzkości, jużciż trzeba uwzględniać, ludzkość w gruncie rzeczy ma słuszność, ale we formach, w szczegółach, oh! kochana, rozczulająca marzycielka! jakżeż ją pobożność jej zwodzi! a to z prostej przyczyny, kwestye te są nierozwiązalne, a uczucie moralne domaga się koniecznie odpowiedzi... I nasz wielki Littré całe życie zabraniał sobie myśleć o najwyższych zagadnieniach, a myślał o nich ciągle. Biedne dobre sumienie

ludzkie! Ileż wysiłków kosztuje cię to, że chcesz pochwycić, co jest niepochwytne...

„Religie stawiają się nam jako fakta, to też muszą być dyskutowane jako fakta z pomocą krytyki historycznej. Otóż fakta nadprzyrodzone w rodzaju tych, jakie zapełniają historyę wszechreligij, p. Littré dowodzi nam wybornie, że nigdy się nie dzieją, a jeśli się nie dzieją, czyż nie czas postawić sobie kwestyę cicerońską: Dlaczegoż te siły tajemnicze znikły? Czyż nie dlatego, że ludzkość stała się mniej łatwowierną?...

„Zarzucasz pan pozytywizmowi, że w zastosowaniu do polityki, proroctwa jego się nie spełniły, prawda! ale cóż robić, kiedy zawód proroka stał się w dzisiejszych czasach dziwnie trudny...

„Pomimo wszystkiego zaręczam panu, że metoda Littrégo jest doskonałą w tym porządku faktów, do którego ją zwykle stosuje, gdzie zwykło się przypuszczać interwencyę woli wyższej nad człowieka i naturę. Znikają te fakta w miarę jak się im bliżej przypatrzeć. Żaden z faktów historycznych tego rodzaju nie jest dowiedziony naukowo, dowodem takim, żeby wykluczał wszelką wątpliwość, dowodem takim jakiego zażądał od pana na poparcie pańskich odkryć prof. Biot, a których pan mu dostarczyłeś, dowodem takim, jakiego wymagasz pan od tych, którzy ci zaprzeczają twe naukowe zdobycze... A w obec tego, czyż może to zgodzić się z duchem naukowości, żeby przypuszczać istnienie porządku faktów nieopartych na żadnej indukcyi, na żadnej analogii... O wierz mi pan! krytyka historyczna ma swe dobre strony...

„Ale by módz używać tych prawd, które spostrzega się nie oko w oko, lecz jakby z profilu, niby z ukosa, trzeba bardzo wszechstronnej kultury umysłu, trzeba znajomości ludzkości w różnych stanach jej cywilizacyi, jej słabości, jej złudzeń, jej przesądów i jej przebaczenia godnej skłonności do absurdów. Trzeba znać historyę filozofii, która nieraz prowadzi do religii, trzeba znać historyę religii, która często robi z nas filozofów, trzeba znać historyę nauk, która zawsze powinna budzić w nas skromność, trzeba znajomości mnóstwa rzeczy, których uczymy się po to tylko, aby w końcu widzieć, „że wszystko jest marność“ — to też po nad wszystko potrzeba ducha wesołości i dobrego zdrowia umysłu, jakiem cieszył się Lukian, Montaigne albo Voltaire. A końcowy wy-

nik wszystkiego, że jeszcze największym ze wszystkich mędrców był Ekklesiastes, gdy przedstawia nam świat wydany na pastwę sporów ludzkich po to, aby nic z niego nie rozumieli od końca do końca!...“

A co? Czyż to nie lekcya dana Pasteurowi w tonie hrabiego do pana Tadeusza: „Nie dość jest przyrodzenia, nie dosyć zapału... potrzeba natchnienia, które na wyobraźni unosi się skrzydłach, poleruje się gustem, wspiera na prawidłach... trzeba punktów widzenia, grupy, assamblu i nieba — nieba włoskiego!“... a nie brakuje nawet i grzesznego końca w guście: „Dowiesz się o tem z książek w swoim czasie“. Renan tak kończy przemowę do Pasteura:

„Znajdziesz pan na naszych zebraniach miłą rozrywkę dla swego umysłu zajętego wyłącznie coraz nowemi odkryciami. To spotkanie się w jednem towarzystwie ze wszelkiemi opiniami i najrozmaitszemi rodzajami umysłów spodoba ci się: tu uderzy cię miły uśmiech komedyi, albo romans czysty i trefny, lub poezya roztoczy przed tobą swe potężne skrzydła, lub swoje harmonijne rytmy i rymy. Tam znów dostrzeżesz finezyę obserwacyi moralnej, wykwintną analizę utworów ducha, głęboką treść dziejów. Wszystko to nie zachwieje w panu wiary w twe experymenta. Tartraty prawe zostaną Tartratami prawemi, a lewe lewemi. Ale zrozumiesz pan może, ile roztropna wstrzemięźliwość Littrégo miała w sobie dobrego. A na widok tylu dobrych rzeczy, o jakich poucza literatura, chociażby lekka na pozór, dojdziesz pan do przekonania, że dyskretne powątpiewanie, uśmiech, finezya ducha, o której mówi Pascal, mają także swoją cenę... My będziemy dzielić się z panem naszemi wątpliwościami, pan będziesz nam udzielał swego ducha pewności“...

Otóż właśnie temu „duchowi pewności“, dla którego, jak widzimy w końcu znalazł się i grzeczny komplement, temu duchowi pewności, bez którego nie masz ani prawdziwej nauki, ani wiary, ani mocy charakteru, wydał Renan najzaciętszą wojnę na wsze strony gdzie tylko dotknąć i dosięgnąć go może bronią swej obosiecznej sofistyki. Tem głównie odznacza się cała jego świetna, a na wskróś ujemna działalność literacka. Pod pozorem wykwintnego kultu dyskretnych wątpliwości i roztropnego wahania się, które faluje w nim niby lśniące i szumiące wody przypływu i odpływu morza, ale morza udanej głębokości umysłowej, przelewającej się w potoczystych

frazesach pełnych barw i blasków, ileż tam brutalnej negacyi się kryje! Niedaleko szukając, w tych kilku powyżej przytoczonych ustępach jego akademickiej przemowy, zaprzeczone jest niemal wszystko co wieczne, proste, wielkie i święte. Zaprzeczony jest Bóg w strasznych słowach: „nie znam szczerego ducha, ani dzieł szczerego ducha", zaprzeczona zdolność ludzkiego rozumu do poznania prawdy w rzeczach najwyższych i najważniejszych, zaprzeczone objawienie w swej historycznej faktyczności, zaprzeczona pewność filozoficznych pryncypiów, podstawa prawdziwego postępu nauk, zaprzeczona pewność zasad moralnych, dająca hart duszy na koszt nowomodnej moralności *sans obligation ni sanction*. A to tylko mała próbka tej bezdennej otchłani negacyi, jaka otwiera się nam z głośnych dzieł tego pseudo-ekklezyasty naszego stulecia. O! bo duchem negacyi jest Renan w najwyższym stopniu, tak, że porównać go można tylko z najpotężniejszemi wcieleniami *des Geistes der stetten Verneinung*, który chociaż zawsze ten sam, rozmaicie, w każdej epoce inaczej przemawia do ludzi. Widoczny postęp i w tem się objawia.

Luter klął! a klął tak potężnie i wytrwale, że dziwię się dlaczego nie utarło się po nim przysłowie: „klniesz jak Luter", ale pokazało się, że w swoim czasie, w grubem na półbarbarzyńskiem jeszcze społeczeństwie, była to broń skuteczna, skoro tyle sprawiła zniszczenia na chrześcijańskim świecie. Dziś jużby nikt tą bronią daleko nie zaszedł, i ręczę, że gdyby wszyscy Luteranie czytali pisma Lutra w pierwotnym tekście, wielu szczerych wyznawców by mu nie zostało, tak rażącą jest ta forma wiecznie zionąca przekleństwami dla dzisiejszych nerwów wydelikaconych.

Wolter szydził i czernił, *calomniez toujour!* było jego hasłem, w dowcipnem szyderstwie, chyba nikt go nie prześcignął, a był to już wielki postęp we formie negacyi. To też największe spustoszenia robiła ona w ówczesnym cywilizowanym, arystokratycznym, na pół rycerskim jeszcze świecie.

Renan — nadto po naszemu dobrze wychowany, żeby kląć albo czernić, nadto delikatny, żeby wyraźnie szydzić, co najwięcej jeśli czasem lekka ironia przemknie się w jego słowach, ale chwycił on za broń negacyi najdoskonalszą, utrafił tak, jak może nikt przed nim w ton rajskiego węża, w p o k u s ę, na temat odwieczny,

a nigdy się nie starzejący: *eritis sicut Deus!* bo według jego doktryny, zapożyczonej u Hegla: *Deus est in fieri* w samowiedzy ludzkości, a więc człowiek właściwie jest Bogiem. To *eritis sicut Deus* migoce u niego jak lśniące i giętkie przeguby węża wszędzie na dnie rwących potoków zdań jego niby cicho szemrzących w mglistym, melancholijnym półcieniu księżycowego stylu... O tak! Renan to kusiciel, *par excellence* kusiciel.

I trzeba przyznać, że w naszym wieku wysokiej cywilizacyi powszechnej nauki, wielkich postępów, wielkich wynalazków i wielkich prac, które przekształcają powierzchnię ziemi tak, że ludzie raj przyszły z niej obiecywać sobie zaczynają; że w takim czasie najodpowiedniej było duchowi przeczenia odnowić w świeżym blasku formy tę, prawdziwą niby wyższością umysłu tchnącą ponad poziomem naiwnej, jeszcze wierzącej części ludzkości wzniesioną, tę największem niby współczuciem dla ludzkości, dla tej biednej, „pobożnością swą wiecznie oszukiwanej" a „rozczulającej marzycielki" podyktowaną pokusę rajskiego węża: „*eritis sicut Deus!*... bo właściwie niemasz Boga oprócz w sercach waszych, wy to sami w rozwoju waszym Boga stwarzacie na ziemi, a nie on was stworzył!"

I tak Renan przejął w siebie wszystkie wątpienia i wszystkie negacye z ostatnich wieków, i niemieckie od Kanta aż do Hegla i Straussa, i angielską od Hume'a aż do Darwina i Spencera, i żydowską od Spinozy aż do Heynego i Lassala i rodzimą francuzką od Voltair'a i Encyklopedystów aż do siebie samego z tym zadziwiającym talentem bluszczu pnącego się wszędzie na to, by najsroższym przepaściom ducha i pustkom i ruinom nadawać ponętny pozór bujnego i kwitnącego życia. Ale chyba nigdzie owe negacye, pokusy i zwątpienia rafinowanego sofisty, pomimo swej wykwintnej formy, nie wyglądają tak czczo, płasko, niezgrabnie, tak konwencyonalnie i tak nie w porę użyte, jak to właśnie w powyższem zetknięciu się z prostemi i jędrnemi wyznaniami prawdziwego uczonego, z głosem szczerze wierzącej duszy genialnego przyrodnika. To też rozbijają się w obec niego i pryskają w oczach naszych, jak lśniące bańki mydlane, zużywając się bezowocnie, jak niewczesne zaloty i strzeliste spojrzenia starej wyróżowanej kokietki, o pancerz stalowy rycerza *sans peur et sans reproche*, całem sercem gdzieiu-

dziej, bo w czystej, nagiej prawdzie naukowej, i w odmiennych ideałach ludzkości, zakochanego, gdy woła z młodzieńczym zapałem: „Szczęśliwy ten, co nosi w sercu swego Boga, ideał piękności, ideał sztuki, ideał umiejętności, ideał ojczyzny, ideał cnoty ewangelicznej... bo to są źródła żywe wielkich myśli i wielkich czynów!“

Dr. Ignacy Skrochowski.

LE PLAY I JEGO SZKOŁA.

(Dokończenie).

Widzieliśmy pojęcia Le Play'a o konstytucyi społecznej, zostaje nam jeszcze do widzenia sposób, jaki podaje do przeprowadzenia reformy. Początkiem złego, podług niego, są fałszywe doktryny w XVIII. wieku w Anglii wylęgłe, a później w „kontrakcie społecznym“ i w „zasadach 89 roku“ sformułowane. Reforma zatem powinna się zacząć od pojęć. Zwalczyć fałszywe doktryny, wykazać mianowicie, że zasada wrodzonej doskonałości człowieka jest fałszywą, oto główne zadanie miłośników prawdy, zadanie nie trudne, bo fakta, obserwacya wychowania, nastręczają dowodów. Po drugie na brak dwóch niezbędnych rzeczy społeczeństwu: chleba powszedniego i prawa moralności — brak wynikający w naszym wieku z anormalnego nagromadzenia ludności w miejscowościach węglodajnych — radzić trzeba podaniem przykładu Anglii i Szwecyi, które opierają swe rządy na „wolnościach potrzebnych“ rodziny i gminy. Po trzecie, dla przysporzenia pokoju międzynarodowego potrzebna jest liga mniejszych państw europejskich, o której była mowa wyżej.

Reformować pojęcia! Le Play, mimo swej zbrojowni namacalnych dowodów przekonał się, jak to się trudno udaje. Zauważył jednak, że po każdej z katastrof, przez które Francya przechodziła, coraz nowy zastęp ludzi odłączał się od tradycyjnych swych błędów i zwracał się ku prawdzie; to mu dodaje otuchy.

Macierz błędów, teorya wrodzonej doskonałości człowieka zrodziła 3 błędne doktryny: zasady 89 roku, naturalizm i ewolucyonizm. Dekalog na pierwszy rzut oka te doktryny przewyższa w dwóch niezbędnych najwyższemu prawu ludzkości przymiotach:

w jasności pojęć i w zgodności wyrazu prawa z naturą człowieka. Tamtym doktrynom zbywa tych przymiotów. Dekalog posiada je w najwyższym stopniu. Ale przejdźmy je kolejno.

„Zasady 89 roku“ mają zastąpić zbutwiałą naszą konstytucyę ludzkości. Treść ich mieści się w trzech rzeczach: wolność bezwzględna, równość opatrznościowa, prawo do buntu. Ale wolność bezwzględna jest sprzeczną sama w sobie i przeciwną praktyce wszystkich szczęśliwych ludów: każda wolność suponuje wieloraki przymus: wolność wychowania wprowadza władzę przymusową rodzicielską i t. d. Podobnież wszelkie słuszne równości ważą się z koniecznemi hierarchiami i z natury rzeczy i w praktyce pomyślnych społeczeństw. Wreszcie zasada prawa do buntu wprowadziła faktycznie i zawsze wprowadzać musi ducha gwałtu w miejsce ducha pokoju, uniemożebniła zgodę rządzących z klasami przewodniemi i ustaliła pogardę władzy. Tak rewolucya 89 roku dopełniła miarę tyranii organizowanej przez dawny rząd od 1661 r.

Zwolennicy naturalizmu, jak się wyraża Le Play, czyli właściwie materyaliści, tem się różnią od ludzi 89 roku, że nie myślą wprowadzać sami swych teoryj w życie społeczeństw — są to uczeni, nie politycy; gwałtów nie czynią, ale teorye w gwałty brzemienne szerzą. Ich nauka stawia człowieka w szeregu zwierząt, uspołecznienia ludzi tłumaczy tak samo jak zwierzęce prawami fizycznemi i potrzebami organizmu, przeczy powszechnej tradycyi o istotnej między człowiekiem a zwierzęciem różnicy. Jeśli tak jest, zkądże jedynie społeczeństwa ludzkie niezdolne są do stałego trwania w pokoju? Dlatego, odpowiadają na to materyaliści, że zwierzęta idą wyłącznie za popędem natury, a człowiek podlega wpływom tradycyi, która pod pretextem naprawy psuje go i unieszczęśliwia. Każdy widzi, że w tem rozwiązaniu tkwi „zasadniczy błąd“ o wrodzonej doskonałości i znana już nam praktyka „istotnej konstytucyi społecznej rodu ludzkiego“ faktami temu zaprzecza.

Ewolucyoniści mniej surowo krytykują instytucye przeszłości, niedole przeszłe i obecne uważają tylko za fazy pochodu postępowego, któremu ich zdaniem świat fatalnie podlega. Skąpe dają oni odpowiedzi na pytanie, które sobie zadaje ród ludzki: jak zaradzić złemu? a natomiast opisują najpowabniej błogą

przyszłość, do jakiej ludzkość podług nich koniecznie dąży. Wszelako niezmienność plemion pasterskich, z których przed 42 wiekami wytworzyło się państwo chińskie i wiele innych faktów przez Le Play'a przytoczonych, nie godzą się wcale z przypuszczeniami ewolucyonizmu.

Materyaliści i ewolucyoniści, zwykle ludzie nauki, oddani głównie umiejętności przyrody, zachwyceni postępami materyalnymi, jakie ta umiejętność stworzyła, skorzy są do wierzenia w postęp powszechny; na zło, z którem się spotykają, szukają środków w materyalnej lub zmysłowej sferze, a przeoczają całkiem radykalne przyczyny złego leżące w moralnej sferze, o której mało mają pojęcia. I tak wszystkie błędy sprzysięgają się do rokoszu przeciwko „istotnej konstytucyi społecznej rodu ludzkiego".

Przeciwko tym zgubnym błędom Le Play obmyśla także praktyczne środki. Dla propagowania prawdziwej walki społecznej, należy przygotowawszy zastęp ciała nauczającego, utworzyć uniwersytet stosujący metodę obserwacyi do społeczeństw ludzkich, jako siedziby świata moralnego [1]. W celu zaś szybszego spopularyzowania nauki stworzyć prasę, któraby będąc gruntem neutralnym dla ludzi pokoju różnych stronnictw, za program przyjęła harmonię zasad i obyczaju [2], i w tym kierunku działała na reformę klas przewodnich, skłaniając je do patronatu nad warstwami niższemi, i na reformę rządzących, wpajając w obie ich kategorye (duchowieństwo i władze państwowe) potrzebę konieczności powrotu do ducha ojcowstwa i ducha pokoju. Duch ten pokoju zawieść tylko może do unii europejskiej i przechować, ocalić małe państwa, w obec zbliżającego się szybkim krokiem przeobrażenia społecznego świata.

Reformę praktyczną zapewnić ma każdej jednostce i rodzinie zaspokojenie kardynalnych dwu potrzeb, które Le Play upatruje w naśladowaniu narodów skomplikowanych, co mimo aglomeracyi w stadyum węgla rozwijają się i kwitną, podczas gdy rasa francuska niknie [3]. Wyczerpującą krytykę tych instytucyj, jak niemniej

[1] Pracują w tym kierunku instytucye w pomysły twórcze nauki a głównie „szkoła podróży" i „konferencye pokoju".

[2] Dwutygodnik p. t.: „La Réforme sociale", pod redakcyą naczelną p. M. Demolins. Bd. St. Germain 174 w Paryżu, spełnia od 1881 r. to zadanie.

[3] Zestawienie nadwyżki małżeństw od 1872 z cyfry 107,516, spadającej

krytykę rosnącego wszechwładztwa państwa, mimo ułudy najliteralniejszych form rządu przedstawia autor w *La Réforme sociale en France*[1], tudzież w radach narodowi po klęsce 1871 r. udzielonych w kształcie odpowiedzi na pytania, któremi go w tym czasie zarzucano, domagając się wskazówek ratunku[2]. Program reformy dla Francyi skreślony, a praktyczny i dla narodów co na niej instytucye swe i prawa modelowały, streścić można tak[3]: Aby gmach społeczny nadwerężony zrestaurować, należy zacząć od wzmocnienia podwalin, przywracając uległość prawu najwyższemu; tę zaś osiągnie się przez krzewienie szczerej prawdy w nauce i za pomocą działającego w duchu bożym duchowieństwa. W duchu bożym działając ono, zasłużyło na nazwę „ojcze“ — ojcowstwem tem duchowem winno być przeniknięte[4]. Dalej należy rozwinąć siły rodziny, zbliżając ją do typu rodziny szczepowej, bez budzenia zawiści całej falangi zawodów, profesyj żyjących kosztem jej atrybucyj: rozwinąć więc władzę ojcowską wolnością testamentową, ubezpieczyć stanowisko kobiety, przywrócić małżeństwo religijne obowiązkowe. W stosunku zaś pracodawców z pracującymi, wyrabiać ducha patronatu u jednych i przywiązanie u drugich, za pomocą trwałości zobowiązań. Oprzeć wreszcie konstytucyę społeczną na życiu wiejskiem, ograniczając i isolując miejskie[5].

Podporządkowanie zwyczaju prawu pisanemu sprawiło wyrodzenie się ustroju gminnego, niezgodne z duchem ludu; rozszerzyć przeto należy autonomię gminną i strzedz jej tak od uzurpacyi mo-

systematycznie do 18,109! w r. 1878, i nadwyżki urodzeń z cyfry 171,943 spadającej systematycznie a gwałtownie do 98,175 w r. 1878, oraz porównanie ilości czasu potrzebnego do podwojenia się ludności: w Norwegii 51 lat, Anglii 63, Szwecyi 89, Niemczech 98 a we Francyi, która potrzebuje ich 334! najzrozumialszą dziś wymową cyfr każe te wzory badać i naśladować nie w ślepem aklimatyzowaniu instytucyj ich, ale w podstawach, co te instytucye wytworzyły; ob. Programme de Gouvernement, Paris 1881, str. 86 i nast.

[1] Wydanie 5-te tom III. §. 65—67.

[2] La paix sociale après le désastre. Tours 1876.

[3] La Réforme sociale en France. Wyd. 5-te tom III. §. 65—67.

[4] Stanowisko religii i duchowieństwa, ob. La Réforme sociale en France, wyd. 5-te, tom III., str. 194, 214, oraz La Constitution Essentielle str. 84—89. Missya katolicyzmu ob.: Le Play d'après la correspondance, str. 273, 4 etc. Kościoła kat. Org. du travail 3ed. 1871 str. 194 i nast.

[5] La Réforme sociale en France, wyd. 5-te, t. III. §. 64 str. 432 i nast. Org. du travail 3ed. 140—156.

narchizmu, jak zamachów rewolucyi. Kardynalną zasadą w gminie ma być wolność zupełna elementarnego nauczania[1]. Prowincyę, powstałą ze związku dobrowolnego gmin, przywrócić należy jako naturalny wyższy poddział polityczny na miejsce obecnego sztucznego departamentu, przywracając systematycznie autonomię jej finansową i sądowniczą, z uwzględnieniem tradycyj historycznych, wspólności rasowych, położenia geograficznego, układu geologicznego i orograficznego, klimatu, produkcyi rolnej, przemysłowości i zbytu handlowego[2]. Wreszcie rząd centralny winien strzedz spokoju publicznego i dawać wzór cnoty: więc atrybucyj swych nie przekraczać; atrybucyami zaś temi są: 1) organizowanie władz prowincyonalnych i egzekutywy dla nich; 2) utrzymanie dobrych stosunków z obcymi narodami; 3) organizacya i administracya armii i 4) floty, jako ochrony granic lądowych i morskich, i protekcyj krajowców na morzach; 5) opiekowanie się koloniami do czasu dorośnięcia ich do samodzielnego życia; 6) utrwalenie dobrego systemu finansów. Reforma więc w dwóch słowach da się streścić, centralizacya polityczna, decentralizacya administracyjna.

Jako wzory, lecz nie bez zarzutów, stawi a Le Play systemy rządu wyrobione w Anglii i Szwecyi. Polegają ich konstytucye na „wolnościach potrzebnych“. Gmina wolna, kontrolowana tylko przez państwa, jedynie w interesie pokoju społecznego, powierzoną ma pieczę, aby ludności zapewnić chleb powszedni i naukę elementarną. Poleca nadewszystko Le Play przejęcie się duchem konstytucyi angielskiej, dającym się streścić w dwóch słowach: „poczucie obowiązku z poszanowania prawa moralnego płynące“.

Żywotność nauki Le Play'a, której nawet krytyk przenikliwy, poważny i do zbytku „trzeźwy“, hr. d'Haussonville[3], przyznaje wyjątkowe stanowisko wśród doktryn, społeczne zagadnienia traktujących, przejawia się już w tem, że wśród rozterki panującej we

[1] Wyczerpujemy traktat o wychowaniu ob. La Réforme sociale en Fr. Wyd. 5t-e tom I. §. 28 i tom II. §. 47; niemniej Org. du travail 3ed. str. 414—439.

[2] La constitution de l'Angleterre i La Réforme sociale en France, wydanie 5-te t. III., do 288 str.; najważniejszy jest §. 61: „Duch konstytucyi angielskiej“.

[3] Le combat contre la misère, par M. le Comte d'Haussonville (Revue des deux Mondes) 15 Mars 1885, str. 291, przypisek I.

Francyi ona trwa i w miarę grożących przewrotów rekrutuje nowe siły do cichej, lecz wytrwałej a dodatniej pracy, czy to w epoce, kiedy ludzie przewodni z różnych obozów politycznych godzili się wspólnemi siłami w myśl Le Play'a pracować nad ratunkiem społeczeństwa [1], czy za drugiego cesarstwa, kiedy szkoła monomistów wykształconych metodą monografii została uznaną za instytucyę użyteczności publicznej 1885 r., czy za poparciem Napoleona III., widzącego przepaść, do której społeczeństwo francuskie dążyło i chcącego, spóźnionym niestety ratunkiem, własne winy zamachu stanu 1851 r. okupić i kataklizm zażegnać [2], czy wreszcie po kataklizmie, którego przepowiednia fałszywą nutą w r. 1864 wśród blasku i lekkomyślności drugiego cesarstwa zabrzmiała, a spełniła się w lat 7 co do joty [3]. Nauka Le Play'a nietylko przetrwała, ale dziś z powstaniem stałego organu szkoły dwutygodnika *La Réforme sociale* [4] wszystkie instytucye szkoły działać zaczęły raźniej i jednoliciej.

Instytucye te, to: 1) Wydawnictwo całej seryi dzieł naukowych [5]; to 2) wykłady peryodyczne na posiedzeniach stowarzyszonych i po za niemi; to 3) szkoła podróży, kształcąca w metodzie obserwacyj tych, co mają zbierać materyały monograficzne [6]. Wy-

---

[1] Wyliczenie osobistości wybitnych, między któremi nazwiska F. Arago. A. Tocqueville, Montalembert, Dupanloup, Dumas, Rotschild dają wyobrażenie o różności obozów politycznych, znajduje się w przypisie 1, na str. 239. Constit. Essentielle.

[2] Szczegóły dyskusyj w radzie prywatnej ces. Napoleona III. zamieszczone w Constit. Essentielle na str. 291—3. Ciekawa geneza uchwały „konwencyi" 7 marca 1793 wzbraniającej prawa testowania tamże w przypisku do str. 294

[3] Porównać ostrzeżenia o grożącym kataklizmie w La Réforme sociale en France, w wydaniach 1-em 1864, w 2-m 1866, w 3-m 1867; powtórzone w wydaniu 5-em, tom I., str. 215, z dodatkiem p. t.: L'Erreur jako epilog z r. 1878.

[4] Dwutygodnik p. t.: „La Réforme sociale organe de l'école de la paix sociale", wychodzący w Paryżu od r. 1881 pod naczelną redakcyą p. E. Demolius. Bd. St. Germain 174. (prenumerata roczna 15 fr. i porto).

[5] Towarzystwo ekonomii społecznej wydało i wydaje Les Ouvriers des deux mondes; 5 tomów wychodzi poszytami, z których każdy jedną monografię rodziny zawiera. Bulletin des séances, 7 tomów; zastąpił je dziś dwutygodnik, La Semaine de l'economie spéciale 3 tomy. Programme de Couverhamlet I. t.

[6] W roku bieżącym liczy 85 słuchaczów w większej połowie uczniów wszyst-

dawnictwo ich wynoszące dotąd 5 tomów, nosi tytuł *Les ouvriers des deux mondes*. 4) A najpłodniejszą z nich to ligi pokoju społecznego, powstające i rozrastające się tak we Francyi, jak w reszcie Europy, najsłabiej może w Polsce [1], a złożone z tych ludzi, co zaniechawszy, jako grupa, wszelkiej agitacyi w dziedzinie polityki, pracują nad pokojowem szerzeniem nauki Le Play'a i stosowaniem jej do życia w zakresie, jaki każdemu z nich stanowisko społeczne, od rodzinnego począwszy, otwiera. Ligi wyrabiać mają moralnie, oraz skupiać ludzi nazwanych przez Le Play'a władzami społecznemi, co pełnieniem jego nauki przerodzą z czasem społeczeństwa, zwracając je ku prawu moralnemu współrzędnie z postępem materyalnym i intellektualnym.

Zapożyczywszy metodę do niniejszego studyum od wielkiego historyka Cezara Cantu, pozwolę sobie zakończyć zdaniem drugiej znakomitości historycznej, co dziełem swym położył a niespożyte podwaliny historyi Francyi — Taine'a. Czterotomowem dziełem swem *Les origines de la France contemporaine*, wywołał on osłupienie, jakie sprawia w miejsce konwencyonalnych obrazów przejrzenie faktów historycznych w nagim ich realizmie. Kto zna Taine'a ten wie i czuje, iż nie pisze on ani w interesie jakiegobądź stronnictwa, ani w obronie tej lub owej tezy, ale tylko z chęcią wżycia się

kich wyższych zakładów naukowych w Paryżu, a w mniejszej profesorów, publicystów, adwokatów etc.

[1] Nawet publicystyka nasza mało się Le Playem zajmowała, może nie dość wytrwale i umiejętnie szukałem, ale oprócz ze wzmianek drobnych po dziennikach to postać mało znana powszechnie. W korespondencyi „Słowa" warszawskiego z dnia 20 lipca 1883 r. z Paryża o kongresie międzynarodowym Towarzystwa ekonomii społecznej obeznaje p. Z. Fodakowski bliższe i wyczerpujące szczegóły o dziele Le Playa jako reakcyi wielkiej rewolucyi. Pozwolę sobie zwrócić uwagę szanownego ekonomisty iż nie „wnioski, które francuzowi synowi rewolucyi wydać się musiały nowymi", ale nową jest metoda badania i nowem owo dojście przez indukcyę do prawdy najwyższej, owo sprawdzenie prawa Bożego. W ogóle zapatrywanie optymistyczne autora na stosunki polskie względnie do francuskich, tak powszechne zresztą u nas, jest conajmniej niebezpieczne. Myśmy jak francuzi ulegli całkiem działaniu rozkładowemu zasad tej wielkiej rewolucyi, a choroba z „podziału przymusowego" kodeksu Napoleona tak głęboko zakorzeniona, iż najpoważniejsi dziś prawnicy nasi, widzący jej antispołeczne działanie, jak niegdyś senatorowie 2-go cesarstwa, wahają się na nią uderzyc, gdyż zanadto wedle słów ich „przeszła w krew narodu".

w przeobrażenie, jakie w wieku ostatnim przebyła Francya. Poznawszy zaś i Le Play'a, widzi się na każdym kroku powinowactwo ich ducha. Pismo Taine'a, to owoc badania metodą obserwacyjną, jak sam się wyraża: badania przyrodnika [1], a ogłasza je, jak mówi, dla zwolenników zoologii moralnej, naturalistów ducha, szukających prawdy, a nie dla ogółu, który rzekomo już ją znalazł, mając trwałe uprzedzenia i opinie, niby wyrobione o rewolucyi [2]. Przenikliwszy od Thiers'a różni się od niego zasadniczo; bo kiedy ostatni ze źródła sławnej historyi bierze przerobione już drukiem w Monitorze mowy i idee trybunów, ulegając sam ułudzie, a przez to widzi i przedstawia tylko „dekoracye rewolucyi", to pierwszy bada i wykrywa nam przed oczy jej „kulisy". Otóż Taine w listach o Le Play'u tak się wyraża [3]: „W pracy „mej historycznej instynktownie zawsze monografie odtwarzałem. „Sądząc oderwane zasady wedle ich zastosowania i działania, sta„rając się tu zawsze badać jednostkę cielesną i żywą w rodzinie, „domu i przy pracy, usiłowałem rozwikłać uczucia istotne od na„wyknień i panujących uprzedzeń. Dzieło moje, to w gruncie mo„nografia współczesna społeczeństwa francuskiego, a ostatni tom „służyć może jako dodatek do *Ouvriers des deux mondes*".

W ostatnim zaś tomie swym Taine powiada, że Le Play metodycznemi poszukiwaniami swemi ścisłemi i głębokiemi oddał pierwszorzędną przysługę tak polityce jak historyi. Odtwarzając i rozbierając szczątki dawnej organizacyi społecznej, wykazuje obszar i gru-

---

[1] Niech mi wolno będzie na tem miejscu zaprotestować „Semproniusa" słowom w książce p. t.: „O socyalizmie w obec potrzeby poprawy społecznej", Kraków 1882. na str. 75, 6. Nadewszystko socyologia grzeszy wyborem metody, czy ją nazwać indukcyjną, czy experymentalną, lecz zawsze metody sensualistycznej tam, gdzie obserwacya zmysłowa nie daje żadnej bodaj wskazówki dla tłumaczenia objawów życia społecznego. Taka metoda badań, stosowana do dziedziny duchowej, daje rezultaty zawsze ujemne, jeśli nie całkiem mylne, i co więcej obniża stopień ogólnego humanitarnego wykształcenia, oraz zwęża widnokrąg i przytępia polot umysłu ludzkiego. Taine a nadewszystko Le Play są żywem zaprzeczeniem tezy. Rezultaty owe ujemne wydaje tylko użycie metody z złą wiarą lub niedostatecznem przygotowaniem. Sama metoda temu nie winna.

[2] Ob. Taine. Revolution, tom III. ustęp.

[3] Ob. La Réforme sociale, dwutygodnik, z 1-go kwietnia 1885, Nr. 103. str. 346.

bość jej pokładu — dziś całkiem prawie zniszczonego — i zakończa słowami: „Własne me obserwacye we Francyi i wspomnienia licują najzupełniej z odkryciami Le Play'a".

I cóż mogę od siebie dodać. Do tych słów wielkiego historyka współczesnego chyba to jedno, że poznawszy Le Play'a niepodobna nie podziwiać w umyśle tym potężnym metodą, nauką, intelligencyą i pracą, a potężniejszej jeszcze miłością ludzkości, owego przejścia drogą indukcyj od ateizmu przez deizm do poznania Prawdy Najwyższej i uznania jedynego Kościoła, przechowującego w czystości naukę bożą w katolicyzmie.

Skłoniło to tych, co mię do pracy niniejszej zachęcili i materyałów głównych dostarczyli, do spopularyzowania autora, tak wybitnym językiem czasu, bo oczywistością cyfr i faktów przemawiającego do przekonania. Nieudolną tę pracę moją pragnę aby krytykowano, to mi da sposobność rozjaśnienia, a przedewszystkiem dowiedzie z a i n t e r e s o w a n i a się Le Play'em, który odczytany w oryginale; obronić sam najlepiej potrafi swą sprawę, jako sprawę prawdy.

Achiles Breza.

PRZED 800 LATY.

(Dokończenie).

II.

Na dniu 22 kwietnia 1073 r. odprawiały się w bazylice lateraneńskiej solenne egzekwie za duszę ś. p. Aleksandra II. Wśród żałobnych kantat podniósł się okrzyk ludu: „Piotr św. obiera Hildebranda na następcę sobie". Następnie kardynałowie, zebrani w kościele św. Piotra w okowach wybrali go papieżem: „ażeby Stolica ap., słowa są publicznego dokumentu elekcyi, nie pozostawała długo w żałobie, pozbawiona swego pasterza, my kardynałowie... zebrani w bazylice św. Piotra w okowach, za zgodą obecnych tu biskupów, kapłanów, proboszczów i mnichów, przy okrzykach znacznego tłumu ludzi płci obojej i różnego stanu, obieramy za pasterza i najwyższego biskupa męża religijnego, biegłego w jednej i drugiej (t. j. duchownej i świeckiej) nauce, znamienitego miłośnika sprawiedliwości, nieustraszonego w przeciwnościach, umiarkowanego w powodzeniu i według słów apostoła, ozdobionego dobrymi obyczajami, wstydliwego, skromnego, trzeźwego, czystego, gościnnego, zarządzającego dobrze swoim domem, wychowanego i wykształconego starannie od lat dziecięcych na łonie matki Kościoła, za zasługi swoje posuniętego po dziś dzień na godność archidyakonatu; słowem, archidyakona Hildebranda, i chcemy i postanawiamy aby się odtąd nazywał Grzegorzem papieżem apostolskim. — Zgadzacie się na to? — Zgadzamy. — Żądacie go? — Żądamy. — Zatwierdzacie go? — Zatwierdzamy. Hildebrand, który opierał się elekcyi ludu w Lateranie, przyjął tyarę ofiarowaną sobie przez kardynałów także i duchowień-

stwo, nie koronował się jednak papieżem, dopokąd nie uzyskał zatwierdzenia Henryka IV., bo ten przywilej warowała mu konstytucya Mikołaja II. o której wspomnieliśmy wyżej. Biskupi niemieccy i lombardzcy, świadomi swej symonii, przelękli się Hildebranda papieża, naglili Henryka IV. do wyboru anti-papy. Henryk jednak nie uległ tą razą pokusie, wysłał do Rzymu komisarza swego hr. Eberharda, który uprzejmie przyjęty przez Hildebranda, rozpatrzywszy się bliżej w sprawie elekcyi, zatwierdził ją w imieniu króla Niemiec. I wnet po wyświęceniu wybranego papieża Hildebranda na kapłana i biskupa, był bowiem dotąd dyakonem, nastąpiła jego koronacya w dzień śś. Apost. Piotra i Pawła.

Teraz dopiero pełnią władzy okryty przystąpił Hildebrand, odtąd Grzegorz VII., do przeprowadzenia swojej wielkiej myśli federacyi państw chrześcijańskich pod opieką Kościoła, *reipublicae christianae* w ścisłym znaczeniu słowa. Myliłby się jednak, ktoby sądził, że grały tu rolę motywa ambicyi i światowładczej polityki. Pomijając współczesnych i późniejszych pisarzy katolickich, protestanci Vogt i Gfroerer wykazali dowodnie, że przewodnią myślą Grzegorza VII. było podźwignięcie Kościoła za pomocą reformy obyczajowej kleru i wyzwolenia go z pod władzy świeckiej w tym celu, iżby Kościół czysty i wolny, *ecclesia libera non serva,* tem łatwiej i skuteczniej wprowadzić mógł w życie ludów i społeczeństw one boskie, wzniosłe, iście cywilizacyjne idee i pojęcia chrześcijańskie, które przyniósł Chrystus Pan, nie dla tego, aby gdzieś w oderwaniu *in abstracto* rozbierane i podziwiane były, ale aby przeszedłszy w szpik i kości *in sucuum et sanguinem* i pojedynczych ludzi i narodów całych, stały się modłą życia i regułą działania dla wszystkich. Nic lepiej nie przedstawia rzeczywistej myśli Grzegorza VII., jak słowa jego listu do opata Kluniaku Hugona w pierwszym roku pontyfikatu pisane: ... „Dokądkolwiek rzucisz okiem, to ledwo gdzie znajdziesz biskupów, którzyby prawą drogą dostąpili swej godności i wiedli życie tej godności odpowiedne, którzyby z miłości ku Chrystusowi a nie dla świeckiej ambicyi urząd swój wypełniali. Niemasz królów i książąt, którzyby chwałę bożą nad swoją własną i sprawiedliwość nad podły zysk przekładali... Dlatego Kościół musi być wolny i to przez tego, który jest głową jego, naczelnikiem chrześcijaństwa, słońcem wiary, przez papieża.

On to powinien sługi ołtarza oswobodzić z pętów, przez świecką władzę nałożonych. Papież na miejscu bożem postawiony, bo on rządzi Jego królestwem na ziemi. Kościół rzymski, jako matka wszystkich, rozkazuje wszystkim i każdemu z osobna we wszystkiem; między nimi są i cesarze i króle i książęta i arcybiskupi i biskupi i opaci, a wszyscy pokornie słuchać muszą. Skoro chodzą grzeszną drogą, to ta święta matka na lepszą ich musi sprowadzić: jeżeli nie czyni tego, to grzeszy przez nich... Na jakikolwiek opór w swem dziele napotkał ten, kto na miejscu Chrystusa na ziemi postawiony, musi go zwalczać, przetrzymać, przecierpieć, jak Chrystus cierpiał. Wszystkiemu co złe wypowiedzieć musi walkę i zagładę, aby spokój w świecie utrwalić, wszystkim dla prawdy i cnoty uciśnionym przyjść musi w pomoc. Prześladowanie i utrapienie nie może go odwieść od tego świętego celu. Kościół musi być wolny, a ci, którzy w nim są, muszą być nienaganni i czyści. Dokonać tego, oto pierwsze zadanie papieża". (Vogt. Gregor VII., str. 197, 204).

W urzeczywistnieniu tego zadania należało raz już koniec położyć klerogamii i symonii. W tym kierunku pracowano pod czterema poprzednikami Grzegorza VII. przez lat 25 i wydano surowe dekreta, jednak pomimo to występki te nie zniknęły zupełnie, owszem, w Niemczech mianowicie i w Lombardyi grasowały w najlepsze. Pochodziło to ztąd, że znajdowały one silną dźwignię i podporę w świeckiej władzy, w t. zw. inwestyturze. Poprzednicy Grzegorza VII. nie mieli animuszu, czy też nie uważali za stosowne wystąpić otwarcie przeciw przywłaszczonej prerogatywie królów, która oddawała im w ręce faktyczny rząd Kościoła, królewską ich władzę zamieniała w kościelną, zasilała ich wiecznie pusty skarbiec, była im więc podwójnie drogą i nie oddaliby jej bez zawziętej walki. Gromili więc papieże i surowemi karami okładali symonię i niemoralność kleru, ale ani jeden dekret nie znosił inwestytury. Cóż się więc działo? Masy ludu i pewna lepsza, pobożniejsza część panów i szlachty popierała moralnie usiłowania papieży, brzydziła się bowiem księżami niemoralnymi i symoniackimi biskupami, ale nie było w jej mocy usunąć złe, zmusić występnych do posłuchu dla dekretów papieskich. Przeciwnie, dotknięci tymi dekretami dygnitarze kościelni znajdowali opiekę u króla, któremu zwyczaj in-

westytury nadawał *de facto* najwyższą nad nimi władzę, opłacaną sowicie [1].

Grzegorz VII. odważył się pierwszy zadać cios śmiertelny inwestyturze, nie lękając się bynajmniej walki, która ztąd wybuchnąć

---

[1] Warto się bliżej rozpatrzeć w tej instytucyi czy zwyczaju. Dobra kościelne biskupstw, opactw i prelatur składały się: 1-o z dóbr danych na własność (alodialnych) Kościołowi przez fundatorów czyli erektorów tych biskupstw lub opactw. Dobra będąc z natury swej własnością prywatną powinny na zawsze pozostawać w wolnem rozrządzaniu swego właściciela t. j. Kościoła. 2-o Oprócz tych dóbr fundacyjnych nadawali królowie lub książęta biskupstwom i opactwom pewne niekiedy bardzo znaczne obszary ziemi prawem lennem tj. z warunkiem służenia królowi w wojennej potrzebie i płacenia mu daniny. Kościół nie był tych dóbr właścicielem, tylko używaczem *usufructuarius*, i dla tego król jako dóbr tych pan i właściciel miał prawo, zwyczajem ówczesnych wieków uświęcone, nie tylko domagać się od biskupów, opatów i innych prałatów homagii t. j. zależności i służebności jak od innych świeckich lenników, ale nadto przysługiwało mu prawo nadawania tych dóbr lennych i ztąd powstał bardzo dawny jeszcze za Ottonów zwyczaj, że po śmierci opata zakonnicy składali w ręce króla lub księcia pierścień opacki prosząc go, aby nadał nim tego, którego oni na kapitule zakonnej opatem obiorą. Tak więc kościelna kanoniczna elekcya biskupa lub opata poprzedzała inwestyturę królewską, która nie była czem innem tylko zatwierdzeniem elekta, a zwyczajem wieku przedstawiała się w symbolicznem poślubieniu dyecezyi lub opactwa pierścieniem i symbolicznem oddaniem pastorału jako znaku biskupiej i opackiej władzy. Z biegiem lat jednak królowie i książęta przywłaszczyli sobie też same prerogatywy i co do dóbr alodyalnych, będących własnością Kościoła i uważając całe biskupstwo i całe opactwo za swoją królewską własność, oddawali je komu chcieli nie oglądając się już ani na wybór ani nawet na życzenia dyecezyi lub klasztoru tak dalece, że dopiero po otrzymaniu inwestytury od króla, biskup lub opat wchodził w swoje prawa, bez względu na to, czy przedtem lub potem został wybrany kanonicznie. Wybór ten zresztą, *(electio canonica)* stracił przez to całe swoje znaczenie, stał się czczą formalnością i bywały nierzadko przykłady, że mianowany przez króla biskup lub opat wbrew woli swoich elektów zbrojnym ludem zajmował swoją rezydencyę i przemocą na biskupstwie lub opactwie się sadowił. Faktycznie więc nie papież i Kościół, ale król i państwo obsadzał biskupstwa i opactwa. Wyglądało to zupełnie tak, jak gdyby w dzisiejszej Austryi papież lub prymas salzburski mianował urzędników państwowych i rozdawał komendy w wojsku. Następstwa tego anormalnego stosunku były szkodliwe obojej stronie, ale przedewszystkiem Kościołowi. Zwyczaj był prastary, że żaden lennik lub poddany nie przychodził do swego pana i króla z próżnemi rękami, powoli te dobrowolne dary zamieniły się w obowiązkową prawną taksę. Niebawem biskupstwa i opactwa i wszelkie prałatury miały zwyczajem naznaczoną opłatę dla króla, którą licytywali *in plus* chciwi honorów i dochodów kandydaci. Oto geneza symonii. Królowie, zwłaszcza tak rozpustni i rozrzutni jak Henryk IV. albo Filip I. francuski, wie-

miała. Mógł zresztą liczyć na sprzymierzeńców. Naturalnymi sojusznikami papieża były masy ludu i część zacniejsza szlachty, pragnąca mieć uczciwych i przykładnych księży i biskupów; byli także nimi książęta i panowie możni, którzy w wyzwoleniu Kościoła z pod królewskiej przewagi widzieli nie bez słuszności gwarancyę i zabezpieczenie swoich własnych swobód i niezależności politycznej. Przy królu stała gromada dworaków i tłum niestety znaczny symoniackich biskupów i niemoralnego kleru.

Już na pierwszym synodze postnym w Rzymie 1074 r. ponowiono dawne dekreta przeciw niemoralności kleru i exekucye ich powierzono masom ludu i zadekretowano, że biskupi, którzy w swej dyecezyi tolerują żonatych księży i dyakonów, tracą swą jurysdykcyę, a dyecezanie wolni są od posłuszeństwa takim biskupom, w dalszym uporze zagrożono takim biskupom klątwą. Następny synod postny 1075 r. wydał pierwszy stanowczy dekret przeciw inwestyturze: „Ktoby odtąd biskupstwo, albo opactwo z rąk świeckiego pana przyjął, temu odbiera się łaska św. Piotra i wstęp do Kościoła zostaje mu wzbroniony, dopokąd grzesznie nabytej godności nie złoży. To samo rozumieć należy o niższych godnościach kościelnych. Każdy zaś cesarz, każdy król, książe, margraf, graf, każda świecka władza i świecka osoba, któraby się poważyła nadać inwestyturę na biskupstwo, albo jakąkolwiek inną kościelną godność, podlega tymże samym karom“. *Jacta alea est;* uderzono

---

cznie bez pieniędzy, czyhali tylko na te wakancye, aby je sprzedać jak najdrożej. Cnotliwi i bogobojni prałaci i księża nie miewali zazwyczaj dosyć pieniędzy, aby one wrzekome taksy opłacić, przepłacać zaś króla i symonią zdobywać sobie infułę wzbraniało im sumienie, ale zato znalazło się zawsze mnogo złych, występnych, bezsumiennych duchownych, którzy odzierali swe owieczki i swe poddane i nagromadzoną w ten sposób znaczną kwotą kupowali bez szkrupułu inwestyturę królewską. Tym sposobem nikczemne indywidua dochodziły do pierwszych godności w Kościele z jak wielką jego szkodą łatwo pojąć. Ale ciż sami dygnitarze kościelni bywali dygnitarzami państwa; *Fürstbischöfe, Reichsbischöfe und Reichsäbte* stanowili główny czynnik w radzie królewskiej, na zjazdach i sejmach głos miewali przeważny. Zrozumie każdy, jaką szkodę wyrządzał sobie i państwu król nadając godności kościelne ludziom niegodnym. Zatrzymujemy się dłużej nad tem, aby przekonać jak z natury rzeczy wynikało, że Grzegorz VII. chcąc mieć Kościół czysty i wolny od symonii, uderzyć musiał i obalić to, co było złego podporą, inwestyturę.

w gniazdo os i szerszeni. Jakkolwiek w innych państwach Zachodu istniała do pewnego stopnia inwestytura i jej nadużycia, to jednak prawo elekcyjne i wolność Kościoła nie przepadla tam jeszcze zupełnie, dekret więc synodu rzymskiego nie napotkał tam na tak silny zawzięty opór. Ale w Niemczech, gdzie władza królewska za pomocą inwestytury pochłonęla prawie zupełnie władzę kościelną, podniosła partya królewska głos oburzenia i buntu.

Tą razą Henryk IV. nie oparł się pokusie. Widzieliśmy, że umierający Aleksander II. powołał go przed swój sąd do Rzymu. Uczynił to papież na podstawie średniowiecznego prawa publicznego, które przyjmując za podstawę państwowego porządku władzy i rządu wiarę katolicką, kładło na króla obowiązek obrony tejże wiary: *rex advocatus Ecclesiae.* Już zaś obrońca wiary musiał przedewszystkiem sam w osobie swojej nie być gwałcicielem tejże wiary, a skoro nim był, skoro zamiast obrony trapił i nękał Kościół; skoro zamiast sprawiedliwości i ojcowskiej opieki dla poddanych, biednych i uciśnionych, stawał na czele band zbrojnych, łupieżył, grabił i uciskał, a przytem gorszył lud wyuzdanymi obyczajami, jakto wszystko praktykował na wielką skalę Henryk IV., iż i wstyd powtórzyć, co o nim piszą nawet apologeci jego — wtenczas stawał się tyranem i tracił prawo do swej korony. W tym duchu sformułowane były dekreta rozlicznych kapitularzy Karola W. i wielu synodów, jak paryskiego 829 r., akwisgrańskiego 888 r.; a w zwodzie praw Wilhelma zdobywcy 1068 r. czytamy wyraźnie: „Król, jako zastępca najwyższego króla, jest na to postanowiony, ażeby lud boży, a zwłaszcza Kościół wysoko poważał, aby ich bronił przeciw bezprawiu, aby tępił zbrodniarzy i przed ich niecnotą poddane ochraniał. Jeżeli nie czyni tego, traci imię i godność króla“. Rzecz jasna, że w podobnym sporze króla z narodem rozstrzygać musi ktoś trzeci, a znów naturalnym ojcem chrześcijaństwa był papież rzymski, ztąd jego nazwa *papa.* Zacytowanie więc Henryka IV. przed sąd Stolicy św. z początkiem 1073 r. nie zadziwiało nikogo, odpowiadało bowiem pojęciom wieku. Grzegorz VII. oszczędzał zrazu Henryka, spodziewał się snać, że go dobrocią rozbroi, a mądrą perswazyą pozyszcze sprawie bożej, tembardziej, że polityczna jego sytuacya w skutek zbrojnego powstania Sasów niesłychanie była kłopotliwą. Jakoż pierwsza wymiana listów nacechowana życzliwością papieża, uległo-

ścią i czcią „synowską“ króla. Trwała ta pozorna zgoda miesięcy kilkanaście. Ale gdy Henryk wbrew zaprzysiężonym traktatom w Gerstungen, do których dojścia dopomógł czynnie Grzegorz VII., uwięził w zakład sobie danych panów i biskupów saskich, grabieżył i uciskał Sasów po dawnemu, a wszystkie upomnienia papieskie okazały się bezskutecznemi, wtenczas Grzegorz VII. wznowił pozew aleksandrowy, zacytował Henryka IV. na sąd swój na d. 25 grudnia 1075 r., i wręczył mu ów pozew przez swoich legatów.

Gwałtowny Henryk zawrzał gniewem, legatów wypędził z swego dworu, do papieża wystosował list grubiański, a burgrabiemu swemu w Rzymie Cencyuszowi, „kreaturze we wszystkiem uległej niemieckiemu królowi“, dał do zrozumienia, że papieża należy sprzątnąć ze świata. Nędznik ten opadł „zbrojną kupą“ papieża celebrującego mszę św. pasterską w kościele Maryi większej, znieważył go słowy i zamknął do turmy. Lud rzymski odbił dostojnego więźnia i z czcią wielką odprowadził do Lateranu. Dowiedziawszy się o tem Henryk zwołał synod do Wormacyi na dzień 24 stycznia. Stawiło się nań 28 symoniackich biskupów z Niemiec i Lombardyi a na ich czele wyklęty *propter ineptiam et inconditos mores* kardynał Hugo Candidus i spory tłum rozpustnych prałatów i księży.

Nigdy może siła przed prawem nie wystąpiła bezczelniej, brutalniej, jak na onym wormacyjskim soborczyku. Spisano tam akt detronizacyi Grzegorza VII. zarzucając mu „nienasyconą ambicyę, zaniepokojenie całego świata, oddanie spraw Kościoła wściekłemu gminowi, *(plebejo furori)* powierzenie sądów i dekretów kobietom, a rządów świata chrześcijańskiego senatowi niewieściemu“. Oskarżenia te kończą się wezwaniem: „z nikczemnych motywów ważyłeś się nazwać nas biskupów bękartami. Skoro więc żaden z nas nie wydaje ci się być dosyć godnym, to wiedz, że od dziś dnia dla nas wszystkich ty nie jesteś biskupem więcej“. Wszyscy zebrani w Wormacyi biskupi podpisali ten „najciekawszy akt średniowieczny“ krom dwóch, ale i ci wystraszeni groźbami Henryka podpisali. Król z swej strony wystosował trzy listy: Jeden do kleru i ludu rzymskiego; nazwany tam „mnich Hildebrand największym wrogiem króla, niszczycielem Kościoła Chrystusowego, zdrajcą Rzymu i niemieckiego państwa“. Drugi list „Henryka z bożej łaski króla do Hildebranda“, także dla ludu rzymskiego przeznaczony, jest oznaj-

mieniem o zapadłym wyroku detronizacyi, wzywa papieża do poddania się wyrokowi: „rozkazuję ci zejść natychmiast ze stolicy miasta Rzymu, którego patrycyat z łaski bożej i w skutek przysięgi Rzymian do mnie należy“ i nawołuje Rzymian aby wyrok ten egzekwowali: „podnieście się wierni moi przeciw niemu, niech jeden drugiego wyprzedzić usiłuje w potępieniu tego mnicha“. Wreszcie trzecie pismo do samego papieża: „Henryk nie samozwańczo, ale z świętej woli bożej król do Hildebranda, który odtąd nie jest apostolskim, ale szalbierczym mnichem. Takie pozdrowienie zasłużyłeś sobie twymi haniebnymi czynami“. Następuje szereg grubiańskich oszczerstw a jako przeciwstawienie przesadne podnoszenie królewskiej władzy; kończy się list: „ja Henryk król a ze mną wszyscy biskupi rozkazujemy ci: zejdź ze stolicy Piotra, zejdź z niej i bądź przeklęty teraz i na wieki“. (Gfroerer VII. 508—10).

Podobny soborczyk biskupów lombardzkich udało się królowi zebrać w Piacencyi; przyjęto na nim uchwały wormacyjskie.

Tymczasem Grzegorz VII. zwołał zwyczajny trzeci z kolei synod postny do Rzymu na 22 lutego 1076 r. Zebrało się 110 biskupów włochów przeważnie. Dniem przedtem stanęli w świętem mieście królewscy posłowie z onymi trzema listami. Kleryk z Parmy Roland podjął się missyi doręczenia królewskiego listu papieżowi. Wszedł do Lateranu podczas sesyi synodu i zwrócony do papieża zawołał zuchwale: „Król mój i pan, niemieccy i lombardzcy biskupi, rozkazują ci zestąpić z przywłaszczonej stolicy Piotrowej; nie miałeś prawa bez poprzedniego pozwolenia króla i bez zgody biskupów zajmować tak wysoką godność. — Wy zaś, zwracając się do biskupów, macie się stawić na przyszłe zielone świątki na dwór królewski, aby z rąk jego otrzymać papieża i ojca, ten bowiem, tu wskazał pogardliwie na Grzegorza, nie jest papieżem, ale żarłocznym wilkiem“. (Tamże 512). Poskoczyli do nędznika papiescy dworzanie „i byliby go w sztuki poszarpali, gdyby go papież nie zasłonił własną osobą“. W trzy lata potem spotkała Rolanda biskupa natenczas z Treviso, kara klątwy. Na razie solwował papież sesyę. Nazajutrz 23 lutego w obec biskupów i nieprzejrzanego tłumu Rzymian, kazał papież głośno odczytać trzy listy królewskie. Następnie, zgodnie z synodem rzucił klątwę na hersztów roboty wormacyjskiej: Sygfryda arcyb. mogunckiego i Wilhelma biskupa utrechtskiego i na

wszystkich biskupów lombardzkich, innym zaś uczestnikom soborczyku wormacyjskiego zagroził klątwą, jeżeli do 29 czerwca nie zgłoszą się ze skruchą i prośbą o pokutę. Najważniejszym atoli aktem synodu była klątwa rzucona uroczyście na Henryka IV. Ułożona w formie wzniosłej modlitwy do św. Piotra, motywuje prawomocność wyboru i władzy papieża. „W tym celu zabraniam na mocy powierzonych mi od Ciebie (od św. Piotra) kluczy w imię wszechmogącego Boga, Ojca, Syna i Ducha św., synowi Henrykowemu, królowi Henrykowi, który z niesłychaną zuchwałością zerwał się przeciw Kościołowi, rządów nad niemieckiem i włoskiem państwem, wszystkich chrześcijan rozwięzuję od przysięgi wierności, którą mu już złożyli albo złożyć mieli, i zabraniam, ażeby ktokolwiek mu jako królowi służył". Krótkie dosadne motywowanie tej kary zakończa ów akt doniosły. Osobną bullą ogłosił papież wypadek ten światu całemu; załączony do bulli kodycyl przeznaczony dla biskupów, książąt i panów, wyjaśniał powody rzuconej na króla klątwy.

Tym sposobem uratowane zostało prawo przed siłą.

Henryk zrazu nie dał za wygrane. Zwołał na zielone świątki 1076 r. synod do Wormacyi w celu wybrania nowego papieża. Znaleźli się znów na nim symoniaccy biskupi Niemiec i spory tłum rozpustnych księży. Lombardzcy biskupi odbyli już przedtem soborczyk i zgodzili się na detronizacyę papieża, do nowego jednak wyboru nie przyszło, bo kilku hersztów rokoszan przeciw Stolicy św. pokłóciło się z królem o niedotrzymane obietnice posażnych biskupstw. Podobny synod zwołany na 29 czerwca do Moguncyi rozlazł się także.

Z książąt i panów możnych nie stawił się ani jeden na onych soborczykach. W duszy byli oni radzi upokorzenieniu Henryka, którego przewaga nad papieżem groziła ruiną ich książęcej władzy, ich mieniu a nawet i życiu. Najprzód więc wypuszczono potajemnie kilku uwięzionych przez króla zakładników saskich a ci zaraz zbierać poczęli zbrojne kupy dla pomszczenia naruszonej przeciw prawu narodów swej wolności. Niebawem książęta Szwabii, Karyntyi, Bawaryi, biskupi Würzburgu i Metzu, i wielu możnych panów, porozumiawszy się ze sobą skrycie, postanowili nie tamować wolnego biegu klątwy królewskiej, a nareszcie na zjeździe w Ulm rozpisali sejm

walny na dzień 16 paźdz. 1076 r. do Triburu w celu wyboru nowego króla, tron bowiem niemiecki był podówczas elekcyjno-dziedziczny, jak u nas w Polsce za Jagiellonów. Grzegorz VII. otrzymał zaproszenie na zjazd triburski. Gdyby to było prawdą, co anti-katoliccy pisarze twierdzą o światowładczych ambicyach Grzegorza, to właśnie teraz nadarzała się do tego najdogodniejsza pora. Potrzebował przecie tylko podtrzymać zapał nienawiści książąt do Henryka, a jużby na ruinie henrykowego tronu mógł wznieść tron papieskiej przewagi"; jemu jednak nie chodziło o złamanie i faktyczną detronizacyę Henryka, ale o jego nawrócenie. Jeszcze 25 lipca 1076 r. pisał papież do książąt: „Upominamy was i jako drogich braci prosimy: usilnie starajcie się wyrwać go (Henryka) z rąk szatana i do prawdziwej pokuty nakłonić, żebyśmy go mogli przy pomocy bożej na łono wspólnej matki naszej, którą on chciał rozerwać, braterską miłością powodowani sprowadzić". W innym znowu liście z d. 3 sierp. bierze papież niejako w obronę prawa Henryka IV. przed zawziętością książąt, przypomina zasługi ojca i matki jego: „bądźcie, proszę was, pomni ułomności ludzkiej; nie chciejcie przeoczyć poczciwej i zacnej pamięci ojca i matki jego, którym równych w rządzeniu państwem nie można znaleść w wieku naszym". Umieszczona w *historisch-politische Blätter* t. 94, str. 308 bardzo krytyczna rozprawa: *Die Tage von Tribur und Canossa* wykazuje aż nadto dowodnie, że Grzegorz VII. nie miał innego celu, jak tylko nawrócenie Henryka, czyli innemi słowy przywrócenie zasady: prawo przed siłą. W tym też pojednawczym duchu dał papież instrukcyę posłom swoim do Triburu, polecił im hamować słuszną zresztą zawziętość książąt, rozgoryczonych wieloletnimi gwałty i bezsumiennością króla, i dzięki ich staraniom, zamiast doraźnego wyboru nowego króla, nastąpiła całoroczna zwłoka w tych warunkach:

„Oboja strona, król i książęta sprawę swoją przedłożą papieżowi do rozstrzygnięcia. W tym celu zwoła się sejm walny na d. 2 lutego 1077 do Augsburga. Wydanemu na nim po należytem zbadaniu sprawy orzeczeniu papieża, poddadzą się strony obie. Wszelako książęta zgadzają się na to, tylko pod tymi warunkami:

1. Posłom papieskim przyrzeknie król, że papieżowi za wyrządzoną zniewagę należne odda zadośćuczynienie, *papae debita oboe-*

dientia, competens satisfactio et digna poenitentia. Przedewszystkiem dekret wormacyjski musi być uroczyście odwołany, a wyklęci doradzcy królewscy natychmiat z dworu wydaleni.

2. Książętom przyrzeknie król, że uznając prawomocność klątwy usunie się z widowni i zamieszka jako prywatny człowiek w Spirze aż do czasu sejmu augsburskiego. Nie wolno mu nigdzie występować z królewskiemi odznakami lub z władzą królewską. Miasto Wormacya zwrócone zostanie swemu biskupowi. Pozostali dotąd w więzieniu zakładnicy będą natychmiast wypuszczeni: Najważniejsza jest klauzula: „Skoroby król tylko jednego z powyższych punktów nie dochował, to tem samem traci prawo do korony i nie czekając terminu sejmu augsburskiego, przystąpi się do nowej elekcyi". Oprócz tego oświadczyli książęta królowi, że jeżeli w ciągu roku, t. j. do 22 lut. 1077 r. nie otrzyma przez własną winę zwolnienia od klątwy papieskiej, to *juxta leges palatinas* traci koronę na zawsze, bez nadziei odzyskania jej kiedykolwiek. Przed mściwością henrykową zabezpieczono się przysięgą wzajemnej obrony.

Zagnany własną przewrotnością do matni Henryk oczekiwał z swą drużyną na drugim brzegu Renu rezultatu narad, przyrzekał przez swoich posłów, bo sam jako wyklęty zjawić się na zjeździe nie mógł, skruchę i poprawę i na wszystkie twarde zresztą warunki przystał najchętniej. Chodziło mu teraz przedewszystkiem o to, aby przed dniem 2 lutego 1077 r., t. j. przed sejmem augsburskim uwolnił się od klątwy, bo jakże upokarzająca byłaby rola wyklętego króla na sejmie, mającym go sądzić i decydować o jego losie. Przeciwnie *obstinati accusatores*, jak ich kronikarz Lambert nazywa, książęta poobsadzali wszystkie drogi i drożyny wiodące do Rzymu, aby królowi pochód do Rzymu uniemożebnić, przewidując słusznie, że z uwolnionym od klątwy królem sejm augsburski trudniejszą sprawę mieć będzie. A więc w styczniu, wśród od niepamiętnych czasów srogiej zimy, zabrawszy żonę i synka wyprawił się Henryk przez górę Cenis i stanął na ziemi włoskiej w chwili, kiedy Grzegorz VII. opuszczał Rzym, zdążając przez Mantuę na sejm augsburski. Tu doszła go wieść o przybyciu króla. Nie będąc pewnym o jego rzeczywistych zamiarach, szukał papież obronnego schronienia dla siebie i znalazł je w zamku dziedzicznym „najdroż-

szej córki św. Piotra", księżnej Matyldy w Kanossie[1]. W pierwszym swym liście do książąt, opowiadając sumarycznie przebieg rzeczy, pisze papież: „Tymczasem dowiedzieliśmy się na pewno o zbliżaniu się króla. Wysłał on już pierwej, zanim na ziemię włoską wstąpił, swoich do nas posłów, pokornie przyrzekając, że we wszystkiem zadość uczyni Bogu i Kościołowi a dla poprawy swego życia wszelkie okaże posłuszeństwo, byleby od nas rozgrzeszenie i łaskę apostolskiego błogosławieństwa otrzymał. Zwlekaliśmy z tem długo naradzając się wiele, karciliśmy go surowo przez wszystkich, którzy przychodzili wstawiać się za nim. Nareszcie żadnych nieprzyjacielskich zamiarów nie objawiając, przybył on z małym pocztem do miasta Kanossy, gdzie przemieszkiwaliśmy. Tu, przez trzy dni przed bramą zamku, złożywszy wszelkie oznaki królewskości, nędznie, bo bez obuwia, wełnianą suknią przyodziany stojąc, nie pierwej zaprzestał z wielkim płaczem błagać o pomoc apostolskiego zlitowania i pociechę, dopokąd wszystkich tam obecnych i do których wieść o tem doszła, do takiej litości i współczucia nie poruszył, że wstawiając się za nim wielu prośbami i łzami, wszyscy wprawdzie niezwykłą naszego umysłu twardością byli zdziwieni, niektórzy nam zaś głośno mówili, że nami powoduje nie powaga apostolskiej surowości, ale jakby tyrańskiej srogości okrucieństwo. Wreszcie zwyciężeni natarczywością jego skruchy i tylu wszystkich obecnych prośbami, rozwiązaliśmy go z więzów klątwy i przyjęliśmy go do łaski wspólności *(in gratiam communionis)* i na łono świętej matki Kościoła, odebrawszy wpierw od

[1] Pani ta z domu książąt Kanossa, jedyna spadkobierczyni wielkiej ich fortuny, dziwnej pobożności, energii i odwagi niewiasta, zachowała w podwójnem małżeństwie panieństwo, aby dobra jej, będące lennem Stolicy św. przeszły po jej śmierci na własność Kościoła (Gfroerer VII., 807). Sama zarządzała swem księstwem z godnością książęcą, gospodarnością kobiecą, walecznością iście męzką. Ktokolwiek się do niej zbliżył, wychodził z jej towarzystwa lepszym, pobożniejszym. Na usługi Kościoła całkiem oddana, otaczała Grzegorza VII. czcią dziecięcą, w trudnych razach niosła mu pomoc i radę pieniądzmi i siłą orężną. Za życia jeszcze swego zapisała swoje mienie Toskanię, Modenę, wraz z Regio na własność Stolicy św. Pielęgnowała nauki, mówiła wybornie po łacinie, po francusku, włosku, po niemiecku i po słowiańsku. Jej to staraniem i kosztem uczony prawnik Werner uporządkował i wydał pandekta Justiniana. Kierownikiem jej sumienia był św. Anzelm. Umarła 1115 r.

niego pewne zaręczenia *(securitatibus)*, które spisane są poniżej" (Jaffe. Monum. Greg., str. 257).

Przytoczyliśmy dosłownie pismo Grzegorza VII., bo ono jest jedynym autentycznym współczesnym dokumentem; wszystkie inne są przesadne lub niedokładne. Stawienie się Henryka IV. przed papieżem w pokutniczej postawie w Kanossie, jest tylko illustracyą zwycięztwa zasady prawa przed siłą, którą Grzegorz VII. wprowadzał w życie społeczeństw chrześcijańskich wbrew usiłowaniom króla, pragnącego utrwalić zasadę siła przed prawem. Wypadek ten moralnie wzniosły i wielki, nawet z ust protestantów wydobył okrzyk podziwu. Gfroerer np. tak pisze: „taka wzniosłość przebywa w Kościele katolickim, że przez swych najzdolniejszych naczelników zdoła do obciążonych zbrodnią królów zastosować tę samą miarę, jak do zwykłych śmiertelników; pokuta, którą papież Salijczykowi nałożył, odpowiadała tradycyom; tak jak teraz król Henryk IV., tak stali przed kilku tygodniami niemieccy metropolici i biskupi w wełnianej szacie pokutnej i boso". (VII. 579). Co więcej, stronniczy, wrogi Grzegorzowi i papiestwu Gregorovius zapomniał na chwilę swych uprzedzeń: „scena w Kanossie zmusi każdego badacza do podziwu nad prawie nadludzkim charakterem. Bezbronne zwycięztwo mnicha ma więcej prawa do podziwu całego świata, jak wszystkie zwycięztwa Aleksandra, Cezara, albo Napoleona. Bitwy, które papieże średnich wieków staczali, wygrane zostały nie żelazem i ołowiem, ale moralną siłą (a więc prawem przed siłą) a właśnie to użycie i ta skuteczność tak delikatnych i duchownych środków stawia wieki średnie niekiedy wyżej po nad czasy nasze. Napoleon naprzeciw takiego Grzegorza wydaje się być krwawym barbarzyńcą". Ale współcześni interesowani, zwłaszcza książęta i pany Niemiec nie zrozumieli odrazu tej moralnej potęgi i doniosłości wypadku w Kanossie; dla nich „scena" ta była bardzo nie na rękę, oburzała ich w wysokim stopniu. Skoro bowiem na zjeździe w Triburze papież zapośredniczył ugodę, to już nietylko król i książęta, ale i on sam do niej się stosować powinien. Umowa ta zapowiadała rozstrzygnięcie sprawy na walnym sejmie augsburskim, nie należało więc papieżowi wchodzić w tym czasie w jakiekolwiek pertraktacye z Henrykiem, tembardziej, że sprawiedliwą była obawa książąt, znających doskonale chytrość króla, iż one do niczego trwa-

lego nie doprowadzą i tylko henrykowej przewrotności ręce rozwiążą. Znał się do tego i Grzegorz VII. i dlatego opierał się długo prośbom Henryka, iż go o „okrucieństwo“ serca pomawiano. „Zwyciężony“ natarczywością skruchy henrykowej a prośb obecnych, mianowicie księżnej Matyldy, której niewieście serce nad upokorzeniem Henryka srodze bolało, rozgrzeszył króla z wszystkich grzechów, zwolnił od klątwy, podał mu własnoręcznie komunię św.; ale był to akt czysto religijny, kościelny i jedynem jego następstwem było, że Henryk mógł wejść do społeczności z wiernymi katolikami, bywać na mszy św., przyjmować sakramenta św. Wszystkie zaś polityczne następstwa klątwy, oraz wszystkie punkta stypulacyi tryburskiej pozostały w całej swojej mocy. Tego nie zrozumieli odrazu książęta i pany i mniemali, że papież lekceważąc umowę tryburską, samowolnie ubił całą sprawę, ztąd ich niechęć i oburzenie, ztąd też list papieski do nich, objaśniający rzetelny stan rzeczy. Owszem, papież kładzie w nim nacisk na to, że zdjęcie ekskomuniki nie przesądza w niczem ani umowy tryburskiej, która zresztą polecała Henrykowi pod groźbą utraty korony, aby o zdjęcie ekskomuniki w ciągu roku się postarał, ani przyszłemu sejmowi w Augsburgu, na który sam papież się wybierał: „chcemy, są słowa listu, aby miłość wasza wiedziała to jako niezawodne *(indubitanter)*, ponieważ jak to w dodanej gwarancyi czytać możecie, cała sprawa jest jeszcze w zawieszeniu“. Wyraźniej jeszcze powiada papież w bulli drugiej ekskomuniki na króla 1780 r.: „Widząc go upokorzonym i otrzymawszy od niego wiele obietnic poprawy życia, przywróciłem mu tylko społeczność z wiernymi *(solam ei communionem reddidi)*; wcale zaś nie przywróciłem go na królestwo, z którego na synodzie rzymskim go złożyłem i nie rozkazałem wcale, aby wszyscy okazali mu posłuszeństwo zaprzysiężone dawniej lub mające być zaprzysiężonem, od którego ich na tymże synodzie uwolniłem“. (Jaffe 402). Słowem, papież jako najwyższy kapłan rozgrzeszył i zwolnił od klątwy Henryka jako grzesznika; polityczna rola nie odegrała się tu żadna[1].

[1] Nie potrzebuję wspominać, że i wyklęcie Henryka i twarda jego pokuta w Kanossie nie była żadną nowością; miała swoje antecedensa w historyi, miała i potem swoje tamże stwierdzenie. Nie była też żadną ujmą, ani „zblakowaniem królewskości“, ale odpowiadała pojęciom wieku. Piszą o tem obszernie protestanci Vogt i Gfroerer. Ale za to czystem zmyśleniem, fabułą jest

Wiadomo, że Henryk nie dotrzymał obietnicy poprawy życia, że z namowy „lombardzkich byków“, symoniackich biskupów i panów w Lombardyi, już w kilka dni po wyjściu z Kanossy lżył publicznie papieża i nawoływał do krwawej zemsty nad nim; że temuż papieżowi odmówił gleitu bezpieczeństwa na sejm augsburski, na którym uchwalić miano prawa ograniczające samowolę królewską, i przez to udaremnił jego dojście, że sprzedawał dalej biskupstwa i to dwom naraz nikczemnikom, a zrzucał prawowitych biskupów i opatów; że przywołał napowrót swoich niecnych doradzców „unverantwortliche Buben“, jak ich stary Hanno koloński nazywał; że nareszcie podjudzał normandzkich rozbójników do napadów na państwo kościelne, i knuł plany krwawej zemsty na głównych sprawców tryburskiego zjazdu. Wiadomo dalej, że chcąc odwrócić wiszące nad głową niebezpieczeństwo, książęta i pany zjechali się najprzód do Ulm, potem na sejm walny na d. 13 marca 1077 r. do Forchheim, i wbrew przedstawieniom papieskich posłów wybrali królem Rudolfa, księcia Szwabii, że odtąd rozpoczyna się długa prawie wiekowa doba rozkładu i upadku Niemiec, gdzie wszystko bywało podwójne: papież i antypapa, król i antikról, królewski i antikrólewski książe, margraf, graf i hrabia; kościelny legalny arcybiskup, biskup, opat i cesarski; gdzie wszystko wzajemnie się wyklina, najeżdża grabieży, wojuje i niszczy, a w rozdrapaniu majątku i mienia kościelnego i w symonii najbezczelniejszej szuka środków pieniężnych do najgorszej z wojen, bo wojny domowej.

Cóż na to Grzegorz VII.? Mając przedewszystkiem wolność i niepokalaność Kościoła na celu, poświęca dla tej idei wszystko, własną nawet wolność i życie. W przewidywaniu krwawych wojen, które podwójna elekcya wywołać musiała, odradza książętom i panom wybór Rudolfa, nie uznaje go nigdy królem, ale też i nie wyklina, Henryka zaś upomina z wielką cierpliwością, aby dotrzymał zobowiązań danych w Kanossie. Gdy już wojna wybuchła w jesieni 1077 r., papież trzymając się zasady prawo przed siłą, po-

co współczesny Lambert popisał, a nowsi, między nimi i Gfroerer powtarzają, o sądzie bożym i złamaniu hostyi św., które Grzegorz VII. miał przedsięwziąć dla wywołania tem większego efektu. Papież dał rozgrzeszonemu Henrykowi komunię św. jak zwykle, na znak, że jest przyjęty do społeczności, *ad comunionem* z Kościołem.

średniczy zawieszenie broni między obydwoma zapaśnikami, wzywa ich, aby spory swe przed walnym sejmem, jako legalnem forum wytoczyli, dokłada wszelkich starań, aby ten sejm walny doszedł rzeczywiście do skutku. Nie udaje się to, i Henryk i Rudolf nie dotrzymują warunków zawieszenia broni. Zniecierpliwiony legat papieski wyklina ponownie Henryka. Grzegorz kasuje ten akt jako niesprawiedliwy, bo i Rudolf zawinił. Na synodze postnym w Rzymie 1078 r., na którym posłowie obydwóch królów stanęli, roztrząsa Grzegorz bezstronnie sprawy niemieckie, zaprasza Henryka do zwołania walnego sejmu, jako jedynej prawowitej władzy, która politycznym zamieszkom koniec położyć może, wysyła w tym celu swego legata i wraz z kardynałami i biskupami, którzy woskowe świece zapalone trzymając w ręce, tłuką o ziemię i gaszą, rzuca klątwę na wszystkich, którzyby dojściu sejmu walnego przeszkodzić ważyli się. Mógłże kto szczerzej, wspaniałomyślniej uszanować prawa narodowe i to w chwili, gdy posłowie stron wojujących o rozjemstwo go błagają? Zażegnawszy na razie polityczną burzę, zabrał się Grzegorz VII. wraz z synodem do reformy Kościoła, wyklął rozpustnego arcybiskupa Rawenny Wiberta, którego potem Henryk antypapą uczynił; innego biskupa Arnulfa z Kremony, o symonię przekonanego, pozbawia godności i wyklina do czasu pokuty; jeszcze innego, Rolanda, biskupa z Trewizo, który 1076 r. owe listy Henrykowe przywiózł do Rzymu, odsądza na zawsze od godności za to, że siał niezgodę między papiestwem a królewskością; kardynała Hugona, przekonanego o błędną naukę, pozbawia raz na zawsze wszelkiej duchownej władzy, a wreszcie biskupów Włoch południowych, którzy wezwani na synod samowolnie nie przybyli, zawiesza w swych czynnościach, dopokąd się nie wytłumaczą i pokuty nie uczynią. Złagodzono też skutki klątwy dla tych, którzy przez obcowanie z wyklętymi w nią popadli. Jakże dziwnie odbija taki synod rzymski od owych sejmów henrykowych w Moguncyi lub Brixen 1080 r.? Tu siła przed prawem, tam prawo przed siłą.

Sejm walny nie przyszedł do skutku, za to pod Melrichstadtem popłynęła obficie krew bratnia. Grzegorz „zmartwiony aż do głębi rozterką Niemiec“, zwołuje jeszcze raz ponowny synod do Rzymu i domaga się koniecznie walnego sejmu, bo nie siła miecza, ale prawo rozstrzygać powinno domowe spory. Posłowie Henryka

i Rudolfa tłumaczą się, że nie ich króle winni, iż sejm walny nie doszedł do skutku i poprzysięgają w ich imieniu, że na przyszłość zebraniu sejmu przeszkadzać nie będą. Synod ponowił dawne dekreta przeciw inwestyturze, symonii i biskupom, którzy w swej dyecezyi księży złego życia tolerują; obwarował dokładnie wolność wyborów duchownych, rzucił klątwę na ludzi rycerskich i żołnierzy przyjmujących jako lenno własność i dobra kościelne, zabronił pod klątwą świeckim przywłaszczenia dziesięcin, choćby im nawet od biskupa albo króla odstąpione zostały; dziesięciny bowiem obracane być mają na te cele pobożne, na które są fundowane; wreszcie potępił na nowo i nakłonił do pojednania się z kościołem Berengaryusza, którego sekciarstwem posłużyć się chciał, korzystając z rozterki Stolicy św. z Niemcami, francuski Filip I. w utworzeniu gallikańskiego kościoła, coś nakształt rządowego kościoła w Prusiech.

Tyle upragniony sejm walny zebrał się wreszcie w sierpniu 1079 w Würzburgu. Nie przybyli nań Sasi zrażeni groźbą Henryka, że w razie gdyby się domagali praw królewską samowolę ścieśniających, uważać ich będzie za buntowników i do obrad nie przypuści. Gromadził też skrycie Henryk znaczną siłę zbrojną, aby wywrzeć presyę na sejmujących. Napróżno papiescy posłowie, wierni instrukcyi Grzegorza, że „spokój Kościoła i dobro Niemiec od tego zawisło, aby sejm walny doszedł do skutku, bo tylko tą drogą osiągnąć można trwały spokój i prześladowanym biskupom dać skuteczną obronę“, usiłowali zapośredniczyć zgodę. Sejm rozlał się nie dokonawszy nic ważnego, natomiast popłynęła znowu obficie krew bratnia w bitwie pod wsią Forchheim. Rozzuchwalony krwawem zwycięztwem Henryk wysłał poselstwo do papieża, domagając się od niego klątwy na Rudolfa, w przeciwnym razie groził papieżowi detronizacyą i wyborem antipapy. Już po rozlaniu się sejmu würzburskiego Grzegorz wystosował bullę do narodu niemieckiego tłumacząc się z zarzutu, jakoby nie dosyć starał się o zażegnanie waśni i podtrzymywał rozterki Niemiec. „Wierzcie mi, słowa są bulli, że żaden z was, z wyjątkiem tych, którzy na placu boju przed nieprzyjacielem stoją, nie cierpi więcej, i nie więcej znosić musi zarzutów, jako ja. Prawie wszyscy Rzymianie stoją po stronie Henryka a nas oskarżają o zbytnią surowość dla niego. Dotąd przy łasce bożej stawiliśmy opór i na żadną stronę nie zboczyliśmy z drogi

sprawiedliwości". Teraz gdy Henryk nowy zamach knuł przeciw Stolicy św., i nowy tryumf zapewniał siłe przed prawem, potrzeba było nadać nową sankcyę zasadzie prawo przed siłą i na synodzie postnym 1080 Grzegorz VII. ponownie wyklął Henryka IV.: „Ufni w sąd i miłosierdzie boże i Najśw. Maryi Panny, wsparci na danej Nam od Przedwiecznego władzy, rzucamy klątwę na Henryka, który się każe nazywać królem i na wszystkich jego zwolenników, wiążemy jego i ich więzami klątwy. Zabraniamy mu w imieniu Boga i waszem władztwa nad Niemcami i Włochami, odejmując mu władzę i godność królewską... Na jego miejsce wyniesiony jest Rudolf, przez Niemców na króla wybrany; ażeby zaś państwo utrzymać mógł i bronić, udzielamy jemu i jego zwolennikom ze zgodą waszą odpuszczenie wszystkich grzechów i waszego błogosławieństwa w tem i przyszłem życiu... Wy zaś, zwracając się do biskupów, Ojce Kościoła i duchowne książęta, okażcie czynem, że jak macie władzę związywania i rozwiązania w niebie, tak posiadacie na ziemi władzę odbierania niegodnym korony cesarskiej, królestw, państw, księstw, margrabstw, hrabstw i innych wysokich urzędów i oddawania takowych ludziom godnym. Tyle razy odmówiliście złym ludziom patryarszej, prymasowskiej, arcybiskupiej, biskupiej godności, a dawaliście ją sprawiedliwym księżom, i to z wszelką słusznością... Wszystkie króle i świeckie pany niech doświadczą dzisiaj, czem jesteście i co możecie, aby się przelękli na potem przykazania waszego Kościoła lekceważyć. Wydajcie bez zwłoki sąd na Henryka, aby widział świat, że nie przypadkowo tylko, ale waszą władzą strącony został. Oby kara, która go spotyka była dlań ostrzeżeniem do pokuty, iżby dusza jego uratowaną została w dzień sądu Pańskiego". (Gfroerer VII. 726—28).

Tak mówił papież rozgoryczony przewrotnością Henryka i niesprawiedliwymi a sprzecznymi z sobą zarzuty Niemcow i Rzymian. Już nawet całej odpowiedzialności za ten akt nie bierze na siebie wyłącznie, rozkłada ją i na Ojców synodu i nie swojej tylko apostolskiej ale i ich biskupiej władzy pragnie nakazać posłuch i szacunek. Nie zapomniano i na tym synodzie ponowić dawniejsze uchwały — gwałcił je bowiem bezczelnie Henryk — przeciw inwestyturze i symonii i zawarowano wolność elekcyi na duchowne godności;

ponowiono także klątwę na kilku biskupów, głównych popleczników henrykowych.

Na synod rzymski i klątwę papieską odpowiedział Henryk soborczykiem 19 symoniackich biskupów w Moguncyi i sejmem w Brixen, na którym oprócz panów świeckich, 30 biskupów z Lombardyi, Burgundyi i Niemiec z wyklętym kardynałem Hugonem na czele się stawiło. Ci dygnitarze kościelni ujęci obietnicą lub przestraszeni groźbą Henryka trzymają sąd krzywoprzysiężny nad Grzegorzem VII. i ponowiwszy dawne oszczerstwa wormacyjskie, oraz dodawszy kilka nowych, jak np. otrucie 4 papieży, wydają wyrok siły przed prawem: „niechaj będzie złożony i przeklęty Hildebrand zakała Kościoła i podpalacz, Hildebrand apostoł krzywoprzysięstwa i mordu, Hildebrand kaziciel apostolskiej nauki o przeistoczeniu wina i chleba w krew i ciało Pańskie, Hildebrand obrońca arcykacerza Berengara z Tours, Hildebrand wróżbiarz i snów wykładacz, Hildebrand czarnoksiężnik i zbrodniczy towarzysz państwa duchów ciemności“. (Gfroerer VII. 738). Słusznie powiada protestant Gfroerer: „wyrok bryksenski jest czemsiś wręcz przeciwnem temu, czem go autorowie jego mieć chcieli, jest wieńcem chwały dla Grzegorza VII., *ein Ehrenkranz für Pabst Gregor VII.*“ (str. 739).

Do tej obelgi dodano nową, wybierając na antypapę wyklętego arcybiskupa Rawenny Wiberta, którego Henryk zbrojną siłą zamierzał wprowadzić do Rzymu. Zagrożony Grzegorz szuka ratunku w sojuszu zawartym z Robertem Gwiskardem wojowniczym królem Normanów, rozwiązuje go od klątwy, w którą popadł przez zabór niektórych ziem i miast papieskich, przyjmuje ponowienie lenniczego hołdu i czeka cierpliwie dalszych wypadków. Następowały one nagle po sobie. W trzeciej morderczej bitwie pod Moelsen poległ król Rudolf. Henryk korzystając z nieobecności Roberta zatrudnionego wyprawą na państwo greckie, ciągnie z wojskiem do Włoch, koronować się każe antypapie królem Lombardów w Medyolanie, odprawia z „lombardzkimi bykami“ i niektórymi biskupami synod w Pawii, pod murami Rzymu, w obozie każe antypapie koronować się cesarzem, na dwa zawody wraca do Lombardyi, aby pomnożyć swe siły i na dwa zawody w styczniu 1082 r. i w czerwcu 1083 posuwa się wraz z antypapą pod Rzym, złotem raczej, jak orężem staje się

panem tego miasta, zamyka oblężeniem Grzegorza w zamku Anioła, burzy część murów obronnych, obdarza bogato zrabowanem mieniem swoich popleczników i żołnierzy, skrycie nawiązuje stosunki z Grzegorzem VII. a równocześnie każe biskupom koronować antypapę Wiberta, który odtąd nazwał się Celestynem III., wprowadza go na stolicę Piotrową a przekupiwszy złotem znaczniejszych Rzymian, nawet najbliższe Grzegorzowi osobistości, jak kardynała Piotra kanclerza bull papieskich, i Jana z Porto, tworzy sobie w samym Rzymie silne stronnictwo. Uciśniony i zdradą Rzymian srodze zbolały Grzegorz rozpisuje 1083 roku synod bullą, w której czytamy: „Wiedzcie o tem, że pragniemy zwołać synod powszechny na jakie bezpieczne miejsce, dokądby duchowni i świeccy, przyjaciele i nieprzyjaciele bezpiecznie przybyć mogli. Tamto odsłoniemy troskliwie ukrywaną tajemnicę, kto właściwie jest sprawcą niezliczonych nieszczęść, trapiących Kościół. Chcemy też na tymże soborze przywrócić spokój i porządek i gotowi jesteśmy przyzwolić na wszystko, co z godnością Kościoła da się pogodzić... Atoli zanim to nastąpi, zwróconą być musi Kościołowi gwałtownie wydarta jego własność. W jednym jeszcze punkcie uważamy za stosowne dać wam już teraz wyjaśnienie: Rudolf, którego Sasi królem obrali, otrzymał koronę nie za naszym współudziałem, nie za naszą radą, tem mniej nie za naszym rozkazem; przeciwnie, oświadczyliśmy jawnie na synodzie, że arcybiskupi i biskupi, którzy go namaścili na króla pociągnięci być powinni do surowej oopowiedzialności, jeżeli tego czynu usprawiedliwić nie potrafią“.

Henryk przyjął na razie wyciągniętą rękę do zgody zaprzysiągł z swem stronnictwem, że dojściu synodu przeszkadzać nie będzie; pomimo to kazał opaść po zbójecku i zrabować posłów książąt niemieckich, zdążających na synod pod Forcasao, a nawet legata papieskiego kardynała Odona z Ostyi uwięził, innym biskupom przybyć na synod wprost zakazał. To oburzyło Rzymian, odstręczyli się od Henryka, wypędzili jego załogę z miast, zburzywszy wpierw pałac neronowy i zwrócili się kornie do Grzegorza. Odprawił on 20 listop. 1083 synod w Lateranie, na którym nieliczni biskupi z Włoch i Francyi się stawili, ponowił klątwę na tych, którzy pielgrzymom podróż do Rzymu utrudniają, zachęcał gorącemi słowy „jakby anioł z nieba przez usta jego przemawiał“ do wyznawstwa

wiary, chrześcijańskiego życia i wytrwania w obecnej ciężkiej doli Kościoła, ale do żadnych stanowczych praktycznych dekretów nie doprowadził. Henryk tymczasem za nagrodą 216.000 dukatów od wschodniego cesarza otrzymanych, napadł normandzkie posiadłości w Apulii, za one dukaty przekupił ponownie rzymską szlachtę, otworzoną przez nich bramą wszedł do świętego miasta, Celestynowi III. kazał się wraz z żoną raz jeszcze koronować cesarzem i dopiero na wieść o nadciągających Normanach Roberta, uszedł co prędzej wraz z antypapą, zburzywszy wpierw pałac na kapitolu i spaliwszy część miasta Leoninum zwane do Lombardyi a potem do Niemiec. Srogą była zemsta napół barbarzyńskiego normandczyka; wyciął w pień znaczną część przedajnej buntowniczej szlachty rzymskiej, zburzył kilkaset ich domów i pałaców, resztki zabytków sztuki światowładnej, pogańskiej Romy, spalił cesarskie gmachy na Palatynie.

Tymczasem w Niemczech kipiało wszystko największym zamętem. Jeszcze 1081 r. po śmierci Rudolfa wybrali Sasi wbrew odradzaniom Grzegorza „czosnkowego“, króla Hermana Luxemburczyka, którego 1084 r. opuścili haniebnie i przeszli tłumnie do Henryka, uwiedzeni jego obietnicami. Ten chcąc powetować porażkę rzymską, urządził w styczniu 1085 r. dysputę w Berkach, rzucającą jasne światło na dążność jego panowania. Stawili się na onej dyspucie, którąby do *colloquium charitativum* porównać można, prawowici k o ś c i e l n i biskupi z kardynałem legatem Odonem i arcyb. salzburskim Gebhardem na czele i c e s a r s c y metropolici Liemar z Hamburga, Wezilo z Moguncyi, Siguin z Kolonii, Egilbert z Tryestu i wielu ich sufraganów. Ze strony biskupów papieskiej frakcyi postawiono tezę: „papież wyklął Henryka IV., papieżowi obowiązani jesteśmy na sumieniu być posłuszni i dla tego nie możemy przestawać z Henrykiem IV., ani uznawać go za króla“. Z partyi cesarskiej powstał Konrad biskup utrechtski. „Udowodnimy wam, że cesarz Henryk IV. wcale nie jest wyklęty, albowiem pominąwszy to co pismo św. o czci należnej królowi rozkazuje, postąpiono z nim wbrew wszelkiemu prawu kościelnemu“, a zwróciwszy się do arcyb. Wezila „panie bracie, rzekł, czytaj“. I natychmiast Wezilo odczytał ustęp dekretaliów papieskich: „Kto pozbawiony swoich dóbr, albo bądź to przemocą, bądź to groźbą z po-

sady swej wyrzucony, ten nie może być oskarżony, cytowany, sądzony i osądzony, tylko nastąpić musi zupełne przywrócenie go w posiadanie dawnych dóbr i godności, zanim sądowne kroki przedsięwzięte zostaną". Z tej tezy wychodząc, jął dowodzić, że Henryk IV. pozbawiony był królestwa przez Sasów i Szwabów w chwili, gdy papież go wyklął, a więc klątwa ta nie ma mocy. Wywiązała się długa dysputa, która według protestanta Gfroerera zmierzała do wywieszenia „jako podstawy niemieckiego państwowego prawa kościelnego tezy: cesarz łączy w sobie najwyższą świecką i duchowną władzę, jest panem i najwyższym patryarchą państwa w jednej osobie; cokolwiek synody dla obrony biskupów i rozszerzenia ich władzy ustanowiły, wyjść to ma na jego korzyść; co do jego stosunku do papieża, to ten jest tylko duchownym pomocnikiem cesarza, tj. tylko do czynności liturgicznych, których cesarz sprawować nie może, bo jako najwyższy władzca, dzierżyć musi miecz. To nie jest po katolicku, dodaje Gfroerer, ale iście po bizantyjsku" (VII. 885), a my dodamy: to wskrzeszenie starorzymskiego *imperium mundi*, gdzie cesarz jest *imperator et pontifex sumus*, to wprowadzenie w świat zasady siła przed prawem.

Biskupi sascy przestraszeni takim obrotem dysputy berkachskiej, zebrali czemprędzej synod w Kwedlinburgu 28 kwiet. 1085 r.; przybył nań i „czosnkowy" król Herman i wielu świeckich panów i niższego kleru. Synod ten oprócz dekretów tyczących się postu i karności kościelnej, ogłosił za nieważne wszystkie sakry biskupie, udzielone wyklętym, potępił Wesila naukę o nieważności klątwy Henrykowej i supremacyi cesarskiej władzy nad papieską, jako kacerską, gdyż „papież jest najwyższą głową w Kościele, nikt nie ma prawa krytykować jego wyroków, albo je potępiać"; były to więc ciosy wymierzone na cesarskich biskupów, których pod koniec synodu wyklęto imiennie. Pomścił tę śmiałość Sasów Henryk synodem w Moguncyi w połowie maja 1085 r., na którym stawili się wysłańcy antypapy, wszyscy niemal cesarscy biskupi Niemiec i kilkunastu z Galii i Włoch. Głównem zadaniem tego soborczyku było złożenie z godności 15 prawowitych biskupów i obłożenie ich klątwą. Henryk zająwszy siłą orężną Magdeburg, zabrał się natychmiast do obsadzenia za grube pieniądze, albo za znaczne usługi wojenne, wakujących w ten sposób biskupstw i powypędzał prawych biskupów.

Cóż się działo z Grzegorzem VII.? Opuścił co prędzej niewdzięczne miasto, rozżalony wielokrotną zdradą Rzymian, zbolały ruiną Rzymu, która jako prędka kara w ślad za zdradą nastąpiła, i zamieszkał w Salernie. Tu w jesieni 1084 r. odbył synod, na którym po trzeci raz wyklął Henryka i antypapę Wiberta. Legatów swoich wyprawił do Niemiec, aby klątwę ogłosili, a do biskupów i książąt i ludów rozesłał przez nich list okólny, dający miarę o wielkości cierpień jego duszy, list testamentarny, bo ostatni w jego życiu. Poczyna on się od słów psalmu: *Quare fremuerunt gentes et populi meditati sunt inania. Reges terrae et principes convenerunt in unum adversus Dominum et adversus Christum ejus...* Nie dla innych powodów podnieśli rękę na nas, jak tylko, żeśmy na niebezpieczeństwa Kościoła nie milczeli, i nie dopuścili, aby Kościół oblubienica Chrystusowa, stał się niewolnicą... Prawdziwa wiara, którą Chrystus nauczał, biada nam, prawie z gruntu wywrócona, pośmiewiskiem się stała żydów, saracenów i pogan. Żydzi bowiem i poganie zachowują swój zakon, ale my chrześcijanie niewolnikami jesteśmy naszych pożądliwości i nie troszczymy się wcale o zbawienie nasze w tem i przyszłem życiu... Codziennie tysiące wojowników idzie na śmierć za sprawę swego świeckiego pana. Dla Boga i Zbawcy naszego nikt nie odważy swego życia, owszem, boją się, aby nie ściągnęli snać na siebie gniewu niektórych potentatów świata. A gdy się znajdzie kilku, którzy z miłości prawa bożego opór stawią nikczemnikom, to właśni ich bracia opuszczą ich haniebnie, a nadto okrzykną ich jako niemądre zapalone głowy. ...Odkąd na Stolicy apostolskiej zasiadłem, zawsze starałem się o to, aby Kościół był wolny, czysty i prawowierny. Tego nie chciał zcierpieć stary nieprzyjaciel (szatan i uzbroił wszystkie swe sługi przeciwko nam tak, że nad Kościołem rzymskim zawisło prześladowanie, jakiego od czasów wielkiego cesarza Konstantyna nikt nie pamięta. A więc bracia moi, posłuchajcie uważnie co wam powiem: Wszyscy chrześcijanie wierzą i wiedzą, że Piotr św., książe apostołów, ojciec wszystkich wierzących, najwyższy pasterz po Chrystusie, a święty rzymski Kościół matką jest i mistrzynią wszystkich innych kościołów. Jeżeli więc wierzycie to i wyznajecie, to proszę i nakazuję wam, dopomóżcież na Boga ojcu waszemu i matce waszej, jeżeli pragniecie za ich pośrednictwem

otrzymać teraz i na przyszłość odpuszczenie grzechów, łaskę i zbawienie". (Gfroerer VII. 954.955).

Jakby w szyderczej odpowiedzi na synod salerneński i pismo Grzegorzowe, odbył antypapa Celestyn III. synod w Rzymie, gdzie partya henrykowa znów górę wzięła, a w liście do wyklętego kardynała Hugona pełnym obelg na księżnę Matyldę, przedstawił siebie i jego jako męczenników świętej sprawy.

Widzieliśmy wyżej, jaki rezultat odniosła encyklika Grzegorza. Na dyspucie berkachskiej wywieszono sztandar cezaropapizmu, na soborczyku w Moguncyi uświęcono go sumarycznem złożeniem legalnych biskupów i oddaniem ich na pastwę Henrykowi. Smutne więc i smętne, ciężkie i nad wyraz bolesne były ostatnie chwile Grzegorza; siła przed prawem zapanowała na wszystkich punktach. Niewielu tylko biskupów i księży wiernych Grzegorzowi odwiedzało go na jego wygnaniu w Salernie. „Na tydzień przed śmiercią, słowa są naocznego świadka Hagano biskupa z Autun, przepowiedział Grzegorz VII. godzinę swego zejścia. Nie kładł się jednak do łóżka, ale jeszcze w dzień śmierci kazał się nieść do kościoła, miał przemowę do ludu, w której złożył wyznanie wiary w najśw. sakrament ołtarza i opowiedział swoje zamiary w rządach Kościoła. Kazał sobie potem włożyć stółę, uwolnił od klątwy wszystkich, którzy ostatnimi czasy w nią popadli, zawlókł się dopomagając sobie rękami do ołtarza, przyjął tam ostatnie sakramenta św., wrócił do swego mieszkania, i kazawszy odrobinę pieniędzy, która mu pozostała, rozdać ludowi, umarł o tej godzinie, którą przepowiedział". (25 maja 1085 r.). Ostatnie jego słowa były te, które na początku niniejszego szkicu położyliśmy: *dilexi justitiam, odi iniquitatem, ideo morior in exilio.*

Lat 800 od tej śmierci ubiegło, trzydzieści pokoleń przesunęło się na widowni dziejowej i zestąpiło do grobu; niemieckie cesarstwo przebywszy najrozmaitsze koleje, wielokrotnie już blizkie rozkładu, rozbite wreszcie zostało buławą największego z wodzów, Napoleona I. i zniknęło z karty Europy na to, aby po 60 latach wystąpić w nowej formie pod nową dynastyą. Wszystko się zmieniło: państwa i instytucye, ludzie i rzeczy, pozostało jedno i w nowo

kreowanem cesarstwie niemieckiem odrazu narysowało się wyraziście: walka dwóch zasad: siła przed prawem, wcielona w starorzymskie *imperium mundi* i prawo przed siłą, głoszona i broniona przez „wolny czysty i prawowierny“ Kościół; walka dwóch władz i potęg na ziemi, ludzkiej i boskiej; walka państwa z Kościołem, mniejsza o to, czy ją nazwiemy inwestyturą, czy cezaropapizmem lub wszechwładzą państwa. Jak nić czarna, wlecze się ona przez ośm wieków w dziejach zachodniej Europy, znacząc swój pochód cierpieniem Kościoła, udręczeniem katolickich sumień, osłabieniem i zachwianiem moralnych podstaw społeczeństwa, wezbraniem złego, bezwstydem bezprawia. Jak lat temu 800 cesarz Henryk IV. z zaprzedanemi sobie kreaturami pragnął wskrzesić starorzymskie *imperium mundi*, grabieżył najprzód mienie Stolicy św. i dobra kościelne, potem dopiero rzucił się na przywłaszczenie najwyższej władzy duchownej — tak za dni naszych zwolennicy wszechwładzy państwa, bez względu na to, czy to są książęta i króle, czy parlamenty i sekty masońskie, odarli najprzód papieża z ojcowizny Piotrowej, zostawiwszy mu według słów herszta Masonii, Cavoura, „watykan i ogródek“, rzucili się na rozdrapanie majątków kościelnych, jak to widzieliśmy nie tak bardzo dawno w Francyi i Prusiech, jak to widzieliśmy jeszcze dzisiaj we Włoszech, albo majątki te, by mienie marnotrawnego syna obłożyli ciężącą ołowiem opieką państwa. Lat 800 temu dział się ten napad na mienie Kościoła brutalnie, gwałtownie, przemocą orężną, ale za to trwał chwilowo tylko; dzisiaj jest on ulegalizowany całym aparatem prawodawczo-administracyjnym, uchwalonym na parlamentach i sejmach; pomimo to nie obeszło się bez scen tak srogich i wstrętnych, jak bombardowanie Rzymu i otwieranie wytrychem papieskiego Kwirynału 1870 r., jak zamykanie i zdobywanie klasztorów i opieczętowywanie świątyń Pańskich policyą w stolicy cywilizowanego świata w Paryżu 1881 r. Lat 800 temu, przed Henrykiem IV., który chciał być *imperator et pontifex summus*, Grzegorz VII. chroni się w Salernie; prawowici biskupi z cesarskiego rozkazu jedni wleczeni do więzień, drudzy z stolic swoich wypędzeni; ten sam los spotyka pobożnych opatów i co gorliwszych księży. Dzisiaj oczy nasze patrzą na drugiego z kolei papieża „więźnia w Watykanie“, na zbezczeszczenie zwłok Piusa IX. i grobu Klemensa IV. w Vi-

terbo; i wymienić możemy po imieniu i nazwisku biskupów i księży, których w imię wszechwładzy niemieckiego państwa, za to, że przysięgi swej biskupiej złamać i sumienia swego zaprzedać nie chcieli, odarto z wszelkiego mienia, pozbawiono pensyi, złożono ze swych stolic, wleczono przed kratki sądowe, osadzono razem ze złoczyńcami w więzieniu, napiętnowano winą zdrady państwa i buntu. Są i żyją w pośród nas te żywe pomniki, świadczące, że zasada: siła przed prawem do tych samych wiedzie bezprawi i gwałtów, chełpiącym się wolnością i humanizmem XIX. wieku, jak w onych „ciemnej średniowiecczyzny“ nieszczęsnych lat dziesiątkach. Owszem, te „ciemne“ wieki delikatniejsze były od naszego, one umiały uszanować słabą płeć niewieścią; nie czytamy nigdzie, aby napadano w onczas na bezbronne klasztory panienek poświęconych Bogu, a za dni naszych patrzyliśmy na rewizye klasztorów żeńskich przez policyę, na Siostry miłosierdzia, których nawet Turcya uszanować umie, prowadzone pod eskortą żandarmów do śledztwa i więzienia w Kościanie, na całe zastępy zakonnic wydalonych z kraju jedynie dlatego, że po chrześcijańsku wychowywały dziatwę. Jeżeli takie gwałty popełniają się w imię państwowego prawa, jak właśnie tu miało miejsce, to czyż potrzeba wymowniejszego dowodu, że żyjemy w epoce siły przed prawem? Jeszcze jedna charakterystyka ludzi i czasu. Henryk IV. w przeprowadzeniu swego *imperium mundi* oparł się na przedajności i niemoralności kleru, i postarał się o to, aby jego nadworni teologowie w dyspucie berkachskiej pouczyli społeczeństwo, że zamach jego na prawa Stolicy św. jest tylko obroną praw królewskiego majestatu. Za dni naszych prusko-niemiecki rząd prześladując Kościół, próbował stworzyć sobie katolików państwowych i księży rządowych; udało się mu to mniej pomyślnie, jak Henrykowi, ale za to cały szereg niepowołanych, bo świeckich często różnowierczych teologów, wystąpił na trybunie parlamentarnej, w broszurach i dziennikach z oskarżeniami Kościoła o tyranię, papieża o światowładcze ambicye i dowodził światu, że w interesie wolności jednostek i ogółu, państwo ujarzmić powinno Kościół.

Odwróćmy oczy od tych scen wstrętnych a pomimo przedziału wieków tak zbliżonych do siebie. Przypatrzmy się raczej analogii czynów Stolicy św. Wolność Kościoła, wydobycie go z pod nieza-

leżności od świeckiej władzy, aby swobodnie mógł głosić i bronić prawa przed uzurpacyą siły — oto ideał, cel główny życia i czynów Grzegorza VII. Inwestytura była właśnie tymi pętami trzymającymi Kościół w niewoli. Grzegorz wypowiedział jej jawną, otwartą wojnę, nie oglądając się ani na opór interesowanych w tem przeciwników, ani na trudność zadania. Nie drażnił on Henryka, ufał jego słowu pomimo znanej jego przewrotności, z niesłychaną cierpliwością czekał jego poprawy, prosił, upominał, karcił, ale gdy się wszystkie środki łagodne wyczerpały, użył wobec niego obosiecznego miecza klątwy, nie lękając się ani gwałtowności henrykowej, ani jego podstępnej dyplomacyi ustępując. Za dni naszych piusowe *non possumus* czemże było, jeżeli nie obroną wolności Kościoła, w obec uzurpacyj nowożytnego państwa, któremu w pomoc przybiegła sekta masońska i fałszywa uczoność? Długi pontyfikat Piusa IX. przedstawia także szereg układów z możnymi tego świata, aż do najdalej idących ustępstw — ale gdy dogmat prymasowskiej powagi papieża, gdy niezależność Kościoła w nauczaniu i wychowaniu kleru i ludu została zakwestyonowaną, a własność ojcowizmy Piotrowej naruszoną, wtenczas podniósł głos protestu i potępienia, którego słuchały miliony katolickiego ludu, z którym liczyć się musiały trony i rządy, nawet wtenczas, gdy ten Pius, jak niegdyś Grzegorz VII. w Salernie, odarty z mienia, pozbawiony wszelkiej pomocy od monarchów chrześcijańskich, stał w Watykanie bezbronny starzec w obec wojsk piemonckich i potężniejszej od nich sekty masońskiej. A Leon XIII.? Jak niegdyś Grzegorz VII. zaraz na wstępie swego pontyfikatu wyciągnął on rękę do zgody i pojednania z prześladowcami Kościoła, nawiązał układy, posunął się do najdalszych ustępstw wobec katolickich zarówno jak akatolickich państw, ale skoro tylko domagano się od niego uznania praw lub czynów dokonanych, przeciwnych wolności Kościoła, oparł się stanowczo i piusowe *non possumus* utrzymał w całej mocy.

Grzegorz VII. chcąc mieć Kościół wolny, musiał usunąć to złe, które było sojusznikiem niewoli Kościoła: symonię i niemoralność kleru; chciał mieć „oblubienicę Chrystusową wolną, czystą i prawowierną“. Bogu dzięki w wieku naszym dwa te brzydkie występki nie plamią duchowieństwa katolickiego. Dzięki tej okoliczności, episkopat katolicki, przeszło 1.000 biskupów, stanął jak

jeden mąż po stronie Stolicy św. w walce z nowożytnem państwem masońskiem i wśród tego tysiąca biskupów nie znalazł się ani jeden apostata, pomimo że z wielu stron usilnych dokładano w tej mierze starań, któryby świętą niepodzielną sukienkę jedności Kościoła próbował rozerwać, albo przeciwne Kościołowi głosił lub bronił doktryny; natomiast znalazło się wielu, którzy wraz z „więźniem Watykanu“ dla obrony wolności Kościoła i prawa przed siłą przynieśli w ofierze własną wolność i mienie, gotowi przynieść i życie. Ta iście duchowna, bezprzykładna niemal jedność episkopatu z papieżem, to dzieło Piusa IX., jego odważnej obrony wolności Kościoła i częstych napomnień i nawoływań pełnych kapłańskiego namaszczenia i rycerskiego ducha, elektryzujących świat cały, bo płynących z przekonania a popartych przykładem. Leona XIII. zasługą, że tę jedność i tego ducha odwagi i gotowości do poświęceń podtrzymać umie, już to swemi przemowami, już to częstymi listy, którymi świat katolicki obsyła, pełnymi wysokiego rozumu i pobożności. Dwa z tych listów okólnych czyli encyklik mają na celu, jak niegdyś za Grzegorzowych czasów podźwignięcie moralności kleru, tak teraz podniesienie naukowego poziomu wśród duchowieństwa. Wskrzeszenie filozoficznych nauk według systemu św. Tomasza z jednej strony, a z drugiej troskliwsze pielęgnowanie klasycznej i narodowej literatury usposobi i przygotuje dzielniej, w myśl uczonego papieża, duchowieństwo do walki nie na miecze i działa, ale na broń duchową, której monopol nowożytne państwo sobie przywłaszczyć usiłuje. Grzegorz VII. na corocznych synodach postnych w Rzymie koił rany, zbijał do kupy i kleił rozchwiane ówczesnego społeczeństwa fugi i spójnie, prostował błędne pojęcia, piętnował zbrodnie, karcił i karał występnych. Pius IX. i Leon XIII. w rozlicznych zjazdach, pielgrzymkach i posłuchaniach, nie mówiąc już nic o syllabusie i watykańskim soborze, uratowali czystość nauki kościelnej wśród istnej powodzi sekt, doktryn, szkół i systemów, w które wiek nasz tak obfituje; wskazali gdzie fałsz, gdzie prawda, napiętnowali sektę masońską, która za dni naszych rolę antypaty Wiberta i symoniackich biskupów henrykowych odgrywa, jako kościół przeciw kościołowi, jako instytucyę najniebezpieczniejszą wszelkiej objawionej wierze; związali w świętą ligę apostolstwa modlitwy miliony wiernych na obojej półkuli rozrzuconych; słowem,

uczynili wszystko, co przezorny wódz w zaciętej walce z przemożnym wrogiem uczynić powinien.

Grzegorz VII. materyalnie uległ, moralnie zwyciężył; pokonany od wroga, opuszczony od swoich, umarł tułaczem a jednak na grobie jego wolność Kościoła zakwitła, duchowa potęga jego owładnęła króle i książęta, ludy i narody, i przez wieki całe dzierżyła rząd duchowny w rzeczypospolitej chrześcijańskiej. I Pius IX. zwyciężony od wojsk piemonckich i masonii, ogołocony z mienia, opuszczony od państw katolickich umiera „więźniem w Watykanie". Nie weselsza jest dola Leona XIII., ale te materyalne straty są moralnem zwycięztwem, bo Stolica święta to instytucya boża i duchem bożym rządzona, na prawdzie oparta i prawdę głosi, i naprzeciw hasłu starorzymskiego państwa wskrzeszonego dzisiaj: siła przed prawem, stawia zasadę i broni jej dzielnie: prawo przed siłą. W ludach i narodach tkwi, jak słusznie powiedział Tertulian, *anima naturaliter christiana*, to znaczy zmysł moralny i sumienie, i dlatego prawda i prawo ma dla nich i zawsze mieć będzie urok i powab nieprzezwyciężony; mogą one chwilowo dać się oszołomić wielkością starorzymskiego państwa opartego na sile, które wiek XIX. wskrzesić usiłuje, mogą dać się porwać prądem nowatorskich doktryn coraz to śmielszych w negacyi, ale wcześniej czy później ocknie się w nich moralne poczucie prawa i słuszności, przemówi sumienie, przyjdą więc i przylgną do ojca chrześcijaństwa i matki wszystkich wierzących, do namiestnika Chrystusowego i do Kościoła, który im to prawo przed siłą zawsze wskazywał, głosił, za obronę jego cierpiał i walczył — i zawsze zwyciężał.

Ks. Stanisław Załęski.

KONGO.

„Alli o mui grande reino está de Congo,
Por nos ja convertido á fé de Christo,
Por onde o Zaire possa claro e longo,
Rio pelos antiguos nunca visto".
Camoens Luisiada V.

I.

Horacy nazwał Afrykę „spragnioną macierzą lwów" *leonum arida nutrix,* a chociaż mylne to orzeczenie łatwo sprostować się daje czerpiąc z późniejszych źródeł starożytnych, mniemanie popularne pozostało, że Afryka z wyjątkiem Egiptu i kilku wybrzeży, to jedno nieprzebyte morze piasku, pustynia wielka, bezbrzeżna, nad którą świeci równikowe słońce, zabójcze dla ludzkiego organizmu.

Żadnemu śmiałkowi nie przychodziła myśl przejścia w poprzek czarnego kontynentu, a do niedawna jeszcze francuscy uczeni podziwiając nieużyteczność Sahary, która miała zalegać całe wnętrze Afryki, snuli przypuszczalne plany nawodnienia całej tej przestrzeni wodami oceanu, pozostawiając tylko wybrzeża, którym ta praca tytanów dziewietnastego stulecia, miała dać klimat mniej suchy i więcej umiarkowany.

Dziwić się należy, dla czego przedsiębiorąc te scientyficzne elokubracye, odrzucano świadectwa starożytnych. Grecy i Rzymianie bowiem na kilka wieków przed Chrystusem jeszcze, badali źródła Nilu i znali jeziora, z których wypływa. Ptolemeusze wysyłali astronoma Filo dla zwiedzenia lądu afrykańskiego, badaniami temi zajmował się Cezar, a Strabo o nich pisał dla potomności.

Powszechnie znane dzieło geograficzne Klaudyusza Ptolemeusza z II. wieku po Chrystusie, dokładnie opisuje źródła Nilu i wszystkie trzy jeziora, z których wypływa rzeka Geir v. Gir, Wielki Niger v. Nigir (dzisiejszy Kongo), którego źródła leżą w pobliżu źródeł Nilu a rzeka kierując się w przeciwną stronę dąży ku zachodowi.

Najście barbarzyńców i opanowanie przez nich cywilizowanej części Europy, pogrążyło naukowe badania w stan odrętwienia. Arabowie zawładnąwszy tyle sławną szkołę aleksandryjską przenieśli ją do Bagdadu, gdzie zabłysła zapożyczonym blaskiem. Upadek jej dowiódł, jak sztucznem było jej istnienie, gdyż nauka była tam tylko płaszczem, pod którym krzewił się ciemny islamizm, ogarniając niemal połowę starego świata i w skład jego wchodzącą Afrykę. Jemu to zawdzięczać możemy tę tajemniczość, która otoczyła czarny półwysep; muzułmanie bowiem obok fanatyzmu religijnego, z którego czerpali swe siły, aż nadto dobrze pojęli, o ile to leży w ich interesie, aby całą środkową Afrykę zachować dla własnej tylko eksploatacyi. Tą eksploatacyą zaś był handel niewolnikami, z którego wyznawcy koranu ciągnęli ogromne zyski; oni to bowiem dostarczali murzynów na targi europejskie, a po odkryciu Ameryki kolonizatorowie nowego świata, za pośrednictwem tychże muzułmańskich kupców i za wory złota zdobywali ręce do pracy na żyznych polach nowego kontynentu.

Z zawiścią więc azyatów otoczyli muzułmanie Afrykę tajemniczością, przeczuwając w niej źródło bogactw, których posiadanie zapala taką chciwością wyznawców proroka. Starali się też oni i nad Egiptem rozciągnąć te same wpływy, niosąc zagładę wszelkiej starej i wolnej od wyłączności cywilizacyi, a choć po części dopięli swego celu, niemożebnem jednak było wydrzeć z pamięci Zachodu kraj, który był niegdyś państwem potężnem, stojącem u szczytu kultury a położeniem geograficznem tak blisko związany z interesami polityczno-ekonomicznymi cywilizowanego świata.

Arabom więc zapewne zawdzięczamy rozpowszechnione mniemanie, że oprócz Egiptu cała Afryka nie posiada drugiego obszaru, któryby mógł stać się ogniskiem cywilizacyi i dostarczyć warunków potrzebnych do rozwoju obszernego państwa.

Arab Ben Musa jednak, w dziele swojem *Basm*, wspomina o rzece, biorącej źródło w pobliżu jeziora dającego początek Nilowi,

a płynącej na zachód ku Atlantykowi pod nazwą Nil Ganah. Spotykamy o niej wzmianki u Arabów IX., X. i XI. wieku, później zaś widzimy tę rzekę rytowaną na wielkim stole z lanego srebra, na rozkaz Bogera króla sycylijskiego, który w XII. wieku gromadzi uczonych, proteguje wyprawy do dalekich i nieznanych krajów, aby tę pracę cywilizacyjną popchnąć naprzód.

Opisanie tej mapy znajdujemy w dziełach araba Abu-Abdala-Mohamed el Edrisi. Oprócz źródeł Nilu podaje on opis źródeł wielkiej rzeki płynącej ku zachodowi pod nazwą Ganah lub Kougo, która to nazwa z czasem na dzisiejsze Kongo się przerobiła.

Wszystkie te jednak dane były zbyt skąpe, nosiły na sobie cechę niepewnych przypuszczeń, pobieżnych opowieści podróżników, którym nie można było zupełnie zawierzyć. W XV. wieku dopiero Portugalczyk Diego-Cam wylądował na wybrzeżu 6° szerokości południowej i odkrył ujście wielkiej rzeki, którą od sąsiedniego kraju Kongo nazwał Rio de Kongo [1]. Spółczesny autor tak nam opisuje odkrycia portugalskiego podróżnika. „Minąwszy przylądek Lopez'a, wpłynął Cam na rzekę, którą miejscowi nazywali Zaira. Rzeka ta spada ze znacznej pochyłości, z wielką ilością wody pomnożonej obfitymi deszczami, które przez zimę padają, z taką siłą do morza, że o dwadzieścia mil od brzegu, jeszcze słodką wodę odróżnić można. Płynąc pod rzekę, dowiedział się Cam na migi od murzynów, że nieopodal mieszka ich król, zwany Mani-Kongo, (co znaczy Pan Konga); Cam wyprawił do niego poselstwo z podarunkami, a gdy posłowie długo nie wracali, kazał schwytać kilku murzynów na zakładników i odpłynął z nimi do Portugalii, dając jednak znać królowi Mani-Kongo, że jak tylko powróci, odda mu jego poddanych w zamian za swoich podwładnych. Król portugalski ucieszył się odkryciem tak żyznego kraju i rozkazał Diegowi wracać natychmiast do Afryki i zawieść liczne podarunki dla króla Kongo, i namówić go do przyjęcia wiary chrześcijańskiej. Radość Portugalczyków trzy-

[1] Na południowym brzegu Konga, zwanym dziś Point Padron, postawili Portugalczycy zwyczajem swoim kamienną kolumnę, na pamiątkę odkryć swoich; dawni bowiem marynarze portugalscy wieźli z sobą takie kolumny, zaznaczając niemi kraje podległe ich ojczyźnie. W każdym razie jest to wymowne świadectwo odkryć i portugalskich podróży we wszystkich krajach, gdzie się takie kolumny znajdują. (Filippo Pigafetta, Roma 1591, król Kongo).

manych na dworze Mani-Konga była wielką, gdy ujrzeli wracającego Cama, równie jak Mani-Konga z otrzymanych darów i przybycia gości. Aby uczcić Cama chciał go ustawicznie mieć przy sobie, nikomu nie pozwalając nim zajmować się. Udało się też portugalskiemu kapitanowi nakłonić króla do przyjęcia chrześcijaństwa i uzyskać kilku młodych murzynów, którzy mieli kształcić się w Portugalii".

Słynny geograf na dworze króla portugalskiego Alfonsa V., kameduła Maurus, korzysta z tych odkryć, zapisując je do dzieł swoich, a papież Mikołaj V. bullą wydaną w styczniu 1454 r. nadaje Portugalczykom Gwineę od przylądka Bajador i Nun, aż do wielkiej rzeki, którą ogólnie Nil nazywają [1].

Wkrótce też potem zaczęli Portugalczycy zakładać nad Kongiem osady kupieckie, krzewiąc chrześcijaństwo z wielkim pośpiechem, jak to widzimy z opisów spółczesnych. Pierwszymi missyonarzami w owym czasie, według Merolla, byli trzej Dominikanie, z których jeden męczeńską śmierć poniósł, a dwóch padło ofiarą zabójczego klimatu. Następnie przybyli Franciszkanie, a po nich Jezuici, którzy pozostali w tym kraju aż do zniesienia zakonu. W XVII. wieku S. Salvador, stolica królestwa Mani-Kongo i główna osada portugalska, liczyła 40.000 mieszkańców, i była głównym ogniskiem kultury, którą razem z chrześcijaństwem krzewili missyonarze. Miasto S. Salvador posiadało kolegium jezuickie, klasztor Kapucynów, kościół katedralny i dziesięć innych kościołów.

Wszystko to jednak rozsypało się w gruzy, kiedy w XVIII. wieku osady handlowe portugalskie poczęły upadać w miarę konkurencyi kolonij holenderskich i angielskich. Missyonarze też katoliccy nie mogąc tak skutecznie jak dawniej pracować, opuścili ten kraj, a chrześcijaństwo nad Kongiem upadło. Przechowały się tylko obrzędy religijne w niektórych pokoleniach murzyńskich. Livingstone, który w sto lat później opisywał te kraje, takie szczegóły przytacza. „Książe Kongo wyznaje dotąd chrystyanizm, w jego państwie znajduje się 12 kościołów pozostałych po dawnej missyi w stołecznem jego mieście S. Salvador, a w braku kapłanów przechowują przynajmniej obrzędy. Są to owoce prac missyonarskich, mówi Livingstone, Jezuitów i Kapucynów, którzy byli apostołami tego kraju.

[1] Zurla. Dissert. T. II. str. 114.

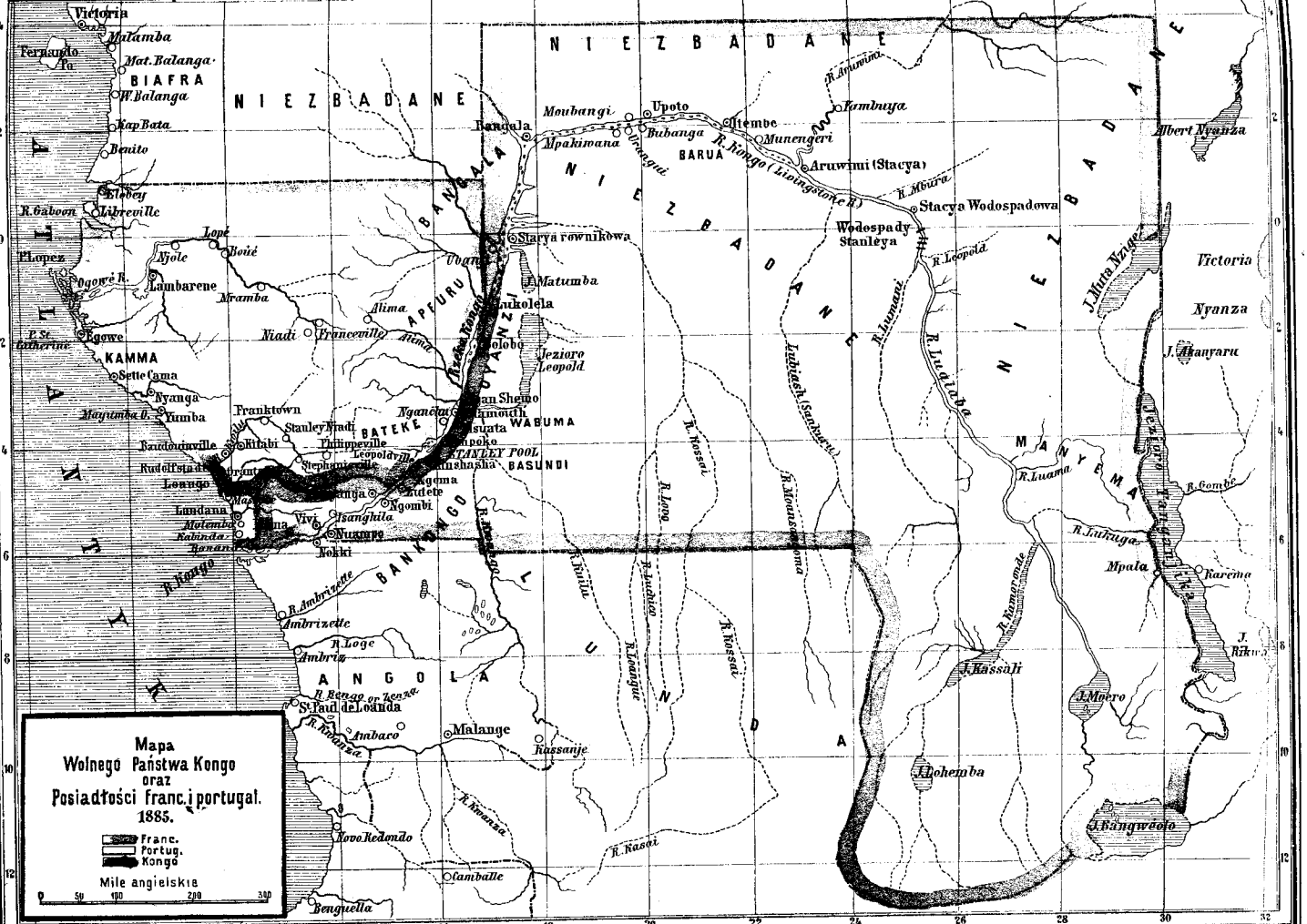
Mapa
Wolnego Państwa Kongo
oraz
Posiadłości franc. i portugal.
1885.
Franc.
Portug.
Kongo
Mile angielskie
0 50 100 200 300
NIEZBADANE
BIAFRA
KAMMA
BATEKE
WABUMA
BASUNDI
BARUA
MANYEMA
ANGOLA
BENGUELA
LUNDA
STANLEY POOL
Victoria
Fernando Po
Malamba
Mat. Balanga
W. Balanga
Kap Bata
Benito
Elobey
Libreville
R. Gabon
P. Lopez
Ogowé R.
Lambarene
Egowe
P. St. Catherine
Sette Cama
Nyanga
Mayumba R.
Yumba
Lopé
Njole
Boué
Mramba
Niadi
Franceville
Alima
Apuru
Uganda
Stacya rownikowa
Matumba
Lukolela
Bolobo
Jezioro Leopold
Nganchu
Kamouth
Isuata
Mpoko
Leopoldville
Kinshasha
Ngoma
Mudete
Ngombi
Franktown
Stanley Niadi
Kitabi
Brazzaville
Rudolfstadt
Loango
Lundana
Malemba
Kabinda
Banana
Vivi
Isanghila
Nuanpo
Nokki
R. Kongo
R. Ambrizette
Ambrizette
R. Loge
Ambriz
St. Paul de Loanda
R. Kwanza
Ambaco
Malange
Rassanje
Novo Redondo
Benguella
Tamballe
R. Kasai
R. Lopo
R. Loangwa
R. Lubilasch (Sankuru)
R. Lubilasch
R. Luama
R. Lualaba
R. Lomami
R. Aruwimi
Moubangi
Upoto
Mpakimana
Ibembe
Bubanga
Munengeri
Aruwimi (Stacya)
R. Rongo (Livingstone R.)
R. Mbura
Stacya Wodospadowa
Wodospady Stanleya
R. Leopold
Albert Nyanza
Victoria Nyanza
J. Muta Nzige
J. Akanyaru
R. Kagera
R. Luhuga
Mpala
Rareme
J. Rikwa
R. Mamaroneke
J. Kassali
J. Mero
J. Bangwaolo
J. Mohemba
R. Kassai
R. Mossamedes
R. Kwanza
R. Kwango or Lenza
R. Ambrizette
R. Loangue
R. Luchico
R. Luvua
R. Lufira
R. Lufuko
R. Kassai
R. Kwango
R. Kwanza
R. Kwango
R. Kwanza
R. Kwanza
R. Kwanza

Od czasu wypędzenia Jezuitów przez margrabiego Pombala, mieszkańcy tutejsi uczą się sami. Ci zakonnicy pełni poświęcenia zostają po dziś dzień w wielkiej czci u tego ludu, wszyscy wspominają ich z uszanowaniem i nazywają zawsze *los padres Jesuitas*“ [1].

Ten upadek kolonij portugalskich, hamujący na pozór cywilizacyę nadkongowego kraju, wydał owoce wręcz przeciwne. Francuzi i Anglicy zająwszy ościenne wybrzeża, zapragnęli podnieść handel, poznać bliżej kraj, któremu przyszłość wróży niepoślednie miejsce w ustroju świata. Obok wielu innych podróżników Burton, Speke, Livingstone i Cameron dla Anglii, de Brazza dla Francyi, zdobywają prawa do tej nowej arteryi handlowej, a Stanley jako wykonawca planów, zapisuje swe imię na liście założycieli międzynarodowego państwa Kongo.

Pierwsi więc Burton i Speke przedsięwzięli podróż w głąb Afryki. Powodowani żądzą wiedzy podniecaną przez głuche wieści o jeziorach olbrzymich i górach śniegiem pokrytych, znajdujących się na środkowym kontynencie, odkrywają w 1858 r. jezioro Tanganjikę, a w tymże roku o kilka miesięcy później Speke, posuwając się na północ, odkrywa drugie wielkie jezioro, które nazwał Nyanza Viktoryi.

Jakie znaczenie miały w hydrografii afrykańskiej te zbiorniki wód równikowych, śmiali podróżnicy na razie dobadać się nie mogli, i dopiero w powtórnej podróży kapitan John Speke przekonał się, że Nyanza Viktoryi jest głównem źródłem Nilu. To też już w styczniu 1862 r. wysyła Speke radosny telegram do towarzystwa geograficznego londyńskiego w tych słowach: *The Nile is settled*, w swoim dzienniku zaś podróżnym zapisuje pod datą 28 lipca 1862 r.: „Wyprawa dopięła swego celu. Widziałem Nil wypływający z Nyanza Viktoryi; dziś nie ulega żadnej wątpliwości, że to wielkie jezioro jest źródłem rzeki, która niegdyś unosiła kolebkę trzcinową pierwszego latopisa naszej religii objawionej“.

Wkrótce też potem Niemiec Baker przekonał się, że jezioro Nianza Alberta, jest także zbiornikiem wód Nilowych, do rzędu których na oślep zaliczano Tanganjikę, nie domyślając się wcale, że ono jest początkiem rzeki Zairu, czyli dzisiejszego Kongu.

---

[1] Livingstone ch. XIX. p. 382.

Niestrudzony missyonarz i podróżnik angielski Livingstone posunął dalej odkrycia w środkowej Afryce. W 1867 r. dotarł on do porzecza Kongo, i odkrył dopływające do niego rzeki Tschambesę i Lualabę, wypływające z jeziora Moero.

Wśród pięknego i żyznego kraju nie mógł jednak Livingstone przeprowadzić systematycznie swych badań, plemiona bowiem zamieszkujące równinę otaczającą jeziora równikowe okazywały się wrogo usposobione dla europejczyków, a jako ludożercze odstraszały towarzyszy Livingston'a, zatrzymując pochód uczonego podróżnika. Livingstone spędził prawie lat trzydzieści w Afryce, przesyłając do Europy mnogie korespondencye i opisy miejsc, które zwiedził, zwyczajów i obyczajów ludów, które poznał. Od 1870 r. atoli nie doszła już żadna wieść o Livingston'ie, budząc w świecie uczonym wielką obawę, ażali jako missyonarz nie znalazł śmierci wśród plemion dzikich i bałwochwalczych. Wtedy to gorączkowa niecierpliwość uczonych i ogólne życzenia szerszego koła publiczności obu światów skłoniły Gordona Bennet'a, właściciela amerykańskiego dziennika *New York Herald'a* do wysłania Henryka Stanley'a do Afryki, w celu odszukania Livingston'a.

Telegraficzną drogą objawił Bennet życzenie to swemu reporterowi londyńskiemu, który podjął się missyi, zdawałoby się niewykonalnej, i z małą garstką towarzyszy przedzierając się przez kontynent równikowy w grudniu 1872 r. spotkał Livingston'a na wschodnim brzegu Tanganjiki, gdzie znużony podróżnik zatrzymał się na dłuższy wypoczynek. Wielki ten zbiornik wód otoczony wegetacyą czarodziejską, nadawał się wybornie na miejsce wytchnienia, tem bardziej, że plemiona zamieszkujące brzegi jeziora zapewniały europejczykom bezpieczeństwo mienia i życia. Tanganjika zasianą jest dokoła drobnemi osadami, z których największa na wschodnim brzegu jeziora położona, nazywa się Udżidżi, i jest głównym składem towarów dla karawany przybywającej z Zanzibaru. Oprócz zboża tj. sorga i kukurydzy, głównym przedmiotem handlu są niewolnicy i kość słoniowa, której obfitość jest tu wielka. Najpośledniejsze narzędzia wyrabiają tuziemcy z tego cennego materyału, nabywcami zaś na ten przemysł domorosły są zawsze Arabi, którzy sobie wyłącznie ten handel przywłaszczyli, będąc tu gęsto zasiedleni. Z wielką też niechęcią patrzą te dzieci pustyni na europejczyków,

przewidując w nich słusznie, skoro tylko środki komunikacyjne zostaną ułatwione, niebezpiecznych współzawodników. Dzisiaj jeszcze handel w tych krajach połączony jest z wielkiemi trudnościami, wszystkie bowiem towary przenoszą się na barkach przez tragarzy, którzy służą za jedyny środek lokomocyjny. Zaprzęgi wszelkie zupełnie nieznane są w Afryce środkowej, gdzie ani konie, ani bydło utrzymać się nie dadzą z powodu zabójczej dla nich muchy tse-tse, która rojami całymi napada nieszczęśliwe zwierzęta juczne, przez europejczyków nad brzegi Nilu lub Kongu sprowadzone. Próbowano do pociągu sprowadzić słonie indyjskie, lecz się zaaklimatyzować nie mogły, miejscowe zaś wcale nieoswojone i niewyuczone żadnej usługi w tej mierze oddać nie mogą.

W tak opłakanych warunkach dla handlu i przemysłu otwarcie drogi wodnej byłoby nieocenionym nabytkiem dla tego kraju. Rozumiał to dobrze Livingstone, równie jak gość jego Stanley, lecz dla obydwóch wododziały rzek równikowych były wówczas zagadką. Livingstone mniemał, że rzeka Lualaba wypływająca z jeziora Moero, to źródło Nilu, którego najdalszym źródłem jest jezioro Bangweolo połączone dopływem z jeziorem Moero. Livingstone tak był zajęty badaniem tych jezior, że po rozstaniu się ze Stanley'em znowu powrócił nad brzegi Bangweolo, i tam zwłoki jego odnalazł Cameron wysłany w 1873 r. przez powtórnie zaniepokojoną Europę o losy jego.

Cameron oddał ostatnią posługę znakomitemu podróżnikowi, zajął się odstawieniem do morza zwłok jego, aby przewiezione do Anglii spocząć mogły w opactwie westminsterskiem, gdzie przeznaczono im miejsce i sam przedsięwziął dokończyć dzieła Livingstona. Puścił się więc z biegiem Lualaby, chcąc tym sposobem dopłynąć do jej ujścia i przekonać się, do jakiego porzecza ona należy. W pobliżu Tanganjiki napotykał przyjazne plemiona, zwiedził państwo króla Kasonga, a potem osadę Katete, której naczelnikiem jest kobieta Sułtani Muema. Ta królowa dowiedziawszy się, że „biały człowiek“ jej państwo opływa, zapragnęła go poznać. Zaproszona przez Camerona przybyła na statek otoczona orszakiem dam dworskich. Towarzyszył jej także mąż, noszący tytuł m ę ż a k r ó l o w e j. Obydwoje rozpytywali się ciekawie o użytek sprzętów i narzędzi a królowa zapraszała niemal europejczyków, aby się w jej

państwie osiedlili, i przyjęła uprzejmie podarunki ofiarowane sobie w paciorkach i perkalu.

Następnie przeprawił się Cameron przez państwo Uguhha także przyjaźnie usposobione. Droga jednak przez ten kraj była bardzo ciężką, gdyż większa część ludzi Camerona zachorowała na żółtą febrę szerzącą się tam z powodu moczarów cuchnących, a nieosuszonych gorącem 44° Reomura w cieniu. Żyzne te równiny mogące produkować gummę, trzcinę cukrową, kawę i bawełnę, mają klimat, do którego europejczykowi trudno się przyzwyczaić. Dr. Max Buchner, który jako lekarz zwiedzał rozliczne okolice Afryki, takie zdanie wypowiada. „Często twierdzono, że Afryka środkowa jest krajem zdrowym, ale dotąd nikt tego jeszcze nie udowodnił. W głębi Afryki aż do 16° szer. połud. nie ma prawdopodobnie ani jednego kilometru kwadratowego ziemi, któryby był wolny od grzybków malaryi. Wprawdzie i ja jestem tego zdania, chociaż dostatecznych dowodów przytoczyć nie umiem, że grzybki te w środku kraju nie działają tak intensywnie, jak na wybrzeżu, ztąd widocznie ludność w środku jest gęstszą niż nad oceanem“ [1]. Ze spostrzeżeń zaś Buchnera i innych lekarzy wysnuć można wniosek, że w całej Afryce środkowej na pustyniach, klimat jest zdrowym i nieszkodliwym dla europejczyków, tam zaś gdzie równiny pokrywają się bujną trawą lub sorgiem na sześć stóp wysokim, panują malarye i febry dla nich zabójcze a i krajowcom dające się dobrze we znaki. Używano przeciw tej febrze chininy, jako lekarstwa i jako prezerwatywy, ale środek ten pomagał tylko w lekkich wypadkach febry; w uporczywych objawach choroby okazał się bezsilny. Powoli więc postępowała przez te piękne pola i łąki schorzała i przedziesiątkowana drużyna Camerona, kierując się ciągle ku zachodowi.

Wśród palm, boabów dochodzących do 54 stóp obwodu, i traw jak nasze drzewa wysokich, napotykali podróżni na plemiona, które nie zawsze gościnne. W państwie Ubudschwa, czarne postacie tuziemców o przedziurawionych wargach i umalowanych w najfantastyczniejsze wzory twarzach, ciekawie przypatrywały się białym, ale im spokojnie przejść pozwoliły; w kraju Manjema przyjęto białych zatrutemi strzałami. Manjemczycy bowiem całemi bandami napadają

[1] Verhandlungen des III. deutschen Geographentages str. 41—42.

na karawany kupieckie, zabierają im niewolników, a zabitych w potyczce zjadają, wymoczywszy pierw ich ciała w wodzie, dla przyspieszenia zgnilizny, która snać przysmaku dodaje tej nieludzkiej strawie.

Rozpaczliwe też było położenie wyprawy, przedzierającej się przez takie niebezpieczeństwa do miasta Nuangwe, słynącego handlem w tych krajach. Tam przedsięwziął Cameron za pośrednictwem Arabów nabyć łodzie i dalej płynąć po Lualabie. Nie przyszedł jednak ten projekt do skutku, bo niechętni i podejrzliwi mieszkańcy nie chcieli odprzedać łodzi. Podrzędna ta okoliczność była przyczyną, że nie Cameron, ale Stanley odkrył bieg środkowego Kongu. Zniewolony koniecznością, poszedł Cameron za radą Araba Tipo-Tipo i kierując się na zachód przedzierał się ku Atlantykowi.

W podróży tej wiele ciekawych zanotował szczegółów. W okolicy Kilemy zwiedzał jezioro Mohrya zapełnione mieszkaniami nawodnemi. Zaciekawiony, szukając może analogii jakiej pomiędzy tą ludnością a przedhistorycznymi mieszkańcami jezior naszych, chciał się Cameron do nich zbliżyć, ale napróżno, dziki bowiem ten lud, za zbliżeniem się europejczyków uciekał do swych zaczarowanych zamków, barykadując się w nich na dobre.

Po wielu niebezpieczeństwach i znojach, chory na szkorbut i cierpiąc brak żywności, przybył Cameron do Benegueli. Nieprzyjazne okoliczności nie pozwoliły mu zbadać biegu Kongu, przyczynił się jednak ten zamiłowany w nauce podróżnik do poznania krajów równikowych, a idąc wododziałem rzek Zambezi i Kongo skonstatował, że wyrżnąwszy niewielki kanał, możnaby Kongu połączyć z rzeką Zambezi, a przez nie Atlantyk z oceanem indyjskim.

II.

Opowieść o podróżach Stanley'a stanowi główne zadanie naszej pracy, musimy jednak dla uzupełnienia całości zapisać czynności podróżników francuskich, zwiedzających te kraje dla chwały i korzyści Francyi.

Skoro w drugiej połowie naszego wieku zwrócono ogólną uwagę na odkrycia w środkowej Afryce, wszystkie mocarstwa europejskie spieszyły sięgnąć po zwierzchnictwo nad tymi tajemniczymi krajami,

nie zdając sobie sprawy, jakiemiby drogami ten cel osiągnąć, jak trudności na tych drogach sterczące usunąć, a co więcej, nie znając tych dróg, ani tych trudności. Wkrótce po odkryciu ujścia rzeki Kongo, bo około 1470, odkryli Portugalczycy ujście rzeki Ogowe. Prądy zatoki gwinejskiej utrudniające żeglugę nadbrzeżną i mniejsza żyzność kraju, jak na wybrzeżach Kongu, były zapewne powodem że się tam europejczycy stale nie osiedlili, ograniczając się na zbadaniu ujścia tej rzeki. Handlarze zaś niewolników, chociaż prawdopodobnie znali całą rzekę, znajomość tę obracali jedynie na rozgałęzienie swego niecnego rzemiosła, żadnych nie udzielając wskazówek ciekawości uczonego świata. Dopiero w roku 1817 missyonarz Bodwich przywiózł do Europy wieści o rzece Ogowe. Były one jednak bardzo niedokładne. Według niego, rzeka ta połączoną była jedną odnogą z Kongiem a drugą z Gabunem. Bodwich nie był pierwszym z podróżników mylących się co do porzecza Kongowego kraju, gdzie peryody deszczowe dwa razy do roku przypadające, tak wpływają na rozlew wód, że rzeki do odrębnych porzecz należące łączą rozlane swe wody.

Po dłuższej przerwie, bo dopiero 1859 r., zwiedził okolice Ogowy Francuz du Chaillu, i puszczając wodze fantazyi opisał barwnie kraj ten i polowania na lwy i pantery, nagromadził jednak sporo ciekawych a cennych szczegółów o krajach, które przebył, narażając się nie jednokrotnie na wrogie obejście tuziemców. Od Aszangów, urządzających na niego formalną obławę, zdołał się ocalić jedynie ucieczką, ale zato stracił w niej wiele notatek, zbiorów, osobliwości krajowych i fotografij. Jaskrawe farby, któremi du Chaillu malował kraj podzwrotnikowy, miały tę jedną zaletę, że obudziły ciekawość i zajęcie się Ogowem. Marche i markiz Compiègne w 1873 i 1874 r. zwiedzali to porzecze docierając do Okandy, rzeki wpadającej do Ogowe. Dalszych jednak poszukiwań zaniechać musieli, obawiając się ludożerczych szczepów Oszeba i Okanda. W 1876 r. uczony geolog austryacki, Dr. Lenz, zdołał zawiązać przyjazne stosunki z ludożercami Oszeba i za protekcyą ich króla wszedł do ich państwa i zwiedził góry Łupkowe, przez żadnego geologa dotąd nie zbadane. Góry te, chociaż zaledwie 3.000 stóp wysokie, tworzą mur, który do niedawna zamykał dla wszelkiej wiedzy całą środkową Afrykę. Trudność zaś przebycia tych gór leży w cał-

kowitym braku dolin i wąwozów. Kotliny a raczej jary o stromych ścianach przerzynające je są tak wązkie, że ledwo strumień w tej rozpadlinie sączyć się może. Jedyną szerszą doliną to wąwóz, przez który płynie Kongo. Góry Łupkowe ważne mają znaczenie dla środkowej Afryki, one bowiem rozdzielają kraj pod względem klimatycznym na dwa odrębne regiony: nadbrzeżny, sięgający od oceanu do gór Łupkowych i region równin w środkowej Afryce. Pierwszy ma dwa w roku peryody deszczowe, od października do listopada i od lutego do maja; pomiędzy zaś tymi miesiącami trwa nieprzerwana susza. Region za górami t. j. kraj równin, jest daleko bogatszy i żyzniejszy, bo skrapiany deszczami przez rok cały.

Łańcuch więc tych gór Łupkowych tworzy ze środkowej Afryki niezdobytą twierdzę, do której przedostać się można tylko łożyskiem rzeki. Niestety rzeki te, między niemi Kongo pierwsze zajmuje miejsce, nie wszędzie dostępne są dla żeglugi dla licznych porohów.

Po podróżach du Chailu, Francuzi zajęli wybrzeża przy ujściu Ogowe, i odtąd choć początkowo, lecz bez rozgłosu pracować poczęli wytrwale nad odkryciem drogi do wnętrza Afryki. Przez Ogowe dostać się do Konga było myślą przewodnią francuskich podróżników, pomiędzy którymi pierwsze zajmuje miejsce de Brazza. Dr. Lenz, który go spotkał w geologicznej swej wycieczce, wyraża się o nim najpochlebniej i rokuje mu w odkryciach naukowych i handlowych środkowej Aftyki miejsce obok Stanley'a; godzi się i nam bliżej z nim zapoznać.

Hrabia Piotr Savorgnan de Brazza urodził się w Rzymie w 1852 r. ze starożytnej rodziny patrycyuszów. Za pośrednictwem słynnego jezuity astronoma Ojca Secchi został przyjęty do jezuickiego pensyonatu na rue de Poste w Paryżu, ztamtąd wstąpił do szkoły marynarskiej polecony przez tegoż O. Secchi admirałowi de Montaignac. Dzięki tej protekcyi widzimy go w 1870 roku 18-letnim oficerem marynarki przy blokadzie portów niemieckich morza północnego.

Od lat dziecinnych marzył de Brazza o krajach nieznanych, z radością więc przyjął na wezwanie rządu francuskiego dowództwo wyprawy morskiej nad rzekę Ogowe. W towarzystwie lekarza Noël Ballay i przyrodnika Marche, popłynął najprzód do St. Louis w Senegambii, i wynajął sobie tam ludzi oswojonych z gorącym klimatem

kraju, do którego głębin dostać się pragnął. Europejczycy zapadali ciężko na zdrowiu, utrudniało to pochód posuwający się powoli pod rzekę Ogowe, która doprowadzić ich miała do środkowego Konga. Zawiedli się jednak śmiali podróżnicy, gdyż po przebyciu na Ogowe porohów Pubara ujrzeli przed sobą dwie mniejsze rzeki mające swe źródła na południowym stoku gór Sierra Complida należących do gór Łupkowych.

Nadzieja dotarcia przez Ogowe do wnętrza Afryki rozwiała się, de Brazza niedał jednak za wygrane. Wynająwszy niewolników jako tragarzy, puścił się z towarzyszami pieszo i boso, (zabrakło bowiem obuwia) kierując się ku wschodowi.

Po długiej i uciążliwej podróży natrafił na rzękę Alima, która wedle mniemania tuziemców wpadać miała do wielkiej rzeki, przynoszącej im zapasy prochu i broni palnej. Z biegiem więc tej rzeki popłynął na łodziach narażając się na tysiące niewygód i na niebezpieczeństwa grożące od plemienia ludożerczego Apfurów. Napadnięty przez dziką ich bandę zmuszony był oszańcować się nad brzegiem Alimy, staczając z nieprzyjacielem formalne bitwy. Apfuny uzbrojeni w broń palną zawzięcie atakowali Francuzów, pokonani wreszcie cofnęli się, zabierając z sobą ciała pobitych jako łup i przysmaczek wojenny. Obawiając się ponownych napadów, któreby wkrótce przedziesiątkowały nieliczną gromadkę towarzyszy, cofnął się de Brazza do kraju Bateków, a posuwając się na północ napotkał koryto rzeki Lincony płynącej z zachodu na wschód.

Niepodobne było Brazzie zdać sobie sprawy, dokąd ta rzeka dopływać mogła. Od dwóch lat oddzielony od świata nie wiedział o odkryciach Stanley'a rozjaśniających stanowczo tajemniczą dotąd hydrografię Afryki. Przypuszczał więc, że Alima i Lincona są dopływami Kongu, i szczęśliwy tem odkryciem przedłożył to przypuszczenie rządowi francuskiemu, domagając się wyprawy, któraby stwierdziła to mniemanie. Następnie projektował rozpocząć olbrzymią pracę połączenia gościńcem 50 mil długim rzekę Alimę z Ogowem, otwierając tym sposobem drogę bezpieczną i łatwą dla francuskiego handlu i przemysłu.

Powracającego z projektami tymi Brazzę przyjęto w Paryżu z uniesieniem. Wielka sala Sorbony ledwie pomieścić mogła zebranych na nadzwyczajne posiedzenie członków towarzystwa geo-

graficznego. Debatowano zawzięcie nad projektami Brazzy a młodemu podróżnikowi ofiarowano złoty medal zasługi.

Po krótkim wypoczynku wybrał się on w powtórną podróż nad rzekę Ogowe, spodziewając się tą razą osiągnąć rezultaty stanowcze. Idąc już krajem znanym postępował spieszniej i w trzy miesiące założył pierwszą osadę nazwaną Franceville. Ztamtąd, dzięki zapewne dawniejszej sławie wojennej, przeszedł bez oporu przez kraj ludożerców Apfuru i w lipcu 1880 stanął nad brzegiem Konga gdzie założył drugą osadę, którą Francuzi dla uczczenia podróżnika nazwali Brazzaville. Oddalona o dwanaście dni drogi od osady Stanley-Pool ma ona wielką przyszłość handlową, gdyż z Brazzaville wychodzić będzie droga łącząca Kongo z Ogowem.

Nieopodal od Brazzaville dnia 7 listopada 1882 r. spotkali się dwaj najsłynniejsi podróżnicy w XIX. stuleciu de Brazza i Stanley. Współzawodnicy powitali się uprzejmie ale chłodno, wymieniając banalne komplementa, na dnie bowiem ich duszy kryły się zamiary i plany daleko sięgające w przyszłość, których powodzenie zależało od jak najspieszniejszego ich wykonania. Rozstanie więc nastąpiło szybko i każdy wyruszył w swą stronę. W lutym 1883 był już de Brazza nad Ogowem, pracując nad założeniem osady, położonej pomiędzy spławną jego częścią a Kongiem. Przestrzeń tę 50 milową przecinać będzie droga bita służąca do przewozu towarów od Ogowe do Konga, na którym de Brazza, równie jak Stanley, zamierza zaprowadzić żeglugę własnymi parowcami.

Rozszerzenie się i ustalenie panowania francuskiego w nad Kongowym kraju, wywołało protest Stanley'a i towarzystwa międzynarodowego, i było głównym powodem zwołania do Berlina konferencyi w sprawach Konga, o której powiemy niżej. Teraz pilno nam przebiedz dzieje dalszych wypraw Stanley'a.

III.

Imię Stanley'a pierwszy raz zapisały w swych szpaltach dzienniki w 1871 roku, kiedy wywiązawszy się z poruczonej sobie wyprawy w celu odnalezienia Livingstona, powrócił do Europy. Śmiałe i szybkie wykonanie zadania zwróciło uwagę powszechną na mło-

dego reportera *New York Heralda*, należącego pochodzeniem do obu światów.

Henryk Rowland urodził się 1840 r. z ubogiej angielskiej rodziny w hrabstwie Walii i wychowany był z funduszów publicznych w zakładzie ubogich dzieci w Asaph. W trzynastym roku życia przyjął służbę na okręcie, a następnie w Nowym Orleanie u kupca Stanley'a, który dał mu opiekę i swoje imię.

Młodzieńcem już wstąpił do wojska i walczył po stronie konfederacyi południowej, a wzięty do niewoli przez wojsko Stanów zjednoczonych, zaciągnął się w szeregi wojenne na statku Tinconderaga, gdzie wkrótce dosłużył się stopnia podchorążego. Uwolniwszy się wnet potem ze służby wojskowej, podróżował Stanley po Azyi, a następnie po Abissynii, jako korespondent *New York Heralda*. Korespondencye jego z tych krajów odznaczały się bystrością spostrzeżeń i chętnie przez publiczność czytane, jednały autorowi uznanie, którego dowodem było poruczenie mu wyprawy kosztem Benetta, podjętej dla odszukania Livingstona [1]. W 1873 r. połączone redakcye *New York Heralda* i londyńskiego *Daily Telegraph*, wysyłają powtórnie Stanley'a do Afryki. Zadanie, jakie tym razem miał spełnić, było wielkiej doniosłości, a uwieńczone zostało, jak to niżej zobaczymy, nadspodziewanym rezultatem. Badania Livingstona odkryły jeziora środkowej Afryki, lecz śmierć przeszkodziła mu ostatecznie zbadać, jakich rzek są one źródłem. Jezioro Bangweolo złączone przez rzekę Luapulę z jeziorem Moero, z którego wypływa Lualaba, miało być według Livingstona źródłem Nilu; oznaczył on nawet bieg Lualaby, kierującej się ku północy aż do Niangwe, leżącego między 4° a 5° szer. połud. i 26° a 27° dług. wsch.

Livingstone opisał jezioro Tanganikę; Cameron wymierzył jego brzeg południowy; rozwiązanie jednak pytania, do jakiego porzecza ono należy, zostawione było Stanley'owi.

W listopadzie 1874 był on już w Zanzibarze, gdzie pomiędzy murzynami ze szczepu Wangwana werbował żołnierzy do swojej wyprawy. Stamtąd lądem ruszył ku jeziorom środkowej Afryki. Wyprawa składała się z trzech europejczyków: Johna i Edwarda Po-

[1] J. Gordon Bennet, właściciel *New York Heralda*, wsławił się w świecie naukowym uorganizowaniem kosztem własnym wyprawy „Jeanetty“ do bieguna północnego.

cock, Fryderyka Borkera i trzystu kilkudziesięciu murzynów, obciążonych tłumoczkami i rozkładaną łodzią *Lady Alice*, na której wody Afryki opłynąć zamierzyli.

W maju 1876 r., stanęli nasi podróżnicy nad Tanganiką. Pięćdziesiąt jeden dni potrzebował Stanley aby jezioro to dokoła obejść i długość jego brzegów, przenoszącą 800 mil geograficznych, wymierzyć.

Wielkie to i piękne jezioro, na którego brzegach rozsiane osady wśród palm i niebotycznych boabów, ma legendę swoją fantastyczną, żyjącą do dziś w ustach czarnego ludu tam zamieszkałego. Według tych podań Tanganika powstała przez zlanie się dwóch rzek Lukugi płynącej od zachodu i Lugwegeri od wschodu. Spotkały się zaś te rzeki na równinie żyznej zasianej wioskami. W jednej takiej osadzie mieszkała szczęśliwa rodzina posiadająca sadzawkę przejrzystą, zarybioną srebrnemi rybami. Przez wieki całe przechowywano w rodzinie tajemnicę o tym skarbie, bo tak wymagała tradycya rodowa, aż razu pewnego niewierna żona przywiodła swego kochanka nad brzeg strumienia, który w jego oczach wezbrał, rozlał swe wody i połączywszy Lukugę z Lugwegeri, utworzył tym sposobem jezioro, grzebiące w swych nurtach osady, pola i palmowe gaje...

Należało zbadać rzekę Lualaba, w tym celu przeprawił się najprzód przez kraj Waguhów, którzy chociaż przyjaźni nie dowierzali zamiarom „białych“, jako ludzi nóg niepokazujących. „Pokryci od stóp do głów ubraniem“, mówi Waguhańczyk, „muszą mieć styczność ze złymi bogami, którzy zniewalają ich do tej tajemniczości“ Tajemniczość zaś ta nie ma powabu w nadkongowym kraju, gdzie najwybredniejszy ubiór składa się z perkalowej wyciętej bluzy, stanowiąc dziwny kontrast z fryzurą, której komplikacya i pociągnięcie szklistą powłoką gummy jest oznaką wyższych sfer towarzyskich.

Przeszedłszy państwo Waguha, wszedł Stanley do państwa Manyema i tam nad Lualabą spotkał znajomego już nam araba Tippo-Tipę, którego obrał sobie za przewodnika. Tippo-Tipa i cała gromada jego towarzyszy Arabów odradzali Stanley'owi przedsięwzięcie tej podróży, zastraszając iście arabskiemi historyami. Opowiadali o złośliwych karłach tatuowanych jak zebry w różnokolorowe pręgi, a strzelających zatrutemi strzałami z celnością czarowników;

o wężach olbrzymich wiszących na konarach niebotycznych drzew, które są tak wielkie i takim gęstym cieniem pokrywają ziemię, że miesiącami całymi niebo podróżnikowi zasłaniają. Straszyli zwierzętami należącemi do fantastycznej fauny, w której królestwie mrówki przybierały rozmiary olbrzymie a małpy Sokko stawały się postrachem człowieka, wyszukując go w najtajemniejszych kryjówkach, napadając nań złośliwie i odgryzając mu palce. Ale ta iście oryentalna fantazya Arabów nie zmieniła postanowienia Stanley'a, i Tipo-Tipo zgodzić się musiał na cicerona wyprawy, kazawszy sobie zapłacić z góry 5,000 dolarów.

Wyruszyli więc nasi podróżni z Nyangwe w 700 ludzi i 18 łodzi posuwając się wzdłuż prawego brzegu Lualaby. Niebawem dostała się karawana w ów tajemniczy las zapowiedziany przez Arabów, a nazwany Mitamba. Stanley tak o nim pisze: „Co moment trzeba było przystawać i torować sobie siekierą drogę, która po kilku krokach znowu była zatarasowaną. Z drzew spadały bezustannie wielkie krople rosy, jakby łzy z każdego listka. Nad nami splatały się gałęzie gęstym pokryte liściem, tworząc jakby dach, który nie przepuszczał promieni słonecznych. Słowem, nie wiedzieliśmy zgoła, czy nad lasem słońce świeci, czy dzień pochmurny. Wlekliśmy się krok za krokiem wśród zmroku, jaki u nas nastaje po zachodzie słońca. Wkrótce natrafiliśmy na rozmoczony grunt gliniasty; pod stopami pluskało błoto. Wśród grubych drzew olbrzymich rośnie gąszcz krzewów do 10 stóp wysokich, ziemia ma kolor ciemno-brunatny i składa się z humusu zażywianego fermentem gnijących liści i gałązek opadłych; dodajmy do tego powietrze przesycone wilgocią i wieczny cień, a taki las zwrotnikowy wyda się olbrzymią cieplarnią". Tak postępując lasem bezgranicznym, w którym „nie daje się uczuć najlżejszy powiew wiatru a podczas największej burzy panuje zupełna cisza", zbliżała się karawana do Lualaby, i napotkała na plemię ludożercze Ureggów. Czaszki trupie służące za drogoskazy świadczą wymownie o okrucieństwie tego ludu. Jakby wstydząc się swej srogości, usiłowali ci dzici wmówić w podróżnych, że to są czaszki małp Sokko, wyrządzających szkody wielkie i dlatego tępionych troskliwie. Zaciekawiony tem Stanley posłał one czaszki do Londynu, ale badania uczonych anatomów wykazały, że to niestety były czaszki ludzkie.

Po wielu przygodach, których tylko małą cząstkę tu zapisujemy, dostał się Stanley pod pas równikowy, a widząc że Lualaba coraz szerszem płynie korytem, wsiadł z swymi ludźmi na łodzie. Nie długi jednak był ten wypoczynek; żegluga okazała się niemożebną z powodu siedmiu wodospadów, które w bliskich odstępach następując po sobie, nie dozwalały przepłynąć łodziom. Trzeba więc znowu było przedzierać się przez lasy zaludnione dzikiemi plemionami, a raczej rozbójnikami. Raz w nocy zamknięci mocną siecią wydobyli się z niej jedynie za pomocą noży myśliwskich, którymi poprzecinali grube powrózki siatki. Inną razą napadnięci przez całą lotyllę dzikich, zręczności tylko swojej zawdzięczali ocalenie.

Od tych porohów, lud nadbrzeżny Lualabę nazywa Ikutuja-Kongo; jest to już rzeczywista rzeka Kongo, tak piękna, szeroka, wspaniała, że się jej z prawa należy imię afrykańskiej Amazonki. Płynie się też na niej bezpiecznie i szybko, lecz częste napady dzikich ludów opóźniają żeglugę. Potrzeba z nimi staczać boje albo zawierać „przymierze krwi“, tak nazwane dlatego, że na znak sojuszu sprzymierzeńcy zadają sobie ranę na ramieniu i piją krew z rany wytłoczoną. Pomimo tej krwawej sankcyi, przymierza te rzadko są trwałe; Stanley zmuszonym był stoczyć 32 bitew, w których stracił i ludzi i czasu wiele. Prawda, że po zwycięztwie dostawała mu się jako łup wojenny wielka nieraz ilość kości słoniowej, ale Stanley płacił zawsze za nią perłami, monetą kongowego kraju, nie chcąc ściągnąć na siebie zarzutu gwałtu wśród ludów, którym przynosił cywilizacyę i pokój.

Płynąc coraz szerszem korytem Konga, dostali się nasi podróżni do miejsca, gdzie wody tej olbrzymiej rzeki tworzą jezioro, którego powierzchnia wynosi 77 kilometrów kwad., wysokość zaś 350 metrów nad poziom morza. Jezioro to otrzymało nazwę Stanley pool, czyli staw Stanley'a.

Na zachodnim krańcu tego stawu skały zwężają koryto rzeki, grunt obniża się nagle, tworząc 62 wodospadów. Ciągną się one na przestrzeni 250 kil. a pięknością swoją i malowniczością należą do cudów świata. Stanley dał im nazwę wodospadów Livingstona, chcąc tem uczcić pamięć męża, który pracę życia całego jemu przekazał. Tuziemcy zaś dają im dziwne nazwy: d z i e c k a, m a t k i i o j c a. Dziecko jest najprzystępniejszym, matka trudnym do przebycia, a ojciec

jest najniebezpieczniejszym, a zarazem najwspanialszym wodospadem, bodaj czy nie na całej kuli ziemskiej. Porohy te przebywali w znacznej części podróżni nasi na łodziach. Przy jednej takiej przeprawie zginął Frank Pocock, ostatni z trzech europejskich towarzyszy Stanley'a, którzy kolejno, jeden od strzałów nieprzyjacielskich a drugi ofiarą zabójczego klimatu w czasie wyprawy poginęli. Stanley sam, znużony trudami uciążliwej podróży, cierpiąc głód i niedostatek, podobnie jak dawniej Cameron, stracił już prawie nadzieję dopłynięcia do celu podróży.

Na wieść jednak o zbliżaniu się słynnego podróżnika, miasto Boma wysłało pomoc karawanie. Schorzałego, posiwiałego Stanley'a wprowadzono do miasta d. 9 sierp. 1877. Po 99 tygodniach podróży, w której przebył 1.555 mil. geograf. czyli 11.590 kilom., odpoczął nareszcie. Długość Lualaby-Kongu obliczył Stanley na 630 mil, z których przypada 225 na część środkową spławną, bo wolną od porohów.

Stanley więc pierwszy przepłynął przez całą długość Konga, tej Amazonki afrykańskiej, otworzył drogę do wnętrza czarnego kontynentu, zajmując tem wielkiem odkryciem miejsce pomiędzy pierwszymi podróżnikami świata.

Przyznano mu to jednomyślnie w Europie. Peterman w jednym z niemieckich pism peryodycznych powiada[1]: „Henryk Stanley jest Bismarkiem w badaniu Afryki. Jak Bismark połączył pojedyncze części Niemiec i stworzył z nich wielkie państwo, tak Stanley złączył wszystkie *disjecta membra* rozrzucone cząstki badań afrykańskich i spoił je w jednolitą całość; jego odkrycia uzupełniły badawczą pracę lat tysiąca. Czyny Kolumba, Vasci de Gama, i innych są od nas tylko kilka set lat oddalone, ale znajomość Afryki cofa się wstecz aż w mgliste początki historyi... Cokolwiekbądź napisali Klaudyusz, Ptolomeusz i inni badacze starożytni o źródłach i początkach Nilu, to jednak jest pewnem, że znajomość ich nie dochodziła do Konga, którego całość dopiero Stanley umieścił na karcie Afryki".

Wkrótce po powrocie do Europy wydał Stanley w 2-tomowem dziele opis swoich podróży, p. t.: *Through the Dark Continent, or*

[1] Mittheilungen. Rocznik 1877, tom XII., str. 466.

the Sources of the Nile, around the Great-Lakes of Equatorial Africa and down the Livingstone River to the Atlantic Ocean. By Henry M. Stanley. London, 1878. (W poprzek czarnego kontynentu, czyli przez źródła Nilu około wielkich jezior równikowej Afryki i wzdłuż brzegów rzeki Livingstona [1], aż do Oceanu). Z książką tą spotkamy się jeszcze. (Dok. nast.)

M. S.

[1] Taką bowiem nazwę zamierzał Stanley dać rzece Kongo.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Kalendarium manuale utriusque ecclesiae orientalis et occidentalis, academiis clericorum accomodatum, auctore *Nicolao Nilles S. J.* s. Th. et ss. canonum doctore, horumque in c. r. univ. oenipontana professore publ. ord. Tomus I. Oeniponte 1879. LXII. et 496 pp. Tomus II. Oeniponte 1881. XXXVII. et 814 pp.

Symbolae ad illustrandam historiam Ecclesiae orientalis in terris coronae s. Stephani, maximam partem nunc primum ex variis tabulariis, romanis, austriacis, hungaricis, transilvanis, croaticis, Societatis Jesu aliisque fontibus accessu difficilibus, erutae a *Nic. Nilles S. J.* etc. patrocinantibus almis hungarica et rumena literarum academiis editae. Oeniponte 1885, volumen I. CXX. et 496 pp., volumen II., 497—1087 pp.

W rozległej i rozgałęzionej nauce teologii powinnaby zajmować osobne miejsce t. zw. *heortologia,* czyli nauka o świętach katolickich. Możnaby ją też nazwać *nauką kalendarza, albo roku kościelnego.* Zadanie jej polega na zapoznaniu teologów z przyczynami, znaczeniem i związkiem uroczystości kościelnych z dogmatami katolickimi. Ponieważ jednak przy wykładach akademickich zaledwie tego można pobieżnie dotknąć, a o osobnej katedrze w dzisiejszych stosunkach ani marzyć nie można, dlatego chyba t. zw. seminaryom teologicznym przypadłaby ta nauka w udziale, gdyby te seminarya naprawdę wszędzie istniały. Ale potrzeba tej nauki jest niezaprzeczona, a jeszcze większa niż gdzieindziej w takich krajach, w których obok siebie mieszkająca ludność do kilku obrzędów katolickich należy i osobnych używa kościelnych kalendarzy. Duchowni różnych obrzędów, złączeni węzłami jednej wiary i uległości Stolicy Ap. są sobie zupełnie obcy, przez to właśnie, że nie mają wyobrażenia o wewnętrznem życiu kościelnem pobratymczych obrzędów. I nie dziw. Ol-

brzymie dzieło Arremaniego, *Kalendaria universae Eccl. orient.* mało komu jest przystępne; O. Nilles daje więc podręcznik do tej właśnie nauki w swojem *Kalendarium manuale*, którego tytuł łaciński przytoczyliśmy na czele, opuściwszy grecki: „ΕΟΡΤΟΛΟΓΙΟΝ ΠΡΟΧΕΙΡΟΝ αμφοτερων των εκκλησιων της τε ανατολικης και της δυτικης".

Podręcznik ten przedstawia się na pierwszy rzut oka, jako owoc mozolnej pracy i olbrzymiego obczytania w dziełach Ojców greckich i łacińskich, a cel poboczny tej książki widoczny jest w tem, że należącym do greckiego obrządku wykazuje autor na każdem miejscu, że w ich liturgii znajdują się najlepsze i niezbite dowody na to, że Kościół grecki zawsze wierzył w prymat rzymskiego biskupa.

W cesarstwie austro-węgierskiem znajduje się 9 dyecezyj greckounickich, a mianowicie *w Galicyi* metropolia halicka (lwowska i kamieniecka) i biskupstwo przemyskie (Przemyśl, Sambor), na *Węgrzech* dwa biskupstwa (Eperjes i Munckacs), w *Horwacyi* biskupstwo jedno. Nadto *rumuńskie* arcybiskupstwo i trzy *węgierskie* (Baucos-Ujvarica, Wielki-Waradyn i Lugos). *Ormianie* mają arcybiskupa we Lwowie na Galicyę i Bukowinę i drugiego we Wiedniu, nadto rozsiani są po Węgrzech i Siedmiogrodzie, ale podlegają łacińskim biskupom z wyjątkiem zakonów, które zależą od Mechitarystów weneckich. Natomiast schizmatyckich biskupstw jest w Węgrzech i Siedmiogrodzie siedm, w Rumunii dwa, w Dalmacyi i Istryi dwa, (dalmatyńsko-istryjskie i katarsko-raguzkie), na Bukowinie dwa, t. j. arcybiskupstwo czerniowieckie (dla Rumunów i Rusinów) i metropolia białokrynicka dla „jednowierców" albo starowierców, (metropolita ma tutaj sufragana). Nadto są schizmatyckie trzy biskupstwa w Bośnii i Hercogowinie, (Serajewo, Zwornik, Mostar).

Jeśli się rozważy tę znaczną liczbę dyecezyj niełacińskich w Austryi, wtedy tem łatwiej pojąć użyteczność książki O. Nilles, mianowicie dla kleru łacińskiego. Na wstępie daje też objaśnienia technicznych nazw, jakie w liturgii wschodniej najczęściej zachodzą, potem zestawia obok siebie oba kalendarze i daje podział świąt.

Z kolei następuje część pierwsza (str. 42—374) obejmująca święta nieruchome greckiego kalendarza. Jest tu bogactwo niezmierne ciekawych cytat z ksiąg liturgicznych greckich. Zaraz n. p. na

dzień św. Sylwestra pap., który Grecy obchodzą 2 stycznia, czytamy w „odach“: „Języki, które zgodne były w błędzie, pohańbione zostały przez moc Ducha św., który w tobie działał, i przyłączone zostały do chóru wiernych na chwalenie Boga. Pokonałeś Sylwestrze, szyk nieprzyjacielski, który się sprzeciwiał nauce od Apostołów podanej“.

Nie możemy tu oczywiście mnożyć liczby cytat, które są dawane po grecku i obok, w drugiej kolumnie, po łacinie; jedno zwracamy uwagę na tę książkę każdego, ktoby kontrowersyę prymatu chciał z tej właśnie strony objaśnić gruntownie.

Od strony 376—412 jest krótka rozprawa o kalendarzu łacińskim i kalendarzu martyrologii romani. Żywotów świętych nie podaje autor, bo łaciński ksiądz ma je w brewiarzu, a ciekawy znajdzie je w Żywotach świętych, mianowicie w Bolandystach.

Z kolei podaje O. Nilles kalendarze: Rusinów (miesiacosław cieloho roku), kalendarz Mechitarzystów łacińskich, Ormian i Syryjczyków. Kalendarzowi serbskiemu poświęca obszerniejszą rozprawę (p. 440—455) i kończy indeksem podwójnym: świętych i kwestyj w pierwszym tomie wspomnianych.

Tom drugi zawiera święta ruchome całego roku i dzieli się też na trzy rozdziały, t. j. na święta ruchome przed Wielkanocą, po Wielkanocy i po Zielonych świątkach; z małym dodatkiem *Proprium* greków włoskich (Sycylii i Kalabryi). Ta część książki zajmuje 549 stron bitego druku, ale są tu przytoczone najpiękniejsze ustępy liturgii po grecku i po łacinie i tak jak w poprzednim tomie, jest znaczenie każdego święta i każdego obrzędu, historycznie, symbolicznie i dogmatycznie objaśnione. Nazwy świąt przytacza autor także w słowiańskim języku (pismem łacińskiem). Od str. 554—636 jest dodatek, zawierający rozprawę o roku kościelnym *Ormian* (tabula paschalis jest po armeńsku podana, inne wszystkie nazwy są pisane łacińskim alfabetem). Następuje z kolei rok kościelny *Koptów* (i tu tylko tablica świąt jest pismem koptyjskiem wydrukowana str. 637—659), *Nestorianów* syryjskich i *Chaldejczyków* katolickich (660—669). Dodana jest encyklika Leona XIII. *Grande munus*, niektóre konstytucye apost. chroniące obrzędy wschodnie. Rzecz całą kończy indeks generalny, bardzo starannie opracowany (str. 707—814).

Wielkie to dzieło O. Nilles znalazło uzupełnienie i dokończenie w nowo wydanej dwutomowej pracy p. t.: *Symbolae*, które nosi także tytuł: *Kalendarium manuale utriusque Ecclesiae orientalis et occidentalis. Pars III. addititia.* Dodatkową częścią nazwać dwutomowe dzieło, jest co najmniej skromnością, ale O. Nilles posuwa ją tak daleko, że ponieważ w jeden zeszyt nie można było ująć pracy o 1086 stronach, dlatego zdecydował się na dwa osobne tomy, ale paginaturę drugiego zrobił dalszym ciągiem pierwszej części.

Z góry jednak musimy oświadczyć, że te dwa tomy *Symbolae* nie są wcale dalszym ciągiem poprzednich *Kalendaria*. Przeciwnie, tutaj mamy dzieje kościelne Unii: *Rumunów*, *Serbów*, *Rusinów* i *Ormian*, mieszkających w granicach korony węgierskiej. Wedle tego są też oba tomy podzielone na 6 ksiąg, z których pierwsza nazwana Πρόδρομος, rozstrzyga trzy kwestye: czy missyonarzom łacińskim może być dozwolone używanie obrzędu greckiego; czy należy ponawiać ordynacye greków, skoro unię przyjmą, i na co przedewszystkiem powinni baczyć missyonarze, którzy podejmują prace pomiędzy wschodnimi ludami? Te trzy kwestye rozstrząsa O. Nilles na 121 stronach swej pracy, a na końcu dzieła daje jako dodatek szóstą księgę (str. 937—1085), zawierającą wykaz dyecezyj wschodnich z imiennym spisem biskupów i spis wyroków Stolicy Ap. np. w sprawie kalendarzy wschodnich.

Obszerny i szczegółowy index imion, miejscowości i rzeczy zajmuje 120 stron bitego druku w podwójnych kolumnach.

Rozwodzić się nad ważnością pracy O. Nilles uważamy za zupełnie zbyteczne, bo każdy, kto się choć w przybliżeniu tylko dotknął historyi powszedniej Kościoła katolickiego, wie doskonale, jak rozproszone są wiadomości o tych właśnie kościołach, których jednolitą historyę tutaj podaje autor wedle badań archiwalnych. Dziesięć archiwów papieskich, królewskich i biskupich, kilka bibliotek publicznych i prywatnych jezuickich, archiwa kongregacyj rzymskich i kancelaryi nadwornej siedmiogrodzkiej przeszukał autor, aby złożyć z tej mozajki obraz, jakiego dotąd w całości nikt nie podał.

Dzieje Unii Rumunów rozpoczynają się z chwilą, gdy Towarzystwo Jezusowe rozpoczęło missyjne prace na Wołoszy r. 1689. Po ośmiu latach pracy, odbył się już pierwszy synod w Białogrodzie

siedmiogrodzkim (Alba Julia r. 1697) i tutaj pierwszy raz powzięto myśl zawarcia Unii z Kościołem łacińskim. Zamiar ten został doprowadzony do skutku na synodzie odbytym w Białogrodzie (r. 1701), zkąd wysłano już wprost do Rzymu pismo synodalne. Pierwszy krok do Unii podpisany przez Władykę Teofila i 12 archidyakonów, podaje O. Nilles w autografie, a pismo to jest tem ciekawsze, że każdy z podpisanych przyłożył przy własnoręcznym podpisie pieczęć, wyciśniętą palcem umaczanym w atramencie (str. 173—174). Historya rumuńskiego Kościoła zajmuje tutaj 2 księgi (II. i III., str. 127 do 697) i doprowadzona jest aż do najnowszych czasów, t. j. do synodu odbytego we Wielkim Waradynie r. 1882.

Dzieje Serbów unickich (księga IV. str. 701—812) rozpoczynają się z chwilą, gdy ta część słowiańskiej ziemi r. 1611 do Unii z Kościołem rzymskim przystąpiła. Nazwa Serbów obejmuje tutaj Słowaków i Chorwatów, a szczegółowo biskupstwa Zagrzeb, Świdnica i Śrem (dawniejsze Sirmium).

Dzieje Unii Rusinów, zamieszkujących kraje węgierskiej korony, dokonana r. 1652 za arcybiskupa ostrygońskiego Jerzego Lippay, stanowi piątą księgę naszego dzieła (str. 821—933), a do niej dodane są jako rozdział drugi (str. 915) dzieje Ormian na Węgrzech i Siedmiogrodzie.

Tym pobieżnym wykazem treści chcieliśmy zwrócić uwagę na pracę O. Nilles, nie kusząc się wcale o jej streszczenie. Wspomnieliśmy już kilkakrotnie, jak ważną jest ta publikacya, a choć nie jest przeznaczona dla szerszych kół i dla tego pisana w łacińskim języku, powitana została bardzo pochlebnie przez wszystkich tych, którzy z urzędu do uprawiania historyi kościelnej są powołani.

X. Chotkowski.

Das Judenthum in Gegenwart und Zukunft, von Eduard Hartmann. Leipzig. Berlin. 1885.

Niedawno wystąpił rezolutnie p. Hartmann, profesor filozofii w Berlinie, z tak zwaną polską kwestyą i radził Niemcom, a właściwie Prusom rozwiązać ją przemocą, *ausrotten*, wyplenić Polaków.

W niniejszem dziełku stawia tenże autor filozofii nieświadomego kwestyę żydowską, rzeczywiście dziś najbardziej piekącą, i stara się ją rozwiązać — czem? — cierpliwością. Z góry zapowiada *peccatur extra et intra muros*, tj. tak antysemici, jak i filosemici idą za daleko; na to się zgadzamy, gdyż antysemici, chcąc zwalczać żydowstwo, występują przeciw jednostkom; filosemici zaś z prawdziwie żydowską afronteryą zaprzeczają istnienia kwestyi żydowskiej. Oba te kierunki są fałszywe, gdyż nietylko utrudniają porozumienie się, ale sprowadzają także coraz większe rozgoryczenie w masach narodu. Porozumienie się, a w następstwie pojednanie: oto środek czarodziejski, z pomocą którego H. pragnie kwestyę żydowską rozwiązać. Ale jak? Aby wykazać możliwość tego pojednania, rozwodzi się nad różnicami plemiennemi. Przyznaje, że chociaż żydowstwo w państwach Zachodu zyskało równouprawnienie, to przecież tworzy zamkniętą w sobie kastę, związaną formułkami religijnemi i sprawami ekonomicznemi, która w obec wszystkich innych społeczeństw w ogóle wrogo występuje. Z tego wynika rzeczywiście istniejące uprzedzenie społeczeństw przeciw żydowstwu. Hartmann żąda zatem od żydowstwa, aby się swej odrębności pozbyło, aby się przestało uważać za wybrany lub boży i łączyło się z chrześcijanami, mianowicie węzłami małżeńskimi; przez to pozbędzie się żydowstwo brudu zewnętrznego, zniknie przeciw niemu uprzedzenie, zniknie przytem żargon żydowski śmieszny i nieprzyjazny, cały szczep nabierze szlachetności i już w 3 lub 4 pokoleniu przestanie żyd być żydem. Z takiego kojarzenia się i chrześcijanie odniosą korzyści, jak się H. spodziewa, a nawet plemię ich uszlachetniłoby się, a osobliwie plemiona niemieckie, gdyż w skutek połączenia się takiego, praktyczny kierunek i wstrzemięźliwość, będące cechą wybitną żydowstwa, niezaprzeczenie ściągnęłyby idealizm chrześcijański, unoszący się w chmurach, na ziemię i ujęłyby w karby ich rozrzutność i świat byłby pełen prawdziwych aniołów w ludzkiej postaci. Pokolenia te nowe byłyby dobroczynne, gdyż jak H. dowodzi: „żydowstwo jest klasycznym ludem praktycznej dobroczynności, podczas gdy indyanizm i chrystyanizm podtrzymują tylko próżniaczy tłum trutni, mnichów i mniszek i pielęgnują systematycznie żebrzące próżniactwo“ (str. 22). Chrześcijańska miłość bliźniego jest tylko karykaturą w obec wzorów żydowskiej dobroczyn-

ności, a w skutek kojarzenia się dobroczynność żydowska zakwitłaby na nowo jako róża stulistna. Tak marzy H., nie mający pojęcia o chrześcijańskiej miłości, albo też zaślepiony nienawiścią przeciw chrystyanizmowi. Z tego kojarzenia ma wypaść korzyść i w kierunku ekonomicznym. Żydowstwo stoi wyżej od Niemców, a tembardziej od Słowian, pod względem zapobiegliwości, pilności i wytrwałości, i dlatego też żydzi mniej doznają zawodów w swych planach od chrześcijan. Ale na to jest właśnie rada. Żydzi powinni tak w umiejętności, jak i w każdym innym kierunku nie na sam interes tylko patrzyć, ale postawić sobie cel wyższy — ciekawiśmy co ma być tym celem wyższym — i do niego w każdym zawodzie dążyć. Chrześcijanie zaś przy każdej pracy, choćby najcięższej oglądają się tylko na swą ojczyznę pozagrobową (str. 25). Po skojarzeniu więc żydowstwa z chrystyanizmem prawdziwie raj na ziemi powstanie. Brać tych wywodów na seryo nie można; w wesołych, chociaż często niesmacznych kronikach p. Lama piszącego fejletony dla *Dziennika polskiego*, czytaliśmy lat temu kilka podobne wywody i rady dawane szlachcie polskiej. Ale co uchodzi kronikarzowi, nie licuje wcale z powagą profesora filozofii na uniwersytecie, tembardziej gdy w nas wmówić usiłuje, że żydowstwo jest prawdziwym kwasem ewangelicznym, który ma całe chrześcijaństwo przeniknąć i do życia nowego pobudzić. W żydowstwie bowiem więcej rozwiniętem jest życie rodzinne, niż u chrześcijan, żydzi są obyczajniejsi, gdyż mniejszy procent prostytucyi wykazują od chrześcijan, co mówiąc tu nawiasowo nie jest prawdą. Wszelako czynią to z wyrachowania tylko, bo gdzie większy pokazuje się zysk np. na scenie, tam żydzi liczniej występują (str. 27).

To zamiłowanie życia familijnego, tę obyczajność z wyrachowania ma żydowstwo przynieść w posagu chrystyanizmowi przy wzajemnem kojarzeniu się, *credat Judaeus*.

Załatwiwszy się w ten sposób z różnicami plemiennemi, łatwiej już uporać się Hartmannowi z religią. Dowiedzionem jest, że chrystyanizm, a właściwie chrystologia należy już do pojęć przestarzałych, przynajmniej w Niemczech, gdyż się jej sprzeciwia i zdrowy rozum i stan dzisiejszy nauk; podobnież i żydowski ceremoniał religijny i żydowska etyka są przestarzałe. Cóż więc wypada zrobić? Przyjąć artykuł nicejskiego *Credo* „Wierzę w Boga jednego“ t. j.

przyjąć monoteizm i religię społeczną a odrazu nastąpi wiek złoty! „Na tle religij zapleśniałych zajaśnieje człowiek“. Czy chrześcijanin, czy żyd, poganin, czy Hotentot wszyscy będziemy wierzyć w jednego Boga, a jeszcze w jakiego? bynajmniej nie w osobowego ale w pojęciu Buddaizmu w „Nirwanę“.

Na razie, twierdzi dalej H., nie ma najmniejszej nadziei, żeby się to miało urzeczywistnić! Największą przeszkodą zaś jest poczucie jedności u żydów i ich *Alliance israelite universelle*, którą żydzi słusznie uważają za bióro centralne swych praw kastowych i początek panowania żydów na ziemi, lecz i na to znalazłby się środek zaradczy. Żydzi powinni zostać równouprawnionymi (a czy nimi nie są?) i brać udział we wszystkich czynnościach życia politycznego, jak i umysłowego w każdem pojedynczem państwie. Przez to już pierwsze pokolenie będzie przez $^1/_2$ żydowskie, przez $^1/_2$ niemieckie, polskie, francuskie i t d.; drugie zaś pokolenie będzie już w $^3/_4$ niemieckie, w ogóle narodowem; a trzecie pokolenie będzie już zupełnie wyżydowionem. *Quod erat demonstrandum.* Bodajto filozofia niemiecka! Ale tu skarży się H, że żydzi tego rozumieć nie chcą i że są najniewdzięczniejszym ludem na świecie, dążąc właśnie w przeciwnym kierunku. Dowodem tego Austrya. Ba, gdyby żydzi chcieli być zawsze takimi, to H. gotów potępić całą emancypacyę żydów, jako środek zgubny, ale nie należy tracić nadziei; trzecie pokolenie będzie z pewnością lepsze, szczególnie w słowiańskich ziemiach, gdzie żydzi stanowią arystokracyę, a w następstwie będą tak łaskawi, iż się połączą z dawną szlachtą. Tak prorokuje wielki filozof *des Unbewussten:* „My jednak nie jesteśmy jeszcze równouprawnieni, wołają do niego żydzi, jeszcze nie odnosimy wszystkich korzyści z równouprawnienia np. karyera wojskowa i polityczna jest dla nas jeszcze zamknięta“. Na to odpowiada H. „Być to może, aleście dotychczas nie ziścili nadziei chrześcijan. Wtedy zajmiecie wyższe urzęda i godności, gdy się w zarządzie gminnym, w sądownictwie lub w zawodzie nauczycielskim dacie poznać, a zatem, aż się pozbędziecie żydowszczyzny, czyli innemi słowy: musicie wprzód przestać być żydami, a wszędzie wam będzie wstęp otwarty“. „Ależ z towarzystwa jesteśmy usuwani“. — „Bardzo słusznie, samiście temu winni. Poprawcie etykę swą, zwłaszcza w sprawach pieniężnych, ucywilizujcie się na zewnątrz i w obejściu i przyswój-

cie sobie prawdziwą dumę i prawdziwą skromność; pozbądźcie się czołgania i lizania się przed możniejszymi, i znowu pyszałkowstwa, arogancyi i brutalstwa w obec niższych, a z pewnością znajdziecie wszędzie wstęp do towarzystwa“ (str. 82).

Żeby jednak żydów nie pogniewać na siebie, broni ich H. od zarzutów lichwy i wyzyskiwania, chociaż faktu samego nie zaprzecza. Jakżeż ich więc broni? Oto tem, że tak samo czynią chrześcijanie np. anglicy w Indyach i Chinach (wojna o opium), hiszpanie w Meksyku, francuzi i portugalczycy w swych koloniach. Chrześcijanie więc i żydzi nie mają sobie nic do zarzucenia. Przebaczcież więc sobie wzajemnie, kojarzcie się, wy żydzi pozbądźcie się żydowstwa, wy chrześcijanie chrystyanizmu *et redibunt saturnia regna*, a powróci wiek złoty!

Następnie bada H. środki podawane przez antysemitów, szczególnie przez niemieckich, tj. wyemigrowanie żydów, i naturalnie, że je potępia; gdyż mu ono jego teorye kojarzenia po prostu burzy. W zamian podaje rady: 1. Oszczędność u chrześcijan. 2. Wstrzymanie się od wszelkich nierzetelnych spekulacyj. 3. Unikanie długów honorowych *(Ehrenscheine)*, osobliwie u studentów i u oficerów. 4. Punktualność i rzetelność u rzemieślników i przedsiębiorców. 5. Nie brać udziału w kilku naraz przedsiębiorstwach, ale jednego pilnować należycie. 6. W końcu jako środek uniwersalny przeciw złemu: socyalizm państwowy. On to zniszczy znaczenie kapitału, owej hydry wypijającej szpik warstwy pracującej i zniszczy dalej socyalizm skrajny, czerwony.

Dalej rozstrząsa H. udział żydów w zakresie sztuki, literatury, prasy peryodycznej i polityki i na słowa jego tutaj zupełnie się można zgodzić. Nie odmawia on żydowstwu bynajmniej talentu i zręczności, ale wykazuje, iż są tylko reproduktywnymi, a nie samodzielnymi; w końcu są negatywnymi jak Spinoza w filozofii. Talent żydowstwa objawia się szczególniej w krytyce, w daniu sobie sprawy z bieżącej chwili i w zastosowaniu się do okoliczności. Prasę peryodyczną, osobliwie żydowską charakteryzuje H. bardzo dosadnie, ale niestety prawdziwie. Jej alfą i omegą jest zysk. Aby więc abonament zwiększyć, podnosi ona wszystko, co tylko słabości ludzkiej schlebia, co umysł zaciekawia i drażni; z drugiej strony znowu to, co jest prawdziwie pięknem, świętem, wszystko to zniża, nogami

depce z iście żydowską arogancyą i bezwstydem. Najlepszym tego dowodem prasa austryacka. To złe zamierza H. usunąć złem innem, a mianowicie monopolem prasy państwowej. Jaką politykę prowadzą w końcu żydzi? Bardzo trafnie tu sądzi H, nazywając ją kłamanym republikanizmem, t. j. doktrynerskim liberalizmem; na to zaś ma H. środek: oto żydzi, trzymający dziś z partyą postępową (szczególniej w Berlinie), mają się stać konserwatystami, czy wolnymi czy zagorzałymi, to wszystko jedno, a którzy nie chcą, to niech zostaną demokratami, podług modły Lassala. Przez to pozbędą się żydzi swej odrębności i staną się rzeczywistymi Niemcami, Polakami, Węgrami i t. d. Wszyscy wtenczas wierzyć będziemy w jednego boga i miłować się wzajemnie, a tym bogiem będzie państwo: z tego wynika socyalizm państwowy, prawdopodobnie na modłę Wagnera. Ale to tak prędko nie ziści się; zatem cierpliwości, tak wy chrześcijanie, jak i wy żydzi! Kilka pokoleń jeszcze, a na ziemi będzie panować miłość i zgoda.

Filozoficzny ten plasterek nie zagoi rany, otwartej antagonizmem żydowstwa, ani w Niemczech, ani gdzieindziej. Przekonany snać o tem sam Hartmann, który z iście ascetycznem namaszczeniem nawołuje wszystkich do cierpliwości, aż się rana sama nie zasklepi.

Wspominamy o tej broszurze nie dla tego, jakobyśmy wagę jaką do niej przywiązywali, ale ażeby dać lepiej poznać moralną wartość człowieka, który zaprzągnąwszy się w rydwan wszechwładzy państwa, do tej przychodzi konkluzyi: Polaków wytępić, z żydami mieć cierpliwość.

X. J. Krätzig.

Najnowsze powieści francuskie.

W ostatniem półroczu zaznaczyły bibliograficzne pisma francuskie okazanie się przeszło pięćdziesięciu nowych romansów i powieści francuskich. W liczbie tej połowa przynajmniej nie warta wspomnienia, ani pod względem stylu, ani treści, krążącej wciąż koło zużytych tematów, ożywionych chyba dosadnymi frazesami, przed jakimi w zwykłej konwersacyi każdy porządniej wychowany

człowiek ze wstrętemby się odwrócił. Drugą, mniejszą połowę podzielić można na trzy kategorye: romanse złe, ale napisane z względnym przynajmniej talentem; romanse wrzekomo moralne, a w gruncie najniebezpieczniejsze; wreszcie romanse i powieści z tendencyą istotnie poczciwą.

Ab Jove principium: — jeśli chodzi o Jowisza niemoralnego świata powieściopisarskiego, jest nim bezwątpienia Emil Zola, którego bezwstydny *Germinal* rozchodzi się niestety w bardzo szerokich kołach. Talentu i pracy odmówić Zoli nie podobna. Zanim zabrał się do skreślenia życia górników, przypatrzył się on dobrze w najdrobniejszych szczegółach ich życiu i obyczajom, a następnie, nie zważając na żadne względy najprostszej nawet przyzwoitości, z cynicznym realizmem odfotografował to piekło dni teraźniejszych, dokładając raczej niż ujmując ciemnych kolorów. Górnicy Zoli, to wszyscy pół-zwierzęta, odrażający mową, postępowaniem, podobnie i bardziej jeszcze niż widnymi z daleka łachmanami. Obok tych zezwierzęconych istot, rysują się — dla lepszego efektu — samolubne postacie egoistycznych mieszczuchów, których bogiem jedynym dogodzenie własnej wygodzie. Dwóch księży, jeden zapaleniec, drugi spokojny i w zgodzie z wszystkimi, nie mają być przynajmniej z góry obmyślanymi typami dla zohydzenia religii, czego zresztą Zola i w innych swych romansach — oddać mu należy tę sprawiedliwość — pilnie się wystrzega. Ale też, wyjąwszy tej jednej, negatywnej zalety, jakiż to okropny stek brudów, kryjących się, na domiar złego, pod stylem pięknym, pod obrazowaniem nieraz mistrzowskiem.

Szalone powodzenie, ściąga Zoli współzawodników. Jednym z gorliwszych jest Henri Demesse, w „sielankowym“, jak sądzi sam, a „pornograficznym“, jak mniemają jego krytycy, utworze: *Les vices de M. Benoît.* Pan Benoît zaślubia własną nieprawą córkę, w skutek czego matka tej nieszczęśliwej przebija nożem kuchennym dawnego swego kochanka; — oto treść powieści, rozprowadzonej przez 320 stronnic. Autor w charakterystycznej przedmowie podaje do wiadomości swym czytelnikom, że „mimo śmiałości i brutalności tej historyi, uważa ją jednak w gruncie rzeczy za moralną“. Prawdopodobnie tragiczne rozwiązanie powieści miało być owym „moralnym deserem“, neutralizującym wszystkie poprzednie bezecności; ale jeśli rozwiązanie samo daje patent na moralność, czemużby powieści Zoli nie miały

być uważane za moralne? Na samym końcu *Germinal'a* należałoby tylko położyć trzy gwiazdki, a następnie przypisek: „Wszystkie osoby występujące w tej powieści zabiły się, lub umarły nieszczęśliwie“, i otóż *Germinal* przeistoczyłby się odrazu w powieść wysoce moralną. Widocznie p. Demesse żartuje sobie ze swych czytelników, a może i z siebie samego.

L'impératrice Wanda, nie ma przynajmniej pretensyi do moralności; prawda, że i sam p. Demesse znalazłby się w kłopocie, mając bronić czegoś podobnie bezecnego. Dzienniki przypisują ją powszechnie pióru hrabiny de Mirabeau, tej samej, co rozpoczęła literacką karyerę od wdzięcznego i poczciwego *Roman des deux héritières*. Wierzyć się nie chce, że jedna i ta sama osoba napisać mogła dwie rzeczy równie ze sobą sprzeczne. Pod zmyślonemi imionami Włodzimierza VII., cesarzowej Wandy i t. p., przesuwają się postacie cesarza Aleksandra II., jego żony Maryi Fedorównej, Napoleona III., cesarzowej Eugenii i wielu najznakomitszych osobistości dworu petersburskiego i paryskiego. Policya rosyjska wzbroniła rozprzedaż tej książki, i istotnie najwięksi nawet nieprzyjaciele Aleksandra II. odwrócą się jeszcze z niechęcią przed portretem tego nowego „nienasyconego niczem Nerona“, którego zabójcy byli tylko „mścicielami moralności“. Styl odpowiedni do treści, zaznany chyba w karczmach i miejscach rozpusty.

Rodzaj przejścia między romansami otwarcie niemoralnymi, a kryjącymi swe brudy po za przeźroczystą zasłoną paru pietystycznych frazesów, stanowi *Cruelle énigme* przez Pawła Bourget. Powieściopisarz ten jest zwolennikiem nader wygodnego sceptycyzmu: analizuje na zimno, ale z całą delikatnością dobrze wychowanego dżentelmana najskrytsze uczucia i zbrodnie; opisuje spokojnie z równym uśmiechem na ustach tak cnotę jak i grzech; stawia zagadki ale rozwiązywać ich nie myśli.

Pod pewnym względem niebezpieczniejszym jest *Le vice suprême* Józefiny Peladan, gdyż do zbytku realistyczne obrazy i sytuacye wymawia poniekąd poczciwa tendencya. Leonora d'Este, umysł nienasycony wiedzą, druga Krystyna szwedzka, zaglądnąwszy do wszystkich tajemnic natury i ludzi, poślubia księcia Malatesta. Zaraz po ślubie Leonora odkrywa, że małżonek jej jest człowiekiem zepsutym do gruntu, obyczajów bezecnych. Młoda para nie

zrywa otwarcie, żyją razem, mąż pogrążony w najhaniebniejszych występkach; żona bez cnoty, broni się tylko dumą przed zupełnym upadkiem. Malatesta umiera z pojedynku; młodą milionową żonę otacza tysiące wielbicieli, a ona naigrawając się na zimno, odgrywa w obec nich komedyę miłości. Dwóch tylko ludzi robi nadzwyczajne wrażenie na umyśle dumnej kobiety: kabalista Merodack i słynny kaznodzieja Ojciec Alta: uosobnione wiedza i wiara. Leonora używa wszystkich swych sztuk, aby usidlić Merodacka, ale niewzruszony mędrzec z lekceważącą pogardą spogląda na umizgi nowożytnej Circei. Zbita z toru ale niepoprawna, zwraca się ona do O. Alta i kusi go w konfessyonale, lecz pobożny zakonnik usłyszawszy gorszące słowa, wychodzi spokojnie z konfessyonału, a odmówiwszy na klęczkach *Confiteor* opuszcza kościół. Leonora oskarża niewzruszonego zakonnika; tenże przyjmuje niezasłużoną karę, mówiąc: „Niech wola Boża się spełni". Szatan zwyciężyć nie może ani wiedzy, ani wiary — oto główna myśl całej tej powieści głębiej pomyślanej, zawierającej ustępy prawdziwe i prześliczne, ale obracającej się w atmosferze tak przepełnionej niezdrowymi wyziewami, że trzeba niemałej siły nerwów i umysłu, aby pozostać w niej bez niebezpieczeństwa.

W obec otwartej walki z religią objawioną istnieje we Francyi cała szkoła powieściopisarzy wrzekomo moralnych, ale wykluczających najstaranniej ze swych opowiadań choćby tylko proste pojęcia Boga, wiary, Kościoła. Pani Robert Halt doszła w tym względzie do takiej doskonałości, że w jej *La petite Lazare*, ani razu nie przychodzi imię „Boga", choćby tylko w zwyczajem uświęconych wykrzyknikach. Samo opowiadanie zajmujące, styl czarujący, nie ma tam słowa mniej przyzwoitego, ale z całości wieje chłód przypominający kościół bez krzyża i ołtarza.

Jakże odmienną jest *Guillemette* przez p. Zari. *Guillemette* podobnie jak *La petite Lazare* jest opuszczoną sierotą, ale sierotą, która w swych nieszczęściach umie spoglądać w niebo i stamtąd czerpać otuchę i zapewnienie lepszej przyszłości. Lucyan Biart naśladując tak popularne opowiadania Juliusza Verne, nie zapomina również o Bogu. Trzech podróżnych przebywających, wśród tysiącznych awantur, lasy i puszcze północnej Ameryki, zaznajamiają nas z jej osobliwościami; a missyonarz katolicki, gorliwy i uczony O. Anzelm, wskazuje, jak prawdziwa nauka łączyła się zawsze i złączyć

się może z wiarą prostą bez względów i zastrzeżeń. W jednym z rozdziałów zajmującej powieści *La chambre No 7*, otwiera przed nami p. Raoul de Navery bramy i furtki świeżo z sekularyzowanego szpitalu i prezentuje po kolei strojne zastępczynie wypędzonych bez litości Sióstr Miłosierdzia. Dozorczynie grają w karty, piją dobre wino i starają się o tualetę, a co się tam dzieje „ze służbą“, t. j. z chorymi, o to ani czasu, ani chęci nie mają się troszczyć. Szczęściem, między temi jędzami krążą dwa dobre duchy; w jednym z nich przedstawił autor szlachetnego i dzielnego obrońcę dzisiejszych wygnanek, doktora Armanda Desprez.

Terre de France przez panią Franciszkę de Juillat, osnute na tle smutnej wojny z r. 1870, godzi nas jeszcze bardziej z powieściopisarstwem francuskiem. Treść nadzwyczaj prosta. Panna de Bouzouls rozkochuje się w niegodnym siebie, pachnącym Paryżem, Robertem de Chernoy, a lekceważy sąsiada swego Amadeusza de Gorres, który nie może sprostać rywalowi w zgrabnych ukłonach i miodowych słówkach, ale przewyższa go nieskończenie pod każdym innym względem. Nadchodzi wojna z Niemcami. Amadeusz idzie walczyć za „słodką swą ziemię“ i dokazuje cudów waleczności; zniewieściały Robert pozostaje w domu. To otwiera oczy pannie de Bouzouls; ze wzgardą odpycha tchórza, a oddaje rękę obrońcy ojczyzny. Treść, powtarzam, prosta, niemal oklepana; ale ciepło, z jakim jest obrobioną i talent, nadały jej niezwykłej wartości. Przedziwne są dwie stare ciotki: ciocia Agata czyta dużo i umie wtrącić dowcipne słowo; ciocia Jakóbowa zajęta wyłącznie konfiturami. Obie z początku zgorszone niesłychanie manierami swej synowicy; dopiero później przekonywują się, że i w „nowoczesnym Babilonie“ odebrać można wychowanie nietylko znośne, ale prawdziwie chrześcijańskie.

Jednym z najobfitszych, jeśli nie z najlepszych chrześcijańskich powieściopisarzy francuskich, jest Aleksander de Lamothe. Przed dwudziestu paru laty zwiedził on pobieżnie Rosyę i Królestwo polskie i na tle swych spostrzeżeń, a bardziej jeszcze bujnej imaginacyi, napisał trzy powieści o Polsce: *Les faucheurs de la mort, Les martyrs de la Sibérie* i *Martha*. Opowiadania te mające urok nowości, a przepełnione dziwacznemi awanturami, przy czytaniu których Polak nie może się wstrzymać od uśmiechu, zjednały autorowi

wielką popularność w mniej wykształconych warstwach czytelników francuskich. Odtąd de Lamothe, naśladując, wedle wyznania własnych swych wydawców, styl i metodę Dumasa, nie znał miary w tworzeniu coraz nieprawdopodobniejszych awantur. Po komunie z r. 1871 rozgniewany na Polaków, jak niegdyś w zbyt jasnych, tak teraz znowu w zbyt czarnych kolorach ich przedstawił. Ostatnia powieść *Gabrielle* grzeszy zwykłemi wadami tego autora, potęgującemi się z wiekiem, w którym brak młodzieńczej fantazyi zastępować musi sztuczna mechanika nawzajem za sobą ścigających, plączących się bez końca i wreszcie jednym zamachem niespodzianie rozplątanych awantur.

Szekspir i Calderon mogli mieć prawo uważać Polskę za kraj jakiś półmityczny; mogli otaczać ją morzem i stawiać na tronie polskim królów niezapisanych na kartach historyi. P. Hektor Malot w *Micheline* uważa, że i dziś przysługuje mu to samo prawo i poważnie rozpoczyna swe opowiadanie od portretu księcia Sobolewskiego, potomka królów polskich, zapisanego w gotajskim almanachu. Mniejsza o tego nowokreowanego księcia; zamiast „Sobolewski", mogło stać pierwsze lepsze tatarskie nazwisko, a powieść skądinąd jedna z lepszych, nicby na tem nie straciła. To też autorowi nie chodziło o prawdopodobieństwo, bo natenczas stokroć lepiej byłoby tego „polskiego księcia" przedzierżgnąć w „polskiego hrabiego", których tylu figuruje po zagranicznych powieściach i hotelach, ale po prostu o postawienie swego opowiadania we mgle oddalenia, podobnie jak p. Lamothe przenosi swych awanturniczych bohaterów do Afryki, Meksyku lub Polski.

I otóż wszystkie niemal powieści francuskie z ostatnich kilku miesięcy, zasługujące pod jakimbądź względem na szczególniejszą uwagę. Dodaćby tu chyba jeszcze można wyraźnie spóźnionego *Lucifer'a*, przez Ferdynanda Fabre, który niegdyś np. r. 1828 w epoce rozbudzonej nienawiści przeciw Jezuitom, lub w wieku XVII. za czasów walki o „wolności gallikańskie", mógłby był obudzić niemałą wrzawę — ale dziś minął niepostrzeżony. *Les Ormes* przez Henryka Gréville; *La Victoire du mari*, przez Gastona de Varennes, w bardzo delikatnych materyach unikają brudu. Lecz wszystkie te względne zalety czy wady, nie wystarczają jeszcze, aby warto było bliżej się nad niemi zastanawiać. Jak w tylu innych rzeczach,

tak i w powieściach, Francya dawała przez długie lata ton i modę całej Europie; dziś dawne talenta poznikały, nowych — wyjąwszy może jednego Zoli — jakoś nie widać, ale jeśli te nowe talenta zwaćby się miały *Dumas, Victor Hugo, George Sand,* lub *Balzac* — to dzięki Bogu, że nie dozwala na taką prostytucyę geniuszu.

J. B.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

Das kostbarste Blut unseres Herrn Jesu Christi oder ein Monat zur Verehrung des Preises unserer Erlösung in 31. betrachtenden Lesungen. *P. J. Schneider.* S. S. Red. Regensburg, Pustet, 1884 str. 580, 2 Aufl. 1 m. 80 fen.

„Na wszystkich sercach — mówił Pius VII. — pragnąłbym widzieć wyrytą pamięć najdroższej krwi"; Pius IX. zaś nadał liczne odpusty tym, którzy czci tej Przenajświętszej Krwi cały miesiąc poświęcić zechcą. Miesiąc ten zaczynać się może od któregobądź dnia w roku. Układ dzieła jest taki: rozmyślanie, modlitwa i przykład. Zastanawia się Autor nad tem, jak bardzo krew Syna Bożego — to złoto nieskończonej wartości (św. Ambroży), ten klucz od skarbów niebieskich (św. Tomasz), to zbawienie dusz (św. Jan Chryzostom), ten dzwon głoszący łagodność i miłosierdzie (św. Bernard), ten magnes dusz (św. Magd. de Pazz.) — godną jest czci najwyższej. Przedstawia się tu słodkie źródło, z którego ona wytryska i szeroki strumień, którym płynie. Dalej poucza dzieło o wspaniałej życiodajności tego strumienia dla tych co godnie zeń piją, jak równie o zgubnych skutkach dla tych, co zdala go omijają lub piją zeń świętokradzkiemi usty. Rozmyślania odznaczają się bogactwem treści i podają prócz zasadniczych prawd religii sposób także i modłę życia w duchu wiary. Dodanem jest nabożeństwo codzienne, mszalne, nabożeństwo do sakramentu pokuty i komunii św. tudzież droga krzyżowa. *X. A.*

Konferencye apologetyczne o przyczynach niedowiarstwa w naszych czasach i o potrzebie religii miane w roku 1884 w Krakowie, napisał *ks. Józef Pelczar* Doktor św. teol. i kanonów etc. etc.

Liczni słuchacze, którzy się zeszłego roku tak chętnie gromadzili na te konferencye, powitają je mile ogłoszone dziś drukiem. Niejeden może umysł zachwiany wzmocnił się przez nie we wierze, niejedno serce zapaliło się do gorętszej służby Bożej, a wszyscy wynieśli z nich większy szacunek i uwielbienie dla naszej boskiej wiary. Konferencyj tych jest ośm,

pierwsze dwie omawiają przyczyny niedowiarstwa naszego wieku, w dalszych pięciu udowodniona potrzeba religii, w ostatniej krótko zebrane dobrodziejstwa, jakie z religii katolickiej na nasz naród spłynęły.

Wykład w nich jasny, przystępny a do tego doborowym językiem, ubogacony licznemi cytatami tak wrogów Kościoła, jak i uczonych katolickich i powag Kościoła św. Często autor zwraca się w stronę praktyczną życia, dotyka słabych stron z wielką znajomością społeczeństwa, serca ludzkiego.

Zacznijmy od pierwszych. W pięknym zarysie skreślonym z znajomością dziejów świata i Kościoła przebiega autor walkę ciemności ziemskich z religią Chrystusową. Wykazawszy jaką spuściznę odebrał wiek XIX. po przodkach swoich, maluje wzrost i potężnienie wrogów tej bożej instytucyi. Wylicza sekty o wybitniejszych celach i odcieniach i inne zgubne prądy nurtujące nasze społeczeństwo. Możeby było dobrze, gdyby autor wyczerpnął bardziej ten przedmiot. Prawda, że przestrzega w przedmowie czytelnika, by nie szukał w nich głębokich i rzecz wyczerpujących poglądów, ale jak sam wyznaje, celem jego było ostrzedz młodzież akademicką przed niebezpieczeństwami, które jej grożą. Wyliczenie tych złych prądów dało im poznać liczbę wrogów religii, sposób ich działania, zaciekłość, z jaką walczą. Wszystko to jednak zło, jak ku jednemu celowi zdąża, tak prawie i z jednego źródła płynie. Niezawodną bowiem rzeczą, że materyalizm stanowi dominującą cechę naszego wieku; ten zaś następstwem koniecznem hołdowania zmysłowości, ubóstwienia ciała, kulta złota. Odkrycie źródła zła najlepszą byłoby dla młodzieży przestrogą.

W konferencyach o potrzebie religii logicznie postąpił sobie autor udowadniając potrzebę jej dla człowieka, jako jednostki, dla rodziny i społeczeństwa. Co do pierwszego punktu, trzy konferencye wykazują potrzebę religii dla rozumu, woli i serca. Otóż ten podział nie zdaje się nam dosyć logiczny. Serce jako uczucie do woli należy. Rzecz dobrze przeprowadzona, tylko może nazwy nie dość dobrane. Również zdaje się nam, że czuć brak określenia religii na wstępie, a słowo to w różnych użyte później znaczeniach. Definicya więc dodałaby jasności wykładowi. W konferencyi o wierze zestawione są prawdy przyrodzone z nadprzyrodzonemi i późniejsze dowody zdają obejmować oba szeregi, okazując niemoc człowieka w poznaniu ich naturalnem światłem rozumu. Broń nas Boże, ale człowiek złej woli mógłby tu odnaleść jakiś objaw tradycyonalizmu. W konferencyi czwartej pominięta sankcya, a to przecież bodziec najsilniejszy do cnoty i uwiarowania się wszelkiej nieprawości.

Zresztą sądzimy, że to wydanie prędko się wyczerpnie, i łatwo będzie, jeśli autor uzna słuszność naszych uwag skorzystać z nich w przyszłem wydaniu. W końcu wdzięczność należy się od nas autorowi, że wśród tylu zajęć, poświęca się uprawie tego pola, które u nas niemal odłogiem leży, a którego uprawa może wydać stokrotne owoce. *Z. B.*

Casus theologiae moralis universae per *Dominicum Riccium*. Parisiis, 1884.

Autor tych dwóch tomów uniknął szczęśliwie niebezpieczeństw, zwykłych tego rodzaju pracom. Dzieło to zalecamy jako bardzo pożyteczne dla seminarzystów i dla kapłanów powołanych do spełniania ważnego obowiązku spowiedników. Napisane, 40 lat temu, przez człowieka w rzeczach duchownych nader biegłego, zawiera najpraktyczniej-

sze, tak zwane kazusy, a których rozwiązanie da się zastosować do całego szeregu przypadków podobnych. Są one wyłożone w sposób jasny, prosty, a krótki. Autor przypomina zasady, teorye przyjęte; ale nie wdaje się w uczone rozprawy. Rozszerza się tylko nieco nad przedmiotami, z któremi w naszych czasach walczy niedowiarstwo. Brat autora dodał tu obszerne przypisy, w których traktuje o rzeczach związek mających bądź z Syllabusem, bądź z konstytucyą Apostolicae Sedis. Kanonik Ricci przestrzega porządku przyjętego w rozprawach teologicznych. Łatwo więc zawsze seminarzyście albo kapłanowi, potrzebującemu szybkiego rozwiązania, znaleść je naprędce. Wystarczy zresztą przejrzeć spis rzeczy, który jest bardzo szczegółowy. Metoda w rozwiązywaniach doskonała. Przedłożywszy tak zwany casus, stawia autor rozmaite kwestye i w krótkości na nie odpowiada. Przytacza do zdań autorów i swoje własne zapatrywania, nie narzucając ich wcale. Jest uczniem św. Alfonsa Liguori. Z równą roztropnością usuwa ze swej książki rzeczy zupełnie specyalne, utrudniające często czytanie książek pisanych o przypadkach sumienia. Ledwie znaleźliśmy dwa pytania, którebyśmy radzi omówić w osobnej rozprawie *de sexto praecepto*. Wydała się nam w paru miejscach potrzeba odmłodzenia teoretycznej nauki. Chodzi nam zwłaszcza o kwestyą pożyczek na procenta. Autor daje rozwiązania przyjęte przez wszystkich, ale opiera na dowodach, które nie dochowały swej dawnej siły. Położenie finansowe i same prawa handlu pieniężnego bardzo zmieniły się od pół wieku. Nareszcie zaleca to dzieło taniość, ale szpeci znów druk niepoprawny. Zawsze można pojąć sens i iść za rozwojem myśli, ale błędy które uszły uwagi korrektora, zadziwią każdego. *M. P.*

Z dzieł historycznych.

Istoryko-jurydiczeskije matierjały, izwleczonnyje iz aktowych knih gub. Witebskoj i Mohylowskoj. Czternaście tomów in 4 major. Witebsk. (Historyczno-jurydyczne materyały, wyciągi z ksiąg aktowych gub. Witebskiej i Mohylewskiej).

Białoruskie gubernie, Witebska i Mohylewska, pod względem materyałów archeograficznych, historycznych i statystycznych, drukiem ogłoszonych, bogatsze są od innych prowincyj polskich, chociaż nie wszystkie te materyały mają prawdziwą naukową wartość. Jeszcze w r. 1855 jenerał Bez-Korniłowicz ogłosił spory tom materyałów do historycznych wiadomości o wielu miastach i ważniejszych osadach na Białej Rusi. Gruntowniejszą od tego opisania pracę ogłosił w r. 1857 p. Turczaninow. Następnie bardzo sumienny badacz p. A. Sementowski ogłosił dwa dzieła archeologii i etnografii gubernii witebskiej poświęcone, a które stanowią ważny przyczynek do badań w tym kierunku [1].

[1] Dla związku rzeczy pozwalamy sobie tu dodać, że w obszernej pracy naszej o Litwie i Białej Rusi (t. III. Malowniczej Rosyi, wydawanej przez ś. p. M. B. Wolfa, 1882 r.), zamieściliśmy następujące rozdziały Białej Rusi poświę-

W VIII. zeszycie (na sierpień) z r. 1884 w „Przeglądzie powszechnym“ p. Sulima podał już wiadomość o ciekawem wydawnictwie p. A. Saponuwa, p. t. Starożytności witebskie.

Obecnie uważamy za stosowne zwrócić uwagę także na witebskie wydawnictwo wyciągów z aktowych ksiąg witebskiej i mohylewskiej gubernij, rozpoczęte w r. 1871 pod redakcyą p. Sazonowa, a dziś już wynoszące czternaście tomów.

Wiadomo, że w Kijowie, Wilnie i Witebsku istnieją archiwa centralne, zawierające księgi ziemskie, grodzkie aktowe, dekretowe, sumaryusze i t. d. od czasów najdawniejszych. Witebskie archiwum biedniejsze od innych. Utworzone w r. 1852, zaledwo w 10 lat potem mogło rozpocząć swą działalność, gdy odszukano stosowny lokal i gdy zwozić zaczęto księgi aktowe z rozmaitych biur gub. witebskiej i mohylewskiej. Zbiory ksiąg i aktów zaczynają się od r. 1560—1799 i zawierają 1823 księgi, dotyczące wyłącznie tych dwóch gubernij.

Z tych tedy ksiąg i aktów mamy już ogłoszonych XIV. tomów wypisów zaznajamiających z ówczesnym stanem miast, ze zwyczajami i obrzędami, prawami i przywilejami mieszczan i innych klas ludności, handlem, przemysłem, rzemiosłami i t. d. Bogactwo wielkie szczegółów, nietylko historyczno-jurydycznych, ale w znacznej części i etnograficznych.

Prace archeograficzne w Rosyi w ciągu lat kilkunastu ostatnich znacznie postąpiły. Towarzystwa naukowe i osobne na ten cel wyznaczone komisye, ogłaszają dawne akta, nadania, przywileje, inwentarze, mając na to znaczne uposażenia od rządu. Nadto kilka pism czasowych, wyłącznie poświęconych naukom historycznym, drukują zapiski, pamiętniki, korespondencye z lat ubiegłych. We wszystkich tych wydawnictwach bardzo często potrąca się o kwestye blizko nas obchodzące, tak, że dziś zadaniem polskiego badacza dziejów ojczystych bacznie śledzić za tego rodzaju wydawnictwami i korzystać z nich dla zgłębienia i wyświecenia prawd żywotnych w kwestyach przeważnie go interesujących. Konieczną jest w takich razach sumienna bezstronność, ale zarazem i najsurowsza krytyka, niektóre bowiem z tych wydawnictw grzeszą jednostronnością w poglądach, lub też nadają kierunek z góry wytknięty, mianowicie wybierając do ogłoszenia prawie wyłącznie takie tylko akta, które popierają zasadniczą ideę wydawcy, a pomijając to wszystko, coby się jej sprzeciwiało.

Nie możemy mieć wszystkich dzieł, jakie się pojawiają na tem polu w Rosyi; obowiązkiem wszakże jest naszym przynajmniej zwracać uwagę na ważniejsze z nich.

Tak w ostatnich czasach komisya archeograficzna kijowska ogłosiła cztery księgi stanowiące dalszy ciąg sumaryusza ksiąg aktowych, a zawierających wyciągi z ksiąg łuckich po r. 1646. Ogólna liczba ogłoszonych dotąd ksiąg wynosi 22. Jeszcze w r. 1878 taż komisya ogłosiła skorowidz nazwisk rodzin osiadłych w południowych guberniach, a o których wzmiankowano w jej wydawnictwach. Niedawno zaś wyszedł tom II. takiego skorowidza, wykazujący nazwy geograficzne.

A. H. K.

Regestr pomiarów ekonomii grodzieńskiej w XVI. wieku,

cone: 1. Zabytki epok pierwotnych, 2. Slady bałwochwalcze, 3. Zarysy etnograficzne, 4. Zarysy historyczne, 5. Władze umysłowe i środki kształcenia się, 6. Przyroda, 7. Pińskie Polesie, 8. Znaczniejsze osady i miasta.

oraz jeszcze ważniejszy REGESTR POMIERZANIA ZIEM na włoki powiatów i też księstwa pińskiego, kleckiego i innych, przez *Jana Goreckiego* 1551—1555.

Jeszcze w r. 1862 zwracaliśmy uwagę na wielką doniosłość tych regestrów, oraz inwentarzów, rozumnie i nader troskliwie układanych głównie pod kierownictwem i pracą Wasila Tyszkiewicza, Wojciecha Lenartowicza, Stanisława Dziewałtowskiego, Piotra Chwalczewskiego, Chodkiewicza, Sapiehy, Hrehorego Bohdanowicza, Wołowicza, Jakuba Laszkowskiego i innych w XVI. wieku. Inwentarze ówczesne swoją dokładnością bodaj i dziś za wzór służyćby mogły, a pamiętne są słowa reskryptu Zygmunta Augusta, które wypowiedział wręczając instrukcye rewizorom: „że lustracya dóbr konieczną jest dlatego, żebyśmy wiedzieli, ile ludzi wyżywić się może i jakie jest położenie państwa naszego, którym Pan Bóg rządzić nam rozkazał“ [1]. Cieszyć się więc tylko możemy, że kom. wileńska ogłasza tak ważne materyały.

Komisya wileńska ogłosiła także ciekawy zbiór paleograficznych podobizn z aktów i przywilejów, przechowanych w centralnem archiwum wileńskiem i wileńskiej publicznej bibliotece. *A. H. K.*

SBORNIK IMPERATORSKAHO RUSSKAHO ISTORYCZESKAHO OBSZCZESTWA. Tomy 42, 43, 45 i 47. 1885. (Pismo zbiorowe wydawane przez cesarskie rosyjskie historyczne towarzystwo).

W Petersburgu istnieje cesarskie rosyjskie towarzystwo historyczne, którego działalność nadzwyczaj obfita i cenna pod względem wyświecenia wielu dziejowych wypadków, na podstawie materyałów zaczerpniętych z archiwów tajnych, przez długie lata nieprzystępnych dla pracowników. W marcowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* z r. 1884 była już wzmianka o wydawnictwach tego towarzystwa. W r. b. wydane zostały 42, 43, 45 i 47 tomy Pisma zbiorowego historyi poświęconego. Dla nas szczególnie ważne i interesujące tomy 42 i 47. Z tych pierwszy zawiera ciekawą korespondencyę Katarzyny II. z Potemkinem i innymi dygnitarzami o polskiej kwestyi, jak również o obłudnej polityce pruskiej, w skutek której, jak pisze Katarzyna II. do Kreczetnikowa w roku 1792: „gwałtowne nalegania króla pruskiego, zmusiły ją zgodzić się na ostateczny podział Rzeczypospolitej“.

Bodaj jeszcze ciekawszy pod względem rozbioru Polski, tom 47. Zawiera on urzędową korespondencyę Katarzyny II. z jenerałami Kreczetnikowem i Kachowskim o rozbiorze Polski, niemniej są tu szczegółowe doniesienia o bitwach, jakie staczały wojska rosyjskie z Polakami, aż do ostatecznego wzięcia Warszawy.

A. H. K.

ARHIW JUHOZAPADNOJ ROSSII. Tom VI. (Archiwum południowo-zachodniej Rosyi).

Jest to pismo historyczne poświęcone wyłącznie dziejom Podola, Wołynia i Ukrainy. Niedawno wydany tom VI. tego pisma zawiera dokumenta do historyi Kościoła na Rusi. Poprzedza go wstęp p. J. Lewickiego, oma-

[1] Inwentarz i Regestra, o których tu mowa, stanowiły własność komisyi archeologicznej wileńskiej przez Eustachego hr. Tyszkiewicza założonej. — Przemówienie nasze na posiedzeniu komitetu statystycznego wileńskiego 23 kwietnia 1862 r., wydrukowane w Pamiętniku hist.-statys. tegoż komitetu na rok 1863 (1—23).

wiający kwestyę unii i przyczyny jej powstania. Ciekawy bardzo pogląd na ten wstęp, właściwie naukową rozprawę p. Lewickiego, *Petersburskiego Gońca Urzędowego* (Prawitelstwiennyj wiestnik), który tu podajemy w dosłownym przekładzie: „W nauce panuje przekonanie, że unia (brzeska) była środkiem politycznym, obmyślonym przez rząd polski, w celu zjednoczenia w drodze religijnej podwładnych mu narodowości i wcielenia ich do ludności panującej. Nie odrzucając ani tego stosunku władzy polskiej w kwestyi unickiej, ani działalności duchowieństwa katolickiego i Jezuitów, ani systematycznego prześladowania wyznania prawosławnego, p Lewickij uważa to wszystko jednakże za rzecz drugorzędną; główną zaś przyczynę powstania unii widzi on w wewnętrznym stanie ówczesnego kościoła prawosławnego, co już samo czyniło zeń łatwą zdobycz. Nadużycia, o którychby nikt nawet nie zamarzył w czasach obecnych, a których stale dopuszczano się w wyższej hierarchii cerkiewnej, jak np. uzurpacya wyższych godności cerkiewnych ze strony osób świeckich, kupowanie i sprzedawanie biskupstw i archimandryj (pralatur), życie sprośne większej części tych nieuznanych władyków, gwałcenie kanonów i tradycyj cerkiewnych, jak słusznie powiada autor (Lewickij), musiały nieodzownie wywołać przewrót. Alboż można się dziwić, powiada autor, że w obec takich warunków cerkiew prawosławna na Rusi w osobie niegodnych przedstawicieli swoich, musiała stracić świętą powagę i ludność całemi tłumami przechodziła na obce wyznania, albo łączyła się z sekciarzami? Dla umysłów wznioślejszych jasnem to było, skoro więc w samej cerkwi nie znajdywano środków do wyplenienia złego, powzięto zamiar poddania kościoła wschodniego na Rusi urzędownie pod władzę papieża rzymskiego, w nadziei, że tym sposobem zaprowadzony zostanie ład w hierarchii, zupełnie pozbawionej wszelkiej kontroli. *A. H. K.*

Cześć śś. Cyryla i Metodego w Polsce, według ksiąg liturgicznych i legend od końca XIII. wieku, skreślił *ks. Ignacy Polkowski*, członek Akad. umiej. w Krakowie. Kraków, 1885, str. 64.

W przededniu wielkich uroczystości welehradzkich, które tak zajęły wszystkich umysły, a sparaliżowane zostały wieściami o wrzekomej epidemii panującej w tych tam stronach, mimowolnie nasuwało się pytanie, czy i jaką cześć oddawała Polska w minionych wiekach pierwszym Apostołom Słowiańszczyzny. Popularną cześć ta nigdy nie była w naszym kraju. Napróżnobyśmy szukali obrazów, figur lub świętych pod ich wezwaniem. Jedynie Kościół św. czuwał, by w Słowiańszczyźnie nie zaginęła cześć i pamięć śś. Cyryla i Metodego. W brewiarzach i mszałach, począwszy od XIV. wieku spotykamy różnie obrabiane ich żywoty i modlitwy ku ich czci ułożone. Ks. Polkowski przytacza w swem dziełku pięć różnych żywotów z brewiarzy wyjętych, odmiennych tak treścią, jak i formą. Do nich dołącza obowiązujące dziś w Kościele lekcye z encykliki Leona XIII. z 1880. Porównanie ich różnic i przemian nie jest bez wartości i pożytku dla badacza, ale co wszystkich zajmie, to ułożony na podstawie legend, żywotów i lekcyj brewiarzowych życiorys obu świętych, opatrzony cennemi notami. Krótką, ale ważną pracę kończy autor wyliczeniem źródeł, materyałów i dzieł odnoszących się do żywotów śś. Cyryla i Metodego. Tak ze względu na treść, jak i na formę zewnętrzną, praca ta stanowi piękną pamiątkę jubileuszową. *J. B.*

Z dzieł literackich.

Polnische Stimmen. I. Ausrotten? Zürich 1886.

Z początkiem b. r. ogłosił profesor berliński Hartmann w niemieckim tygodniku *Gegenwart* nr. 1, 2, 6 artykuł p. t.: *Rückgang des Deutschthums*, w którym bez żadnej ogródki doradza Niemcom *wytępić, ausrotten*, Polaków w Księstwie poznańskiem, w Prusiech i na Szląsku od wieku osiadłych, choćby to kosztować miało miliardy marek i miliony wojska. Cynizm, z jakim ta myśl została w świat puszczoną, oburzył wszystkie frakcye i odcienia polityczne w naszym kraju — Hartmanowi dano zasłużoną odprawę w pismach publicznych polskich i w niemieckiej *Germanii*. Ale Hartmann nie czyta po polsku, a jednak zdrowoby dlań było, aby usłyszał sąd o sobie społeczeństwa, które on na zatracenie przeznacza. Dlatego znalazł się ktoś, który zebrawszy głosy prasy polskiej i przetłumaczywszy na niemieckie wydał w osobnej broszurze pod powyższym tytułem. Głosów tych jest siedm, i rzecz ciekawa w warszawskim tygodniku *Prawda*, do której zaiste zastosować nie można wierszu Owidego: *nunc tibi de vero nomine nomen erit* i która w obec wiary katolickiej i wszelkiej objawionej religii wogóle powoduje się na wzór Hartmanna polityką zatracenia, znalazły się aż dwa głosy: Dra Świętochowskiego i Dra Karłowicza, potępiające Hartmannowskie *ausrotten*, zastosowane do Polaków. Oprócz tych dwóch głosów przytoczone są jeszcze: głos protestu p. Jarochowskiego w *Germanii*, ks. Morawskiego w *Przeglądzie powszechnym*, ale w wyjątkach tylko, głos petersburskiego *Kraju* i wreszcie warszawskich pism belletrystycznych: *Tygodnika illustrowanego* i *Kłosów*. W merytoryczną wartość tych głosów wchodzić nie możemy, w tem one zgadzają się wszystkie, że Hartmannowskie *ausrotten* piętnują mianem barbarzyństwa, dzikości, niesprawiedliwości i podłego służalstwa. Czy Hartmann zbiorowy sąd ten uszanuje, czy odmieni swe krwawe poglądy, czy się jednem słowem nawróci? — wątpić należy. *S. Z.*

Upadek Bolesława Śmiałego, przez *Franciszka Stefczyka*. Warszawa, 1885. 8-o, str. 83. (Odbitka z Ateneum).

Na początku tego wieku Czacki znalazł w Gallusie, że św. Stanisław porozumiewał się z Wratysławem czeskim na szkodę Bolesława i że król polski za takową zdradę ukarał go śmiercią. Odpowiedział Bandtke Czackiemu, że wyczytał to, czego w Gallusie niema. Coś podobnego zdarza się dzisiaj p. Stefczykowi. Utrzymuje on, że znalazł w Kosmasie nowy dowód zdrady św. Stanisława i wyciąga to z ustępu, o którym niema żadnej pewności, iż się do św. Stanisława odnosi. Wykazał to już p. A. L. w *Przeglądzie polskim*, o czem zresztą każdy z Kosmasa przekonać się może. W ten sposób, nabój z niemałym trudem przygotowany, spalił od razu na panewce.

P. Stefczyk dzieli pisarzy naszych o św. Stanisławie na trzy kategorye: 1-o tendencyjnych, 2-o bałamutnych, 3-o naukowych; my do tych trzech kategoryj, dodamy czwartą w rodzaju autora: pisarzy tendencyjno-bałamutnych z pewnym pokostem naukowym.

„Jeśli niedorzecznością jest, jak mówicie, wierzyć we wszystko, co utrzymują katolicy, to jeszcze większą jest niedorzecznością nie wierzyć w nic, jak wy to czynicie“, powiedział filozof genewski do swych kolegów z XVIII. wieku, i to słowo przypomniećby można p. Stefczykowi, który z autorów średniowiecznych odrzuca wszystko, czego nie rozumie. Kiedy nasi pisarze historyczni zaczną czytać coś więcej niż historyków protestanckich i zapoznają się z nowszą literaturą kościelno-historyczną we Francyi i we Włoszech (przyznajmy z pociechą, że niektórzy już zaczęli), to się przekonają, że stare tradycye chrześcijańskie mają dużo głębszą podstawę, niż żeby je mógł obalić jakiś tekst oderwany i naciągany sztucznie. Krytyka historyczna z naszych czasów ma między innemi tę zasługę, że nietylko o tych wątpi, co dawniej twierdzili, ale i o tych co później przeczyli, i skutkiem tej metody niejedno zaprzeczenie z XVII. i XVIII. w. pokazało się dziś fałszywe. Przykładów możnaby zacytować tom cały. O panu Stefczyku chcemy żywić nadzieję, że gdy do swych hypotez i uprzedzeń trochę surowszej przyłoży krytyki, nie będzie tak śmiały w swych konkluzyach, i zrozumie, że gdzie niema na prawdę źródeł do wyświecenia faktu, to ocenić go jedynie można wedle następstw, jakie wywołał. A następstwem faktu, o którym mowa była, owa powszechna cześć narodu, który św. Stanisława za swego głównego dobroczyńcę poczytywał. Nie każdy wiedział dlaczego, ale każdy czuł, że jego śmierć sprawiła wielki przełom w dziejach narodu. Jeżeli Bolesław Chrobry był twórcą państwa polskiego, bo jego niepodległość wywalczył, to św. Stanisław był twórcą cywilizacyi polskiej, bo jemu to głównie zawdzięczyć musimy, że historya Polski innym niż Rusi waregskiej potoczyła się kołem. Tej chwały z głowy męczennika, który od ośmiu wieków zrósł się z życiem narodu, nie zdejmie z pewnością żadne półsłówko Gallusa, ani żaden tekst naciągany z Kosmasa. P. Stefczyk przychodzi zapóźno; praca jego za czasów pruskich, lub księstwa warszawskiego możeby poklask znalazła, dziś tylko niesmak obudzi, i każdy co ją odczyta, powtórzyć musi życzenie *Przeglądu polskiego* iżby sz. autor na wdzięczniejsze odtąd pole zwrócił swój talent, którego Pan Bóg mu nie odmówił. *X.*

Z dzieł filozoficznych.

L'IDÉE DE LA RESPONSABILITÉ, par *L. Lévy-Bruhl*, professeur agrégé de l'Université. Paris 1884. Hachette, in 8-vo p. XV., 251. Prix: 4 fr.

P. Lévy-Bruhl jest uczniem Kanta i ma tę wyższość nad swymi kolegami, że wysnuwa otwarcie, szczerze ścisłe wnioski ze zasad mistrza i dzieli się nimi z publicznością, przepraszając ją, że są tak niefortunne. Ale do jakiegoż rezultatu dochodzi w badaniach nad odpowiedzialnością woli ludzkiej za swoje czyny? Oto skromnie prosi czytelników, żeby za nic sobie nie mieli całej filozofii Kanta i poprzestali na wrodzonem świetle rozumu, bo z niego mogą coś wiedzieć o swoich obowiązkach i rozumieć, dla czego je mają wypełniać, a podług zasad nauczyciela królewieckiego mi-

strza nie mogliby dojść do rozróżnienia łotra od bohatera To wręcz wypowiada p. Lévy-Bruhl, bo nie mógł innego wniosku wyprowadzić z swojej książki. Rozróżnił w niej odpowiedzialność fenomenalną czyli przedmiotową od numenalnej czyli podmiotowej; pierwsza tyczy się ustaw społeczeństwa, w którem żyjemy, druga obowiązku zachowania praw, które mamy w sumieniu. Uczeń Kanta sądzi, że powinniśmy stosować się do ustaw państwowych dla miłego spokoju, nie zaś z obowiązku na sumieniu; w ten sposób zręczny filut może szlachetnie opróżniać cudze kieszenie, byle bez zatargu z władzami bezpieczeństwa publicznego. Przyznać należy, że p. Bruhl swojem dziełem dowiódł, że filozofia Kanta uczy obyczajności... sprzecznej ze zdrowym rozumem, sam też w ciągu całej książki w ustawicznej jest sprzeczności, przyznając się bowiem do idealizmu i podmiotowości Kanta rozumuje wszędzie jako realista, przyjmujący pewniki arystotelesowskiej filozofii. *K. C.*

HARMONIA entre la ciencia y la fe ensayo, przez *O. Michała Mir'a T. J.* Nowe wydanie znacznie powiększone. Madryt, 1885, in 8, str. 488. Cena 6 fr. 50 cnt.

L'ACCORD de la Science et de la foi par le *O. M. Mir S. J.* Paris 1883. (Przekład francuski z pierwszego wydania

Jest to odpowiedź filozofom bez wiary na najważniejsze błędy ich nauki, a głównie zawarte mianowicie w głośnej książce Draper'a „Stosunek wiedzy do wiary", jak już wskazują przeciwne tu sobie tytuły obu dzieł. Plan swojej pracy przedstawia ks. Mir na wstępie: „Naukę można dwojako uważać, albo w jej ustroju wewnętrznym, albo w jej dziejowym postępie: pierwszy wzgląd tyczy się powstania i rozwoju nauki w ludzkim umyśle, drugi polega na badaniu kolei, jakie przebiegała nauka w dziejach ludzkości... Stąd dwie części naszej pracy: zbadamy naprzód, czy istota wiedzy sprzeciwia się istocie wiary; potem, czy obalają wiarę postęp i zdobycze wiedzy". Jak widać z tego rozkładu, pierwsza część dzieła rozprawia o racyonalizmie przeszłowiecznym, druga głównie odpowiada na błędy materyalizmu naszego wieku; w tej właśnie części autor zdobywa sobie wybitne stanowisko, bo walczy z niewiarą obznajomiony z najświeższemi jej poglądami i odkryciami. Pojęcie materyi i ducha; pojęcia: Boga, przyrody, cudu, stworzenia; księgi rodzaju Mojżesza, darwinizm, jedność rodzaju ludzkiego, pierwotny stan człowieka, chronologia biblijna, potop, pomieszanie języków; ruch ziemi; nakoniec najnowsze zarzuty Drapera o inkwizycyi i Galileuszu: wszystko to znajduje miejsce w dziele ks. Mir'a, a błędy przeciwne znajdują odprawę. Potem przytoczone świadectwa największych mężów nauki; dalej rzut oka na wieki ubiegłe, w których raz po raz spodziewała się nauka bez wiary zwyciężyć Kościół, ale przez własne zdobycze przekonywała się o swoim błędzie; a kończy się dzieło nadzieją lepszej przyszłości.

Niepodobna przytoczyć wszystkiego, co zaciekawia czytelnika tej książki. Za przykład przytoczymy ustęp, w którym ks. Mir daje sąd o darwinizmie.

„Pamiętamy, jak 26 lat temu wy„dał Darwin swoją głośną książkę o „powstaniu rodzajów, z której wytwo„rzyła się teorya o ewolucyi czyli „rozwoju. Nie były to żadne nowe „doktryny; od dawnych lat odbrzmie„wały one w sferach szkół filozoficz„nych; ani nie Darwin zdobył zasługę „wyłożenia jej z tą jasnością, siłą wy„słowień i wymową, która zdobywa

„przekonania: ale, jak *habent sua fata „libelli*, myśl darwinistyczna wywołała „taką wrzawę pochwał i nagan, że „długo nie mówiono o niczem więcej „na akademiach, wszechnicach i w uczo„nych towarzystwach... Długoby opo„wiadać dzieje tych sporów; naszym „zamiarem przedstawić, w czem dar„winizm walczy z Objawieniem: więc „zastanowimy się nad zdarzeniem, któ„re wstrzymało zapał do darwinizmu „i niemało wyjaśniło tę naukę...

„W r. 1870-ym napisał *Mr. Saint„George Mivart* książkę o początku „rodzajów. W niej dowodzi, że zasady „darwinistyczne nie zdołają zdać spra„wy ze zjawisk, których wyjaśnienia „szukają i że w ogóle nie są do dziś „dnia nauką, tylko pomysłem na wiatr „rzuconym, chociaż w nim możnaby „za słuszne uznać niejedno twierdze„nie .. Dowodzi dalej w tem dziele „sławny profesor katolickiej wszechni„cy w Kensington, że darwinistyczny „rozwój rodzajów nie sprzeciwia się „zgoła Objawieniu; że może to być „błędna i niedokładna teorya, ale sa„ma przez się nie sprzeciwia się taje„mnicom wiary, więc do wykazania „jej mylności nie można i nie należy „posługiwać się nauką wiary. Temi „słowami Mr. Mivart zupełnie zbił „z tropu wielu darwinistów, jak Hux„ley'a, który w takiej nauce szukał „broni przeciw Kościołowi.

„W samej rzeczy, nie widać w sło„wach Biblii ani w wyrokach Kościo„ła wyrażenia sprzecznego z darwini„zmem... Księgi Rodzaju nie wyrażają „tego, że p. Bóg bezpośrednio i wprost „stworzył każdy rodzaj... Choćby wy„dawało się widoczną prawdą samo„rodztwo (co nie prawdopodobne), to „nie sprzeciwia się ono prawdzie obja„wionej, bo mógłby p. Bóg obdarzyć „materyę siłą, wyradzającą życie w „warunkach, o jakich mówiło wielu „scholastycznych teologów i Ojców „świętych zgodnie z średniowiecznemi „pojęciami o przyrodzie. Ci pewnie „nie byli darwinistami... ale, nawet bez „wzmianki o formach wywiedzionych „z sił materyi, przypominamy znane „zdanie św. Augustyna, że p. Bóg „nie stworzył wszystkiego od razu, ale „twórczem słowem dał wielu jeste„stwom byt w zawiązku *potentialiter „et causaliter*... Więc pojęcie stwo„rzenia nie wyklucza, według tego fi„laru Kościoła, ani pierwotnego roz„woju, ani przemian rodzajów, *per „temporum motum*, ani *per volumina „saeculorum*, jak gdzieindziej wymo„wnie powiada.

„Więc badania naukowe powinny „wykrywać błędy darwinizmu, nie po„wagą wiary, która nic tu nie ma do „mówienia, gdyż wielu katolickich pi„sarzy zgadza się z systemem prze„mian rodzajów zwierząt, a wielu prze„ciwników Kościoła jej nie uznaje".

Rozumie się, w tym wstępie mówi ks. Mir o przemianie rodzajów zwierząt: gdyż o powstaniu człowieka rozprawia w następnym rozdziale, i jak widoczna, bezwzględnie zaprzecza powstaniu ludzkiej duszy ze zwierzęcej.

Równie ciekawych jest wiele miejsc w tem dziele: np. o systemie Kopernika i głośnym procesie Galileusza, o wielości światów według Flammariona, ks. Secchiego i Le Fay'a, o dowodach, że człowiek przedhistoryczny stał na wysokim stopniu postępu i t. d.; słowem, cała książka niesłychanie zajmująca i treścią i stylem; zawiązano z autorem jej układy, aby ją przetłumaczyć na polski język.

K. C.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

„Plus catholiques que le Pape".

Od dnia, w którym Leon XIII. zasiadł po Piusie IX. na Stolicy Piotrowej, ileż to już skreślono porównań, antytez, przeciwieństw między tymi dwoma papieżami! Każdy papież ma niezawodnie swoje osobiste cechy, każdy pontyfikat swe opatrznościowe zadanie; przeciwieństwa jednak bywają bardziej pozorne niż prawdziwe.

W szczególności Pius IX. uchodzi za papieża partyi „wojujących", Veuillotyzmu; w Leonie zaś upatrują zbliżenie się do „katolików umiarkowanych", *alias* liberalnych. W ostatnich dwóch miesiącach zaszły w trzech krajach katolickich Zachodu pokrewne wypadki, które ponownie upozorowały tę antytezę: t. j. sprawa organu karlistowskiego *El Siglo futuro* w Hiszpanii, sprawa kardynała Pitry we Francyi, i upadek gazety *Journal de Rome* we Włoszech. Wszystkie te trzy wypadki były i są jeszcze przedmiotem nieskończonych komentarzów gazet liberalnych. Wiedeńska *Neue Fr. Presse* i rzymski korespondent *Gazety narodowej,* (znany brzuchomowca), tryumfują, wynoszą pod niebiosa Leona XIII., że wreszcie pogromił partyę ultramontańską, jej ludzi i jej doktryny; tryumfują, że przecież doczekali się zwrotu samego Kościoła do ich ulubionych zasad. Wreszcie tymi dniami paryskie gazety *Le Martin* i *Gaulois* rozpuszczają wieść, która nie mało w świecie politycznym robi hałasu: że Leon XIII. zaczyna się godzić z rządem włoskim i dlatego kasuje *Journal de Rome,* jako przedstawiający ideę absolutnego oporu [1].

---

[1] Nie potrzebuję dodawać, że *Osservatore Romano* natychmiast i stanowczo tej insynuacyi zaprzeczył.

Cóż jest w tem wszystkiem prawdy? Pozornie jest sprzeczność, w stosunkach do stronnictw katolickich, między Piusem a Leonem XIII. Bliżej jednak przypatrzywszy się rzeczy, widzi się, że nie po stronie Stolicy św. zaszła zmiana, ale po stronie stronnictw, niby ten sam noszących sztandar. Za Grzegorza XVI. i Piusa IX. byli „katolicy liberalni“ i „katolicy ultramontanie“; pierwsi, lubo najszlachetniejsi ludzie i wierni synowie Kościoła, błądzili w doktrynie, stawiając wolność wyznania, wychowania i prasy, jako zasadę absolutną; drudzy walczyli za zasadą, że nietylko jednostka, ale też społeczeństwo jako takie, ma obowiązki względem Boga; że więc nie może być bezwyznaniowem, równouprawniać zła i dobra, prawdy i fałszu. Ci ostatni w swej gorliwości o prawdę przekraczali niekiedy granice chrześcijańskiej miłości i poszanowania władz — za co ich Stolica św. nieraz upominała, i nawet Ludwik Veuillot w publicznej przemowie Piusa IX. został dotknięty; lecz oni właściwie dzierżyli prawdę, i dlatego Grzegorz XVI. i Pius IX. z nimi trzymali. Ale po szeregu encyklik tych dwóch papieży i po soborze, kwestya doktryny już jest w świecie katolickim roztrzygniętą. Wszyscy obecnie wiemy, że w zasadzie społeczeństwo tak samo, jak jednostka, powinny być katolickie, że jednak kiedy takiem nie jest, lepsza wolność, niż nieszczera i ciemiężąca opieka, i że w obec liberalnych państw, na teoryi wolności opartych, katolicy mogą i powinni się tej wolności domagać. Dziś już nie ma w łonie katolicyzmu szkoły liberalnej i szkoły ultramontańskiej. Są zawsze jednak w kilku krajach, mianowicie we Francyi, Hiszpanii i Włoszech, dwa stronnictwa katolickie: niby to ciąg dalszy ultramontatów, pod mianem „wojujących“ *les militants*, i niby ciąg dalszy liberalnych, pod mianem „umiarkowanych“; te same z obu stron świecą nazwiska, po części te same organa; ale w gruncie rzeczy inny zgoła przedmiot sporny *(objectif)*, inne stanowiska stronnictw. Przewódzcy wojujących stronnictw we Francyi, są to prawdziwie gorliwi katolicy, ci sami lub potomkowie tych, co zwalczali szkołę liberalną, a przytem po największej części legitymiści, tradycyami swych rodów związani z dynastyą Burbonów, przekonani, że każdy inny rząd jest *ipso facto* nieprawym, i wierzący, że jedynie królowanie tej dynastyi przywróciłoby Francyi królestwo Boże. Ta opinia polityczna łączy się w ich sumieniu z ich wiarą religijną tak ściśle, że sami tych dwóch rzeczy rozróżnić nie umieją. *Dieu et le*

roi! pod tym hasłem nietylko sami walczą, ale też wymagają od wszystkich, w imieniu religii, wyznawania legitymizmu; tych, co nie dzielą ich przekonań politycznych, piętnują po staremu nazwą liberałów; jak sami się nie godzą z obecnym ustrojem państwowym Francyi, tak żądają, żeby żaden katolik i sam Kościół z nim się nie godził. Żądania te nie bywają zwykle tak wyraźnie sformułowane, ani nawet tak jasno pojęte, są one jednak rdzeniem ich przekonań i tłem ich polemik.

Jestto oczywiście błąd; ale błąd, któremu dziwić się nie można. Nic łatwiejszego, jak pomieszanie przekonań z różnych źródeł pochodzących a w jednym umyśle zestrojonych. Ileż to razy np. ludzie myślący, że walczą za przekonaniem religijnem, wojowali tylko za przesądami przedawnionej umiejętności, w ich umyśle ugrzęzłymi! Ileż razy my sami mieszaliśmy uczucia narodowe z religijnemi! Jest w tem jakaś niby psychologiczna hallucynacya, na którą gorętsze serca szczególnie są wystawione. I nieraz rozmawiając z tymi ludźmi, doświadczyłem jak im niesłychanie trudno swój błąd i jego racye uznać.

Z drugiej strony jednak są i we Francyi katolicy, którzy dobrze odróżniają kwestyę religijną od politycznej. Zostając wiernymi i posłusznymi synami Kościoła, są w części republikanami w większej części dosyć obojętnymi na formę rządu; żądają zaś tylko od istniejącego rządu reform i swobód potrzebnych do normalnego rozwoju Kościoła i społeczeństwa i w tym celu nawołują różne partye konserwatywne do zgody i wspólnej akcyi.

W Hiszpanii takie same ukształtowały się stosunki. Po jednej stronie partya karlistów, niemniej gorliwa w wierze i szlachetna w patryotycznych uczuciach niż legitymiści francuscy, a nierównie potężniejsza od nich liczbą i popularnością, mająca w swych szeregach sześćdziesiąt gazet a na ich czele *El siglo futuro*, reprezentuje te same niemal tendencye, co stronnictwo *Univers'a* we Francyi, i tych wszystkich, co nie są karlistami za liberałów poczytuje. Po drugiej stronie są katolicy, czy alfonsiści czy innych odcieni politycznych, którzy od obecnego rządu tego tylko żądają, żeby Hiszpanią, jak krajem katolickim rządził i po części to otrzymują. Ich głównym organem jest *la Union*.

We Włoszech nakoniec żywioły legitymistowskie, pod przewo-

dnictwem starej szlachty, wiernej domom burbońskim, co po księstwach włoskich do niedawna panowały, zostają w ścisłych stosunz legitymistami Francyi i Hiszpanii i chcą, żeby papież solidaryzował się z ich sprawą i bronił ich praw na równi ze swojemi wieczystemi i cały Kościół obchodzącemi prawami. Ich organ *Le Journal de Rome* bywał dawniej inspirowany przez Watykan, ale że służył zarazem sprawie, z którą Ojciec św. jednoczyć się nie chciał, wskrzeszony został już przed czterema laty na usługi Stolicy św. *Moniteur de Rome* którego, choć cały świat uznaje za półurzędowy organ papieski, jednak *Journal de Rome* i *Univers* i *Siglo Futuro* nazywają zawsze „gazetą liberalną".

Otóż Leon XIII. raz po raz pozrywał nawet pozory solidarności z temi partyami legitymistycznemi w tych trzech krajach i jakkolwiek są to zasłużeni zkąd inąd szermierze Kościoła, wymierzył im surowe napomnienia. Jest w tem, jak powiedziałem, pozorna sprzeczność z postępowaniem Piusa IX., z powodu pozornej identyczności tych stronnictw z dawnymi ultramontanami; ale w istocie jestto dobrze zrozumiany interes Kościoła: bo czemużby Kościół, którego prawa są wieczne i bezwzględne, miał się wiązać z dynastyami, co mijają i politycznemi partyami, które tylko względną wartość mieć mogą? czemuby miał buntować przeciwko sobie rozmaite przekonania i namiętności polityczne, które nic z religią wspólnego nie mają? Przedewszystkiem zaś jest w tem prawda zasadnicza i absolutna, którą Kościół w odpowiedniej chwili wypowiedzieć był winien: że katolicyzm jest ponad polityką i Kościół katolicki ponad zmiennemi formami rządów ludzkich: z każdą się godzi, byle oddała Bogu co bożego, i nie patrząc kto jest Cezarem, zawsze mu oddaje co cesarskiego. Wolno legitymistom jako obywatelom dążyć prawemi drogami do przywrócenia starych dynastyj, jeśli w tem szczęście swych krajów upatrują, ale jeśli to uważają za obowiązek katolików jako takich, to błądzą, a jeśli usiłują sam Kościół sprzęgnąć do tej roboty, jeśli nabożeństw i kościelnych obchodów używają za środki do szerzenia swej idei politycznej, jeśli starają się poróżnić Kościół z istniejącym rządem, doprowadzić do zerwania dyplomatycznych stosunków, ażeby pozbawić ten rząd podpory, jaką mu daje choć powierzchowna z Stolicą

św. zgoda — wówczas świadomie, czy nieświadomie podporządkowują rzeczy boskie ludzkim i źle się wysługują Kościołowi.

Już r. 1883 Leon XIII. wydał encyklikę *Cum multa* do biskupów hiszpańskich, w której — nie bez powodów — jasno powyższe zasady stawia i tłumaczy. „Jako z jednej strony błędem jest bez„bożnym, mówi papież, chcieć zupełnie rzecz publiczną od religii „odłączyć, tak z drugiej strony zarówno unikać trzeba mylnego zda„nia tych, co religię z pewnem stronnictwem politycznem mięszają „i niejako za jedno mają, tak dalece, że należących do przeciwnego „stronnictwa nieledwo od nazwy katolików odsądzają. To znaczy „spory polityczne na wzniosłe religii pole błędnie przenosić, brater„ską miłość w Chrystusie chcieć rozerwać, mnóstwu najsmutniej„szych następstw wrota na oścież otwierać... Religia, jako dobro „najwyższe, wśród różności rzeczy ludzkich i zmiennych państw „kolei, całą i nietkniętą pozostać winna; gdyż ona czasy i miejsca „wszystkie ogarnia". ... „Stronnicy więc różnych partyi — tak wnio„skuje Ojciec św. — w innych rzeczach sobie przeciwni, w tem „jednak powinni się wszyscy jednoczyć, żeby sprawa religii kato„lickiej w państwie ocalała. Ku temu wzniosłemu i niezbędnemu „przedsięwzięciu powinni wszyscy, którzy się imieniem katolików „szczycą, jakoby ze zmowy, usilnie dążyć, uciszywszy nieco różne „w rzeczy politycznej opinie, których zkądinąd bronić się godziło"...

Trudno było jaśniej i stanowczej mówić. Nie wszyscy jednak katolicy Hiszpanii ten list papiezki zrozumieli. Waśnie stronnictw tylko chwilowo przycichły; liga katolicka *la Union catolica*, utworzona dla obrony interesów religii bez względu na polityczne partye, zamiast skupić katolików, odepchniętą została przez karlistów i wpadła w ręce podejrzanej ortodoksyi. Względem rządu zaś tak postępowano ciągłemi interpelacyami, artykułami, broszurami, jak gdyby chciano doprowadzić do scysyi między nim a Watykanem, albo do upadku tego rządu, w oczywistej perspektywie, że gorszy nastąpi. Wiadome kollizye Pidala, najlepszego katolika z obecnego ministerstwa, i zachwianie jego stanowiska ztąd właśnie pochodziły. Nuncyusz papieski w obec tych zajść nie przestawał działać w duchu encykliki; raz arcybiskupa z Portorico nakłonił do cofnięcia pewnej interpelacyi w sprawie władzy doczesnej, drugi raz biskupowi z Plasencyi, który w liście pasterskim zanadto bezwzględ-

nie przeciwko rządowi wystąpił, jawną wymierzył naganę. Wtedy *Siglo futuro* i inne karlistowskie gazety zaczęły twierdzić, że kwestya o stosunku rządu do kościoła i katolików jest kwestyą dogmatyczną, a w takowej Hiszpania powinna się oglądać nie na nuncyusza, tylko na swych biskupów, utrzymywały, że nuncyusz, będąc osobistością dyplomatyczną, nie może prawdy wypowiedzieć, musi nazywać dobrym stosunek Kościoła z rządem, który w istocie jest nieznośnym i t. d. *Siglo futuro* podnosił tę teoryę do wysokości zasady i pisał, że póty ją głosić i powtarzać będzie, aż się nie stanie wiarą Hiszpanii.

Tu już grunt dogmatyczny był dotknięty i Stolica Apostolska nie mogła milczeć. Pojawił się więc w kwietniu głośny akt Stolicy św., w formie listu kardynała, sekretarza stanu do nuncyusza madryckiego, w którym nowa doktryna stanowczego doznała zaprzeczenia i Nocedal, redaktor *Siglo futuro*, otrzymał nakaz odwołania i umieszczenia tego listu w swej gazecie. Nuncyusz — tak orzeka ten akt — nie jest tylko dyplomatycznym posłannikiem, ale przedstawicielem Stolicy św. i pod duchownym względem, z tak szeroką władzą jaką mu papież osobiście zakreśli. Można się do Stolicy św. odwoływać, kiedy się przypuszcza, że nuncyusz nie po jego myśli działa, ale nie można twierdzić, żeby jakakolwiek kwestya w zasadzie do nuncyusza nie należała. Papież bowiem jest nietylko najwyższym, ale też bezpośrednim wszystkich wiernych pasterzem i może ich bezpośrednio (nawet z pominięciem biskupów) nauczać i nimi rządzić.

Nocedal po krótkim targu poddał się szlachetnie i zupełnie. „*El Siglo futuro*, pisze on w swej retraktacyi, dlatego jedynie wydał artykuł, do którego list JEm. kardynała Sekretarza Stanu się odnosi, ponieważ nie dostrzegł w nim zawartych błędów; obecnie jednak ostrzeżony o tychże przez JEm.: wyrzeka się wszystkich i każdego po szczególe zdania, uznanego przez JEm. za krzywdzące i błędne... i tak w tej, jak i we wszystkich innych okolicznościach pragnął zawsze i pragnie jedno i to samo czuć i poddawać się stale i wiernie naukom Kościoła i Stolicy św. i najwyższej powadze rzymskiego papieża, pasterza i biskupa kościoła powszechnego, bądź kiedy papież władzę swą sprawuje sam przez się, bądź też kiedy ją wykonuje przez swych nuncyuszów i delegatów. *El Siglo futuro*

pragnie i żąda, aby wszyscy uważali tę naukę za jego własną, a zdania ogłoszone za krzywdzące i błędne, puścili w zupełną niepamięć, tak, jak gdyby nie były napisane. Dnia 28 kwietnia 1885 r. Dyrektor dziennika *El Siglo futuro*, Ramon Nocedal".

Podobna zupełnie toczyła się równocześnie sprawa we Francyi. Już w czasie nuncyatury kard. Czackiego w Paryżu legitymiści francuzcy nie mogli mu darować, że z rządem republikańskim jakie takie utrzymywał stosunki i na biskupów w tym duchu wpływał, aby zaniechawszy wszelkiej opozycyi przeciw republice jako takiej, skupiali wszystkie siły dla uzyskania od niej możliwej wolności Kościoła i poszanowania jego praw. Przyszło w skutek tego do zupełnego zerwania stosunków między nuncyaturą a *Faubourg St. Germain*. Nowy nuncyusz di Rende potrafił do pewnego stopnia zaostrzoną sytuacyę złagodzić, ale w gruncie rzeczy nie mógł w innym kierunku działać, jak podług woli Leona XIII. tj. w kierunku odłączenia sprawy Kościoła od sprawy legitymizmu, przygłuszenia politycznych waśni stronnictw katolickich i złączenia wszystkich ku obronie zagrożonej religii. Wywołało to raz po raz objawy głębokiego niezadowolenia w organach legitymistycznych. Wreszcie *Journal de Rome* ogłosił w czerwcu list kardynała Pitry do pewnego przyjaciela w Amsterdamie, zawierający użalania nad publicystami *Univers'a*, przywiedzionemi pod naciskiem nuncyatury do milczenia, i zdanie, że powolność Stolicy św. dla rządu republikańskiego za daleko się posuwa.

Kardynał Pitra, benedyktyn opactwa *Solêmes*, wychowany w sferach legitymistycznych francuskich, zresztą tylko nauce, a nie polityce oddany, mógł łatwo podobnym uledz wrażeniom i takowe przyjacielowi poufnie udzielić. Że jednak ten list dostojnika Kościoła dostał się do publiczności i służył za broń stronnictwa, potrzeba było znowu przemówienia najwyższego Pasterza. Kardynał algierski Lavigerie umyślnie przyjechał do Rzymu, żeby Ojca św. o to prosić, a kard. paryski Guibert spowodował go do tego pięknym listem, który w całości podajemy, bo charakteryzuje sytuacyę [1].

Ojcze święty!

Podczas ciężkiej choroby, której niebezpieczeństwa dzięki, jak sądzę, błogosławieństwu Waszej Świątobliwości, szczęśliwie uniknąłem, nie mogłem śledzić

[1] Tłumaczenie „Przeglądu katolickiego".

przebiegu spraw kościelnych. W chwili, gdy chorobą nawiedzony zostałem, zdawało mi się, że upomnienia tak mądre W. Świątobliwości zupełną jedność pomiędzy pisarzami katolickimi do skutku doprowadziły i przykre dyskusye, które poprzednio na jaw wystąpiły, stłumiły. W miarę, jak po mem wyzdrowieniu siły mi powracają i powiadamiam się o artykułach codziennie ogłaszanych, widzę z żywą boleścią, że ta jedność tak potrzebna, niebezpieczeństwami chwili nakazywana, nie jest tak ustaloną i zapewnioną, jak się spodziewałem. Zdaje mi się z pewnych polemik, mniej lub więcej osłoniętych, że pozostały bardzo pożałowania godne zarodki niezgody i oporu, i uważam za obowiązek mój synowski całą moją troskę Waszej Świątobliwości wypowiedzieć. W położeniu zgotowanem obecnie Kościołowi, w obec groźnych kroków nieprzyjacielskich wymierzonych przeciw niemu, wszyscy dobrzy chrześcijanie, członkowie duchowieństwa, a zwłaszcza biskupi i dostojnicy kościelni zeszeregować się winni około św. osoby Namiestnika Chrystusowego i pod jego inspiracyą i kierownictwem toczyć walkę z wytrwałą wiernością. Rozterka owa płynie zawsze z miłości własnej i zbytniego zaufania w sobie, na którem nie umieją wszyscy panować. Podczas mego długiego, 44-letniego episkopatu, wśród zamieszek i różnych wypadków, nasuwała mi się niekiedy myśl, że naczelnik Kościoła powinien był takie przedsiębrać środki a takich unikać. Lecz Bóg łaską swoją dawał mi zawsze poznać, że nie ja otrzymałem od Jezusa Chrystusa pomoc osobistą, która przyrzeczona była Piotrowi i jego następcom; i doświadczenie mię przekonało, że papieże, pod którymi żyłem, mądrze Kościołem rządzili, jak to przez 18 wieków wszyscy ich poprzednicy czynili. Pragnąłbym, Ojcze św., aby wszyscy w tych złych czasach temi uczuciami czci, miłości Kościoła, skromności osobistej, jakiej nas Ewangelia uczy, przejęci zostali i aby ta jedność ścisła członków z Głową podtrzymywała Twą świętą powagę i przynosiła pociechy, jakich Wasza Świątobliwość tak jest godnym. Zechciej łaskawie, Ojcze św. przyjąć hołd głębokiego szacunku i zupełnego oddania się, z jakim pozostaję Paryż, 4 czerwca 1885. Waszej Świątobliwości najpokorniejszym i najpowolniejszym sługą i synem. † *J. Hip. Kard. Guibert* arcybiskup paryski.

W odpowiedzi kardynałowi Leon XIII. wydał wiekopomny list, w którym nie wdaje się więcej w rozbiór szczegółowej kwestyi, nie powtarza nauki o różności sprawy Kościoła od partyj politycznych, dokładnie już wypowiedzianej w liście do biskupów hiszpańskich i treściwie powtórzonej w liście do episkopatu francuskiego, tylko absolutnie stawia zasadę posłuszeństwa Stolicy św. należnego. W obec wzrastającego, pod wpływem ducha czasu i formy liberalnej rządów, zwyczaju sądzenia i krytykowania władzy, Papież przypomina uroczyście, że w Kościele trwa nieodmiennie konstytucya monarchiczna od Chrystusa nadana; że jeden posiada najwyższą, zupełną i niepodzielną władzę nietylko nauczania, ale i rządzenia; że w obec tej władzy wszystkim, biskupom i wiernym, przynależy jedynie posłuszeństwo i przyjmowanie nadanego przezeń kierunku,

a nietylko bunt, lecz i uboczne wykręty i nawet sądzenie czynności tej władzy jest rzeczą zdrożną, przeciwną woli Chrystusowej i dobru Kościoła. — Ale żadne objaśnienia nie dorównają światłu, wyrazistości i potędze własnych słów Papieża. Przytaczamy je w całości, jako ostatni i autentyczny komentarz dekretu Florenckiego Soboru, przyznającego następcy piotrowemu *plenam potestatem pascendi, regendi ac gubernandi universalem Ecclesiam, a Domino nostro Jesu Christo traditam.*

„Leon XIII. Papież".

„Najmilszy Synu, pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie. List Twój, pełen uczuć synowskiego przywiązania i najszczerszej dla Naszej osoby życzliwości, słodką przyniósł pociechę sercu Naszemu, zasmuconemu nową i ciężką przykrością. Rozumiesz to dobrze, że nic nie może być dla Nas boleśniejszem, jak widzieć pomiędzy katolikami zakłóconą zgodę i wstrząśniętą pewność spokojną, pełne ufności i przywiązania poddanie się pod ojcowską powagę Ojca św., który nimi rządzi. To też skoro się tylko pojawią pierwsze oznaki złego, nietylko Nas do głębi poruszają, lecz także do zaradzenia bezzwłocznego takiemu niebezpieczeństwu powodują. Owóż dla czego nowa publikacya pisma, pochodzącego, skądby go się najmniej spodziewać należało i które tak samo jak My opłakujesz, wrzawa podniesiona około niego, komentarze przez nie wywołane, zniewalają Nas do przerwania milczenia w przedmiocie przykrym wprawdzie, ale nie mniej przydatnym i pożytecznym dla Francyi jak i dla innych krajów".

„Przypatrując się niektórym objawom, nietrudno dostrzedz, że pomiędzy katolikami znajdują się ludzie, co, może z powodu nieszczęsnych czasów, ze stanowiska swego jako poddanych w Kościele niezadowoleni, sądzą, że mogą brać udział pewien w jego rządach. Co najmniej wyobrażają sobie, że wolno im roztrząsać i oceniać, wedle własnego zapatrywania, czynności władzy kościelnej. Byłoby wielkiem nieszczęściem, gdyby zapatrywanie to miało zyskać przewagę w Kościele Bożym, w którym, za wyraźną wolą jego Boskiego Założyciela, dwa różne porządki ustanowione zostały w sposób najoczywistszy, Kościół nauczający i Kościół słuchający, pasterze i owczarnia, a pomiędzy pa-

sterzami jeden z nich, który dla wszystkich jest najwyższym naczelnikiem i najwyższym pasterzem. Pasterzom jedynie udzielona została całkowita władza nauczania, sądzenia i kierowania; wiernym nałożony został obowiązek stosowania się do tych nauk, poddawania się powolnego ich wyrokom, pozwolenia sobą rządzić, strofować i prowadzić do zbawienia. To też absolutną jest koniecznością, aby wierni poddawali się rozumem i sercem swym własnym pasterzom, a ci wraz z nimi naczelnikowi i Pasterzowi najwyższemu. Od tej subordynacyi, od tego posłuszeństwa zawisł porządek i życie Kościoła. Są one warunkami niezbędnemi, jeśli Kościół ma czynić dobrze i do szczęśliwego wszystko doprowadzić końca. Gdyby zaś, przeciwnie, wierni przywłaszczali sobie władzę, gdyby się chcieli narzucać na sędziów i doktorów, gdyby niższe organa usiłowały przeprowadzić w rządach Kościoła powszechnego kierunek odmienny od kierunku wytkniętego przez najwyższą powagę, byłoby to z ich strony niweczeniem porządku, wnoszeniem zamięszania w wielką liczbę umysłów i zbaczaniem z prostej drogi.

„I nie potrzeba wcale, aby uchybić obowiązkom tak świętym, otwarty stawiać opór czy to biskupom, czy naczelnikowi Kościoła; wystarcza ów opór, jaki podejmowany bywa w sposób pośredni, o tyle niebezpieczniejszy, o ile bardziej osłania się pozorami przeciwnemi. Uchybia się temu obowiązkowi świętemu także wtenczas, gdy podając się za gorliwego obrońcę władzy i przywilejów papieża, nie szanuje się biskupów, będących z Nim w jedności, lekceważy się ich powagę, lub ich czyny i intencye niekorzystnie się tłómaczy, zanim Stolica św. jakikolwiek sąd o tem wydała. Jest to również dowodem wcale nieszczerej uległości jakieś sprzeczności wymyślać pomiędzy papieżem a papieżem. Ci co z pomiędzy dwóch różnych kierunków odpychają i gardzą obecnym, a trzymają się przeszłego, nie dają przez to żadnego dowodu posłuszeństwa dla powagi, która ma prawo i obowiązek kierowania nimi i podobni są pod pewnym względem do tych, co po potępieniu do Soboru lub do papieża lepiej poinformowanego odwoływaćby się chcieli.

„Czego pod tym względem stanowczo trzymać się należy, to że w rządzeniu Kościołem powszechnym, oprócz istotnych obowiązków apostolskiego urzędu, nałożonych wszystkim papieżom, wolno jest każdemu z nich wykreślać sobie prawidła postępowania, jakie

wedle czasu i innych okoliczności za najlepsze uzna. W tej rzeczy jest on jedynym sędzią, mając do tego nietylko osobne oświecenie, lecz także znajomość położenia i potrzeb ogólnych katolicyzmu, do których troskliwość jego apostolska stosować się winna. Na nim jednym spoczywa troska o dobro Kościoła powszechnego, z którem się łączy dobro jego różnych części, i wszyscy inni, którzy mają udział w tej łączności, wspierać winni akcyę najwyższego kierownika i służyć jego zamiarom. Jak Kościół jest tylko jeden i jeden jego naczelnik, tak też jedyne jest jego kierownictwo, któremu wszyscy poddać się winni.

„Z zapomnienia tych zasad wynika u katolików zmniejszenie szacunku, czci, ufności do Tego, który im za naczelnika dany został. Węzły miłości i hierarchii, mające łączyć wszystkich wiernych i pasterzy z Pasterzem najwyższym rozluźniają się, gdy właśnie od tych węzłów zawisło głównie zachowanie i zbawienie wszystkich. Skoro się zapomina i nie przestrzega tych zasad, szeroka bardzo otwiera się droga do niezgody i waśni pomiędzy katolikami i to na wielką szkodę jedności, która jest charakterystycznem znamieniem wiernych Jezusa Chrystusa. Jedność ta powinna być zawsze, a przedewszystkiem w tych czasach, w obec sprzysiężenia tylu potęg nieprzyjacielskich, sprawą najwyższego i ogólnego interesu, w obec której zniknąć powinno wszelkie uczucie osobistego upodobania lub korzyść prywatna.

„Jeśli obowiązek ten ciąży na wszystkich bez wyjątku, to w szczególniejszy sposób na dziennikarzach, którzy, gdy nie są ożywionymi duchem posłuszeństwa i uległości, tak potrzebnej wszystkim katolikom, przyczyniać się tylko mogą do powiększenia i rozszerzenia tego złego, które opłakujemy. Zadaniem ich jest we wszystkich sprawach religii i czynności Kościoła w społeczeństwie dotyczących, całkowicie rozumem i sercem narówni z innymi wiernymi poddawać się własnym biskupom i papieżowi, za ich wskazówkami postępować i takowe ogłaszać, wspierać z całego serca ich usiłowania, szanować i zjednywać szacunek dla ich zamysłów. Pisarze, coby inaczej postępowali, służąc przez to widokom i interesom tych, których ducha i dążności w tym liście napiętnowaliśmy, zapoznawaliby swe szlachetne posłannictwo i napróżnoby sobie pochlebiali, że w ten sposób służą interesom i sprawie Kościoła, równie jak ci, co pra-

wdę katolicką osłabić i poniżyć usiłują, albo też zbyt lękliwie jej bronią.

„Spowodowani zostaliśmy do poruszenia tej kwestyi, najmilszy Synu, nietylko z powodu wielkiej doniosłości, jaką mieć ona może dla Francyi, lecz także dla tego, że znamy Twoje uczucia i roztropne postępowanie w najtrudniejszych chwilach i położeniach. Zawsze stały i mężny w obronie spraw religijnych i najświętszych praw Kościoła, jeszcze niedawno przy sposobności, odważnie je popierałeś i publicznie broniłeś Twem światłem i potężnem słowem (przy zagrabieniu Panteonu). Lecz ze stałością umiałeś zawsze łączyć tę miarę pogodną i spokojną, godną szlachetnej sprawy, której bronisz, i zawsze okazywałeś ducha wolnego od wszelkiej namiętności, uległego zupełnie kierownictwu Stolicy Apost. i przywiązanego szczerze do Naszej osoby. Miło Nam tedy, że możemy Ci dać nowy dowód naszego zadowolnienia i szczególniejszej życzliwości. Boli Nas tylko, że zdrowie Twoje nie jest takie, jakbyśmy gorąco pragnęli. Zasyłamy bez ustanku do Nieba Nasze gorące modlitwy i życzenia, aby Ci Bóg przywrócić raczył zdrowie zupełne i na długo je zachował. A w zadatek łask Bożych, o jakie dla Ciebie w obfitości błagamy, udzielamy z całego serca Tobie, najmilszy Synu, Twemu duchowieństwu i Twemu ludowi całemu Nasze apostolskie błogosławieństwo.

„Dan w Rzymie u św. Piotra 17 czerwca 1885, ósmego roku Naszego Pontyfikatu.

Leon XIII. papież".

Zacny kard. Pitra, choć niewymieniony osobiście, rozumiejąc jednak, że jako najwyższą w Kościele godność piastujący powinien dać przykład uległości, pośpieszył po synowsku przeprosić Ojca św. i poddać się jego upomnieniu. Oto jego list, który ogłosił *Osservatore*, w parę dni po papieskim.

Ojcze święty! Rzucając się do stóp Waszej Świątobliwości, korzę się pod Twą ręką przed boleścią Zastępcy Jezusa Chrystusa. Boleść ta jest tak wielka, że, co do mnie, myśleć tylko mogę o tem, jakby zaręczyć uroczyście w obec Boga, iż w głębi mego serca jak najzupełniej poddaję się upomnieniom, sądom, wszystkim słowom Twego listu do JEm. Kardynała arcybiskupa paryskiego wystosowanego. Opłakuję co Wasza Świątobliwość opłakuje, pragnę co Ona pragnie, potępiam co Ona potępia. Śmiem dziękować W. Świątobliwości za to, żeś raczył wyrazić jedno z najwyższych mych uczuć, odrazę do komentarzy, które spotwarzają moje intencye. Pomiędzy temi komentarzami najnieznośniej-

szem jest, co najstanowczej odpycham, przypisywanie mi nieprzyjaznego usposobienia dla Twojej św. osoby, ducha opozycyjnego, przeciw czemu życie moje od siedmiu lat protestuje. W mojem odosobnieniu zawsze ścisłem, w moich zwyczajach zawsze klasztornych, nie stałem nigdy po niczyjej stronie tylko Kościoła św. rzymskiego, innego nie miałem ojca tylko jego naczelnika, innego pragnienia jak tylko służyć jednemu i drugiemu w miarę mych sił, innego interesu jak tylko żyć i umrzeć dla Boga. — Ojcze św.! Czuję się niezdolnym wyrazić lepiej swoją uległość i poddanie się pod wszelkie rozkazy i rozporządzenia W. Świątobliwości, która zechce łaskawie zapomnieć, co nie zależało zupełnie odemnie. co nie może, jak śmiem się spodziewać, zatrzeć wszystkich dowodów przywiązania, jakie starałem się okazywać i za Boską pomocą usiłować będę bez ograniczenia zawsze okazywać. Niech Wasza Świątobliwość nie odmawia mi ojcowskiego błogosławieństwa, któreby mnie podtrzymywało w tej boleści i niech mi pozwoli u stóp W. Świątobliwości złożyć hołd najgłębszej i synowskiej czci, jaką tylko pokornie wyrazić umiem. Św. Kalikst, 20 czerwca 1885.

Waszej Świątobliwości najpoddańszy, najposłuszniejszy i najprzywiązańszy sługa i syn *J. B. Kard. Pitra*, biskup z Porto.

Po tym liście posypało się mnóstwo innych podobnych uznań, i dziś już prawie wszyscy biskupi francuscy, liczne też redakcye i stowarzyszenia katolickie przesłały Ojcu św. wyrazy czci i uległości dla jego osoby i dla nauki w liście do kard. Guiberta zawartej.

Gazeta *Journal de Rome* po różnych kolizyach z Kuryą, po niefortunnym procesie z *Moniteur de Rome*, wreszcie z końcem czerwca, na wyraźne życzenie Ojca św., przestała istnieć.

Widać w tem wszystkiem, że między czynami Leona XIII., a potępieniem dawnej szkoły ultramontańskiej, niema nic wspólnego; że więc opiewana przez gazety liberalne sprzeczność między Leonem a Piusem istnieje tylko w ich *desideriach*, a tryumf ich pochodzi właściwie z nierozumienia rzeczy [1]. Widać także, że i katolicy najszczersi

[1] Nierównie głębiej i trafniej od naszych tutejszych liberalnych gazet, ocenia całą tę sprawę *Revue des deux mondes* w swym ostatnim zeszycie. Oto jest ustęp: „Leon XIII., powściągając manifestacye narażające Kościół, dowiódł raz jeszcze swej roztropności. Czyż te czyny następcy Piusa IX. byłyby objawem zwrotu polityki papieskiej a w szczególności oznaką bliskiego pojednania się szlachetnego papieża z nowotną Italią, Watykanu z Kwirynałem? Tego pojednania może nie zbyt sobie życzy Italia a dwór rzymski zanadto czuje swą rolę tradycyjną pomiędzy ludami katolickimi, by porzucił swe stanowisko wysokie i niezależne, choćby go to kosztować miało. Najprawdopodobniej dopatrywano tajemnic, gdzie ich nie ma wcale i w Watykanie nic się nie zmieniło. Leon XIII. pokazał się w tej okoliczności tem samem, czem był od

i najgorliwsi nie są wyjęci z pod możliwości zboczenia; uczucia zwłaszcza z natury szlachetne, mogą ich omamić; działając i walcząc pod wpływem tych uczuć, mogą wciąż sądzić, że dla sprawy bożej walczą — choć może już granice dróg bożych przekroczyli. Ale katolicy mają stróża i kierownika nieomylnego; katolicy są karni i posłuszni; a gdy ich głos pasterza z manowców nawołuje, umieją szczerze i śpiesznie powracać. Sposób, jakim taki Nocedal i taki kard. Pitra uchylili głowę pod napomnieniem papieskiem, więcej zaszczytu im przynosi, niż zboczenie im ujęło; i jestto najlepszy dowód, że w tych tak zwanych skrajnych i wojujących katolickich partyach, katolicyzm nie jest tylko, jak twierdzą wrogowie Kościoła, płaszczykiem, hipokryzyą, *instrumentum regni* politycznem, ale prawdziwym gruntem; a choć ich zapał religijny splata się niekiedy z obcemi uczuciami i raz po raz nie swojej służy sprawie, daje się jednak z tych naleciałości oczyścić i zostaje szczerym ogniem, ku służbie Boga i Kościoła.

X. M. Morawski.

Z Anglii.

Upadek gabinetu Gladstona. — Sekciarsko-polityczna partya wstrzemięźliwości. — Popularność Gladstona. — Partya słuszności. — Herbata i wino, versus piwu i alkoholowi. — Klika birminghamska. — Koalicya sekciarstwa z radykalizmem. — Program radykalistów. — Torysi demokraci i lord Churchill. — Irlandzcy posłowie panami sytuacyi. — Autonomia dla Irlandyi. — Decentralizacya. — Przeddzień nowej ery socyalno-politycznej dla W. Brytanii i jutrzenka samorządu Irlandyi.

Ostatnie wypadki angielskie zanadto dobrze wam znane z gazet, bym o nich miał pisać. Ale radbym wam przesłać przegląd powszechny opinii prowincyonalnej i stołecznej, tej opinii, do któ-

---

czasu swego wyniesienia, pokazał się papieżem pełnym przezorności i umiarkowania, bacznym na interesa religii, strzegącym się ostateczności, dość zręcznym by wyzyskać chwilę czasów, silnym, by ukrócić wszelkie wybryki, któreby się chciały pod płaszczem Kościoła ukrywać. Postępek Leona XIII. jest czynem papieża-polityka, co zarówno nie jest w stanie uledz niebezpiecznym przyjaciołom, jak i złożyć broń papiestwa przed wrogami; wypadki, które w czasach ostatnich zaszły w Watykanie, nie mniej są doniosłe, jak zmiana ministerstwa w państwie".

rej przyznają się panowie Business, Don't-bother-us. Zaczynam od upadku Gladstone'a.

Cóż sprowadziło przesilenie gabinetowe? To samo, co wprowadziło do Izby większość liberalno-radykalną przed pięciu laty: agitacya, wyzyskująca potężną dziś w Anglii partyę wstrzemięźliwości. Rząd wydał, lub wyda przed końcem roku okrągłą sumę stu milionów funtów szterlingów; rządowy niedobór między rozchodem i dochodem tegorocznym przechodzi kolosalną cyfrę piętnastu milionów. Gabinet obiecał przed pięciu laty, żyć i pracować „z honorem i w pokoju" — gabinet zarzezał, skutkiem bezrady i nieznajomości, około 50.000 Arabów, którzy, według deklaracyi p. Gladstone'a w Izbie, „walczą o wolność i swobodę, należące się im wedle wszelkiego prawa"; pozostawił na piaskach Nubii i Kordowanu kości blizko 8.000 najlepszego żołnierza W. Brytanii... bez najmniejszego rezultatu; stracił Gordona; zniechęcił sobie fellachów Egiptu; zachęcił do intrygi byłego kedywa, baszę Izmaiła; słowem, miał tuzin cały najrozmaitszych taktyk w Egipcie. Miał inny tuzin taktyk w Petersburgu; tyleż w Berlinie i Kabulu.

Wiadomo, iż w Anglii — daleko wyraźniej, aniżeli w Niemczech i we Francyi — rządem, administracyą i dyplomacyą jest w oczach ogółu, mąż jeden. Palmerston był Anglią, Beaconsfield był Anglią, był Anglią i Gladstone. Wierzyły w niego warstwy najniższe, bo William był z ludu, ludem... i umiał im to przypominać, czy dęby ścinał w parku Hawarden, czy zespolił się z agitacyą zbożową, czy zakładał wzorowe fermy i domy mieszkalne dla robotników, czy agitował przeciw Izbie lordów, czy wreszcie dał głos wyborczy dwom milionom sług, robotników i wyrobników. A zatem był popularny.

Dodajmy, że Gladstone szedł ręka w rękę, o ile mógł tylko, z radykalistami; że radykalni koledzy jego — pp. Dilke i Chamberlain — głosili krucyatę przeciwko majoratom ziemskim, obiecywali podzielić glebę Albionu między synów i córki albiońskie; że do tej ziemi zamyślali i zamyślają dodać po tyle a tyle szylingów na głowę z rozbitych fundacyj, subwencyj i kapitałów kościoła anglikańskiego, a zrozumiemy łacno, że w klasach najniższych Gladstone był Anglią, Anglia była Gladstonem.

Warstwy średnie, przemysłowe, sekciarskie, wierzyły w Gladstone'a na ślepo: bo jeżeli był kiedykolwiek w świecie finansista

genialny w rozłożeniu ciężarów publicznych, finansistą tym był William Ewart Gladstone! By oswobodzić przemysł i przemysłowe kapitały, ustanowił podatki od koni cugowych i pojazdów prywatnych, od tarczy herbowych na drzwiczkach karet, od liczby guzików na liberyi, od „pazia“ — *alias* chłopca do posługi. Gladstone przedewszystkiem podwyższył opłaty od spadków testamentowych i od dokumentów majoratowych. A na wzajem: zniżył opłaty od patentów, wynalazków i konsensów sklepowych — zniósł zupełnie podatek dochodowy od fabrykantów... podwyższając tenże sam podatek urzędnikom rządowym, profesorom, lekarzom i t. d. samej nie oszczędzając królowej: bo pozwoliwszy jej, bilem parlamentarnym nabywać grunta w królestwie, nałożył na nie i na dochody z nich wcale pokaźną sumę.

Sekciarstwo angielskie stało i stoi wiernie przy p. Gladstonie, bo p. Gladstone stoi przy radykalizmie, a radykalizm żąda zniesienia anglikanizmu, jako instytucyi państwowej, oddania świątyń... potrzebującym ich.

W tychże to samych klasach średnich szeroko jest rozlaną t. zw. *Temperance-Party*. Ona to postawiła gabinet gladstoński u władzy w r. 1880 i wspierać go nie przestanie. Obok niej, wroga jej i Gladstonowi, powstała dnia 8 czerwca r. b. niemniej potężna, lecz wielce nieśmiała jeszcze partya słuszności *(Equity-Party)*, powodująca się różnymi i różnej wartości interesami, lecz w imię wszystkich razem żądająca słuszności. Tato partya przemówiła przez usta sir Michała Hicks-Beach w dniu upadku gabinetu liberalno-radykalnego.

Smutna to rzecz, lecz prawdziwa (przyznał to *Standard* z d. 11 czerwca), że w Anglii naród w ogóle nie przykłada żadnego znaczenia do kwestyi polityki zagranicznej, że większość posłów nie rozumie ich, ani im o zrozumienie jej chodzi! Dlatego też p. Gladstone przedostał się przez jedenaście wniosków cenzury. Obóz głosował za „biczami“ (whips) partyi, nie kłopocząc się wcale, po której stronie prawda. Za to w sprawach domowych każdy z 640 członków Izby niższej ma pretensyę, najczęściej uzasadnioną, do orzekania na podstawie własnej znajomości poszczególnych przedmiotów. Nic w tem dziwnego: okręgi wyborcze nie-rozumiejąc między-gabinetowych balansów i kontrbalansów, czując terytoryalne bez-

pieczeństwo kraju, pragną jedynie rozwoju instytucyj krajowych: przedewszystkiem, że go nietylko sam naturalny wymaga interes, tj. przeludnienie wyspy, lecz że od niego w Brytanii europejskiej zależy siła jej spójni z Brytanią kolonialną.

W chwili upadku gabinetu liberalno-radykalnego, wystąpiła partya wstrzemięźliwości przeciwko partyi słuszności. Na pokrycie długu skarbowego (nietylko 11 milionów, jak pisano w gazetach niemieckich i francuskich, a zatem i w polskich — lecz 100 milionów, tj. pełnej sumy budżetów wydziałowych), kanclerz skarbu, p. Childers zaproponował przed Zielonemi Świętami podwyższenie podatków od piwa i trunków alkoholicznych do wysokości 2 szylingów za 1 *gallon* = 1 złr. od 4 kwart. Ale olbrzymie demonstracye pospólstwa, dystylatorów i piwowarów skłoniły ministra do zmodyfikowania takiego budżetu. Partya wstrzemięźliwości w obawie, aby zbytni podatek nie rzucił 2 mil. świeżych wyborców w obóz konserwatywny, poradziła podwyżkę tylko do 1 szylinga za *gallon*, i tej rady gabinet usłuchał. Ze strony torysów i jako organ partyi słuszności zaprotestował na posiedzeniu izby sir M. Hicks-Beach, zasadzając protest swój na dwóch wywodach: 1° Wysoki podatek od trunków najpospolitszych — piwa i spirituozów — bynajmniej nie sprowadzi zdrożenia tych trunków dla konsumpcyi ogólnej, bo dystylatorzy i przemysłowcy z pierwszej ręki nie w ciemię bici wiedzą dobrze, iż gdyby odpowiednio zwyższyli cenę napojów dla publiczności, ponieśliby straty dwojakie, podatków i ubytku klientów. Cóż więc nastąpi? Poprostu to, że dystylatorzy i t. p. zapłacą podatek, zatrzymają cenę dla publiczności dotychczasową... i podadzą jej trunek nierównie pośledniejszy, nierównie więcej „maddening“, przyprawiający o szaleństwo i zabijający; że nie będą przechowywali alkoholów czas należyty przed wyszynkiem, by je złagodzić, lecz sprzedawać będą „młode preparaty“; że trunki takie dodadzą bodźca i apetytu do daleko większej konsumpcyi, sprowadzą daleko więcej nędzy, przepełnią domy obłąkanych (tak już smutnie pełne), rozszerzą masy pauperyzmu, rozognią najobrzydliwszy upadek moralny i materyalny! 2° Gdzież jest nadto sprawiedliwość administracyi, nakładającej podatek, niemoralny w swych koniecznych następstwach, na pewne napoje klas najmniej zamożnych, a folgującej szalonym zbytkom warstw wyższych? Stawiacie wysoki podatek od

piwa i wódek — czemuż nie od win i likierów? Obciążacie przemysł krajowy, przemysł mianowicie zubożonej Irlandyi (porter i *whisky*) — czemuż nie tamujecie napływu drogich, a przecież bezczelnie fałszowanych „artykułów“ zagranicznych? Zostawcie wyrobnikowi czyste i pożywne piwo, jego jedyny zbytek, nie dopuszczajcie trucizny tam, gdzie ubóstwo rychło na nią zobojętnieje, a połóżcie tamę daleko gorszej, daleko szerzej działającej demoralizacyi zbytkownych trunków zamorskich. Nakoniec — dodał wnioskodawca — jeżeli powodujecie się moralnością administracyjną, powinniście nałożyć podatek nizki na coś, co jest w powszechnem używaniu, zarówno w pałacu królowej, jak w domach przytułku i pracy — np. na herbatę... *Inde irae!* Torysi *tandem aliquando* (i zupełnie niespodziewanie) utrafili w sedno!

Obracając się w różnych kołach Anglii prowincyonalnych, mam ciągłą sposobność przeświadczenia się, że czego nie potrafili uprzytomnić narodowi dyplomaci opozycyi w ciągu lat trzech przynajmniej, uprzytomnił jeden finansista w ciągu trzech kwadransy! Rząd narobił długów bez korzyści i chciałby je pokryć — folgując zbytkom, zachęcając importacye... by sobie nie zrazić do reszty ląd stały — a wkładając pęta na przemysł krajowy, wpędza warstwy najniższe gwałtem do domów waryatów i do kryminalnych trybunałów. *Down with the Cabinet!* I tak oto upadła administracya Gladstone'a, polegając na partyi sekciarskiej wstrzemięźliwości.

Może się komuś zda rzeczą niesłuszną, że przypisuję upadek administracyi staraniom stowarzyszeń wstrzemięźliwości. Nie, nie myślę wojować przeciw żadnemu podobnemu stowarzyszeniu! Owszem: patrząc na okropną walkę moralną i materyalną tutejszego społeczeństwa z pijaństwem, nawet z nałogowem, choćby umiarkowanem, używaniem krajowych trunków, sądzę, że i sekciarskie stowarzyszenia wstrzemięźliwości, choć nie działają z zasad głęboko religijnych, warte są swej egzystencyi, jeżeli tylko jakiś procent dzieła uskutecznią. Ale to, co jest w Angli partyą wstrzemięźliwości, jest z natury swej czynnikiem nader problematycznej wartości, absolutnie pozbawione wartości religijnej. *The Temperance Party* jest tu poprostu rodzicielką najgorszego w parlamentarnym całoskładzie zjawiska lat ostatnich — kliki birminghamskiej. *The Birmingham Caucus* — to wyskok tej partyi.

Ponieważ działalność jej zasługuje pod każdym względem na uwagę naszą, tak pod względem religijnym, jak ogólnie społecznym, nie od rzeczy będzie rozświecić tę ciemność sekciarskiej agitacyi.

W poprzednich listach, pisząc o anglikanizmie w stosunku do jego dysydentów, miałem sposobność wykazać jeden z głównych rysów charakterystycznych moralnej siły angielskiego sekciarstwa. Kardynalną zasadą jego jest: Czyń dobrze, aby ci się dobrze działo. Przy narodowem samolubstwie, przy tem zaskorupieniu się w egoizmie przedewszystkiem osobistym, a następnie prowincyonalnym i krajowym, zasada ta jest kwintesencyą katechizmu sekciarskiego: Pracuj, a będziesz bogatym i będziesz miał wygody; prowadź się dobrze, a będziesz szanowanym; ćwicz ciało, a będziesz zdrów, jedz dobrze a dobrze będziesz wyglądał; nie pij — jeżeli masz na to — bo to skraca życie i zmniejsza, niszczy szacunek u ludzi; nie pij — jeżeli nie masz za co — bo to kosztuje.

Innej zasady kardynalnej sekciarstwa angielskiego, innej sprężyny jego „etyki“ nie widzę, nie znajduję nigdzie.

Najwięcej wpływowe i najszerzej rozlane w W. Brytanii sekty baptystów, niezależnych (zwanych także: *Congregationalists*, a w Irlandyi popularnie *Cromwellians)* i unitarzystów (nieuznających Chrystusa Pana, ani Ducha Świętego), są w Anglii ściśle wstrzemięźliwemi. W Szkocyi, prezbyteryanie; a w zachodnio-północnych hrabstwach Anglii, metodyści, nie stawiają wstrzemięźliwości jako warunku, ale jako pierwszorzędny środek zbawienia. Nie można wątpić, że zbory sekt tych wywierają dominujący wpływ na niższe warstwy: propaganda wstrzemięźliwości daje im energiczne poparcie przemysłowców i chlebodawców. Tej propagandy używają więc bezwzględnie, jako stopnia do osiągnięcia szerszych celów i ambicyi, mianowicie do pozbawienia kościoła państwowego jego charakteru, fundacyj, subwencyj i świątyń. Zbory baptystów i niezależnych pracują niezmordowanie przy każdych wyborach generalnych. Po raz pierwszy w r. 1880 udało się im skoncentrować swe wpływy w wielkiem centrum fabrycznej pracy, Birmingham; z łona swych komitetów birminghamskich wydały najlepiej zorganizowaną *Independent Liberal Association*, a owocem tejże jest właśnie ów *Birmingham Caucus*, nieliczna w parlamencie, lecz potężna w całej północnej Anglii, w Walii (przeważnie baptystowskiej) i w Szkocyi koterya, głosząca

językiem parlamentarnym maxymy sekciarskiego komunizmu, boć komunizmem tylko nazwać można teorye „popularne“ predykatorów na prowincyi i teorye „radykalnej reformy“ pp. Dilke'go, Chamberlain'a, Labouchère'a, Bradlaugh'a (prezydenta Northamptońskiej *Temperance Society*), Morley'a, Storey'a i kilku innych.

Złączywszy się z tą koteryą parlamentarną w r. 1880, p. Gladstone pozyskał sobie odrazu całe sekciarstwo i znalazł się po wyborach — całkiem niespodziewanie — naczelnikiem najliczniejszej od r. 1830 większości. Ale też odtąd polityka jego była do samego końca równie niekonsekwentną, jak niekonsekwentnym jest zlew stronnictwa starych „whigów“ z radykalistyczną demokracyą zborów. Z jednej strony, polityczny testament torysów po r. 1879, tradycya Anglii od r. 1815 i twarde konieczności gabinetowe, wynikające z nieuniknionych konieczności olbrzymiego (a politycznie młodego) cesarstwa kolonialnego; z drugiej strony, usposobienie większości, żądającej reform wewnętrznych, reform *à tout prix*, reform radykalnych, zaskorupienia się w domu. Lecz czy było tego potrzeba, jakie w ogóle zasady mają rządzić całym organizmem W. Brytanii na kuli ziemskiej — o to nam tutaj nie chodzi. Jak bowiem mogą być chwile, kiedy naród powinien pod karą ruiny działać na zewnątrz, tak są chwile dla niego skupienia i pracy odśrodkowej. Stwierdzamy fakt, a motywa jego są nam w każdym razie znane. Rezultaty leżą dziś przed światem.

Wyzyskawszy wielkiego polityka-sentymentalistę, partya radykalna odrzuciła go w chwili, kiedy dłuższa solidarność mogłaby nadwerężyć wiarę ludu w administracyjną i dyplomatyczną kompetencyę takiej unii. Ale, wydobywając się z rozpaczliwej kałuży błędów pięciolecia z pomocą konserwatystów, partya radykalna ostatniego im dała szturchańca, zostawiając ich w onej kałuży, *à se débrouiller*, jak będą mogli, sama zaś opuszcza Westminster, odmawia wszelkiej pomocy nawet w prawodawstwie, które na pozór jednoczyło ją z pewną potężną frakcyą torysowską i spieszy do okręgów wyborczych, by „przygotować“ lud sześcio-miesięczną kampanią!

Radykaliści wierzą silnie, że tych sześć miesięcy dzieli ich od *millennium*. Chodzi im jedynie o władzę, dlatego przeprowadziwszy bil reformy wyborczej, przezwany *The People's Bill*, obiecują ludowi

wszystkie *desiderata* demokracyi skrajnej. Aby choć jednym przykładem objaśnić ich sposób postępowania i ich obietnice, przytoczę fakt bardzo świeży.

Sir Ryszard Cross, były kolega pp. Northcote'a i Salisbury'ego w gabinecie lorda Beaconsfield'a, stawił swą kandydaturę poselską przy zbliżających się wyborach w pewnej okolicy hrabstwa Lancaster (Lancashire), gdzie przeważa ludność górnicza. Konserwatyści, prosząc sir Ryszarda o podjęcie tej kandydatury, wiedzieli, że w kopalniach potrzeba reform ważnych, że górnicy lankasterscy mają swój własny program parlamentarny, starając się o regulacyę stosunków tamtejszej pracy do kapitału. Korserwatyści, gotowi do przeprowadzenia tych reform, wybrali sir Ryszarda, jako właściwego znawcę lokalnych warunków. Radykaliści birminghamscy poznali niebezpieczeństwo: górnicy lankasterscy oddadzą głos torysom i pociągną za sobą konwalijskich i northumberlandzkich, mających analogiczne potrzeby. Cóż tedy robią? Agitują między górnikami przez zbory i stowarzyszenia wstrzemięźliwości; przekonywują, że sami są gotowi wprowadzić żądane reformy; że torysi nie byli nigdy, nie są i nie będą szczerymi; że żądane reformy, nie stanowiąc całego programu radykalnego, potrzebują innych jeszcze: słowem, że radykaliści dają daleko więcej, i obficiej, i trwalej, aniżeli torysi! Cóż się dzieje? Agitatorzy partyi skłaniają górników do wybrania komitetu wyborczego; górnicy wybierają stosownie do wskazówek. Po kilku dniach dowiadują się, że komitet zasiada... w Birmingham, pod nazwą: *The Miners' Parliamentary Committee of Reform and Protection!*

Sir Ryszard Cross otrzymuje od tegoż komitetu pseudo-reprezentacyjnego list takiej treści: „Przyjmujemy kandydaturę pańską pod następującymi warunkami:..." Wyliczone są na początku słuszne żądania reform, wiadomych sir Ryszardowi. A w końcu program radykalny:

7° „Że będziesz pan głosował za taką ustawą reformy ziemiańskiej, którąby oddała na użytek publiczny glebę, zostającą bezowocnie w rękach wielkich właścicieli, jak parki, zwierzyńce, obszary wyścigowe i myśliwskie, niereklamowane bagna i t. p.

8° „Za ustawą zniesienia majoratów ziemskich *(right of primogeniture)* i zniesienia nietykalności ordynacyi *(entail)*.

9⁰ „Za zniesieniem dziedziczności tytułów i reprezentacyi parlamentarnej w izbie lordów.

10⁰ „Za wykluczeniem z tejże izby parów duchownych i osób, skazanych przez trybunały za niemoralność.

11⁰ „Za kasatą kościoła anglikańskiego.

12⁰ „Za kasatą pensyj historycznych i zmniejszeniem królewskiej listy cywilnej".

Czyż potrzeba wymowniejszej illustracyi manewrów radykalizmu? Punkt 11 jest okrzykiem sekciarstwa, wspierającego radykalistów za pośrednictwem p a r t y i wstrzemięźliwości [1].

Jeżeli mi wolno wyrazić przekonanie osobiste, powiem otwarcie, że radykaliści mają sobie zwycięztwo zapewnione przy najbliższych wyborach. Nie radykaliści parlamentarni wszakże, lecz radykalne sekciarstwo prowincyonalne i świeżo uprzywilejowane pospólstwo londyńskie, które ma mieć w Izbie 56, zamiast dotychczasowych 23 reprezentantów. Przed kilku laty, gdy radykalizm stał osamotniony, można było wruszać ramionami na myśl taką; dzisiaj — potężne koalicye jego z liberalizmem, jego zręcznie manipulowane traktaty z partyą autonomistyczną Irlandyi, przy rosnącym wciąż pauperyzmie, w obec agglomeracyi kapitałów ziemstwa - każą wierzyć, iż, jak potrafili przeprowadzić radykalną reformę wyborczą, tak też z niej sami jedni największą odniosą korzyść.

Prawdopodobnie przyjdą do władzy, ale wątpię czy się przy niej utrzymają długo. Sir William Harcourt, były minister spraw wewnętrznych, przepowiedział tymi dniami, że w ciągu następnych 400 lat... toryzm nie będzie miał „szansy". Uderza to, że agitatorzy liberalni i radykalni chętniej, a niemal wyłącznie, używają przestarzałego przezwania „toryzm", „toryści", miasto „konserwatyzm", „konserwatyści". W stronnictwie konserwatywnem Anglii widzimy dziś dwie partye: jedną — tradycyonalną, nadzwyczaj powolną i ostrożną, która odstąpiwszy polityki Canninga, Wellingtona i Palmerstona,

[1] „Walijscy pastorowie baptyści, tak czynni w propagandzie wstrzemięźliwości, powinni, zdaje się, rozpocząć na nowo swe prace, nawracając swych własnych kolegów, stawających haniebnie często przed kratkami sądów policyjnych za — pijaństwo!" (*The Guardian* z 9 maja). Przypomina to dyalog:

— Chodź, napijemy się!

— Nie mogę, dziękuję. Raz dlatego, że doktor mi nie pozwala; powtóre, bom się wyrzekł trunku; a po trzecie... bom co dopiero się napił!

nie miała czasu przejąć się należycie i wykształcić w duchu Beaconsfielda; trzyma się kościoła anglikańskiego, interesu ziemstwa i uniwersytetów. Sir Stafford Northcote najwybitniej reprezentuje tę partyę; lord Salisbury najzdolniej prowadzi jej interesa. Druga — młoda, uwielbiająca pamięć Beaconsfielda w potrzebach i trudnościach kraju zagranicznych, pozuje w sprawach wewnętrznych na demokracyę. W jej szeregach stoją najzdolniejsze siły parlamentarne, z dniem każdym rośnie jej popularność w kraju. Na jej czele 37-letni poseł z Woodstock, polityk, obdarzony tymi właśnie przymiotami, które w Anglii wyrabiają „mężów fenomenalnych". Dzisiaj już posiada reputacyę, do jakiej doszedł Beaconsfield w zgrzybiałym dopiero wieku. Lord Raudolf Churchill, młodszy brat teraźniejszego księcia Malborough, arystokrata czystej wody, niezmiernie majętny, wszechstronnie wykształcony, udarowany żelazną energią, przytem pracowity, odważny, wymowny, parlamentarzysta wyćwiczony, nie ma sobie równego w Izbie gmin. W gabinecie lorda Salisbury zajął tekę ministra dla spraw indyjskich, nie przeszedłszy przez żadne mniejsze urzędy publiczne. Jak lord Byron — „obudził się pewnego rana i znalazł się... prawie u szczytu ambicyi". Lord Raudolf Churchill jest mężem przyszłości w opinii wszystkich partyj parlamentarnych, wyjąwszy radykalistów; w opinii arystokratów i plutokracyi kraju; w opinii armii i marynarki. Imię jego rozbrzmiewa w popularnych piosenkach, farsach teatralnych i operetach, nietylko w stolicy, lecz i w walijskich mieścinach, i w górskich osadach północnej Szkocyi, i wzdłuż i wszerz Irlandyi. W około niego grupują się z dniem każdym liczniejsze szeregi konserwatystów i umiarkowanych liberałów, starych whigów i młodych parnelistów z tem posłuszeństwem, solidarnością i zapałem, jakie tylko otaczają nadzwyczajne w życiu publicznem osobistości.

Lord Raudolf nie byłby κατ'εξοχην, mężem swego wieku, w Anglii, gdyby nie uosabiał w sobie i nie dyktował swoim coraz liczniejszym zwolennikom programu demokratycznego na fundamencie konserwatywnym. Między nim a p. Chamberlainem ta zachodzi różnica, że gdy ostatni marzy wprzód o obaleniu instytucyj krajowych, aby na ich ruinie wybudować gmach potęgi ludowej, to pierwszy wierzy silnie w płodność starożytnej konstytucyi brytańskiej, pewny, że jak w wiekach i latach minionych, tak w przyszłości

z starego korzenia nowe wyrosną latorośle. Ztąd też rosnąca w kraju, między ludźmi poważnymi i stojącymi po za wirem frakcyi, opinia, że z gruntu konserwatywne instynkta narodu, niecierpiące gwałtownych wstrząśnień, rychlej lub później uznają w Churchillu i jego partyi prawdziwie obywatelskich szermierzy istotnych potrzeb narodowych.

Nie tu miejsce rozstrząsać program parlamentarny młodego koryfeusza. Ale wszystko, cośmy dotąd przejrzeli, posłuży nam do zrozumienia, że w tym przełomie wszystkich warunków parlamentarnych W. Brytanii, Irlandya sama jedna odniosła zwycięztwo ogromne, poprzedzające jej polityczne wyswobodzenie się z pod jarzma i kontroli zarówno dublińskiego zamku, jak westminsterskiego pałacu.

Nie potrafiłby p. Gladstone, stojący na czele najliczniejszej w tym wieku większości parlamentarnej, uporać się z potrzebami spraw publicznych samej Anglii, nie zawarłszy wprzód słynnego „traktatu w Kilmainham“ z p. Parnellem. Kiedy następnie nie dotrzymał obietnic, autonomiści zwrócili się przeciw niemu; kiedy gabinet zawiódł do tego stopnia słuszne oczekiwania Irlandyi, iż zapowiedział odnowienie ustaw koercyjnych, partya irlandzka straciła resztę zaufania do liberalno-radykalnych oportunistów. Rząd upadł, bo parnelliści głosowali *in globo* przeciwko niemu w budżecie Childersa. Zachodzi więc kwestya naturalna: Czy Irlandczycy skorzystają na zmianie gabinetu? Czy możebnem jest zbliżenie się ich do... odwiecznych wrogów — t o r y s ó w?

Torysi nie istnieją. A lord K. Churchill jest energicznym rzecznikiem... nie sprawy irlandzkiej, ale demokratycznej decentralizacyi władzy i kontroli stanu. Nie podobna opisać, do jakiego stopnia panowała w Irlandyi wytężona ciekawość, zanim Salisbury sformował swój gabinet. Wykluczenie z niego „partyi czwartej“, znaczyło w Irlandyi koercyę, gorszą od Forsterowskiej. Wcielenie tejże partyi — daje hasło do entuzyastycznych nadziei! Lord Salisbury nie może obejść się bez partyi Churchilla, a Churchill zapowiedział w setnych mowach swoich, że jedynem lekarstwem dla Irlandyi jest zniesienie obrzydliwej biurokracyi cudzoziemskiej na zamku dublińskim, poruczenie hrabstwom odpowiedzialności za administracyę, powierzenie urzędów irlandzkich Irlandczykom, p r z y w r ó c e n i e

parlamentu irlandzkiego i zniesienie niedorzecznej unii z ludem i narodem, niemającym z Anglią absolutnie nic wspólnego.

Stronnictwo torysowsko-demokratyczne nie powoduje się ani entuzyazmem, ani uczuciowością, powiedziałbym nawet, że do pewnego stopnia podszyte jest cynizmem politycznym. Lord R. Churchill żąda samorządu dla Irlandyi, nie z pobudek innych, jak czysto eksperymentalnych; chce rozpocząć decentralizacyę w Irlandyi, by ją następnie wprowadzić jako system bezpieczny do Anglii i Szkocyi. Fortunnym dla p. Parnella trafem, spekulacye dzisiejszego ministra gabinetowego przyspieszają urzeczywistnienie nadziei narodowych. Pan Parnell dowiódł parlamentowi brytańskiemu, że bez jego pomocy prace prawodawcze są absolutnie niemożebne; pomoc autonomistów kosztuje jednakże tyle, że plan lorda R. Churchilla — zwrócenia posłom irlandzkim ich własnego parlamentu — znajduje coraz więcej aprobaty.

Na tych ostatnich uwagach kończę przegląd polityczno-społecznego położenia w Anglii, jak się ono dziś przedstawia i jak się rozwijać już zaczęło. Decentralizacya, autonomia hrabstw i municypiów zjednoczonych trzech królestw, jest najprawdopodobniej tylko kwestyą czasu, zupełnie nawet niezależną od prawdopodobnego zwycięztwa sekciarskiego radykalizmu po najbliższych wyborach. Nie możemy przesądzać, czego dokaże ta decentralizacya w Anglii. To wiemy, że zniszczy niemoralny, a raczej demoralizujący wpływ ateizmu i sekciarstwa na sprawy państwa. Lecz przedewszystkiem witamy serdecznie jutrzenkę odrodzenia się katolickiej Irlandyi!

E. S. N.

Z Hiszpanii.

Ministeryum „konserwatywno-liberalne". — Kwestya władzy doczesnej papieża w Kortezach. — Protesta biskupów i dziennikarzy. — Wystąpienie dziennika *El Siglo futuro* przeciw powadze nuncyusza. — Mowa profesora Morayty. — Zachowanie się Pidala w obec tej mowy. — Manifestacye uniwersyteckie antykatolickie i katolickie. — Wyznania ministra Silveli o obecnym stanie uniwersytetów. — Szkody zrządzone trzęsieniem ziemi. — Cholera.

Od paru już miesięcy najróżniejsze stronnictwa dzielące Hiszpanię, podały sobie ręce, aby obalić ministeryum Canovasa-Pidala,

a choć przed paru tygodniami udało mu się szczęśliwie przebyć groźną kryzis, to przecież lada dzień kryzis ta może się powtórzyć. Rządy chwiejącego się dziś ministeryum „konserwatywno-liberalnego“, jak samo zwykło się nazywać, dowiodły raz jeszcze, że kompromis między liberalizmem, jak go pojmują masoni i ludzie nierządzący się żadnemi stałemi zasadami, a konserwatyzmem wyszłym i opierającym się na zasadach czysto katolickich, rzeczą jest wprost niepodobną. Prezydent ministrów Canovas del Castillo, „Bismark czy Cavour w miniaturze“, jak go zwano z przekąsem, jest bezsprzecznie człowiekiem pełnym talentu i żelaznej energii, nielubiącym i nieumiejącym się cofać przed żadnem niebezpieczeństwem; przymioty te przyznają mu głośno najzaciętsi nawet nieprzyjaciele. Minister oświaty, *del Fomento*, jak mówią Hiszpanie, margrabia Pidal y Mon, znanym był oddawna z talentu, dzieł gruntownych i uczonych i szczerego przywiązania do wiary katolickiej. Zdawałoby się, że pod sterem dwóch tych ludzi, przedstawiających w sobie energię, uczoność i pobożność, Hiszpania zajdzie daleko. Stało się przeciwnie: Canovasa oskarżono o tyranię, Pidala o zdradę, a tymi co najgłośniej i nieraz nie bez podstawy powstawali przeciw obu ministrom, byli właśnie dawni ich przyjaciele.

I jakże miało być inaczej, kiedy owo „konserwatywno-liberalne“ ministeryum, pomieszało w swym programie masońskie formułki z katolickiem wyznaniem wiary, a nie chcąc nikogo obrazić, obrażało wszystkich: zagraniczne potęgi i najświętsze uczucia własnych poddanych. Najwybitniejszym przykładem tej niejasności postępowania była ledwie co ukończona kwestya, żywotna dla wszystkich państw, ale najżywotniejsza dla Hiszpanii: zachowanie dobrych stosunków z Stolicą św. Najwymowniejszy z szermierzy lewicy Castelar, pragnąc przysporzyć kłopotów rządowi, zainterpelował ministeryum w lipcu roku zeszłego, jak zapatruje się na kwestyę władzy doczesnej papieża. Pytanie było drażliwem, tem bardziej, że Pidal, zanim zasiadł na ministerskim fotelu, występował otwarcie przeciw grabieży Rzymu. Obecnie, żeby nie zagniewać na siebie ani Kwirynału, ani Watykanu, musiał biedny minister uciec się do potoku frazesów: „Władzy doczesnej bronili nietylko szczerzy katolicy w imię wiary i słuszności, ale i republikanin Thiers w imię wolności sumienia, Coussin w imię spiritualistycznej filozofii, Odillon

Barrot w imię wolności politycznej. Z drugiej jednak strony należy uszanować stratę władzy doczesnej, jak Francya szanuje smutne wyniki wojny z Niemcami, a Hiszpania dzisiejsze położenie Gibraltaru".

Naturalnie, że podobne wyjaśnienie mające zadowolnić obie strony a zawierające sprzeczność w samej swej istocie, rozjątrzyło tylko bardziej tak żarliwych katolików, jak i skrajnych anarchistów. Rząd włoski zażądał wytłumaczenia się, a Canovas w mowie mianej w senacie, z godną podziwienia pokorą, zapewnił Europę, że polityka hiszpańska stosować się zawsze będzie do ogólno-europejskiej; że odkładając na bok kwestyę władzy doczesnej, o której Hiszpania rozprawiać nie myśli, ponieważ inne państwa o niej nie rozprawiają, rząd starać się będzie (wespół z rządami innych mocarstw katolickich) o zabezpieczenie papieżowi jak najobszerniejszej władzy duchownej. Ostatni frazes, obrachowany na pogłaskanie uczuć katolickich narodu, nie podobał się *Gazecie urzędowej* włoskiej; natomiast pierwsza, główna część mowy prezydenta ministrów, wywołała nader energiczne protesta i listy pasterskie, arcybiskupa z Kuby i Burgos, biskupów z Palencia, Vitoria, Calahorra, Plasencyi, Cuenca i paru innych miejsc. Przyciśnięty ze wszech stron rząd hiszpański, upokorzył się raz jeszcze przed Mancinim i w poufnej nocie z 22 lipca roku zeszłego, udzielił mu wszystkich możliwych wyjaśnień; a ledwie w kilka miesięcy później tłumaczył się kornie przed Watykanem z dopiero co wysłanej noty do Kwirynału i zapewniał, że „jeśli rząd Alfonsa XII-go stara się jak najsilniej o zachowanie dobrych stosunków z wszystkiemi mocarstwami europejskiemi, to większych jeszcze, jeśli możliwa, dokłada starań, aby z dnia na dzień ścieśnić węzły synowskiego przywiązania, które łączą króla i jego katolickich poddanych z głową Kościoła".

W trudnem położeniu, w jakiem dziś znajduje się, nie chce Stolica św. nieraz dochodzić z całą ścisłością swych praw, a tam gdzie widzi choć cień dobrej woli, woli raczej być oskarżaną o zbytnią cierpliwość, niż w jakibądź sposób utrudzać i tak już nazbyt ciężką sztukę parlamentarnych rządów. Niektórzy z biskupów, jak np. z Plasencyi i Puerto Rico, nie zwrócili dość uwagi na tę fundamentalną zasadę całej polityki rzymskiej i w listach swych pasterskich i publicznych wystąpieniach powstali z całym zapałem

szlachetnej a gorącej duszy przeciw dwulicowemu postępowaniu ministeryum. Biskup z Puerto-Rico zapowiedział w pierwszych dniach marca b. r. interpelacyą w senacie, jak i w jaki sposób zapatrywania się rządu w kwestyi rzymskiej zgadzają się z dopiero co ogłoszoną allokucyą papieską z 4 marca, protestującą uroczyście raz jeszcze przeciw grabieży miasta wiecznego. Nie sposób wyrazić przerażenia madryckiego gabinetu na tę zapowiedź, mogącą zburzyć za jednym zamachem cały tak sztucznie i z takim mozołem budowany gmach „liberalnego konserwatyzmu“. Canovas udał się natychmiast do nuncyusza, arcybiskupa z Heraklei i zagroził mu ciężkiemi następstwami dla Kościoła, jeśli wpływem swym nie skłoni biskupa z Puerto-Rico do odwołania zapowiedzianej interpelacyi. „Uczynię co zechcecie, odparł biskup, ale jedynie i wyłącznie na rozkaz samego Papieża“. Jakoż niebawem otrzymał nuncyusz depeszę od kardynała Jacobiniego, że Papież uważa postawioną interpelacyę, że jest nie na czasie; biskup cofnął się, ale tak było do przewidzenia, raz poruszone umysły tem gorącej sposobiły się do dalszej walki.

Pretekstów i okazyj nie brakło. Biskup z Plasencyi wydał pod koniec lutego list pasterski, w którym ostro krytykując postępowanie rządu, zaprzecza mu wyłącznego prawa do nauczania, twierdzi śmiało, że liberalizm jest z samej swej istoty wrogiem katolicyzmu, a że państwo liberalizmem przesiąkłe, jakiem jest Hiszpania, zgadza się niestety na rozszerzanie błędów, najokropniejszych bluźnierstw, i rozpasanego bezwstydu. Gorący ton listu przechodzi czasem w gwałtowność, i tej to okoliczności uchwycił się, jak się zdaje, rząd hiszpański, aby wymódz u Stolicy św. potępienie tej biskupiej odezwy. Organ ministeryalny *Epoca* ogłosił, że w razie gdyby Papież zgodził się na zasadę, że biskupom przysługuje prawo napominania rządu, to ministerym będzie zmuszone zapozwać biskupa z Placencyi przed kratki sądowe. Papież zganił zbyt ostry ton odezwy biskupiej, ale zarazem wypowiedzieć musiał prawdy nie zbyt miłe rządowi, gdyż tenże odnośnego dokumentu nigdy w zupełności ogłosić nie chciał. Zirytowane artytuły urzędowych i półurzędowych gazet *Epoca, Noticiero, Union* miasto przytłumić, rozniecily jeszcze coraz żywiej buchający ogień. Wikaryusz kapitularny z Toledo przypomniał rządowi, że obowiązkiem jego jest bronić kraju przed napływem niemoralności i niewiary. Biskupi z Huesca i Malaga za-

pytali, w jaki sposób wolnomularstwo rozpanoszyć się mogło do tego stopnia pod rządem katolickim? Biskup z Puerto-Rico, miasto cofniętej interpelacyi wydał broszurę p. t.: „Ostatnia allokucya Jego Świętobliwości i objaśnienia rządu hiszpańskiego co do władzy doczesnej papieża". Biskupi z Tarazona, Urgel, Avila, podjęli tylko w łagodniejszej formie temat listu pasterskiego biskupa z Plasencyi.

Obok biskupów, lecz na swoją rękę, i naturalnie nie zawsze z równym taktem i powagą, wystąpiły do walki w zwartym szeregu wszystkie niemal dzienniki i pisma katolickie, pod przewodnictwem urzędowego organu karlistów *El Siglo futuro*. Pragnąc stwierdzić niezachwianą swą łączność i uległość dla Stolicy św., wysłało poprzednio 24 dzienników wspólny adres do Ojca św. z wyrażeniem swego bezgranicznego posłuszeństwa i uznania dla nauk zawartych w Syllabusie i encyklikach Leona XIII. Ale podobnie jak niektórzy biskupi, tak też i hiszpańscy dziennikarze nie chcieli, czy też nie umieli zrozumieć pojednawczej, aż do ostatnich granic polityki papieskiej, uważającej zawsze raczej na dobro duchowne swych owieczek, niż na szkrupulatne zachowanie monarszej godności. *El Siglo futuro* w artykule zatytułowanym *La misma cuestion* starał się dowieść, że dziennikarze, a w ogóle wierni, w walce toczonej w imię i o dobro religii, nie są obowiązani oglądać się na zdanie nuncyusza papieskiego, który dla zachowania dobrych stosunków dyplomatycznych, nie ma nieraz dostatecznej wolności do wypowiedzenia jasno i otwarcie całej prawdy. A więc nie na nuncyusza, ale na biskupów oglądać się należy. Nauka to, kończył ów artykuł, podpisany przez Franciszka de la Rivas, jednego z głównych redaktorów *El Siglo futuro* i przeglądu *La Ciencia cristiana*, dotąd w Hiszpanii zapoznana, ale tak długo i taki będziem na nią kłaść nacisk, aż się nie stanie fundamentalnym, niewzruszonym aksyomatem.

W zapale walki autor artykułu *La misma cuestion* poszedł z pewnością za daleko i wyraził zapatrywania się wręcz przeciwne katolickiej nauce, których Stolica św. bez odpowiedzi zostawić nie mogła. To też kardynał sekretarz stanu w depeszy do nuncyusza madryckiego z 15 kwietnia b. r. potępił zasady bronione w tym artykule, a natomiast zatwierdził, że: „nuncyusz jest istotnym zastępcą Ojca św. i wykonywa władzę sobie zleconą w ten sposób i o tyle, o ile papież mu ją porucza. Gdyby biskupi mieli większe

i szersze prawa od nuncyusza, ten nie byłby już tem samem przedstawicielem papieskim". Pod koniec wzywał kardynał Jacobini redaktora *El Siglo futuro*, Don Ramona Nocedala, aby postawione błędne twierdzenia w dzienniku swym odwołał.

Nieprzyjaciele osobiści i polityczni dziennika *El Siglo futuro*, przedewszystkiem katolicy liberalni zebrani pod sztandarem Pidala, nie posiadali się od radości z odniesionego tryumfu. *La Union* otrzymawszy list kardynała Jacobiniego, wydrukowała go czemprędzej, jeszcze przed *Siglo futuro*, na pierwszem miejscu z tytułem olbrzymiemi głoskami: *Condenacion de El Siglo futuro*, i w tysiącznych egzemplarzach rozrzuciła po Madrycie. Po ulicach rozeszła się skwapliwie przyjmowana pogłoska, że Papież wyklął Nocedalów. Szczęściem ci ostatni i cała ich partya zbyt dobrymi są katolikami, aby zbłądziwszy na chwilę, nie zwrócić ucha natychmiast i bezwarunkowo na napominający głos Papieża. Franciszek de la Rivas uznał publicznie zdania wyrażone przez siebie w *La misma cuestion* za „błędne i złe", ponieważ za takowe uznała je Stolica św., a *El Siglo futuro* ogłosił w imieniu całej swej redakcyi piękny akt najzupełniejszego poddania się władzy papieskiej wykonywanej bądź bezpośrednio, bądź pośrednio przez swych nuncyuszów i delegatów. Ale uznając po chrześcijańsku popełniony błąd, *El Siglo futuro* nie cofnął się w innych kierunkach i stoi — wedle jednych wytrwale, wedle innych uporczywie — wciąż na placu walki. Subskrypcya otwarta przez kilkadziesiąt dzienników karlistowskich „na uczczenie tryumfu biskupa z Plasencyi, rozszerzenie jego listu pasterskiego, listu biskupa z Osmy i t. d." trwa ostentacyjnie i przynosi zadziwiające a dla rządu istotnie niepokojące rezultaty. Po raz to może pierwszy karliści mają sposobność ogłosić dokładną i gotową na poświęcenie listę swych stronników, a liczba ich, we wszystkich klasach jest istotnie wielką. Czy rząd spokojnie będzie patrzeć na dalszy przebieg tej pokojowej manifestacyi, a tem niebezpieczniejszej, że pół religijnej, pół politycznej; czy pragnie tylko, aby wroga partya złożyła mu sama w rękę drukowany spis swych członków, a w ostatniej chwili zamyśla przeciąć jej plany? Trudno dziś wiedzieć; bądź co bądź, niebezpieczna to gra tak dla jednej, jak dla drugiej strony.

Podobną z wielu względów do poprzedniej i również wyzyskaną w celach politycznych, była walka przeciw mowie inauguru-

jącej rozpoczęcie kursów uniwersyteckich profesora madryckiego Morayty. Profesor ten historyi powszechnej, w przemowie swej wygłoszonej w obecności Pidala, postawił zasadę, że „profesor na swej katedrze musi mieć wolność zdania absolutną, bez żadnych innych ograniczeń, prócz własnej swej roztropności... Uniwersytety otwarte są dla wszystkich opinij; co się zaś tyczy objawienia, to wedle zamysłów opatrzności, czynić ma świętych, ale nie mędrców... Szczęśliwymi jesteśmy nauczyciele, którzy obecnie bez żadnych ograniczeń puścić się możemy po drodze bardziej odpowiadającej usposobieniu naszych umysłów. A szczęśliwszymi jeszcze jesteście o wy uczniowie tego uniwersytetu. Słuchając jednych i drugich, porównywując rozumowanie z rozumowaniem, naukę z nauką, system z systemem i przeciwstawiając naukę słyszaną z jednej katedry, z tezami głoszonemi z drugiej, dojść będziecie mogli do utwierdzenia osobistych swoich przekonań".

Zachęcać szesnastoletnich młodzieńców do krytykowauia swych profesorów i wyrabiania sobie własnej nietylko nauki, ale i religii, stawiać tego ducha krytyki jako najwyższy wykwit umiejętności i program uniwersyteckich studyów, to istotnie przechodzi nietylko granice dozwolonej wolności, ale i owej roztropności, na którą Morayta taką kładł wagę. Obowiązkiem Pidala, jako ministra oświaty, było zaprotestować przeciw twierdzeniom profesora-ateusza, tem bardziej, że targnął się on wprost na powagę objawienia i wiary katolickiej, uznanej przecież i faktycznie i wedle litery prawa, za panującą w Hiszpanii. Pidal poczuwał się do tego obowiązku i dlatego też w odpowiedzi danej Moraycie usiłował ogładzić zbyt ostre kąty tych ateuszowskich poglądów. „Bezwątpienia, rzekł, należy zostawić wolność profesorom, ale o ile wolność ta nie sprzeciwia się konstytucyi katolickiej monarchii; należy spuścić się na roztropność profesorów, ale zarazem pamiętać należy, że pierwszym warunkiem roztropności, jest spełnienie prawa i uszanowanie fundamentalnych instytucyj narodu". Po tej poprawce, Pidal, czując się już wolnym w sumieniu, własnemi rękami rozdawać począł między zgromadzonych drukowane egzemplarze mowy Morayty, nie przewidując, że ta właśnie okoliczność ściągnie nań najsilniejsze gromy ze strony legitymistycznej opozycyi.

Gdzieindziej poprawka uczyniona przez Pidala zadowolniłaby

może umysły; w katolickiej na wkróś Hiszpanii nie pytano o to, co minister powiedział, ale czego nie powiedział; pytano, czemu miasto używać dyplomatycznych frazesów, nie odebrał bezbożnemu profesorowi katedry? Pierwszy biskup z Avili zabrał głos w liście pasterskim, wykazując, że zdania wygłoszone przez Moraytę sprzeciwiają się Syllabusowi, konkordatowi zawartemu z Stolicą św. r. 1851 i samymże fundamentalnym zasadom hiszpańskiej konstytucyi. W podobnym tonie przemówił administrator z Toledo, kładąc szczególny nacisk na heretyckie zdania Morayty o potopie powszechnym, o pochodzeniu całego rodzaju ludzkiego od Adama i Ewy, i o boskim początku wiary chrześcijańskiej. Biskupie te odezwy, odczytane z ambony, rozjątrzyły do ostatnich granic całą ateuszowską partyę madryckiego uniwersytetu. Grupy akademików przebiegały w drugiej połowie listopada ulice Madrytu z okrzykami: „Niech żyje Morayta!“ „Precz z religią! śmierć prałatom! śmierć D. Carlosowi!“ Policya przez czas dłuższy spokojnie przypatrywała się tym akademickim bachanaliom; to też masy manifestujących i ciekawych wzrastały z każdą chwilą, a przed redakcyą *El Siglo futuro* doszła cała manifestacya do szczytu potęgi. Nagle, jak było do przewidzenia, okrzyki przeciw religii zmięszały się z okrzykami przeciw obecnemu rządowi, a wiwaty na cześć Morayty z wiwatami na cześć rzeczypospolitej. Teraz dopiero okazała się policya, ale dozwoliwszy nieroztropnie na wzrost studenckiego buntu, musiała teraz rozwinąć cały aparat swej siły i przez dni kilka borykać się, wśród powszechnego oburzenia, z uczniami uniwersytetu.

W obec tych zajść alarmujących całą Hiszpanię, profesorowie uniwersytetów podzielili się na dwa obozy. Jedni podali adres do rządu, domagając się zbadania całej sprawy i zarządzenia na przyszłość odpowiednich środków; drudzy umieścili w dziennikach zbiorowe protesta przeciw mowie Morayty jako korzeniowi złego. W ślady tych ostatnich wstąpili katoliccy uczniowie wszystkich uniwersytetów hiszpańskich, a długie szeregi ich nazwisk były najpotężniejszą kontrmanifestacyą przeciw orgiom madryckich kolegów. Katoliccy uczniowie z Fryburga i katolickie koła akademików włoskich przyłączyły się również do tej manifestacyi w szczerych a gorących adresach.

Najbardziej pouczającemi w smutnych tych wypadkach są

wyznania samego rządu, a przynajmniej jednego z wybitnych jego członków, ministra sprawiedliwości, Silveli. W artykule p. t. *El conflicto universitario* umieszczonym pod zasłoną anonimu w *El Diario de Barcelona*, minister Silvela wyznaje, że uniwersytet dzisiejszy jest „negacyą wszelkiego organizmu, myśli, porządku i jedności, tak, iż dziwić się należy, że z tego chaosu nie wyłania się daleko więcej burd i nieporządków". Jeśli jeden z członków gabinetu nie waha się wystąpić z takiem zdaniem o uniwersytetach hiszpańskich, łatwo się domyśleć, co mówią i sądzą o nich inni.

Wespół z temi wstrząśnieniami gabinetowemi i uniwersyteckiemi nawiedziło Hiszpanię, a mianowicie Malagę, Granadę i Andaluzyę materyalne trzęsienie ziemi i pogrążyło tysiące rodzin w ubóstwo i żałobę. Szkody zrządzone w jednem tylko Alhama w prowincyi Granada, obliczają na 20 milionów lir. Loja, Tatar, Güevejar zmieniły się w pustynię. W Canillas de Acertuno obliczają 376 domów zburzonych i 298 mieszkańców zabitych; w Maladze 7.000 domów potrzebuje mniej lub bardziej znacznej naprawy. W niektórych miejscach otworzyły się przepaście zionące gorącą wodę; gdzieindziej utworzyły się jeziora; a uczeni hiszpańscy utrzymują, że łańcuch gór Sierra Newada podniósł się na kilkaset metrów [1]. W obec takich klęsk poruszyła się cała Europa. Papież posłał dla nieszczęśliwych 40.000 fr.; kardynałowie 25.000; bank hiszpański 125.000; rodzina królewska portugalska 19.000; król Humbert 30.000; cesarz austryacki i niemiecki po 40.000. Biskupi, duchowieństwo i sam król Alfons zawstydzali swą ofiarnością i poświęceniem miejscowe władze, które z lenistwa, czy niedołężności czekały z założonemi rękoma, aż inni przyjdą im z pomocą. Ale ofiary te i poświęcenia, choć godne naśladowania, dalekie są do zrównoważenia okropnych nieszczęść spowodowanych trzęsieniem ziemi, tem bardziej, że jednocześnie nawiedziła Hiszpanię blada dziewica zarazy, niosąc postrach z tej i z tamtej strony Pirenejów. Minister Romero Robledo zarządził wprawdzie bardzo energiczne środki przeciw dal-

[1] Ciekawe a poważne szczegóły o tych dziwnych zjawiskach natury zawiera sprawozdanie osobnej komisyi, zamianowanej przez rząd królewski do zbadania tych zjawisk i ich skutków p. t. „Terremotos de Andalucia". Informe de la comicion nombrada para zu estudio, dando cuenta del estado de los trabajos en 7 de Marro de 1885. Madrid, 1885, str. VI. 105, z dwoma tablicami.

szemu szerzeniu się cholery, ale choroba ta nie zważając na zakazy ministerstwa a wspomagana sprzymierzonem ze sobą niedołęztwem niższych urzędników, rozwija się w najlepsze w tym roku, również jak w poprzednim.

Nie bardzo więc wesoło w kraju, w którym „pomarańcze kwitną“, w kraju przysłowiowej wesołości, śpiewów i tańców. Kogo nie dotykają walki polityczne — a takich szczęśliwych liczba bardzo szczupła — temu pewnie dały się we znaki klęski elementarne: trzęsienia ziemi, zaraza. Co będzie dalej, pytają się Hiszpanie wszystkich stronnictw, spoglądając bądź z trwogą, bądź z sympatyą, to na Don Karlosa podróżującego po Indyach, to na koalicyę „liberałów nieministeryalnych“, usiłującą obalić rząd obecny, to wreszcie na Zorillę, agitującego z zagranicy na korzyść anarchii. Czy cholera ustąpi, a trzęsienia ziemi się nie ponowią, tego niemożebna przewidzieć, ale to pewna, że pod względem politycznym Hiszpania tak długo nie zazna pokoju, aż rządów jej nie pochwyci w ręce jakiś drugi Canovas, ale Canovas konsekwentnie i szczerze katolicki, opierający się raczej na masach przywiązanych niemal fanatycznie do starych swych tradycyj i zwyczajów, niż na kilkudziesięciu czy kilkuset doktrynerach, pragnących ucywilizować Hiszpanię na paryską czy berlińską modłę, podobnie jak dziś cudzoziemcy cywilizują Japonię.

Ze Stanów Zjednoczonych.

Rozwój kościoła katolickiego. — Synod w Baltimore. — Dotychczasowy proceder w obsadzaniu biskupstw. — Stosunek proboszcza do biskupa i parafian. — Rozporządzenie propagandy. — Seminarya. — Stosunek zakonów w dyecezyi. — Konstytucya Leona XIII. — Szkoły i zakłady naukowe niższe i wyższe. — Uniwersytety. Pochlebne zdanie o Polakach.

Grand-Rivods. 1 lipca.

Półtora miliona „nędzy polskiej“ z zaboru zwłaszcza pruskiego i z Galicyi rozrzuconych tuła się po niezmiernych obszarach Stanów Ameryki. W jakich oni tam żyją warunkach, jakie są przedewszystkiem religijno-społeczne stosunki tej nowej przybranej ich ojczyzny, warto się nad tem zastanowić. Zacznijmy od tego, co dla tej ame-

rykańskiej „nędzy polskiej“ jest warunkiem zachowania odrębności narodowej wśród tego zlewku plemion i ludów i obcych przybyszów — od wiary. Według ostatnich spisów ludności, Stany Ameryki liczą 40 milionów mieszkańców, z tych 13 milionów ogłosiło się bezwyznaniowymi, 6,500.000 katolikami; reszta rozpada się na bezładną mieszaninę wyznań i sekt religijnych. Wszystkie wyznania, wszystkie religie, krom mormonów, cieszą się w Stanach najzupełniejszą swobodą korporacyjną, państwo nie miesza się do nich, nie krępuje ich działalności; baczy tylko na to, aby prawa i przywileje obywatelskie przestrzegane, obowiązki obywatelskie wypełnione były. Okoliczność ta sprzyja niesłychanie rozwojowi Kościoła katolickiego, który sam w sobie ma życiodajny pierwiastek i sił żywotnich podostatkiem. Zauważono, że w przeciągu ostatnich lat 50 przybyło prawie 5 milionów katolików, 60 dyecezyj, kilka tysięcy parafij i stacyj misyjnych. Do dziś dnia Stany Ameryki, pomimo tak olbrzymiego rozwoju Kościoła, uważane są za kraj misyjny, zostający pod opieką kongregacyi Propagandy rzymskiej, i pozostaną nim nadal, pomimo że dzienniki i pisma publiczne ogłosiły, że zebrany przed półtora rokiem synod prowincyonalny w Baltimore zająć się miał urządzeniem kanonicznem amerykańskiego Kościoła. Uchwały tego synodu, równie jak cały przebieg obrad, zachowane są w ścisłej tajemnicy, dopokąd nie zatwierdzi jej Stolica św., co prawdopodobnie za kilka miesięcy nastąpi. Pomimo to znając dokładnie stosunki amerykańskie z góry można odgadnąć, że o kanonicznem urządzeniu Kościoła w Ameryce, w ścisłem znaczeniu tego słowa, nie może być mowy, wszystko tu bowiem jest jeszcze *in fieri*, wyrabia, tworzy się i rozwija; coraz to nowe powstają biskupstwa; parafie i kapelanie, jak błędne wysepki na morzu, zjawiają się i znikają, brak im stałych fundacyj erekcyjnych i dotacyj, brak często kościołów i sprzętów kościelnych, brak w końcu odpowiedniej liczby kleru, który rekrutuje się w znacznej części z ex-mnichów i emigrantów przeróżnych nacyj, ludzi niezawsze odpowiadających wysokiemu a trudnemu powołaniu swemu. W takich warunkach niepodobna mówić o kanonicznem rozgraniczeniu i urządzeniu dyecezyj, kapituł i probostw, jak to ma miejsce w katolickich krajach Europy. I po wejściu więc w życie uchwał synodu baltimorskiego Stany Zjednoczone pozostaną jak dotąd krajem

misyjnym pod opieką Propagandy rzymskiej, t. j. że metropolici (jest ich dotąd 13), z swymi prowincyonalnymi biskupami odnoszą się we wszystkich ważniejszych sprawach, a kler niższy w spornych kwestyach z biskupią władzą do Propagandy, a przez nią do Stolicy św.

Zanim uchwały synodalne ogłoszone zostaną światu, nie zawadzi przypomnieć jaki dotychczas był *modus procedendi* w urządzeniach i stosunkach kościelnych Ameryki. A najprzód co do wyboru i nominacyi metropolitów i biskupów dotąd taki był zwyczaj. Na wakującą stolicę biskupią wybierał metropolita tej prowincyi z swymi sufraganami trzech kandydatów z dodatkiem: *dignissimus, dignior, dignus* i listę posyłał do Propagandy, która jednego z trzech wyznaczała, a czasem drugą i trzecią listę kandydatów sporządzić kazawszy, z wszystkich list razem biskupa mianowała. Bywały nierzadko wypadki, że zwłaszcza na nowo erygowane biskupstwa Propaganda z ramienia swego, nie pytając się o zdanie metropolity i jego sufraganów, biskupa wysyłała. Przedstawionego przez Propagandę kandydata nominował i prekonizował papież. Rozgraniczenie dyecezyj i erygowanie nowych działo się dotąd na przedstawienie metropolity i jego sufraganów wniesione do Propagandy, która zazwyczaj życzenie to uwzględniała i Stolicy św. do aprobaty przedstawiała.

W ten sposób ustanowiony biskup dyecezalny, uważany jest państwowem prawem amerykańskiem za właściciela całego kościelnego mienia, tak katedry swojej, jak wszystkich kościołów parafialnych i kapelanii w swej dyecezyi, ale jako własności powierzonej, nie zaś osobistej.

Kościołami parafialnymi i całem ich mieniem zarządza komitet złożony z biskupa, oficyała czyli wikarego biskupiego, miejscowego księdza i dwóch świeckich deputatów, wybranych przez parafian. Najczęściej bowiem kościoły i wszystko co w nich jest i do nich należy, powstają drogą dobrowolnych składek samychże parafian. Do jakiego stopnia stosunki te ulegną zmianie — trudno przewidzieć, to pewna, że radykalnej reformy wymagać będzie uregulowanie stosunku miejscowego proboszcza do biskupa i do parafian. Dotąd stosunek ten nie był jasny. Chodziło przedewszystkiem o to, czy i do jakiego stopnia proboszcz jest *amovibilis ad nutum episcopi*, t. j. może być przenoszonym z miejsca na miejsce przez swego bi-

skupa, jak np. w dyecezyach galicyjskich księża wikaryusze. Wydarzało się bowiem, że mniej sforni księża, wrazie przeniesienia przez swego biskupa z posażnej parafii na mniej posażną, uważając się zależnymi jedynie od Propagandy, usuwali się z pod władzy biskupiej, zanosili na nią zażalenia i do niedawna jeszcze bywały wyroki Propagandy korzystne dla skarżących; w ostatnich dopiero latach Propaganda na każde takie zażalenie poleciła skarżącym się księżom słuchać swego biskupa w tej mierze. Była też wielka niejasność co do sądowniczej władzy biskupa, a mianowicie, azali biskup karać może, czy to usunięciem z parafii, czy cenzurami wykraczającego proboszcza, bez poprzedniego procesu kanonicznego, jedynie według sumienia swego, *ex formata conscientia*. Dotąd biskupi takich procesów kanonicznych nie wytaczali, uważając proboszczów tylko za administratorów czasowych parafij, jak to miejsce ma np. we Francyi. Gorsze nierównie były skutki niejasnego stosunku proboszcza do parafian. Dotąd bywały częste wypadki, że kolonia jedna albo kilka razem wybudowały swym kosztem kościół i plebanię, wyszukały proboszcza, albo wyprosiły go sobie u biskupa, umówiły się z nim za kontraktem co do rocznej jego pensyi i innych warunków, ale za to komitety parafialne zanadto chciały gospodarować w kościele, na co znów nie przystawał proboszcz; ztąd spory nieraz gorszące, stąd pod pozorem niedotrzymania warunków umowy, proboszcz porzucał samowolnie parafię i na innem miejscu za kontraktem wynajmywał się za dusz pasterza. Znaleźli się tacy księża, którzy w ciągu dwóch lat cztery i pięć razy zmieniali parafie. Władza biskupia nie zawsze mogła zażegnać te spory, bo albo dowiedziała się o nich zapóźno, *post factum*, albo przy wielkiej odległości miejsc nie łatwo było rozstrzygnąć, po czyjej stronie słuszność, albo wreszcie ksiądz ów nie był przyjęty na stałe do dyecezyi, tylko pozwolono mu w niej pracować, a wtenczas porzucał ją łatwo i przenosił się do innej. Ażeby tej zbyt częstej zmianie dyecezyi zapobiedz, wydała Propaganda rozporządzenie, że kapłan raz przyjęty do dyecezyi, a chcący zmienić takową, winien nietylko otrzymać dymisyę od dawnego, a susceptę od nowego biskupa, ale uzyskać jeszcze musi zezwolenie samejże Stolicy św. Te wszystkie niedogodności i niestosowności znikną zapewnie za wprowadzeniem uchwał synodu baltimorskiego.

Pomnożenie i doskonalsze urządzenie seminaryów duchownych było i będzie nadal troską amerykańskich biskupów i synod zapewne nie pominął tej arcyważnej kwestyi. Dotąd seminarya dzieliły się na dwa kursa: kurs przygotowawczy sześcioletni, rodzaj *proseminarii* o pięciu klasach gimnazyalnych a szóstej klasie filozofii; kurs wielki trzechletni, właściwe *seminarium* z wykładami teologii dogmatycznej i moralnej, historyi kościelnej, egzegezy i rudimentów kościelnego prawa. Czy i nadal ten system pozostanie — niewiadomo. To pewna, że nie wszystkie dyecezye miały i mieć mogą własne seminarya; że liczba istniejących seminaryów — jest ich 22, a w nich 1651 alumnów na 13 metropolij i 57 dyecezyj — jest nader niedostateczna, a dla polskich kolonij pierwsze i jedyne dotąd seminaryum zakłada się w Detroit. Wszystkie te zakłady duchowne, jak w ogóle wszystkie sprawy kościelne, są wyzwolone z pod wszelkiej ingerencyi, bądź to centralnego rządu, bądź to autonomicznych władz kantonalnych, co bezwątpienia jest najpomyślniejszym dla nich warunkiem rozwoju.

Inny niemniej ważny punkt, który czeka na stanowcze określenie Synodu, jest stosunek zakonów wyjętych z pod jurysdykcyi biskupiej, od swoich jenerałów jedynie i Stolicy św. zależnych *(ordines exempti)*, do miejscowych biskupów. Zakonnicy ci w Stanach Zjednoczonych są bardzo często zarządzcami parafij, i z tytułu tego podlegają jurysdykcyi dyecezalnego biskupa; z drugiej zaś strony będąc *exempti* słuchać winni swoich przełożonych zakonnych; zachodzi tu więc kolizya władz różnorodnych. Dotąd bywało tak, że albo sam biskup uprosił sobie pomoc missyonarzy zakonnych, albo zakonnicy z własnego popędu zakładali w dyecezyi za pozwoleniem biskupa swoje domy, missye i parafie. W obydwóch wypadkach biskupi szanowali zazwyczaj prawa i przywileje zakonu *exempti*, ale wynikały też nieraz nieporozumienia i spory. Nie przesądzając wcale, co w tej mierze Synod baltimorski uchwalił, powszechne jest tu mniemanie, że do Stanów Zjednoczonych zastosowaną zostanie z małą zmianą konstytucya Leona XIII. wydana w maju 1881 r. dla Anglii, której te są główne punkta:

1-o Zakonom nie wolno zakładać nowych siedzib, budować kościołów, otwierać klasztorów, kolegiów, szkół, bez poprzedniego, wyraźnego pozwolenia biskupa miejscowego i Stolicy św.

2-o Zakonom nie wolno przeznaczonych na pewien cel funduszów obracać na inne cele, bez wyraźnego pozwolenia Stolicy św. i miejscowego biskupa, wyjąwszy tych przemian, które bez naruszenia praw fundacyjnych odnoszą się do wewnętrznego zarządu i karności zakonnej.

3-o Zakonnicy nie są obowiązani zdawać sprawy biskupowi z zarządu tych dóbr i mienia, który do nich jako do zakonników należy. Z dóbr zaś albo pieniędzy otrzymanych na cele misyjne powinni zakonnicy zdać dokładną sprawę biskupowi, ile pieniędzy i na jakie cele użyli, jak to czynią misyonarze kleru świeckiego.

Co do rozporządzenia czyli dyspozycyi osób zakonnych, tudzież co do wewnętrznego zarządu prowincyj lub domow zakonnych zostawia ta konstytucya dawną zupełną swobodę przełożonym zakonnym.

Przejdźmy teraz do szkół i zakładów naukowych. W Ameryce istnieją: 1-o publiczne szkoły elementarne czyli ludowe; 2-o publiczne szkoły wyższe odpowiadające naszym gimnazyom, w których jednak łacina i greka słabo wykładana, za to nauki przyrodnicze staranniej uprawiane; 3-o publiczne szkoły handlowe realne o 5 lub 6 klasach; 4-o publiczne szkoły normalne nasze seminarya nauczycielskie; 5-o uniwersytety, o których powiemy niżej. Wszystkie te publiczne naukowe instytucye są bezwyznaniowe; nauczają w nich nauczyciele i nauczycielki a uczęszczają do nich chłopcy i dziewczęta razem. Staremu społeczeństwu Europy pomieścić się w głowie nie może, jak w szkołach wyższych, tembardziej na uniwersytetach, gdzie młodzież podrosła i dorosła, w jednej klasie na jednej ławie siedzieć mogą obok chłopców panienki, jak nauczycielki potrafią sobie dać radę z chłopcami od 14—24 lat wieku; w Ameryce ta wspólność i to koleżeństwo nie razi wcale, owszem, urządzają się prywatne pensye dla obojej płci razem, a rektorowie pensyonatu dowodzą w uczonych broszurkach, że towarzystwo mieszane od lat najmłodszych bardzo dobrze oddziaływa na towarzyskość i moralność obojej strony. Publiczne te zakłady, zwłaszcza ludowe szkoły, są przymusowemi o tyle, że wszyscy mieszkańcy bez różnicy wyznań płacić muszą podatek szkolny, którego wysokość, oraz skale taksy szkolnej, oznacza rząd centralny w Wasingthonie dla wszystkich Stanów czyli kantonów; nie ma jednak przymusu na to, aby każdy

swe dzieci posyłał po naukę do szkół publicznych. Owszem, istnieje w Ameryce najzupełniejsza wolność nauczania, a nawet szkoły publiczne z wyjątkiem onego podatku i taksy przez centralny rząd oznaczonej, są instytucyą autonomiczną. Każdy bowiem Stan ma swoją Radę szkolną, ta układa plan nauk, wyznacza komisyę egzaminacyjną dla nauczycieli, mianuje takowych i najwyższą jest ich władzą, zatwierdza książki szkolne, eryguje nowe lub zwija nieprzydatne szkoły, słowem, całe gospodarstwo szkolne zostaje w jej ręku. Obok bezwyznaniowych szkół publicznych istnieją przeróżne szkoły i pensyony prywatne.

Katolicy korzystają z tej swobody nauczania i otworzyli tysiące szkół niższych i wyższych wyznaniowych.

Szkoły ludowe wyznaniowe dla braku nauczycieli zostają przeważnie pod dyrekcyą Sióstr zakonnych różnej reguły, a uczęszczają do nich razem chłopcy i dziewczęta, chociaż istnieją już po miastach szkoły osobno dla chłopców, osobno dla dziewcząt i dążność jest ogólna, aby od 12 roku młodzież szkolną nauczać nie razem, ale oddzielnie. Brak męskich nauczycieli tem się tłumaczy, że uposażenie ich jest stosunkowo za szczuple i każdy młody człowiek w przemysłowej Ameryce znajdzie sobie zyskowniejsze zajęcie gdzieindziej. Za to gorliwość Sióstr zakonnych w nauczaniu jest zadziwiającą; z ogólnej cyfry 2,523 szkół parafialnych z 481,834 dziećmi i 294 ochron i domów sierot, trzy piąte zostaje pod ich kierunkiem i opieką. Polskie PP. Felicyanki otwarły także kilkanaście szkółek, a PP. Nazaretanki polskie w liczbie 12 wyprawiły się świeżo do Chicago, gdzie trzy instytuta odrazu otworzyć zamierzają.

Szkoły wyższe wyznaniowe są wszystkie oddzielne dla chłopców, oddzielne dla panienek. W szkołach wyższych męskich nauczają przeważnie księża i zakonnicy; tak n. p. Jezuici mają szkoły wyższe w Nowym Jorku, w Georgetown, Washington, Baltimore, Boston, Jersey-City, St. Louis, Chicago, St. Mary's, Detroit, Omaha, Cincinnati i w Milwaukee; konwikty wyższe w Nowym Jorku, Worcester i w St. Mary's; razem 16 szkół wyższych, nie licząc w to kilkanaście szkółek parafialnych. Biskupi starają się ile możności przy pomocy dobrowolnych ofiar swych dyecezan zakładać w swoich stolicach szkoły wyższe wyznaniowe, jak znów Siostry

Serca Jezusowego i kilkanaście innych zgromadzeń żeńskich otwarło kilkaset pensyonatów wyższych dla panien. Wszystkich wyższych szkół katolickich w Stanach Zjednoczonych z końcem r. 1883 naliczono 87 męskich, 599 żeńskich; cyfra ta pomnaża się z każdym rokiem[1].

Co do uniwersytetów, to te nie zakładają się z funduszów państwa, ale z prywatnych fundacyj i zapisów. Rządzi nimi rektor i rada, coś nakształt senatu akademickiego; na czele każdego fakultetu stoi profesor superintendent (nasz dziekan), nauczają profesorowie, assystenci i assystentki, bo w Ameryce stopnie katedry i sale uniwersyteckie są przystępne i dla niewiast. Profesorskie egzamina składają się przed osobną komisyą; przystąpić do nich może każdy, kto czuje się na siłach, bez względu na to, gdzie i jakie przygotowawcze studya odbywał. To samo można powiedzieć o nauczycielach i nauczycielkach szkół wyższych i elementarnych. Tym sposobem brama do profesury szkolnej otwarta na oścież, bez tych formalności, które w „starym świecie“ wielu najzdolniejszym ludziom wstęp na katedrę szkolną utrudniają, albo wprost czynią niemożebną.

„Katolicy dotąd nie mieli swego uniwersytetu, dopiero na przeszłorocznym Synodzie baltimorskim uchwalono takowy założyć w Washingtonie, najprzód z fakultetem teologicznym tylko, potem kolejno utworzone zostaną inne fakultety. Dzięki prawdziwie królewskiej hojności zamożnej a pobożnej pani Mary Cadwell, która na ten cel ofiarowała 300.000 dolarów (650.000 złr.) i dzięki ofiarności amerykańskich katolików, którzy drogą składek wnieśli już

---

[1] Pouczające jest niekiedy zestawienie cyfer — mówią one wiele. Ludność katolicka Stanów Ameryki obliczona na 6.624,000. Tyleż ludności katolickiej liczy nasza Galicya. Tam 13 archidyecezyj, 57 dyecezyj, blisko 7,000 księży, 22 seminaryów duchownych — u nas dwie archidyecezye, pięć dyecezyj, (polskie i ruskie) zaledwo 4,000 księży, (pol. i rusk.) 4 seminarya. Tam 87 gimnazyów męskich, 599 pensyonatów i szkół żeńskich — u nas szkół średnich męskich i żeńskich nie ma nawet 50. My mamy za sobą cywilizacyę chrześcijańską 800 lat, Stany zjednoczone zaledwo lat 100. Czemu przypisać tę uderzającą dysproporcyę? Różne mogą być tego powody ekonomicznej i społecznej cechy, ale jednym bezwątpienia najgłówniejszym jest ten, że tam najzupełniejsza wolność religijna, i wolność nauczania — u nas Kościół pod krępującą każdy ruch jego opieką państwa, szkoła monopolem państwa. *(Przyp. Red.)*

przeszło 200.000 dol. (430.000 złr.), uniwersytet zostanie otwarty już w jesieni przyszłego roku. Z wszystkich dyecezyj bardziej uzdolniona młodzież duchowna znajdzie tu odpowiednie wykształcenie, a świecka katolicka młodzież nie będzie potrzebowała udawać się po naukę do bezwyznaniowych uczelni amerykańskich, naukowe życie katolickie będzie miało własne swe ognisko.

„Nędza polska“ w Ameryce w różnych Stanach i stronach różne przechodzi koleje. Nie znając języka, nie posiadając tyle przemysłowego zmysłu jak Niemcy, Anglicy i Amerykanie, spełniać muszą biedni Polacy najcięższe roboty fabryczne, pracując w traczach, przy karczowaniu lasów, rznięciu rowów i t. p.; zamożniejsi z nich bywają nielitościwie wyzyskiwani przez bezsumiennych ajentów fabryk, mała tylko część dorobiła się nowej ojcowizny; znalazło się i takich wiele, którzy w skutek własnej, łatwej zresztą do wytłumaczenia, nieporadności, w ostatnią popadają nędzę. Ogólne zdanie o naszych wychodźcach, które także z ust jednego biskupa, mającego kilkanaście tysięcy Polaków w swej dyecezyi, słyszałem, jest dla nich pochlebne; są pracowici, trzeźwi i bardzo pobożni, byle tylko przykładnych księży znaleźli, którzyby się nimi szczerze zajęli. Byłoby to prawdziwie apostolskie poświęcenie, gdyby z dyecezyj galicyjskich, w których księży jest wielki dostatek, kilku młodych a pełnych ducha bożego kapłanów, na poratowanie „nędzy polskiej“ w Ameryce pospieszyło, zanim seminaryum polskie w Detroit gwałtownej potrzebie zaradzi. Zwyczajnie przybywają tu ex-zakonnicy albo księża, którzy bądź to z własnej winy, bądź to w skutek politycznych wypadków w swojej dyecezyi są niemożebni; takich, którzyby jedynie dla idei apostołowania tu przybyli, nie wiem czy oprócz kilku Jezuitów z prowincyi galicyjskiej, znajdzie się choćby dwóch tylko.

Na zakończenie dodam, że nietylko polskiej i wszelkiej innej narodowości wychodźcy używają tu w całej pełni swobód wolnych obywateli Ameryki, ale cieszą się niemi upośledzeni przez tyle wieków, do niedawna niewolnicy Negrzy. Są oni wszyscy chrześcijanami, przeważna ich część zalicza się do sekty Baptystów, nieuznających ważności chrztu niemowląt, wielu wśród nich napotkasz gorliwych katolików. Różnica wyznań pochodzi ztąd, że za czasów niewoli Negrzy przyjmowali religię swoich panów. Pomimo zupełnej

wolności politycznej, Negrzy mają po wielu miejscach osobne kościoły i szkoły, bądźto dlatego, że czując swoją niższość cywilizacyjną, niechętnie mięszają się z białymi, bądź też, że ci ostatni dla ostrego zapachu potu Negrów wolą ich trzymać nieco w oddali od siebie. Noszą się oni zresztą, nawet najubożsi, po europejsku, zatrudniają się przeważnie zarobkiem ręcznym i rolnictwem, niektórzy przemysłem i handlem i dochodzą do znacznej fortuny; mały dotąd procent tej ludności poświęca się naukom, bywają nawet kapłani z nacyi Negrów.

R.

Z Prus Zachodnich.

Wzrost ludności katolickiej. — Zabiegi protestantów, by temu przeszkodzić. — Okólnik Massenbacha. — Zamachy protestantów na szkoły i kościoły. — Banicya Polaków zagranicznych. — Stowarzyszenia pobożne, ich działalność kolekty.

Pierwotnym zamiarem moim było dać przegląd ruchu literackiego w naszej prowincyi, a przedewszystkiem zwrócić uwagę na jeden uderzający fakt. Podczas gdy wszystkie dzielnice kresowe dawnej Polski mają swych przedstawicieli w literaturze, a niektóre jak Ukraina i Litwa wydały nawet pierwszorzędnych poetów, nasza ziemia nie ma żadnego poety, ani znaczniejszego pisarza, choć ją wcześniej ludność polska zapełniła niż Litwę. Co dziwniejsza, przeszłość jej nie natchnęła żadnego z pisarzy polskich, żaden utwór literacki nie pojawił się osnuty na tle jej dziejów. Wartoby zastanowić się nad przyczyną tego zjawiska, ale ponieważ nazbierało się dużo zdarzeń bieżących, z których chciałem przesłać sprawozdanie, zostawiam ruch nasz piśmienniczy do czasów późniejszych, a przechodzę wprost do protestantyzowania Prus Zachodnich, które rząd pruski dziś już widocznie postanowił i przeprowadzić usiłuje.

Od niedawnego czasu poznać było można pewien niezwykły ruch wyższych władz kościoła protestanckiego w naszej dzielnicy, superintendenci zwykli jak i generalni, częstsze, niż przedtem, odbywali wizytacye kościelne i badali stosunki szkolne. Przyczyną tego

ruchu miał być fakt, że ludność katolicka prowincyi daleko szybciej wzrasta, niż protestancka i obecnie o 11.000 dusz ją przewyższa. W roku 1817 była ludność protestancka o 31.463 liczniejsza od katolickiej, w roku 1826 było więcej protestantów, już tylko 19.165, podniosła się przewyżka ich w roku 1864 do 25.553, ale od roku 1880 katolicy stanowczą wzięli przewagę. W niektórych miejscowościach zmiana ta bardzo okazała się widoczną. I tak gdzie dawniej np. nie było w szkole prawie żadnego dziecka katolickiego, dziś jest ich przeważna liczba. Proces ten odbył się wbrew nasyłaniu do nas protestanckich urzędników z Niemiec, mimo wszelkiego faworyzowania protestantów i przy wychodźctwie ludności polskiej do Ameryki. Zaniepokojone tym wzrostem katolików władze pruskie rozporządziły cały szereg środków, które wyliczę następnie, a które, jak z góry powiedzieć można, mimo swej drakońskiej ostrości, skutku zamierzonego mieć nie będą, bo większe pomnażanie się ludności polskiej polega na jej moralności, a temu żadna siła przeszkodzić nie zdoła.

Pastorzy protestanccy w pierwszym rzędzie przypisali wzrost katolików propagandzie duchowieństwa katolickiego. To, jak twierdzą, nawraca dużo protestantów i skłania małżeństwa mięszane do wychowywania dzieci po katolicku. Wprawdzie duchowieństwo katolickie daje tylko tym małżeństwom mieszanym śluby, które przyrzekną wychowywać dzieci po katolicku, bardzo wiele jednak z tych małżeństw nie dotrzymuje obietnicy, zwłaszcza gdy mąż jest protestantem, a do tego urzędnikiem. Widać tu wszechpotężny wpływ państwa protestanckiego. Zresztą nietylko państwo, lecz i socyalne stosunki naszej prowincyi, w której protestanci mają przewagę materyalną i zajmują wszystkie posady wpływowe, oddziaływają niekorzystnie na rozwój katolicyzmu, bo protestant jeżeli przejdzie na katolicyzm, czyni to tylko z przekonania i z uszczerbkiem materyalnym, podczas gdy niejeden słaby katolik dla karyery poświęca swoją wiarę. Przypuściwszy jednakże, że mimo tych przeszkód więcej konwertuje protestantów, niż katolików, czyż ten sam fakt i żądania pastorów, żeby państwo przemocą materyalną przechodzeniu na katolicyzm zapobiegło, nie świadczy wymownie o żywotności katolicyzmu z jednej, a niemocy protestantyzmu z drugiej strony? Pastorzy żądający poparcia siły materyalnej dowodzą najdobitniej,

że protestantyzm za pomocą samych środków kościelnych nie jest w stanie się utrzymać.

Pod datą 24 kwietnia r. b. wysłał Massenbach, prezes rejencyi kwidzyńskiej okólnik do pastorów protestanckich, w którym żąda wyjaśnień, ile ewangielickich dzieci przeszło na katolicyzm, dalej ile ewangelików (mężczyzn i kobiet) żyjących w małżeństwach mieszanych zostało katolikami, ile wreszcie dzieci z małżeństw mieszanych przeszło na łono Kościoła katolickiego. Statystyka ta ma sięgnąć aż po rok 1880, a więc od czasu, w którym katolicy wzięli liczebną przewagę nad protestantami, chociaż, jak powyżej przytoczone liczby wykazują, wzrost katolików nie był raptowny, lecz już od pół wieku postępował nieprzerwanie. Charakterystycznem w tem okólniku jest żądanie, aby wymieniono dokładnie stanowisko, jakie ojciec dzieci nawróconych zajmuje. Cel tego jedyny, by wywrzeć nań presyę rządową, jeśliby był urzędnikiem. Jakież zresztą są zamiary dalsze w tej mierze rządu, czy może chce wydać jakie rozporządzenia ograniczające małżeństwa mieszane? Ależ toby trafiło właśnie w myśl Kościoła katolickiego, który spowodowany okolicznościami tylko toleruje takie małżeństwa, ale nigdy ich nie pochwalał, są one bowiem prawie zawsze źródłem indyferentyzmu religijnego.

Na polu wychowania publicznego protestantyzowanie szkół odbywa się oddawna i coraz gorliwiej. Z wyższych zakładów pozostały ledwo cztery gimnazya katolickie z dawniejszych czasów, katolickiego gimnazyum realnego niema ani jednego; podczas gdy protestanckich szkół wyższych mamy dwanaście, pięć zaś jest symultannych, tj. dyrektorzy są protestantami, a kilku z nauczycieli katolikami. Dotąd było zasadą, że przynajmniej szkoły elementarne powinny być wyznaniowe. Od tej zasady zaczęto już w bardzo wielu przypadkach tam odstępować, gdzie patron szkoły jest protestantem, chociaż dzieci szkolne w przeważnej, a czasem wyłącznej liczbie są katolickie. Za tym przykładem poszły gminy miejskie, w których reprezentacyi była większość akatolicka i powoływały protestanckich nauczycieli dla dzieci katolickich. Tę praktykę tłumaczono tem, że gdzie na utrzymanie nauczycieli więcej podatku składają protestanci, tam też mają prawo powołać nauczyciela swego wyznania. Jestto, jak słusznie zauważyły pisma katolickie, wskrzeszenie owej zasady protestanckiej

z 30-letniej wojny w Niemczech: *cuius regio, illius religio,* tylko w brutalniejszej jeszcze formie: *cuius pecunia, illius religio.*

Nawet w dziedzinie wyłącznie kościelnej rząd stawia katolikom zapory. Ostateczną decyzyę przy budowaniu kościołów i tworzeniu nowych parafij rząd zastrzegł sobie rozporządzeniem z roku 1874. W dyecezyi chełmińskiej zaszedł też już przypadek, że chociaż władza biskupia wszystko przygotowała do utworzenia nowej parafii w Biskupcu nad Osą, dotąd rząd nie udzielił swego pozwolenia. Czy znanemu protestanckiemu stowarzyszeniu Gustawa Adolfa równe stawiają przeszkody — nigdy nie słyszeliśmy; przeciwnie, władze rządowe popierają nawet erekcye nowych parafij protestanckich. Że przy zakładaniu klasztorów Sióstr Miłosierdzia, które zajmują się jedynie pielęgnowaniem chorych, rząd równe stawia trudności, dodawać zbyteczna.

Wszystkie te środki mające sprotestantyzowanie Prus zachodnich na celu ukoronował najnowszy nakaz ministerstwa pruskiego, aby wszystkich poddanych rosyjskich polskiej narodowości osiadłych w prowincyi, wydalić za granicę. Rozkaz ten dotknął przeważnie robotników. Jedni z nich przybyli tu, by się uchylić przed służbą wojskową, inni, a to przeważnie, osiedli tu oddawna dla większego zarobku i to z wiedzą władz pruskich, a zachowaniem swem nie dali żadnego powodu do wydalenia. Liczbę ich podają rozmaicie, ale będzie około 10.000. Gwałtowny ten środek przeciw ludności katolickiej, przypominający czasy starożytne, gdzie nie było ani humanitarnych praw międzynarodowych, ani chrześcijaństwa mającego połączyć wszystkie narody węzłem miłości bliźniego, wyszedł podobno z osobistej inicyatywy księcia Bismarka. W przeprowadzeniu jego nastała obecnie przerwa, spowodowana głównie petycyami nadgranicznych obywateli niemieckich, którym w obec nadchodzących żniw dla braku robotników groziła formalna ruina. Nie cofnięto go jednak i jest obawa, że na zimę wykona się z wszelką bezwzględnością. Ale te kilka tysięcy nie zmienią na dłuższy czas stosunku ludności polskiej w prowincyi, nie osłabią katolicyzmu, którego żywotność nigdy i nigdzie nie polegała na liczebnej przewadze.

Przedstawiwszy te smutne stosunki zwracam się do weselszego obrazu, jaki przedstawia życie kościelne w dyecezyi. Będzie to dalszą illustracyą do wypowiedzianego powyżej zdania o wielkiej żywo-

tności katolicyzmu w prowincyi. Chcę dać pogląd na stowarzyszenia z religijnym charakterem i zestawić składki, jakie złożyła dyecezya chełmińska dla tych towarzystw w ubiegłym roku.

Ludność katolicka dyecezyi wynosi według statystyki kościelnej z roku przeszłego 611.426 dusz. W 252 parafiach księży jest 375, z tych w duszpasterstwie czynnych 315. Około 80.000 katolików prowincyi, należy do dyecezyi warmińskiej i gnieźnieńskiej.

Najdawniejszem w dyecezyi jest stowarzyszenie św. Wojciecha i Bonifacego. Celem jego, utrzymanie kościołów i szkół misyjnych w okolicach przez protestantów zamieszkałych. Dochody tego towarzystwa wynosiły w upłynionym roku 14.232 marek. Za te pieniądze utrzymywano 8 księży w Dyasporze i kilka szkół katolickich. Podobnem do stowarzyszenia powyższego jest stowarzyszenie św. Jozafata. Nie wspiera ono misyj wewnętrznych, lecz wschodnią w Adryanopolu w Bułgaryi. Dzieli się na tak zwane Korony Piusowe, każda liczy najmniej 25 członków; nazwę wzięto na uczczenie 25-letniego panowania papieża Piusa IX. W roku 1884 wpłynęło do kasy towarzystwa 4.584 marek, od czasu zaś 13-letniego istnienia swego przesłało ono 56.854 mar. na misyę bułgarską. Aby zapobiedz brakowi księży, który jest koniecznem następstwem kulturkampfu, zawiązało się przed dwoma laty towarzystwo pod wezwaniem św. Józefa. Zadaniem jego wspierać ubogich gimnazyastów, zamierzających poświęcić się stanowi duchownemu. Na ten cel złożono w przeszłym roku 1.089 marek.

Oprócz tych towarzystw całej prowincyi wspólnych, znajduje się w pojedynczych miastach piętnaście tak zwanych konferencyj św. Wincentego à Paulo, wspierających ubogich i chorych miejscowych. Te zebrały przeszło 12.000 marek. Zliczywszy wszystkie te sumy, otrzymamy około 32.000 mar. z dyecezyi na cele religijne.

Do nich dołączały się w latach poprzednich kolekty zbierane na pokrycie ubytku spowodowanego tak zwaną ustawą obronną. Rząd pruski, jak wiadomo, systował na mocy prawa z roku 1875, wypłaty dla dyecezyi z kas rządowych i podjął je napowrót dopiero w październiku 1883 r. W tym czasie nie wypłacił rząd blisko miliona marek, a dyecezya złożyła w to miejsce blisko 200.000 m., czyli rocznie 25.000 m. O innych składkach, jak o świętopietrzu, na utrzymanie grobu św. i t. p., dyecezya również nie zapomniała.

Będąc już przy statystyce, podaję cyfry dochodowe dwu towarzystw, wprawdzie nie charakteru religijnego, chociaż jedno z nich wspiera pomiędzy innymi i słuchaczy teologii. Są to towarzystwa pomocy naukowej dla młodzieży męskiej i dla dziewcząt. Dochody swe zawdzięczają prawie wyłącznie katolickiej ludności dyecezyi chełmińskiej. Pierwsze z nich miało wraz z legatami dochodu 5.900 m., drugie 2.500. Tak więc 611.426 dusz dyecezyi złożyło w roku 1884 na publiczne cele kościelne i filantropijne 40.400 marek.

J. K.

Z Diakowy.

Stosunki religijno-polityczne w Horwacyi.

Z wiadomości podawanych przez różne dzienniki wasze o niedawnych zajściach w Horwacyi, jedne zbyt były pobieżne, inne tendencyjne, ztąd nie mogły czytelników obznajomić z rzeczywistością, a ponieważ te rzeczy obchodzą świat katolicki, nie podobna mi je pominąć milczeniem.

Nie chcę wyliczać wszystkich faktów wrogich Kościołowi, przeciwko którym założył niejednokrotnie protest kler katolicki w gazetach: *Pozor, Katolički List, Sriemski Hrvat, Katolička Dalmacija, Narodni List* itd., nawiasowo tylko wspomnę o niektórych. Przed rokiem rząd liberalny otworzył zbór protestancki w Zagrzebiu, pomimo oporu katolickiej ludności, która wielokrotnie zamanifestowała czynnie swą niechęć. Trzeba bowiem wiedzieć, że w całej Horwacyi pierwszy to wypadek, Horwaci na wskróś katolicy nigdy nie pozwalali protestantom osiedlać się na swej ziemi. Znaną jest rzeczą dzielne wystąpienie niegdyś starego naszego bana, gdy niektórzy skłonni do odstępstw, domagali się od bana pozwolenia na wstęp protestantom do Horwacyi, sędziwy starzec dobył miecza i zawołał z zapałem: „Póki mi tchu i życia starczy, nie stanie tu noga żadnego protestanta“. Ostatnimi jeszcze czasy energiczną również dawały odpowiedź horwackie magistraty na podobne zachęcenia protestantów: „Przyjdźcie tylko, Drawa nasza dość jest głęboka“. A oto, wśród tej na wskróś katolickiej Horwacyi, stanął zbór protestancki, i to dla 10 sprowadzonych z obczyzny urzędników!

Nasze stronnictwo rządowe jest zupełnie liberalne, z jednej strony wyszydziło zacnego hrabiego Kosta Vojnovića i jego towarzyszy, tak zwaną Strossmajerowską partyę, za to, że występowali w obronie katolicyzmu i potępiali przeniesienie na dzień niedzielny posiedzeń sejmowych, a z drugiej strony potępiali postępowanie kleryków w akademii zagrzebskiej za to, że się usunęli zupełnie z wykładów świeckiego profesora Dra Izydora Kršnjavi, dlatego, że się wdał w pojedynek pod klątwą przez Kościół wzbroniony. Przystępuję teraz do opowiedzenia wam ostatniego zdarzenia.

Dzienniki liberalne: *Neue Freie Presse, Pester Lloyd* i inne węgierskie gazety, nawet uważany za organ katolicki *Magyar Állam* nie podały o tym wypadku dokładnych wiadomości; wszystkie prawie zarzucały biskupowi Strossmajerowi, że kleryków swoich używa za narzędzie do swoich celów politycznych i przez nich usiłuje wzniecić opór przeciw rządowi, a ztąd nastawano nie na żart, by go usunąć ze stolicy biskupiej, a seminaryum rozwiązać. Tymczasem rzecz się tak miała: W przeszłym roku 18 grudnia wyszli Diakowaccy klerycy rankiem na przechadzkę, jako w dniu wolnym od wykładów. Idąc w stronę Osieka doszli do gmachu powiatowego urzędu (podžupanije), który stoi samotnie na końcu ulicy. Tu ich niespodzianie napadł gwałtowny deszcz. Sześciu kleryków schroniło się do tego gmachu i stojąc na obszernym krużganku czekało ustania nawałnicy. Około 9-tej nadszedł naczelnik powiatu (upravitelj podžupanije) p. Cuvaj. Klerycy zwrócili się twarzą do podwórza i udawali, że nie spostrzegają jego przybycia. Oburzyło to p. Cuvaja, to też mijając dwu ostatnich zdjął kapelusz i przemówił ostrym tonem: „dobro jutro“; na co klerycy odwzajemnili się równem pozdrowieniem. Po chwili zjawia się sługa policyjny Ruskowski i oznajmia klerykom, by się stamtąd wydalili. Trzech usłuchało tego natychmiast, reszta pozostała. Niebawem wychodzi ponownie tenże sługa i odzywa się do nich: „Panowie odejdźcie, bo inaczej Upravitelj może was zaaresztować“. „Jakto, pytają klerycy, może nas aresztować bez powodu? Czy nie widzisz Pan, że deszcz pada?“ Mimo to zabrali się do odejścia, kiedy ponowny deszcz zawrócił ich z drogi. Ledwo weszli na korytarz, otwierają się drzwi; wychodzi tenże sługa i słyszą głos komisarza groźny: „Wypędź ich, albo każę ich zamknąć do aresztu!“ Groźba nie skutkowała, klerycy po-

zostali. Po chwili przychodzi inny sługa z wezwaniem, by się udali za nim do kancelaryi. Kleryk Fišer odpowiada spokojnie, że nie mając ani wezwania, ani powodu, iść nie myśli. A kiedy woźny odchodził z tą odpowiedzią, zawołał za nim jeden z kleryków: „Wiemy, wiemy, czemu nas stąd wypędzacie, to p. Upravitelj gniewa „się, żeśmy się mu nie ukłonili, ale on tego nie godzien!“ I to mówiąc odeszli. Teraz dopiero rozwinął p. Cuvaj całą swą energię. Podniosły głos oburzenia wszystkie semickie, madziarskie, słowem wszystkie Horwatom nieprzyjazne dzienniki, kommentując, nicując, przekręcając ten postępek Diakowackich kleryków. Posypały się kłamliwe wieści, że wszyscy klerycy z Diakowy, a jest ich 50, podniecają włościan do buntu przeciw władzy, że wdarli się siłą do gmachu rządowego, zbezcześcili urzędników i tym podobne baśnie. *Pester Lloyd* i *Neue Freie Presse* oświadczyły, że wszystkie te wiadomości pochodzą z autentycznego źródła, mianowicie wprost z Zagrzebia. Kto je ztamtąd nadsyłał nie trudno się domyśleć, kto wie, zkąd pochodziły informacye o przeszłorocznych wyborach stamtąd nadsyłane. Zresztą przebieg sprawy wskazywał ich autora. Dnia 5 stycznia bieżącego roku otrzymał zawezwanie kleryk Fišer, by się stawił przed urzędem policyjnym. Trzykroć zawezwany nie stawił się na mocy konkordatu, który jest prawomocnym w Slawonii, aż wreszcie musiał uledz przemocy. Nie pomógł zbiorowy protest kleru z biskupem swym na czele. Przy przesłuchaniu obstawał p. Cuvaj, że klerycy będąc na korytarzu buntowali włościan, czemu przeczył Fišer, powołując na świadków swych kolegów. Wreszcie kazał zawołać Ruskowskiego i spytał go. „Tam nie było nikogo prócz kleryków!“ odpowiedział tenże. P. Cuvaj, pragnąc koniecznie wywrzeć swą zemstę na kleryku, a nie znajdując sposobu, przytoczył one słowa: „nie będziem mu się kłaniać, bo tego nie godzien“. Na podstawie tedy zeznania Ruskowskiego, że je wyrzekł Fišer, mimo że ten przeczył i udowadniał, że nie on, ale inny z nich je wyrzekł, skazany został na 12 złr. kary. Przeciw temu wyrokowi nie apelował Fišer, nie chcąc w ten sposób ubocznie nawet uznać kompetencyi policyjnego sądu. A zwierzchność duchowna w Djakowie wspierając się na konkordacie do dziś dnia poczytuje za nieprawe to zasądzenie Fišera.

I oto jest cała zbrodnia kleru, okrzyczana tak w Budapeszcie przez liberałów. „Parturiunt montes nascitur ridiculus mus“. Powodem tej wrzawy dziennikarskiej, to gniew przeciw biskupowi i całemu klerowi, że się tak stanowczo oświadczyli za konkordatem. Chcieli strącić biskupa z jego stolicy i przeszkodzić ułożonej pielgrzymce do Welehradu. Ale szyki im się pomieszały, a biskupowi kler całej Horwacyi winszował, że tak szczęśliwie się ta sprawa zakończyła. Ale o tem zamilczały liberalne dzienniki. „Dobro je što koza ima kratak rep“, jak mówi nasze przysłowie.

P.

Druk ukończony dnia 25 lipca 1885.

EMIGRACYA NASZYCH WŁOŚCIAN.

Bywają epoki w dziejach ludzkości, które wyraźniej i dosłowniej zdają się stwierdzać określenie doczesnego życia mianem wędrówki i pielgrzymowania. Jakaś niestałość przejawia się w stosunkach, gorączka ruchu ogarnia całe pokolenia; zamiast się wkorzeniać w zagon własną użyźniony pracą, człowiek wraca do koczowniczych poniekąd obyczajów. A że w historyi niema nic nowego, że jedne i też same objawy wiecznie się powtarzają w potoku wypadków, zauważyć można peryodyczne wznawianie się jednych i tych samych prądów i symptomatów. Nie będzie to paradoksem, jeśli ośmielimy się twierdzić, iż podobny paroksyzm ruchu, gorączkowa potrzeba zmiany miejsca i stosunków wraca dość regularnie co pięć wieków. I tak przypatrzmy się tylko blisko już dwudziestowiekowej erze chrześcijańskiej: w V. stuleciu gminoruchy zmieniają postać świata; zaledwie się społeczność chrześcijańska miała czas ustalić i rozwinąć, w XI. wieku krucyaty ponownie poruszają ludzką falę, w przeciwnym tylko i jakoby zwrotnym kierunku. I znów mija kilkaset lat, względnie spokojnych, aż w końcu XV. wieku dalekie wyprawy wielkich żeglarzy nowe dają hasło, zamorskim tym razem, wędrówkom. W ślady Kolumba, Pizarra, Korteza, wyludniają się południowe kraje, aby w świeżo odkrytej Ameryce zakładać kwitnące osady i kolonie. Miarkuje się nareszcie żądza złota; świetne opisy zaczarowanego państwa Kathay lub wyspy Cipango, którymi Marco Polo odurzył spółczesnych, urzeczywistniają się dla jednych, rozwiewają dla drugich; uspakaja się prąd wędrowczy, aby na schyłku XIX. wieku ze zdwojoną ponowić się siłą. Ułatwione środki komunikacyi, do niebywałych rozmiarów podnoszą ową gorączkę ru-

chu, potęgują jakąś tajemniczą chęć przesiedlania się i przenoszenia. Wsławione średniowieczne gminoruchy były igraszką dziecinną w porównaniu z tem, co się przed oczyma naszemi rozwija i dzieje. Tu już nie krocie Gotów lub Hunnów ciasną przebiegają Europę, ale olbrzymie, milionowe masy ludzkie płyną wolnym biegiem naokoło świata. Dwa prądy przeciwne z dwóch stron zmierzają ku fatalnemu spotkaniu się oko w oko i prawdopodobnemu starciu, które o torach ludzkości rozstrzygnie. Będzie to dramat XX. wieku, jak słusznie zapowiada baron Hübner w głośnym odczycie, który tak ogólne obudził zajęcie podczas ubiegłej zimy. Szczep biały od Wschodu ku Zachodowi spieszy, pędzony dwojakim głodem, głodem chleba i głodem wrażeń; a tymczasem z przeciwnej strony plemię żółte, semickie, zalewa Chińczykami międzynarodowe dotychczas szlaki zarobku i pracy. Wytrwałością, zręcznością, wstrzemięźliwością, niższy intellektualnie Chińczyk wszędzie powoli wypiera rasę kaukaską, ogarnia handel, przemysł, rolnictwo, a taniością robotnika wytwarza zabójczą konkurencyę dla europejskiego napływu. Zagadką przyszłości nieuniknione spotkanie się tych obu prądów i plemion: białego i żółtego. Czy spokojnie obok siebie popłyną, wytworzywszy sobie odmienne koryta? Czy też walką o pierwszeństwo niewidziane światu zgotują przewroty? To XX. wiek rozstrzygnie; dziś, jak dodaje baron Hübner, kortyna jeszcze nie podniesiona, pobrzmiewają tylko grzmiące akordy przedwstępnej uwertury.

A że te dźwięki i u nas się odzywają, te gorączkowe tętna i wśród nas pochwycić się dadzą, warto im się przypatrzeć i nad niemi się zastanowić. Wszakże i między nami sprawdzają się więcej niż kiedykolwiek słowa Piotra św. mianujące członków swej trzody gośćmi i przechodniami na ziemi, *tanquam advenas et peregrinos*. Najwymowniejszym bodaj dowodem, jak dalece gorączka emigracyjna zapanowała w Europie, jest fakt, że nawet polski włościanin nią się zaraził. Niedawne to czasy, gdy niepodobna było naszego chłopa z parafii do parafii wyciągnąć; świat jego kończył się z granicą wioski rodzinnej, co najwięcej na jarmark lub odpust do najbliższego podążał miasteczka, o dalszej wędrówce nie chciał słyszeć, i nic go do przesiedlenia się zniewolić nie mogło. Aż tu jedno dziesięciolecie starczyło, aby te odwieczne stosunki, zwyczaje, usposobienia przekształcić i przetworzyć do niepoznania. Wieśniak niezna-

jący dotychczas tego, co się po za sinem pasmem najbliższego działo lasu, dziś nie waha się dalekie podejmować wyprawy, puszczać się za morze, szukać zarobku odległego, choćby kosztem rozłączenia z najbliższymi i długiej na obczyźnie tułaczki.

Co ową sprowadziło zmianę? co wywołało i w Polsce ruch tak naturze polskiego kmiotka obcy, a dotychczasowemu jego usposobieniu przeciwny? czy jest na to rada? czy godzi się stawiać zapory? oto pytania, które dały pochop do niniejszej pracy. Konkluzye ostateczne zostawimy czytelnikowi, ograniczając się raczej na objektywnem przedstawieniu faktów, przytoczeniu listów i świadectw wiarogodnych. Emigracya ku zamorskim krajom nie pojawiła się dotąd w niezbyt zaludnionych prowincyach dawnej Rzpltej, które dziś pod rządem rosyjskim zostają. W Galicyi ruch wychodźczy zaledwie się rozpoczyna, i to stosunkowo na niewielką skalę. Pozostaje więc Poznańskie i Prusy Zachodnie, gdzie emigracya już niemałe wyrwała szczerby z szeregów walczących o zachowanie ziemi i żywiołu narodowego. Wszystkie tedy skupione w niniejszej rozprawie odgłosy, zaczerpnięte są z dzielnicy podlegającej pruskiemu rządowi. W zebraniu ich dopomagali mi i najzacniejsi kapłani wielkopolscy, dostarczając cennych uwag i spostrzeżeń na doświadczeniu opartych. Redakcya *Wielkopolanina* w najpraktyczniejszy sposób ześrodkowała potrzebne wiadomości, tak, iż z gotowym plonem zasiąść dziś mogę do roboty, zaczynając, jak słusznie przynależy, od podziękowania tym wszystkim, którzy mi tak łaskawej udzielili pomocy i objaśnień.

Nie łatwe to bowiem zadanie pisać o emigracyi ludu, zwłaszcza o wychodźtwie do Ameryki. Z jednej strony rządy, jakoby zawstydzone odbieganiem ubłogosławionych nimi krain, nie sporządzają ścisłych statystyk. Z drugiej strony lud nasz otacza pewną tajemniczością, nietylko własne zakusy emigracyjne, ale i wiadomości z za morza odbierane. Lęka się, aby mu nie przeszkadzano, nie zawierza łatwo pytającym, kryje się z listami, z przesyłkami pieniężnemi jakie odbiera, niechętnie odpowiada i opowiada o powodzeniu lub niepowodzeniu swych zamorskich krewnych i przyjaciół. Dwustronne tedy utrudnienie odejmuje piszącemu o tych sprawach pożądaną ścisłość. Wypada się zadowolnić cyframi dającemi w przybliżeniu obraz wychodźtwa do Ameryki. I tak, nie można wcale obliczyć

liczby emigrantów odpływających z portów hollenderskich i Hawru. Atoli obliczono, iż przez niemieckie porty i Antwerpię od r. 1820 do 1883 r. wyszło z granic Niemiec około sześć milionów emigrantów. Główny atoli prąd wychodźtwa dopiero z rokiem 1872 się zaznacza. Mamy przed sobą tabellę ruchu emigracyjnego między 1872 a 1882 włącznie. Opada on i podnosi się niepojęcie, bez pozornych zewnętrznych przyczyn. I tak, największy procent przypada na lata 1872 i 1881, najmniejszy na rok 1877. Dla państwa niemieckiego nie jest to bynajmniej dotkliwy ubytek, pochłania bowiem zaledwie szóstą część przewyżki narodzin. Liczebnie więc niewielka to strata ani uszczerbek, ale za to wielka ujma i różnica w ogólnym kapitale sił, ponieważ wychodzą przeważnie ludzie młodzi, mężczyźni w sile wieku, z klasy najsposobniejszej do pracy, nie proletaryusze, bo ci nie mieliby za co jechać. I tak w czterech latach, między 1878 a 1882 r. włącznie, wyszło z Niemiec około pół miliona mężczyzn, a niecałe trzykroć sto tysięcy kobiet. Ubytek więc sił znaczny, a i pieniędzy nie mało przez to z kraju wychodzi. Choćby każdy emigrant przeciętnie nie zabrał ze sobą więcej nad 400 marek, pięć milionów wychodźców tym sposobem wywiozło już dwa miliardy. Ale co dla olbrzymich, potężnych, bogatych Niemiec jest obojętnym niemal lub mało znaczącym uszczerbkiem, dla Wielkopolski staje się krzywdą niepowetowaną. Tam Niemiec wchodzi w miejsce opustoszałe przez Niemca, tu nie znajdzie się dość Polaków, ażeby wyrównać stratę w ludziach, w kapitale moralnym siły odpornej przeciw zalewom germanizacyi, w ogólnym materyalnym stanie kraju. Kończąc zaś ten niedostateczny pogląd na ogólne niemieckiego państwa stosunki, dodajmy, iż mimo niepomyślnych dziś z Ameryki wieści, nic nie wstrzymuje dalszego postępu emigracyi. Już w czterech pierwszych miesiącach bieżącego roku wyszło z państwa niemieckiego do zamorskich krajów przez Antwerpię, Hamburg i Bremen blisko 60,000 osób, przeważnie z granic pruskich. Na nasz rachunek przypada nie całe trzy tysiące, w części z Poznańskiego, w części zaś z Prus Zachodnich.

A na początku zaznaczyć nam trzeba, że, moralnie biorąc rzeczy, emigracya do Ameryki mniejszą względnie czyni nam krzywdę, aniżeli tłumne wychodźtwo na robotę do Saksonii, Westfalii i fabryk lub kopalni nadreńskich. Bo przecież bólem bólów narodu duch

zatruty, a ten się istotnie w owem bliższem nas zatruwa wychodźtwie. Idąc do Ameryki, najczęściej całe odpływają rodziny na stałe osiedlenie zakładając tłumne polskie osady, w których się przechowuje wiara ojców i obyczaj dawny. Tutaj tymczasem robotnik corocznie spędza kilka miesięcy w najgorszem otoczeniu, obojętnieje na wszystko co dotąd szanował i kochał, wraca zarażony socyalizmem i niewiarą, aby zgubne szerzyć wyobrażenia wśród wsi, do której należy. Na jaką skalę rozwija się ta doroczna kilkomiesięczna wędrówka, najlepiej dowodzą mnogie pociągi wypełnione polskim robotnikiem, które z wiosną co kilka dni napotkać można na głównych traktach dróg żelaznych. I znów cyfry najwymowniej się odezwać tu mogą: w jednym tylko miesiącu kwietniu b. r. wyjechało z Szlązka do Saksonii na całą buraczaną kampanię, trwającą mniej więcej do połowy października, 1270 dziewcząt! Oczywiście nie wszyscy odrazu zupełnemu w tych krótkotrwałych wycieczkach ulegają zepsuciu. Są, co wracają z nieskażonym skarbem dawnych tradycyj, i z uczciwie zapracowanym groszem. Atoli im częściej się podobne powtarzają wędrówki, tem bardziej zatraca i zaciera się pierwotny charakter kmiecia polskiego, a nawet ekonomicznie same ztąd wypływają niekorzyści. Nasi robotnicy, głównie do pracy rolnej przywykli, w fabrykach i kopalniach tracą zdrowie, tembardziej, iż skąpiąc sobie na jedzeniu, a nie mając własnej kuchni, żyją prawie wyłącznie zimną strawą, wódką i podejrzanemi kielbasami. Dalej, pracując do czasu w tym lub owym zawodzie, pracują nad siły i wyczerpują je w krótkim bardzo czasie. Tymczasem żona i drobna dziatwa zostawione bez utrzymania, na własny przemysł, stają się do pewnego stopnia ciężarem gminy lub dworu, a niedostatek pracy i zarobku wyrównywują najczęściej kradzieżą z potrzeby, z głodu i nędzy; z rozluźnieniem przez peryodyczne rozłączenia węzła rodzinnego następuje stopniowo i demoralizacya, słowem wiele złego po wsiach naszych uważać można za bezpośredni skutek owych letnich wędrówek za robotą i na robotę. Dziś, przy nadzwyczajnem obniżeniu taryfy przewozowej, zwłaszcza na statkach, trafiają się nierzadko przykłady dalekiego nawet wychodźtwa na jedną porę roku, np. na całe lato lub zimę, za powrotną w przeciągu trzech lub sześciu miesięcy kartą. Jedni udają się do połu-

dniowej, drudzy do północnej Ameryki, wracając do domów, jak wracają po żniwach górale z Galicyi lub z Powiśla.

Ale nie o takich przelotnych wycieczkach dziś nam mówić trzeba, bo te nie należą właściwie do działu istotnej emigracyi. Ta oznacza raczej przesiedlanie się, wyrywanie za morze, wyprowadzanie ze stron ojczystych, zaczem o niej wyłącznie odtąd pisać zamierzamy.

Genezę tego ruchu wśród polskiego ludu nietrudno wyprowadzić i określić. Do roku 1870 bywały zaledwie sporadyczne wypadki zamorskiego wychodźtwa. Z tą datą zaczyna się rzeczywista emigracya z Poznańskiego i Prus Zachodnich. Wojna francusko-niemiecka dała pochop tym nowym gminoruchom. Zapędzeni w pruskie szeregi włościanie polscy zwiedzili kawał świata, poznali łatwość komunikacyj niszczących ideę przestrzeni, ale co główna, nauczyli się porównywać los swój z losem cywilizowańszych i bogatszych plemion. Spostrzegli różnicę utrzymania, wynagradzania zagranicznego robotnika, zmierzyli stosunkową niskość płacy dziennej w naszym kraju, a zakosztowawszy lepszej strawy, niechętnie wrócili do kapusty i ziemniaków ojczystych. Wszakże gdzieindziej mięso podstawą wyżywienia klas pracujących, a u nas najrzadszy to w chatach włościańskich przysmaczek, zarobek dzienny 75 fenigów nie dozwala na podobne zbytki. Wracający pod własną strzechę żołnierze, wnosili w nią pewne niezaspokojenie, nowe potrzeby, nowe, wprawdzie czysto materyalne, aspiracye; nie było podobieństwa zadość im uczynić w obecnych warunkach pracy i zarobku, jęli tedy między sobą radzić, przemyśliwać, dowiadywać się, aż nareszcie Ameryka przedstawiła im się jako owa ziemia obiecana, gdzie niezakłóconą pomyślność osiągną.

Czy znaleźli się jacy agenci, aby to nurtujące usposobienie wyzyskać, pochwycić w swoje ręce i niem pokierować? Zdaje się, że nie. Pytałem się na wszystkie strony, i prawie zewsząd otrzymałem jednobrzmiącą odpowiedź, że jedynym bodźcem do zamorskich wypraw, były listy od owych pierwszych wychodźców, którzy już około r. 1860 przenieśli się do Ameryki. Wpływ ten oczywiście rósł i rozszerzał się za każdym wyjazdem nowych emigrantów. Wiadomo, że każda wieś, każda osada połączona jest niezliczonymi węzłami pokrewieństwa i kmoterstwa. Jęły tedy przychodzić z Ameryki sążniste listy, opisujące powodzenie pierwszej seryi emigrantów.

Listy te stanowiły i stanowią dotąd najsilniejszy czynnik w prądzie emigracyjnym. Krewni i przyjaciele z tęsknoty, z przywiązania, gwałtem ciągną pozostałych w kraju kumów, znajomych i powinowatych. Jak list nie pomoże, aby przekonać opornych, przysyłają fotografie, mężczyźni w surdutach i cylindrach, kobiety w długich sukniach i kapeluszach z piórem, co zwykle najsilniejszym bywa argumentem. „Na ten widok, pisze jeden z badaczy tej kwestyi, który mi łaskawie owocu swych doświadczeń udzielił, baby i chłopy zupełnie tu pogłupieli, o niczem nie myśleli jeno o Ameryce, i rzeczywiście w tym czasie trudno ich było użyć do pracy". Jakiś szał prawdziwy ogarnął prostacze tłumy, a hurtowną emigracyę ułatwiły nadesłane przez krewnych t. zw. Szyf-karty, czyli wolne bilety przejazdu, schodzące do bajecznie taniej ceny trzydziestu marek! Agenci tedy bynajmniej tu nie potrzebni, ani też ich nie widać, a jeśli gdziekolwiek się pokazali, to byli oni raczej agentami żeglugi parowej, nie zaś narzędziami amerykańskich przedsiębiorców. Zdaje się bowiem, iż właściciele okrętów chętnie sobie w ten sposób zabezpieczają pasażerów, płacąc 15 marek komisowego. Gdy zaś podobny agent potrafił zwabić rocznie około trzystu ludzi, miał odrazu dochód gotowy 4.500 marek. W niektórych miejscowościach żydzi podejmowali się tej missyi. Podpoiwszy wieśniaka, prawili mu cuda o Ameryce, namawiali do emigracyi, dostarczali Szyf-karty (Schiffkarte) za zadatkiem kilkunastu marek. Chłop wytrzeźwiawszy tracił nieraz ochotę do wędrówki, ale mu żal było stracić zadatek wyłożony, dopłacał więc resztę i ruszał za morze. Uczucie to tak bywa silne, iż słyszałem o wypadku następnym: rodzice pewnej trzynastoletniej dziewczynki, otrzymawszy dla niej Szyf-kartę od zamieszkałego w Ameryce stryja, gwałtem biedne dziecko do wyjazdu przymusili, nie chcąc stracić wartości karty przewozowej, i mimo łez i krzyku nieszczęśliwej, wysłali ją za morze. Z czyjej poręki żydzi agitują za emigracyą, odgadnąć trudno. Może im tylko chodzi o zysk bezpośredni na towarach, ponieważ chłop to tylko kupuje, co mu żydzi zachwalą jako niezbędne w zamorskiej wyprawie. Tyle pewnego, że tak ich działanie, jak i wpływy agentów żeglugi parowej tak mało wchodzą w grę, że ledwo o nich wspomnieć warto. Olbrzymie statki, namalowane na murach publicznych lokalów, dworców kolejowych, szynków, i t. d. z taryfą przewozów, nęcą oko

i budzą ciekawość prostaczków. Szlązk w tej chwili zalany jaskrawo pomalowaną broszurą, wabiącą kolonistów niemieckich do kanadyjskiego Eldorado, mlekiem i miodem płynącej Mamtoby. Po polsku (ale jaką polszczyzną!) napisana książeczka, zaraz na tytule nęci obietnicą 200 milionów akrów do rozkolonizowania, wydzielaniem 250 mórg pruskich za darmo na własność każdej głowie rodziny i każdemu emigrantowi liczącemu lat ośmnaście. Opisy szumne, ledwo zrozumiałe, z powodu tak skażonego niemczyzną języka, że się odnaleść trudno wśród obcych naleciałości. Co linia to mowa o majsie, który dojzdżalał, o landsmanach, o grubach wągla, o osiedlaczach i chwalitebnych ich usiłowaniach. Ale mimo mętności stylu, jedno błyska wymownie i wyraźnie: oto że zarobek dzienny, zwyczajny, do ośmiu dochodzi marek, że ziemia żyzna, robotnik pożądany, nawet żeński, „którego choćby przyszło na sta, zaraz znalezą zatrudnienie“. Następuje praktyczny katechizm dla kolonisty, z najpotrzebniejszemi wskazówkami, a iście amerykańska reklama obejmuje jeszcze dolinę Ottawy i prowincyę Ontario. Wyż wspomniana książeczka w takiej ilości rozrzuconą została po całym Szlązku, że niema domu, ba nawet człowieka, któryby jej obecnie nie posiadał.

Atoli i te jaskrawe opisy i przynęty mało znaczą w obec listów, którym, powtarzam raz więcej, wszyscy bez wyjątku przypisują głównie upowszechnienie się emigracyi. „Każdy list z za świata, pisze w tej sprawie pewien kapłan pasterzujący najbardziej w tym względzie wypróbowanej parafii, obiega wioski, miasta nasze, jest dzwonem pobudki do wychodźtwa. W listach tych bywa rozmaicie: w jednych kłamią na umór, w drugich rzetelna znajduje się prawda“.

Istotnie, trudno nieraz rozeznać prawdę w owych zamorskich listach. Przesada nieraz widoczna, nie chcą się przyznać do zawodów doznanych, pragną ściągnąć swoich, więc zmyślają dowolnie jakieś złudnej pańskości obrazy. Jeden np. pisze, że gdy krowy wydoi, jeździ sobie powozem na przechadzkę, inny, że ma konia do spaceru, itp. Ale poważniejsi i starsi złe i dobre o sobie donoszą, a gdy to ostatnie przeważa, licznych pozyskują naśladowców.

Ruch wychodźczy nim się w Księstwie Poznańskiem objawił, nieco wcześniej ukazał się był w Prusiech zachodnich, zkąd Kaszubi polscy rychło tłumnie emigrowali. Dziwnie zaś odzywa się

ruch w pojedynczych okolicach, nie zarażając wcale innych. Są wsie, które się niemal wyludniają, a opodal, tuż w sąsiedztwie, nikt się ani ruszy. Nadnoteckie wybrzeża po dziś dzień nie przestają dostarczać największego kontyngensu emigrantów, i w ogóle regencya bydgoska nierównie więcej od poznańskiej tą zarazą jest nawiedzona. Powiat gnieźnieński należy do okolic, okazujących najwięcej gotowości do zamorskich wędrówek. W okolicach Bydgoszczy są parafie, gdzie bodaj znaleść przyjdzie pare rodzin nie mających dotąd krewnych w Ameryce. Ilekroć nowa serya wychodźców przychodzi żegnać się z plebanem miejscowym, na jego zapytanie czemu wyjeżdżają, stała następuje odpowiedź: „Mam tam już braci, siostry, córki, synów, ciotkę lub wuja. Ci mi przysłali *frajkartę*. Cóż robić? trzeba jechać". Zwykły wiejski fatalizm przejawia się i w tem postanowieniu. Coś z mahometańskiego p i s a n e m m i b y ł o! często się u polskiego znajduje kmiotka. I znów pewna tajemniczość osłania ostateczną decyzyę i przygotowania, długie nocne rozmowy toczą się na przyzbach i po karczmach, jedni drugich namawiają lub odwodzą, ale żadnego innego nie przyjmują w tej mierze wpływu ani rady. Wprawdzie pewien ksiądz pisze ze wschodnio-południowego powiatu Księstwa, iż gdy się pierwsze pojawiły przykłady emigracyi, duchowieństwo dekanalne zebrało się na kongregacyę i postanowiło skutecznie działać przeciw nowemu prądowi, zaczem wychodźtwo ustało. Ale to fakt wyjątkowy, dowodzący raczej, iż brakło w owej okolicy istotnej ochoty do dalekich wędrówek i właściwego emigracyjnego żywiołu. Tam zaś gdzie ów ruch się ustalił i rozszerzył, nic kapłan nie może. Radzą go się, ale ostatecznie po swojemu zrobią. Jeden z najznakomitszych wielkopolskich duchownych zupełnie powątpiewa o skuteczności przeciwdziałania w tym względzie proboszczów: „Odradzać niema sposobu; ja tego nie czynię z ambony jak niektórzy próbowali, chyba prywatnie można coś sprawić. Publicznie karzę tylko ten przeklęty głód złota, który ich gna za morze. Jak zaś sobie lud tłumaczy wszelkie odradzanie emigracyi, na to podaję następną charakterystyczną opowieść: Pewna wieśniaczka z mojej parafii mająca krewnych w Ameryce opowiadała, iż panowie tylko straszą ludzi, że się okręty rozbijają, bo jakże taki „Szyf" wielki jak stodoła mógłby się rozbić? dalej, że panowie pisali do króla pruskiego, iżby ludziom zakazał ciągnąć do Ameryki,

a ten dał odpowiedź: Dajcie im więcej i lepsze utrzymanie, a wychodzić nie będą. Że jednak król nasz pisał do króla Amerykiego, aby nie przyjmował do swego kraju jego żołnierzy, a ten mu odpisał: „Przyjdź i weź ich sobie“. Takie proste gadki wymownie malują pojęcia ludu naszego w tej kwestyi. Inny ksiądz z wręcz przeciwnych stron podobnież, jak się zdaje, zwątpił o skuteczności oporu i odradzania. Wspomina bowiem, iż nie ma większych apostołów zamorskich wędrówek jak ci, którzy z Ameryki wrócili: „Tacy nie mało się przyczyniają do wychodźtwa, bo pod niebiosa Amerykę wychwalają. Nic tu nie pomogą dziennikarskie artykuły i nawoływania, bo taki ex-emigrant jednem słowem obali wszystkie zarzuty: „Tamci od gazety nie byli w Ameryce, to też nie mogą wiedzieć jak tam jest; ja tam byłem, ja widziałem, ja wiem; tam lud uczynniejszy, miłosierniejszy, tam nie gnębi wyższy niższego, gdyś w biedzie chętnie cię wspomogą, kupiec choćby i za 100 talarów da ci na kredyt, a tu, czyby to kto uczynił? Ja nie miałem zrazu za co wrócić, a chciałem koniecznie, bo żona była śmiertelnie chora, musiałem więc do dzieci wracać, gdyby była umarła, a tu jeden Anglik zaraz mi chciał pożyczyć — tam przynajmniej człowiek czuje, że jest człowiekiem itd. itd.“ Takie wywody zniweczą wszelkie argumentacye gazeciarskie, a dodajmy do tego, że z tych ludzi, którzy wychodzą, może 50-ty, może 100-ny gazetę czyta, a takiego examerykanina słowa szybko z ust do ust przechodzą. Człowiek ten po dwa razy z Ameryki przywiózł kilkaset talarów. Nikt ich tam wprawdzie nie rachował, ale dość, że ludzie mówią o tem, i że podobno chce sobie dom kupować. Niech więc wszystkie gazety uwezmą się, niech dowodzą jak chcą, że w Ameryce bieda, że roboty dostać nie można, nikt im nie będzie chciał wierzyć, bo takie żyjące przykłady są więcej przekonywające i wymowniejsze“.

W powyższej notatce uderzy może czytelnika ustęp o uczynności wzajemnej i chętnej pomocy udzielanej potrzebującym, co się zdaje niezgodnym z okrzyczanem samolubstwem Yankes'ów. A jednak tak jest w istocie: dominującą nótą w obu częściach świata jest: dla Europejczyka widmo ruiny, ścigające go zawsze i wszędzie, dla Amerykanina zaś przekonanie, że prędzej czy później dorobić się musi znacznej fortuny. Ta wiara w siebie i w szczęście

wielką bywa dźwignią, pozwala w każdej życia porze na nowo zaprzęgać się do coraz to innego przedsiębiorstwa, a przy szybkim obrocie pieniędzy, nie skąpią ich na zapomogę która może się stać w chwili pomyślnej tem, co Anglicy nazywają *starting point*, punktem wytycznym na torze wyścigów o materyalne nad współzawodnikami zwycięstwo.

Wszystko to razem wzięte, aż nadto wyjaśni niepodobieństwo wstrzymania fali ludzkiej, gdy się ta ku innym, dalekim, nieznanym skieruje wybrzeżom. Słyszeliśmy o pewnym włościaninie, który się tak zawziął w zamiarze opuszczenia stron rodzinnych, iż głośno powtarzał: „Choćby mi własna matka z grobu wstała i powiedziała: nie chodź! to bym poszedł“. To już nie upór osobisty, ale prąd czasu, niepokój epoki, gorączka wieku niestałego i rozstrojonego.

Co zaś bywa bezpośrednim powodem wędrówek hurtownych do Ameryki? Przedewszystkiem obawa biedy w kraju, na to się wszyscy godzą. Są wypadki uciekania przed wojskowością, ale nieliczne; przeróżne p r z y m u s y, stanowiące istotę wolności w XIX. wieku, a więc przymus szkolny, wojskowy i t. d., niemało się przykładają do zniechęcenia ludzi wiejskich ku istniejącemu porządkowi rzeczy. Przeciążenie podatkami dotkliwie im się daje we znaki. Nieraz fornal dworski, niemający ani stu marek pensyi, płaci ich dziesięć podatku. Obecnie stosunki religijne także się przyczyniają do zobojętnienia dla stron rodzinnych. Czytamy w referacie Stowarzyszenia św. Rafała, że gdy jeden z członków zarządu badał karawanę emigrantów z Prus Zachodnich i Księstwa, z przeszło stu osób złożoną, o powód opuszczenia ojczyzny, stale odpowiadali: „Zarobku mało a utrapienia dużo. Od czterech lat nie mamy księdza, w szkole dzieciom nie wolno po polsku się uczyć, przy wyborach, jeśli na Polaka głosujemy, właściciele Niemcy nas prześladują. Cóż poradzi? jechać trzeba!“. Zebrane przezemnie odgłosy stale poświadczają, iż ruch wychodźczy przeważnie zaraża majątki pozbawione dworu. Absenteizm nietylko w Irlandyi gorzkie wydaje owoce. Gdziekolwiek nie ma pana, nie ma we dworze pani, którą chłop nasz chętnie matką nazywa, tam upowszechnia się emigracya. Skargi na rządzców, na urzędników gospodarskich nie rzadko się pojawiają w listach tłumaczących powody wychodźtwa. Przykrzy im się zwłaszcza u panów Niemców, ciągłe lżenie ich narodowości, np.: że chłop

polski a świnia to jedno, że przeklęty ten naród polski i t. p., „na co człowiek aż cierpnie“. Dalej trudność opału w niektórych okolicach, (a wiadomo jak wieśniacy cenią drzewo), wypycha ich za morze. Niektóre wyrzekania może są niezupełnie słuszne, ale kto raz wejrzał w niesprawiedliwości, jakich się bez wiedzy panów dopuszczają aż zbyt często urzędnicy gospodarscy, ten się ulituje nad skargą uciśnionego nieraz przez najemników ludu, mimo całej dobrej woli dworu i właściwego chlebodawcy. Nieograniczenie czasu roboczego bardziej niemal od niskości płacy ich zniechęca. „Ucieszyliśmy się, kiedy poseł poznański, pan Cegielski, wniósł na sejmie o ograniczeniu pracy, że też raz lepiej będzie, a tu nic nie słychać; czy dzień krótki, czy najdłuższy, od ciemka do ciemka“. Skarżą się też i na roboty niedzielne, które niestety! i u katolików się niekiedy widzi; nie oficyalne gwałcenie niedzieli, ale jakoby przemycone zajęcia, np. smarowanie wozów, uprzątanie podwórza, przewożenie ludzi, ważenie opasów lub zboża, ba nawet odstawy. Do najboleśniejszych powodów emigracyi należy obawa przed starością. Co poczną gdy się zestarzeję, kiedy panowie tylko młodych i silnych używają robotników, odprawiając ich, gdy się zestarzeją? Niestety! zarzut to prawdziwy, nawet w polskich majątkach, fakt nie rzadki, a wstrętny. Spracowanego sługę w wielu miejscach odsyłają, aby nie mieć ciężaru, gdy do reszty zniedołężnieje. Oczywiście nie ogólne to prawidło, ale fakt dość często powtarzający się u nas. Na łagodne wymówki pewnego kapłana, ujmującego się za krzywdą biedaków, starganych pracą, zagadnięty właściciel sucho odparł, iż rodzice tak powinni dzieci swe wychowywać, aby ich na starość utrzymały.

Nadmiar pracy, niedostateczna zapłata, rosnące potrzeby i wymagania, a nie rosnący w parze dobrobyt, nareszcie chęć zysku i jak mniemają łatwego dorobku, pcha tedy lud nasz do Ameryki. Wiele listów kmiecych przeszło mi przez ręce; były w nich skargi na swój ciężki los, na biedę powszechną, na stosunki robocze, na ekonomów. Ale ani cienia w nich nie znalazłem socyalistycznych jadów i kwasów, ani odrobiny komunistycznych pojęć. Jeśli przypadkiem gorycz w jakiem prześwieci słowie, to chyba gdy nie wieśniak pisał, lecz kto z rzekomej miasteczkowej intelligencyi. Cierpliwość cechą naczelną polskiego kmiotka, cierpliwość posagowa,

klasyczna, przypominająca bohaterów Homera, który za szczyt pochwał nadaje Odysseuszowi miano „cierpliwego“.

Ale mimo poczciwości ludu, mimo najlepszych, najzgodniejszych stosunków społecznych, bieda nieraz ową cierpliwość nadweręży, wyczerpnie. Jakże się dziwić, że tu i owdzie dotkliwiej przyciśnięci niedostatkiem, a raczej trudnościami życia, próbują szczęścia za morzem, pod wpływem olśnienia przychodzącemi ztamtąd wiadomościami. Wszakże i chory przewraca się na drugi bok, w nadziei, że mu to ulgę sprawi. Kto wie? może gdy tu źle, tam lepiej i lżej będzie. Ten ostatni wzgląd głównie kobiety porusza. O ile chłop wielkopolski jest pracowity, o ile dziewki wybornemi są robotnicami, o tyle z dniem pójścia za mąż, kobiety przeważnie oddają się lenistwu i zniedołężnieniu. Mąż pracuje jak wół roboczy, dzieci od najmłodszych lat idą szukać zarobku, kobieta jedna siedzi za piecem i nawet izby nie uprzątnie, odzieży nie sporządzi, obiadu jak należy nie przysposobi. Ta gnuśność niewieścia w znacznej części się przyczynia do ubóstwa ludu naszego. Słyszą one, że w Ameryce kobiety mniej pracują, dochodzą ich posłuchy, że tam po całych dniach kołyszą się i o żadnem zatrudnieniu domowem nie myślą, tylko huśtają się w krzesłach; a tymczasem w Ameryce pono chłopom ani pić, ani bić żon nie wolno; inwentarza nie potrzeba doglądać; słowem, pieczone gołąbki same lecą do gąbki. To wszystko ich wabi, zaczem nieraz one najsilniej popierają zamiar emigracyi. Wyobraźnia i fantazya niewieścia w każdej sferze społecznej bywa decydującym czynnikiem.

Rozpytując się tu i owdzie o różne emigracyjne szczegóły, zewsząd otrzymałem odpowiedź, że zwykle i przeważnie wychodzą ludzie porządni, pracowici, wcale nie wyrzutki lub męty społeczne jakby to mniemać można. Najwięcej wynosi się rzemieślników dominialnych (kowali, stelmachów, cieśli i t. p.), dalej wyrobników albo chałupników, którzy posiadając pare mórg niezdolnych ich wyżywić, sprzedają je wraz z chatą i ruszają za morze. Synowie mniejszych gospodarzy podobnież chętnie puszczają się w drogę. Nie brak i mularzy i piekarzy i balwierzy. Tych ostatnich z jednego tylko miasteczka Koźmina w Poznańskiem wyszło w ostatnich latach kilkunastu. Najbiedniejsi nie mieliby za co jechać, więc zostają. Wyruszają tedy majętniejsi, sprzedając uprzednio krówkę, świnkę,

zbywające ziemniaki; przewóz coraz tańszy, więc choćby i nie było uciułanego grosza, z tych tranzakcyj w ostatniej chwili zawsze się dość funduszu uzbiera. Najwięcej tracą na długości owych przygotowań, nie zarabiając nic zgoła przez cały czas, tylko handlując, targując a niekiedy i chodząc w rękawiczkach i hulając po trochu podczas ostatnich tygodni. Czasem z tej hurtownej sprzedaży zbiorą do 2000 marek, ale rzadko kiedy wybierają się z kapitałem w kieszeni. Przezorniejsi — ale tych arcymało — odkładają sobie małą kwotę na powrót, w razie niepowodzenia. Inni nieco grosza chowają na trudne w Ameryce początki. Zwykle jednak na całą zamorską wyprawę potrzeba im około 40 tal. = 120 marek. Są, którzy po opłaceniu Szyf-karty jadą zaledwie z 30 m. w kieszeni. Przez „wodę“, bo tak nazywają Ocean, dawniej kosztowało 100 marek, teraz już znacznie mniej; za „drugą wodę“, t. j. za zbiorowisko jezior, których spływem rzeka św. Wawrzyńca, mianowicie za Michigan, gdzie naszych najwięcej, oczywiście koszt znaczniejszy. Zwykle jednak emigranci wielkopolscy jadą za „tę drugą wodę“, bo tam zarobek pewniejszy. Kolej do Hamburga lub Bremy także kilkadziesiąt pochłonie marek. Nareszcie przed wyjazdem każdy się ekwipuje, porzuca siermięgę i sukmanę, aby miejski strój przywdziać i na „gentlemana“ się przedzierzgnąć. Rzeczy z sobą zabierają nie wiele, trochę odzieży, pościeli i bielizny, po dwie pary butów, oraz naczynia blaszane do jadła na okręcie, gdzie rozdzielają żywność każdemu w jego własną miseczkę.

Nadchodzi dzień wyjazdu, przyczem nie obejdzie się bez płaczu, ale rozpaczy naszych rozłączeń nie dostrzeżesz. „Chłop nasz jest na to za praktyczny, a po troszę — jak pisze w tej mierze pewien doświadczony kapłan — nadto czerstwy na duszy. Wie czego chce, do tego dąży pełen otuchy, bez rozpacznego żalu za tem co pozostawia. W lepszych duszach pobrzmiewa tęga (tęschność) za swoimi, za krajem, za kościołem; ale dla wielu chleb powszedni a dostatni jest szczytem marzeń. Bo, nie łudźmy się, i najlepszy chłop jest jeszcze materyalistą. Zdobędzie się na ofiarę dla kościoła, na ołtarz; i uboższy kupi ładną książkę do nabożeństwa; lecz po za tą sferą rozumie tylko dorobek dla używania“.

Choć po radę nie chodzili do księdza, a zwłaszcza go nie posłuchali, gdy przeciw wędrówkom ich ostrzegał, przed wyjazdem

bez wyjątku wszyscy jednają się z Bogiem, przystępują do Sakramentów śś. zakupują mszę św. na intencye podróży, żegnają swego proboszcza, proszą o dyspensę na czas przejazdu, żegnają i groby swoje, i kościółek parafialny, ale najczęściej spokojnie bez łez i szlochań, bez nerwów zwłaszcza. Uczucia im nikt nie zaprzeczy, uczuciowości nie znają. A zresztą wiadomo, iż prostsze natury zawsze bywają silniejsze, a wykształceńsze, wykwintniejsze, subtelniejsze poniekąd, czulszemi są na przykrości życia, wedle fatalnego prawa, o którem już Dante wspominał mówiąc:

Ritorna a tua scienza
Che vuol, quanto la cosa è più perfetta
Piu senta il ben, e cosi la doglienza.

Szczęśliwsi, którzy mniej udoskonalone mając nerwy, mniej też odczuwają *doglienze*, bo tych w życiu ich nie braknie zaiste...

Nie obywa się jednak niekiedy bez scen wzruszających. I tak np. opowiadano mi o chłopaku 24-letnim, który nie szanował dawniej matki jak należało, co przy rozstaniu taką w nim wzbudziło skruchę, że nie mógł się od jej stóp oderwać, płakał, przepraszał, całował jej nogi, przeklinając niedolę, która go popchnęła do dalekiej wędrówki i obiecując matkę z rodzeństwem ściągnąć jak najprędzej. Na wyjezdnem popłaczą nieco, pokrzyczą więcej, ale już na najbliższej stacyi przybierają zwykły wyraz cierpliwego poddania się, czy obojętności.

Wychodzą przeważnie mężczyzni między 18 a 40 r. życia. Żonaci zwykle samotnie puszczają się w drogę, aby dopiero z czasem żonę i dzieci sprowadzić za sobą. Tymczasem lokują rodzinę u jakiego krewnego, raz po raz pieniężną przesyłając zapomogę, a w końcu i karty przewozowe, owe wyglądane Szyf-karty. Najoporniej wyjeżdżają kobiety mające starych rodziców, ale nie rzadko, jeśli im się dobrze w Ameryce wiedzie, dzieci staruszków za sobą ściągają.

Zaczyna się wtedy bodaj najcięższy całej wyprawy okres. Parowce niemieckie są bardzo niedogodne, zabierają tłumy pasażerów, zamykając ich jak bydło w części okrętu zwanej międzymostem. Obszerna na oko sala, podzielona jest niby na trzy oddziały; w środku znajduje się pomieszczenie dla rodzin emigranckich, z jednej strony dla mężczyzn bezżennych, z drugiej dla dziewcząt. Ale nie ma, jak

tylko jedno wyjście, i emigranci bez różnicy płci i wieku przechodzą przez wszystkie oddziały, drzwi, ani zamknięcia nie ma; słowem, wygody żadnej, a demoralizacya nieraz okropna. Lepiej pod tym względem mają być urządzone statki hollenderskie, ale że nasi wychodźcy więcej przez Hamburg i Bremę, aniżeli przez Antwerpię odpływają, więc wszystkie niedogodności i niebezpieczeństwa przeprawy na niemieckich statkach im grożą. A co nieraz odrazu łamie przyszłość materyalną biedaków naszych, oto rój agentów, wyjeżdżających naprzeciw emigranckich okrętów małymi parowcami, aby zaraz z nimi spisywać kontrakta, werbować za tanie pieniądze robotnika, i zanim stanął na lądzie amerykańskim, już go wprzęgać w ciężką, obowiązującą niekiedy na całe lata niewolę.

Oczywiście przy wyładowaniu najciężej, bez znajomości języka, stosunków, bez żadnej opieki i poparcia. Pan Bóg jeden wie, jak sobie owe rozbitki nasze radzą, ale że sobie jakoś rady dać umieją, nie ulega wątpliwości, bo nie ma prawie wypadku, aby z czasem nie znaleźli zarobku. Około 10 procent przepada jednak bez wieści, inni pisują dwa lub trzy razy do roku. Liczba wracających jest bardzo mała, najwyżej pięć procent, najwięcej takich, co wyszli bez rodziny, lub jeszcze takich, których listy od żon i krewnych nie dochodziły: rośnie ztąd tęga za swoimi, trwoga serdeczna opanowuje, co się tam w domu dzieje i pewnego dnia zabierają się do odwrotu.

A reszta? a więc 85 procent? Można być najsroższym przeciwnikiem emigracyi, a jednak prawdy zataić niepodobna. Tej znacznej większości przeważnie dobrze się powodzi. Po trudnych nieraz początkach, byle chcieli i mogli pracować, ostatecznie do pięknego dochodzą zarobku. Robotnik polski wielce jest ceniony, raz dla wytrzymałości swojej, powtóre dla niebywałej taniości w stosunku do wymagań innych narodowości. Pod tym względem nawet im grozi pewne niebezpieczeństwo, tak ze strony przedsiębiorców wyzyskujących ich naiwność, jak i od spółrobotników, upatrujących w nich niebezpieczne spółzawodnictwo do zbezcenienia pracy zmierzające. I tak naoczny świadek opowiada, że w Buffalo czterech polaczków utopili tamtejsi robotnicy. Szła gromadka naszych ulicą wzdłuż wody, wtem ośmiu napastników przypadło, chwytając niewinnych przechodniów, aby ich w nurtach wody zatopić. Nie rzad-

kie zresztą w listach bywają wzmianki o morderstwach, które tam snadź są na porządku dziennym. Jeden z wychodźców opisuje nawet dramatycznie, jak redaktor głównej polskiej gazety zamordował człowieka w biały dzień, ale się wykupił policyi i dalej interes prowadzi. Dość częste muszą to być wypadki, sądząc po sposobie naturalnym, w jaki o nich wspominają. Spokojnych jednak kmiotków naszych przeraża nieco ów brak bezpieczeństwa i dzikość obyczajów. Trwożą ich również strajki, które zowią „wojną o robotę“; niepokoją zemsty czyniących zmowy przeciw tym, którzy w ich miejsce wstępują za lichszą płacę. I znów pewien chłop wielkopolski donosi żonie o braku chwilowym zarobku, dla „wielkiej bitwy“, czyli strajki. „Robić nie możemy, choćbyśmy chcieli, boby nas pozabijali, bo ta bitwa to jest według roboty i większej płacy; ale to zdaje mi się już się wnet skończy, to się będę starał jak najprędzej dostać się do ciebie“.

O ile z listów i gromadzonych skrzętnie wiadomości dojść można, najwięcej polska emigracya zdąża w następujące okolice i miejscowości: Chicago, Buffalo, Détroit, Milwaukee, Winona, Filadelfia, Amboy, Rochester, Person, Kalumet, jeśli nie mylą podane przez wychodźców adresa. Ubożsi zostają w Nowym Jorku. Główna fala emigracyi skupia się jednak w Chicago, gdzie ich ma być przeszło 60.000. Tam też mają swoje kościoły, szkoły, bractwa, chorągwie i najpełniejszem oddychają życiem. Pewien podróżujący ziomek nasz, który przypadkowo zjechał na poświęcenie jednego z polskich chicagowskich kościołów opowiadał nam, iż nigdy swobodniej narodowem nie odetchnął powietrzem, jak wśród onego święta religijno-polskiego, gdy banderye dzielnych wiarusów w barwy i znaki „sercu polskiemu tak miłe“ przystrojone, wyruszyły naprzeciw biskupa, mającego dopełnić konsekracyi świątyni. Ztąd też listy datowane z Chicago najswobodniejsze noszą cechy; jeden z emigrantów pisze do starych rodziców: „Tęskno nam nie jest, bo z tego że dużo jest krewności, to jest wesoło, a najwięcéj wszyscy w kupie. Najciężej nam jest, kiedy nam nasz Piotruś, jak go spytamy gdzie jest babusia, mówi, że za wodą. Odpiszcie nam jak najprędzej jak tam jest w kraju“. Następne urywki noszą cechę tego animuszu, który cechuje młode społeczności, a udziela się niekiedy wśród pomyślnych warunków i naszym wychodźcom: już z końca roku 1881

mamy list, który po prywatnych doniesieniach, tak dalej opisuje stan Polonii na obczyźnie: „Co się tyczy narodowości polskiej w Ameryce, to Polska tam prawdziwie powstaje, śpiew radosny brzmi, Polacy wiążą się w duże towarzystwa kościelne i polityczne, kościoły polskie się wznoszą; Stany Zjednoczone liczą 38 państw, a w każdem państwie Polacy zamieszkują i kolonie zakładają, i korespondencye czytamy, to wnet tu, wnet tam kościół budują. Polaków liczą w Ameryce mniej więcej 500.000, w Chicago są trzy polskie kościoły, dwa pisma polskie wychodzą tygodniowo; w Milwaukee mamy dwa polskie kościoły, a trzeci zaczęto budować — ten większy kościół jest o dwóch wieżach wysokich. Mamy dwóch młodych księży, szkołę o 7 klasach, dużą plebanię kosztownie budowaną, pięć Towarzystw kościelnych a trzy kompanie wojska w mundurze, to jest gwardya Kościuszki pod bronią, polskie ułany, pałasz przy boku i lanca; potem rycerze mają tylko szakuł i sztylet przy boku, długie białe rękawiczki i szerokie regalie, za patrona mają św. Marcina. Ja jestem także przy ułanach i zarazem sekretarzem dla całej kompanii. Mamy także narodowe towarzystwo pod tytułem Kraszewskiego, które teatr odgrywa; potem towarzystwo młodzieńców, mające za patrona św. Kazimierza, polskiego królewicza. Jak tylko chłopcy szkoły ukończą, zaraz wstępują do tego towarzystwa, a w procesyi biorą kosy na ramię. Te wszystkie towarzystwa należą do jednej parafii. Mamy tu ze wszystkiem wolność, nie może nam tu w niczem Bismark szkodzić. A więc też nie szczędzim czasu. Mamy tu dobrych wiarusów z Poznania, Warszawy i innych miast polskich, a gdy się zgromadzim tak kilkunastu śpiewaków a przy ćwierci beczki piwa, śpiewy narodowe brzmią aż się dom trzęsie, i taką zabawę mamy co niedzielę“. List ten pisze rzemieślnik, brat jego szewcem, on także donosi, że mu się dobrze wiedzie. Inny pisze, posyłając rodzinie swą fotografię (co bardzo często listom towarzyszy pod mianem potografa lub portografii, i odmianą stroju wabi nowych wychodźców) dodaje: „Ten pas, który widzicie mam na sobie, należy do naszego bractwa. Ja jestem w bractwie Serca Jezusowego. Gdybym zachorował, to dostanę pięć dollarów na tydzień, a jak umrę, to dostaną dzieci 250 dollarów z kościoła tego bractwa za mnie. Bracia moi są w bractwie

św. Józefa, i jakby który umarł, to ja dostanę 210 dollarów z ich bractwa".

Najżwawiej odzywa się pewien piekarz osiedlony w Chicago, który doniosłszy o sobie, żonie i dzieciach, pisze iż ma dobry zarobek 22 tularów (zapewne dollarów) na tydzień: „a tular ma 4 marki to wyrachujcie wiele marek zarobię. Ale tu wszystko bardzo drogo", zaczem list zamienia w cennik istotnie dowodzący o wygórowanej drożyznie. Samo komorne wynosi miesięcznie dziesięć dollarów. Zabawna plątanina w owym liście: angielski przekład mazurka Dąbrowskiego, dalej wiadomości o dobrych żniwach, polityczne nawet wieści; pisząc w początkach 1883 r. donosi między innemi: „Nasz prezydent został zastrzelony przez jednego Francuza, Charles Guitaut, ten też został powieszony. To jest prezydenta głowa na pocztowej marce, tak prosto wyglądał. Tu w Chicago mieszka 65,000 Polaków. W Saint Louis wybudowali sobie Polacy kościół, jest to czterdziesty kościół katolicki w Saint Louis". Ale nie wszystko różowo przedstawia nasz korespondent: „Tu w Chicago nikt nie jest pewien na ulicy iść bo tyla rabusi i złodziei, że za dnia napadną i wszystko odbiorą. Jednego dnia to czterech policyantów zastrzelili, na mego najlepszego przyjaciela cztery razy strzelali ale nie trafili, bo on trzech rabusi zaraz schwytał i na policyę przyprowadził. Ja mógłbym dawno być policyantem, bo każdy policyant musi być barczysty, mocny i śmiały, a mierzyć 5 stóp 6 cali, mniejszego nie wezmą, a ja mierzę 5 stóp 7 cali, i mówię po polsku, niemiecku, angielsku i czesku, więc mnie nieraz pytali czy nie chcę być policyantem, bo takich ludzi potrzebują, a policyant bierze 85 dollarów miesięcznie, ale żona mówi żeby mnie zastrzelili". Obrotny piekarczyk nie ogranicza swej działalności na pomyślnie rozwijającem się w Chicago przedsiębiorstwie. Choć jest tam, jak pisze, *Werkmeistrem* w wielkim zakładzie piekarsko-cukierniczym, gdzie dwunastu pracuje czeladników a on książki prowadzi, kapitalik swój umieścił w Texas, kupując tam 640 akrów, po 42 centów akier, co czyni mniej więcej 1 m. 70 fen. „Akier to znaczy więcej niż u was morga. Kochany stryju, ten grunt co ja kupił, to jeszcze go nikt nie uprawiał póki świat światem, możecie sobie wystawić jak to wygląda, wielki bór, i także *prairie*, po polsku *pryry*, to znaczy, gdzie niema lasu. Tam rośnie bawełna,

kawa i ryż. A potem pojadę na moje gospodarstwo, naskupuję bydła i koni i mułów, i tam się osiądę jak jaki szlachcic. Bo morga 17 srebrników, to bardzo tanio, a za jakie 10 lat będzie warta najmniej 25 dollarów, bo bardzo dobry grunt". Jak widzimy nie brak fantazyi u naszego piekarczyka, ale i na bladze mu nie zbywa, bo w końcu nie może sobie odmówić właściwej przyjemności dalekich podróżników, aby nieco zabarwić drastyczną jaskrawością swą korespondencyę. I tak dodaje, że z żoną nie może się obecnie do swych wybrać posiadłości, bo droga trwa długo, 2800 mil, a rabusie meksykańscy konno napadają i mordują przebywając wpław rzekę Golf (!?), „a w tej rzece jest dużo krokodyli a woda się zmienia co siedm lat, 7 lat jest ciepła a 7 zimna. W Texas wprawdzie zimy nie ma, ale ta nieszczęsna żółta febra, co tam dość ludzi padnie. Texas jest większy jak całe Niemcy; najwięcej tam jest czerwonoskórców, to jest dzikali. Ja kupiłem grunt mój od rządu to się nazywa jedna sekcya". Wysyła brata żony na ten niebezpieczny posterunek aby mu tam gospodarzył. Rzadki to przykład rolniczej spekulacyi. Dziwną bowiem sprzecznością, plemię piastowskie, na własnej ziemi do pługa niemal przyrosłe, tylko wyjątkowo za morzem rolnictwa się chwyta. Rzecby można, iż ich natura za morzem ulega stanowczej przemianie, bo rzadko kiedy widzimy ich tam w ramach zwykłych, powszednich kmiecia polskiego trudów i znojów. Tu i owdzie idą do jakiej *farmy* na parobka, przeważnie jednak pracują w kopalniach, w portach, przy drogach żelaznych, nawet przy handlowych przedsiębiorstwach. Wszyscy jednozgodnie donoszą, że choć zarobek lepszy, ale praca cięższa. Wprawdzie tylko dziesięć godzin — od 6-tej do 6-tej, z przerwą dwóch godzin południowych — ale robota nużąca, „bo człowiek musi chodzić jak zegar na ścianie". Przeciętny zarobek 7 do 9 marek we fabrykach gdzie zimą i latem pracują, a gdzie tylko latem to 12 m. czyli trzy dollary i żywność. W ogóle przyjąć można przeciętną 8 marek dziennego zarobku. Ale znów niestały to dochód, często bowiem w zimie roboty ustają. Mniej więcej jednak tak się obliczają, że za jeden tydzień pracy, dwa wyżyją, a ze zarobku letniego, przez zimę utrzymać się mogą.

To nam jednak tłumaczy, dla czego ostatecznie nie przysyłają znacznych kwot swoim w kraju pozostałym, a wracający, najwyżej

kilkaset talarów przywożą. Czasy bezrobocia pochłaniają szybko zarobek dni pracy. Jak każdy chłop na świecie, bez różnicy narodowości, włościanin nasz i w Ameryce jedno tylko ma wiecznie marzenie — oto własności, bądź huby za powrotem w wsi rodzinnej, bądź, i to częściej, własnego domu lub kamieniczki w Ameryce. Niedościgły to często cel, bo wszystko na setki i tysiące dollarów liczyć przychodzi, ale są, którzy go osięgają i własną cieszą się zagrodą, użalając się stale nad cenami: gdy np. piec im przychodzi stawiać za 25 dolarów. W ogóle strona materyalna głównie w tych listach pobrzmiewa, co bardzo naturalnym zresztą objawem u ludzi, których powszednim chlebem trud fizyczny i głód i chłód, a zaspokojenie potrzeb ciała szczytem używania. Aż przykro czytać powtarzającą się wciąż jedną zwrotkę, że lepiej i więcej mają na codzień zjeść, aniżeli w domu na Wielkanoc, że sprzęty u nich jak u nauczyciela wiejskiego, i t. p. Jeden np. pisze: „Mnie się dość dobrze powodzi, wikt mam taki, że w Prusach to we Wielką Niedzielę tak nie zjadłem, jak teraz w powszedni dzień, a wyspanie to nigdy się nie spodziewałem, że przed swoją śmiercią takie będę miał. Ale mnie kosztuje półczwarta talara na miesiąc“. Innemu jeszcze snadź lepiej się powodzi, jeśli zawierzyć można jego listownej opowieści: „Wydałem do 54 talary na przyodziewek i teraz sobie galagancko (elegancko) chodzę. Nie tak jak w Prusach; nie jem polewki z wody samej, nie potrzebuję sobie kraść do jadła, bo wszystkiego dzięki Bogu jest dosyć na stole, jaj, kiełbasów, mięsa, pierników, kawy i różnych potraw, o których wy nie wiecie, to nawet wierzyć pewno nie będziecie, żeby ja to miał. Jak mi się przypomni ta pruska bieda, to mi się skóra otrząsa, co mi też teraz Pan Bóg dał lepiej i ta Matka Boska, że ja może będę jeszcze porządnym człowiekiem“.

(Dok. nast.)

POJĘCIE O BOGU

w chrześcijaństwie i u filozofów.

(Ciąg dalszy).

Trzeci dowód istnienia Boga, według św. Tomasza, oparty na niekonieczności bytu świata — niekonieczność rzeczy istniejących — względna konieczność świata idealnego — potrzeba pierwiastku bezwzględnie koniecznego. — Czwarty dowód, z doskonałości tworów — ustrój celowy na wszystkich szczeblach przyrody — rozum przezierający w przyrodzie jest mądrością Boga.

Wszystko co nas otacza ma tę wspólną właściwość, że lubo rzeczywiście istnieje, mogłoby jednak nie istnieć — a przeciwnie wiele rzeczy nie istniejących istniećby znowu mogło — czyli jednem słowem: są to rzeczy niekonieczne *(contingentia)*. Ta niekoniecznośc rozciąga się nietylko na zjawiska jestestw, które w ciągłej przemianie okazują się i nikną, by innym miejsca ustąpić, ale obejmuje także samą ich istotę, czyli substancyę. Wszystkie rzeczy, które dziś widzimy, nie istniały kiedyś, i świat bynajmniejby się nie rozpadł, choćby nigdy nie powstały — a zatem bytowanie ich nie jest bezwzględnie koniecznem. Wiele z tych rzeczy jak nastało, tak i przemija; a nawet i u tych, o których rozum i wiara nas uczy, że raz powstawszy do bytu, więcej go już nie tracą, jak np. duchowe istoty, jednak ten sam rozum jasno nam pokazuje, że ta ustawiczność istnienia nie jest koniecznością bezwzględną, ale zależną, nie wynikającą z wewnętrznej natury jestestwa, ale z zewnątrz nadaną. Jak owe dusze i duchy otrzymały zkądinąd byt, tak też i konieczność bytu. Ich więc konieczność jest względną, opartą na innem jestestwie, w którem przy-

czyny tej konieczności szukać należy. Zupełnie to samo powiedzieć można o idealnym, czyli metafizycznym bycie natur wszechrzeczy. Wprawdzie podług aksyomatu dawnej filozofii istności wszystkich jestestw w metafizycznym swym bycie, są wieczne, niezmienne a konieczne; ale aksyomat ten wcale się nie odnosi do natur aktualnie bytujących we fizycznym porządku wszechrzeczy, tylko do metafizycznego ich bytu, to znaczy, że możliwość połączenia pojęć czyli łączliwość składników stanowiących naturę jestestw, wieczną jest, nieodmienną, konieczną. Tak np. metafizyczny byt człowieka stanowi łączliwość zwierzęcości z duchową rozumowością. Odrzuciwszy którykolwiek z tych składników, nie mamy już człowieka, lecz inne jakieś jestestwo. Do utworzenia więc ludzkiej natury, łącznia obydwóch cech charakterystycznych jest niezbędną. Ostateczną przyczyną tej konieczności nie są prawa naszego myślenia: boć rozum nie tworzy tej możliwości pojęcia, ale, przeciwnie, sam zawisłym jest od niej. Więc przyczyna jej leży po za nim, i to bezpośrednio w przedmiotowej wartości składników, których łączliwość poznajemy; zdolność bowiem ich do zespolenia się w jedną naturę ztąd po prostu wypływa, że istność jednego składnika nie jest przeciwieństwem i negacyą drugiego. Tak życie zmysłowo-zwierzęce nie jest sprzecznem z rozumowością stanowiącą istotę ducha; ztąd obie te istności nie wykluczają się nawzajem. Ale że każdy składnik z osobna całą swą istność i wszystkie swe charakterystyczne cechy nie sobie samemu zawdzięcza, ale swej pierwszej przyczynie, więc też i ta łączliwość składników na niej się ostatecznie opiera. Zatem konsekwentnie i owa metafizyczna konieczność natur wszechrzeczy, nie w nich samych, ale po za niemi ma swą ostatnią przyczynę.

Wszystkie przeto jestestwa na świecie nacechowane są piętnem niekonieczności i znikomości: bo łączą w sobie byt z możliwą nicością. A choć gdzieniegdzie spostrzegamy konieczność i trwałość, zawsze podstawą i źródłem tych własności jest pierwsza jestestw przyczyna. To niezatarte znamię wszechrzeczy, zdaniem św. Tomasza, pozostałoby zawsze, choćbyśmy nawet przypuścili szeregi jestestw powiązanych ogniwami przyczynowości bez początku w czasie, a współistniejących z wiecznością. Przypuśćmy, że ród ludzki np., albo rodzaj drzew zawsze istniał,

bez początku, w ten sposób, że każdy człowiek rodząc się z poprzedniego, następnemu był dawcą bytu; to i wtedy każde poszczególne ogniwo tego łańcucha bez początku i końca, byłoby niekoniecznem, a więc znikomem i przemijającem. Albowiem niepodobna, aby wszystko, cokolwiek istnieje, niekoniecznem być miało; niepodobna, aby członki tych szeregów wiążące się ze sobą, jak przyczyna ze skutkiem, nie wiązały się ostatecznie z jakiemś jestestwem koniecznem. Każdy członek z osobna ma w swej naturze możebność bytu i niebytu; aby więc wywieść go z tego stanu szczerej możliwości, potrzeba koniecznie wprowadzić go do bytu.

A czyż podobna, aby to jestestwo byt swój urzeczywistniło samo przez się? Dogmat to zasadniczy panteizmu, a raczej zasadnicze jego absurdum. Boć niebytujące jeszcze jestestwo, które może być albo nie być, jest samo w sobie niczem; nic zaś nie może mieć w sobie mocy urzeczywistniającej czyli determinującej do bytu. W jaki sposób np. drzewo zgoła tylko możliwe byt swój urzeczywistnićby mogło? Jestto poprostu nonsens. Determinacya do bytu wypływa tylko z rzeczywistych czynników. Drzewo tylko możliwe, przechodzi ze stanu możliwości w rzeczywistość działaniem nasiennej siły rzeczywistego drzewa. Nawet ziarno do rozwoju w pełną rzeczywistość drzewa, potrzebuje zewnętrznych, rzeczywistych czynników: ziemi, powietrza, światła i ciepła. Każde więc niekonieczne jestestwo, oparte jest na rzeczywistem. Czy zaś to rzeczywiste będzie znów w sobie tylko niekoniecznem? Jeśli tak — natenczas wymaga tak samo jak poprzednie, innego rzeczywistego jestestwa, któreby dlań było czynnikiem determinującym do bytu. Ostatecznie więc musimy się oprzeć o jakiś byt bezwzględnie rzeczywisty, którego rzeczywistość nie jest zawisłą od żadnej zewnętrznej determinacyi, ale wypływającą z własnej natury tego jestestwa. Jestestwo to zatem musi być niezbędnie, absolutnie koniecznem.

Przypuszczenie zaczarowanego koła jestestw możliwych, determinowanych do bytu przez jestestwa rzeczywiste, ale idących szeregiem bez początku, nigdy nie dochodzącym do bezwzględnie rzeczywistego i koniecznego samobytu — jest również niedorzecznością. Bo każdy byt rzeczywisty, dający możliwemu istnienie, moc

swoją z zewnątrz otrzymał. Dojść nam więc potrzeba koniecznie do samego źródła tej siły determinacyjnej. Jeśli nie istnieje pierwobyt uposażony samorodną a nie nabytą rzeczywistością, wtedy i drugorzędne i dalsze jestestwa aż do ostatnich istnieć w żaden sposób nie mogą, podobnie jak istnieć nie może rzeka niemająca źródeł. Przypuszczając nawet z Arystotelesem i św. Tomaszem możliwość odwieczności świata, rozum mimo to nieodzownie domagać się będzie bezwzględnie rzeczywistego absolutu, jako korzenia i bytodajnego źródła owych nieskończonych szeregów wszelkich jestestw możliwych. To pierwotne, ale bezwzględnie konieczne jestestwo, jest macierzą wszechbytu, pierwszą przyczyną *(prima causa)* wszechrzeczy, którą zowiemy — Bogiem. On jeden jest ostateczną podstawą wszelkiej możliwości, wszelkiej rzeczywistości, wszelkiego jestestwa. Bez Niego nie byłoby ani nic rzeczywistego, ani możliwego.

Czwartą drogą, wiodącą nas do poznania Stwórcy w świecie widzialnym — jest doskonałość tworów. Dowód ten rzekomo niedostateczny, filozofia dzisiejsza z pogardą odrzuca. Inne znów systemy, jak np. ontologistów, nadużywają go z nielogiczną przesadą [1].

Z podziwem patrzymy na sztuczny ustrój zegaru. Ile tam różnokształtnych cząsteczek splata się w jedną, misterną, trwałą i ruchliwą całość! Ruch ten sztucznie wywołany, ujęty w karby stałej regularności, a każda cząstka przymuszona współdziałać właściwym swym sposobem do osiągnięcia ogólnej wypadkowej ruchów, na wzór pozornego obiegu słońca, podzielonego na 24 równych części, zwanych godzinami. Patrząc na ustrój zegarowy, nie możemy nie przyznać, że wypadkowa tych ruchów jest zamierzoną, i że właśnie ze względu na osiągnięcie tego rezultatu, taką a nie inną jest spójnia i układ cząstek. Jestto więc przyrząd, któremu rozum wskazał cel, a wola osiągnąć go chciała i dlatego pobudziła rozum do jęcia się środków i dróg wiodących do zamierzonego celu. Nabieramy więc przekonania, że sztuczny ten przyrząd musi być dziełem mistrza obdarzonego rozumem. Gdyby zaś ktokolwiek powie-

[1] S. Th. tamże. Mianowicie S. C. Gent. l. 2. c. 15. QQ. disp. de Pot. 3. 5. — August. De Civ. Dei 8. 6. — Hugo a S. Vict. de Trinit. 1. 6. — Suarez Met. disp. 29. §. 3.

dział, że cząstki tego zegaru prostym tylko przypadkiem splotły się ze sobą i to w tym właśnie kształcie, takiej trwałości, i o takiej dokładności obrotów — na takie *dictum* odpowiedzianoby chyba powątpiewaniem o zdrowym stanie jego zmysłów.

Czyż cały ten świat nie jest takiem arcydziełem? czy celowość nie jest faktem ujawniającym się od pyłku aż do gwiazd?! Czy fakt ten jest dziełem ślepego tylko przypadku, czy też wynikiem zamierzonym przez rozumną jakąś twórczą przyczynę? Wreszcie, czy ta rozumna przyczyna jest Bogiem?

Odpowiedź na pierwsze pytanie tak jest jawną, fakt celowości tak widocznym, że ktokolwiek rozumowi swemu zostawił jeszcze jaką taką swobodę sądzenia, faktu tego zaprzeczyć nie może: dowodem niejednokrotne wyznania najskrajniejszych nawet materyalistów[1]. Rozległy, niezmierzony prawie świat organiczny, każdem jestestwem swojem, każdą cząstką organizmu głosi tę celowość; bo na jakikolwiek organ zwrócimy uwagę, wszędzie znajdziemy ustrój odpowiedni do celu cząstki i do potrzeb całości, ustrój z dziwnie głęboką obmyślany mądrością. Któż zaprzeczy, że do poznania dźwięków, rozmiarów i barw, trudnoby wymyślić narząd doskonalszy od naszego ucha, mechanizm sztuczniejszy i więcej celowy od naszego oka? A oba te organa jakże doskonale odpowiadają potrzebom i całemu życiu człowieka i zwierzęcia. To samo przyznać musimy, rozbierając wszystkie inne zmysły i organa zwierzęce. Jak odpowiednią jest cała budowa ptaka, ryby, lub czworonoga do właściwego im sposobu życia! Ustrój ich wskazuje z dotykalną prawie widocznością, że dla ptaka żywiołem jest powietrze, dla ryby woda, dla zwierząt ni jedno ni drugie, ale tylko ląd stały. W królestwie roślinnem tenże sam fakt każdy łatwo skonstatować może. Przypatrzmy się choćby samym tylko organom nasiennym. Cały kielich kwiatu jest widocznie celowym przyrządem, służącym najprzód do wytwarzania i uprawy pyłku kwiatowego. Pyłek ten strącony wsysają w siebie słupki, przekształcając go na żyznym swym gruncie w owoc, noszący w sobie przyszłą roślinę w zawiązku. Czyż każde ziarnko nasienia, z którego, stopniowem wciąganiem z otoczenia potrzebnych cząstek materyi, kiełkuje, kształci się i rozwija pełny organizm roślinny — czyż ziarnko takie

[1] Burmeister. Geolog. Bilder, T. I.

nie jest zawiązkiem widocznie celowym? Jak mistrzowski jest ustrój organów, służących do przyjmowania i rozsyłki pożywnych soków materyi? Nawet wybór odpowiednich i jedynie przydatnych cząstek i składników, dążność do światła objawiająca się w kielku, w listkach i kwiatach, to także znamię celowości, wyciśnięte na całym obszarze świata roślinnego we wszystkich jego fazach[1]. Królestwo roślinne taką ma obfitość narządów i czynności celowych, że pod tym względem wyższem się być zdaje od świata zwierzęcego, zastępując poniekąd instynkt zwierzęcy własnościami organizmu. Miliony najrozmaitszych odmian w całej organoplastyce roślinnej, dają tyleż dowodów celowości władnącej przyrodą.

Niemniej w świecie żwierzęcym celowość tych wszystkich ruchów automatycznych wprawia w zdumienie każdego fizyologa[2]. Ruchy refleksyjne, wywołane akcyą zewnętrzną, zdradzają też samą celowość. Skoro jaki czynnik zewnętrzny podrażni skórę zwierzęcia w któremkolwiek miejscu, zwierzę natychmiast wszelkim sposobem, łapą, językiem, ogonem, stara się usunąć tę drażniącą przyczynę. Przypatrzmy się jeszcze innym organicznym ruchom bądź mimowolnym i bezwiednym, bądź według woli naszej wykonywanym. Ile tam drgań i ruchów się odbywa przy zastosowaniu soczewki ocznej do odległości przedmiotu, albo tęczówki do świetlnej jego siły. Gdy chcemy mówić, pisać, lub śpiewać, jak rozliczne wówczas wiążą się kombinacye ruchów, których większość ludzi nawet się nie domyśla. Świadoma wola mocą swoją pobudza centra nerwowe, które podejmują się spełnić rozkaz w okamgnieniu, oszczędzając jej wszelkiej troski o mechaniczne wykonanie szczegółów. Centra powierzają telegraficznie nerwom ruchowym zamianę czynności na ruchy muszkularne, spełniające ostatecznie zamierzoną czynność śpiewu, mowy lub pisma. Zatem we wszystkich ruchach fizyologicznych, czy to nakształt automatu wewnętrznym partych popędem, czy refleksyjnych, wywołanych akcyą zewnętrzną, czy wreszcie wolą nakazanych, znajdujemy objawy najwyraźniejszej celowości.

Do pierwszorzędnych dowodów tejże celowości kierującej przyrodą, zaliczyć też należy instynkta i wszystkie czynności pod

[1] Wundt. Grundzüge der physiol. Psychol. I., p. 176 etc. — Darwin. The power of movement in plants.

[2] Wundt, ibidem. p. 173.

ich wpływem spełniane. Każda z tych instynktowych czynności stosuje się z matematyczną dokładnością do praw natury, częścią korzystnie, a częścią szkodliwie działających na organizm zwierzęcy. Cel ich główny, jest dwojaki: zachowanie jednostki i zachowanie gatunku. A jednak wszystkie te tak odpowiednie czynności dokonują się nieświadomo, bez najmniejszego nawet pojęcia o zasadniczych prawach fizycznych. Dziecię ekwilibrycznem podnoszeniem rączek usiłujące wesprzeć chwiejny swój krok, stara się widocznie punkt ciężkości utrzymać na właściwem miejscu, by nie stracić równowagi — ale o równowadze i prawach ciężkości oczywiście nie ma wyobrażenia. Kaczątka wysiedziane przez poczciwą kwokę, skoro tylko się wylęgną, spieszą natychmiast do wody, pływając tak umiejętnie, jakby wszystkie reguły pływania oddawna już znane im były. Jaka roztropność, jaka przebiegłość nawet przebija się w instynktach zwierząt przy szukaniu odpowiedniej żywności. W jakiej szkole uczyły się botaniki, że z taką znajomością i wprawą wybrać umieją wśród bujnej łąki zioła pożywne, a odrzucić niepożyteczne lub szkodliwe?

Kto nauczył pająka zastawiać siatki na zgubę nieostrożnej muchy, lub do kryjówki swej cieniutką przędzę prowadzić, która jak drut telegraficzny oznajmia mu o wpadłej zdobyczy? Zkąd wie nasza myszka polna, że kiełek w ziarnku zboża wilgotną ziemią przykryty, przekształca je w roślinę na nic jej nie przydatną? Zkąd ona to wie, pytamy, że z taką pilnością w zimowym swym śpichlerzu odgryza wszystkie kiełki na ziarnkach porosłe?

Siedliska czworonogów i gniazda ptasze są zbudowane najdokładniej według wszelkich praw architektonicznych. Ustrój ich chroni gospodarza od napadu naturalnych jego prześladowców i zarazem ułatwia mu ujęcie potrzebnej zdobyczy. Jak dziwnie przemyślnym jest instynkt rozkrzewiania gatunku, w starannem swem przewidywaniu nawet przyszłych potrzeb potomstwa. Motyl składa swe jaja na tych tylko drzewach, które im dają pokarm niezbędny do rozwoju, a młode gąsienice dopiero wtedy się wylęgają, gdy drzewo świeżym okryje się liściem, bo to konieczny warunek ich istnienia. Inne znowu z jakąż to zręcznością i przezornością oplatają aż do szypułki listek, na którym złożone są jaja, i tysiącem nitek przymocowują go do gałęzi.

Ale zakończmy ten przegląd żyjącej przyrody, by nie przekroczyć zakreślonych granic. Takich ustrojów i organizmów, takich ruchów i funkcyj fizyologicznych, takich instynktowych czynności, miliony krążą w całym świecie żyjącym, owszem, w każdym rodzaju, w każdym gatunku, w każdej nieledwie jednostce [1]. Przyroda więc w niezliczonych swych organizmach świadczy o celowości królującej w jej państwie, milionami dowodów.

Świat nieorganiczny niemniej wspaniałych i widocznych dostarcza nam dowodów. Patrząc w błękit gwiazdami zasiany, mimowolnie ulegamy wrażeniom podziwu i zdumienia na widok wyrytej tam celowości. A ileż to dziwów opowiada nam cały nasz system słoneczny! Jak tu dokładnie zważone masy planet i odmierzona ich odległość, aby siła ciężkości i parcie odśrodkowe równoważyły się nawzajem. Zmieńmy wagę mas, a zwiększmy albo ścieśnijmy odstępy, a wszystkie planety skupią się w centrum słonecznem, lub oderwane od wspólnego ogniska potoczą się w przestrzeń bez końca. Jak sztucznie wytknięte są koleje planet, zakreślona odległość, chyżość obrotowa i czas obiegu! A wszędzie niezmienna tożsamość ruchów i harmonijne współdziałanie wysnute z kilku tylko tak prostych praw!... I wszystko dąży do otrzymania ciągłego obrotu bez przeszkody i przerwy. Lecz system słoneczny to tylko pyłek w układach światów i gwiazd, to tylko drobne kółko olbrzymiej machiny kosmicznej.

Od ogromu ciał niebieskich przejdźmy teraz do najdrobniejszych cząsteczek — do atomów. Te pojedyńcze składniki wszystkich ciał, stoją do siebie w stosunku wzajemnego powinowactwa. Jeden atom łączy się z drugim według praw ściśle określonych, tworząc w tych samych połączeniach zawsze tę samą materyę. Znane formułki chemiczne, są jakby matematycznym dowodem, że celowość sięga w przyrodzie aż do ostatecznych cząsteczek, aż do pierwowzoru materyi. Zamącmy tę współrzędność atomów, zniszczmy chemiczne powinowactwo choćby jednej tylko zasady, np. powinowactwo tlenu z wodorodem

[1] Obacz: Schneider. Der thierische Wille. — Pesch. Welträthsel I., n. 170 sq. — Hartling. Materie und Form. — Zeller aus Aristoteles. Philosophie der Griechen II., 2. p. 495 sq.

i kwasem węglowym, a koniecznem następstwem tej zmiany, byłby zupełny przewrót wszechświata [1].

Nie zapuszczając się zbyt daleko, spojrzmy choć przelotnie na otaczające nas żywioły: na ziemię, wodę, powietrze i słońce, owo źródło światła i ciepła. Ziemia, ta rodzicielka wszelkiej roślinności, jakże skrzętnie stara się o zapasy pokarmu dla swych różnobarwnych dziatek! Choć deszcz ulewny strumieniami ją zmywa, ona rwącym potokom nie dopuści unieść ani jednej drobiny pożywnych swych składników, owszem, sama przywłaszcza sobie z deszczowej ulewy wszystkie cząstki przydatne do rozwoju bujnej wegetacyi [2]. W krótkim czasie zniszczałaby roślinność, gdyby ten konserwatyzm nie był naturalną własnością ziemi.

Uważmy dalej rozkład wód na powierzchni ziemi i ich własność pochłaniania ciepła, przez co stają się regulatorami temperatury, środkiem łagodzącym nieumiarkowość klimatu, dźwignią wszelkiego życia. Tę pożyteczność zawdzięcza woda drobnej na pozór własności, której doniosłość jednak i korzyści są nieobrachowane. Gdyby woda w stałym swym stanie, t. j. w postaci lodu, cięższą była, niż w stanie płynnym, rzeki i jeziora zamarzłyby w zimie aż do dna, z jednej strony zadając śmierć wszystkim wodnym żyjątkom, z drugiej zaś zmieniając zupełnie obieg wód na całej powierzchni ziemi. Jakże więc celową jest ta niepozorna własność wody, że największej gęstości i ciężaru nabiera przy 4° C! Badajmy stosunki składników powietrza, a niepodobna nam będzie nie dostrzedz i tu celowości, bo tylko przy obecnym składzie atmosferycznej mięszaniny możliwe jest życie. Niechby w niej np. zamiast 4 części azotu na 1 część kwasorodu, te same gazy w odwrotnym stosunku ilościowym były połączone, to życie zwierzęce w obecnym swym ustroju ustaćby musiało, i zupełnie inne organizmy daćby potrzeba zwierzętom, by w takiej atmosferze zachować się mogły przy życiu. Gdyby znów pewna cząstka kwasu węglowego (0.03) nie wchodziła w skład powietrza, to życie roślin żadną miarą utrzymaćby się nie mogło. Niechby zaś kwas węglowy domięszany był w nieco tylko większej ilości, jużby organizmy zwierzęce zaduszone ginąć musiały. Nie ma więc nic odpo-

[1] Faraday. Lectures on nonmetallic elements, p. 290 sq.
[2] Liebig. Chemische Briefe II., p. 261.

wiedniejszego do celu, jak właśnie ta a nie inna kombinacya powietrznych składników. Gdyby nakoniec słońce nie stało się ogniskiem światła i ciepła, gdyby tego słońca nie oblewało *medium*, rozsyłające wśród całego systemu ożywcze jego promienie, żaden organizm ostaćby się nie mógł na ziemi. To samo wyrzekł już św. Tomasz [1], a przed nim Arystoteles świetnymi wykazał dowodami [2], lubo im zbywało na tem bogactwie materyałów, jakiem my, dzięki dzisiejszej wiedzy, rozporządzać możemy.

Celowość natury unaocznićby można w jeszcze pełniejszem świetle i wyrazistszej postaci, gdyby hipoteza mego czcigodnego prof. O. Secchiego była już niewątpliwym pewnikiem [3]. Istotną podstawą wszechświata, podług Secchiego, jest materya zasadnicza, obdarzona pewnym rodzajem ruchu. Było też aksyomatem w dawnej scholastyce: *motus localis est primus in natura.* Cały ten świat mechaniczny przeznaczony jest do ukształtowania chemicznego świata z wielorakiem jego powinowactwem i połączeniami *in pondere et mensura.* Świat chemiczny kształci i przysposabia materyę dla świata roślinnego, ten znów ma za zadanie służyć królestwu zwierzęcemu, którego koroną jest człowiek, władzca widomego świata. Jemu wszystkie stopnie bytu i życia organicznych i nieorganicznych jestestw służą do rozwoju nietylko organicznego, ale i duchowego życia.

Celowość więc w naturze jest faktem niezaprzeczonym. Samo przez się nasuwa się teraz pytanie, gdzie źródło tej celowości? Jestli ona skutkiem ślepego, bezmyślnego trafu, czy też dziełem rozumnej przyczyny, która zbudowawszy najprzód w idealnym pierwowzorze tę jedność i całokształt wszechświata, odpowiednio do planu myślą nakreślonego, wyposażyła zasadnicze pierwoskładniki, podporządkowała mechanizm chemizmowi, chemizm roślinnej organoplastyce, spoiła ogniwem zawisłości wszystkie królestwa przyrody zgodnie z potrzebami całego ustroju, i stworzyła formy pierwotne z wrodzoną tendencyą działania podług zamierzonego planu. Nasza pozytywna filozofia w tej cudownie celowej konstrukcyi świata widzi tylko ślepy przypadek, nie bacząc, że

[1] S. Th. S. I., q. 65.
[2] Aristot. Phys. l. II.
[3] Secchi. L'unità delle forze fisiche.

swą teoryą cofa się na stanowisko przed 2.000 laty zajmowane przez Empedoklesa, którego niedorzeczną naukę wyśmiał już Arystoteles[1].

Założyciele nowej filozofii, Kartezyusz i Bakon, wielką mieli ochotę wykluczyć kwestyę celowości z rzędu filozoficznych zagadnień; ale Leibnitz zaprzeczył im tego prawa. Największe jednak zasługi położył Kant, czyniąc filozoficzne badanie całej natury zawisłem od rozwiązania tej kwestyi. Jednym tylko prorokom programu przyszłych umiejętności, przypadło w udziale bić czołem przed potęgą i mądrością ślepego przypadku, której po tylu wiekach rozum ludzki jeszcze zgłębić nie zdołał.

Filozofia chrześcijańska wszystkich wieków głosiła zawsze celowość w przyrodzie, uzasadniając ją dowodami podanymi już przez Arystotelesa. Wzrost nauk w nowszych czasach otworzył jej niewyczerpane źródła nowych dowodów na poparcie tego, co już u twórców pierwotnej szkoły było pewnym wynikiem spostrzeżeń zebranych w daleko ciaśniejszym obrębie. Myślą przewodnią w ich dowodzeniu jest to, cośmy już we wstępie rozprawy powiedzieli o przyczynie celowej (*causa finalis*). Każdy fakt koniecznie mieć musi albo w sobie samym, albo zewnątrz siebie jakąś racyę lub przyczynę dostateczną. To zaś, co nazywamy przypadkiem, nie może być ani racyą, ani dostateczną przyczyną celowej budowy choćby najlichszego organizmu.

Prosty rachunek podług matematycznych reguł permutacyi, daje już przy niewielkiej ilości części składowych niezmierną liczbę możliwych kombinacyj, zkąd prawdopodobieństwo otrzymania pewnej oznaczonej kombinacyi zgoła niknie. Wstąpmy do drukarni, weźmy garść czcionek potrzebnych do ustawienia n. p. następujących słów: „Przypadek jest najmędrszym budowniczym świata“. Mięszając te czcionki w najrozmaitszy sposób wysypujmy je po milion razy; czyż na seryo spodziewamy się otrzymać kiedykolwiek to zdanie w należytym układzie? Wprawdzie nie jest to bezwzględnie niepodobnem, ale przynajmniej bezwzględnie nieprawdopodobnem.

To nieprawdopodobieństwo podnieść jeszczeby trzeba do nieskończonej prawie potęgi, zważając, że te szczęśliwe przypadki, z których każdy z osobna jest już nieprawdopodobnym, miliardy razy

[1] Arist. Phys. l. 2. c. 8.

powtarzaćby się musiały w nieprzerwanym porządku. Bo ile życiowych organów istnieje, tyle mamy celowych ustrojów, celowych poruszeń i to w celowym kierunku, celowych chyżości, celowych współrzędności i podrzędności względem innych ruchów; te zaś w tak niezmiernej odbywają się ilości, że liczba nieprawdopodobnych przypadków, z upływem czasu znowu o całe szeregi miliardów uróśćby musiała. Czemu corocznie na całej kuli ziemskiej zawsze i wszędzie pojawiają się te same organa ukształtowane według odwiecznych pierwowzorów? jeśli zasadniczemi cząstkami kieruje tylko prąd bezcelowy, czemu one nigdy się nie rozejdą, czemu zawsze tak wytrwale zbiegają się w kształt tych samych organów? zkąd ta stałość niezachwiana dziesiątkami wieków? zkąd ta niezłomna regularność, ta konieczność iście przymusowa? Ślepy przypadek nie odpowie nam na to.

Jego nieprawdopodobieństwo staje się formalną niemożliwością ze względu na to, że organoplasmy nie są oddzielnymi osobnikami, ale z tąż samą cudowną celowością zespalają się w jednolitą całość, gdzie każdy organ ma swą czynność właściwą nietylko dla współorganów, ale i dla całego organizmu dziwnie pożyteczną i zbawienną. Czy to przypadkiem oko i ucho zbiegły się właśnie do głowy człowieka, czy przypadkiem język wyrósł mu w ustach, serce w piersi zabiło, a żyły po całem rozbiegły się ciele? Czy to przypadkiem krew znalazła się w sercu, przypadkiem rozlała się po żyłach niosąc wszędzie pokarm i siłę? Zaprawdę, rozum zwykłych ludzi nie zdoła takiego przypadku pojąć. Rozsądniejsi filozofowie, dla których podstawą filozoficzną nie jest systematyczne wykluczanie Boga, zapatrują się całkiem inaczej. Freudelenburg w swych badaniach staje tuż obok Arystotelesa, a tem samem na gruncie katolickiej szkoły [1].

Rzecz to widoczna, że twórca i rzeźbiarz przyrody, najprzód całość myślą uchwycił, a następnie dopiero wybierał sposób jej wykonania. Podług idei całokształtu formował też pojedyńcze części. Oko utworzone jest jako nierozdzielna cząstka całości, jako organ

[1] Freudelenburg. Logische Untersuchungen, str. 19 i indziej.
Aristot. De part. anim. l. I., c. 1. 640 a. 33.
„ „ „ „ l. II., c. 10. 656 b. 26.
„ „ „ „ l. IV., c. 10. 687 a. 7. sq.
„ l. 1. politic., c. 2. 1253 a. 20.

jej potrzebom służący. Tak samo cząstki oczne: soczewka, tęczówka, rogówka i t. d. pojęte są i wykonane zgodnie z celem i całą budową optycznego narządu. Takąż konstrukcyę znajdujemy we wszystkich innych organoplasmach. Możnaby powiedzieć, że idea całości, jak dozorczyni, pilnuje wykonania cząstek, domagając się dla każdej z osobna szczególnych własności, sił i funkcyj. Więcej powiem, idea całości jest jakoby tą twórczą potęgą wrodzoną nasieniu, potęgą, która kieruje całym jego rozwojem podług niezmiennego, osobnego planu organizacyi. Gdzie tylko rozwija się życie, w świecie roślinnym czy zwierzęcym, tam też wre praca, której celem jest odtworzyć w kształtach materyalnych stereotypowe wzory. Cała praca łożona na rozwój każdego jestestwa, zmierza do czegoś przyszłego, co jednak w nakreślonym planie wykończone jest całkowicie. Ztąd też siła rozwojowa, działająca w tysiącach jestestw jednogatunkowych, zawsze zmierza do tego samego celu. Z motylowego jaja rodzi się gąsienica, poczwarka, i znów wylatuje motyl niezawodnie, gatunkowo ten sam. Życie takiego jestestwa w rozmaitych jego fazach jest tylko przekształcaniem tejże samej jednostki, dążącej do swego stałego pierwowzoru i odzyskującej go w końcu.

Słowem, nierozumny traf nie zdaje sprawy z niczego, co się dzieje w organicznej naturze. Samym tylko przypadkiem ani jeden organ nawet powstaćby nie mógł — a cóż dopiero mówić o milionach narządów tak misternie wykończonych, że cała umiejętność i sztuka nic doskonalszego pojąć nie jest w stanie?

Nawet w anorganicznej przyrodzie, trafem tylko nie mógłby się kryształ wytwarzać w tak wiernie powtarzanych kształtach. Ani w niewidzialnym świecie atomów, ani w bezmiernem przestworzu gwiazd, nie byłoby praw, ich ruchom i czynnościom zakreślających granice.

Musi więc koniecznie jakaś dążność rozumna przenikać na wskróś całą przyrodę od głębin oceanu, aż do głębin nieba; bo gdzie tylko jasno się pokazuje szukanie, wybór i przysposabianie środków do jakiegoś celu, tam działaczem i kierownikiem rozum tylko być może.

Zostaje nam jeszcze pytanie: czyj jest ten rozum? co jest pierwiastkiem tej rozumnej dążności przyrody? Jeżeli się

okaże, że jeden jest taki pierwiastek, nad całą przyrodą panujący, jeżeli się oraz udowodni, że on jest nieskończenie mądry, wszechpotężny — i co ztąd wynika, że nie jest jakąś częścią składową, ani nawet plastyczną duszą wszechświata, ale istotą stojącą poza i ponad wszelkiem jestestwem — wówczas uznamy za dowiedzione, że ten pierwiastek jest właśnie tem, co Bogiem nazywamy.

Przystąpmy więc do udowodnienia trzech tych warunków: Dowód pierwszego opiera się na tej prawdzie powyżej już stwierdzonej, że sam ten wszechświat nie jest zbiorowiskiem jednostek bezmyślnie rzuconych, ale jednolitą, harmonijną całością, na jedności celu osnutą. Świat nieżywotny służy za łożysko i szpichlerz bogato opatrzony dla państw roślin i zwierząt: te znów tworzą między sobą nieskończony łańcuch celowych związków; a nad wszystkiem wznosi człowiek z potęgą myśli świecącą na czole — szczyt najwyższy, ostatni stopień widzialnego świata; do niego zmierza wszelka dążność materyi, aby mu zbudować i wciąż ozdabiać najwspanialszy pałac, kędyby znalazł nietylko obfite zaspokojenie potrzeb ciała i zmysłów, ale i pomoc do rozwoju duchowego życia. Słowem cały ów κόσμος niezmierzony, spaja wszelki byt węzłem cudownej łączności w prawdziwie jednolitą całość.

Otóż dawna filozofia orzekła już przed wiekami: *Si multa ordinantur ad unum, invenitur in iis unum principale et dirigens.* Racya zaś jest ta, że: *multa tendunt ad multa, unum ad unum.* Gdziekolwiek jedność panuje w wielości, tam być musi jakiś wspólny pierwiastek tej jedności, pierwiastek będący w sobie jednością. Jeśli dalej w jedności tej systematyczny ład i skład się przebija, natenczas pierwiastkiem takiej jedności może być tylko rozum — i to rozum jeden. Z jedności wszechświata jako uporządkowanego całokształtu, wnioskujemy o jedności porządkującego rozumu, jako przyczynie koniecznej. Jak w porządku rzeczowym z wielu składników, tylko za wdaniem się jednej rozumnej przyczyny powstać może jednolita, organiczna całość, tak znów w porządku logicznym czyli myślnym, ta jedność całości prowadzi nas napowrót do jedności twórczej intelligencyi. Zajrzyjmy na chwilę do jakiejkolwiek fabryki machin. Iluż tam robotników zajętych pracą! a każdy co innego robi. Ten sporządza koła większe i mniejsze, ów kotły, inny rury przewodowe, tamten wyrabia osie, inny

znowu zaokrągla żelazne sztaby i t. d. Czyliż te części tak rozmaite wielkością, kształtem i liczbą, mają za jedyną przyczynę te czynności robotników? Bynajmniej. Jest tam inny wyższy czynnik, bez którego nie umianoby sporządzić części składających się w machinę. Czynnikiem tym jest wzór, określający najdokładniej rozmiary, kształt i własności każdej cząstki z osobna. A gdy już one wszystkie są w pogotowiu, wtedy następuje składanie machiny, ale nie od przypadku, nie podług upodobania każdego robotnika w szczególności; ale podobnie jak części, tak też i całość układa się podług wzoru. Twórcą zaś tego wzoru jeden jest tylko mechanik, jeden rozum co pojął najprzód ideę całości z właściwym jej celem. Aby całość zdatną uczynić do osiągnięcia żądanego celu i podjęte spełnić zadanie, potrzeba było z mnóstwa możliwych środków wybrać odpowiednie, własności ich wszechstronnie oznaczyć, a wreszcie tchnąć ład i harmonię we wszystkie ich współczynne obroty i ruchy. Ta jedna intelligencya pojmująca cel i zadanie przyszłej machiny, utworzyła w myśli pierwowzór, z idealnie oznaczonemi środkami we wzajemnej ich zawisłości. Wprawdzie może się wielu mistrzów naradzać nad osiągnięciem jednego celu, zapomocą odpowiednich środków; ale gdy przyjdzie do wykonania, wówczas jeden tylko obraz duchowy, choć wspólny płód ich myśli, normą jest i wzorem całego dzieła, a więc i tu rządzi jedna tylko intelligencya.

Zastósowanie tej rzeczy do wszechświata jest tu aż nadto widocznem [1]. Ale właśnie zachodzi pytanie, czy nie mogłoby wielu arcymistrzów wspólną naradą i wspólnemi siłami obmyśleć i wykonać machiny kosmicznej, zupełnie tak samo jak wielu sztukmistrzów złożyć się może na wspólny pomysł n. p. machiny parowej? Lecz i to jest niepodobieństwem. Bo intelligencya kierująca składem wszechświata i pojedyńczych jego części, musi być rozumem jego twórcy, jego pierwszej przyczyny. Pierwsza zaś przyczyna wszechświata jednym tylko może być podmiotem. Więc i ów rozum organizatorski jest własnością tego jedynie podmiotu. Sami zresztą wyznawcy i koryfeusze dzisiejszej filozofii przyjmują za niemylny

[1] S. Th. I. q. 15. a. 2. — 3. Dist. 27. q. 1. a. 2. — Pesch, Welträthsel I. c. 4. — Kleutgen, Philosophie der Vorzeit nn. 756, 923. — Wigand, Darwinismus, II. 212. — Trendelenburg, Logische Untersuchungen II. p. 29.

pewnik, tożsamość intelligencyi kierowniczej i porządkującej z pierwszą przyczyną wszechświata. Ich zdaniem celowość przyrody nie jest jej z zewnątrz nadaną; leży ona w samej naturze rzeczy, we wzajemnem przystosowywaniu się jestestw. Twierdzenie to najprawdziwsze w świecie; ale obok niego stoi niezachwianie ta sama konieczność organizacyjnej intelligencyi i domaga się dla niej nadto, na mocy tegoż twierdzenia, wszechtwórczej potęgi. Celowy ustrój i działalność celowa wypływa z wnętrza natury jestestw: czyli innemi słowy, są to siły i własności identyfikujące się z tą naturą. Ztąd też własności te, tylko od tego pochodzić mogą, kto same natury wszechjestestw wywiódł do bytu i dzierży nieograniczoną władzę nad wszystkiem co jest i co się stać ma jego upodobaniem. Taki zaś twórca jest właśnie tą pierwszą przyczyną. Od tej samej więc pierwszej przyczyny, od której pochodzi byt wszechjestestw, pochodzi także ich byt gatunkowy *(esse specificum)* z wszelkiemi jego siłami i własnościami, od niej pochodzi i celowy ustrój w składzie cząstek, i przeznaczenie do czynnego rozwoju tych sił, i przymus do działania w wytkniętym kierunku, wiodącym do wskazanego celu.

W pierwszej więc przyczynie wszechrzeczy szukać należy tej intelligencyi, która wszystkie jestestwa przyrody w tak odpowiedni zestawiła układ, mając nietylko *a posteriori* świadomość wszelkich działań przyrody, ale już *a priori* je stanowiąc pod sterem stałych praw fizycznych i życiowych. To zgodne zestawienie i przystosowanie wszystkich cząstek przyrody, poprzedzić musiała rdzenna i wszechstronna ich znajomość.

Myśl ta nadto jeszcze inną prawdę wysnuwa przed nami. Intelligencya, organizująca wszechświat, nie jest jego składnikiem, nie jest duszą jego, ale zupełnie odrębnym podmiotem, kryjącym w sobie obok rozumu, źródło wszechtwórczej potęgi. Teoretycy, pojmujący pierwiastek organizujący przyrodę, jako „duszę świata“, nie zwrócili uwagi na to, że system ich bezpośrednio prowadzi *ad absurdum*. Gdyby istotna dusza ożywiała układ kosmiczny, łącząc wszystkie jego części w jednę całość, jedność taka stanowićby musiała organizm, którego każda cząstka byłaby narządem bezwzględnie od całości zawisłym: tak i byt każdej pojedyńczej cząstki nie mógłby być samodzielnym, i każdą jej czynność spełniałby właściwie ożywczy

pierwiastek całego organizmu przyrody. A czy jest w wszechświecie taka jedność organiczna? — Jedność, to bardzo elastyczne słowo. Prawdziwa jedność całości zmierzającej do jednego celu, jest zarówno w człowieku, zwierzęciu lub roślinie, podobnie jak w machinie albo w zegarku; a jednak jaka przepaść dzieli te dwa rodzaje jedności! W machinie lub zegarku każda najdrobniejsza cząstka, każde kółko, każda śrubka nawet, stanowi odrębną całość. Wprost przeciwnie dzieje się w organizmie. Oko samo przez się nie widzi, ucho nie słyszy, odłączyć ich z jednego organizmu a przenieść do drugiego — niepodobna. Koło pozostaje kołem i obracać się może tak w tym, jak i w innym przyrządzie, tak łącznie z całością machiny, jak i odrębnie od niej. Pierwiastkiem jedności machiny jest rozum oddzielny, który cząstki jej przystosował i zespolił w całość. Każda cząstka działa tu mechanicznie na drugą, ale żadna z nich nie ma w sobie siły kształtującej całość i nią kierującej. Ztąd też żaden zegarek sam się nie wydoskonalił, ani uzupełnił, żadna machina nie zrodziła sobie podobnej, jak się to dzieje u zwierząt i roślin. W organizmach pierwiastek jedności jest wewnętrzny, kierujący wszystkiemi jego częściami; on jest normą ich funkcy, on osobną siłą ich tworzenia się, rozrostu i uzupełniania. — Do któregoż z tych dwóch ustrojów podobnym jest układ wszechświata? Gdyby jedność jego organiczną była, wtedy wszystkich ludzi uważaćby trzeba jako listki jednego drzewa, lub muszkuły jednego ciała ludzkiego. Każde jestestwo przyrody: człowiek, zwierzę, roślina, lub pyłek jest zamkniętą w sobie całością, dążącą do właściwego sobie celu. Wprawdzie w tworzeniu i układzie wszystkich tych drobnych światków, jeden cel wspólny miarą był i wskazówką: cel zespolenia ich w jeden wszechświat olbrzymi; ale w tym świecie nie ma składnika, ani pierwiastka, któryby był regulatorem pojedyńczych części, ich siłą życiodajną, ich rozsadnikiem, lub co więcej, twórcą nowych światów. Jak zegaru lub machiny nie porządkuje żadna z części składowych, ale rozum, rozdzielający im czynność i stanowisko, tak też i sprawczynią ustroju wszechświata nie jest część doń przynależna, ale intelligencya całością i częściami władnąca. Nie masz więc duszy świata, ale jest ponad światem rozum, co myślą stworzył ten skład cudowny i zarodki jego tchnął w jestestwa, i wyrył w nich nieodmienne prawa i zakreślił im granice, i wlał dążność i wszystko

ukształcił i złączył w tę cudowną harmonię wszechświata [1]. Dziwna to rzecz doprawdy i godna szczególniejszej uwagi, że gdy chodzi o zaprzeczenie duszy człowiekowi, tam materyaliści wytężają wszystkie siły i cały zasób swej dyalektyki, byle tylko wyjaśnić osobową indywidualność i życiowe jej właściwości bez pomocy duszy, gdzie zaś chodzi o wyjaśnienie harmonii wszechświata, tam znów z niepojętą łatwością uznają w nim duszę plastyczną, byle tylko pominąć Boga i obejść się bez Jego interwencyi.

Konieczną więc jest w obec budowy wszechświata intelligencya, i to po za nim leżąca i od niego zupełnie odrębna. Ale odpowiedzieć jeszcze winniśmy na pytanie, czy intelligencya ta jest nieskończoną, nietylko w porównaniu do słabych rozumków naszych, ale bezwzględnie, czy jest nieskończoną pełnią wszelkiej mądrości i wiedzy? Dowody czerpać będziemy nie tak z ustroju świata, jako wymagającego nieskończenie mądrej przyczyny, jak raczej z wymagań podmiotu, taką intelligencyę posiadającego. Bezwątpienia intelligencya ta czynną być musiała przy tworzeniu natur wszechrzeczy, przy wyposażaniu ich rozmaitością sił i przymiotów. Natury zaś wszechrzeczy pochodzą od pierwszej przyczyny; tej więc pierwszej przyczyny własnością jest owa kierownicza intelligencya. Że zaś pierwsza przyczyna jest istnością bezwzględną, więc też intelligencya jej bezwzględną a ztąd i niezależną być musi. Będąc pierwszą, nie mając po za sobą innego rozumu, zkądby mogła zaczerpnąć nowego światła i nowej wiedzy, ta intelligencya musi być najzupełniej wystarczającą sobie, a ztąd nieskończoną; wszelka bowiem potrzeba jakiegokolwiek zewnętrznego czynnika do jej rozwoju i uzupełnienia — byłaby już zależnością. Bezwzględne wystarczanie sobie i nieskończoność są zatem synonimy, równoważne pojęcia. Kant pochlubił się niegdyś odkryciem tej tożsamości. Nie potrzebne jednak były te trudy nad jej dochodzeniem. Gdyby był bowiem znał choć trochę filozofię scholastyczną, nie byłoby mu tajnem, że ten jego wynalazek był już w posiadaniu tej szkoły, jako prawda powszechnie wiadoma i od dawna udowodniona. Wszakże Kant mniemanem odkryciem swoim tę korzyść przynosi, że osobistem

[1] Cf. S. Th. c. Gent. l. 3 c. 24. — Summ. theol. l. q. 103, a. 1 ad 3, Kleutgen, Philosophie der Vorzeit. Von Gott n. 920 sq.

badaniem stwierdzając naukę dawnej filozofii, daje prawdzie nowe świadectwo [1].

Tak więc przypatrując się widocznej harmonii w przyrodzie, poznaliśmy nieskończoną intelligencyę, będącą pierwszej przyczyny udziałem. Ta zaś nieskończenie rozumna, wszechtwórcza przyczyna, jest właściwie tem, co Bogiem nazywamy. Zkądkolwiek zatem na świat ten patrzymy, wszędzie prowadzi on nas do Stwórcy swego, do Boga, nie takiego, jakim go panteizm wymarzył, ale takiego, o jakim poucza nas wiara. Patrząc na bierną stronę świata, t. j. na niestałość ciągłych odmian, którym on podlega, dochodzimy do Boga, jako nieodmiennej przyczyny wszelkiej zmienności. Patrząc na czynną jego stronę, i. j. o ile on się przedstawia, jako przyczyna działająca, w Bogu znajdujemy źródło wszelkiej przyczynowości. Badając samo istnienie świata, spostrzegamy w gatunkowym rodzaju jego bytu niekonieczność i dowolnoistność zmuszającą do uznania wiekuistego i koniecznego bytu, jako podstawy wszelkich względnobytów. Wglądając w najrozmaitsze doskonałości promieniące z martwej i żywej przyrody, wznosimy się po ich szczeblach aż do najwyższego ich szczytu, do Boga, który jest streszczeniem a pełnią wszelkiej doskonałości. Misterny skład wreszcie i porządek przebijający się wszędzie, daje świadectwo o wszechmądrym i wszechpotężnym kierowniku i władzcy wszechświata. Dowodów tych nie udało nam się zapewnie w pełnej ich sile przedstawić; ale zwycięzki wpływ, jaki one wywierały zawsze na umysły samych przodowników myśli ludziej, od czasów Arystotelesa, daje najwymowniejsze świadectwo o ich bezwzględnej wartości i mocy. (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

[1] Kant, wyd. Rosenkranz'a I. str. 238, 285 i indziej.

Z PAMIĘTNIKA DZIENNIKARZA.

II.

Nadeszła epoka reakcyi. Ciężka, ołowiana ogarnęła wszystko atmosfera. Otwarte i opróżnione przed rokiem więzienia, zaczęły się na nowo zapełniać. W dziennikarstwie galicyjskiem nastała cisza, a ci co najgłośniej krzyczeli, ucichli i znikli bez śladu. Policyjne rządy nie dochodziły tylko czynów, ale ścigały za objawy opinii, których jawny wyraz był niemal prowokowany zupełną wolnością słowa i pióra z trybuny rady narodowej i z szpalt dziennikarskich. Za tajne knowania straconym został Goslar, epigon centralizacyi wersalskiej; więzienie i śledztwa przyspieszyły śmierć Anny Różyckiej za kilka schwyconych listów do przywódców emigracyi, a sprawa Adama Potockiego pozostała zagadką jakiejś osobistej, czy stronniczej zawziętości przeciw jednemu z pierwszych magnatów w kraju, miała znaczenie groźby zwróconej przeciw temu właśnie konserwatywnemu kierunkowi w społeczności polskiej, który występował śmiało do walki z anarchicznym żywiołem i okazywał zwrot pojednawczy, w obec tradycyjnej i katolickiej monarchii. Akt łaski cesarskiej jedynie uchronił tę sprawę od tragicznego rozwiązania.

Dziesięciolecie rządów bachowskich nie było prostym powrotem do *status quo ante*. Powrót taki jest tylko możliwy, gdy dwa mocarstwa stoczą nierozstrzygniętą walkę i w traktatach międzynarodowych cofną się na dawne stanowiska. Inaczej jednak, gdy ziemia pod nogami uległa wstrząśnieniom, tron się zachwiał i otwarły się wewnętrzne kratery, wtedy choć siła zorganizowana pokona dezorganizacyjne żywioły, nie zdoła ich jednak do dawnych weprzeć

napowrót łożysk. Reakcya z natury rzeczy jest tylko kontrrewolucyą, nową falą, która do reszty wstrząsa dawną równowagę i w podstawach niweczy stary porządek.

Tak Napoleon I., który pokonał rewolucyę, a rozniósł szeroko po świecie ziarna jej zasad, skonsolidował je w kodeksie napoleońskim i wielu instytucyach, rozerwał odwieczną harmonię panujących z poddanymi na półwyspie włoskim, w państwie kościelnem, zamykając wszędzie działaniem siły drogę prawnej i normalnej reformy. Tak działa każda reakcya, gdy tylko brutalną siłą chce wstrzymać prąd czasu.

Dawny absolutyzm monarchii rakuskiej zachował za panowania cesarzów Franciszka i Ferdynanda wiele pierwiastków patryarchalnych i nie naruszył naturalnego i historycznego ustroju, bezwzględną centralizacyą odejmując tylko lub ścieśniając stare instytucye hierarchiczno-reprezentacyjne. Reakcya bachowska wprowadziła w administracyę, w ustawodawstwo, w całą politykę wewnętrzną nowe ideje. Bliższa analiza, na którą tutaj niema miejsca, wykazaćby mogła, że ten mąż stanu powołany z barykad, nie sprzeniewierzył się swojej pierwotnej misyi, w kierunku rewolucyjnej niwelacyi, że pod osłoną policyjnych rządów zaszczepił ducha nowożytnego w ujemnem tego słowa znaczeniu, na wszystkich polach: odnawiając józefinizm w stosunku do Kościoła, a w obec społeczeństw i narodowości, opierając swój program na bezwzględnej centralizacyi i systemie zgermanizowania. To wszystko było działaniem niwelacyjnem, niszczącem stary organizm, który miał dotąd niemal średniowieczną powłokę i pewną historyczną ciągłość. Reakcya bachowska nie była podobną do czasów metternichowskich, dawne godło *bleiben wir beim Alten*, zastąpiono pośpiechem reformatorskim organizowania i reorganizowania wszystkiego na nowe kopyto biurokratycznej omnipotencyi.

Zbyteczna przypominać, jak ciężkie nastały czasy dla Galicyi, która za Metternicha była tylko dzierżawą oddaną na dyskrecyę importowanej biurokracyi, ale używała spokoju i dobrobytu, a którą teraz próbowano strawić za pomocą niedokwasów społecznych i rozpoczynającego się właśnie procesu ruiny ekonomicznej.

We Lwowie prasa znów zredukowaną została do jednej tylko urzędowej *Gazety lwowskiej*, już nawet bez *Rozmaitości*. Zapano-

wało tam wielkie przygnębienie, a na dnie wrzały te same instynkta radykalne, jakie pobudził rok 1848. Ponieważ objawy narodowe wymuszone tam bywały z dołu, przeto zidentyfikowało się na bruku lwowskiem pojęcie demokracyi z pojęciem patryotyzmu. Przywódcy demokratycznego ruchu oczekiwali tylko chwili, aby na nowo ster ująć opinii, teraz w czasach najcięższych ustąpili z placu, a reakcya rządowa odbiła się także zwrotem politycznym i towarzyskim: kontusze i konfederatki poszły do kufrów, wyszły natomiast z nich na wierzch ukrywane w r. 1848 klucze szambelańskie i ordery, trójkolorowa z czarnożółtą chorągiewka zwracała się za każdym powiewem wiatru według tego, czy dął z dołu, czy powiewał z góry.

Nikt też tam nie pomyślał, aby po świeżych ciężkich doświadczeniach, powoli, spokojnie wyrabiać i przygotowywać opinią w poważnym kierunku. Ważną jest bardzo ta okoliczność, że kiedy Lwów ulegał tylko zmiennym paroksyzmom ultralojalności z uszczerbkiem godności narodowej, lub ultrapatryotyzmu w brukowym, anarchicznym gatunku — w Krakowie utrzymał się organ przez całą epokę biurokratycznej reakcyi, jakby posterunek obserwacyjny i straż ducha publicznego.

Do *Czasu* pod koniec 1848 r. powołanym został przebywający w Wielkopolsce Maurycy Mann, w parę lat później wstąpił do tego dziennika b. redaktor demokratycznej *Jutrzenki*, Aleksander Szukiewicz.

Z odmiennej wyszli szkoły ci dwaj publicyści, nieprędko wyrównali między sobą odcienia i różnice zasad, ale wspólną sumienną pracą, prawością charakterów, miłością kraju, dobrą wiarą i zdolnością wyrzeczenia się siebie zbliżeni, uzupełniali się wzajem. Mann miał wykwintne wychowanie zagraniczne, wielką znajomość świata i ludzi, stosunki rozległe i wpływowe, zasady ściśle katolickie, wyrobione na de Maistrze, obok niezłomności przekonań wielką miarę w ich stosowaniu, aby, jak mawiał, udzielać taką dozę, jaką opinia w danym razie przyjąć jest usposobioną. Wielki urok w obcowaniu i dar wpływania na umysły, tworzyły zeń polityczną i towarzyską potęgę, która jednak nie występowała na zewnątrz, ukrywała się owszem za stołem redakcyjnym, bo nigdy nic dla siebie zdobyć nie pragnął, bo starał się pozostać siłą utajoną w obec opinii publicznej, aby tem skuteczniej ją naprowadzać na zdrowe tory.

Podobną bezosobistość, nader cenny a rzadki przymiot dla publicysty i wyrzeczenie się wszelkiej poza dziennikiem funkcyi publicznej, miał także Aleksander Szukiewicz, ale wychowaniem i stosunkami więcej zbliżony do sfer miejskich, miał pewną twardość i szorstkość demokratyczną. Nie abdykował on wcale ze swych młodzieńczych przekonań, ale doświadczeniem, nauką, pracą stopniowo je modyfikował i przebył proces wewnętrzny. Dwie te, tak różne postacie, wnet ścisłą związane przyjaźnią przy jednym stole redakcyjnym, o ile w opiniach długo się krzyżowały, o tyle rodzajem zdolności i talentem wnet uzupełniły. Mann szersze i głębsze poglądy, Szukiewicz przynosił olbrzymią pracę; pierwszy wyrobiony na wzorach francuskich, z całym światem zachodnim zespolony, drugi miał systematyczność i dokładność niemiecką, którą wyniósł z uniwersytetu wrocławskiego.

Dodajmy, że założyciel dziennika, Lucyan Siemieński, objął fejleton i czarem swego pióra złączył dziennik z wielkim ruchem literatury świata i ze sferą poezyi polskiej, która jeszcze nie była przekwitła. Bezpośrednia styczność z tem wszystkiem, cośmy mieli w kraju i na emigracyi najznakomitszego, stawiała ten dziennik w wyjątkowych warunkach.

Lubo przerwaną była działalność, nierozerwaną pozostała łączność grona ludzi, zjednoczonego na sejmach w Wiedniu i Kromieryżu. Hasło Adama Potockiego „w kraju“, nie było czczym frazesem, ale pierwszem słowem nowego programu, przeciwstawionem wówczas emigracyjnej działalności pozakrajowej, jak o tem przekonać się można z korespondencyi Potockiego z jenerałem Zamojskim (patrz: Teka narodowa Karola Forstera). Drugiem słowem tego programu wewnętrznej pracy, było ścisłe trzymanie się legalnej podstawy, szukanie możliwego kompromisu i ewentualny utylitaryzm, który nic nie przesądza i niczego się nie wyrzeka, który, jak mawiał w Warszawie Andrzej Zamojski, wszystko przyjmuje a z niczego nie kwituje.

Kiedy Adam Potocki, Z. A. Helcel, Jerzy Lubomirski, Franciszek Paszkowski i Henryk Wodzicki stanowią w Krakowie najbliższe otoczenie redakcyi, która atoli pod wodzą Manna zachowuje stanowczo zasadę swej niezależności, nawet w obec najbliższych przyjaciół i opiekunów; Paweł Popiel i margrabia Wielopolski sta-

nowią łącznik między organem krakowskim a życiem społecznem po za kordonem. Leon Rzewuski umieszczający często w *Czasie* artykuły, stanowi znów żywe połączenie z Rzymem i ruchem katolickim Zachodu.

Skład redakcyi uzupełnia, w miejsce zmarłego Sobolewskiego, Antoni Kłobukowski przyjmując na siebie ciężki naówczas i ryzykowny obowiązek odpowiedzialnego redaktora, a przesuwa się przez tę wyjątkową zaiste w Polsce redakcyę szereg ludzi, którzy wnet wydatne w społeczeństwie zajmą stanowisko, że tylko wspomniemy Zygmunta Sawczyńskiego, Mikołaja Zyblikiewicza, Leona Chrzanowskiego.

Wszelako *Czas* od początku swego istnienia nie był jednolity, jak dzienniki katolickie za granicą. Nigdy nie miał naczelnego redaktora, zawsze opierał się na wewnętrznych i zewnętrznych kompromisach. Indywidualizm będący cechą charakterystyczną naszego społeczeństwa cechował i tę organizacyę dziennika. Republikański ten ustrój i ten ciągły kompromis miał dodatnią stronę o ile chronił od gwałtownych zapasów dziennikarstwa i rozbratu jaki po dziś dzień dzieli konserwatystów we Francyi, ale miał też ujemną, bo ujmował dziennikowi niekiedy barwy i życia, to może było powodem, że zasady które stawiał oględnie nie wniknęły dość głęboko.

Wstrzymywano się wtedy w ogóle od rozdzielania opinii na stronnictwa. Psychologicznie i historycznie jesteśmy aż nadto usposobieni do wewnętrznego rozdarcia, nie w imię różnic zasad, ale częstokroć w imię osobistości i koteryi. Gdy kraj skazany na bierność, wtedy, aby znaleść siłę przetrwania i siłę odporną, potrzeba skupienia. Zasady w takich warunkach wyjaśniają się lub stawiają niemal tylko w akademicki sposób, w teoryi, bo do praktycznego zastósowania brak podstawy faktów, a solidarność ścieśnia się tem więcej, że suma wspólnych uczuć ciągle obrażanych i interesów gnębionych, przeważa nad różnicami i odcieniami przekonań.

Były dopiero w Galicyi pierwiastki do utworzenia stronnictw, ale stronnictwa nie improwizują się na komendę, trzeba aby je wywołały okoliczności. Nastąpiło też to o wiele później, gdy nadeszła konieczność obrachunku ze strasznej katastrofy, za którą na Galicyi cięży na nieszczęście wielka odpowiedzialność. Drugi powód, który przyczynił się do zgrupowania stronnictw, to były warunki parla-

mentaryzmu, lubo one nałożyły mechaniczny, że tak się wyrażę, rozdział na kluby sejmowe, bez istotnych, głębszych różnic w zasadach, w sporach o środki i metodę działania, — nigdy prawie o cel i rdzeń kwestyi.

Między mężami politycznymi wschodniej a zachodniej Galicyi były także tylko różnice metody i punktu wyjścia, a nie kierunku. Lwów jako urzędowa stolica i siedziba władz posiadał tradycyę i niemal szkołę ludzi wyrobionych w administracyi, statystów jakby powiedziano za dawnych czasów, którzy znali na palcach wszystkie szczegóły spraw, ich historyę od wcielenia Galicyi. Kraków znów bliższy zachodu, oraz tradycyj czerpanych z instytucyj Królestwa Polskiego, wprowadził do sejmów szlachetny popęd do reform i postępu społecznego. Uzupełniały się, choć niekiedy krzyżowały te dwa odcienia konserwatyzmu, zgodne w rzeczach zasadniczych.

Lecz choć taka panowała harmonia i wspólność między stronnictwami dwóch dzielnic kraju, w dziennikarstwie dwóch miast były przeciwieństwa, mające sprowadzić burzę. Dziennikarstwo lwowskie zbyt długo milczało, przeto zatrzymało się na epoce 1848 r. w pojęciach, uprzedzeniach i instynktach. Siła opozycyjności utrwaliła się w milczeniu, aby tem gwałtowniej przy danej wybuchnąć sposobności. Pierwsze atoli ocknienie się publicystyki lwowskiej budziło dobre nadzieje, zwłaszcza pod względem świeżych sił i talentów.

P. Jan Dobrzański, który zachował sławę trybuna z 1848 r. przebywszy kilka lat następnie w kompanii karnej, uwolniony z wojska, z właściwą sobie rzutkością wystąpił na pole publicystyki i objął zrazu redakcyę *Dziennika literackiego*. Przypadkiem, czy szczęśliwym instynktem powiodło mu się zwerbować dla *Dziennika* pióra wiele rokujące. Roczniki *Dziennika literackiego* między 1858 a 1862 mają istotną literacką wartość i znaczenie dodatnie w historyi naszej publistyki. Młody naówczas Józef Szujski przechodzący od poezyi do historyi, umieszczał w dzienniku „Portrety nie Van Dycka“, gdzie z właściwą sobie zdolnością charakterystyki psychologicznej chwytał typy współczesne, na tle tendencyi jeszcze niezupełnie dojrzałych i ustalonych, ale zawsze szlachetnych i głębszych. Tu także drukował powieść pełną fantazyi i obserwacyi psychologicznych „Czyste i Mętne dusze“. Tu odezwał się śpiewak „Skarg Jeremiego“, sypnął iskrami poezyi w „Listach z pod Lwowa“,

i rzucił wiele palącego żaru. „Listy te z pod Lwowa“ były rodzajem manifestu nowych prądów i dążeń. Pamiętny był to napad Ujejskiego na Pola. Poeta wystąpił jak oskarżyciel publiczny, a uczeń stawił przed sąd tego, którego zwał swym mistrzem. Wspomnieliśmy już, jak szeroki w kraju przed wypadkami w 1846 r. wywierał wpływ Wincenty Pol. Porąbany przez chłopów, następnie szarpany przez demokracyę emigracyjną, poważniony z dawnymi przyjaciółmi z arystokracyi, majątkowo zubożały, stary i poczciwy bard tradycyj szlacheckich, wszedł w ten okres, kiedy się już produkuje dla życia, bez pierwotnej siły natchnienia. Choć nie wszystko było równe, i poeta wpadał w manierę, jednak w tym okresie stworzył dzieła pierwszorzędne, jak Benedykta Winnickiego, Mohorta, Wita Stwosza.

Był to stary miód szlacheckich tradycyj, który nie mógł przypadać do smaku tym, którzy jeszcze upojeni byli szampanem 1848 roku. Ścisłej ortodoksyi katolickiej nie znosili ci, co zaczerpnęli ze źródeł mistycyzmu mesyańskiego, a których nęcił rodzący się właśnie spirytyzm. Szlachetność i tradycyjność raziła ludzi wychowanych na katechizmach demokratycznych. „Z drogi, bo my idziemy“, zawołał Kornel Ujejski i dał hasło nowego ruchu, który miał być fermentem w sferze literackiej, tego co się w demonstracyach kościelnych, zjazdach i manifestacyach niebawem miało objawić czynnie.

W tym samym dzienniku omawiał młody Władysław Łoziński kwestye naukowe, artystyczne i literackie w *Zapiskach literackich*, poważnie a lekko, a brat jego Walery Łoziński umieszczał powieści obyczajowe niepospolitego talentu. W rocznikach tego pisma znajdują się rozprawy historyczne Bielowskiego, Schmitta i rozprawy ekonomiczne Józefa Supińskiego. Zgoła była to chwila budzących się talentów, które dopiero szukały dróg i miały przebyć proces wewnętrzny.

We Lwowie miała wówczas nauka i literatura zastęp znakomitości; ale atmosfera miasta, obojętnego i nieprzystępnego dla rzeczy umysłowych salonu, krzykliwej i płytkiej ulicy, trzymała każdego w odosobnieniu. Zamknął się w swoim dworku na Halickiem sędziwy Aleksander Fredro, zniechęcony oddawna, i potępiony przez krytykę lwowską za to, że zamiast nastroić lutnię na ton płaczliwy i liryczny, stworzył potężną komedyę polską. Ociemniały

Szajnocha dyktował jeszcze swoje arcydzieła, ale z wyżyn historyi i sztuki nie lubił zstępować. Maurycy Dzieduszycki, niepopularny jako hofrath, a bardziej jeszcze dla swej ortodoksyi katolickiej, trzymał się na uboczu, kierując zakładem Ossolińskich. Bielowski od swych monumentów nie dawał się odrywać, poeta w nim zagasł, dojrzał badacz. Mężowie ci pierwszorzędni nie zdołali sobie stworzyć otoczenia, żyli, pracowali i umierali wśród chaotycznego ruchu opinii, to też fala do nich nie lgnęła, ani oni do fali.

Pod wpływem wzbierających wypadków rozprzęgła się ta spółka pisarzy zgrupowanych przypadkowo w *Dzienniku literackim*. Ujejski odrzucił na długo lutnię i pióro, które miało ostrze sztyletu. Szujski osiadł w Krakowie, a przebywając wewnętrzne przeobrażenia, nowe tu wytknął szlaki. Władysław Łoziński miał nieco później objąć sędziwą *Gazetę lwowską*, organ urzędowy, który niegdyś był ochroną literatów, następnie podupadł tak, że miał tylko, po za liczbą oficyalną, dwóch prenumeratorów, gdy nowy redaktor miał dokonać tej sztuki, że urzędowy dziennik miał zjednać sobie najszersze koło czytelników wśród znużonej i zniechęconej publiczności. Nastąpiło to bowiem o wiele później, gdy nadużyto do zbytku niezawisłości prasy, z której zdjęto munsztuk i wędzidła cenzury.

Żył we Lwowie ubogi *impressario* dziennikarski, chodzący w wytartej i obszarpanej czamarze, nazywał się Stupnicki, układał herbarze szlachty galicyskiej, posiadał niezmierny zapas rad i przepisów dla gospodyń domowych, a był w zasadach wielkim eklektykiem. Figura ta znana nad Pełtwią, dziś już zapomniana, odegrała ważną rolę inicyatora w zakładaniu rozlicznych z kolei dzienników różnej barwy. Stupnicki dał początek *Przeglądowi, Kronice, Dziennikowi lwowskiemu, Dz. Polskiemu* i *Gazecie narodowej*. Ale baśń o Chronosie, który pożerał swoje dzieci, ziściła się tu w odwrotnym stosunku. Zaledwie żmudnym zachodom Stupnickiego, dla którego gubernator Gołuchowski miał jakieś politowanie, powiodło się wyjednać konsens rządowy, wyszukać mecenasa, coby dał kaucyę, i złożyć redakcyę z którejkolwiek kawiarni lwowskiej; a wnet redaktorzy pozbywali się założyciela, gdy on wpierw odsiedział kilka miesięcy wieży za jakieś swych niewdzięcznych kolegów przestępstwo drukowe. Niezrażony tylu zawodami Stupnicki, przez lat kilka

prowadził *Gazetę wiejską*, dodając do niej ów herbarz i owe rady gospodarskie. Przed wielu laty, piszący te wspomnienia miał także zaszczyt propozycyi Stupnickiego, który przedstawiając się jako założyciel dziesięciu dzienników radykalnych, co się wzajem pożarły, zapragnął tym razem spróbować barwy, jaka jeszcze we Lwowie nie była znana, założyć dziennik „ultramontański".

Jeśli ś. p. Stupnicki był inicyatorem, to p. Jan Dobrzański był właściwym twórcą i mistrzem szkoły publicystycznej lwowskiej. Sam wprawdzie nie władając biegle piórem, przeniósł zdolność trybuna i agitatora do publicystyki, odznaczając się niezmiernym instynktem odgadywania prądów opinii. *Suum cuique*, p. Dobrzański miał pewną zasługę w odgermanizowaniu, że tak powiemy Lwowa. Szkoła, której był przywódzcą, dokonała tego teroryzmem pióra. Powstało ztąd ciągłe zatwierdzanie polskości, o której nikt wątpićby nie powinien, ciągłe licytowanie patryotyzmu w słowach a nie w czynach, w zewnętrznych manifestacyach a nie w wytrwałej pracy. Dziennikarze stali się cenzorami i stróżami życia publicznego, a choć do tego mało przedstawiali kwalifikacyi i mało rękojmi moralnych, zajęli wnet stanowisko prokuratorów i sędziów cnoty obywatelskiej. Słowa „zdrada, odstępstwo, Targowica" od r. 1848 weszły w słownik podręczny dziennikarzy tej szkoły, jak później w tym podręczniku zapisano słowa: „korrupcya, prywata, sprzedajność, serwilizm"...

Nie może być naszem zadaniem podać tu historyą dziennikarstwa w Galicyi przez ostatnie lat dziesiątki we wszystkich przemianach i szczegółach. Wystarczy, gdy naznaczymy główne okresy i fazy, a w nich szkoły i prądy dziennikarskie.

Epoka ta da się podzielić na trzy okresy: pierwszy od r. 1848 do r. 1859 okres bierności, wyczekiwania, budzących się zwolna aspiracyj w obec systemu cenzuralnego, który był w Austryi ścisły i kapryśny, a dla nas podejrzliwy. Drugi okres, to pierwsze lat dziesięć ery konstytucyjnej; jest on dla nas czasem zdobywania stanowiska, rugowania starej biurokracyi wraz z germanizmem, dorobku autonomicznego. Dla dziennikarstwa to okres *Drang und Sturm Periode*. Wreszcie od r. 1870 zatrzymujemy się w życiu politycznem na terenie zdobytym, budzi się potrzeba obrony i zachowania, oraz użytkowania i stosowania danych warunków; stąd też wypływa konieczność formowania się stronnictw a w dziennikarstwie nowe

zapasy, może o wiele trudniejsze od poprzednich, bo łatwiej o zgodę, gdy się idzie do szturmu i szerokie zakreśla programy, niż wtedy, gdy przychodzi pora praktycznego zrealizowania osiągniętych korzyści i utrzymania konsekwencyj politycznego programu.

W pierwszym peryodzie reakcyi i bierności na arenie dziennikarskiej nie kruszono na ostro kopij; interwencya cenzury rozbrajała zapaśników. Wprawdzie naznaczono już w szerokich konturach programowe myśli i drogi wytyczne; krzyżowały się opinie, ścierały teorye i zasady, ale starcia te odbywały się pod figurami i w przenośniach; tendencyę trzeba było czytać między liniami, pod przebraniem: zagranicznych kwestyj.

Jeśli jaki objawiał się rozdział, to ten, który pozostał po r. 1848, według zużytej już i przestarzałej formuły: arystokracyi i demokracyi. Właśnie podówczas w Paryżu Klaczko kruszył i wywracał dogmata demagogicznej religii Mierosławskiego w *Katechizmie nierycerskim*. Świetna ta kampania odbywała się atoli w powietrzu, czyli w tej atsmosferze emigracyjnej, w oderwaniu od realnych stosunków kraju. Powstał tam podział na czerwonych i białych, ale oba obozy, choć tak diametralnie sprzeczne, miały tę wspólną cechę, że krajem rządzić chciały z obczyzny, według kombinacyi lub systemu apriorycznie narzucanego. Pismo *Wiadomości polskie* nie było wolne od tego błędu, a napotykamy tam, obok świetnych i pełnych zdrowia i prawdy rzeczy, które dziś stanowią wzór i źródło dla publicystów naszych, pewien ton dydaktyczny, wytykający drogi, rzucający wyroki zbyt bezwzględne a nieliczące się z warunkami w kraju, czy chodzi o objawy życia społecznego, czy o krytykę prac literackich. *Wiadomości polskie* dostają się ukradkiem do kraju i wywierają tu wpływ, równający się chyba płodom poezyi emigracyjnej, która dotąd jeszcze całkowicie nie ucichła. Młoda generacya wychowana na poezyi, rozdzielająca się dotąd na tych, co Krasińskiego w życie wprowadzić pragną i tych, co się lubują w Słowackiego fantazyach, teraz chwyta broszury Mierosławskiego i jego achatesów, lub odpowiedzi Klaczki i Kalinki. Dwaj ci pisarze stanowią przełom z epoki poezyi, do publicystyki w wyższem jej znaczeniu, jako córy historyi i siostry literatury. Kalinka, który debiutował w *Czasie*, opuszczając kraj rzucił broszurę zbyt ostrą i zbyt osobistą, a nie we wszystkiem sprawiedliwą, pod pseudo-

nimem Pęcławskiego, ale drugą ręką dał studyum poważne i pełne badań zapowiadających przyszłego historyka p. t.: „Kraków i Galicya“. Klaczko świetnością swego pióra olśniewał, lecz artysta dbały o formę i wrażenie, nieraz skupiał zbyt wiele światła lub cieni, założenie posuwał do ostateczności, niemal paradoksu.

Ścisłej miary, z konieczności cenzuralnej i z gruntownej znajomości psychologii społeczeństwa, trzymali się konserwatywni publicyści w kraju, a Lucyan Siemieński ostrzegał przed szkołą exageracyi.

Mdłe są roczniki dziennikarskie z owej epoki. Pierwsza kwestya sporna, która wywołała z jednej strony zapał w obronie zasad, z drugiej namiętność, to sprawa władzy doczesnej. Był to zaiste próbierz zasad i poczuć katolickich w opinii polskiej. Do Rzymu zwracaliśmy się często z wyciągniętą ręką szukając tam ratunku lub pociechy w własnych udręczeniach, stwierdzaliśmy naszą prawowierność najczęściej tylko przez antytezę do tego co nam zagrażało, lub z utylitaryzmu narodowego. Teraz stawało pytanie, czy się czujemy solidarni, gdy cios wymierzony na głowę Namiestnika Chrystusowego i czy interes powszechnego Kościoła i jego Stolicy nam leży na sercu?

Uchwycił za pióro Mann i Golian w Krakowie, Jan Koźmian w Poznaniu, Maurycy Dzieduszycki we Lwowie a Zmartwychwstańcy na emigracyi. Ale były to głosy odosobnione, zagłuszone powszechną wrzawą.

Liberalizm i sekciarstwo skorzystało z tej sposobności, aby w dziennikach warszawskich, lwowskich i emigracyjnych wprowadzić tym wyłomem konia trojańskiego dla zdobycia pod swe panowanie warowni opinii katolickiego społeczeństwa. Przeciwstawiono więc zasadę narodowości, idei powszechności Kościoła, rozegzaltowano umysły do jedności włoskiej przez fałszywą analogię; słowo ultramontanin stało się piętnem, które przykładano do czoła jako znak odstępstwa. Kampania ta dziennikarska z całą bezwzględnością prowadzona przez lat kilka odnosiła skutek. Dotąd kwestye religijne mało były poruszane i atakowane w dziennikarstwie, nawet radykalizm lubił się odwoływać do „wiary ojców“ i przybierał się często w jakiś mistycyzm. Teraz indyferentyzm religijny, w Galicyi dziecko józefinizmu, ignorancya religijna,

a bardziej jeszcze ten eklektyzm polski, który dozwala równocześnie świecić Bogu i szatanowi świeczkę, który stawia zawsze restrykcye w rzeczach podstawowych, mnożył na tle kwestyi władzy doczesnej bałamuctwa w pojęciach politycznych i religijnych. Hasło z pewnością było wydane z zewnątrz, aby tym pomostem sympatyi dla unifikacyi Włoch i entuzyazmu dla bohatera z Caprery, przeprowadzić stopniowo społeczność na tory sekciarskie i konspiracyjne, co się też miało tak snadnie przyjąć i ziścić niebawem. Prym zaś tu trzymał znany korespondent rzymski.

Rozkiełznanie i teroryzm prasy liberalnej od tej u nas zaczyna się kwestyi. Na ultramontanach najpierw zaostrzyły się języki i pióra, aby potem szarpać „arystokratów“, „wsteczników“, „targowiczan“ różnego rodzaju. Tu także rozpoczęło się anarchiczne działanie na rozstrój opinii.

Zbliża się era konstytucyjna w Austryi. Hr. Gołuchowski powołany do steru spraw państwa. Cesarz ogłasza manifest październikowy, z pamiętnem *frei ist die Bahn;* lecz hr. Gołuchowski chce reformy z góry oktrojować, a nieotwierać szluzów inicyatywie i ruchowi z dołu.

Grono mężów politycznych w Galicyi pragnie skorzystać z pierwszej chwili, aby programowe słowo wyszło z naszego kraju. Za impulsem Adama Potockiego adres pióra Helcla i artykuł programowy Manna, rzuca to hasło „autonomia“, które mają wnet za nami powtórzyć inne narodowości monarchii, a z którego wysnujemy całą ważną akcyę, przeciwstawiając zasadę autonomiczną niwelatorstwu wiedeńskiego liberalizmu. W tej samej chwili nastąpił ważny, niespodziewany, instynktowy zwrot w opinii galicyjskiej. W jednej rzec można chwili zarównaną została przepaść niechęci, żalów i wstrętów, może głębsza nawet wówczas w tej niż innych dzielnicach, a które się oddawna nagromadziły. Przypominamy ten objaw i fakt, bo on dobrze świadczy na rzecz społeczeństwa galicyjskiego, które ma więcej zmysłu politycznego, niż o tem mniemają ci, co sądzą opinią kraju z dziennikarstwa. Chlubą jest także i ze względów etycznych dla naszej społeczności owa zdolność zapomnienia i przebaczenia, jaka okazała się w stosunku społecznym do ludu wiejskiego po strasznej katastrofie, która to zdolność stwierdziła się teraz politycznym zwrotem.

Ktokolwiek przedmiotowo i głębiej przygląduie się naszym stosunkom, ten przyzna, że jest wielki przedział między opinią, jaka się objawia w czynach, a jaka się objawia w pismach. Społeczeństwo to stoi istotnie wyżej moralnie i intellektualnie, niż poziom przeważnej części jego dziennikarstwa. Rzeczy wiary trzymają się ściśle z tendencyami społecznemi. Wolnomyślność religijna towarzyszy zwykle liberalizmowi i skrajnej demokracyi, jak pozytywizm i bezwyznaniowość ostatnich czasów otwiera wrota socyalizmowi. Dwa były źródła, z których czerpała nasza postępowo-liberalno-demokratyczna prasa: skrajne kierunki emigracyi przeniesione w r. 1848 do kraju, i wzory prasy wiedeńskiej o woni semickiej.

Wiadomo na jakie bezdroża i manowce wpadała część emigracyi, jak zawziętą toczyła między sobą klubową walkę, jak chwytała każdą najdziwaczniejszą nowość, choćby falansten i furidryzm albo godła i zasady masoneryi. Ten cały ferment kłótliwy a płytki przeniósł się z Paryża do kraju, on to dał początek brutalności polemicznej i pohopności do skandalu i potwarzy. Możnaby zrobić studyum porównawcze dziennikarstwa emigracyjnego, z czasów J. D. Ostrowskiego, Prażki, centralizacyi wersalskiej i później organów Mierosławskiego, z tem co od lat czterdziestu drukowało się w pismach krajowych, aby się przekonać, że to dalszy ciąg, a najczęściej powtórzenie tych samych napaści, waśni, krzykactwa i anarchiczności. Niczego tu nie brakło, nawet pewnej przymieszki mistycznej; pokutowały bowiem nieraz, obok redakcyi pism chaotycznie radykalnych w kraju, duchy z sekt mesyańskich czy spirystycznych, które zachowały z epoki idealizmu poetycznego bezwzględne pochlebianie dumie narodowej. Gdy ktokolwiek chce powiedzieć prawdę „niechaj boli jako chce“, i krytycznie bierze historyę albo politykę, ma wnet przeciw sobie całą koalicyę dzienników wołających: *noli me tangere* i biorących w monopol patryotyzm. Dziwna to zaiste miłość ojczyzny, która najczęściej nienawiścią rodaków się objawia, która odtrąca tradycyę narodową, przeszkadza pracy około dobra publicznego, i miota się na najdroższą skałę wiary. Dodajmy do tego wiele nieuctwa i nieco krzykliwego nowinizmu a będziemy mieli definicyę tromtadracyi.

Obok tego bałamutnego radykalizmu swego chowu wyrosłego wśród atmosfery kawiarnianej, rozwijały się tu pierwiastki obce,

towar importowany wprost z przedmiejskich redakcyj wiedeńskich.

Bezwyznaniowość i liberalizm *Neue Fr. Presse* lub różnych *blattów* — przybrał się w czamarkę i konfederatkę — ma pisma, które mu służą od lat wielu i ludzi na różnych stanowiskach, wyznających jego *credo*. Lubo ta barwa nie przystaje ani do tradycyi, ani do interesów polskich, a liberalizm niemiecki zacząwszy od frankfurckiego sejmu ciągle nas policzkuje, czy to w chwilach gdy zwycięża i bierze przewagę w Wiedniu, czy w epoce Kulturkampfu w Berlinie przeciw polskiej społeczności zwracając głównie swe baterye, są jednak pisma i są ludzie u nas co ponad sprawę własną wyżej stawiają kosmopolityczne i negacyjne teorye liberalizmu.

W kraju ubogim, a bardziej jeszcze w obec prawdziwych potrzeb i rzeczy pożytecznych zasłaniającym się skargami na biedę, dziwna objawiała się ofiarność szlachty, niektórych magnatów i obywatelstwa miejskiego dla przedsiębiorstw tak mało rentownych, tak wątpliwej użyteczności, a często wręcz szkodliwych, jak zakładanie nowych dzienników w duchu wrzekomego postępu.

Z pamięci zapiszmy kilka takich przedsięwzięć. W r. 1860 powstaje we Lwowie dziennik z programem konserwatywnym aż do feudalizmu, ale nieoparty na gruncie zasad chrześcijańskich: *Głos:* fundacyi ks. Adama Sapiehy, oddany w ręce popularnego naówczas powieściopisarza Zygmunta Kaczkowskiego, w pierwszych zaraz numerach daje zaprzeczenie intencyi założycieli a przynajmniej myśli zawartej w programie. Główny redaktor w broszurze wydanej w lat kilka przyznaje się jawnie, że zadaniem jego było, aby dać inny napój, niż zapowiadała etykieta.

W Krakowie *Kronika* Franciszka Trzecieskiego nieznaczący i krótki ma byt. W r. 1866 za pieniądze szlachty obwodu brzeżańskiego powstaje *Hasło*, którem kieruje J. I. Kraszewski z Drezna. Liberalizm zagraniczny tu także wnet zaciera szlachecko-konserwatywne intencye założycieli. Dziennik *Kraj* w Krakowie pochłania krocie, i staje się przez czas jakiś warownią odrodzonego anarchizmu i to anarchizmu na wielką skalę, bo łączącego cechy anarchiczności możnowładczej z dawnych wieków z przymieszką doktrynerstwa judaizmu — a wszystko na tle niezerwanych jeszcze węzłów rewolucyjnych i sieci terorystycznych. Wytwarza się odtąd me-

toda zakładania dzienników nie dla czegoś, ale przeciw czemuś lub komuś, czyli mówiąc jaśniej, metoda negacyi *quand même,* opozycyi zwróconej na wewnątrz, do każdej poczciwej roboty, aby ją zepsuć, do każdej zasługi aby ją zohydzić, do reprezentacyi politycznej kraju, aby jej działaniu przeszkadzać.

We Lwowie z mniejszą może ofiarnością i nakładem powstają i upadają pisma, licytujące coraz dalej popularne hasła a zwłaszcza ten kierunek potwarzy, podejrzliwości, oskarżeń, wychłostany niemiłosiernie artykułem hr. Tarnowskiego „Królowa opinia".

Jest to smutne i odrażające zaiste widowisko. Społeczność patrzy z obojętnością, owszem, z pewną satysfakcyą, jak mężów zasłużonych wloką pod pręgierz. Marszałek kraju, inicyator i twórca wszystkich ważniejszych instytucyj ekonomicznych, najwyższy kraju dygnitarz i reprezentant, stał pod tym pręgierzem przez cały szereg lat, dopokąd po śmierci nie otoczyły go ogólne lubo spóźnione objawy uznania. Inny znów w Krakowie mąż genialnego ducha, który popchnął życie duchowe i życie naukowe polskie na nowe tory, duch bez skazy, płonący miłością ojczyzny, obrzucony błotem, doznaje po przedwczesnym zgonie niemal apoteozy. Któż się już ulęknie tych wyroków dziennikarstwa i tego pręgierza, pod którym stał Leon Sapieha i Józef Szujski?

Czy cała wina spada na dziennikarstwo? nie, wspólnictwo spada także na społeczność. Szlachcic na wsi cieszy się, gdy jego sąsiad na cenzurowanem, niepomny że *hodie tibi cras mihi;* miasta się karmią tą strawą, a młodzież się na niej wychowuje, i gdy poprzednia generacya żyła poetami naszymi, dzisiejsza kształci ducha na pamfletach i lichej humorystyce. Nie otwarłszy zaś książki poważnej, ani pism treści naukowej i literackiej, będzie rozprawiać, że ich autorowie i wydawcy są gasicielami ducha.

Czyliż się dziwić w obec tego, że siła atrakcyjna, którąśmy do niedawna szczycić i pocieszać się mogli, znacznie upadła. Wyszukiwanie kwestyj drażliwych, rozdmuchiwanie pożaru z iskry zaledwie tlejącej i zagrzebanej w odwiecznych popiołach, należy do charakterystyki tego dziennikarstwa polemicznego. Taką iskrę wydobyto w epoce poruszenia kwestyj ludowych, a z polemiki dziennikarskiej wyrósł program hr. Stadiona w duchu zasady: *divide et impera.*

W czem leży przyczyna tej zmiany, tego rozdziału, który dziś rozpoczyna się od szkół gimnazyalnych, a przeciąga się na całe życie? Zapewne wtem, że nadeszły czasy i prądy pozytywizmu, kultu dla siły materyalnej, więc ponęta wielkości i potęgi w inną zwraca stronę młodsze pokolenia, gdy nasza siła atrakcyjna na idei poświęcenia oparta, przedstawia drogę pełną cierni. Niemało jednak do tej zmiany, do tego zwrotu przyczyniła się atmosfera dziennikarska pełna pospolitości. Dla młodych umysłów nie przedstawia ona ponęty duchowej, czarów wyobraźni, zasobu wiedzy i nie działa na nie z wyższych religijnych zasad. Na targowisku przepełnionem polemiczną wrzawą, gdzie nic nie poszanowane, ludzie i zasady sponiewierane, cóż dziwnego, że się zawierają targi, nie w imię wyższej i szlachetniejszej idei, ale w imię większych korzyści i widoków materyalnych, lub gwałtowniejszych namiętności.

N. N.

FIZYKA I MORALNOŚĆ.

Przed kilkoma miesiącami mówiliśmy o „filozofii twórców nowożytnej fizyki“ [1], a dowiedziawszy się z różnych stron, że dzieło p. Naville trafiło do smaku i przekonania wielu czytelników naszych, rozbierzemy obecnie drugą z tegoż dzieła rozprawę — może trudniejszą, bo głębiej w naukowe i metafizyczne kwestye wnikającą, ale tem ważniejszą i ciekawszą dla lubowników głębszych zagadnień.

Olbrzymi postęp dzisiejszej fizyki robi na wielu wrażenie, że fizyka cały świat materyalny i duchowy opanuje. W szczególności zdaje się grozić konflikt między fizyką a moralnością. Czem byłby świat bez moralności? Lecz z drugiej strony, cóż powstrzyma fizykę w jej zwycięzkim pochodzie, pewnym jak fakta, a bezwzględnym jak liczby?

Temu zagadnieniu Naville zagląda śmiało w oczy. Ażeby rzecz od gmatwaniny pojęć uwolnić, określa on najprzód w czem mianowicie ten konflikt, istotny lub pozorny, występuje. Czy w tem, że fizyka dowodzi, iż zjawiska duchowe i moralne zależą na ruchu mechanicznym? Nie; tego fizyka nie dowodzi, ani twierdzi. Ci co mówią, że „myśl jest ruchem materyi“ [2], popierają tezę bez nadziei. W istocie chodzi im o to, by podporządkować myśl jako gatunek pod ruch uważany jako rodzaj. Lecz ruch rozgatunkowuje się tylko szybkością i kierunkiem. Chociażby się dwa te pojęcia na wszystkie możliwe sposoby obracało, nigdy się z nich nie

[1] Ob. *Przegląd powszechny* z marca i kwietnia b. r. (tom V. str. 346, tom VI. str. 64).

[2] Moleschott: *La circulation de la vie.* T. II, str. 178 i 179.

wydobędzie czegoś, nie mówię już identycznego, lecz choćby z daleka podobnego do myśli, lub do jakiegokolwiek faktu świadomości. Pewne nowsze prace mogą pod tym względem wywołać złudzenie, któremu jednak łatwo zapobiedz. Niektórzy uczeni spółcześni obrachowują szybkość i kierunek ruchów materyalnych, odpowiadających zjawiskom psychicznym. Może się uda oznaczyć ściśle czas potrzebny na to, by wrażenie zewnętrzne doszło do świadomości, za pomocą dośrodkowej pracy systemu nerwowego, i aby uczucie lub wola objawiły się na zewnątrz za pomocą pracy odśrodkowej tegoż systemu. Poszukiwania te są bardzo ciekawe, lecz trzeba sobie zdać sprawę z ich możliwego rezultatu. Dadzą one wyższy stopień dokładności teoryi o związkach świata fizycznego z moralnym, lecz nie ujmą w niczem różnicy między tymi dwoma pierwiastkami. Przy wszystkich badaniach i wszystkich rachunkach, zawsze pozostanie niepojętem i niemożebnem, by poruszanie drobin lub falowanie lub jakiebądź zjawisko mechaniczne było, nie warunkiem myśli, ale myślą samą. Tożsamość zjawisk materyalnych i zjawisk duchowych jest twierdzeniem, które musi być umieszczone w rzędzie hipotez niemożliwych [1].

„Doktryna transformizmu zaciemnia blask tej prawdy. Zdanie, że ruch przekształca się w myśl, zdaje się mniej obrażać rozum, niż formuła: myśl jest ruchem; a jednakże treść obu tych zdań jest ta sama. Teza o przekształcaniu się ruchu w myśl zasługuje na to, żebyśmy zwrócili na nią uwagę, ponieważ w ostatnim czasie głosił ją Herbert Spencer. Autor ten jest ofiarą złudzenia, którego źródła nie trudno odkryć. Wie on, jak my wszyscy wiemy, że ciepło objektywnie wzięte t. j. odosobnione od zjawiska psychicznego czucia, jest tylko ruchem. Doktrynę tę, dającą się zastosować do zjawisk światła tak samo, jak do zjawisk ciepła, temi słowy określa: „Jeżeli przestaniemy pojmować ciepło jako szczególne „wrażenie, które w nas ciała w pewnych warunkach wywołują, i je„żeli zważymy wszystkie inne zjawiska, które te ciała przedstawiają, „nie znajdziemy ani w nich, ani w ciałach otaczających, ani też „w nich i tych ciałach razem wziąwszy, nic zgoła prócz, ruchu“ [2].

[1] Zob. *Logique de l'hypothèse* str. 73—76.
[2] *Les Premiers Principes*, str. 212.

Autor, kreślący te słowa, traci z oczu następstwa prawdy, którą sam wygłosił. Gdyby powiedział: ruch mechaniczny czyli ruch przenośny mas, przekształca się w ruch drobinowy, który się przemienia w ruch eteryczny, któremu znowu odpowiada wrażenie ciepła — wskazałby zmiany kształtów, jakie przedstawia jedno zjawisko ruchu, według rozmaitości agregatów; lecz on powiada, że ruch staje się ciepłem lub światłem — jakby chodziło nie o inną formę, lecz o inną istotę. Nie jest to przekształcenie w znaczeniu właściwem i doskonale zrozumiałem tego wyrazu, lecz rzeczywiste przeistoczenie, w rozumieniu alchemików średniowiecznych. Pojęcie niejasne i fałszywe, że ruch stając się światłem i ciepłem, staje się czemś od siebie odmiennem i to w sposób niezrozumiały, prowadzi dalej Spencera do mniemania, że również w sposób niezrozumiały ruch staje się czuciem i myślą. „Prawo przemiany, mówi, rządzące siłami „fizycznemi, panuje tak samo między niemi a siłami duchowemi. Ja„kości Nieznajomego, które nazywamy ruchem, ciepłem, światłem, „powinowactwem chemicznem i t. d., mogą się przekształcać jedne „w drugie — i w te drugie jakości Nieznajomego, które „oznaczamy nazwą wzruszenia, czucia, myśli; te znowu mogą przez „przemianę odwrotną przyjąć pierwiastkowe swe kształty... Jak się „dzieje ta przemiana? jakim sposobem siła istniejąca pod postacią „ruchu, ciepła, światła, może się stać stanem samowiedzy? to są ta„jemnice, których niepodobna zgłębić; nie są one głębsze, niż wza„jemne przemiany sił fizycznych“ [1]. — Stosunki rozmaitych ruchów materyi do wrażeń im odpowiadających stanowią z pewnością kwestyę nie do rozwiązania, jak wszystkie kwestye ostateczne; ale identyfikować, pod względem zrozumiałości czyli raczej braku zrozumiałości, przekształcania się ruchów między sobą, t. j. modyfikacye kierunków i szybkości, z przeistaczaniem się ruchów w zjawiska psychiczne, jest to oczywisty błąd. Myśl bez wszelkiej trudności pojmie, że ruch przenośny wstrzymany, może się stać ruchem drobinowym, a ruch ten drobinowy może sprawić falowanie w eterze. Wszystko to należy do tego samego rzędu pojęć objektywnych, i łatwo pojmiemy, że, gdybyśmy byli obdarzeni organami zdolnymi

[1] *Les Premiers Principes*, str. 232 i 233. - Renouvier wybornie skrytykował ten ustęp w *Critique philosophique* z d. 10 października 1878.

podpatrzyć drobiny ciał i eteru, moglibyśmy widzieć te przekształcania ruchów, jak widzimy w maszynie ruch koła wywołujący ruch drugiego koła. Lecz przeistoczenie ruchów, które pojmujemy lub czujemy, w samo pojęcie lub czucie, to przerzuca umysł z jednego świata w drugi. Już tu nie mamy do czynienia z tym samym rodzajem pojęcia objektywnego, gdzie wszystko się wiąże bez najmniejszego trudu dla myśli; idzie tu o przejście ze sfery obserwacyi zewnętrznej do sfery obserwacyi psychicznej wewnętrznej. Identyfikować dwa te rodzaje, to znaczy, jak powiedział Karol Secrétan, „wypowiadać słowa, których znaczenia uiścić nie można“ [1].

„Mamy tu właśnie przykład zjawiska, którego znajomość jest potrzebna dla rozumienia historyi filozofii. Mówię o olśnieniu, jakie sprawia nowa idea, olśnieniu wskutek którego ta nowa idea przybiera rozmiary nieprawidłowe i wywołuje okrzyk: wszystko jest w tej idei! Pitagoras, poznawszy przez genialną intuicyę znaczenie matematyki w nauce przyrodniczej, dochodzi do zdania: „wszystko jest liczbą“. Condillac, pod wrażeniem odkryć dokonanych w jego epoce co do wpływu znaków na myśl, oświadcza, że „nauka jest tylko mową dobrze urobioną“. Hegel, widząc, że prawa logiki odnajdują się wszędzie, w porządku przyrody równie jak w naszych pojęciach, głosi, że „logika jest wszystkiem“, i że wszechświat jest tylko wiązanką syllogismów. Taki sam fakt objawia się u Herberta Spencera. Olśniony teoryą przekształcania się ruchów, woła: „wszystko jest w tem, i myśl ludzka jest tylko przekształconym ruchem“.

Postępy fizyki zdrowo tłumaczone nie mogą doprowadzić do podobnych wniosków; przeciwnie, w miarę jak sprowadzają całą stronę objektywną zjawisk do samego ruchu, pogłębiają jeszcze odstęp między rzeczami materyalnemi a sferą psychiczną, między ciałem i duchem. Nie tu więc leży niebezpieczeństwo konfliktu między fizyką a moralnością. Ale z innej strony wskazuje ją autor.

Oto „postępy fizyologii coraz więcej wykazują ścisłe związki między tymi dwoma rodzajami faktów, które równoczesne postępy fizyki wciąż rozróżniają. Długi czas przypuszczano, że zjawiska życiowe są prawie bez związku ze zjawiskami fizyczno-chemicznemi, że znajdują swe wytłumaczenie we właściwej sile życiowej. Nauka

[1] *Discours laïques*, str. 156.

spółczesna przeciwnie dąży coraz bardziej do sprowadzenia do praw fizyki i chemii wszelkich funkcyj oddychania, krążenia, wydzielań, i przez naturalną indukcyę, funkcyi systemu mózgowego; te zaś okazują coraz więcej, nie tożsamość, jak powiedziałem, ale stały związek z faktami psychicznymi".

Ztąd, nawiasowo mówiąc, wynikają dwa praktyczne następstwa, które autor podnosi. „Pierwszem jest ważność moralna hygieny. Skłonności nasze są wynikiem stanu naszych organów. Pokazuje się to na skłonnościach czysto zmysłowych; a zastanawiając się nad tem łatwo się przekonać, że wszystkie zjawiska psychiczne podlegają temu prawu: stan rozumu, uczuć i woli jest tak samo fizyologicznie zawarunkowany, jak rozmaite nasze żądze. By się o tem przekonać, wystarcza przyjrzeć się wpływowi alkoholu i narkotyków na funkcye duchowe. Hygiena, prowadzenie się, karność ciała w najrozleglejszem znaczeniu, mają więc oczywisty wpływ na moralność; jest to prawda, na którą nie można dosyć baczyć w wychowywaniu młodzieży i we własnem prowadzeniu się. Ztąd wynika, że postępy, jakie zrobiły studya nad zależnością między fizyczną i moralną sferą, są rzeczywiście ważne dla dobra duchowego ludzkości. Uczeni nowożytni, którzy zgłębiają ciekawe te kwestye, są często opanowani duchem materyalizmu; lecz robią oni zasiewy, które obiecują wychowawcom i moralistom bogate żniwo. Drugiem następstwem, wynikającem ze związku tych dwóch sfer, jest fizyologiczna doniosłość cnoty. Używam tu wyrazu cnota *(la vertu)* w znaczeniu etymologicznem, oznaczającem usiłowanie, którego skutkiem, o ile się tyczy przedmiotu mego studyum, jest utrzymanie funkcyj zmysłów w ich należnych granicach i unikanie wykroczeń po za miarę potrzeb organizmu. Że występek, nikczemność duchowa, brak usiłowań wiele się przyczynia do powstania chorób i powodów śmierci, nikt temu zaprzeczyć nie zdoła".

Lecz tu właśnie spotykamy się z konfliktem. Cnota i wszelka moralność stoi na wolnej woli. „Machiny, gdy się popsują, mówi dobrze Naville, naprawiamy, nie dajemy im żadnych rad". Otóż, czy wolna wola może się ostać przy skonstatowanym związku zjawisk psychicznych z organicznemi, a sprowadzeniu tych ostatnich do ruchu?

„Nie mamy prawa, mówi autor, twierdzić absolutnie, że nie

mogą istnieć myśli bez mózgu; byłoby to indukcyą zupełnie nieprawidłową. Mieszkaniec którejś z wysp Oceanii, któryby twierdził, że fauna i flora całej kuli ziemskiej, jest ta sama, co na jego wyspie, wypowiedziałby zdanie tak samo nierozsądne, jak ten uczony, coby z warunków zjawisk duchowych naszego świata chciał wnioskować o warunkach takich zjawisk w całym wszechświecie. Że istnieją w innych warunkach, niż nasze, dusze t. j. istoty zdolne myśleć i chcieć — tego poważna i rozsądna nauka doświadczalna ani twierdzić nie może, ani przeczyć nie ma prawa. Lecz, w granicach naszego obecnego doświadczenia, duch objawia się sobie samemu i innym jedynie pod warunkiem funkcyj mózgowych. Funkcye mózgowe są warunkiem myśli; funkcye mózgowe są ruchami; więc ruch jest warunkiem czynności duchowych. Ruch podlega stałym prawom, a dla nauki spółczesnej jednem z tych praw jest zachowanie siły, czyli niezmienność ilości siły. Takiem jest, jak poprzednio widzieliśmy, twierdzenie, na którem się opiera fizyka nowoczesna. Fizyologia znów coraz więcej wykazuje, że zjawiska ciał żyjących odbywają się według praw fizyki. Ciało ludzkie zawarte jest w całości powszechnego ruchu; ruchy jemu właściwe są zawsze tylko przekształceniem w równej ilości sił, które mu przychodzą od ziemi, atmosfery, słońca; ciało tylko to może wydać, co odebrało. Umysł nie zapoznany z nową nauką, powie: „Chcę, i ramię moje się podnosi; stwarzam ruch, któryby nie istniał bez działania mej woli". Lecz dla nauki nowoczesnej ruch mego ramienia może tylko przedstawiać część siły, którą otrzymałem przez pokarm, oddychanie, działanie słońca. Obecnie nie mogę stworzyć ruchu, jak nie mogę stworzyć atomu materyi. W układzie ciał w ruchu wszystko jest określone prawami mechaniki; by jakakolwiek nastąpiła zmiana, potrzeba na to jakiejś siły; a wkroczenie siły wolnej zmieniłoby ilość ruchu. Jeżeli więc przyjmiemy zasadę zachowania ilości siły, to wynika, że wszystko jest określone w sposób konieczny, w ruchach ciała ludzkiego, jak w ruchach wszystkich ciał wszechświata. Lecz zjawiska duchowe mają zawsze za warunek czy to bytu, czy objawu swego, jakiś ruch materyi. Zatem, jakkolwiek się odróżnia zjawiska fizyczne od zjawisk psychicznych, zawsze jednak psychiczne są koniecznością określone, tak samo jak ich warunki materyalne.

Więc w końcu przypuszczenie wolnej woli jest złudzeniem, ponieważ czynność takowej zburzyłaby powszechny determinizm świata.

„Z drugiej strony — jest to przedmiot, nad którym zbytecznem jest dłużej się rozwodzić — wolna wola jest podstawą moralności. Jeżeli nie ma wolnej woli, nie może być obowiązku ani odpowiedzialności. Prawa moralności, tak jak je pojmujemy, są człowiekowi przedłożone, nie narzucone; podlegają przekroczeniu, które nazywamy złem; są to prawa wolnej woli. Poważna psychologia uzna zawsze w postępkach ludzkich wiele mimowolnego, lecz jeżeli nie pozostanie by najdrobniejszy pierwiastek wolny na spodzie analizy psychologicznej, to linia rozgraniczająca prawa fizyczne od praw moralnych niknie, i czynności ludzkie nie mogą już być poczytane za złe lub dobre, w przyjętem tych wyrazów znaczeniu. Czyny można konstatować, ale sprawcy nie są istotami odpowiedzialnemi, któreby można sądzić; nie ma już żadnej moralności, żadnych obyczajów, prócz tych co w zakres historyi naturalnej wchodzą. Konflikt więc jest jawny między moralnością, której zasadniczym postulatem jest wolność woli, a kierunkiem myśli, który sprowadza wszystkie zjawiska fizyologiczne do fizyki i zjawiska psychiczne podporządkowuje pod determinizm fizyologiczny".

Z tego konfliktu są dwa możliwe wyjścia: 1) albo zaprzeczyć powszechności prawa stateczności siły, robiąc wyjątek dla zjawisk fizyologicznych, w których wolna wola występuje; 2) albo znaleść sposób, jakim wolna wola może być czynną, bez naruszenia powszechności tego prawa. Naville pierwszy sposób wyjścia pochwala, jako dobry i racyonalny; drugi podaje jako swój własny.

„Pismo periodyczne *La Critique philosophique* z 21 sierpnia 1873 r. zamieściło w swych łamach następujący komunikat: „*La* „*Critique philosophique* okazuje się skłonną przy każdej sposobno„ści bronić sprawy wolnej woli. Z drugiej strony przyrzekła w pro„spekcie traktować kwestye filozoficzne w połączeniu z teoryą fizyki „o zachowaniu ilości siły. Chcielibyśmy się dowiedzieć, co szanowni „redaktorzy myślą o możliwości pogodzenia tej doktryny z teoryą „wolności, czyli jakim sposobem nie widzą w teoryi, sprowadzającej „wszystkie siły naturalne do niezmienności i jedności, niezwyciężonego „dowodu na korzyść powszechnego determinizmu". P. Renouvier, redaktor tego pisma, odpowiedział, negując powszechność zasady nie-

zmienności ilości siły. „Nie chcemy, mówi on, by nauki wychodziły „po za swój zakres i nieprawnie się zamieniały w metafizykę. A to „się dzieje, jeżeli się przypisuje zasadzie niezmienności ilości siły „znaczenie powszechne, dla jakiego nie ma ani gwarancyi ani pew- „nego dowodu. Takiemu powszechnemu znaczeniu zaprzeczamy for- „malnie... Niezmienność ilości sił znajduje, równie jak determinizm, „granicę i wyjątek w wolnej woli — a może nietylko w niej, ale także „w namiętnościach zwierzęcych, które będąc spowodowane przez ru- „chy zewnętrzne, miałyby moc wywoływania innych ruchów z nowa".

„Ten sposób myślenia, mówi p. Naville, da się uzasadnić wywodami rozsądnymi. Twierdzenie, że stała ilość ruchu aktualnego lub potencyonalnego utrzymuje się we wszechświecie, nie jest zapewne ani zasadą *a priori*, ani bezpośredniem wyrażeniem faktów dostrzegalnych. Któż n. p. mógł zbadać mechaniczny ekwiwalent promieni słonecznych mijających naszą planetę? Zachowanie ilości siły jest po prostu hipotezą w drodze sprawdzenia. Dajmy nato, że to prawo panuje w całym świecie fizycznym; ale cóż za tem? W dziedzinie fizyologii, nie jest ono bynajmniej udowodnionem. Wykazuje się wprawdzie, że największa część siły, którą rozporządzają istoty żyjące, pochodzi z działań chemicznych żywienia i oddychania, t. j. że ilość siły mniej więcej się zachowuje, lecz niepodobna udowodnić, że zachowuje się absolutnie. Można zawsze przyjąć, że siły pochodzące z pierwiastka życiowego lub duchowego wykonują pracę niezmiernie małą, absolutnie niedostrzegalną dla najdelikatniejszych doświadczeń, której jednak rezultat może być bardzo doniosły, podobnie, jak przez ledziutkie dotknięcie cyngla karabinu, wywołuje się ilość pracy ogromną.

„W sferze zjawisk moralnych zachodzą fakta wprost dostrzegalne, które sprzeciwiają się stanowczo hipotezie powszechnego determinizmu. Uczucie odpowiedzialności i pojęcie obowiązku są tak pewnymi faktami dla samowiedzy, jak ruch jest pewnym dla intuicyi zmysłów. I nietylko do zjawisk moralnych, we właściwem znaczeniu, można się tu odwołać, ale także do obserwacyi psychologicznej w najelementarniejszej i najpewniejszej jej części. Ruch mimowolny, tak zwany odruch, jasno się różni od ruchu samowolnego. Chcąc rękę zbliżyć do ciała palącego się, rozróżniam bez najmniejszej trudności, odruch instynktowy oddalający mą rękę, i ruch dobro-

wolny, usiłujący instynktowemu ruchowi się sprzeciwić. Przejście, jakie się odbywa za pomocą przyzwyczajenia, od ruchów własnowolnych do instynktowych, jest jednem z najważniejszych spostrzeżeń psychologii. Jakżeż możnaby mówić o przejściu z jednego rodzaju w drugi, gdyby to nie były dwa rodzaje odmienne? Czyż powiedzą może że świadomi jesteśmy jedynie ruchów instynktowych, którym przypisujemy, w pewnych razach, charakter własnowolny, w skutek ułudy wolności? Dlaczegóżby ta ułuda miała miejsce w pewnych razach, a nie w innych? Jakiż jest początek i istota tych pewnych przypadków? Przypuśćmy, że pod tym względem możnaby dojść do określenia fizyologicznego — w czem już wielkie robimy ustępstwo — to pozostaje jeszcze inne pytanie: zkąd pochodzi w naszym rozumie pojęcie wolności woli, które trzeba mieć, by je módz przypisywać w złudzeniu pewnym ruchom? Jeżeli pojęcie wolności nie pochodzi z samowiedzy, to zkądże pochodzi? Nie jest to pojęcie złożone, którego początek możnaby znaleść w pierwiastkach mylnie połączonych. Czy może przypuścić, że to jest pojęcie bez przyczyny? ale jeżeli mogą istnieć pojęcia bezprzyczynowe, to dlaczegóżby nie mogły istnieć i ruchy bezprzyczynowe? Otóż mamy obaloną podstawę wszelkiej wiedzy. Przypuszczając nawet, że zasada zachowania siły daje się bez wyjątku i bez zastrzeżenia zastosować do świata czysto materyalnego, jakiem prawem rozciągać ją na przypadki, w których materya wchodzi w stosunki z duchem? Ztąd, że determinizm absolutny panuje w przedmiocie badań astronoma, fizyka i chemika, nie można przecież wnioskować, że on wyklucza istnienie faktów, którymi się zajmuje psychologia. Takie rozumowanie byłoby oczywistem a p r i o r y z o w a n i e m, krokiem nauki po za jej właściwym zakresem. Utrzymywać absolutny determinizm czynów mianych za dobrowolne, znaczy tyle co negować bezpośrednią daną obserwacyi, w imię hipotezy, która tylko w obec umysłów systemowych może za bezwzględnie udowodnioną uchodzić".

Jak widać, teza p. Renouvier'a opiera się na rozumowaniu mającem wiele za sobą; i Naville to rozumowanie uważa za gruntowne; sam jednak innej broni tezy. „Przyjmując zasadę niezmienności ilości siły i rozciągając ją na ciało ludzkie i na wszystkie warunki i objawy życia duchowego, jeszcze sprawy wolności moralnej wcale nie narażamy. W istocie moralność nie wymaga istnienia

władzy t w o r z e n i a siły, lecz tylko istnienia pierwiastku wolnego w u ż y c i u danej siły. Zastanówmy się najprzód nad pierwszym punktem.

„Jeżeli w myśli odosobnimy planetę od całości systemu do którego należy, jasnem jest, że takowa może się w tym lub owym kierunku na drodze swej poruszać, przy tej samej ilości ruchu; jest to niezaprzeczalnem następstwem dynamicznej obojętności przestrzeni. Tak samo lokomotywa, umieszczona na poziomej drodze żelaznej, może ten lub ów wziąć kierunek, przy użyciu tej samej siły machiny i pracy mechanika. A zatem kierunek ruchu może się odmieniać bez odmiany jego ilości. Wypowiedziałem to zdanie w *Bibliothèque universelle* z lipca 1873 r., nie spostrzegając naonczas, że to było bezwiedną reminiscencyą z dzieł Kartezyusza [1], i nie wiedząc, że p. Cournot tę samą myśl wypowiedział [2]. Korespondent do *Critique philosophique* [3] zbijał moje twierdzenie, opierając się na tożsamości pojęcia siły i pojęcia ruchu. Jeżeli tak jest, jeżeli każda siła jest ruchem, to zarzut zrobiony tezie, którą podjąłem, nie da się odeprzeć. Wola ludzka zmieniając kierunek ruchu, działa jako siła; a jeżeli wszelka siła jest ruchem, to nie może wchodzić, nie zmieniając ilości ruchu powszechnego. Kwestya więc leży w tem, czy mamy prawo identyfikować siłę i ruch. Otóż identyfikacya ta nie jest bynajmniej uzasadniona; przeciwnie, należyte tłumaczenie zjawisk stanowczo jej zaprzecza. W tem leży główny punkt dyskusyi.

„Co to jest siła? „przyczyna ruchu lub modyfikacyi ruchu“ [4]. Postępy astronomii dążą do stwierdzenia, że wszystkie gwiazdy na niebie się poruszają; równocześnie fizyka nas poucza uważać ciała na pozór nieruchome za siedlisko ciągłych ruchów drobinowych. Przejście więc z absolutnego spoczynku w ruch nie zachodzi nigdy. Wynika ztąd, że — zastrzegając sobie pytanie co do początku

---

[1] „Kartezyusz uznał, że dusze nie nadają siły ciałom, ponieważ zawsze ta sama ilość siły znajduje się w materyi. Jednakże sądził, że dusza może zmienić kierunek ciał“. — Leibniz, *Monadologie* §. 80. — Zob. także jego *Considérations sur le principe de la vie*, na początku.

[2] *Séances et travaux de l'Académie des sciences morales et politiques*, T. CIX, str. 704.

[3] 21go sierpnia 1873.

[4] Delaunay — *Traité de mécanique rationelle*. (Podręcznik szkolny). § 84.

ruchu powszechnego, który nie może być ruchem poprzednim — z definicyi siły usunąć można pojęcie „przyczyny ruchu“, w znaczeniu tworzenia, a zachować tylko formułę: „siła jest przyczyną modyfikacyi ruchu“. A teraz kwestya schodzi na to: czy ruch w ogóle tylko przez inny ruch może być zmodyfikowanym? Bynajmniej. W fizyce musimy badać nietylko r u c h ciał, ale i o b e c n o ś ć ciał. Powinowactwo chemiczne nie jest jeszcze sprowadzonem do zjawiska fizycznego. Tak samo się rzecz ma z prawem powszechnego ciążenia. Do obrachunków astronoma obecność gwiazdy wchodzi, niezależnie od jej ruchu, jako przyczyna modyfikacyi ruchu innych gwiazd. Żadna hipoteza uznana nie zdołała dotąd wytłumaczyć przyciągania przez poprzednie zjawisko popychania. „Astronomia, powiada Bertrand, odsłoniła prawidło niezmienne, które acz samo w sobie zostaje niewytłumaczone i niepojęte, wszystko tłumaczy i pojąć daje“ [1]. Gdy się więc mówi: „wszelki ruch ma za przyczynę ruch poprzedni“ — co pozwala twierdzić, że w dziedzinie fizyki wszelka siła jest ruchem — zapomina się, że w teoryi ciążenia sama obecność ciała jest przyczyną, w obec której myśl się zatrzymuje. Ale przypuściwszy, że ciążenie dałoby się sprowadzić do popychania, czy możnaby już powiedzieć, że wszelka siła jest ruchem? Nie. Jak zauważył Euler, opór materyi jest „prawdziwem źródłem zmian, które dostrzegamy w ruchu wszystkich ciał“ [2]. Istotnie każde ciało ma jakiś ruch, lecz ciało we względnym spoczynku zostające, nie o ile się porusza wpływa na modyfikacyę ruchu innych ciał, lecz o ile opór stawia. Trzecią zasadą dynamiki jest, że „skutek wywierany przez siłę na punkt materyalny nie jest zależnym od ruchu poprzednio przez ten punkt nabytego“ [3]. Z tej zasady wynika, że, jeżeli dwa ciała, znajdujące się np. na pokładzie okrętu, mają ten sam ruch, to działanie wykonywane przez opór jednego z nich na ruch osobny nadany drugiemu jest takie same, jak gdyby wspólny ich ruch nie istniał.

„Materya jest więc siłą przez swój opór, tylko nie jest siłą impulsywną, wprawiającą w ruch. Zapomnienie tej ważnej różnicy

---

[1] *Discours à la séance publique de l'Académie des Sciences* — 10-go marca 1879.

[2] *Lettres à une princesse d' Allemagne*, Część II, list 2.

[3] Delaunay — *Traité de mécanique rationelle* § 89.

może myśl w znaczne wprowadzić błędy. Dzieje się to, kiedy, nie rozróżniając siły oporu i siły poruszającej, głosi się tożsamość dwóch pojęć: siły i materyi. Siła oporu modyfikuje ruch, lecz pod warunkiem, że ruch istnieje, bo koniecznie istnienie rzeczy musi poprzedzić jej modyfikacye. Niepodobna więc sprowadzić do jednego: materyi i siły, pierwiastku geometrycznego i pierwiastku dynamicznego, chyba biorąc wyraz „siła“ w sensie dwuznacznym, identyfikującym nieprawidłowo dwa odmienne pojęcia p o r u s z e n i a i o p o r u. Przypuśćmy układ ciał będących w ruchu i umieśćmy w nim myślą ciało, uważane jako pierwotnie nieruchome; kierunek ruchów układu się zmieni, bez zmiany ich ilości. Nie potrzebujemy dodawać, że idzie tu o pogląd czysto teoretyczny, ponieważ ciało nie może być wprowadzone w taki sposób, żeby to wprowadzenie nie było ruchem; lecz jeśli się przypuści pojawienie się doraźne ciała w danym układzie, ciało to zmieniłoby kierunek ruchów poprzednich, a nie ich ilość; a to tylko chciałem wykazać. Przejdźmy do biologii.

„Czy prawa fizyki, w najogólniejszem tego słowa znaczeniu, zdają sprawę ze zjawisk życiowych? W obecnym stanie badań, bynajmniej. W obec nauki poważnej i pozytywnej, wszystkie objawy życia wymagają spółdziałania praw fizycznych i praw organizmowi właściwych. Jest to jedno z twierdzeń, na które Claude Bernard największy kładł nacisk. By sprowadzić życie do czystego mechanizmu materyi, trzebaby wykazać, że nasiona czyli zarodki są prostymi agregatami i że zjawiska rodzenia się i rozwoju organizmów są równorzędne ze zjawiskami spójności i powinowactwa. Nie mamy wcale podstaw do rozsądnej indukcyi, którąby pozwalała wynieść to przypuszczenie do wysokości teoryi. Czy kiedyś będzie inaczej? tego nikt na pewno twierdzić nie może. Zauważyć można, że to przeważnie filozofowie i przyrodnicy myślą, że życie można wytłumaczyć przez prawa fizyki; trudnoby zaś, sądzę, przytoczyć choć jednego fizyka, z pewnem znaczeniem, któryby twierdził, że jego nauka zdaje mu sprawę ze zjawisk życiowych. Lecz nie to jest właściwie przedmiotem mego badania. Wystarcza mi skonstatować, że w obecnym stanie naszych wiadomości, naturalną jest rzeczą przypuścić w istotach żyjących, a najprzód w zarodkach i nasionach, istnienie specyalnej przyczyny p o r z ą d k u j ą c e j r u c h y f i z y c z n e. Przypuściwszy to jako hipotezę możebną, (więcej nie żądam) docho-

dzimy do pojęcia siły plastycznej, która zmienia kierunek ruchów, nie zmieniając ich ilości. Pole zasiano; z ziarn jedne są żywe, drugie obumarłe. Wszystkie ruchy są tu jednakie, nie wyjmując ruchu człowieka siejącego; a przy tem samem działaniu słońca, powietrza, wody, otrzymane rezultaty będą odmienne. Część ziarn zgnije, część utworzy rośliny, nadając pewny kierunek ruchom fizycznym całego otoczenia, które były zupełnie takie same dla nasion obumarłych, jak dla tych, co pierwiastek życia zachowały. Dla tego Klaudyusz Bernard do wyjaśnień biologicznych używa pojęcia „siły życiowej prawodawczej, a nie wykonawczej“ *(force vitale législative mais nullement exécutive)* [1]. Jakżeż pojąć jednak, żeby się coś wykonywało bez siły wykonawczej? Rozumiemy w zakresie kwestyj społecznych, istnienie władzy prawodawczej, uchwalającej postanowienia, które inna władza wykonuje; lecz czemby była siła prawodawcza — tego się nie rozumie. Ale co się doskonale rozumie, i co nadaje całkiem zadowalniające znaczenie słowom Klaudyusza Bernard'a, to myśl, że istnieją w istotach żyjących siły kierujące *(directrices)*, a nie twórcze *(créatrices)*, używające w rozmaity sposób ruchów fizycznych, których suma pozostaje tasama. Można więc przyjąć dla wytłumaczenia zjawisk życiowych istnienie sił, które zmieniają kierunek ruchu, a nie jego ilość. To jest w każdym razie możliwem i w dzisiejszym stanie umiejętności prawdopodobnem“.

Tak więc wykazał autor — i w sferze fizyki i w sferze fizyologii — że zasada zachowania ilości siły w ruchach materyi nie sprzeciwia się przyjęciu sił, które, nie będąc ruchami, byłyby przyczynami modyfikacyi ruchu, bez zmiany jego ilości. To spostrzeżenie daje się zastosować do ciała ludzkiego równie dobrze, jak do każdego innego organizmu. A ztąd odrazu wniosek do kwestyi, o której piszemy.

„Moralność suponuje i wymaga w człowieku władzy, któraby się determinowała sama przez się, czyli sama się w czyn wprawiała, w pewnej mierze. Przypuszczając, że wszystko w ciele ludzkiem podlega determinizmowi fizyologicznemu co do części wykonawczej zjawisk, wystarcza temu wymaganiu moralności, żeby pierwiastek

---

[1] *Leçons sur les phénomènes de la vie commune aux animaux et aux végétaux*, str. 51.

wolności miał miejsce w sferze kierowniczej zjawisk. Parys mówi do Hektora w 13tej pieśni Iliady: „Męstwa nam nie „braknie, dopóki siły mieć będziem; lecz i przy najlepszej woli „niepodobna walczyć nad siły“. Nikt istotnie nie może w działaniu pewnej granicy przekroczyć; lecz jeden może użyć do dzielnego boju tę samą ilość ruchów muskularnych, którą drugi użyje do ucieczki. Chociaż człowiek rozporządza tylko tą ilością siły, jaką odbiera z pożywienia, powietrza, słońca, musi nią rozporządzać dowolnie, żeby mógł być odpowiedzialnym za swe czyny. W taki sposób podstawy moralności pozostają nienaruszone, i postępy nauki, która coraz więcej w ruchu warunki zjawisk duchowych wskazuje, nie narażają tych podstaw na szwank. A o cóż chodzi, by możebność pierwiastku wolności woli pogodzić ze zasadą niezmienności ilości siły? Wystarcza przyznać woli to, czego nie można odmówić drobinie materyalnej: moc wpływającą na kierunek, a nie zmieniającą ilości ruchu. Te uwagi odnoszą się do sfery przestrzeni; podobne uwagi można jeszcze zastosować do sfery czasu.

„Zasada stateczności ilości siły we wszystkich ruchach materyi nie sprzeciwia się wcale przypuszczeniu u człowieka mocy użycia w tej lub owej chwili i w tej lub owej mierze, sumy sił, jaką posiada. By udowodnić tezę o zachowaniu ilości siły, trzeba przyjąć, że pierwiastek ruchu nietylko w ruchach aktualnych istnieje, lecz że także istnieć może w postaci utajonej czyli potencyalnej. To, co pozostaje w ilości niezmiennej, nie jest ruchem ani siłą aktualną, to tylko możność wywołania ruchu czyli energia, która albo się urzeczywistnia, albo w stanie potencyalnym zostaje. Ruch zaś potencyalny, w obecnym stanie naszych wiadomości, nie jest gatunkiem w rodzaju ruchu, lecz tylko przyczyną ruchu możliwego. Drzewo paląc się wydaje w cieple i świetle ilość ruchu, równą ilości ruchu do jego wzrostu użytej; lecz jakim sposobem ruch potencyalny w drzewie przemieszkuje? Działo wojenne wyrzuca swój pocisk; czy w prochu był ruch drobinowy, równoważący ruchowi kuli? Nikt zaiste nie ma prawa twierdzić, że tak jest, bo twierdzenie to nie zostało jeszcze udowodnionem. Lecz przypuśćmy że tak jest; przypuśćmy, że tak zwana siła potencyalna jest w istocie ruchem drobin aktualnym, który się przekształca w danych okolicznościach w ruch masy, dający się ocenić. Przekształcenie to

jednak może nastąpić w różnych chwilach, moc działania na zewnątrz może być użytą lub zachowaną, bez zmiany ilości. W skutek dynamicznej obojętności przestrzeni, jak widzieliśmy, kierunek ruchów może być zmieniony, a ilość ruchu zostanie niezmieniona; w skutek dynamicznej obojętności czasu, ruch drobinowy może być zamieniony w ruch zewnętrzny, widzialny w tej lub owej chwili, a ilość jego pozostaje ta sama. Świeca zawiera pewną ilość możliwego światła; gaszę ją; palenie jej się wstrzymuje, a jej moc świecenia pozostaje ta sama; fakt, że się pali w tej lub owej chwili, jest obojętnym pod względem ilości. Tak samo, przypuściwszy, że wszystkie ruchy zewnętrzne organizmu ludzkiego są przekształceniami wewnętrznego ruchu drobinowego, nie ma jednak żadnej sprzeczności między tem, że wola może w tej lub owej chwili moc w organizmie zawartą w czyn wprowadzić, a tem, że suma sił fizycznych jest niezmienną.— Jeżeli tak jest, to nie ma rzeczywistego konfliktu między fizyką a moralnością. Nie stwarzam sił, tylko rozporządzam temi, które posiadam, a rozporządzam niemi w chwili, którą wybiorę, na zło lub na dobro. Fakt, że ilość ruchów możliwych uznaje się za stałą, nie przeszkadza w niczem odpowiedzialności działającego".

Streszczając swój znakomity wywód, powtarza autor, że przypuściwszy zasadę zachowania ilości siły, nie można ztąd wyprowadzić negacyi wolnej woli człowieka. „Cóż w tem przypuszczeniu, mówi, pozostaje wolnej woli? w zakresie tworzenia ruchu, nic; w zakresie użycia ruchu potencyalnego, wszystko. Podstawy świata duchowego pozostają i nie uległy żadnemu wstrząśnieniu. Konflikt fizyki z moralnością jest więc li tylko pozorny, i dochodzę tutaj do tego samego wniosku, do którego doszedł ze swej strony profesor Boussinesq przez uwagi matematyczne. Można przyjąć w człowieku, nieprzekraczając najściślejszych rezultatów nauki, pierwiastek kierujący ruchem, a to przyjąwszy, „fizyolog może — nie wychodząc z koła najsurowszego „spirytualizmu — rozciągnąć prawa mechaniczne, fizyczne i chemiczne „na wszystką materyę, nie wyłączając drobin mózgu żyjącego" [1].

[1] *Conciliation du véritable déterminisme mécanique avec l'existence de la vie et de la liberté morale,* p. M. J. Boussinesq, prof. na wydziale filozoficznym w Lille. — Par. 1878.

KONGO.

(Dokończenie).

IV.

Kiedy Stanley zajęty badaniami swemi znajdował się w środku Afryki i nikomu jeszcze znanemi nie były odkrycia jego, zawiązało się w Brukselli stowarzyszenie międzynarodowe, mające na celu usystematyzowanie i nadanie jednolitego kierunku badaniom podjętym przez uczonych pod równikowem słońcem Afryki.

„Nowe prądy w badaniach Afryki, mówi organ król. geogr. stowarzyszenia, powstały na konferencyi z 12, 13 i 14 września 1876 r., na którą zaproszeni zostali przez króla belgijskiego podróżnicy i geografowie wszystkich znaczniejszych krajów europejskich". Przybyli na wezwanie królewskie członkowie konferencyi [1], uchwalili założenie międzynarodowej komisyi, mającej na celu zaszczepienie cywilizacyi w środkowej Afryce. W Brukselli ustanowiony został główny komitet komisyi międzynarodowej; na wzór

[1] Nazwiska członków konferencyi według notat pułkownika Granta są następujące. *Z Austro-Węgier:* bar. Hofmann, hr. Edward Zichy, Fer. von Hochsteter, porucznik Lux. *Z Belgii:* bar. Lambermont, M. Banning, Emil de Borchgrave, Couvreur, hr. Gobler d'Aloiela, de Lavelaye, Quairier, Sainetelette, Smalderl, Van Bierrliet, Leon Vander Bossche, Jean Van Volxem. *Z Anglii:* Sir Bartle Frere, Sir Rutherford Alcock, Admirał Leopold Heath, gen. major Henry Rawlison, pułkownik J. A. Grant, porucznik Cameron, W. Mackinnon Esq., Sir Fowell Buxton, Sir John Kennaway. *Z Francyi:* Admirał baron de la Roncière de Noury, Henri Duveyrier, markiz de Compiègne, d'Abbadie, Maunoir. *Z Niemiec:* bar. von Richthofen, Dr. Nachtigal, Dr. Schweinfurth, Gerard Rohlfs. *Z Włoch:* Ch. Christoforo Negri. *Z Rosyi:* Semenow.

zaś jego wszystkie kraje należące do stowarzyszenia zawiązać miały komitety dla zbierania sum na pokrycie kosztów i poparcie nowych wypraw niosących Afryce cywilizacyę mającą otworzyć jej wnętrze dla handlu, przemysłu i nauki.

Król Leopold II. zagaił pierwsze posiedzenie stow. międzynarodowego zaznaczając na wstępie cele towarzystwa mającego się rządzić uczuciami ludzkości, zaczynając od usunięcia w środkowej Afryce handlu niewolnikami jako źródła niedoli tych krajów.

Po przemówieniu króla, obranego prezesem afr. stow. międzynarodowego, przystąpiono do obrad nad przedsięwzięciem pierwszych prac w środkowej Afryce i uznano jako potrzebę najgwałtowniejszą wytknięcie drogi od Oceanu do znanego już w środku Afryki jeziora Tanganijki, budując schroniska dla podróżników, czyli tak zwane „stations hospitalières".

Niebawem jednak stowarzyszenie, które w pierwszych już krokach okazywało tak piękną myśl przewodnią, spotkać się musiało z rozczarowaniem i trudnościami. Najprzód Anglia zwoławszy radę król. geogr. towarzystwa londyńskiego uchwaliła, że więcej pożyteczne będą dla niej prace na własną podjęte rękę i zawiązała w marcu 1877 r. nowe towarzystwo „African exploration fund". Towarzystwo to wkrótce ukonstytuowało się i wysłało swoich własnych podróżników dla odkrycia najprostszej drogi do jezior równikowych.

Niemcy nie działały tak otwarcie jak Anglia, uchwaliły solidarność ze stow. międzynarodowem i zawiązały komitet w Berlinie pod prezydencyą ks. Reuss Henryka VII. oświadczając jednak, że tylko połowę funduszów wlewać będą do brukselskiego komitetu, obracając drugą połowę na własne podróże i odkrycia w Afryce, uważając je korzystniejszemi dla narodowego handlu i przemysłu.

Francya znowu pomimo przystąpienia do stowarzyszenia, popierała i cieszyła się odkryciami de Brazzy, który właśnie badał sposób połączenia Ogowe z Kongiem.

Na wstępnem posiedzeniu stow. międzynarodowego, pod prezydencyą króla Leopolda, w dniu 21 czerwca 1877 r., Anglia nie dała znaku życia, a Rosya przysyłając delegata od narodowego

swego komitetu[1] oświadczyła, że kraj nadto zajęty pracami własnego rządu, aby mógł poświęcać czas i łożyć pieniądze na przedsięwzięcie stow. międzynarodowego.

Pułkownik Strauch obrany sekretarzem stowarzyszenia, odczytał bilans kasy. Jednorazowe dary wynosiły 287.000 fr., roczne zaś subskrypcye 44.000 fr., spodziewany był zaś jeszcze wpływ 58.000 fr. Co stwierdziwszy towarzystwo, uchwaliło kapitalizacyę darów i części rocznych składek, przeznaczając dochód w kwocie 73.000 fr. na wyprawę mającą od Zanzibaru dotrzeć do jeziora Tanganijki, aby założyć tam stacyę, służyć mogącą za schronienie i wypoczynek dla uczonych i podróżników.

W tym to właśnie 1877 r. powracał Stanley z podrównikowych krajów, a odkrycie przez niego całego biegu wielkiej rzeki Lualaby-Konga nowe tory wytykało przedsięwzięciom stowarzyszenia międzynarodowego. Król belgijski jako prezes ustanowił osobny wydział działalności stowarzyszenia pod nazwą: „Comité d'études du haut Congo". Komitet ten udał się naprzód do Stanley'a po rady i wskazówki dla dwóch wypraw, wysłanych do Afryki pod dowództwem porucznika Cambier i kapitana Popelin.

W styczniu 1878 r. po chwilowym pobycie w Egipcie powracał Stanley przez Marsylię i tam wysiadającego ze statku spotkało dwóch delegatów tow. międzynarodowego, oświadczając mu życzenie króla Leopolda, który chcąc przedsięwziąść trwałą i skuteczną pracę dla niesienia cywilizacyi nadkongowym krajom, zapraszał go do współudziału w tej olbrzymiej pracy.

Radośnie witałby Stanley takie zaprosiny w każdym innym czasie, lecz wonczas znakomity podróżnik przybywał do Europy schorzały i znużony niewygodami, przechodzącemi ludzkie siły. „Spokój i sen jedynym pragnieniem moim, gdyż czuję, że one tylko na nogi mnie postawią", odpowiedział na propozycyę królewską, a wysłannicy wracali do Brukselli, przywożąc warunkową odpo-

---

[1] Narodowe komitety działające jednomyślnie z belgijską międzynarodową komisyą zawiązały się w następujących krajach. *Francya:* prezes hr. de Lesseps. *Austro-Węgry:* arcyksiąże Rudolf. *Włochy:* książe Piemontu. *Hiszpania:* król Alfons. *Szwajcarya:* S. Bouthchier de Beamont. *Rosya:* W. ks. Konstanty. *Holandya:* książe Oranii. *Portugalia:* książe de San Januario.

wiedź podróżnika, że jak będzie mógł, jak mu zdrowie pozwoli, stawi się na rozkazy królewskie.

Stanley tymczasem jechał do Anglii, odpoczywał, porządkował swe papiery i notaty i wkrótce złożył z nich znaną już nam książkę pod tytułem: *Through the dark continent.* W maju była już ona w rękach wydawcy, a Stanley pisał: „Pierwszy raz w życiu byłem swobodny, nie czując tego gnębiącego ciężaru, jaki zawarty jest w poczuciu obowiązku nawołującego ciągle do czynu". Chcąc użyć wypoczynku, udał się Stanley w góry szwajcarskie, po drodze wstąpił do Brukselli, gdzie ułożył się z królom Leopoldem względem dalszego działania. Malownicza piękność natury i ten spokój właściwy tylko krajobrazom środkowej Europy oddziałały zbawiennie na zmęczony wrażeniami nerwowy system podróżnika. Z powracającemi siłami fizycznemi, wracały też i moralne. Stanley poczuwał się do obowiązku prowadzenia dalej tak świetnie rozpoczętego dzieła, obmyślił plan dalszego działania i przedłożył go królowi belgijskiemu. Dostać się do wnętrza Afryki, ułatwić łączność z Europą było pierwszem zadaniem. Kongo przerzynało wprawdzie cały kraj nowo odkryty, lecz porohy jego blisko ujścia uniemożebniały wszelką komunikacyę, należało tedy wzdłuż brzegów, przez całą długość porohów budować drogę. Amerykanin tylko, a do tego Stanley mógł powziąść podobnie olbrzymi projekt i nie cofnąć się pod jego wykonaniem.

W listopadzie 1878 r. wezwany Stanley do Brukselli zastał zgromadzonych tam przedstawicieli finansowego niemieckiego, francuskiego, holenderskiego i belgijskiego świata. Po krótkich dyskusyach uchwalono subskrypcyę na nową afrykańską wyprawę i na ten cel podniesiono natychmiastowie 20.000 funtów szterlingów.

Taki był rezultat pierwszego zebrania komitetu *d'études du haut Congo.* W początkach stycznia było drugie zebranie, a 23 stycznia trzecie, po którem Stanley spieszył przez Francyę i Włochy nad Śródziemne morze dla spotkania statku *Albion,* który przez morze Czerwone płynął do Zanzibaru. Tam Stanley odszukiwał dawnych swych czarnych druhów, proponując im nową nad Kongo wyprawę.

Niebawem też sześćdziesięciu ośmiu Zanzibarczyków zabierał statek Albion, a opuściwszy ostatnich dni maja 1879 r. brzegi Zan-

zibaru, okrążał Afrykę przez morze Czerwone i Śródziemne, dążąc do ujścia wielkiej rzeki Kongo.

Przy ujściu rzeki szuka daremnie Europejczyk cudów przyrody podrównikowej, zamiast rozścielających się bogactw natury, widzi smutne skały i zeschłą trawą pokryte pagórki okalające ujście Konga. Dalej nieco ukazuje się trójkąt lasem pokryty, zamykający prawie rzekę tak, że w tem miejscu ma tylko 4 mil ang. szerokości, po za nim dopiero rzeka rozszerzając się do 8 mil, w całej pełni roztacza majestatyczność swoją.

Prąd wody tak jest silny, że statek chociaż o wielkiej sile pary, zaledwie mógł posuwać się, a wylegli na pokład podróżnicy z łatwością okiem ogarnąć mogli na jakie mil dwadzieścia wspaniałe wody, afrykańskiej Amazonki. Na prawo wychylał się Point Padron, tworząc zatokę Diega, na lewo zaś przylądek piaszczysty, zwany Banana Point, na którym powiewały holenderskie, francuskie i angielskie flagi, będące na straży domów handlowych (factories), gęsto tam zabudowanych.

Skoro Albion wjechał w przystań Banany, powitali go oficerowie flotylli, złożonej ze statków: *Belgique, Espérance, En Avant, Royal, Jeune Africaine,* które nań oczekiwały.

Po parudniowym wypoczynku cała flotylla ze statkiem *En Avant* na czele wypłynęła w górę rzeki.

„Wielka rzeka", pisze Stanley, „znana mi aż do źródeł swoich, groźny grób kilku towarzyszy naszych, postrach lżejszych łodzi, spokojnie dziś jak sen letni uśmiechała się wdzięcznie do nas. Wzrokiem też słaliśmy jej przebaczenie za zapomnianą przeszłość. Znając jej siłę, wiemy, że potrzeba się mieć na baczności, aby śmierci nie znaleść na dnie skalistego jej łoża, ale wiemy też, że drogo nabytem doświadczeniem i flotyllą naszą pokonać ją potrafimy" [1].

Pominąwszy Bananę, ciągną się na wybrzeżach Konga osady

---

[1] Aby dać wyobrażenie czytelnikowi o sile wód Kongo, dość powiedzieć, że obliczonem zostało, że w czasie małych wód przepływa na sekundę 1,440.000 kub. stóp wody, w czasie zaś wód wielkich 2,530.000. Powyżej jeszcze miasta Bomy czuć się daje przypływ (flux et reflux) i odpływ jak na morskich wybrzeżach. Woda morska jednak, jak to mylnie mniemano, wcale do rzeki nie wchodzi, a tylko rzeka z gwałtownością wielką wpadając do morza napotyka na opór i zmuszona jest wody swoje podnieść. (Stanley. The Congo).

kupieckie (factories) należące do handlarzy niemal wszystkich europejskich narodów.

Do tych faktoryj pośredniczących z Europą, skupia się cały handel nadkongowego kraju; tu bowiem z wnętrza Afryki krajowcy towary swoje przynoszą, lądem i pieszo gdyż o żegludze na Kongu żaden śmiałek dotąd nie myślał. Rzeka więc i jej wybrzeża wydają się puste i smutne naszym podróżnikom, do czego nie mało przyczyniają się nagie pagórki po spalonych rok rocznie przez mieszkańców trawach, które na 10 stóp wysokie i zeschłe przeszkadzałyby wegetacyi na rok przyszły.

Cały ten krajobraz oblewa słońce afrykańskie niepodobne wcale ani do radośnego słońca śródziemnych wybrzeży, ani do skwarnego słońca Ameryki południowej. Jest ono raczej olbrzymim księżycowym blaskiem, w którym wszystko ukazuje się obleczone w powagę i majestat niezwykły.

W takim to świetle ujrzeli nasi podróżnicy miasto Bomę, prowadzące dziś handel gummą, kością słoniową i oliwą, a niegdyś przez handel niewolnikami, krwawemi głoskami zapisane w historyi świata. Strasznych tu nadużyć dopuszczali się biali nad biednym murzyńskim ludem, tak, że dziwić się należy, że się nie spotyka pomiędzy niemi słusznie należnej nienawiści, a przeciwnie żywią szacunek dla prowadzonego sprawiedliwie handlu, garnąc się do każdego cieplejszego obejścia. Widząc uśmiech na lodowatej i imponującej zawsze twarzy europejczyka Murzyn nie posiada się z radości, przyjaźń przyjaźnią odpłaca i rad się do białego przywiązuje oddając hołd jego wyższości.

Powyżej Bomy Kongo rozdziela się na kilka ramion, tworząc wyspy i wysepki, dające się porównać do koszów, z których wychylające się ekzotyczne rośliny kąpiąc się w wodzie, dają schronienie krokodylom i groźnym hipopotamom. Po za temi wyspami znowu Kongo jednym pięknym płynie korytem; wybrzeża zaś, to z nagich skał kwarcowych, po nad któremi gdzieniegdzie smutna wystrzela palma, to z pagórków gęstą tropikalną roślinnością pokrytych, złożone, — rozmaitością zachwycają oko podróżnika.

Żegluga na Kongu, powyżej Bomy, była dotąd nieznaną; Stanley nie zbadawszy jeszcze, o ile ona będzie możebną, począł się oglądać za sposobnem miejscem dla założenia pierwszej stacyi. Na

postanowienie jego wpłynął Dé dé dé, naczelnik osady Nsanda a dawny znajomy Stanley'a, za którego pośrednictwem miasto Boma ocaliło od śmierci głodowej powracającą w 1877 wyprawę od źródeł Konga.

Dédédé podjął się wskazywać najbezpieczniejszą drogę po spienionych wodach Konga, aby dopłynąć do skalistego pagórka, który dla położenia swego został następnie nazwany Castle Hill, wyglądał bowiem, jakby kaprysem natury zbudowana warownia. U stóp jej roztaczała się wyniosła równina, z której rozciągał się widok na dalekie wody Konga i na piękną i żyzną okolicę. Położeniem swojem mógł nawet służyć jako obronne miejsce, a bardziej jeszcze jako bardzo wygodny punkt handlowy. Nieopodal zaś płynące rzeki Nomanza-Cove i Lufu-River, spławne prawdopodobnie dla mniejszych statków, przedstawiały dwie drogi w głąb kraju. Przyjaciel Dédédé zaprowadził białych członków wyprawy do tłumacza, zamieszkałego w sąsiedniej osadzie Chinsalla, gdzie przyjęto ich bardzo gościnnie. Kobiety i dzieci przyglądały się gościom ciekawie, objawiając zadowolenie obfitością wina palmowego, którem podróżników z uprzejmością raczyły.

Korzystając z dobrego usposobienia, dowiedzieli się podróżnicy, że kraj Vivi ma pięciu naczelników, z których najstarszy Vivi Mavunga ma najwyższą władzę. Massalla, tak się nazywał tłumacz, przyrzekł Stanley'owi zwołać radę naczelników, z którymiby mógł zawiązać przyjazne stosunki, tak jak życzył sobie przed osiedleniem w kraju. Nazajutrz przed namiotem naszych podróżników ukazali się władcowie kraju Vivi, prowadzeni przez tłumacza Massallę. Stroje tych poważnych, po większej części białobrodych postaci, wywoływały uśmiech na usta europejczyków; były to bowiem generalskie tuniki i szlify, herbowne fraki pańskich przedpokoi, wysokie kołnierze angielskich prawników, i paryskich dandysów żakiety; te tandeciarskie szmaty rynków londyńskich, przywiezione tu przez przedsiębiorców znajdują zawsze pokup na wagę licznych produktów afrykańskich.

Dziwnie więc tak ustrojona, ale poważna zasiadła wkoło ta rada władców, do której przemówił Stanley przez usta Massalli: „Przyszedłem“, rzekł, „aby krzewić pomiędzy wami handel. Aby wykonać to przedsięwzięcie, mam zamiar zająć miejsca na moje domy tyle, ile

potrzebować będę, i ile mi się podoba. Drogi będę robił, o ile zauważę to potrzebnem, bo ich wcale nie macie, a że wszystko to podejmuję dla waszego dobra, nie powinniście żądać żadnej nagrody. Namyślcie się więc i dajcie stanowczą odpowiedź". Korzystając z dozwolonego namysłu, nazajutrz przybyli dopiero władzcy, przystając na robione propozycye; umowa na piśmie sformułowaną została, jednakże na wstępie zaraz musiano przekroczyć paragraf, znoszący datki, i Stanley rozdać musiał różne podarki, szczególniej znaczną ilość butelek rumu, gdyż każdy z władzców upominał się o ten nektar europejski, aż nadto ceniony przez Afrykańczyków.

Rozpocząwszy tak dyplomatycznie osiedliny na wzgórzach Vivi, rozpoczęła wyprawa krzątać się około założenia samej stacyi. Zrobiono więc drogę od wybrzeża, zniwelowano nierówności gruntu i przystąpiono do robót ciesielskich i murarskich. Tłumy zdziwionych krajowców przyglądały się narzędziom rękodzielniczym, ułatwiającym pracę białym, których: „mundele", nazywa. Widząc przypatrującą się tę rzeszę, zaproponował Stanley wodzom, aby dali swoich ludzi do roboty, ofiarując im w zamian kolorowe chustki, paciorki, perkale i noże. Zrazu zdawali się nie rozumieć propozycyi, zapłata bowiem za pracę nieznaną jest w tych krajach. Ręce, które umiały zbierać kokosy, gotować ziarnka oliwne, nigdy sił swoich nikomu nie pożyczały. Wkrótce jednak po paru próbach, zaczęli się oswajać z tym nowym porządkiem rzeczy, a błyszczące korale i wzorzyste chustki rozdawane po pracy dokonały reszty, i wkrótce zdala widać było wzniesioną, na wzór naszych europejskich osad, stacyę Vivi. Dziesięć domków stanęło wkoło, ogródki pozakładano w środku, a zasiane jarzyny i warzywa przystroiły niebawem w symetryę urządzone grządki. Początek 1880 roku zastał tak zagospodarowaną już Stacyę Vivi, której zarząd zdał Stanley na Sparkhawk'a, mianując go naczelnikiem, sam zaś zaczął myśleć o utorowaniu lądowej drogi z Vivi do Isangila; tu bowiem rozpoczynające się wodospady Livingston'a, znane tuziemcom pod nazwą Yellala, Inga i Isangila, uniemożebniają żeglugę. Główne z pomiędzy nich spadają z 45 stóp wysokości, szumem swoim o mil ośm w głąb kraju dając się słyszeć. Temu szumowi energicznie poczęły wtórować europejskie topory; przecinano lasy i karczowano korzenie w gęstwinach, przez które dotąd przeciskały się tylko węże, rozbijano

skały w wysokich kwarcowych górach. Zbiegający się czarny lud patrzał z podziwem na te prace olbrzymów, nazywajac Stanley'a *Bula Mutari*, co w języku murzyńskim znaczy „rozbijacz skał". Imię to szeroko w nadkongowym kraju zasłynęło, przebiegło po za rzeki i góry, otaczając Stanley'a nadprzyrodzoną sławą w oczach murzyńskich ludów.

Po utorowaniu drogi na kilkomilowej przestrzeni, wstawiali nasi podróżnicy statki swoje na żelazne, do użytku tego sporządzone wagony, ciągnąc je za pomocą sprowadzonych mułów i osłów. Ludzie, którzy wespół ze zwierzętami ciężką tę pracę podzielali, wypoczywali tylko w niedzielę, o święceniu której nigdy nie przepominali nasi podróżnicy. Cały rok czasu zabrała ta praca; przeprowadzona droga przez góry i lasy, dzielące Vivi od Isangili, w prostej linii tylko o 52 mil w głąb kraju posuwała się.

W Isangili dopiero podróżnicy spuścili statki do Konga, tym sposobem podróż mogli byli odbywać łatwiej i szybciej, zmuszeni jedynie byli do zatrzymywania na wybrzeżach dla zaopatrzenia się w żywność, którą krajowcy chętnie znosili. Melony, pigwy, kokosy, jaja a czasem koźlęce mięso, stanowiły cały repertuar kulinarny, za którym przychodziło czasem iść w głąb kraju, aby na targach produkta te zakupić. Targi zaś, niekiedy bardzo liczne, odbywają się na wierzchołkach wzgórz, tak, aby cała okolica widzieć je mogła. Tym sposobem wyprawa dostała się do Manyanga gdzie Stanley zamyślał założyć stacyę. Miejsce to przypuszczalnie oddalone było o sto mil ang. od Stanley Pool. Tutaj malarya, ścigająca tak nielitościwie europejczyków w krajach podrównikowych, zatrzymała naszą wyprawę. Wszyscy biali chorowali po kolei, z której nie wyłamał się i Stanley, a ta jego niemoc opóźniła działalność pracowników o miesięcy kilka.

Przy końcu lipca 1881 r. dopiero mógł Stanley zająć się zawarciem przymierza z naczelnikami Manyangi, którzy chętnie na zbudowanie miasta w swoim kraju zgodzili się. Od Manyangi rozpoczynają się znowu wodospady, czyniące żeglugę na Kongu niemożebną, i zmusiły podróżników do robienia drogi przez góry i lasy, nadto do ciągnienia statków za sobą.

Przechodząc przez te niezbadane dotąd okolice, zawierał Stanley stosunki z naczelnikami krajów. Po większej części przyjmo-

wano karawanę z oznakami życzliwości. Pierwsze znajomości zawierane były na wzór dyplomatyczny, przez posłów czyli tłumaczy, osobista zaś znajomość na ogólnym wiecu. Zebranie odbywało się uroczyście i wedle miejscowych przepisów. Zasłana skóra lwia lub lamparcia, stołek pokryty czerwonym płatem, przedstawiał tron, w koło którego wskazywano gościom miejsca. Czarna publiczność rozsiadała się w półkole i rozpoczynały się igrzyska narodowe. Tańce i śpiewy stanowiły główne tło tych przedstawień. Co miały znaczyć te dziwne skoki i te dzikie tony, żaden z Europejczyków odgadnąć nie mógł, żadnego też z nich nie bawiły, lecz widocznie wywoływały zapał w ogóle zebranych, którzy żywy i czynny udział w nich brali. Pomiędzy przerwami następowały długie przemówienia naczelników.

Na jednem z takowych zebrań dowiedział się Stanley, że powyżej Stanley Pool naczelnik kraju Makoko odstąpił francuskiemu podróżnikowi de Brazzie obszerne terytoryum. Niedowierzającemu pokazano papier zawierający umowę pomiędzy władzcą murzyńskim a wysłannikiem rządu francuskiego.

Ta wiadomość podwoiła energię Stanley'a. Gromadziły się też różnego rodzaju trudności. Drogi były uciążliwe, a zawiązywanie stosunków z krajowcami pochłaniało wiele czasu. Pomiędzy naczelnikami osad, byli ludzie chciwi, radzi jak najwięcej wyzyskać podarunków, nie oddając wyprawie żadnej usługi. Najprzebieglejszy taki naczelnik imieniem Ngalyemo Ntamo, chcąc zmusić Stanley'a do większych darów, napad na wyprawę gotował. Zimna krew i roztropość Stanley'a i tę burzę odwróciła, a nawet sam Ntamo ofiarował dla *Bula Matari* tytuł brata, przyjaźnią go swoją zaszczycając.

29 listopada 1881 r. przybyła nasza karawana do Stanley-Pool. Żadne miejsce odpowiedniejszem być nie mogło dla założenia głównej stacyi. De Brazza zajął terytoryum od północy, na południowym więc brzegu wypadało osiedlić się. Zwiedzono kilka miejscowości, a wybór padł na wzgórze powyżej rzeczki Kintamo, zaraz przy wejściu do jeziora, utworzonego rozlewem Konga. Wzgórze to, noszące nazwę Khonzo Ikulu, nazwał Stanley na cześć królewskiego protektora „Leopold Hill", 80 stóp wysokości po nad korytem rzeki.

Górzyste, zdrowe położenie, wygodna przystań u stóp, rozległy widok na wody Konga, wszystko to przemawiało za wyborem.

Po wyznaczeniu miejsca na drogę i osadę, wszystko co żyło zabrało się do pracy. Wyrąbywano las, wysadzano skały, uprzątano zawady. Droga jako tako wyrównana dozwoliła na spuszczenie statku rozbieralnego „En Avant“, który z niesłychanym trudem wyprawa za sobą prowadziła. Jedna z największych trudności została pokonaną, istniał już parowiec na wodach Konga, oddzielony wprawdzie od ujścia nieprzebytymi porohami, ale który miał przed sobą wolną rzekę na 5000 mil ang.

Nowo założonej stacyi dano jednomyślnie nazwę Leopoldville, a obszerny blockhaus, otoczony mniejszemi domkami, wkrótce nadał jej pozór osady, miastem przez krajowców nazwanej. Droga, prowadząca do brzegu, służyła europejczykom za miejsce niedzielnej przechadzki, widok zaś z niej rozciągał się obszerny. Cały staw Stanley'a umajony lasem, z prześliczną swą wyspą Bamu, roztaczał swą wodę przed mieszkańcami Leopoldville. Staw ten, będący rozlewem wód Konga, ma 250 mil kwadr.; wspomniana zaś wyżej wyspa Bamu, wraz z młodemi swemi siostrami, przedziela ten zbiór wód na dwie prawie równe części. W środku wyspy żyją słonie, bawoły, hipopotamy, małpy przeskakują po gałęziach, papugi nawołują krzykiem krążące stada pelikanów i białych orłów, krokodyl wygrzewając się na brzegu wychyla swą stuzębną paszczę, strasząc przepływającego wioślarza. Stanley tak się wyraża o malowniczości przyrody na wybrzeżach Stanley Pool [1]. „Opisy Szkocyi Wiliama Blacka wsławiły wszystkie piękniejsze miejsca tego kraju, lecz jakichże słów użyć trzeba, aby dać poznać, o ile wybrzeża Konga przewyższają je pięknością. Napróżno Amerykanie opiewają brzegi Missisipi, napróżno świat sławi Indus, Nil i Ganges, nic bowiem nie dorówna pięknością wodom Konga, choć one ani czczone, ani śpiewane, albowiem nie są znane“. Stanley powierzył pieczę nad budującą się osadą w Leopoldville porucznikowi Janssenowi, sam zaś na statku „En Avant“, wyjechał w górę rzeki, mianowicie dla zbadania dopływu Konga, zwanego Kwa.

---

[1] The Congo and the founding of its free state by H. Stanley 1885. T. I. London.

Od łodzi naładowanych kością słoniową a płynących do Stanley Pool zasięgnęli nasi podróżnicy wiele wiadomości o nadbrzeżnych mieszkańcach rzeki Kwa. Rzeka Kwa odznacza się szczególnością, odróżniającą ją od innych rzek, a mianowicie, że połowa jej płynie brudno-zieloną barwą, druga zaś połowa ma zupełnie czarne wody. Brzegi rzeki skaliste mało podróżników zaznajamiały z krajem; natomiast niższe miejscowości zasiane były gęstemi osadami. Rzeka rozszerzała się coraz więcej, aż w końcu zdumieni podróżnicy ujrzeli nieznane dotąd geografom i podróżnikom wielkie jezioro. Woda jego była czarną, brzegi siarkowym proszkiem usypane, wyglądały jakby ramy złocone olbrzymiego zwierciadła, po nad którem niebieskie łupkowe kamyki i pąsowe kwarce wyglądały jak kameryzowane ozdoby tegoż.

Pod d. 31 maja 1882 uradowany odkryciem Stanley zapisał w dzienniku swoim: „Objechaliśmy do koła nowo odkryte jezioro Leopolda II. Największe jego głębiny nie przewyższają 24 stóp, zajmuje ono 800 mil kwadr. Jedna tylko większa rzeka do tego jeziora dopływa; mniejszych zaś ilość wielka".

Brak żywności nie dozwolił podróżnikom dłużej zatrzymać się na jeziorze Leopolda; krajowcy uciekali od przybyszów, nie dając się żadną przywabić obietnicą. Musieli więc co prędzej opuszczać jezioro i żeglować ku Kongu; tembardziej, że stan zdrowia Stanley'a, który znowu zapadł na febrę, zaczął budzić pomiędzy towarzyszami poważne obawy, żeglowano więc co prędzej, aby przybyć do Leopoldville, gdzie trochę wygody i wypoczynku mogło pokrzepić stargane siły wielkiego podróżnika.

V.

Wyprawa afrykańska dokonała dotąd wielkiego dzieła, w obec krótkiego czasu i skromnych środków, lecz jeszcze daleko było do wnętrza Afryki, daleko do źródeł Konga, funduszów zaś i ludzi nie dostawało. Stanley umyślił osobiście udać się do Europy w tym celu. W październiku 1882 roku przybył do Brukselli, gdzie na zebraniu komitetu „*d'études du haut Congo*" nasz podróżnik przedstawił towarzystwu wiadomość o dokonanych pracach przez wyprawę, której był dowódzcą.

Towarzystwo międzynarodowe posiadało już pięć stacyj, dwa parowce krążyły po wodach wyższego Konga, spławne zaś części rzeki połączone były drogami wozowemi od Vivi do Isangili i od Manyanga do Stanley Pool. Licząc zaś przestrzeń aż do ujścia rzeki Kwa, wyprawa posunęła się 440 mil w głąb kraju. Roztropnem postępowaniem przyjaźnie usposobiła dla cywilizowanego świata narody murzyńskie, rozwinęła w nich zmysł handlowy, i przygotowywała ich do przyjęcia cywilizacyi europejskiej.

Powodzenia te jednak rezultatów znakomitych dać nie będą mogły, według Stanley'a, dopóki droga żelazna nie połączy spławnych części Konga; do wykonania zaś tej olbrzymiej pracy nietylko potrzeba wielkich kapitałów, ale nadewszystko zapewnienia mocarstw, że nie zostanie zaprzeczone towarzystwu posiadanie kraju, który tyle trudu i pieniędzy kosztować miał.

Komitet uznał słuszność przedstawień Stanley'a; przyrzekł pomoc w ludziach i pieniądzach, przedsięwzięto nadto stosowne środki do uzyskania opieki mocarstw.

Po sześciu tygodniach pobytu w Europie, Stanley, wracał znowu nad Kongo.

Pierwsze miesiące 1883 r. poświęcił Stanley reorganizacyi stacyi. Przysłani przez komitet ludzie wkrótce pozajmowali stanowiska swoje, pozwalając znakomitemu podróżnikowi przedsięwziąść dalsze odkrycia. W maju zwiedził nowo założoną stacyę Mswata, gdzie porucznik Janssen z pomocą Gobili, naczelnika tego kraju, a wielkiego przyjaciela *Bula Matari*, pracował dzielnie dla towarzystwa. Wyprawa miała obecnie wkroczyć między ludy bardzo źle usposobione dla Europejczyków, Stanley pamiętał dobrze, jakie tu przeszedł trudności podczas swej podróży r. 1877, Gobila nie omieszkał udzielić rad, dla pozyskania sobie zaufania tych dzikich.

Do Bolobo dopłynęli spokojnie, zatrzymali się w założonej już tam stacyi, gdzie Stanley wziął udział w sądzeniu sprawy o zabicie dwóch ludzi z załogi stacyjnej. Zebrani okoliczni naczelnicy trzymając się kodeksu krajowego, skazali winowajców na grzywny, tj. na złożenie pewnej ilości kości słoniowej i rozmaitych produktów. Stosunki z tym społeczeństwem na wpół dzikiem wymagają taktu i roztropności. W powyższej sprawie Stanley musiał domagać się ukarania winnych, pobłażliwość bowiem doprowadziłaby do dalszych

nadużyć i zbrodni, z drugiej zaś strony zgodził się na wyrok zgodny ze zwyczajami miejscowymi, aby surową karą nie zrażać murzynów pozbawionych dobrych pojęć o wymiarze sprawiedliwości.

Wyprawa udała się w górę Konga. Wybrzeża okryte były równikową bogatą roślinnością, i zroszone przez liczne rzeki do Konga wpadające. O nazwy tych rzek zapytywali podróżnicy krajowców, lecz najczęściej nadaremnie, gdyż określenie: d u ż a w o d a, w o d y w i e l k i e i w i e l k a r z e k a ciągle się na ich ustach spotykają, oznaczając każdą spławną dla łodzi rzekę. Wyżej dopiero napotkali po prawej ręce dopływ Konga, zwany Lukanga; czarne wody tej rzeki prowadziły do jeziora Mantumba. Bardzo podobne z natury swojej do jeziora Leopolda, jest ono, według orzeczeń krajowców, połączone rzeczką z tymże, tak, że przepływając przez oba jeziora, dostać się można napowrót do Konga.

Stanley posuwał się coraz dalej w głąb kraju. Przy ujściu rzeki, zwanej przez krajowców: Mohinda czyli: „czarna rzeka“ (black river) mogli podróżnicy ze statków widzieć duże miasto Boruki. Wybrzeża Mohindy licznemi osadami były zaludnione; zbliżyć się jednak do nich niepodobna było wyprawie, gdyż tuziemcy aż nadto wyraźnie niechęć swoją objawiali, ukazując się na wybrzeżach w pełnym rynsztunku wojennym, strzały i kamienie nieraz witały nieproszonych cywilizatorów.

Przy ujściu Mohindy do Konga, rzeka ta rozdzieloną jest na dwie połowy przez wyspę; każde zaś z wybrzeży osiedlone jest przez ludność zupełnie odrębną, zwaną Bakuti i Bakonga. Posłowie od ludów Bakuti przybyli na statek ofiarując podróżnikom przyjaźń swego naczelnika, naturalnie że Stanley z radością ich powitał. Obrzęd odbył się uroczyście. Murzyn naciął białą i czarną rękę przyszłych braci, posypał je solą, potarł jednę o drugą, wypowiadając całą litanię przekleństw, które spaść miały na głowę tego, któryby uszanować nie umiał tej przyjaźni krwi.

Stanley korzystał z tego dobrego usposobienia Bakatów, założył tu nową stacyę, której dał nazwę „Stacyi równikowej“ (Equator Station). Kiedy po stu dniach niebytności, powrócił Stanley do stacyi równikowej, porucznicy Vangele i Coquillat tak się jej urządzeniem zajęli, że znalazł ją przeistoczoną w europejską siedzibę. Zapasy żywności z łatwością się zdobywały, ogród uprawny

starannie dostarczał jarzyn, a klimat, chociaż skwarny i wilgotny, nie wpływał szkodliwie na zdrowie. „Ziemia tu urodzajna, bogata, pisze Stanley w swoim dzienniku, „wegetacya silna, równikowa, a przypadków febry nie mieliśmy, jakby dla zaprzeczenia naszym dotychczasowym spostrzeżeniom, że sprzyjające warunki silnemu rozwojowi roślinności, szkodliwie wpływają na organizm ludzki".

Stacya równikowa miała więc wszelkie warunki, aby zostać jednym z głównych schronień dla europejczyków. Odległość jej od morza obliczoną została na 757 mil ang., od Leopoldville 412, a do wodospadów Stanley'a przypuszczalnie 600 mil pozostawało jeszcze do przebycia.

Zapuszczając się w głąb kraju powyżej stacyi równikowej, Stanley stawał się ostrożniejszy. Wspomnienia bowiem, które budziły się w jego pamięci, nabierały grozy w obec rzeczywistości. Przed sobą mieli właśnie podróżnicy nasi miasto Bangalę, pamiętne bitwą z roku 1877. Tłumy czarnego ludu zebrane na wybrzeżach zdawały się przepowiadać powtórzenie krwawych epizodów. Odwaga Stanley'a, który z flotyllą do brzegów podpłynął, i umiejętną parlamentacyą przekonał o przyjaznych dla kraju tego zamiarach, zażegnała zle. Te oświadczenia zakończyły się ceremonią braterstwa krwi, którą Stanley dopełniał 15, czy 16 raz, i zobopólną wymianą podarunków.

Dziewicze lasy zdumiewały członków wyprawy, poznających cenne materyały lekarskie, farbiarskie i do rozmaitych przemysłów służące, nietknięte, nienaruszone ręką ludzką a roztaczające krasę, o której bardzo słabe ma wyobrażenie europejczyk, znający tylko cieplarniane, skarłowaciałe odrostki, umęczone brakiem ciepła i słońca.

Mieszkańcy tych czarodziejskich lasów, musieli miewać bardzo rzadkie stosunki ze światem, świadczył o tem brak zupełny odzieży i nader nieestetyczny zwyczaj tatuowania twarzy w tysiące podłużnych i poprzecznych linijek, nadających obliczu wyraz niemiły i dziki. To tatuowanie zastępuje strój. Handel mało tu rozwinięty, nie wyłączając kości słoniowej, z której tuziemcy najpośledniejsze robią naczynia. W ogóle nie było podobnem zawiązanie z tym ludem stosunków, gdyż na widok flotylli umykał w głąb lasów, zabierając z sobą żony i dzieci. Od jednego z tych plemion, zwanych Basoko, dowiedzieli się podróżnicy, że przed laty najechało ich potężne wojsko, które przypłynęło rzeką, a dowodzone było przez

człowieka o bladej jak księżyc twarzy. Wojsko to paliło wsie, zabierało dobytek i uprowadzało kobiety i dzieci. Przed takiemi napadami udawało się czasem mieszkańcom schronić się do lasów, lecz w ostatnich czasach powtarzały się one częściej, a i teraz chodziły wieści o przybyciu tych złych ludzi. Kto to byli ci źli ludzie o bladej jak księżyc twarzy, podróżnikom trudno było dobadać się; przypuszczał jednak Stanley, że tu już dosięgać musieli Arabowie sudańscy, którzy jako handlarze niewolników, barbarzyńskie swe żniwo z dzieci tej ziemi zbierali.

Powyżej kraju Basongów napotkali nasi podróżnicy dość znaczny dopływ Konga. Flotylla puściła się na wody nieznanej tej rzeki, lecz wkrótce zatrzymaną została przez wodospady. Głód dokuczał wyprawie, a krajowcy zbliżając się do statków udawali zgłodniałych, dlatego zapewne, aby się od natrętów uwolnić. Rzekę tę nazywa czarny lud: Kiyo, Ikongo lub Massua, niekiedy zaś: Bierré, którą to nazwę i podróżnicy nasi przyjęli, chociaż się zdaje, że krajowcy wyższej tylko części imię to dają, niższą nazywając Aruwimi.

Zwiedziwszy powierzchownie wybrzeża rzeki Bierré, powrócili podróżnicy do Konga. Płynąc ciągle w górę rzeki podziwiali jej majestatyczność, niedającą się do żadnej innej rzeki przyrównać; zawsze te same palmowe i orchillowe lasy, przypominające cieplarnie nasze, stroiły wybrzeża, na których jednak ludność zdawała się jakby wymarłą. Po niejakim czasie spostrzegli podróżnicy zabarykadowanie rzeki wielką ilością suchych gałęzi, które w kilka rzędów z wielkim trudem przez całą szerokość rzeki nałożone były. Nadto przez lunetę można było dostrzedz znaczną liczbę łodzi przy prawym brzegu rzeki. Flotylla ta liczyła do tysiąca czółen murzyńskich, z których każde mogło przypuszczalnie pięciu ludzi pomieścić.

Stanley mógł się spodziewać napadu, tembardziej, że już dobrze odróżniano na wybrzeżach zgliszcza popalonych siół i osad. Wyprawa szła naprzód i gotowała się do dania odporu. Niebawem ujrzeli nad brzegiem starca, nie mogącego widocznie podążyć za innymi, którzy zdołali ratować się ucieczką. Pytany przez europejczyków, odpowiadał tylko: „Jedźcie sobie, jedźcie, wyście podobni do tamtych, wy śmierć nam niesiecie“.

Podróżnicy nasi niewątpili już, że temi „blademi twarzami jak księżyc“ byli rozbójnicy arabscy i nieomylili się.

Dwanaście zgorzałych osad mogli widzieć ze statków podróżnicy, a pomiędzy niemi zgliszcza dużych miast Yarunga i Yaporo, słynnych handlem przed paru dniami jeszcze. Roztaczający się dokoła obraz zniszczenia i pożogi napełniał współczuciem i zgrozą załogę flotylli, ofiary barbarzyństwa najezdzców, martwe ciała niewiast, pokrępowane powrozami po dwie razem, pływały po wowodach Konga.

Niebawem ujrzeli nasi podróżnicy znaczną, zdala bielejącą masę, do której przybliżając się, zaczęli rozpoznawać namioty arabskiego koczowiska. Niewątpliwie więc sprawcami tych okrucieństw, byli Arabowie z Nyangwé, przybyli tutaj z po za wodospadów Stanley'a. Okrucieństwa te poruszały do głębi uczucia ludzkości w sercu każdego z członków wyprawy, słuszne oburzenie obudzało słuszną żądzę zemsty; lecz cóż mogła zdziałać garstka bezbronnych ludzi, którzy w imię nauki torować dopiero mieli drogę zbawiennym wpływom cywilizacyi.

Po naradzie więc postanowili nasi podróżnicy sygnalizować przyjaźnie przybycie swoje, zdając się na ewentualność następstw, jakie przyszłość przynieść mogła bezbronnym europejczykom. Na sygnały naszej wyprawy odpowiedziały strzały arabskie a podpływająca łódź przyniosła powitanie w narzeczu Suahili, rozpowszechnionym na wschodnim wybrzeżu Afryki i zaproszenie do rozłożenia opodal obozu.

Chcąc się przypatrzeć tym barbarzyńcom, wylądował Stanley w pobliżu, a Zanzibarczycy, w służbie wyprawy będący, wkrótce zawiązali stosunki z niewolnikami hordy, dostarczając szczegółów o całej tej szajce. Byli to więc najemnicy i niewolnicy kupca Abed bin Salima, od 16 miesięcy plądrujący kraj po rzekę Bierré, niszcząc wszystko i uprowadzając, o ile się dało. Przestrzeń splądrowana, o ile można było z opowiadań wnosić, obejmowała 35.000 mil kwad., przynosząc zniszczenie milionowej ludności. Horda ta jednak nie liczyła więcej nad 300 ludzi dobrze uzbrojonych i tyleż niewolników, nie rachując zastępów uprowadzonej w niewolę ludności.

Nazajutrz po przybyciu został zaproszony Stanley przez wodza tej rozbójniczej bandy, zwanego Karema, aby go odwiedzić zechciał. Koczowisko Arabów rozłożone było pośród gruzów miasta Yangambi, widok tego rozbójniczego gniazda taką grozą przejął Stanley'a,

że od niego zapożyczyć musimy natchniony współczuciem i litością opis [1].

„Zrazu widzieliśmy tylko ścisk i natłok wielki; rozpatrzywszy się dopiero, rozpoznawać zaczęliśmy, że wkoło obóz był otoczony jakby wałem z czarnych ciał, które w nieładzie jedne na drugich piętrzyły się. Znużone niewygodami, pogrążone w śnie niemal letargicznym, leżały postacie kobiet z niemowlętami u piersi, obok wyrostków i dzieci. Niektóre z kobiet, zapewnie niesforne, zakuto w obręcze żelazne, do których przymocowano kilkoro drobnych dzieci. Zabrany sprzęt i dobytek tych nieszczęśliwych, zrzucony w kupy, zalegał resztę miejsca a jęki i zrozpaczona postać tych ofiar powiększała widok tej okropności, niedającej się żadnym oddać piórem“...

„Zwiedzałem to wszystko z pozornie obojętnem okiem“, pisze Stanley, „ale we dnie i w nocy ścigał mnie ten widok okropny, sen odtwarzał w mojej wyobraźni najazdy tych barbarzyńców w pośród nocy oświeconej pochodniami, niosące mord, pożogę i hańbę tym nieszczęśliwym ludom. Dla uprowadzenia 1500 kobiet i dzieci, obrócono w perzynę 118 osad, rozproszono 10.000 ludności, której połowa przynajmniej postradała życie pod morderczem żelazem najezdzców. Uprowadzenie dziecka kosztowało życie ojca, matki, a może i kilku dorosłych sióstr i braci, broniących nieszczęśliwej ofiary“...

Mężnego więc ducha musieli być członkowie naszej wyprawy, aby napatrzywszy się na te obrazy, nie wahać się przed dalszą podróżą, szczególniej, że i żywności mogło zabraknąć podróżnikom w tych krajach wyludnionych. Wśrod, zielonych lecz pustych pól płynęła flotylla jeszcze dwa dni, i dopiero 1 grudnia 1883 r. ujrzała pierwsze wodospady Stanley'a, zatrzymujące dalszą żeglugę i zniewalające podróżników zbliżyć się do wybrzeży.

Wysłano więc łodzie na lewy brzeg rzeki a tłumacze zdoławszy porozumieć się z mieszkańcami, uzyskali od nich przyzwolenie na osiedlenie się w kraju Wenya, który się tam rozciągał. Wkrótce też wyprawa zapoznawszy się z krajowcami dowiedziała się od nich, że od 1878 r. Arabowie prowadzeni przez znajomego nam z da-

[1] The Congo and the founding of its frec state by H. Stanley 1885, str. 614 tom II.

wniejszego opowiadania Tipo-Tipę, z Nyangwé, usiłowali ciągle przebyć wodospady dla przedostania się do nadkongowych krajów. Pomiędzy wodospadami leży wysepka, którą Arabi opanowali, odstraszając lud okoliczny bronią palną, a osiedliwszy się tam, zawiązali przyjazne stosunki z rybakami Wenya, którzy pomagali im przeprowadzać łodzie przez wodospady, lub przenosić je pieszo brzegami, dostając jako wynagrodzenie za tę przysługę od powracających z obławy Arabów kilku niewolników niezdatnych do dalszej podróży.

Wodospady Stanley'a leżą 0° 28' 30" dług. a 25°—26° szer., i składają się z siedmiu oddzielnych porohów. Siódmy przerywa żeglugę na dwie mile, poczem jest wolną mil dwadzieścia sześć. Szósty wodospad zajmuje całą szerokość rzeki, nie zostawiając ani jednego wolnego miejsca dla przejazdu. Za nim następuje dwudziesto dwu milowa przerwa, poczem piąty, czwarty, trzeci, drugi i pierwszy wodospad w bardzo bliskich jeden od drugiego odstępach, uniemożebniają całkowicie żeglugę. W miejscu, gdzie Kongo po wodospadach płynie, rozdziela się ono na dwa koryta bardzo nierówne, zostawiając w środku wyspę, zwaną Wanna Bussari. Na tej wyspie umyślił Stanley założyć stacyę tymczasowo przynajmniej, ostatnią. Przed osiedleniem zwołano radę krajowców, która chętnie na założenie stacyi zezwoliła a sąsiedni władzca Bakumu, zasłyszawszy o darach otrzymanych przez sąsiadów, swoją protekcyę nowej tej osadzie ofiarował. Chodziło więc jeszcze tylko o samo założenie stacyi, a bardziej jeszcze o człowieka, zdolnego do objęcia dowództwa nad tym oddalonym cywilizacyjnym kresem. Czterech tylko europejczyków liczył Stanley pomiędzy towarzyszami swemi: jednego Niemca, jednego Anglika i dwóch Szkotów, z których jeden nazwiskiem Binnie, małego wzrostu, lecz odważnego ducha, oświadczył się z gotowością do objęcia tej niebezpiecznej posady.

Dziesiątego grudnia pożegnał Stanley odważnego Szkota, zostawiając mu 31 dobrze uzbrojonych żołnierzy Zanzibarczyków i jakie tylko wyprawa miała z sobą prowizye, tak w żywności, jak i towarach przeznaczonych na dary.

VI.

Mówiliśmy już poprzednio, w jaki sposób Francya i Anglia przystąpiwszy do stowarzyszenia międzynarodowego, wycofały się następnie, wysyłając wyprawy, mające wyłącznie na celu handlowe przedsiębiorstwa krajów własnych.

Samolubna Anglia poszła jeszcze dalej, lord Granville zawarł traktat z Portugalią (26 lutego 1884), uznający zwierzchnictwo Portugalii nad Dolnym Kongiem aż po Noki, przez co towarzystwo międzynarodowe traciło przystęp do morza a Anglia wolny zdobywała handel dla swoich produktów, które na jednych prawach pozostać miały z portugalskimi. Cło pobierane od towarów obcokrajowych przeznaczone było dla ustalenia dogodniejszej dla tychże towarów komunikacyi [1].

Traktat ten był wypowiedzeniem wojny bezbronnemu Stowarzyszeniu międzynarodowemu, które zmuszone zostało do protestu, a nie ograniczając się na tem, zaczęło się krzątać około doprowadzenia do skutku dawno podjętej myśli utworzenia niepodległego międzynarodowego państwa z posiadłości zajętych.

Stany Zjednoczone pierwsze uznały niepodległość złotej gwiazdy w polu niebieskiem, świecącej na sztandarze międzynarodowego kongowego państwa a kanclerz państwa niemieckiego ks. Bismark, schwycił skwapliwie myśl upokorzenia Anglii, zmuszając ją za pomocą innych mocarstw do obalenia owego traktatu z Portugalią.

Za inicyatywą Niemiec zaproszeni zostali przedstawiciele wszystkich europejskich mocarstw na dzień 15 listop. 1884 roku, naznaczony na konferencyę w Berlinie. Najgłówniejszą pracą konferencyi było ustanowienie granic niepodległego państwa Kongo, zabezpieczając je od sąsiadów, którym przyznano następujące posiadłości. Francyi zabezpieczono posiadanie wybrzeży od Sette-Cama do rzeki Czinlongo. Linia graniczna miała iść wododziałem tej rzeki i Konga, zostawiając wybrzeża odkrytej przez de Brazzę Lincony, i dozwalając temu mocarstwu wykonać plany de Brazzy co do skierowania handlu francuskiego przez tęż rzekę.

---

[1] *Proceedings* of the royal geographical society. April 1885. London.

The Congo and the founding of its free state by H. Stanley. London 1885. Tom II.

Najoporniej przeprowadzały się układy z Portugalią, która rościła sobie prawa historyczne do nadkongowych krajów. Musiano więc jej zapewnić te wszystkie okolice, które przed ostatniemi odkryciami były pod jej zwierzchnictwem. Całe wybrzeże po lewej stronie Konga należeć będzie do Portugalii, posiadającej po prawej, miasta: Landana, Malemba i Kabinda. Pomiędzy temi posiadłościami, jakie 40 kilometrów dostało się stowarzyszeniu z miastami Banana, Boma i Isangila.

Takie mają być granice państwa Kongo od posiadłości europejskich, na wschód zaś do źródeł pobocznych Konga, do jeziora Bangweolo, Tanganijki i Nyanzy Alberta i do niezbadanego dotąd jeszcze wododziału rzeki Konga i Nilu.

Wszystkie prawie państwa europejskie, nie wyłączając Francyi i Anglii, uznały władzę stowarzyszenia międzynarodowego jako niezależną, upoważniły przedstawicieli swoich na konferencyi berlińskiej [1] do ogłoszenia niepodległości państwa Kongo, co też oficyalnie dokonanem zostało 23 lutego 1885, przyznając jednocześnie

---

[1] Upoważnieni przedstawiciele mocarstw europejskich na konferencyę berlińską byli następujący:

Z Niemiec: O. X. Bismark, prezes rady ministrów i kanclerz niemiec państwa. — Hr. Hatzfeld, minister państwa i sekretarz spraw zagraniczn. — Dr. Busch, podsekr. minis. spr. zagr. — Henryk Kusserow, radca dep. spr. zagr.

Z Austro-Węgier i Czech: Em. hr. Széchenyi, de Sárvári, Telso-Videk, ambasador nadzwyczajny.

Z Belgii: Hr. von der Straten Ponthos. Envoyé extraordinaire.

Z Danii: Emil de Vind. Envoyé extraordinaire.

Z Hiszpanii: Don Francisco Merry y Colom, hrabia Benomar. Envoyé extraordinaire.

Ze Stanów Zjednoczonych Ameryki: John Kasson Esq. Envoyé extraordinaire. — Henry Sanford Esq, dawniej minister w Belgii.

Z Rzeczypospolitej francuskiej: Alfons baron de Courcelles ambasador nadzwyczajny.

Z Anglii, Irlandyi i ces. Indyjskiego: Sir Edward Baldwin Malet ambasador nadzwyczajny.

Z król. Włoskiego: Edward hr. Launay ambasador nadzwyczajny.

Z król. Niderlandzkiego i ks. Luxemburgskiego: F. Fr. Jonkheer Van der Hoeren, ambasador nadzwyczajny.

Z Portugalii: Senhõr Antoine Serpa de Pimentel, radca stanu.

Z Rosyi: P. hr. Kapnist, tajny radca, ambasador nadzwyczajny.

Ze Szwecyi: Gillis baron Bildt, general-lejtenant, ambas. nadzwyczajny.

Z państwa Ottomańskiego: Mehemed Saïd Pacha, Wezyr, ambasador nadzwyczajny.

wolność handlu w jego granicach wszystkim stowarzyszonym narodom.

Najnowsze to dziś na kuli ziemskiej państwo, obszaru mieć będzie 30.000 mil kwadratowych geogr., mieszkańców zaś około 43,000.000. Ludność ta należy do wielkiego szczepu murzyńskiego Bantu, zamieszkującego Afrykę od Sudanu do zachodnich wybrzeży. Murzyni Bantu zdolni są do rychłego przyjęcia cywilizacyi. Mają oni już dziś swoją rodzimą kulturę, zdolność do przemysłu, rękodzieł i handlu; język ich do wykształceńszych murzyńskich należy, gdyż ma wszystkie części składowe języków ucywilizowanych.

Pod względem pojęć religijnych stoją na niskim bardzo szczeblu. Wierzą w dobre i złe duchy, hołdują fetyszom wedle swoich potrzeb i namiętności.

Wiarę chrześcijańską krzewią nad Kongiem wyłącznie dotąd prawie anglikańscy Baptyści. Zakładają oni misye swoje prawie przy każdej osiedlonej już stacyi międzynarodowego towarzystwa. Postęp jednak w pracach ich, tak mały, że na nawrócenie ogólne stanowczo żadnego wpływu nigdy ci misyonarze mieć nie będą, odtrącając chłodem wiejącym od protestantyzmu; przygotowują jednak drogę prawdziwej wierze. W ościennych posiadłościach portugalskich i francuskich wiara nasza krzewi się szybko. W Landanie pracują misyonarze św. Ducha, nawracają, uczą i wychowują dzieci, pomiędzy któremi spotykamy i wolne, do najwyższych warstw społeczeństwa tego kraju należące; w Mboma podobnież jest dom misyjny pod wezwaniem N. Panny, i szkoła na wzór Landańskiej. Z tych dwóch domów stale zamieszkałych jeżdżą misyonarze po francuskich i portugalskich posiadłościach, zwiedzają również i kraj należący do międzynarodowego stowarzyszenia. Kardynał de Lavigerie wysyła misyonarzy ze zgromadzenia mis. Algierskich w nadkongowe kraje; słynny zaś z dawniejszej, a wielce niebezpiecznej wyprawy przez Zanzibar do jezior równikowych X. Guyot, nabył dla zgromadzenia w ostatnich czasach od międzynarodowego stowarzyszenia posiadłość i założył tam ochronkę, na wzór której zapewne liczne takie zakłady po kraju rozsiane będą.

Wpływy misyonarzy, pracujących wytrwale i z poświęceniem, muszą w końcu wydać spodziewane owoce; umoralnienie zaś, płynące z pojęć religijnych, ostatecznie ucywilizuje ten obszerny i bogaty

kraj, wieńcząc bogatym plonem pracę dzisiejszych siewców. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, państwo Kongo, nie jest przeznaczone na kolonię europejską, ale posłuży do zaszczepienia między czarnymi plemionami chrześcijańskiej wiary i cywilizacyi, którą europejskie narody jako depozyt dla całego świata posiadają.

Dla badawczego zaś oka, te nowo-odkryte kraje i te nowopoznane ludy, dziwną mają ponętę i mimowoli przywodzą na myśl słowa Stanley'a, zestawiające ten kraj nadziei i przyszłości z pełną świeżości i uroczych zagadnień twarzyczką dziecięcia, której uśmiech zdaje się wróżyć przyszłe czyny geniuszu lub bohatera[1].

M. S.

[1] Stanley daje daje w swem dziele następujące przybliżone obliczenie krajów położonych nad Kongo.

	Pow. w mil. kwadr. ang.	Ludność
Posiadłości francuskie..	62 400	2 121 600
Posiadłości portugalskie.....	30 700	276 300
Niezajęte dotad kraje	349 700	6 910 000
Państwo niezawisłe Konga	1 065 200	42 608 000
Razem...	1 508 000	51 886 000

Rzeka Kongo ma długośoi 3000 mil ang., lecz z powodu porohów nie jest na całej swej przestrzeni żeglowną. I tak od swego ujścia do Vivi na 110 mil jest zupełnie żeglowną, pomiędzy Vivi a Stanley Pool w niektórych tylko miejscowościach nie przedstawia niebezpieczeństwa dla statków. Od Leopoldville zaś w górę z wyjątkiem Stanley-Falls i Livingston-Falls rzeka jest zupełnie zdatną do żeglugi. Jeżeli się wliczą dopływy Konga, wówczas długość dróg rzecznych wyniesie 6000 mil ang.

Dla przebycia porohów od Vivi do Leopoldville Stanley proponuje kolej żelazną, którąby miała długości 236 mil ang., licząc po 4000 funt. szter. za milę, kosztowałyby 940,000 funt. szter. Przybliżony dochód roczny ocenia na 309.000 funt. szter. Artykuły, którymi by zaopatrywano targi europejskie byłyby: kość słoniowa, oliwa palmowa, gumy, drzewa budulcowe i stolarskie, kauczuk, miedź i inne; wszystkie te artykuły wyprowadzają się dzisiaj i przenoszone są na barkach ludzi. Ponieważ zaś ziemia tamtejsza jest nadzwyczaj urodzajną i zdatną pod uprawę kawy, herbaty, trzciny cukrowej, można się słusznie spodziewać ogromnego wzrostu wywozu, zwłaszcza, że państwo zostające pod osobistą opieką króla belgijskiego i zarządem Stanley'a, dotrzyma zapewnie obietnicy, wolnego pobytu i handlu, uczynionej na konferencyi berlińskiej.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach, napisał Dr. Maurycy Straszewski, prof. filoz. na Wszechnicy Jag. Kraków, 1884.

Przysłowie *quod rarum carum* nie zawsze się u nas sprawdza. Rzadkością jest u nas filozoficzna książka — nie mówię o tłumaczeniach i sprawozdaniach, których nam nie szczędzi kuźnica warszawskich pozytywistów, ale o polskiej samodzielnej pracy; a jednak pojawienie się w kraju takiej książki nie budzi zajęcia, często nawet nie zwraca uwagi prasy naukowej. Kiedy przed kilkoma laty Dr. Ign. Skrochowski wydał swoje dzieło *O wiedzy ludzkiej*, niewątpliwie najoryginalniejsze i najgruntowniejsze, jakie w tej dziedzinie polska literatura posiada, dzieło, któreby w niemieckiem lub francuzkiem piśmiennictwie niemały wywołało rozgłos, u nas było cicho, sza! tak cicho, że ledwo kto dowiedział się o istnieniu tej książki. Przeszłego roku profesor Uniwersytetu Jagielońskiego, wydelegowany przez Uniwersytet na zjazd uczonych w Edynburgu, wydał na pamiątkę tego obchodu i jako próbkę zaczętego na wielkie rozmiary dzieła o całej historyi filozofii, sporą pracę p. t.: „Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach“ — i nad tą książką jakoś przechodzi się do porządku dziennego.

A jednak potrzeba nam takich, własnych dzieł filozoficznych, ażeby duch narodu rozwinął się całkowicie, ażeby nie był drzewem bez wierzchołka. I nie jest prawdą, żeby nasz naród nie był wcale do filozofii uzdolniony. Nie posiadamy może głębokości Niemców, daru spostrzegawczego Anglików, jasności myśli i słowa Francuzów, ale mamy pewną pośrednią miarę i syntezę tych przymiotów, która nas chroni od gubienia się w zawiłościach i abstrakcyach z pierwszymi, od grzęźnięcia w materyalizmie z drugimi i od powierzcho-

wności ostatnich. Po wszechnicach zagranicznych, gdziekolwiek nasza młodzież spotyka się u stóp katedr filozoficznych z młodzieżą innych narodów, niepoślednie między nimi zajmuje miejsce i nieraz zaszczytnie się odznacza.

Raczej może brak pracowitości umysłowej niż brak zdolności utrudnia u nas rozwój filozofii. Najwięcej zaś, jak sądzę, na to wpływa ta okoliczność, że jesteśmy odcięci od Zachodu szerokim pasmem Niemiec. Myśl, ze starych zdrojowisk cywilizacyi płynąca, filtruje się do nas przez Niemcy i zawsze z jakąś cechą niemieckości do nas przychodzi. Otóż, jakkolwiek niemiecka umysłowość ma bezwzględnie wysokie zalety, naszemu jednak duchowi jest ona najprzeciwniejszą; sposób myślenia niemiecki jest do pochodu naszej myśli poniekąd odwrotny; szkolnictwo na niemiecki sposób i na tle niemieckich autorów urządzone, jest dla naszej młodzieży, jak nieraz zauważono, zgoła nieodpowiedniem; filozofia, niemieckim duchem przesiąkła, jest dla naszego społeczeństwa obcą, nieprzystępną; otoczy się czasem nimbusem sławy, nigdy korzeni w duchu narodu nie zapuści.

Tem więcej cenić powinniśmy dzieła filozoficzne, które nie są tylko przeróbką niemieckich płodów, ale prawdziwie oryginalnym polskim utworem. Takim jest właśnie dzieło profesora Straszewskiego o pesymizmie w Indyach. Jest w tej książce łatwość i wdzięk literackiego utworu, przy głębszym interesie, jaki zawsze budzi śledzenie rozwoju myśli ludzkiej. W potoczystym i barwnym opowiadaniu przesuwają się wszystkie fazy ducha starej Indyi, tej macierzy naszego szczepu i „starszej siostrzycy naszej cywilizacyi“; „odsłania „się przed oczyma naszemi świat pojęć, tak bogaty i tak odległej „sięgający starożytności, że — jak mówi autor — umysłowość nasza ma „w obec tamtej cechę prawie młodzieńczą“. Za specyalność w tem mnóstwie objawów ducha, czyli za szczególny punkt widzenia, z którego pogląda się na całość, obrał autor p e s y m i z m. To nadaje przedmiotowi jedność i oraz aktualność, wiążąc go z najgłośniejszą, a bodaj czy nie jedyną nótą dzisiejszej filozofii.

Jestem zanadto obcy w tym świecie oryentalizmu — który dziś dopiero na oścież swe nieprzebrane skarbnice Europie otwiera — żebym mógł sądzić z punktu historycznego i krytycznego o uczonym dziele Dra Straszewskiego. Jeżeli zaś co do formy mam coś zau-

ważyć — ponieważ i co dobre może zawsze być lepszem, a w szczególności ten utwór jest dopiero pierwszym rzutem gotującego się dzieła na większe rozmiary — powiem, że opowiadanie jest może aż nadto potoczystem, a rozmaite postacie filozofii indyjskiej może nie są dość wyraźnie odróżnione i określone. Dla nas, profanów w indyologii, pożądane byłyby silniejsze rysy i wyrazistsze charakterystyki; inaczej szczegóły zlewają nam się cokolwiek w jednostajnym ogóle.

Najgłębszym, zdaje mi się, i najlepiej napisanym jest ostatni rozdział, w którym zestawiają się zdobyte wyniki i pesymizm z nad Gangesu staje w porównawczym przeglądzie, obok filozofii greckich i rzymskich, idei chrześcijańskiej i wreszcie panteizmu niemieckiego, kończącego na pessymizmie Hartmanna. W grecko-rzymskim świecie, a tem bardziej w chrześcijańskim, jeżeli tu i owdzie przebija pessymistyczny nastrój, skargi na życie, nawet samobójstwo, to tylko wyraz pessymistycznego poglądu na obecny stan rzeczy, poczucia jego niezgodności z ideałami przeszłości, albo nadziejami lepszego świata; żeby zaś pessymizm był zasadą wszechświata, byt jako taki absolutnem nieszczęściem, to idea, która się tylko u Brahministów rodzi i drugi raz w dziejach myśli ludzkiej, w dzisiejszej filozofii niemieckiej pojawia. Doskonale zatem wykazuje autor, że ani klimatyczne warunki Indyi, ani przewaga imaginacyi w charakterze tych ludów, ani polityczny ich ustrój, nie są dostateczną i właściwą przyczyną tego potwornego zjawiska wszechpessymizmu, ale tą przyczyną jest „ich metafizyczna teorya o *âtman*“, czyli jaźni. „Dwa razy w dziejach, mówi p. Straszewski, raz w Indyach, drugi „raz w naszem stuleciu w Niemczech, pojawia się na widnokręgu „umysłowym metafizyka upatrująca w myśli ludzkiej i świadomości bezpośredni objaw Absolutu, dwa razy te same sprowadza „następstwa, przekształcając się w końcu w filozofię i religię pes„symizmu“.

Wolałbym żeby autor tę „metafizykę upatrującą w świadomości ludzkiej bezpośredni objaw Absolutu“ nazwał właściwem imieniem p a n t e i z m u, i żeby wykończył swój piękny wywód: do historycznego poglądu, już świetnie przeprowadzonego, dodając dowód *ex visceribus causae*, z logicznego między panteizmem a pesymizmem związku. Słusznie mówi, że Żydów wśród największych klęsk

narodu ratowała zawsze od pesymizmu wiara w Opatrzność, że Grek, nawet kiedy popadał w rodzaj panteizmu, jak w Elei i pod Portykiem, nie doprowadził go nigdy do logicznych ostateczności, ocalając zawsze jako tako ludzką indywidualność; ale mógł jeszcze wskazać, że właśnie panteizm, będąc najistotniejszem zaprzeczeniem tych idei nadających życiu całą jego wartość i światu zrozumiałość, poddając wszystko, świat i człowieka, bezwzględnej, ślepej i gniotącej konieczności, roztapiając życie przyszłe, wolną wolę, wartość cnoty i czynu, osobowość nawet, w głuchym i bezdusznym absolucie — że panteizm, mówię, musi w końcu, gdy się przyjmie i dojrzeje, logicznie i psychologicznie do pesymizmu doprowadzić. Pierwsi twórcy panteizmu w danej epoce nie bywają jeszcze pesymistami, bo idąc wciąż naprzód w abstrakcyjnym rozwoju swej idei, nie mają czasu spojrzyć wstecz, na życiowe dedukcye swych logicznych teoryj. Ale po nich przychodzi refleksya, dopasowanie abstrakcyi do rzeczywistości, i ta koniecznie pesymizmem kończy. Prastare *Rygwedy* Indyi, które autor przytacza, tętnią jeszcze życiem i swobodą. W Heglu też nie ma właściwie pesymizmu; są tylko żelazne szyny, po których duch toczy się naprzód, nieżywotnym pędem lokomotywy. A jednak, czytając przed laty Hegla, czułem dokoła siebie jakąś nieujętą grozę nirwany... czułem że gdybym się dał przekonać tej zwodniczej dyalektyce, wszystko straciłoby dla mnie wszelką wartość: i życie i świat cały. Otóż ten refleksyjny wniosek po Brahmanach zrobił Budda, a po Heglu Schoppenhauer i Hartmann.

Znakomita jest wreszcie karta, na której autor, wykazawszy całą czczość metafizyki Hartmanna, daje zwycięzką odprawę jego mrzonce pogodzenia chrześcijaństwa z buddaizmem i zrobienia z tego amalgamu, religii dla przyszłości. Amalgam ten — o którym też kilku angielskich oryentalistów marzy — jest niedorzecznością, bo sprzeczność między chrześcijaństwem a buddaizmem jest radykalna.

„Buddaizmu podstawą, mówi autor, jest wiara w ślepą i nieubłaganą konieczność; jest on pod tym względem wiernym uczniem metafizyki braminizmu, z którego łona wyszedł, tymczasem podstawą chrześcijaństwa jest wiara w Opatrzność... Chrześcijanim wie dlaczego żyje i istnieje, bo wierzy w Boga i w moralne swoje posłannictwo; zwolennik buddaizmu z życia żadnej nie umie zdać sobie sprawy, dlatego też jego pociąga wieczny, bezwiedny spokój

w nicości. Chrześcijanin nie ceni sobie zbyt wysoko życia i dóbr doczesnych, gdyż wierzy w inne dobra, o wiele trwalsze i doskonalsze. Budda gardzi wszelkim dobrem i życiem, bo dla niego nic nie ma wartości, wszystko jest znikome i przemijające. Chrześcijański ideał doskonałości, to spotęgowanie wszystkich osobistych władz ducha i nastrojenie ich do najzupełniejszej harmonii, pod wpływem miłości, do Boga i do ludzi; ideał zaś doskonałości buddajskiej, jeżeli nie jest nicością, to równa się przynajmniej nicości osobistego ducha. Moralność chrześcijańska ma charakter czynny, główny tu nacisk położony na czynne doskonalenie się i podnoszenie z dobrowolnego upadku; moralność Buddy natomiast jest bierną, upatruje bowiem najwyższą doskonałość w zupełnym indyferentyzmie i w biernem tylko znoszeniu. Dlatego też chrześcijaństwo stawia jako cel dążeń ludzkich na ziemi urzeczywistnienie królestwa Bożego, dlatego jego prawdziwi wyznawcy tak wielkim i czynnym odznaczali się zawsze zapałem, podczas gdy buddaizm społecznego ideału nie ma żadnego. Jeżeli podjął propagandę, to nie dlatego, aby chciał coś dodatniego urzeczywistnić: litość nad nędzą ludzką skłaniała go do propagandy; podbił też i ułagodził niejedno barbarzyńskie plemię; ale żadnemu narodowi nie pomógł do wytworzenia wyższej kultury, żadnego nie poprowadził do postępu i rozwoju. W obec nauki Chrystusa musiały w każdym społeczeństwie ustąpić i zniknąć wszelkie inne wyobrażenia religijne; indyferentyzm buddaizmu znosi i toleruje najbardziej barbarzyńskie przesądy i zabobony".

Powinszować musimy p. Straszewskiemu dokonanego dzieła, erudycyi niezwykłej miary, jasnego i pięknego wykładu, a nadewszystko affirmacyi, stanowiska pozytywnego, t. j. na którem się coś przecie twierdzi i coś dowodzi. Od tak dawna traktują nas w filozofii samemi opowiadaniami i poglądami o czyichś poglądach, bez określonych twierdzeń, bez poczuwania się do obowiązku udowodnienia czegokolwiek — że śmiałe i szczęśliwe złamanie tej rutyny jest uciechą dla ducha i najlepszą wróżbą o zapowiedzianej i pożądanej *Historyi powszechnej filozofii.*

X. M. Morawski.

Uchańsciana, czyli zbiór dokumentów, wyjaśniających życie i działalność Jakóba Uchańskiego, arcyb. gnieźn., legata urodzonego, Królestwa Polskiego prymasa i pierwszego księcia. Wydał *Teodor Wierzbowski*, II. tomy. (Tom I., zawierający korespondencyę Uchańskiego, dotychczas niewydawaną, z lat 1549—1581, w dodatku zaś wyjątki z Acta decretorum kapituły gnieźnieńskiej z lat 1562—1581, Str. XV., XLIV. i 440. Warszawa, 1884. Tom II., zawierający różne dokumenty z lat 1537—1581 i w dodatku dokumenty z lat 1557—1562, które z archiwum kapituły kujawskiej zebrał i uporządkował ks. Zeno Chodyński, prałat-kustosz katedry kuj. Str. XVII. i 480. Warszawa, 1885). *Cena każdego tomu 3 rbs.*

W wieku XVI. panorama wypadków z gwałtowną przesuwała się szybkością. Krwawe widmo wojen domowych, Piotrowa łódka miotana wichrami herezyj, krzyż świętokradztwem oplwany, chwiejące się trony, wyniszczone kraje, łupieztwo i pożogi, a nad tem wszystkiem wschodzący półksiężyc Solimana. W takim zamęcie najwybitniejsze nieraz postacie przesuwają się prawie niepostrzeżenie, potomność o nich zapomina łatwo. Wydobyć te postacie z pyłu zapomnienia, oto praca, której się podjęło dzisiejsze pokolenie. Ruch ten historyczny i w naszym kraju niemało ma zwolenników. Ale dawno już nie spotkaliśmy się z tak cennym zbiorem materyałów, jak dokumenta zebrane przez p. Wierzbowskiego. Archiwa Rzymu, Wiednia, Neapolu, Paryża, Londynu, Prus i całej niemal Polski złożyły się na ten pomnik. A chociaż dopiero po wydaniu trzeciego tomu Uchańscianów ukazać się ma monografia prymasa, jednak już na podstawie dokumentów obecnie wydanych można wyrobić sobie o nim sąd jasny i pewny. Imię prymasa Uchańskiego wiąże się z ideą narodowego kościoła, i ztąd postać ta tak żywe zajęcie obudziła w autorze, że ze zapałem i wytrwałością, ze sumiennością nieledwie pedantyczną zgromadził z całej Europy rumowiska przeszłości, zestawił je w chronologicznym porządku i zespolił w całość. Niestety już teraz przewidzieć można, że postać Uchańskiego wyjdzie z pracy p. Wierzbowskiego nie tak świetną, jak ją przedstawiali Niesiecki, Krasicki, Rzepnicki i inni.

Są wprawdzie w Uchańscianach szczegóły ważne dla całej historyi naszej w XVI. stuleciu; obecnie jednak podzielimy się z czytelnikami, wiadomościami odnoszącemi się przeważnie do osoby prymasa.

Jakób Uchański w r. 1538 dziekan płocki następnie kanonik krakowski, archidyakon warszawski, referendarz i sekretarz Zygmunta Augusta, biskup chełmski, kujawski, a wreszcie arcybiskup gnieźnieński, *legatus natus, primas et primus princeps*, wszystkie te godności aż do najwyższego szczebla zawdzięczał łasce królewskiej. Prócz dostojeństw spływały nań ze szczodrych rąk króla bogate prebendy i donacye [1], zaszczytne choć niepomyślnie spełnione przezeń poselstwa do Bony i Izabelli.

Królewskiej protekcyi doznała cała rodzina Uchańskiego a szczególniej brat jego Arnulf wojewoda płocki i bratanek Paweł hrabia na Służewie. Za tyle dobrodziejstw Uchański kilkakrotnem staraniem o *subsidium charitativum* i *donativum* odwdzięczał się królowi a raczej cudzym kosztem jednał sobie nowe łaski i dary. Szlachetność uczuć obcą mu była i niejednokrotnie dał tego dowody, że dla zaspokojenia samolubnej ambicyi i chciwości, gotów był poświęcić nietylko dobroczyńcę swego ale i królestwo całe. Czy król się nie poznał na jego charakterze? Czy uwiedziony jego pochlebstwem i samochwalstwem miał go istotnie za męża przywiązanego całą duszą do tronu, ojczyzny i wiary swych ojców? Nie wiemy. Zdaje nam się jednak, *salvo meliori judicio*, że przejrzał on choć w części serce i dążności swego dworaka... i może właśnie dlatego chciał go trzymać na uwięzi jedwabnym sznurkiem swej łaski. Zygmunt August jako „król kozłów i baranów“ potrzebował pasterza mającego powagę u jednych i drugich. Kraj podminowany zuchwalstwem dyssydentów potrzebował aksamitnej ręki, bo najlżejsza szorstkość mogła puścić krew, której wylewu nicby już zatamować nie mogło. Całość nawet wiary, w obec potęgi polskich królewiąt wymagała umiejętnej kunktacyi i często biernego pobłażania, by nie dolewając oliwy do ognia dać mu powoli wygasnąć. Uchański miał wzięcie

[1] Uchańsciana t. II. n. 4. Praesentatio ad ecclesiam parochialem in villa Wyelgolass. n. 12. Confirmatio generalis jurium et privilegiorum Uchańskich. n. 13. Donatio perpetua villarum Rostoka, Nieczerzecz et Dipulthicze ac Mloduczin veni Jacobo Uchański. nr. 20. Donatio juris patronatus omnium praelaturarum, canonicatuum aliorumque beneficiorum in eccl. cathedr. Chelm. r-mo d-no Jac. Uchański, eppo. Chelm. per S-m Reg. M-m facta. n. 22. Donatio juris patronatus praesentandi ad ecclm paroch. in Grabowiecz rev-mo dno Jac. Uchański eppo Chelmensi. n. 30. Consensus cum advitalitate redimendi villas Dipulthicze et Olszanka Revmi Eppi chelmensis. etc.

u nowinkarzy, miał głęboki zmysł polityczny a przytem łatwo było ująć go na lep zaszczytów i trzymać na wodzy. Król użył go za narzędzie, a z pomocą Commendoniego, Hozyusza, M. Wolskiego i kilku innych świeckich i duchownych senatorów, tak mu uniemożebniał zwołanie narodowego soboru, tak w ostatniej nieraz chwili krzyżował jego plany, że prymas zmuszony prawie do przyjęcia uchwał soboru trydenckiego, opuszczony w skutek tego od dyssydentów, wyrzekł się wreszcie swych marzeń o samodzielnym patryarchacie i w ostatnich latach życia szczerzej już pracował dla sprawy katolickiego Kościoła.

Takie było postępowanie króla, taką dążność Uchańskiego. Obfite źródła pod tym szczególnie względem podają nam *Uchańsciana*. Uchański już jako kanonik i archidyakon słusznie podejrzanym był w Rzymie, tak że całe dwa lata wyczekiwać musiał potwierdzenia swej nominacyi na biskupstwo chełmskie [1], które dopiero otrzymał na wstawienie się i poręczenie króla [2].

W pół roku potem król znowu pisze do Juliusza III. broniąc świeżo potwierdzonego biskupa przeciw oskarżeniom o herezyę [3]. Papież snać poznał zamysły królewskie i zrozumiał jego postępowanie bo już w listopadzie t. r. przez kardynała J. P. Maffei zaręcza, że wszelkie podejrzenia o Uchańskim i Drohojowskim będą odtąd zawieszone ze względu na świadectwo króla [4]. W marcu 1553 tenże papież listem do Alberta Kryskiego chwali króla, że, gdy wszędzie krew się leje, on o pokój się stara, a wśród religijnych niebezpieczeństw szuka wsparcia u Apostolskiej Stolicy. Jako dowód uznania, Rzym zaszczytną dla siebie sprawę z Moskwą odrzuci i nic w tym względzie bez jego wiedzy nie postanowi [5].

---

[1] Lętowski. Katalog bisk. prał. i kan. krak. Kraków 1853, t. IV.

[2] Uchańsciana t. II. n. 16. Zyg. Aug. do pap. Juliusza III. 22 lutego 1552. Dziękuje za bullę konfirmacyjną, prosi by papież donosom nie dawał wiary, dodając, że sam doniósłby Uchańskiego gdyby widział że on inaczej myśli i uczy jak Kościół nakazuje. Kończy zaręczeniem, iż dotychczas nie żał mu jeszcze świadectwa danego o Uchańskim.

[3] Uchańs. t. II. n. 18. Zyg. Aug.. do Juliusza III. Gdańsk 16 sierpnia 1552. Obydwa te listy wyjęte z muz. brytańskiego w Londynie.

[4] Ibid. n. 19. Z bibl. watykańskiej.

[5] Ibid. n. 21. Responsum Julii III. ad Albertum Kryski oratorem Regis Pol. Z bibl. wat.

Tak było za Juliusza III. — inaczej gdy Paweł IV. zasiadł na papieskim tronie. Był to charakter surowy, nieugięty, niedowierzający. Nuncyusz też jego w Polsce Alojzy Lippomani mniej jeszcze korzystne miał usposobienie i ztąd przyszło do starcia grożącego strasznym wybuchem. Zrazu Paweł IV. jak kilku innych biskupów, tak też i Uchańskiego zachęcał tylko do gorliwości, owszem do zachęty dodawał obietnicę nietylko nagrody wiecznej ale i doczesnych zaszczytów ze strony Apostolskiej Stolicy [1].

Uchański jednak ufny w łaskę królewską, której błogich skutków doznał już na sobie, wyżej widać sięgał jak do kardynalskiej purpury, a lekceważąc sobie upomnienia głowy Kościoła, ani stosunków z heretykami nie poprzestał, ani w pasterskim swym urzędzie bynajmniej nie okazał się gorliwszym. Kapituła płocka w r. 1554 między innymi punktami zarzuca biskupom „że nie ma w nich ani iskierki apostolskiego ducha“ [2] a w r. 1557 żąda od arcybiskupa gnieźnieńskiego wymierzenia kar na biskupów za niewykonanie statutów synodu piotrkowskiego (1551) i łęczyckiego (1556), oraz upomnienia, aby biskupi zerwali stosunki z heretykami [3], poddanych nie uciskali i t. p. Bezwątpienia Uchański niepoślednią odgrywał tu rolę. To też Paweł IV. prośbie królewskiej o przeniesienie go na biskupstwo kujawskie stanowczo odmówił i w odmowie swej wytrwał aż do śmierci. Tu właśnie był początek burzy wiszącej nad krajem.

Zygmunt Aug. w październiku r. 1557 daje instrukcyę posłowi swemu w Rzymie Janowi Wysockiemu, aby koniecznie wyjednał potwierdzenie Przerembskiego i Uchańskiego. Gdyby zaś papież się opierał, każe mu oświadczyć, że król też praw swoich i godności i tradycyj przodków bronić będzie i nie ustąpi. A jeśli nominaci wzdrygać się będą z przyjęciem wyznaczonych im biskupstw, wtedy on znajdzie takich, którzy mniej może do spraw kościelnych, ale przynajmniej do senatu zdatni będą — a Bóg niech osądzi, kto będzie winien osierocenia kościołów. Słów tych tylko w ostateczności użyć mu każe, a w całym przebiegu sprawy poleca radzić się kar-

[1] Ibid. t. I. n. 10.

[2] Ibid. t. II. n. 27. De tractandis in futuro synodo provinciali.

[3] Ibid. t. II. n. 39. Articuli pro synodo provinciali Petricoviensi per nuntios capitulares proponendi.

dynała Jakóba Puteo wiceprotektora królestwa [1]. Groźba to jednak była, której król nigdy spełnić nie myślał, jak to pokazuje dalsze jego postępowanie. Tymczasem Przerembski przytaczając racye *pro* i *contra*, podaje Hozyuszowi (według przypuszczenia wydawcy) *Summam deliberationem* czy Uchańskiemu ma być polecone powagą królewską objęcie biskupstwa mimo odmowy papieskiej [2]. Zygmunt August ze swej strony listownie radzi się senatu co mu czynić wypada [3]. W kilkunastu dniach otrzymał już odpowiedzi w ogóle bardzo roztropne. Prymas M. Dzierzgowski radził wstrzymać się z wszelkiem działaniem i oczekiwać powrotu swego posła z Rzymu. Tymczasem ułożył się z kapitułą wrocławską aby Uchański pobierał dochody z dóbr biskupich [4].

Podobne rady poddania się woli papieskiej lub zwlekania całej tej sprawy, znajdujemy w listach St. Lawskiego wojewody mazow., Andrzeja Noskowskiego bisk. płoc, Feliksa Ligęzy arcyb. lwow., Czarnkowskiego, Dziaduskiego, Słończewskiego, Janusza Kościeleckiego a nawet i Łukasza Górki [5]. Tylko Stan. Maciejowski kaszt. sand., Stan. Tęczyński wojew. krak. i obaj Tarnowscy radzą opór stanowczy [6]. Najgoręcej i najzuchwalej radząc królowi zrzucić z siebie „*immoderatam hanc paparum tyrannidem*“ przemawia Jan Tarnowski kaszt. krak., którego przed 16 laty Otto Fruchses nazwał „*catolicissimo*“ w relacyi z poselstwa swego do Polski [7]. Król idąc za głosem zdrowszej większości senatu gniew swój pohamował i cierpliwie wyczekiwał końca; owszem upomniał nawet Uchańskiego po dwakroć, aby kapitule oddał nieprawnie zabrane dziesięciny, oczyścił się ze zarzutów i o łaskę się starał u Apostolskiej Stolicy [8]. Także Andrzej Kościelecki [9] wojewoda kaliski i Janusz wojewoda sie-

[1] Ib. t. II. n. 40. Z bibl. Jagiel.

[2] Ib. t. II. n. 41. Z bibl. Jagiel.

[3] Sigism. Aug. Rex Pol. ad majores senatores; ibid. t. II. n. 42.

[4] Ibid. t. II. n. 43.

[5] Ib. t. II. nn. 44, 45, 47, 51, 52, 53, 54, 56, 60 i 61.

[6] Ib. nn. 46, 48, 49 i 50. Wszystko z bibl. Jag.

[7] Ib. t. II. n. 5. Otto Fruchses baron na Waltburgu do Al. Farnese.

[8] Bielski, Kronika. Warszawa 1764, str. 552 „...ale go napominał król z tego, radząc, aby na biskupstwo zwykłym obyczajem wchodził a R. P. aby nie zatrudniał y łaski u Stolice Apostolskiey szukał“. — Uchańsciana t. II. Wladislaviensia n. 72, p. 432, n. 79 p. 438 i n. 88 p. 446.

[9] Uchańsciana t. II. Wladisl. n. 59, p. 417.

radzki [1] proszą go, by nie używał jurysdykcyi, nie będąc potwierdzonym od papieża. Na kilka miesięcy przedtem (w listop. 1558) otrzymał Uchański list od Henr. Bullingera z namową do porzucenia biskupstwa i otwartego przejścia do obozu dyssydentów [2]. Nie uczynił wprawdzie tego, ale za to papieżowi wypowiedział otwartą wojnę, z niebezpieczeństwem dla króla, ojczyzny i wiary. W Włocławku publicznie ogłosił się biskupem, spełniał funkcye kapłańskie, sprawował biskupie sądy, od kapituły domagał się posłuszeństwa [3]. Paweł IV. faktami teraz udowadnia królowi przewrotność jego faworyta, żądając bezzwłocznej kary na niego [4]. Kapitułę zaś kujawską chwali za opór intruzowi stawiany i zachęca do wytrwałości na tej drodze [5]. Uchański, nigdzie nie widząc poparcia a otrzymawszy pozew od ś. Inkwizycyi, zrzuca maskę, wypowiada posłuszeństwo papieżowi, odmawia mu władzy nad sobą, lży Rzym i inkwizycyę, a wreszcie apeluje do walnego sejmu i soboru chrześcijańskiego [6]. Ciekawy to zaiste dokument ta rzekoma apelacya, bez względu na to, czy jej autorem był sam Uchański, czy który z jego popleczników. Tytuł jej taki:

„Jedyna prawda boża księdza Jakóba Uchańskiego, łaską bożą biskupa kujawskiego, przeciw pozwowi księży zawieśników rzymskich badaczów". Po przedmowie cytuje apologeta tekst pozwu, którego każde zdanie a nieraz i słowo zbija doraźną odpowiedzią zwykle pełną żółci, szyderstwa i pogardy. Tak na samym początku cytując nagłówek pozwu zawierający nazwiska i tytuły inkwizytorów, zaraz dodaje: „Odpowiedź księdza biskupa: Ja Jakób Uchański, łaską bożą biskup kujawski, tych ludzi, co zacz są a zkąd przyszli... nie znam ani wiem zkąd się wzięli, gdyż onych wzmianki żadnej ani w św. Piśmie ani w pierwszym chrześcijańskim Kościele miłych świętych Ojców i nauczycielów Kościoła bożego, ani w zborzech chrześcijańskich i imion i przezwisk ich żadnych należć się nie może i t. d." Dalszy tekst pozwu: „Miasta chełmskiego i wro-

[1] Ib. t. I. n. 22.
[2] Ib. t. I. n. 17.
[3] Ib. t. I. n. 18 i 19, t. II. Wlad. n. 47 i 48.
[4] Ib. t. II. n. 62.
[5] Ib. t. II. n. 63.
[6] Ib. t. II. n. 64. str. 114—134. Z rękopisu znajdującego się w bibl. hr. Henryka Steckiego w Romanowie.

cławskiego... będącym i każdemu... do którego nasze listy przyjdą". Odpowiedź: „Moc rzymska jako papieska tak tych badaczów ani do Chełma ani do Wrocławia, ani do żadnego miasta, biskupstwa, ziemie państwa abo władzy zciągać się nie może etc." Tekst: „Żądając... tegoż uczciwego księdza Jakóba na drogę prawdy... przywieść..." Odpowiedź: „Któż tego jeszcze nie wie, kto jedno was Rzymianie zna, abyście wy nie woleli więcej od prawdy i od Boga odwodzić, niżby na drogę prawdy każdego przywieść". Tekst: „Wam wszystkim i każdemu z osobna przykazując rozkazujemy". Odpowiedź: „Rozkazujcie wy takiemu jakoście sami etc". Do tych kilku wyjątków dodajmy sofistyczne argumenta przeciw władzy papieskiej nawet w sądzeniu o wierze, wyszydzanie klątwy kościelnej, drwinki z papieskiej chciwości, porównywanie Rzymu z Babilonem, a kuryi rzymskiej z faryzeuszami i djabłami, a będziem mieli jakie takie wyobrażenie o tej apologii chełmskiego biskupa, zakrawającej na paszkwil Lutra albo Kalwina. Szczęściem paszkwil ten nie stał się powszechnie głośnym, choć kopię jego Commendoni miał w ręku [1].

Kto wie, jakiby obrót wzięła sprawa Uchańskiego, gdyby nie ta okoliczność, że w tym samym jeszcze roku umarł Paweł IV. Uchański odrazu zmienia politykę. Do kapituły kujawskiej pisze list ascetyczno-pokorny z wyznaniem swych grzechów i prośbą o modlitwy [2]. U króla zaś i posła papieskiego stara się o protekcyę. Król też w połowie stycznia 1560 r. wysyła Adama Konarskiego do Piusa IV. [3], Ocieski wstawia się za nim w Rzymie [4], a Piotr Barzi uderza w strunę dobroci Berarda Buongiovanni, przedstawiając mu przytem konieczność pozyskania Uchańskiego, którego w przeciwnym razie heretycy niezawodnie na swoją stronę przeciągną, z nieobliczoną szkodą dla kraju [5]. Mając już protektorów za sobą, Uchański nie szczędzi trudów, byle tylko przekonać Rzym o swej

---

[1] Ib. t. II. n. 88 J. F. Commendone do K. Biromeo Boromeusza. Rękopis z bibl. Barberinich w Rzymie.

[2] Ib., t. I., n. 23.

[3] Ib., t. II., n. 66.

[4] Ib. t. II., n. 67.

[5] Ib., t. II., n. 68. Pietro Barzi kończy list swój temi słowy: „Basta che ex illis ad quos misit te pater tuus non perdidisti quemquam, anzi ha guadagnato un tal' che dice mille et forse dieci millia".

całkowitej metamorfozie. Pisze do Buongiovanniego, do papieża [1], i po długich zabiegach, za wstawieniem się króla, uzyskuje nareszcie od tak dawna upragnioną konfirmacyę (w czerwcu 1561). Ale zaraz po objęciu dyecezyi wywiera brzydką zemstę na Franciszku Relskim za to, że był administratorem w czasie jego czteroletniej kandydatury [2]. A już we wrześniu t. r. stara się w Rzymie o sufraganię wrocławską dla oliwskiego opata Geschkau, nowinkarza *primae notae* [3]. Starania jego pozostały bez skutku, bo heretyckie autografy opata znajdowały się w rękach kardynałów [4]. Dwa te fakta dają dostateczne świadectwo o szczerości jego poprawy. Z czasów urzędowania Uchańskiego na biskupstwie kujawskiem, jeden tylko mamy objaw jego pasterskiej gorliwości, t. j. wydelegowanie kanonika Andrzeja Blinowskiego na wizytę dyecezalną w październiku r. 1561 [5]. Ale i ten pozór dobrych chęci wystarczającym był dla króla i papieża, aby nowemi dostojeństwy zachęcić go i pozyskać dla sprawy Kościoła. Na prośbę królewską [6] i zgodną elekcyę kapituły [7], Pius IV. potwierdza go na arcybiskupstwo gnieźnieńskie 1 września r. 1562 [8]. W styczniu roku następnego pozwala mu wizytować wszystkie klasztory, nawet wyjęte z pod jurysdykcyi biskupiej, nadając mu bezwzględne pełnomocnictwo „*reformandi in capite et in membris, non obstantibus quibuscunque privilegiis*“. Gdzieby zaś nie było żadnej nadziei poprawy, tam poleca zakonników wypędzić, klasztor tymczasowo zamknąć a natomiast sprowadzić *presbyteros Societatis Jesu* [9]. W tymże miesiącu, w nagrodę swych „zasług“, otrzymuje Uchański od Piusa IV. pozwolenie rozdawania wszystkich beneficyów i urzędów zakonnych i świeckich w miesiącach Stolicy apostolskiej zatrzymanych [10]. Nuncyusz i kardynał Boromeusz nie szczędzą mu

[1] Ib., t. I., n. 27.
[2] Ib. t. II., pag. 378 i 395.
[3] Ib. t. I., nn. 28 i 29.
[4] Ib., t I., n. 37. K. Boromeusz do Uchańskiego.
[5] Ib., t. II., pag. 379.
[6] Ib., t. II., n. 72.
[7] Ib., t. II., n. 74.
[8] Ib., t. I., n. 32.
[9] Ib., t. I., n. 35.
[10] Ib., t. I., n. 36. Z bibl. Wat. Początek jest taki: „Exigunt merita Tuae Devotionis, qua Nos et Romanam revereris Ecclesiam, ut Te specialibus et favoribus et gratiis prosequentes, ea Tibi favorabiliter concedamus, per quae

pochwał i oświadczeń swej życzliwości [1]. Uchański dostąpiwszy najwyższej godności w kraju, ciesząc się łaską i zaufaniem papieża, kardynałów i króla, wcale jednak nie myślał wyrzec się swoich dawnych zamiarów *suae antiche fantasie*, jak je doskonale nazwał Commendoni. Od r. 1564 rozwija cały artyzm dyplomatycznej swej przebiegłości. Wszystkiemi siłami stara się zwołać prowincyonalny synod do Piotrkowa, by w tym zbornym punkcie akatolickiej partyi sobór narodowy tem łatwiej przywieść do skutku [2]. Plany jego nie były tajne Zygmuntowi i obu kardynałom. Rozpoczęła się więc szermierka zacięta i skryta. Król, pod pozorem zarazy lub blizkiego sejmu, radzi przenieść synod do Sieradza albo Łowicza, do Piotrkowa zaś zwoływać go stanowczo zabrania [3]. Podobną prośbę zanosi do Uchańskiego synod ruski pod lwowskim arcyb. Pawłem Tarło [4]. Kilku biskupów wymawia się chorobą, inni zakazem króla, a Wolski otwarcie wypowiada posłuszeństwo [5]. Hozyusz i Commendoni pracują nad podtrzymaniem duchowieństwa w oporze zachciankowym prymasa. Ale Uchański wiedział co się święci, rzuca się więc na wszystkie strony, by usunąć podejrzenia, zamydlić oczy przeciwnikom, pokrzyżować ich plany, przestraszyć swoją potęgą, uśpić pochlebstwem i w końcu postawić na swojem. Commendoniemu donosi o swych arcypasterskich czynach na zjeździe średzkim, opisuje jak gromił dyssydentów i jak wielką część szlachty pozyskał dla sprawy Kościoła [6]. Prosi o przyspieszenie wydania trydenckiego katechizmu, brewiarza i mszałów, o pilną czujność, aby po zmarłym Janie Kościeleckim starostwo dostało się dobremu katolikowi, i aby apostata Mikołaj Pac, nominat kijowski nie dostał się na biskupstwo wileńskie, o co starają się Radziwiłłowie [7]. Wreszcie pochlebstwem i przesyłką ulu-

---

de beneficiis ecclesiasticis personis dignis et idoneis providere et erga illas Te gratiosum reddere possis".

[1] Ib., t. I., n. 37.

[2] Ib., t. I., nn. 43, 48, 51, 73, 75, 76, 78, 80, 81, 82; t. II. n. 88 i 100. Łętowski. Katalog, t. IV.

[3] Ib., t. I., n. 52 i 74, t. II., n. 96.

[4] Ib., t. I., n. 49.

[5] Ib., t. I., nn. 77, 79, i pag. 349 i 351.

[6] Ib., t. I., n. 56.

[7] Ib., t. I., nn. 59, 60, 61.

bionych przysmaków chce zjednać sobie nuncyusza [1]. Kapitułę swą, to zachęca do cnotliwego życia, to radzi się jej, jak zapobiedz złemu, jeśli nieprzyjaciele Kościoła zechcą zwołać sobór narodowy, to opowiada im o swych trudach i kosztach, ponoszonych w obronie kościelnych przywilejów, to wreszcie proponuje dla przykładu wprowadzić w życie jeszcze przed sejmem dekreta soboru trydenckiego w archidyecezyi gnieźnieńskiej [2].

Podobnie i Hozyusza chciałby uwikłać pajęczą siatką swych pochlebstw, uśpić udaną pokorą i przymileniem. Przed Commendonim wynosi go pod niebiosa a w liście do Marcina Kromera wyraża się o nim z najwyższą czcią i bałwochwalczem nieledwie uwielbieniem [3]. Inaczej zupełnie postępuje z bisk. wrocławskim, Wolskim i Zygmuntem Augustem. Na Wolskiego krętemi drogami wyrabia cenzurę rzymską za niewypłacenie sum zakontraktowanych, a przesyłając mu takową dodaje, że chciał tylko dać mu mały dowód swego znaczenia i wpływu [4]. O królu w Rzymie i przed Commendonim mówi zrazu tylko z westchnieniem boleści i zwątpienia, później pomawia go o niedbalstwo i związek z obozem heretyków, w końcu chwyta się najśmielszej potwarzy, zwalając na niego własne swoje dążności do narodowego soboru, siebie zaś przedstawia w aureoli niewinnie prześladowanego gołąbka, który jednak z wężową mądrością i odwagą walczy z własnym królem i duchowieństwem, byle tylko wiarę i kraj ocalić od niechybnej zguby [5]. Do papieża różnemi też chciał trafić drogami. Przez kardynałów Boromeusza i Morone, przez Maksymiliana II., wszędzie objawiając pragnienie

---

[1] Ib., t. I., nn. 46 i 60. „Audivi penuriam perdicum et alitum pati R-mam D-m V-m, quod non habeat unde conquirat; itaque mitto quae ad manum habeo; oro, benigne accipiat, nam et fratres Societatis Jesu, viri undequaque perfectissimi, si eis quid mittitur, accipiunt ne videantur contemnere“, p. 94.

[2] Ib., t. I., p. 345, 339, 347, 352 i 359. Tutaj zanotowano w aktach, iż „R-ma, D-o, dignata est“ na sejmach tyle zrobić wydatków, że musiała ratować się pożyczką 2.000 zł.

[3] Ib., t. I., n. 46 i 57.

[4] Ib., t. II., nn. 99, 102, 104, 106, 107. Korespondencya Wolskiego z Commendone'm i Memoryały, przedstawione przez Józefa Zamojskiego Piusowi V. w imieniu Uchańskiego. Wyjęte z arch. Wat.

[5] Ib., t. I., nn. 47, 61 (arch. Wat.) t. II., nn. 87, 89, 90, 105 (z arch. Wat. i bibl. Barberinich).

wykonania dekretów trydenckich, reformy duchowieństwa, sprowadzenia Jezuitów do Polski [1]. Królowę Katarzynę zaniedbaną od męża i wyjeżdżającą z kraju zatrzymał i czynem tym zjednał sobie protekcyę cesarską.

Zabiegi te jednak nie przyniosły owocu: powaga jego była zachwiana, cel zupełnie chybiony. Papież nie wierzył pozorom, czego dowodem, że w r. 1566 domagał się od prymasa i biskupów, aby Hozyusz i St. Żelisławski, choć należący do rygskiej metropolii, byli przyjęci na synod prowincyonalny z prawem głosowania [2]. W roku zaś 1568 prawie równocześnie wydaje polecenie i zakaz zwoływania synodu [3]. Duchowieństwo z niechęcią patrzyło na prymasa, szczególnie od ostatnich jego zajść z biskupem Wolskim. Kapituła krakowska zarzuca mu, że kapłanów sądzi jak chłopów, według prawa świeckiego [4]. Własna zaś jego kapituła gnieźnieńska kilkakrotnie upomina go o niedbalstwo względem kleru, katedry i całej dyecezyi, o gwałcenie praw kapitulnych, o przeciążanie wiejskich poddanych podatkami i pracą nawet we święta, tak, że ze zgorszeniem świeckich zbiegostwo coraz więcej wzmaga się w jego dobrach. Wytyka mu ciągłe kłótnie i niezgodę z Wolskim i Padniewskim, a na pierwszem miejscu poleca, by nie przestawał nazbyt poufale z heretykami a szczególniej z Fryczem Modrzewskim [5]. Wiadomo, co sądził o prymasie Hozyusz i Karnkowski. Najmniej może ufał mu Commendoni, bo znał go najlepiej. Świadczą o tem trzy listy jego pisane do K. Boromeusza w maju 1565 r. [6]. W pierwszym roztrząsa 14 skarg, które Uchański we formie memoryału przesłał do Rzymu z końcem r. 1564, aby kredyt króla podkopać na papieskim dworze [7]. Commendoni udowadnia niesłuszność wszystkich tych zażaleń. Na zarzut o utracie jurysdykcyi odpowiada, że wina

---

[1] Ib., t. I., nn. 64, 66, 86, 87, 88. T. II., n. 106.

[2] Ib., t II., n. 115. Z arch. Wat.

[3] Ib., t. II., nn. 119 i 120.

[4] Ib., t. II., n. 97.

[5] Ib., t., p. 348, 349, 356, 362, 363, 365, 371, 373, 380. Wyjątki z „Acta decretorum cap. Gnesn." przechowywane w arch. kap. w Gnieźnie.

[6] Ib., t. II., nn. 88, 89, 90.

[7] Ib., t. II., n. 87, p t.: „Plagae, injuriae, aerumnae et gravamina, quae ecclesiae et sipirituales in Polonia contra sua privilegia ex contra regni statuta pati coguntur". Z arch. Wat.

to duchowieństwa, które ją samochcąc utraciło przez brak taktu, przez zbyt częste szafowanie cenzurami tam, gdzieby wystarczyło łagodne upomnienie. Co do wrzekomego usunięcia imienia Trójcy Przenajśw. z formuły przysięgi sądowej, Commendoni przypuszcza, że może w jakiemś województwie sąd jest antytrynitarski, ale w senacie i w innych wszystkich sądach starej formy, mimo usiłowań heretyków w niczem nie zmieniono. Komentując skargę o obsadzanie urzędów heretykami, kardynał odpowiada słowami króla, że sami biskupi ich forytują; a jeden z wyższych dostojników Kościoła miał się wyrazić przed Hozyuszem, że to rzecz obojętna w czyich rękach są urzędy, że owszem byli heretycy, którzy lepiej od katolików starali się o spłaty dziesięcin. I to, mówi kardynał, jest dla nich miarą wszystkiego: *Ogni cosa misurano con queste benedette decime.* Podobna krytyka wywraca i resztę zażaleń. W końcu przychodzi kolej na podany przez Uchańskiego środek, którym on podejmuje się uleczyć wszystkie te rany i nagrodzić opieszałość króla. Środkiem tym ma być walny zjazd wszystkich heretyków i malkontentów na *colloquium charitativum*, byle tylko papież osobnym dekretem dał na to pozwolenie. Commendoni odrzuca ten środek jako niebezpieczny i zgubny, tem więcej, że podany przez prymasa, którego dążnością jest 1. zwołać sobór narodowy, 2. obudzić nienawiść ku Stolicy apostolskiej i papieżowi, 3. wyzyskać króla i podkopać powagę Hozyusza. Jednak radzi Commendoni oszczędzać prymasa, ostrożnie z nim się obchodzić i dać mu nie na piśmie, ale przez posła wymijającą odpowiedź. W drugim i trzecim liście Commendoni zdaje sprawę z rozmów mianych z Uchańskim, w których tenże pomawiał króla o tajne przygotowywania narodowego soboru. Nuncyusz zaprzecza stanowczo tym twierdzeniom, dając zarazem świadectwo królowi i całemu wyższemu duchowieństwu, że są wprost przeciwni podobnym zamysłom [1]. Jak widzimy, za nuncyatury Commendoniego Rzym miał dokładne informacye o wszystkiem, a Uchański ustawicznie trzymany był w szachu. Kiedy jednak wyrzekł się zupełnie swych mrzonek o narodowym kościele, nie wiemy. Utrzymują niektórzy, że sejm parczowski i przyjęcie

[1] „Tutti i prelati sono di buonissima mente in non voler consentire in alcun' modo, che si venga a tali concilii et colloquii et il rè sopra tutti se ne mostra hora alieno, come ho più volte scritto“... t. II., n. 90.

wyroków tryd. soboru stanowią przejściową epokę w życiu prymasa. To pewna, że jeszcze w r. 1572 St. Karnkowski i Albert Staroźrebski ganią prymasa za zamiar zwoływania synodu w czasie bezkrólewia, nazywając nieprzyjacielem Kościoła tego, kto tę myśl podał [1]. Wszelako od bezkrólewia datuje się już odmienne jego postępowanie. Popełnia on wprawdzie nie zadługo błąd nowy, broniąc nawet straconej już sprawy Maksymiliana II., tak, że gotów był wojną domową i szablami obcych żołnierzy utorować mu drogę do tronu [2]. Ale przynajmniej szczersze w nim widać staranie o całość i wzrost katolickiej wiary. Dowodem pochwały kapituł i Grzegorza XIII., niechęć partyi akatolickiej, Firlej stający obok niego jako drugi interrex, starania o ukrócenie swobód dyssydentów, walka z konfederacyą warszawską i wyznanie dawnych win uczynione przed Commendonim [3]. Nadto w r. 1577 wydaje Uchański dziełko p. t. *Brevis missae sacrificii assertio* a w 1579 i 1580 bogatymi aparatami obdarza katedrę gnieźnieńską [4]. Pozostało jednak przy nim niedbalstwo o kościół, o dyecezyę, o włościan i o całość dóbr kościelnych, z czego się nigdy nie poprawił [5].

Taką według Uchańscianów była działalność prymasa i takim jego charakter. Kłamstwo i obłuda jest zawsze znakiem niskiego umysłu. Uchański też, choć ważną w Rzpltej odgrywał rolę, wielkim nigdy nie był, ani w grzechach, ani w nawróceniu. Brakło mu odwagi przejść jawnie do obozu heretyków i niech mu to będzie policzone za zasługę, ale od dążności do odszczepieństwa obronić go niepodobna. Potwarca, niewdzięcznik, przewrotny, łakomy i mściwy, w polityce nawet zawsze popełniał ten błąd, że, schlebiając ludziom wpływowym, podwładnych lekceważył i deptał prawie, niepomny na to, że i najmniejszy robaczek może zadać śmiertelną ranę. Czasem miewał szlachetniejsze porywy, ale znów wracał do dawnej dwulicowości. Niepiękny też nagrobek buduje mu p. Wierzbowski — ale

---

[1] Ib., t. I., n. 128.

[2] Ib., t. I., nn. 173—207.

[3] Ib., t. I., nn. 117, 134, 138, 143, 145, 162, 222, 233, 234 i 241. T. II. n. 134 i 138.

[4] Ib., t. II., n. 160. T. I., pag. 411 i 412.

[5] Ib., t. II., n. 180. Memoriale postulatorum Ill-mo D-no S-ae Sedis Apostolicae Nuntio, V-is Capituli Gnesnensis nomine proponendorum. R. 1580.

cenny dla historyi, pouczający dla życia. Dokładny spis rzeczy na początku i alfabetyczny spis osób przy końcu każdego tomu ułatwiają zorientowanie się i poszukiwania w tem mnóstwie dokumentów.

B. Jasieńczyk.

ZAPISKI BIBLIOGRAFICZNE.

Z dzieł religijnych.

O JEDNOŚCI KOŚCIOŁA BOŻEGO pod jednym pasterzem i o greckiem i ruskiem od tej jedności odstąpieniu, przez *ks. Piotra Skargę S. J.* Wydanie szóste oraz synod brzeski i obrona synodu brzeskiego przez tegoż autora; wydanie piąte, w Krakowie 1885, w 8-ce, XVI., 292, XVI.

Wstęp do niniejszego wydania, przez ks. St. Załęskiego opowiada genezę tej Skargowskiej pracy, która w swoim czasie wywołała tyle wrzawy w obozie prawosławnej Rusi, a po uciszeniu się tejże przyczyniła się nie pomału do szczęśliwego dojścia Unii brzeskiej roku 1596. W tymże wstępie wykazane są rocznice bibliograficzne zachodzące w tych różnych wydaniach. Nadmieniono i to, że staraniem i nakładem petersburskiej komisyi archeograficznej w tomie VII. Rosyjskiej historycznej biblioteki, którego tytuł: Zabytki polemicznej literatury zachodniej Rusi, dokonano bardzo poprawnej edycyi piątej z kolei; skargowskiego dzieła. Niniejsze wydanie zrobiono według wileńskiej edycyi r. 1738; chodziło tu snać nie tyle o bibliograficzną wartość, jak o praktyczność książki, chociaż zdaniem naszem możnaby ten sam cel osiągnąć drukując z trzeciej edycyi 1610 roku, przejrzanej przez samego Skargę. Przy końcu dodany podwójny spis rzeczy, podług rozdziałów i alfabetyczny, według drugiej edycyi. O samem dziele Skargi cóż powiedzieć? Po 300 latach ma ono swoją teologiczno-historyczną wagę, a w obecnych stosunkach w Galicyi, gdzie kwestya ruska nie schodzi z porządki dziennego, z wielkim pożytkiem obojej strony czytane być może. Dzieli się na 3 części; pierwsza rozprawia w 19 rozdziałach o znakach prawdziwego Kościoła i prymacyalnej władzy rzymskich papieży; druga w 21 rozdz. daje definicyą odszczepieństwa czyli schyzmy i jej dzieje aż do soboru florenckiego w XV. wieku; trzecia w 8 rozdziałach przedstawia z jednej strony płytkość i niedorzeczność argumentów przeciw unii, a z drugiej łatwość tego zjednoczenia, dla Rusi zwłaszcza, byle się tylko szczerze nią zajęli biskupi łacińscy i ruscy, a dopomogli im w tem król jegomość i świeckie pany. Jako komentarz przydany do dzieła list Lukarysa Greczyna wysłanego 1601 r. przez patryarchów wschodnich do Polski w sprawie unii, list wystosowany do arcyb. Solikowskiego, u którego tenże Lukary stanął w go-

ścinie, dopokąd z rozkazu króla nie musiał opuścić Polski jako podejrzany o konszachty z Turkami. W liście tym wypowiedziane pragnienie unii obydwóch Kościołów, bez nadziei wszelako aby ta unia prędko nastąpiła. Na razie też poprzestano na częściowej unii Cerkwi ruskiej pod rządem polskim z Rzymem, której to unii akt stanął 1595 w Brześciu. Skarga był sekretarzem synodu, duszą robót unifikacyjnych, opisał nam też po swojemu jak na kaznodzieję-historyka przystało, jego dzieje, w rozprawie: Synod brzeski, wydrukowanej dwa razy za życia Skargi 1590 i 1610, trzeci raz w edycyi wileńskiej 1738 r., czwarty raz w edycyi petersburskiej 1882 a piąty raz w niniejszej, str. 235—249. Synod brzeski jak wiadomo, znalazł licznych i potężnych przeciwników z księciem Ostrogskim na czele, duszą zaś tej opozycyi był wspomniany wyżej Greczyn Lukary, archimandryta, później patryarcha aleksandryjski. Na zarzuty tej opozycyi dał Skarga odpowiedź w obszernej rozprawie p. t.: Obrona synodu brzeskiego, która wraz z Synodem brzeskim doczekała się pięciu wydań, a w niniejszem zajmuje str. 250—292.

Ozdobność a przytem taniość edycyi podnosi jeszcze bardziej wartość skargowskiej pracy, która oby jak najwięcej czytelników w społeczeństwie naszem znalazła. *S. Z.*

Kazania o chwalebnej Eucharystyi, *ks. St. Karnkowskiego* arcyb. gnieźn. Przejrzał i wydał *ks. Antoni Chmielowski.* Warszawa 1885. Str. X. i 707. Cena rs. 2.

Powiedział ktoś o trzech koryfeuszach francuskiego kaznodziejstwa, że Bourdaloue to kaznodzieja rozumu, Massillon — serca, Bossuet fantazyi. U Karnkowskiego wszystkie te trzy władze niepoślednią odgrywają rolę w mowach okolicznościowych i w kazaniach o Mesyaszu. Tu jednak o chwalebnej Eucharystyi jest on więcej teologiem niż mówcą. Siłą logiki, znajomością pisma i Ojców Kościoła staje obok Bourdaloue, gruntownością wiedzy i polemiką dorównuje Belarminowi, prostotą przypomina Wujka, stylem Skargę, wzniosłością Bossueta, lecz w jasności i dosadności wykładu bodaj czy nie przewyższył wszystkich. W żadnym teologicznym traktacie nie znajdziemy najtrudniejszych nawet kwestyj o N. Sakramencie tak jasno, tak przystępnie i zarazem tak gruntownie rozwiązanych. Cały szereg czterdziestu tych kazań o chwalebnej Eucharystyi rozpada się na trzy główne działy: o Eucharystyi jako Sakramencie, o Eucharystyi jako Ofierze, i o używaniu tego Sakramentu. Wszystkie są w rodzaju dydaktyczno-polemicznym odpowiednio do potrzeb czasu. Pod młotem żelaznej logiki Karnkowskiego upadają „klatki heretyckie jako na lodzie zbudowane“ a jednak osobistości nigdzie on nie narusza, nigdzie gwałtownych nie używa wyrażeń, a każdy gorętszy nawet zwrot nacechowany jest łagodnością, spokojem i pełną majestatu prostotą. Czasem i błysk dowcipu prześwieca w poważnych i głębokich jego wywodach. Tak n. p. Sakramentarze opierając się na rzekomem pokrewieństwie źródłosłowowem hebrajskich słów Missah i Maozim twierdzili, że proroctwo Daniela: „Boga Maozim na swem miejscu będzie czcił“, do Mszy i ofiarowanego w niej bożka Antychrystowego stosować należy. Na błahy ten zarzut Karnkowski taką daje odpowiedź: „Jako w inszych rzeczach tak i w tej nędznicy a zaślepieni ludzie bardzo błądzą. Bo te słowa nietylko literami i punktami, jak to każdy osądzi kto żydowskie pismo czyta, ale i znamionowaniem daleko między

sobą różne są. Missah żydowskie słowo znaczy dobrowolną ofiarę według wykładu Hieronima św., a Maozim albo Mahuzim według przekładu Teodotiona, Simmacha i innych znaczy moc, zamek obronny i ucieczkę. Większe daleko podobieństwo i w literach i w samej rzeczy między Lutrem a Lotrem, niż między temi słowy" (str. 347).

Na szczególniejszą uwagę zasługują kazania: XIII.-te „O istotnem przemienieniu chleba i wina w Ciało i Krew Pana naszego w tym Sakramencie; świadectwa ośmiu zacnych Doktorów kościelnych, którzy byli rychło po apostolskich czasach, z obroną ich przeciw heretyckim wykrętom"; XXVIII.-me: „Że Msza nie ma być własnym każdego narodu językiem"; XXXII.-gie: „Pobudki do częstego a nabożnego miewania Mszy św. i odpowiedź na wymówki niektórych kapłanów"; XXXIV.-e: „O używaniu Sakramentu Ciała i Krwi Pańskiej pod jedną osobą, w Kościele zwyczajnym, cztery dowody". Podnosząc jednak wartość tych kilku kazań, innych przeto wcale poniżać nie chcemy. Wszystkie pisma Karnkowskiego a w szczególności niniejszy zbiór kazań pozostanie na zawsze nietylko pomnikiem przeszłości ale i doskonałym wzorem i niewyczerpanym arsenałem zarówno dla ambony kaznodziejskiej, jak dla teologicznej katedry.

B. J.

MANUALE QUOTIDIANUM continens preces ante et post missae sacrificium atque alias preces ad usum Sacerdotum ed. *Dr. Vincentius Smoczyński.* Cracoviae 1885, str. 266, w 16-ce.

Książeczka cała tchnąca gorącą wiarą i rzewną pobożnością ku Przen. Sakramentowi, zawiera w przedmowie ustępy z Pisma św., orzeczenia soboru trydenckiego odnoszące się do Przen. Sakramentu, i krótkie przemówienia Boskiego Zbawiciela przed i po Mszy św. do serc kapłańskich. Dalej idzie *accessus ad altare* i *recessus* wyjęty z mszału, i bogaty zbiorek modlitw i uwag służących do przygotowania przed i dziękczynienia po Mszy św., następują litanie o N. Imieniu Jezus i do N. Panny i *Sequentia de S. Spiritu.* Dodane są w polskim języku: Droga krzyżowa, dwie Litanie i kilka modlitw. W końcu są niektóre potrzebniejsze uwagi rubrycystyczne. Wydanie staranne i w całem tego słowa znaczeniu wykwintne. *H. J.*

PROPHECY AND HISTORY in Relation to the Messian. The Wurbuston-lectury vor 1880—1884. By *Alfred Edersheim.* London 1885.

Dzieło to, jakkolwiek zawiera pospolite błędy protestantyzmu, odznacza się głęboką erydycyą. Autor doskonale wtajemniczony w sekreta rabinów, przytacza ich świadectwa z czasów apostolskich lub bezpośrednio po apostolskich zajmujące poważne miejsce w Talmudzie. W nich to przyznana zupełna rzetelność cudom Zbawiciela i jego uczniów. Ci sami rabini surowo wzbraniają uciekać się do cudownej pomocy chrześcian nawet w niebezpieczeństwie życia, i uskarżają się na częste odstępstwa prawowiernych od synagogi. Patryarcha ich sławny Gamaliel II. nakłonił starszyznę do ułożenia modlitwy przeciw nowej wierze, którą zamieszczono następnie w poczcie 8-iu błogosławieństw, jako najsolenniejszą część liturgii. Przyjęcie tejże formuły i jej wygłoszenie było probierzem żydowskiej prawowierności. Również zakazali publicznych dysput z chrześcianami, tak pospolitych w pierwszem i drugiem

stuleciu, jako prowadzących do odstępstwa od wiary Abrahamowej.

Autor podaje także cenne i mało znane wiadomości o aspiracyach wschodnich narodów, odnoszących się do przyjścia Zbawiciela i daje krótki, ale wielce staranny rozbiór pism pseudograficznych, poprzedzających wiekiem lub więcej przyjście Chrystusowe, lub też i współczesnych Chrystusowi Panu (księga Enocha apokryf, niektóre ustępy drugiej księgi wyroczni sybilijskich, psałterz Salomona etc). Ze wszystkich prześwieca jasno wiara w mającego przyjść Messyasza, który ma zawładnąć od krańca do krańca ziemi i panować na wieki.

Następnie krytykuje uczony hebrajczyk rozliczne współczesne systemy odnoszące się do autorstwa i struktury „Genesis". Pierwszy Jan Astrue w r. 1753, a po nim wielu innych jako to Eichhorn, a w ostatnim czasie racyonaliści Reuss i Wellhausen dowodzili, że księga „Genesis" nie jest dziełem jednego autora ale raczej kompilacyą wielu starożytnych dokumentów, zawierających mnóstwo rzeczy niewiarogodnych.

Otóż Dr. Edersheim zbija szczegółowo ich rozumowania i jasnymi dowodami pokazuje, że cały pięcioksiąg napisał Mojżesz z wyjątkiem ustępu końcowego, który się poczyna od Deutoronomium XXXI. 1, lub też XXXII. 44, i że nie masz racyi wystarczającej do podawania w wątpliwość autorstwa Pentateuchu. *J. W.*

Z dzieł historycznych.

LE CARDINAL DE BERNIS depuis son ministère 1778—1794. La suppression des Jésuites. — Le chisme Constitutionnel, par *Frédéric Masson.* Paris. Plon et Nurris, 1884. in 8, de IV.— 568 p. Prix: 8 fr.

Wydając przed 7 laty Pamiętniki kardynała de Bernis, M. Masson zapowiadał ogłoszenie listów i dokumentów kardynała, jeżeli jego rodzina zechce nadal zaszczycić wydawcę swojem zaufaniem. Jako bibliotekarz ministerstwa spraw zagranicznych wiedział o ich istnieniu i gdy drobna zawiść usunęła zasłużonego wydawcę ze zaszczytnie zajmowanej posady, rodzina kardynała otworzyła mu bogate zbiory i archiwa St. Marcel, na mocy których mógł przedstawić w rzetelnem świetle postać arcyb. Bernis'a w jego kościelno-politycznym zawodzie we Francyi i w jego tyle głośnej ambasadzie przy Stolicy św. Wiadomo, jak nędzną, niegodną dygnitarza kościelnego rolę odegrał kard. Bernis w konklawe, z którego wyszedł papieżem Klemens XIV. i w sprawie zniesienia zakonu Jezuitów. Był on ślepem narzędziem polityki burbońskich dworów, zdradzał dyplomacyi tajemnice obrad w konklawe, do której chowania przysięgą był obowiązany, słowem, był to biskup-dworak, kardynał-polityk, dla którego wola królów Hiszpanii i Francyi była świętszą, jak wszelkie względy na prawo boże i dobro wiary i Kościoła. Pan Masson nie przeczy temu wyraźnie, łagodzi jednak, gdzie może, twardy, ale sprawiedliwy sąd historyi o kardynale. Przyznać trzeba, powiada p. Masson, że w smutnej sprawie zniesienia Jezuitów de Bernis zachował umiarkowanie, przekładał środki łagodne, kiedy Hiszpania namiętnie domagała się kasaty. Wprawdzie mu-

siał być powolnem narzędziem swego dworu, gdyż ówczesne tradycye domagały się ślepego posłuszeństwa królowi. Kiedy Pius VI. przywrócił potajemnie zakon Jezuitów, i Bernis byłby się chętnie zachował biernie, ale ambasador hiszpański Florido Blama zmusił go do współdziałania w oporze.

Świetną była ambasada de Bernis'a; uprzejmością obejścia, wspaniałością recepcyi zaćmił ambasadorów innych dworów i wyższość Francyi stwierdził. Stół wykwintny i otwarty ściągał przez lat 25 co najznakomitszych gości i czynił dom jego, według dowcipnego przyrównania: *l'auberge du France au carrefour de l'Europe.* (Oberżą Francyi na rozdrożu Europy). Książęta francuscy i zagraniczni, jak ks. Glouster, król szwedzki, w. ks. rosyjski i później ks. Chartres, siostry Ludwika XVI. książęta Polignac i emigracya doznawali najhojniejszej gościnności. Jakkolwiek zawsze dosyć elastycznego sumienia, oparł się jednak Bernis królowi, gdy żądano od niego przysięgi na konstytucyę cywilną dla duchowieństwa, złożył godność ambasadora Francyi i w trzy lata potem umarł *in pace cum Ecclesia.* Czyn ten rehabilituje pamięć kardynała i naprawia w części zbytnią jego uległość polityce dworu, tyle szkodliwą rzetelnemu dobru Kościoła.

P. Masson tak się wżył w społeczeństwo XVIII. wieku, tak się zespolił z parlamentem i ministrami Ludwików XV. i XVI., że uległ ich uprzedzeniom, zda się nieraz być uczniem szkoły La Chalotais, jednak oddaje duchowieństwu, szlachcie i dyplomatom tych czasów należne uznanie. Książka jego pisana z życiem, pełna nieznanych dokumentów, obrazy świetne, źródła wyraźnie podane. Można się czasem nie zgodzić z zapatrywaniami autora, ale o talencie jego, erudycyi i dobrej wierze wątpić niepodobna, i ktokolwiek chce badać ważne kwestye, które pod koniec XVIII. wieku rozgrywały się we Francyi, nie może tej książki pominąć. *G.*

KUŹNICA KOŁŁĄTAJOWSKA. Studyum historyczne. Napisał *Władysław Smoleński.* Kraków, 1885, str. 202.

Doskonała to illustracya czynów i tendencyj ks. podkanclerza wraz z całą jego drużyną, dzielnie agitującą na schyłku politycznego naszego istnienia. Kołłątaj, nosząc się z myślą naprawy Rzpltej, uwolnieniem chłopów i równouprawnieniem mieszczan ze szlachtą, werbuje od otwarcia sejmu czteroletniego kółko czynnych klientów, a raczej apostołów, zbawczych dla kraju zasad. Prawą ręką Kołłataja był ks. Franc. Jezierski kanonik kaliski i krakowski. Życiorys jego i charakterystyka zapełniają większą połowę książki. Czynność Jezierskiego głównie była dwojaką: jako rektora wydziału lubelskiego w czasie reformy szkół, podjętej przez komisyę edukacyjną — i jako pisarza. Autor podaje bardzo ciekawy jego raport z wizyty zakładów naukowych, bibliografie pism jego okolicznościowych i wcale obszerne z nich wyjątki. Polemiczno-satyryczne broszury i broszurki Jezierskiego z zajęciem były czytane, niektóre z nich już wtedy kilku doczekały się wydań. Widać w nich zręczną, choć nie zawsze na prawdzie opartą dyalektykę, ciętość i dowcip nie naśladowany. Np. wolność szlachecką porównuje do kapryśnej Wisły, a magnatów, których pień genealogiczny wyrósł wśród krakowskiego mieszczaństwa, do ziarnka stłuczonego orzecha, które „gdyby miało rozum i serce, miałoby czułość dla swej pierwszej łupinki". Śmiało karci zbytek i nadużycia: „Chińczyk i Anglik piją herbatę, Turczyn kawę, Włoch i Hiszpan czekoladę, Moskal gorzałkę, a

Polak wszystko". „Piwnica, kuchnia, cukiernia jest tak ułożona dokładnie, że gdyby podobnie była urządzona cała Polska, bylibyśmy najpotężniejszym w Europie narodem".

Jezierski zdolny kaznodzieja, wykształcony i pracowity, gorący patryota, „wulkan gromów kuźnicy", mniej był niereligijnym od Kołłątaja, i mniej może zapalonym rewolucyonistą. Choć przez czarne okulary pessymizmu patrzył na swą ojczyznę, wiele położył rzeczywistych zasług, a daleko skuteczniejszą byłaby praca jego, gdyby mu serce rozgrzał duch godny Chrystusowego kapłana.

W drugiej części autor nie mniej zajmująco i gruntownie przedstawia działalność klubu Kołłątaja i wyprowadza na scenę głównych jego agitatorów, demagogów w pełnem znaczeniu tego wyrazu: Trębickiego, księży Dmóchowskiego i Meiera, Konopkę i Dembowskiego. Zasługą klubu było skuteczne przyłożenie ręki do konstytucyi 3 maja. Ale plamą, piętnującą ks. podkanclerza i całą jego klikę, jest ów szał rewolucyjny na wzór paryskich sankiulotów obudzony w pospólstwie, owe pisma do krwawego buntu przeciw „bogaczom i zdrajcom" poduszczające i owa sroga egzekucya z 17 i 18 kwietnia. A choć Kościuszko potępił czyn i kazał surowo ukarać winnych, tylko oprawcy ponieśli zasłużoną karę, głównych zaś agitatorów za protekcyą Kołłątaja ułaskawiono. Kołłątaj ze swą Kuźnicą mógłby stanąć obok Małachowskiego, Potockich i Kaź. Sapiehy, gdyby nie zasady francuskich encyklopedystów. Duch skrajnej rewolucyi i indyferentyzmu we wierze, błotem skalał szlachetne ich zamiary. Nagrobkiem dla nich to ów czterowiersz Adama:

„Mówisz, niech sobie ludzie nie kochają
[Boga,
Byleby im była cnota i ojczyzna droga.
Głupiec mówi: niech sobie źródło wy-
[schnie w górach,
Byleby mi płynęła woda w miejskich
[rurach".

B. J.

PETER FREIHERR VON PARCHEVICH Erzbischoph von Martianopel, Apostolischer Vicar und administrator der Moldau, bulgarischer Internuntius am kaiserlichen Hofe und kaiserlicher Gesandter bei dem Kosaken, hetman Bogdan Chmielnicki — 1612—1674; nach archivalischen Quellen geschildert von *Julian Grafen Pajacsevich* (Wien 1880. Gerolds-sohn).

Do epoki wzbudzającej dziś tak ogólne zajęcie, bo przeniesionej na pole literackie piórem Sienkiewicza, przybywa nam z obcego źródła ważny, a dotąd zupełnie — jeśli się nie mylimy — nieznany naszym historykom epizod dyplomatycznej interwencyi, a co więcej szereg dokumentów dotyczących stosunków Polski do krajów słowiańskich pod jarzmem tureckiem.

Hr. Pajacevicz, układając kronikę swej rodziny wertował archiwa wiedeńskie, peszteńskie i zagrzebskie, i natrafił w nich na akta, noty i relacye, których, jako ogólniejszego historycznego znaczenia użył za podstawę do monografii ogłoszonej wprawdzie przed kilku laty, ale publiczności naszej mało znanej.

Gdy Murad I. pokonał w r. 1388 ostatniego króla romano-bułgarskiego Szyszmana, a gdy w rok później uległ i „kneź" Łazarz serbski potędze bisurmańskiej na polu Kosowem, Bułgarya stała się wialetem tureckim. Pogląd na smutny stan podbitego kraju, na jego stosunki narodowe i kościelne pod panowaniem islamizmu, zapełnia pierwsze rozdziały książki. Przeważna część

ludności bułgarskiej przed podbojem tureckim zachowała religię katolicką, co zwracało jej uczucia i nadzieje ku Polsce, Wenecyi i Rzymowi. Urok waleczności polskiej i jej chrześcijańskiego ducha rycerskiego w obronie wiary, przechował się jeszcze z czasów wyprawy Warneńczyka. Królowie zaś polscy roztaczali stałą opiekę nad katolikami bułgarskimi, uzyskali przywilej od Stolicy św. mianowania biskupów katolickich w Baku, mieście bułgarskim.

We wszystkich traktatach z Portą ottomańską, zastrzegali zawsze prawa i swobody dla Kościoła katolickiego w Mołdawii, również jak w układach z wojewodami wołoskimi. Stolica św. poddała jurysdykcyi arcybiskupów lwowskich dyecezyę w Baku, według postanowienia synodu piotrkowskiego z r. 1671. Ponieważ dyecezya bułgarska nie miała żadnego uposażenia, biskupi tamtejsi otrzymywali od królów prelatury w Polsce za zezwoleniem Rzymu. Po większej części polscy zakonnicy ze Lwowa wysyłani byli do niebezpiecznego często sprawowania rządów w tej dyecezyi. Stosunek ten opiekuńczy utrzymał się do końca bytu Rzeczypospolitej. Sobieski i August III. uposażają beneficyami w Polsce biskupów bułgarskich, a władzę metropolitalną wykonywa jeszcze nad tym odległym krajem Wacław Sierakowski arcybiskup lwowski w epoce rozbiorów.

Od czasu tej polskiej ingerencyi zasiadali na stolicy w Baku lub podejmowali tylko objazdy dyecezyi następujący biskupi i kapłani: Bernard Kwiryn (włoch, dominikanin, poniósł śmierć męczeńską około 1601), Hieronim franciszkanin †1605, Waleryan Lubieniecki (dominikanin, umarł w niewoli r. 1611), Adam Goiski (przedtem prowincyał Franciszkanów we Lwowie) †1618, Mikołaj Fredro franciszkanin †1624, Jan Zamoyski dominikanin późniejszy biskup przemyski i łucki — po jego przeniesieniu trwał dłuższy w Baku wakans; Maciej Maryan Kierski franciszkanin zrezygnował 1659, Anatazy Rudziński bernardyn, Jakób Górecki 1660, Jakób Dłuski franciszkanin 1681, Amand Ciszejko dominikanin 1693, Stanisław Biegański franciszkanin 1699, Jan Damascen Lubieniecki dominikanin 1711, Adryan Skrzetuski franciszkanin 1715, Jozafat Parysiewicz 1717, Tomasz Zaliński albo Załęski 1733; (patrz Acta Theinera oraz Historya Kościoła polskiego X. Melchiora Bulińskiego, tom 3 str. 281—2).

Tak więc Polska nietylko do orężnej występowała obrony chrześcijaństwa przed zalewem pohańców, ale wpływu i powagi swej używała w traktatach dyplomatycznych z Portą dla osłonienia wiernych i obok bohaterskiego rycerstwa, wydawała szereg postaci zakonnych, missyonarzy, biskupów, wyznawców.

Ślad tego działania kościelnego i tej opieki królów polskich zapisuje hr. Pajacewicz w swej książce i mówi, że za czasów Władysława IV. wśród ludów południowej Słowiańszczyzny, zwłaszcza Bułgarowie, oczekiwano powszechnie wybawienia od Polski, że największą miano ufność w jej waleczności i w jej duchu ofiary.

Bohaterem opowiadania jest potomek znakomitego rodu bułgarsko-bośniackiego Piotr Parcewicz będący jednego szczepu z rodziną niegdyś udzielną Kuczewiczów. Urodzony w r. 1612, mając lat 11 opuszcza ojczyznę, wysłany do Włoch na studya—z krótkiemi przerwami przebywa on między Loretto a Rzymem 21 lat—wyświęcony w r. 1644 powraca do Baku jako missyonarz. Ale missyonarz to dyplomata ożywiony równą żarliwością wiary jak zapałem patryotycznym. Wykształcony

w Rzymie pod wpływem uczuć wyniesionych z ujarzmionej ojczyzny, spotęgował w sobie jeszcze pragnienie wyzwolenia narodowego i religijnego tą atmosferą rzymską, w której przeważała ustawicznie jedna dążność pobudzenia książąt Rzeczypospolitej chrześcijańskiej do wspólnej ligi przeciw potędze półksiężyca.

Plan ligi państw chrześcijańskich opierał się w pierwszym rzędzie na kombinacyach przymierza między cesarzem, królem polskim a Rzecząpospolitą wenecką.

Z pośród wasalów Porty hospodar mołdawski książę Bazyli Lupul szukał oparcia w Polsce i w celu zjednania sobie jej pomocy pragnął połączyć swą córkę z potężnym magnatem polskim Januszem Radziwiłłem, marszałkiem w. lit. Wszelako współzawodnictwo wojewody wołoskiego Macieja Besaraby, który za pomocą Turków zamierzał strącić Lupula i posiąść Mołdawię, ściągnęło na ostatniego szereg klęsk. Intrygom Besaraby nie powiodło się wprawdzie w Konstantynopolu; więc na Mołdawię sprowadzał to najazd Rakoczego, to znów Tatarów i i Chmielnickiego. Historya narzeczonej Janusza Radziwiłła a córki owego księcia mołdawskiego Lupula mogłaby służyć za temat do nowego historycznego romansu, gdy Lupul wbrew swym planom i sympatyom polskim zmuszony jest ją oddać wraz ze skarbami i nadzieją sukcesyi tronu Jerzemu Chmielnickiemu, synowi Bohdana.

Ruch patryotyczny odrodził się za przybyciem Parcewicza z Włoch i przybrał postać spisku na zrzucenie jarzma tureckiego. Teraz znów Maciej Besaraba wojewoda wołoski lubo niedawno do Turcyi się odwoływał przeciw Lupulowi, przejmuje się planami Parcewicza, aby się odwołać do państw chrześcijańskich, jak już wysyłano do Zygmunta III. dwa poselstwa (1587 do 1632) i do cesarza Ferdynanda II.

Chwila zdawała się być dogodną. 1644 r. Sułtan Ibrahim rozpoczął wojnę o Rzeczpospolitą wenecką o Kandyę, cała ludność tak grecka jak katolicka była w ruchu. Po dojrzałem zastanowieniu uznano, że najpierw trzeba się udać do Władysława IV. „jego waleczność i szczęście rzuciłoby postrach pomiędzy Turków".

Do tego poselstwa wybrano Piotra Parcewicza. Przebrany po turecku wraz ze swym towarzyszem franciszkaninem, opatrzony w pełnomocnictwa i tajemne listy puszcza się on po raz pierwszy w missyi dyplomatycznej r. 1647 do Polski, i staje szczęśliwie na dworze króla Władysława. Tu wręcza pisma, popiera je przemową przerywaną łzami o nieszczęsnej doli Bułgarów i innych ludów chrześcijańskich oczekujących wybawienia i dowodzi, że chwila jest bardzo dogodną, gdyż Turcy wojną z Wenecyą zajęci.

Porusza on szlachetne uczucie króla tak silnie, że ten od razu przystaje na jego plan i obiecuje całem sercem i wszystkiemi siłami go popierać. Król Władysław przypuszcza do narady tylko najbliższych dostojników a hetmanom poleca przygotowania do wojny. W liście do księcia Macieja mianuje go naczelnym wodzem Wschodu i obiecuje przyjść z wojskiem na pomoc. Posłów odprawia łaskawie, polecając im aby się udali do Wenecyi — i obdarza hojnie; daje im na pamiątkę swój portret w wojennej zbroi ze słowami: „*Habeatis me fictum et pictum, quoadusque venero vivus et verus*", szkarłatny sztandar z drogiej materyi z krzyżem i napisem „*Vindica gloriam tuam*", bogaty pierścień jako godło zrękowin ze Wschodem, a wreszcie przybory kościelne i szaty mszalne na znak rozpocząć się mającego oswobodzenia wiary chrześcijańskiej.

Przy posłuchaniu pożegnawczem była obecną królowa. Z właściwą sobie wielkodusznością Marya Ludwika podniecała zapał męża, przemawiając doń w te słowa: „Wasza Królewska Mość dokonaj mężnie podjętego dzieła, a gdyby miało brakować pieniędzy, to zdejmę z uszu moje kolca i z ramion manele, aby tylko święta sprawa nie zatrzymała się". (str. 26).

Nic bardziej rozbudzić nie mogło ochoty walecznego króla i dodać ducha obecnym senatorom, nad te słowa królowej.

Poselstwo bułgarskie miało miejsce w początku r. 1647. Wiadomo, że sejm t. zw. inkwizycyjny udaremnił wyprawę wschodnią, zarzucając królowi, że dąży do *absolutum dominium*.

Opór sejmu i zgon syna nietylko wstrzymały zapędy Władysława IV., ale przyspieszyły jego śmierć 10 marca 1648. Sprzysiężenie tak poruszyło całą ludnością bułgarską, że trzeba było wielkiej usilności arcybiskupa Piotra Deodata i innych patryotów, aby wybuch powstrzymać i umysły uspokoić a zamiary osłonić tajemnicą, aż dojrzeją należycie. W dwa lata później znów Parcewicz podejmuje missye dyplomatyczne. Zaopatrzony w listy gubernatora Bułgaryi Markanicza, naczelników związku i arcybiskupa Piotra Deodata, w charakterze jego sekretarza udaje się znów do Polski 18 grudnia 1649, właśnie wtenczas, gdy burza kozacko-tatarska na chwilę zażegnaną została. Po wielu trudach staje w Warszawie—przedstawia się natychmiast Jerzemu Ossolińskiemu w. kanclerzowi. Ossoliński jedzie zaraz do króla Jana Kazimierza, który przebywał na wsi o 6 mil odległej od Warszawy, aby go zawiadomić o przybyciu poselstwa i zaznajomić z tokiem układów przed dwoma laty nawiązanych, a mających w kanclerzu gorliwego poplecznika. Jan Kazimierz przybywa do Warszawy, zwołuje senatorów i przedstawia im sprawę. W ich obecności Parcewicz otrzymuje posłuchanie. Wszyscy obecni senatorowie popierają przedłożony plan, oświadczają gotowość przelania krwi i niesienia ofiary z życia i mienia, aby król w tym szlachetnym zamiarze dorównał swemu zmarłemu bratu, jego wolę spełniając. Marya Ludwika, wdowa po Władysławie IV., świeżo poślubiona Janowi Kazimierzowi, z równą stanowczością i zapałem jak za życia pierwszego męża popiera sprawę. Za wyprawą na Wschód przemawiają zwłaszcza Andrzej Leszczyński, biskup chełmiński podkanclerzy w. kor., Mikołaj Potocki hetman w. kor., Jerzy Ossoliński kanclerz w. kor., sekretarz królewski ksiądz Wicki i książe Jeremi Wiśniowiecki, wojewoda ruski, (str. 29). Oprócz idei chrześcijańskiej, przeważały tu także względy na Chmielnickiego i Kozaków, których użyteczną wojną z Turkiem zatrudnić chciano i od Polski odwrócić. Nie można było wątpić o pewnym skutku, pisze Parcewicz w swej relacyi, w obec takiej jednozgodności głosów senatorów i króla. Postanowiono na naradzie wysłać Parcewicza do cesarza i do Rzeczypospolitej weneckiej, dla wspólnego przygotowania akcyi państw chrześcijańskich. Niestrudzony Parcewicz z Warszawy jedzie na dwór cesarza Ferdynanda III. Oprócz słów współczucia, innej pomocy nie dano.

Poseł króla hiszpańskiego Filipa, nuncyusz papieski, a zarazem przedstawiciel Polski Jan Baptysta Visconti wraz z posłem weneckim Nicolo Sagredo zaopatrują Parcewicza w listy do doży weneckiego Franciszka da Molino.

Zajmujące ale nas bezpośrednio nie dotyczące są szczegóły poselstwa nad Adryatykiem. W pismach i przemowach Parcewicza, przedłożonych sena-

towi Rzeczypospolitej weneckiej, główny nacisk położony na obietnice uzyskane w Polsce, że waleczność tego narodu wzbudza postrach wśród Turków, a Wenecya znalazłaby tu dzielnego sprzymierzeńca, gdyby wojnę kandyjską chciała rozszerzyć także na kampanię w północnej Turcyi europejskiej.

Senat dał oficyalną odpowiedź przychylną, pełną współczucia dla nieszczęść chrześcijan bułgarskich, obiecał i innych książąt chrześcijańskich zagrzewać do wspólnej wyprawy, a doża zaopatrzył posła pieniężnie, wyznaczając mu 1000 dukatów.

Ważne sprawy kościelne powołały Parcewicza z Wenecyi do Rzymu. Umarł był właśnie bułgarski arcybiskup Ochrydy i Marcyanopolu Rafał Lewakowicz. Parcewicz pragnął swym wpływem wyjednać nominacyę na arcybiskupa dla franciszkanina Fra. Bernardinos, który będąc poddanym weneckim, mógł łatwiej wpłynąć na postanowienia Rzeczypospolitej na korzyść Bułgarów. Na przedstawienie atoli księcia Stefana mołdawskiego i na gorące życzenia katolików bułgarskich papież Aleksander VII. wyniósł na tę godność ks. Parcewicza właśnie może dla tego, aby jego missyi dyplomatycznej nadać więcej uroku i powagi.

Z Rzymu nie powraca do ojczyzny coraz ciężej pognębionej, ale na dwór wiedeński cesarza Ferdynanda III. Tu zastaje smutne wiadomości z Bułgaryi, smutniejsze jeszcze z Polski. Wszystkie rachuby na wyzwolenie chrześcijańskiego i słowiańskingo Wschodu od pohańców orężem polskim na długo rozwiane, bo Rzeczpospolita zalana wojskami Rosyi, hordami dziczy Szwecyi, szarpana przez Kozaków, Tatarów i Rakoczego, stała nad krawędzią przepaści.

Nie mogąc przyjść z czynną pomocą, cesarz Ferdynand III. próbował wstrzymywać *per bona officia* to elektora brandenburskiego, to Rosyę od udziału w tej śmiertelnej przeciw Polakom walce, a z początkiem 1657 r. postanowił wystąpić z życzliwem pośrednictwem na rzecz Polski w obec wzrastającej potęgi kozackiej. W tym celu mianuje on Parcewicza swym posłem, wyznacza mu 1000 talarów na daleką i niebezpieczną drogę do hetmana Kozaków Bohdana Chmielnickiego.

Parcewicz wyprawia się przez Węgry w 15 ludzi i 18 koni, ma przy swym boku za sekretarza wprawnego już do spraw dyplomatycznych Bułgara Marianowicza. Podróż rozpoczyna się w styczniu 1657 r. Zima była ostra, drogi złe, a im dalej w kraje Rzeczypospolitej, tem niebezpieczeństwa większe. Z Lubowli na Spiżu dostaje się Parcewicz najpierw do Biecza; tamtejszy starosta a kasztelan wojnicki odmawia posłowi cesarskiemu ułatwień w dalszej podróży. Wśród zamieci śniegowych, czwartego dnia stanęło poselstwo w Łańcucie o 11 w nocy. W nieobecności Jerzego Lubomirskiego arcybiskup ze swymi towarzyszami nocować musi w stajni. Nazajutrz 6 lutego wieczorem dociera do Jarosławia — tu zastają wielkie zbiegowisko ludności uciekającej przed najazdem Rakoczego. W gospodzie spotyka Jerzego Lubomirskiego, jadącego w towarzystwie Jezuity, któremu żołnierze Rakoczego w drodze ze Lwowa zrabowali rzeczy i przybory kościelne. Przedkładają oni Parcewiczowi, że dalsza droga połączona z niebezpieczeństwem życia, że Lwów oblężony przez 3.000 żołnierzy Rakoczego, pod wodzą jenerała Keminy. Lubomirski ostrzega cesarskiego posła, że drogi pełne włóczących się Kozaków, Szwedów, Rusinów, Wołochów, Tatarów i polskich maroderów, cała okolica zniszczona — że mimo listów żelaznych cesarza, nie

zdoła on przedostać się cało do obozu Chmielnickiego. W czasie śniadania, którem podejmował Lubomirski posła z jego otoczeniem, nadeszły wieści, że Rakoczy dziś jeszcze ma napaść na Jarosław. Lubomirski z rodziną chroni się do Łańcuta, namawia Parcewicza, aby z nim uchodził. Wszelako Parcewicz postanawia kołem okrążyć wojska nieprzyjacielskie, nakładając drogi o 60 mil więcej. Lubomirski daje mu asystencyę wojskową; rozjeżdżają się więc w odwrotnych kierunkach: Parcewicz w kierunku Skały.

Wszędzie na drodze spotykał lud pogrążony w nędzy, wśród ciężkiej zimy uciekający przed nieprzyjacielem. Kobiety z dziećmi chroniły się po lasach i górach, pędząc bydło i niosąc resztki dobytku. O trzy mile od Jarosławia odmówiono koni do dalszej jazdy, daremnie czekali przewodnika; w pustej wsi nie było nikogo. Często napotykali na trupy po polach, lub głowy ludzkie rozwieszone na drzewach przy drodze. Z trudnością i za drogie pieniądze można było dostać żywności. Dopiero dojechawszy do Bełza znaleźli jakiegoś uczynnego pana, który im odmienił konie, a dowiedziawszy się w jakiej jadą sprawie, podejmował gościnnie.

Do Skały przybyli przemarznięci; zrazu, nie chciano ich do miasta wpuścić, biorąc ich za wysłańców Rakoczego; gdy się wykazali papierami, doznali gościnnego przyjęcia. Już tu wyczerpnął się fundusz cesarski, a wyprawa żyła z 500 dukatów, które miał przy sobie Marianowicz. Do Dubna przybyli 22 lutego, podejmowani przez wdowę księżnę Dominikową Zasławską, i obficie we wszelki prowiant zaopatrzeni w dalszą podróż otrzymują świeże konie i pojazdy — ale kasa podróżna wyczerpana i następuje pierwsza pożyczka 1000 reńskich od Ormian dubieńskich.

Im głębiej się zapuszczają, coraz straszliwsze przedstawiają się im obrazy pożogi i zniszczeń, gdzie okiem sięgnąć, leżą do koła trupy i rozwleczone kości ludzkie. Wśród przejmującego mrozu zmuszeni założyć obóz w czystem polu i rozłożyć ognie, tak spędzają pierwszą noc, rozstawiwszy w koło czaty. W dwie doby przybywają do Białocerkwi; tu nowa pożyczka 1.000 złr. od Ormian, dających na wiarę pism cesarskich. Wreszcie 1 marca, po tylu trudach, cierpieniach i niebezpieczeństwach stają u celu swej podróży w Czechrynie, rezydencyi nowego potentata Chmielnickiego.

Hetman kozacki otaczał się wspaniałością wschodnią i chciał naśladować okazałość magnatów polskich. W Czechrynie przyjął najpierw gości kanclerz hetmana Wychowski i odebrał od nich pisma wierzytelne. Chmielnicki chory przebywał w pobliskiej słobodzie i dopiero po tygodniu pobytu wyznaczył posłuchanie dla posła cesarskiego. Wysłał dla eskorty jego oddział 300 Kozaków, pod wodzą pułkownika Kapusty, aby z tem większą paradą odbył się wjazd. Chciał nim zapewne zaimponować Bohdan w obec własnego wojska i obcych posłów, że sam cesarz wchodzi z nim w układy, jak z książęciem samodzielnym. U bram Czechryna powitali posła dwaj ze starszyzny kozackiej, przyboczni radcy Bohdana. Na wozach wysłanych perskimi dywanami odwieziono członków poselstwa do zamku. Hetman chory z przepicia się, przyjął posłów leżąc w łóżku. Parcewicz, sam również chory i strudzony podróżą, powitał Chmielnickiego krótką przemową w imieniu swego pana, „rzymskiego cesarza Ferdynanda III., pierwszego zwierzchnika wszystkich książąt całego chrześcijaństwa od wschodu do zachodu słońca; rzekł, że spodziewa się, iż Bóg, który rządzi sercami mężów

znakomitych, gdy nawet są rozdzieleni i powaśnieni, w nadmiarze swej łaski znów je dla większej swej chwały do zgody przywodzi, że hetman pozdrowienia cesarza przyjmie wdzięcznie, oraz te rady, jakie za jego pośrednictwem cesarz szle naczelnikowi wojennej potęgi, pełnej podda rozwadze".

Po przemowie Parcewicz wręczył listy cesarskie. Chmielnicki ucałował pismo cesarza, kilkakrotnie rzekł, że „niegodzien jest umywać nóg świętej osoby cesarza, najpierwszego władzcy na ziemi".

Po tych oznakach uniżoności nastąpiła wspaniała biesiada, a Chmielnicki zasiadł z członkami poselstwa do wspólnego stołu i w przyjacielskiej rozmowie dopytywał o zdrowie cesarza i wszystkich książąt jego rodziny.

W Czechrynie spotkał Parcewicz całe ciało dyplomatyczne, jakby na dworze wielkiego monarchy. Był tam poseł króla szwedzkiego, sułtana ottomańskiego, wysłaniec Rakoczego, poselstwo tatarskie, włoskie i mołdawskie; był także i poseł króla polskiego. Zadanie dyplomatyczne, jakie miał poseł cesarski do spełnienia w tem otoczeniu, nie było łatwe. Parcewicz ciężko zaniemógł i jnż tylko Marianowicz miał ponowne posłuchanie u hetmana. Chmielnicki i jego kanclerz oświadczyli, że stanowczej odpowiedzi na pośrednictwo cesarskie narazie dać nie mogą. Długo przewlekały się układy dyplomatyczne—tymczasem zaś nastąpił wybór przez starszyznę kozacką na następcę pod Bohdanie jego syna Jerzego. Z tej okazyi trzechdniowe trwały uczty przy odgłosie muzyki i salwach armatnich. Na ponowne nalegania Marianowicza o stanowczą odpowiedź, Chmielnicki oświadczył, „że pragnie J. C. Mość mieć za rozjemcę i sędziego w trwających z Rzeczapospolitą sporach, i że on jeden swoim wyrokiem może powstrzymać dalszy rozlew krwi chrześcijańskiej, na ten wyrok się oddaje, a przeciw tym, którzy warunków wyroku nie dotrzymają, należy, aby cesarz wymierzył karę. W przyszłości chce on wiernie służyć J. C. Mości i domowi austryackiemu, którego przyjaciół i nieprzyjaciół uważać będzie jako swoich sprzymierzeńców lub wrogów, i gotów w razie potrzeby w pomoc cesarzowi dostarczyć 200.000 ludzi. Przez osobnego posła o tych swoich uczuciach i postanowieniach zapewni cesarza, tymczasem zaś odwoła natychmiast owych 40.000 Kozaków, których posłał na pomoc Rakoczemu".

Jakoż niebawem owa wyprawa kozacka, z pod wodzy Kujsta siedmiogrodzkiego powróciła z bogatym łupem i olbrzymimi skarbami.

Odpowiedź pisemną, zgodną z oświadczeniami ustnemi spisał kanclerz hetmana i wręczył ją 28 kwietnia Parcewiczowi, który z powodu choroby nie mógł pożegnać się z Chmielnickim (str. 55—64). Na tem zakończyło się to poselstwo, podjęte z takiem poświęceniem. Na tok wypadków, na losy Polski nie miało ono atoli bezpośredniego wpływu. Cesarz Ferdynad III. umarł w Wiedniu, podczas pobytu Parcewicza w Czechrynie, 2 kwietnia 1657 r., a Chmielnicki nie miał się już podźwignąć z łoża boleści.

Po dwumiesięcznym blisko pobycie powraca tą samą drogą poselstwo cesarskie. W Białocerkwi Kozacy napadli na tabor i uwięzili arcybiskupa; musiał Marianowicz jechać do Kijowa i tam uzyskac uwolnienie. Dowlókł się zaledwo arcybiskup marianopolski do Lwowa, i tam ciężko chory znalazł opiekę w klasztorze OO. Dominikanów. Niedostatek pieniędzy dawał się posłom ciężko uczuwać. Na poręczenie Dominikanów zaciągnięto pożyczkę ogółem 10.000 od Ormian.

Marianowicz wyprawia się sam do Wiednia, a Parcewicz pozostaje jeszcze kilka miesięcy u Dominikanów lwowskich.

Cesarz Leopold, który objął świeżo rządy, okazał się dość obojętny dla owej missyi dyplomatycznej, wysłanej przez swego ojca. Sprawa Polski i sprawa Wschodu mało zdaje się go zajmować, jak gdyby nie przeczuwał, że niebawem zmieni się kolej wypadków i on potrzebować będzie ratunku od króla polskiego. Zwłaszcza rażące są szczegóły o sześcioletnich zachodach arcybiskupa Parcewicza, aby kamera węgierska lub czeska zwróciła koszta wyprawy dyplomatycznej, w imieniu cesarza do Chmielnickiego podjętej. Stawiano tu ustawiczne trudności, targowano się o cyfry. Ormianie lwowscy czekali doliczając procenta, Dominikanie lękali się o swoje poręczenie, Parcewicz czuł upokorzenie, zwłaszcza gdy w dekrecie kamery, przy wypłacie obciętej sumy dodano restrykcyę, aby już nigdy nie używano Parcewicza do poselstwa, gdyż zbyt to jest kosztownem.

Niepodobna nam za autorem monografii zatrzymywać się nad dalszymi szczegółami życia tego dyplomaty biskupa, który, gdy się oddaliły znów nadzieje koalicyi przeciw Turkom, powrócił do ojczyzny, aby pracować dla wiary. Działalność jego na tem polu była znakomitą. Ale do dyplomacyi raz jeszcze miał powrócić.

Potęga ottomańska była jakby w nowym rozkwicie, a po dwóch wiekach swego władztwa w Konstantynopolu dążyła do dalszych podbojów, zaborów. Ucisk chrześcijan słowiańskich był bezmierny, a książęta, hospodary i wojewodowie, wśród wzajemnych intryg i spodlenia przechowywali jednak na dnie serca chęć zrzucenia jarzma. Stronnictwo patryotyczne i wierne chrześcijaństwu na Multanach, we Wołoszy i wśród Bułgarów, zwracało ciągle swe nadzieje ku stronom Polski. To też gdy w r. 1672 i 1673 wojska tureckie wtargnęły w granice Polski, a hospodarowie mołdawski i wołoski otrzymali rozkaz przyłączenia się do wyprawy, czynili to wbrew swemu uczuciu, dostarczając żołnierza tyle tylko ile musieli.

Upadek Kamieńca podolskiego i sromotny dla Polski traktat buczacki, był przyjęty jako klęska przez stronnictwa i ludzi, którzy w Rzeczypospolitej szukali punktu oparcia. Do nich należał znany nam arcybiskup Parcewicz. Po raz czwarty podejmuje podróż do Polski, przybywa w czasie sejmu, na którym hetman Jan Sobieski i jego stronnicy nie chcą uznać traktatu zawartego przez króla Michała i przeważają szalę za prowadzeniem dalszej wojny z Turcyą.

Z Sobieskim już w tajne porozumienie weszli dwaj hospodarowie. Stefan wojewoda wołoski za ociąganie się w dostarczaniu żołnierzy na wyprawę polską, został znieważony przez Huseina baszę, który go toporkiem uderzył w głowę. Jerzy Ghika, lubo uchodził za stronnika Turków, przesłał do hetmana Sobieskiego przez swego sekretarza Andrzeja Wolfa zawiadomienie, iż w czasie kampanii przejdzie do obozu polskiego.

Arcybiskup Parcewicz—jakby nowy Piotr z Amiens — po raz trzeci okrąża książąt chrześcijańskich, z Warszawy jedzie do Wiednia, ztamtąd do Wenecyi i Rzymu. Wszędzie układa memoryały i przedkłada je w radzie Rzeczypospolitej św. Marka.

Obłożnie chory otrzymuje w Wenecyi wiadomość o walnem zwycięstwie Sobieskiego pod Chocimem. Wieść ta przywraca mu zdrowie i nowe siły, wielbi on zrządzenie Opatrzności, waleczność Polaków i mniema, że wojna przeniesie się niebawem na drugi brzeg Dunaju,

sięgnie aż do Bułgaryi. Zdwaja więc dyplomatyczne zachody, aby wywołać wspólność akcyi cesarza i Wenecyi z wyprawą Sobieskiego. Jakoż chwila do złamania potęgi ottomańskiej zdawała się ze wszechmiar sposobną. Wszelako cesarz Leopold był zajęty wojną domową w Węgrzech i zawikłaniami z Francyą. Rzeczpospolita wenecka wyczerpnięta wyprawą kandyjską, nie chciała na teraz dalszych nieść ofiar. Nawet w Rzymie gorące przedstawienie Parcewicza za poparciem kampanii polskiej, sparaliżowane zostało błędnemi relacyami nuncyusza Bonvisi. Polska opuszona przez swych sprzymierzeńców nie miała dość siły, aby po zwycięstwie pod Chocimem iść dalej na złamanie potęgi tureckiej.

Wśród tych zachodów i gorzkich zawodów umiera w Rzymie 23 lipca 1674 arcybiskup Parcewicz, oddawszy w wilię śmierci swe pisma Krzysztofowi Mucini, który był wówczas pełnomocnikiem Polski przy Stolicy św.

Pochowany w kościele *Collegium urbanum*, nie ma Parcewicz żadnego pomnika. Czyny tego mężnego pasterza i wytrwałego dyplomaty chrześcijańskiego, mało dotąd w historyi były znane.

Dzieło hr. Pajacewicza poparte dokumentami może służyć za świadectwo, jaki wpływ i urok wywierała, nawet już chyląca się do upadku Rzplta polska wśród współbratymców na Wschodzie. Tem ważniejsze to świadectwo, że nietylko obcy, ale i nasi pisarze — że tylko wspomnimy zkąd inąd znakomitą pracę Juliana Klaczki o kwestyi wschodniej — zbywają milczeniem kilkowiekowe dążenia i ofiary Rzeczypospolitej w tej mierze.

L. D.

Z dzieł literackich.

Spis szkół w grodzieńskiej gubernii na początku XIX. wieku przez *Wołyniaka*. Poznań 1883, w 8-ce str.

Mała objętością, bogata treścią ta książeczka jest cennym przyczynkiem do Historyi szkół w Polsce, którą p. Łukaszewicz doprowadził do 1800 r. Obejmuje ona tylko jedną gubernią a w niej gimnazyum gubernialne w Grodnie; szkół powiatowych czyli niższych gimnazyów 8, w Słoninie, Żyrowicach, Brześciu, Szczucinie, Lidzie, Nowogródku, Łyskowie i Grodnie; szkółek parafialnych 30, i trzy pensyonaty prywatne panieńskie. Autor mieszkając daleko od ognisk naukowego życia, pozbierał gdzie mógł luźne konnotaty i zapiski, a głównem źródłem było dlań sprawozdanie Longina hr. Platera wizytatora szkół grodzieńskich 1800 r. Szkoły te rządziły się zasadami komisyi edukacyjnej. Pomimo tedy przepisów o co-miesięcznej spowiedzi i komunii i codziennej mszy św. „nie było w tych szkołach katechetów i prawdziwego nauczania religii, lecz była nauka moralności, którą starano się oprzeć na prawie natury, negując grzech pierworodny i potrzebę odkupienia“. Liczono się także z potrzebami społeczeństwa i wieku, i dla tego starano się wpajać w uczniów „politykę prawdy i miłość sprawiedliwości politycznej“. Kurator akademii wileńskiej ks. Adam Czartoryski po wizycie szkół bazyliańskich w Brześciu 1817 i 1822 napisał w księdze wizytacyj: „Sposób wykładania geografii potrzeba zupełnie odmienić; najprzód uczniów gruntownie zaznajomić z własnym krajem, a potem dopiero przechodzić inne czę-

ści świata; takiej samej metody należy się trzymać przy nauczaniu historyi: najprzód zwrócić uwagę na polską historyę, a następnie przystąpić do wykładu historyi powszechnej. Historyę polską od czasów Kazimierza Wielkiego można przechodzić w krótkości, lecz nowszą historyę aż do ostatnich czasów potrzeba wykładać obszernie, zaznajamiając uczniów z przyczynami i politycznem znaczeniem historycznych wypadków" str. 19. Równie szczegółowe przepisy daje kurator co do czystości i znajomości języka polskiego. Słowem były to szkoły obywatelskie, łacina i gramatyka schodziły na plan drugi, za to przedmioty rozwijające umysł, kształcące na obywateli jeżeli nie uczonych gruntownie to zawsze światłych, pielęgnowano troskliwie. Eklektyzm i powierzchowność, oto słaba strona tych szkół i systemu. Daty założenia, nazwisko fundatora, dochody i fundusze, cyfry uczniów dodane przy każdej szkole. Uczęszczała do szkół przeważnie młódź szlachecka, ale także i dzieci z ludu i mieszczan. Cyfra ogólna szkolnej młodzi 1808 roku była 1360, t. j. na 466 mieszkańców gubernii 1 uczeń. Oprócz kolonij wileńskiej akademii były też szkoły zakonne, Dominikanów, Pijarów, Bazylianów. Szkoły parafialne niektóre bardzo ubogie, liczyły najwyżej 100 uczniów, a niektóre zaledwie 15. Dzisiaj zamiast jednego wyższego gimnazyum i 8 progimnazyów istnieje w grodzieńskiej gub. jedno gimnazyum w Grodnie i jedno progimnazyum w Brześciu z ograniczoną cyfrą uczniów, a jednak ludność gubernii pomnożyła się znacznie jak w ogóle na całym świecie cywilizowanym liczba szkół w ciągu ostanich lat dziesiątków wzrosła w trójnasób. *S. Z.*

Dzieła Adama Mickiewicza, nakładem Gubrynowicza i Schmidta. Lwów. 1885.

Nigdy dzieł mistrzów za wiele, żadne wydanie Mickiewicza nie jest zbytnie. Owszem dziś, kiedy tak skrzętnie badają przeszłość naszego wieszcza, kiedy tyle szczegółów przybyło do jego biografii, każde nowe wydanie staje się kompletniejszem, jaśniej uwidocznia ten rodzimy nasz geniusz i olbrzymi spadek, jakiśmy po nim odebrali. Takiem też pełnem zalet jest wydanie, które przed sobą mamy. Zawiera w sobie wszystkie utwory jego pióra tak oryginalne, jak i tłumaczone, w poezyi jak i w prozie dokonane. Nie małą również zasługę położyli wydawcy, że po raz pierwszy podali je o ile możności w porządku chronologicznym, nie naruszając logicznego rozkładu na pojedyńcze działy poezyi. Przy każdym utworze podany jest rok, a w razie wątpliwym data prawdopodobna, przy tem liczne noty tak samego autora jak i wydawców służące do objaśnienia tekstu. O staranności wydania świadczą dwa tomy, które się już pojawiły, a że następne im nie ustąpią, rękojmią powaga Dra Antoniego Małeckiego, pod którego kierownictwem to wydanie się uskutecznia. Druk w nich poprawny, a cena nader przystępna ułatwi najszersze ich rozpowszechnienie. Niech tylko młodzież nasza pilnie rozczytuje się w arcydziełach naszego mistrza, w nich znajdzie o wiele zdrowszą karmę dla ducha niż w onych romansach francuskich, co u nas niestety coraz się bardziej mnożą. *Z. B.*

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Z Księstwa Poznańskiego.

Stosunki gospodarskie. — Rozwój przemysłu i kupiectwa.

Bardzo to wdzięczny materyał dla pracowników na niwie dziejowej ten lud wielkopolski i byle tylko umiano chodzić około niego umiejętnie, uczciwie a wytrwale, to sprawa krajowa zyskałaby nowe tysiące czynnych obywateli.

Stojący pod względem umysłowym i moralnym, bez zaprzeczenia wyżej od włościan reszty zaborów polskich, zachował lud wielkopolski pod panowaniem Prus wszystkie cnoty i zalety, nad któremi zwykli unosić się poeci. Dzięki gorliwej pracy wykształconego duchowieństwa, jest on na wskróś religijny a ta religia jest dlań tą miarą, którą mierzy wszystkie stosunki społeczne i polityczne, o ile one go dotykają i o ile je ocenić jest zdolen w zakresie swych pojęć. Rzecz dziwna, że nawet prąd germanizacyjny z wszystkiemi swemi naleciałościami nie skaził i nie zepsuł jego pierwotnej słowiańskiej natury. Prostota, naturalność, ufność i wiara w tych, których uważa za swych naturalnych opiekunów i przywódców — to nieocenione skarby, z których wiele uronił lud innych części dawnej Polski. Szczery i otwarty, nie ma wieśniak wielkopolski w charakterze tej skrytości, jaka cechuje mazura; nie tak skory do czynu, przewyższa krakowskiego chłopa wytrwałością i umiarkowaniem w zapale, który prędko gaśnie, jeżeli nie sięga do dna i nie jest oparty na podwa-

linie głębokiego przekonania. Wesoły z natury, chędogi w ubiorze, którego swojskości przestrzega pilnie, poważny w chodzie, z rozlaną na pięknem obliczu pogodą umysłu, przedstawia wieśniak wielkopolski prawdziwy typ tych Polan, którzy w Kruświcy obrali królem Piasta kołodzieja. Jedną z bardzo cennych zalet jest jego zapatrywanie na ustrój społeczno-polityczny. Piszący te słowa doznawał w podróżach swych po Wielkopolsce prawdziwej rozkoszy w rozmowach z ludem. Nie pojmuje on państwa inaczej, jak tylko w uosobieniu go w władzy naczelnej. Państwo bez silnej władzy, skoncentrowanej w osobie króla, jest dla chłopa wielkopolskiego niepochwytną ideą. Ten prawdziwy konserwatyzm zawstydzić może niejednego polskiego wolnodumcę politycznego, dla którego republikanizm zachodni jest ulubionym ideałem. Te dodatnie strony zawdzięcza lud nasz niezmordowanej pracy duchowieństwa, które dawniej było wyłącznym niemal jego nauczycielem nietylko w kościele ale i w szkole i na innych także polach wychowania narodowego. Polityczne pisma ludowe, znakomicie redagowane, jak dawniejszy *Wiarus* i *Przyjaciel ludu*, a dziś *Wielkopolanin* świadczą chlubnie o szlachetnych usiłowaniach kapłanów. Dwór szlachecki w znacznej swej większości nie wpływał na rozbudzenie życia moralno-umysłowego ludu, a tu i owdzie szkodliwie nawet oddziaływał swem usuwaniem się, przebywaniem za granicą i nieposzanowaniem mowy ojczystej a czasami złymi obyczajami. Służba dworska, wychowana w atmosferze przesiąkniętej nawyknieniami zagranicznemi, roznosiła zgorszenie po chatach wieśniaczych. Dzięki pocieszającemu przewrotowi w pojęciach, smutne te czasy minęły, wspólna niedola obudziła śpiących, dziś wszystkie myślące warstwy współubiegają się z sobą około dobra powszechnego. Co tu piszemy o ludzie wielkopolskim, odnosi się głównie do właścicieli większych gospodarstw wiejskich. Właściciele drobnych zagród i komornicy nie wchodzą w rachubę. Klasę tę liczną trapi ustawicznie brak oświaty, a ubóstwo niszcząc w niej przywiązanie do ziemi ojczystej, zniewala ją do szukania szczęścia za morzem.

Uwłaszczenie ludu byłoby niezawodnie lepsze wydało owoce, gdyby w samym początku umiano należycie ocenić jego doniosłość. Renty wzięte przez właścicieli wielkich posiadłości po większej czę-

ści zmarniały, własność też nadana chłopom znacznie uroniona. Jeżeli ta ziemia, którą posiada lud wiejski, ma nadal pozostać w jego ręku, należy koniecznie zaprowadzić nowe reformy i zabezpieczyć je pisanemi ustawami. O tej częściowej reformie pomyślało już polskie centralne Towarzystwo rolnicze, ale że jego przedstawiciele i wykonawcy nie wzięli się do rzeczy tak jak należało, pomysł ten dobry nietylko nie odniósł skutku, ale narobił nawet niepotrzebnej wrzawy i wydobył na jaw dużo kwasów. Powzięte na odbytem w marcu b. r. walnem zebraniu Towarzystwa rolniczego rezolucye zapewnić chciały lepsze warunki bytu dla zagrożonych gospodarstw wiejskich. Dobre te intencye źle zostały zrozumiane. Gospodarze sądzili, że inicyatorowie chcą ich ograniczyć w rozporządzaniu własnością przez t. zw. majoraty chłopskie, tymczasem chodziło tu tylko o to, ażeby jeżeli gospodarz wiejski umrze bez testamentu, jedno z dzieci objęło posiadłości po niewygórowanej taksie, z oszczędzeniem wielkich kosztów, jakie się teraz płaci sądowi i taksatorowi; sukcesye byłyby w tym razie mniejsze, ale za to większa pewność, że rodzina utrzyma się przy gospodarstwie. Niepotrzebne to zamącanie zgody pomiędzy większymi właścicielami a gospodarzami wiejskimi uspokoiło się wreszcie.

Sprawa ta reformy dla mniejszych gospodarstw spoczywa obecnie w prowincyonalnym sejmie W. Księstwa Poznańskiego, który też jedynie może ją na dalsze popchnąć tory. Władze rządowe sporządziły już tabelę, wykazującą ruch i stan gospodarstw sprzężajnych i niesprzężajnych w poszczególnych powiatach W. Ks. Poznańskiego i to w tym celu, ażeby służyła członkom sejmu prowincyonalnego za podstawę do obrad nad kwestyą zmiany prawa spadkowego. W tabeli tej uderza to, że obszar gruntu, posiadanego przez gospodarzy wiejskich, nietylko się nie zmniejszył w ostatnich 24 latach, ale się nawet zwiększył. Objaw ten nasuwa pytanie, czy czasem do gospodarstw wiejskich nie zaliczono większych gruntów, które w życiu powszedniem nie są uważane za gospodarstwa wiejskie. Wspomniona tabela, w każdym razie wiele pouczająca, przedstawia się, jak następuje:

Gospodarstwa sprzężajne.

A) Obwód rejencyi poznańskiej.

Powiaty	Ilość gospodarstw		Ilość morgów	
	1859 r.	1880 r.	1859 r.	1880 r.
1) międzychodzki ...	1.439	1.234	146.093	140.826
2) międzyrzecki	2.071	2.059	198.950	204.561
3) babimojski	2.624	2.651	150.196	156.579
4) wichowski	2.142	2.080	145.573	134.659
5) krobski	2.406	2.272	101.397	108.634
6) krotoszyński	2.520	1.923	105.423	89.714
7) obornicki.....	1.440	1.149	141.015	142.584
8) szamotulski.....	1.352	1.131	89.358	82.101
9) bukowski.....	1.925	1.447	136.525	142.604
10) poznański	2.570	2.020	138.900	137.184
11) kościański.....	2.064	1.479	119.776	104.345
12) śremski	1.865	1.444	118.371	112.986
13) średzki.....	1.158	850	71.490	63.503
14) wrzesiński.....	2.195	1.671	108.165	109.770
15) pleszewski.	2.395	1.296	86.774	64.167
16) odolanowski	2.033	1.659	92.965	79.060
17) ostrzeszowski	2.316	1.191	117.566	71.035
Razem w 17 powiatach obwodu poznańskiego	34.515	27.556	2,068.537	1,944.312

B) Obwód rejencyi bydgoskiej.

Powiaty	Ilość gospodarstw		Ilość morgów	
	1859 r.	1880 r.	1859 r.	1880 r.
1) bydgoski	1.227	1.292	160.579	167.479
2) wyrzyski	1.724	1.456	151.454	157.918
3) chodzieski.....	1.243	1.057	137.709	138.347
4) czarnkowski	2.044	1.919	228.607	253.050
5) inowrocławski....	1.579	1.160	132.878	115.903
6) szubiński..... ..	1.114	1.196	106.002	116.675
7) mogilnicki.....	1.254	1.130	132.579	141.100
8) wągrowiecki	1.489	1.324	140.862	137.158
9) gnieźnieński... .	1.680	1.299	132.166	121.050
Razem w 9 powiatach..	13.354	11.833	1,322.836	1,348.680

Zestawienie.

Razem w obwodach rejencyi poznańskiej i bydgoskiej gospodarstw sprzężajnych	47.869	39.389	3,391.373	3,292.992

Tabel: gospodarstw niesprzężajnych nie podajemy, by uniknąć zbyt obszernych szczegółów, nadmieniamy tylko, że gospodarstwom tym zagraża większe niebezpieczeństwo rozdrobnienia, a z niem i upadek zupełny, jeżeli nie zostanie zaprowadzoną reforma w prawie spadkowem. Gospodarstw tych było w 1880 r. wedle tabeli urzędowej 44.470, a obejmowały w tymże roku 422.642 morgów. W końcu robimy jeszcze tę uwagę, że w podanej tabeli mieszczą się gospodarstwa należące do Niemców i Polaków; osobnego wyszczególnienia polskich gospodarstw nie posiadamy. W powiatach czysto polskich, jak bukowski, kościański, śremski, średzki, wrzesiński, pleszewski, przeważają naturalnie posiadłości w ręku gospodarzy polskich.

Wieśniak wielkopolski twardy, jak się wyżej rzekło, konserwatysta z temperamentu, pozostał też całkiem obcym kulturze niemieckiej i jej naleciałościom. Nie przyczepiły się doń ani ujemne, ani dodatnie strony ludu niemieckiego, który w czysto polskich okolicach stanowi zupełnie odrębne oazy wśród odwiecznych siedzib polskich. To też włościanin nasz nie zna języka przybyszów niemieckich, a jeżeli służąc w wojsku, nauczył się kilku wyrazów i zwrotów niemieckich i to odnoszących się do musztry i komendy, to powróciwszy do chaty rodzinnej, zapomina ich zupełnie. Pomiędzy wieśniakiem polskim a niemieckim rozciąga się przepaść, nie łączą ich z sobą ani znajomość sąsiedzka, ani jakiekolwiek związki powinowactwa.

Pocieszającym wielce objawem, zasługującym na baczną uwagę innych dzielnic polskich, jest rozwój naszego wielkopolskiego przemysłu i kupiectwa. Pogląd nasz na tę gałęź gospodarstwa narodowego zaczynamy od słów, jakie był wyrzekł nie dawno temu jeden z przemysłowców, przybywszy z prowincyi do grodu Przemysława. Była to sobota, kiedy ów gość, przeszedłszy przez kilka ulic miasta, zawołał: „Co się to porobiło z tego Poznania. Znam go od lat dziecięcych, terminowałem tu, ucząc się siodlarstwa. W sobotę rzadko który handel był otwarty, a w większej ilości towarów i za drogie pieniądze nie byłbyś dostał, bo handle były w ręku żydów. Dziś widzę, że od najdroższych aksamitów, do tasiemki i sznurka, od najcenniejszych wyrobów żelaznych do szydła, wszystkiego nabyć można, a na każdej ulicy i placu znajdziesz polskiego kupca lub

przemysłowca. Biada było dawniej szewcowi, krawcowi, siodlarzowi i t. d., którzy się w piątek, przed rozpoczęciem szabasu nie zaopatrzyli w wszelkie przybory i artykuły potrzebne do rzemiosła. Taki nieprzezorny rzemieślnik, jeżeli sobie tego, czego potrzebował od „brata cechowego“ nie pożyczył, przemarnował bezczynnie sobotę! Dziś widzę, że bez żydów się obędzie, a to dopiero lat 40 — daj Boże, abyśmy rok rocznie postępowali na tej drodze przemysłu!“. Pomyślna ta zmiana stała się za inicyatywą, pracą i staraniem takich mężów, jak p. Marcinkowski, Hulżyński, Potworowski i inni.

Przechodząc do poszczególnych gałęzi, przemysł księgarski przez dość długi czas reprezentowany wyłącznie prawie przez znaną zaszczytnie firmę J. K. Żupańskiego, przedstawia się dziś imponująco. „Księgarnia katolicka“ przy Wodnej ulicy nr. 25, pani Błażek przy Jezuickiej nr. 12, księgarnia Cybulskiego przy ulicy Wilhelmowskiej (w polskim hotelu Francuskim), Kamińskiego w Bazarze, Jarosława Leitgebra przy ulicy Wilhelmowskiej, Piotrowskiego (w hotelu Du Nord), i Chociszewskiego za Bramką nr. 5; te wszystkie księgarnie odpowiadają, każda w swoim zakresie jak najzupełniej potrzebom naszego społeczeństwa. Nadmienić przy tej sposobności należy, że i drukarstwo polskie, łączące się tak ściśle z przemysłem księgarskim, zrobiło w Poznaniu olbrzymi postęp. Dość wspomnieć o sowicie zaopatrzonych w dzieła nakładowe drukarniach J. Leitgebra, J. I. Kraszewskiego, W. Simona, Chocieszyńskiego i powstałą w roku zeszłym drukarnię *Kuryera Poznańskiego*, ażeby mieć wyobrażenie o tym nadspodziewanym rozwoju drukarstwa poznańskiego.

Malarstwo pokojowe, kościelne i obraźnictwo rozwinęło się znacznie w ostatnich latach. W obrazy i figury świętych obfituje fabryka i skład J. Szpetkowskiego (przy Berlińskiej ulicy nr. 2). ŚŚ. Cyryl i Metody, herby narodowe i t. p. wyroby z trwałej masy pozłacane i posrebrzane tej firmy nie pozostawiają wiele do życzenia. Handel Nowickiego, Jezuicka ulica, nr. 22, Trzcińskiego, Wodna ulica, nr. 22, dostarczają pięknych obrazów w ozdobnych ramach. Gałęź ta znacznie dziś rozwinięta; szkoda tylko, że lud nasz jeszcze mało zagląda do tego rodzaju składów, zanosząc pieniądze do żydów kupczących obrazami Świętych Pańskich. Pan A. Krzyżanowski, nestor naszego poznańskiego obywatelstwa, ma w fabryce swej i składzie przy Piaskowej ulicy nadzwyczaj udatne wyroby

z różnego kruszcu; posągi, figury świętych, krzyże, nagrobki, biusty królów polskich i zasłużonych w kraju obywateli, jak n. p. Mickiewicza, Lelewela, T. Działyńskiego, Karola Marcinkowskiego, ks. Fr. Malinowskiego, Cegielskiego i innych. Zakład rytowniczy Bielowa (Wrocławska ulica 19), wyrabia rzeczy bardzo cenne; prócz czysto fachowych, produkuje piękne figury z gipsu.

Z dziedziny duchowej przejdźmy na pole prozy. Rozwój cukiernictwa zadowalnia może i jak największe wymagania. Cukiernie Antoniego Pfitznera, Sobeskiego, p. Moszczeńskiej, Żuromskiego, Skowrońskiego i Adamskiego stoją na stopniu europejskiego na tem polu przemysłu, i wystarczają aż nadto potrzebom polskiej ludności Poznania.

Nawet i dla wykwintniejszych smakoszów przedstawia rozwój sztuki kulinarnej może za nadto ponętny widok. Restauracya Kurnatowskiego, mieszcząca się w lokalu, należącym do polskiej spółki teatralnej, słynie po za granicami dzielnicy wielkopolskiej. Po zwinięciu restauracyi żydowskiej Kaatza, do której niebacznie tyle polskiego wpłynęło grosza, dzierży Kurnatowski berło, które napróżno niemieckie zakłady wydrzeć mu usiłują. Owszem, jego polska kuchnia i komfort ściąga nawet niemało lubowników smacznego stołu z obozu niemiecko-żydowskiego. Delikatesami różnego rodzaju odznacza się od dawna handel Cichowicza; w nowszym czasie powstały handle: B. Glabisza, w części też handel B. Leitgebra, słynny na całą Wielkopolskę i po za jej granicami, i skład korzenny tejże firmy na Wielkich Garbarach. Specyalny skład herbaty ma Piotrowski, a firmy: Cichowicza, W. Beckera, Skowrońskiego, Affeltowicza na Chwaliszewie, Jabczyńskiego, Smolińskiego zalecają się także doborowymi gatunkami herbat. Składy wyrobu mięsa nieznane dawniej wcale w Poznaniu, współubiegają się o palmę zwycięstwa z handlami niemieckimi. Doborowymi tego rodzaju towarami celują kramy: Jackowskiego, Piotrowskiego, Teskiego, Kraszewskiego; Beyer, Karaśkiewicz i Paluszkiewicz, znani powszechnie ze smacznych wyrobów, jako to: z kiełbas, salcesonów i szynek. Poznański przemysł na tem polu dzierży niewątpliwie prym; rzeźnicy niemieccy nie dorównują polskim.

Na polu kotlarstwa panuje samowładnie fabryka Krysiewicza,

po nim Seporowski i Offierski, skrzętny przemysłowiec i doskonały robotnik około zakładania rur gazowych i wodociągowych.

Szewstwo i krawiectwo przewyższa o wiele tego rodzaju przemysł niemiecki. Krawcy: Felerowicz, Biliński, bracia Witkowscy zadowolnić mogą i dandych paryskich, a mniejsi krawcy, których jest cały legion, mogą bezpiecznie konkurować z właścicielami niemieckich i żydowskich tandet i garderob. Bardzo poważnie przedstawia się szewstwo poznańskie; niektórzy przedstawiciele na tem polu kunsztu zasłynęli na wystawach zagranicznych; Andrzejewski, Skoraczewski, Bińkowski, Przychodzki zadowolnić mogą i najwybredniejszych elegantów. Warstwa ta społeczeństwa z wszystkich rzemiosł najliczniejsza zebrana w cechy reformujące się odpowiednio do ustaw państwowych, krząta się starannie, by dorównać w tej gałęzi postępowi zagranicznemu.

Poznańskie składy żelaza przewyższają o wiele tego rodzaju przemysł niemiecki; nie może on nawet współubiegać się ze znanemi firmami Oberfelda i Spółki i T. Krzyżanowskiego.

Handel rybami morskiemi, wędzonemi i marynowanemi jest prawie wyłącznie w ręku polskiem a szeroko i daleko znanemi są firmy Szulca i Lisiewskiego. Ryb z wód wielkopolskich dostarczają całej ludności poznańskiej Tunewscy, rybacy z dziada i pradziada, jeden na Rybakach, drugi na św. Wojciechu.

Poznański przemysł tabaczny poczynił w dwóch ostatnich lat dziesiątkach wielkie postępy; dość wspomnieć pierwszą firmę polską Serafina Rychlińskiego, znaną nawet po za granicami Wielkopolski fabrykę tytoniu i papierosów (p. Kulwicz jest liwerantem nadwornym książąt zagranicznych), dalej starczy wymienić 12 innych, dobre interesa robiących składów polskich, aby powziąć wyobrażenie o tego rodzaju przemyśle, spoczywającym przed laty 30 prawie wyłącznie w ręku Niemców i Żydów.

O wielkich fabrykach żelaza i machin rolniczych: Cegielskiego, Urbanowskiego i Spółki nie piszemy, boć znane są one całemu krajowi. O Spółkach pożyczkowych, których jest w Wielkopolsce 52 i dalszych na polu finansowo-ekonomicznem usiłowaniach, wypadnie nam w późniejszych korespondencyach obszerniej pomówić. Nadmieniamy w końcu, że w ostatnich czasach wytworzyło się nowe u nas źródło uczciwego przedsiębiorstwa. Powstałe w Po-

znaniu biura informacyjne i komisowe pośredniczą między chlebodawcami a szukającymi pracy. Pomijając inne, zwracamy uwagę na ajencyą pani Fontowicz, trudniącą się przeważnie umieszczaniem bon, guwernantek krajowych i zagranicznych i nauczycieli domowych. Pierwsza ta ajencya poznańska cieszy się ogólnem uznaniem. Właścicielka jej, dama wykształcona, mówiąca kilku językami zagranicznymi, rozległą prowadzi korespondencyę, odpowiadając sumiennie położonemu w niej zaufaniu.

Jeżeli słusznie powiedziano, że zaniedbanie handlu i przemysłu u nas, było jedną z przyczyn, tamujących wytworzenie się zamożnego i inteligentnego stanu średniego, mogącego odwrócić wielkie nieszczęście od kraju, to patrząc na to wytrwałe krzątanie się około dobrobytu narodowego, czuje się pociechę i nadzieję lepszej przyszłości. Wielkopolska nie ustępuje na polu przemysłu i handlu Warszawie a służyć może za przykład i wzór do naśladowania dla innych dzielnic.

V. R.

Ze Sztokholmu.

Materyalna pomyślność. — Dobroczynność. — Sympatye do katolicyzmu. — Stosunki religijne. — Ustawa konfesyjna 1873 r. — Szkoły.

Nie spodziewajcie się od nas niezwykłych wiadomości o przewrotach politycznych lub walkach religijnych, albo o zamachach nihilistów na życie książąt. U nas tu cisza, spokój i miła zgoda, ale za to ruch wielki i praca nad utrzymaniem i pomnożeniem dobrobytu materyalnego i ekonomicznego rozwoju. Politycznie, bez wielkiego wpływu i znaczenia na przebieg wielkich wypadków w Europie, jest Szwecya najszczęśliwszym krajem tak, iż wy tam na kontynencie pojęcia o tem nie macie. Dosyć powiedzieć, że Szwecya jest jedynem państwem, które długu publicznego nie ma, armii stałej znacznej nie utrzymuje[1], i od lat kilkudziesięciu zażywa po-

[1] Stałej armii 40.000, milicyi 90.000. W zasadzie służba wojskowa jest obowiązującą dla wszystkich od 20—25 roku na przeciąg 3, 6, 12 lat, bez możności wykupienia się lub dania zastępstwa, w praktyce jednak ma się inaczej, rekrutuje się tyle żołnierza, ile gwałtem potrzeba do obsadzenia fortów. Milicya.

koju trwałego, niezamąconego agitacyą socyalistyczną, albo rewolucyjnymi ruchami. Dodajmy do tego wolność obywatelską, religijną, industryalno-ekonomiczną, którą zabezpiecza konstytucya państwowa [1],

---

podobna do polskiego żołnierza łanowego, wystawiona i utrzymywana jest kosztem gminy i datuje swój początek jeszcze od Karola IX. Marynarka wojenna Szwecyi liczyła przed kilku laty okrętów pancernych 14, parostatków 28, statków żaglowych 10, łodzi kanonierskich, bateryj i t. d. 87, budżet marynarki 28 milionów franków. Cyfra ta ostatnimi laty podniosła się o kilka milionów, w skutek zaprowadzenia ulepszeń częściowych i torpedów. Główna szkoła wojskowa i szkoła marynarki znajduje się w Sztokholmie.

[1] Szwecya od r. 1540 była w zasadzie monarchią arystokratyczno-konstytucyjną i rządziła się statutem, spisanym na podstawie dawnych praw i zwyczajów r. 1442, zwanym *Landslag*. Wszelako królowie, jak Gustaw Waza, Gustaw Adolf, Karol XII. nie wiele się troszczyli o *Landslag* i rządzili prawie samowładnie. Po śmierci Karola XII. władza królewska upadła prawie zupełnie, rządy spoczywały w rękach szlachty i duchowieństwa, a właściwie kilku oligarchów. Dopiero Gustaw III. na sejmie 1772 przywrócił prawa korony, a na sejmie 1790 r. zmusił szlachtę do przyjęcia t. z. aktu jedności i bezpieczeństwa, który królowi oddawał prawo wydawania wojny i zawierania pokoju. Obrażona tem szlachta poprzysięgła królowi zgubę. Gustaw III. zginął od kuli herszta spiskowców hr. Horna 1792 r. Niedołężny Gustaw IV. zraził sobie wszystkich; sejm 1809 r. zmusił go do abdykacyi i wywołał z kraju. Tenże sejm wraz z nowym królem Karolem XIII. ułożył nową konstytucyę parlamentarną, która z pewnemi zmianami istnieje po dziś dzień. Król rządzi, mając przy swym boku radę złożoną z 7 ministrów aktualnych a 3 ministrów bez teki. Wszystkie sprawy administracyjne należą do króla i jego rady. Minister referent przedkłada sprawę, król decyduje. Jeżeli jego decyzya przeciwną jest prawu, minister referent odmawia swej sygnatury, podaje się do dymisyi, a sprawę odsyła się do sejmu. Roczna pensya króla 2,690.000 franków.

Sejm szwedzki składał się do r. 1866 z reprezentacyi czterech stanów: szlachty, kleru, mieszczan i ludu. R. 1866 przeistoczono skład sejmu na *Riksdag* dwuizbowy, quasi senatorów deputowanych. Członków pierwszej Izby wybierają rady prowincyonalne i rady miast większych na lat 9, jednego na 30.000 ludności; kandydat musi mieć 30 lat życia skończonych, posiadać majątek ziemski wartości 80.000 tal. szwedz., czyli 112.000 franków, z rocznym dochodem 4.000 tal. szwedz., czyli 5.600 franków. Jest to więc Izba plutokracyi, tak dalece, że gdy w ciągu lat 9 członek pierwszej Izby straci majątek niżej wymaganego *census*, to złożyć musi swój mandat. Członkowie tej Izby nie otrzymują żadnych dyet, przeciętna ich cyfra jest 140. Izba niższa reprezentuje przeważnie interesa ludności wiejskiej i małomiejskiej. Liczy przeciętnie 200 członków. Kandydat powinien posiadać majątek ziemski 1.000 talarów, albo dzierżawę 6.000 talarów, albo inny stały dochód, przynajmniej 800 talarów rocznie. Wybory dokonywują się co trzy lata okręgami sądowymi, jeden deputowany na 40.000 ludności wiejskiej a 10.000 ludności miejskiej. Na ciąg kadencyi sejmowej, która trwa 4 miesiące, każdy deputowany otrzymuje stałą pensyę 1.200 talar., czyli 1.680 fr. Prezydentów i wiceprezydentów mianuje król. Wol-

dodajmy jeszcze ojcowską życzliwość i troskliwość, która cechuje stosunek korony do kraju, a zrozumiemy, że wszystkie siły żywotne skierowane do wewnętrznej, organicznej pracy, wyrobić musiały w wysokim stopniu nietylko materyalny dobrobyt, ale i umysłowy rozwój. Sieć kolei w najrozmaitszych kierunkach, przedstawiająca kapitał 236 milionów franków, przerzyna ląd stały, setki parostatków prują fale morskie, komunikacya łatwa i tania, ludność pracowita i przemyślna, a tak uczciwa i słowna, że na słudze swoim polegać możesz jak na Zawiszy, a i tej służby jest bardzo niewiele, gdyż pani domu przyjmuje na siebie wielką część obowiązków gospodyni, panny pokojowej i kucharki. Wadą niższych warstw ludności do niedawnego czasu było upajanie się wódką. Ale głos kaznodziejów różnych sekt, mianowicie loży „świątników bożych", a bardziej jeszcze ustawa państwowa, ograniczająca bardzo sprzedaż i wyszynk wódczany po wsiach, a zabraniająca takowego zupełnie po dworcach kolejowych i miastach, położyła tamę złemu. Bogatsi i bogacze żyją pojedyńczo i skromnie; kamerdynerów i w ogóle służbę męzką napotkasz tylko w bardzo zamożnych domach, wszyscy obchodzą się wygodnie służbą żeńską.

W zamkach i muzeach szwedzkich nagromadzone są bogactwa nauki i sztuki z całej środkowej Europy, z Polski zwłaszcza, z którą Szwecya Gustawów i Karolów, przez lat 60 zwycięzko i — powiedzmy to — łupiezko wojowała. Dzisiejsi właściciele tych nabytków umieją je ocenić i przechowują starannie. Co więcej, uczeni archeologowie, wspierani hojnie przez rząd, wyszukują resztki sztuki średniowiecznej katolickiej i piętnują dosadnie ten antykatolicki fanatyzm,

---

ność prasy proklamowana. Tolerancya religijna zabezpieczona wszystkim wyznaniom. Wnet jednak spostrzeżono się, jakie ztąd grozi niebezpieczeństwo urzędowemu kościołowi i ustawą konfesyjną 1843 położono niejaką tamę propagandzie, zwłaszcza katolickiej. Zresztą gminy wiejskie — jest ich 2.354 — i gminy miejskie — jest ich 95 — rządzą się autonomicznie z wyjątkiem Sztokholmu, gdzie rządowy gubernator jest zarazem burmistrzem; wszystkie miasta i wsie mają swoją radę municypalną, swoich prezesów i wójtów. Rady jeneralne pojedyńczych prowincyj, których jest 24 — rodzaj prowincyonalnych sejmów z wybieralnych posłów złożonych, pod prezydencyą królewskiego komisarza — zbierają się na kilka dni co roku i omawiają sprawy krajowe. Cztery większe miasta, (t. j. po nad 35.000 ludności), nie wysyłają swych posłów do rad generalnych, ale rządzą się swym własnym magistratem.

z jakim reformatorowie XVI. wieku wszystko co katolickie, najpiękniejsze nawet dzieła architektury, rzeźby i malarstwa bez litości psuli i niszczyli. Ten sam duch wskrzeszenia dawnych pamiątek natchnął szwedzko-protestancką ludność do postawienia wspaniałego krzyża kamiennego w Birce, jako miejscowości, gdzie przed 1.000 laty św. Ansgary Benedyktyn i legat Grzegorza IV. wiarę katolicką Szwedom pierwszy raz opowiadać począł. Krzyż ten, pomnik tysiącletniego jubileuszu katolickiej Szwecyi, postawiony przez protestancką Szwecyę, jest dobrą wróżbą powrotu do tej starej „pierwotnej wiary", do której serce ludzkie, pomimo przymieszek polityki lub namiętności zawsze lgnie najsilniej.

W błogiej tej nadziei utwierdza nas ta okoliczność, że szwedzko-protestancka ludność czuje niewypowiedziany pociąg do tego co nazywamy: miłosierdziem chrześcijańskiem, jest ono formalnie potrzebą jej serca. Publiczne instytucye i ludzie prywatni współubiegają się w tej dobroczynności dla ubogich, chorych, kalek, wstydzących się żebrać, i dla wszelkiej nędzy; jałmużny i zapisy, składki i bazary na cele dobroczynne są tu zwyczajem, i to bez różnicy wyznań. Kiedy przed dwoma laty katolickie Siostry Elżbietanki, niedawno przybyłe ze Szląska, znalazły się w pieniężnych kłopotach, to dwadzieścia kilka najznaczniejszych dam szwedzkich, między niemi hrabina Platen i baronowa Fulsterschmid, żona posła austryackiego, urządziły na ich korzyść wentę, która przyniosła 20.000 tal. szwed., czyli przeszło 13.000 złr. dochodu.

Charakterystyczną jest rzeczą, że ten masoński nieco humanitaryzm szwedzki bierze sobie modele i wzory od katolików. Na kongresie czy synodzie szwedzko-luterskich biskupów i księży w Sztokholmie, we wrześniu 1884, omawiano bardzo szeroko kwestyę chrześcijańskiego miłosierdzia w szwedzko-luterskim kościele [3]. Nadworny kaznodzieja Brüch wyznał jawnie, „że nasz (t. j. urzędowy) kościół w tym, jak i w wielu innych wypadkach upokorzyć się musi i przyznać, że daleko niżej stoi od katolickiego kościoła, w którym dzieło mi-

[3] Hierarchia kościoła szwedzkiego składa się z arcybiskupa w Upsali i jedenastu biskupów. Obok nich i niezależny od nich konsystorz wielki w Sztokholmie. Dyecezye dzielą się na dekanaty, te na pastoraty i parafie; liczba parafij koło 2.500. Synodom prezyduje arcybiskup, ale obok 30 duchownych, zasiada w nich 30 świeckich dygnitarzy.

łosierdzia pielęgnowane troskliwie i z wielką ofiarnością". Wskazał przytem na poświęcenie się katolickich „Szarych Sióstr" czyli Elżbietanek, mających swój dom macierzysty w Nisie na pruskim Szląsku a kolonie swoje w Sztokholmie i w Malmö; kładł nacisk na to, że katolickie pańskie i szlacheckie nawet rodziny za zaszczyt to sobie poczytują, gdy kto z ich grona poświęci się instytucyom lub zakonom miłosiernym, i konkludował, że podobne kongregacye miłosierne w „naszym także kościele" urzędowym szwedzkim koniecznie powstać powinny. (Dagens Nyheter nr. 5.988). Dotąd jednak życzenia te nie zostały zrealizowane.

Ciekawe ze wszechmiar i wielce pouczające są stosunki religijne w Szwecyi — o Norwegii tu nie mówimy. Szwedzko-luterski kościół, mięszanina liturgii katolickiej i protestanckich dogmatów, jak w ogóle wszystkie kościoły protestanckiego wyznania, bezduszny i strupieszały i głównie powagą rządu podtrzymany, nie wystarcza potrzebom serca ani wymaganiom rozumu. Z drugiej zaś strony liberalna konstytucya otwiera wrota na oścież wszystkim sektom i wyznaniom, ba, nawet i katolikom, którzy w innych liberalnych państwach zwykle na prześladowanie są wystawieni. Dosyć pójść do burmistrza miasta i oświadczyć, że się chce mieć oracyę do ludu, i wnet improwizowany kaznodzieja zbierze koło siebie ciekawe tłumy, rozwija przed nimi najdziwaczniejsze nieraz teorye i poglądy religijne, i byle tylko wymownie perorował, znajdzie niechybnie zwolenników dla swej doktryny, czy sekty, bo tłumom tym brak przekonań i zasad religijnych; tych im urzędowy kościół nie da, bo sam nie posiada. Według urzędowego spisu ludności z r. 1883 Szwecya liczy na obszarze 8.025 mil kwadr. 4,603.598 mieszkańców, z tych — według spisu z r. 1880 21.234 różnowierców, t. j. nienależących do urzędowego kościoła, cyfra ta jednak w ostatnich kilku latach podniosła się znacznie. Różnowiercy ci żyją pojedyńczo albo gminami. Wyznaniowe gminy, uznane przez państwo, mają prawo prowadzenia ksiąg metrycznych chrztów, ślubów i śmierci, podczas gdy nie uznane przez państwo gminy pozbawione są tego prawa. Wyjątek stanowi 35 gmin metodystów, które nie będąc uznane prawnie, mogą jednak ślubne związki zawierać przed swymi duchownymi. Legalnie uznane gminy są te: 1. gmina Baptystów, (sekta, która udziela chrztu św. tylko dorosłym) w Waomhus (Wonhüs), licząca r. 1880 członków

288. 2. Francuska reformowana gmina w Sztokholmie; osób 27. 3. Dwie anglikańskie gminy: w Götenbergu 113 osób, i w Sztokholmie 35 osób. 4. Oryentalno-prawosławna gmina w Sztokholmie, 15 osób. 5. Żydowskich gmin pięć. 6. Trzy gminy katolickie: w Sztokholmie, Götenbergu i Malmö. Istnieje jeszcze czwarta gmina w Gefle, ale dotąd nie uznana prawnie. Liczba wszystkich katolików dochodzi do 1.000, pod duchownym zarządem apostolskiego wikaryusza i dziesięciu księży, częścią świeckich, częścią zakonnych.

Oprócz tu wymienionych znajduje się jeszcze pewna ilość kaplic i domów a raczej izb modlitwy: Metodystów, Baptystów Czytelników, Irwingianów i t. d. a nawet sekta Mormonów miała 1880 roku 414 wyznawców, z tych 200 mężczyzn 214 kobiet.

Katolicki Kościół używa tu wolności o ile ta da się połączyć z luterskim kościołem państwowym. Już Gustaw III. pozwolił na mocy konstytucyi 1772 roku na pobyt apostolskiego wikaryusza w Szwecyi, katolikom jednak wstęp do urzędów i spraw publicznych nie był prawnie dozwolony.

Pomyślniejsza ich dola rozpoczyna się z przybyciem na dwór sztokholmski Józefiny księżnej Lichtemberskiej, żony Oskara I. Bernadottego; konstytucya liberalna z roku 1865 otwarła im wstęp do reprezentacyi narodowej do urzędów i stopni wojskowych, wprawdzie z pewnem ograniczeniem, tak np. w armii nie wolno im posunąć się wyżej nad stopień majora, ale od tych ograniczeń prawnych robią się wyjątki, byle tylko katolik ów posiadał inne potrzebne warunki i kwalifikacye. Wolno także katolikom posiadać i nabywać majątki, otwierać sklepy, prowadzić handel, słowem w społecznem i ekonomicznem życiu wolność zupełna — w publicznem ograniczona, ale zawsze znaczna dosyć. Pod względem wyznawania swej wiary nie doznają katolicy żadnych przykrości, aczkolwiek prawnie, są cierpiani tylko. Na samym dworze królewskim, przebywał w charakterze kapelana królowej, zacny uczony i wymowny zakonnik ks. Maureau aż do śmierci dobrej tej pani, 1875 r. a na kazaniach jego napływ protestantów bywał tak wielki, że dla katolików w dosyć obszernym kościele miejsca nie starczało. Przy tymże kościele rezyduje delegat papieski, i pięciu innych księży narodowości niemieckiej. Niepowetowaną szkodą dla katolicyzmu jest brak wymownych misyonarzy w szwedzkim języku, przy tej bowiem swobodzie

słowa i wolności religijnej jaka w Szwecyi panuje, i przy tej martwocie oficyalnego kościoła, zastęp kapłanów każących dzielnie po szwedzku mógłby dokonać licznych nawróceń. Skłonność do katolicyzmu jest tak wyraźną, że na synodzie szwedzko-luterskiego duchowieństwa w Sztokholmie 1879 r., po długich debatach nad wewnętrzną niemocą i rozkładem państwowego kościoła nie znaleziono skuteczniejszego środka przeciw złemu jak powrót do katolickiej wiary; w tym sensie wygotowano obszerny memoryał i przesłano takowy do głównego konsystorza w Sztokholmie. Tam jednak przestraszono się „potwornością“ projektu, odrzucono go i polecono nawet dziennikom najściślejsze o tem milczenie. Sam król Oskar II. mówiący 17 językami, członek wielu akademij i jeden z najuczeńszych monarchów tego wieku, tak życzliwie jest usposobiony dla katolików, że wygnanym 1880 r. z Francyi księżom Barnabitom ofiarował gościnność w swym kraju i wyznaczył kawał ziemi na otwarcie domu i utrzymanie. O sympatyi jaką się cieszą „Szare Siostry“ u protestanckiej ludności wspomnieliśmy wyżej.

Kulturkampf pruski odbił się echem i w Szwecyi. Ustawa państwowa z 1873 r. regulująca ostatecznie stosunki kościelne okroiła znacznie swobodę katolikom konstytucyą 1865 r. nadaną. Oto ważniejsze punkta tej konfesyjnej ustawy obowiązującej po dziś dzień:

1-o Przejście z lutersko-państwowego kościoła na inne wyznanie chrześcijańskie jest dozwolone dopiero po skończonym 18 roku życia. Zamiar ten należy najprzód pisemnie oznajmić swemu państwowemu proboszczowi, a potem po dwóch najmniej miesiącach należy się przed nim stawić osobiście i faktyczne swoje wystąpienie z urzędowego kościoła opowiedzieć. Warunek ten ma widocznie na celu obronę państwowego kościoła przeciw propagandzie sekt i wiar różnych a zwłaszcza katolicyzmu. Osobiste stawienie się apostaty przed swoim duszpasterzem utrudnia nie pomału wolność przejścia na inne wyznanie.

2. Przed każdem zawarciem ślubów małżeńskich ogłoszona być ma potrójna zapowiedź w lutersko-państwowym kościele tej parafii do której panna młoda należy, nawet gdyby żadna z stron zawierających ślubny związek nie należała do wyznania lutersko-państwowego. Po ogłoszeniu zapowiedzi i skonstatowaniu, iż żadna

przeszkoda nie zachodzi, może ksiądz katolicki pobłogosławić ślub, jeżeli jedna ze stron jest katolicką.

3. Śluby cywilne nie są dozwolone, jeżeli oboja strona, pan i panna młoda do kościoła urzędowego należą. Tylko w małżeństwach mieszanych ślub cywilny jest dozwolony.

4. Dzieci z mieszanego małżeństwa mogą być wychowywane po katolicku, byle co do tego punktu przed ślubem pisemna nastąpiła umowa i takowa księdzu ślub dającemu, albo urzędnikowi państwowemu przedłożoną została. Jeżeli szwedzko-luterskie małżeństwo przechodzi na katolicyzm, to wolno im wychowywać dzieci po katolicku. To samo powiedzieć należy o wdowcu lub wdowie przyjmującym katolickie wyznanie. Jeżeli małżonkowie rozwiedli się prawnie, a jedno z nich przeszło na katolicyzm, to wolno mu wychować po katolicku te dzieci, które ma przy sobie. Wszelako we wszystkich tych wypadkach wyjmują się z pod ogólnej reguły dzieci, które 15 rok życia skończyły; te bowiem czekać mają aż do skończonego 18 roku i wtenczas obiorą sobie same wiarę, jaka im się podoba.

5. Katolikom wolno otwierać szkoły nietylko dla katolickich, ale i dla szwedzko-luterskich dzieci; tych ostatnich jednak nie wolno uczyć religii przed 15 rokiem skończonym. Mogą także katolicy posyłać swe dzieci do publicznych szkół luterskich i tam nie potzebują wcale uczyć się luterskiej religii, ale tylko wtenczas, gdy od swego katolickiego księdza naukę religii pobierają, w przeciwnym bowiem razie słuchać muszą wykładów luterskiego katechety.

6. Od 31 paźdz. 1873 r. począwszy, nie wolno gminom i instytucyom katolickim nabywać własności bez wyraźnego pozwolenia królewskiego. Pozostawiono ich jednak w spokojnem posiadaniu tych majątków, które przed 1873 r. nabyli.

7. Zakładanie męzkich albo żeńskich zakonów i klasztorów w granicach państwa nie jest dozwolone. I ten punkt jest podobno najdotkliwszy dla rozwoju katolicyzmu w Szwecyi.

8. Umarłych mogą katolicy grzebać na publicznych cmentarzach, w Sztoholmie nie dozwolono im mieć osobnego cmentarza.

W wykonaniu tej ustawy rząd odznacza się prawością i pewną życzliwą wyrozumiałością, słowem, Kościół katolicki doznaje ze strony rządu tolerancyi a nawet poważania.

Z tem wszystkiem wpływ i znaczenie kościoła urzędowego jest jeszcze niemałe. Dwa uniwersytety, jeden w Upsali, drugi w Lund, jakkolwiek stanowią osobną niezależną korporacyę, podzieloną zwyczajem średnich wieków na nacye, czyli narodowości — w Upsali jest ich trzynaście, — to jednak stoją zawsze pod supremacyą Kościoła Wice-kanclerzem w Upsali jest zawsze arcybiskup, a w uniwersytecie w Lund miejscowy biskup. Uczniowie podzieleni, jak wspomnieliśmy, na „nacye“, ulegają zwierzchności uniwersyteckiej nietylko w mieście, ale na 60 kilometrów w okolicy. Każda z tych nacyj stanowi małą rzeczpospolitę, ma swój samorząd, swoje i majątki i dochody, których znaczna część obraca się na pomoc bratnią dla uboższych kolegów; swoje sale dla zabaw, biblioteki i czytelnie a nawet swoje letnie mieszkania, czyli wille. Co więcej, każda nacya wystawia świadectwa swoim kompatryotom, a często zaopatruje ich w potrzebne fundusze do kontynuowania nauk. W szkołach średnich i w instytutach wojskowych nauka religii jest obowiązkową, szkoły te są w całem znaczeniu wyznaniowe. Szkoły zaś ludowe wszystkie zostają pod bezpośrednią zwierzchnością kościoła, t. j. konsystorzy biskupich i pastorów, którzy pilnują nauki luterskiego katechizmu, śpiewów kościelnych i „konfirmacyi“, czyli luterskiego bierzmowania.

X.

Z Wiednia.

Ustawa przemysłowa z r. 1859 nie doczekała się, jak wiadomo, ćwierćwiekowego jubileuszu istnienia swego. Wcześniej wyrobiło się przekonanie, że stosunki stworzone liberalnymi jakoby przepisami tej ustawy, nie ułatwiły, lecz utrudniły położenie rzemieślników i drobnych przemysłowców w obec konkurencyi przemysłu fabrycznego. Przypuszczono tedy szturm do przepisów tej ustawy, a znaną nowelą przemysłową z marca 1885 zrobiono pierwszy wyłom, i to wyłom podkopujący całą podstawę ustawy z r. 1859.

O duchu reformy i o szczegółach noweli z r. 1883 rozpisywać się nie potrzebujemy, zajmowały się nimi bowiem dawniejsze listy z Wiednia do „Przeglądu“. Wiadomo, że cała reforma wyszła z kół

konserwatywnych i wcale nie była po myśli liberałom; nie mogli jej jednak przeszkodzić. Za to dziś, gdy zaledwie dwa lata upłynęły od wejścia w życie noweli z r. 1883, odzywają się z ironicznem zapytaniem, gdzieby się okazały zapowiedziane błogie skutki reformy. Mianowicie podczas wyborów ostatnich do Izby poselskiej, z pewnem amatorstwem temat ten traktowano.

Ale zapytania takie są chyba dowodem ignorancyi, albo złej woli; bo czyż doprawdy ci co je stawiają nie potrafią odpowiedzieć sobie sami, że trudno odbudować choćby w dwa a nawet w pięć lat to, co burzono przez blisko ćwierć wieku trwania ustawy przemysłowej, t. z. liberalnej? Tamta, opierając się na zasadzie absolutnej wolności, zburzyła całą dawniejszą organizacyę rzemiosł; reforma obecna przywróciła organizacyę, aby połączyć rozproszone jednostki, wzmocnić je tym sposobem do walki konkurencyjnej z przemysłem fabrycznym i ochronić przeciwko eksploatacyjnej przewadze kapitału. Ale właśnie organizacyę tę, która jest podstawą reformy całej, już z względów technicznych trudno przeprowadzić przez rok jeden, lub choćby dwa lata. Już to wiadomo, że w Austryi w ogóle nikomu się tak bardzo nie spieszy, mianowicie gdy chodzi o wprowadzenie w życie czegoś nowego. A w danym razie nastręczają się trudności niemałe, już z samem rozklasyfikowaniem rzemieślników i przemysłowców na grupy.

Faktem tedy jest, że dotychczas z przyczyn zależnych, po części od władz, mających czuwać nad tą organizacyą, dopiero pewną część stowarzyszeń zdołano w życie wprowadzić. Jakże się więc ma zamanifestować skutek działalności stowarzyszeń, które dotychczas nie istnieją. Zresztą i inne jeszcze są reformy, których skuteczność nie może się okazać w tak krótkim czasie; że tylko wspomnimy o zniesieniu nieograniczonej wolności procederu i zaprowadzeniu egzaminów, dla okazania biegłości w rzemiośle *(Befähigungsnachweis)*. Celem tej reformy było podniesienie poziomu fachowego wykształcenia rzemieślników i przemysłowców i usunięcie fuszerki, która się rozwielmożniła za czasów panowania absolutnej wolności procederu, podkopując tanią konkurencyą byt rzemieślników, pracujących sumiennie i uczciwie. Ale reforma ta zastała wielu rzemieślników nieuzdolnionych, może i niedostatecznie wykształconych dla rzemiosła, którzy jednakże oddając się rzemiosłu, nabyli doń

prawa, których zatem bez wszystkiego usuwać nie można. Jakże więc w tym kierunku natychmiast się mają okazać błogie skutki reformy.

Nie zatrzymujemy się dłużej nad nowelą z r. 1883; chcieliśmy tylko odpowiedzieć kilka słów tym, którzy, czy to w dobrej wierze, czy też z złej woli, wątpią o korzyści reform zainaugurowanych na polu przemysłowem wzmiankowaną nowelą, ponieważ jeszcze nie widać zwrotu ku lepszemu. Dziś zamierzamy głównie zająć się dalszym ciągiem pracy, rozpoczętej w r. 1883. Wiadomo bowiem, iż pierwsza nowela do ustawy przemysłowej nie objęła całego dzieła reformy. Pozostawiono na później zmianę rozdziału szóstego tej ustawy. Zmiana ta dopiero w r. 1884 przyszła pod obrady Izby poselskiej; Izba wyższa zajęła się nią na wiosnę r. b., a od 11 czerwca, i ten rozdział, według jego brzmienia przyjętego przez obydwie Izby a sankcyonowanego przez monarchę, pozyskał moc obowiązującą. Rozdział to może najważniejszy, a słusznie możnaby o nim powiedzieć, że w dziedzinie przemysłu fabrycznego i rzemiosł, proklamacye *on les droits de l'homme*, gdyby to wyrażenie niestety nie było tak fatalnie zdyskredytowane. Rozdział ten bowiem zawiera przepisy co do pracy kobiet i robotników małoletnich w fabrykach, dalej traktuje o stosunku uczniów i pomocników do majstrów. Najważniejszemi zaś przepisami są: ustanowienie normalnego dnia roboczego, czyli normalnej liczby godzin pracy podczas jednej doby i odpoczyku w niedzielę.

Niektóre z przepisów zawartych w rzeczonym rozdziale szóstym, znalazły już pomieszczenie w prawodawstwie krajów innych, ale są też i takie, co do wprowadzenia których Austrya daje inicyatywę.

Zastosowanie liberalnych pojęć ekonomicznych do prawodawstwa doprowadziło do tak niesumiennej w wielu razach eksploatacyi rolnika, mianowicie w fabrykach, iż reforma tych stosunków, które socyalno-anarchicznej propagandzie najwięcej dostarczały materyału, stała się konieczną. Bo liberalizm sprzyjał wprawdzie zniesieniu niewolnictwa przymusowego, które do końca zeszłego i początku bieżącego wieku nawet w państwach cywilizowanych zachodniej Europy się zachowało, ale nie zwracał uwagi na to, że stosunki ekonomiczne nietylko pojedyńcze osoby, ale i całe klasy ludności oddawały w nie-

wolę, chociaż pozornie dobrowolną. Walczono za prawa polityczne dla wszystkich bez wyjątku, dążono do zupełnej w tym względzie równości, nie zważając na to, że prawa polityczne nie mogły wzbudzić w klasach niższych świadomości godności własnej, gdy z drugiej strony najfatalniejsza zależność jednego człowieka od drugiego, wszelkie uczucie godności osobistej przytłumiała.

Materyalistyczne teorye, głoszone co do rozwoju przyrody, zastosowano i do życia i rozwoju ekonomicznego, przyznając tem samem silniejszemu ekonomicznie prawo do bezwzględnego wywierania swojej siły. Gdy przybyła do tego niczem nieograniczona konkurencya i ubieganie się o produkcyę jak najtańszą, fabryki zaczęły iść dniem i nocą, a każdy fabrykant starał się siły robotników jak najbardziej wyzyskać a obok tego zaopatrzyć się w siły jak najtańsze. Wzięto do fabryk robotników małoletnich, bardzo często dzieci, również kobiety, a wszystkich bez wyjątku jak największą ilość godzin zatrudniano.

Działo się to wszystko nawet bez kontroli ze strony władz, bo liberalizm przedewszystkiem bił w wolność każdego czynienia ze sobą, co mu się podoba. W Austryi dopiero dwa lata temu, równocześnie z rozpoczęciem ogólnej reformy prawodawstwa przemysłowego, zaprowadzono także instytucyę inspektorów przemysłowych, których obowiązkiem jest przestrzeganie, aby w fabrykach i w zajęciach przemysłowych trzymano się przepisów prawnych.

Ze sprawozdań, które ci inspektorzy przemysłowi zdali za r. 1884, a zresztą i z innych źródeł statystycznych łatwo można się przekonać, do jakiego stopnia niektórzy fabrykanci wyzyskiwali siły robotników, płacąc ich przytem nędznie.

Stosunki te wymagały, jak już wspomnieliśmy, koniecznie naprawy. A gdy liberalna zręczność za czasów panowania swego nic w tym względzie nie zdziałała, bo byłoby się to sprzeciwiało jej zasadom, do pracy tej zabrała się w ostatnich latach prawica.

Szósty rozdział ustawy przemysłowej obowiązujący od 11 czerwca r. b. ogranicza prawo zatrudniania osób małoletnich i kobiet w fabrykach. Zupełnie zabronionem jest używanie do pracy dzieci niżej lat 12, dzieciom w wieku lat 12—14 nie wolno dawać stałej roboty w fabrykach, lecz tylko czasowo używać ich do wyręczania. Małoletnim mającym 14—16 lat nie wolno dawać robót ciężkich,

zajęć mogących oddziałać niekorzystnie na stan ich zdrowia, i pociągać ich do pracy nocnej. Tak samo zabronione jest zatrudnianie kobiet w fabrykach w czasie pory nocnej.

Każdy przyzna, iż są to przepisy nakazane najprostszymi względami humanitarnymi, nawet koniecznie potrzebne, jeżeli się chce zapobiedz karłowaceniu całych pokoleń. Sprawozdania komisyj zajętych przyjmowaniem młodych ludzi do wojska, wykazywały i wykazują, iż w sposób zastraszający zwiększa się liczba niezdatnych do wojska i to głównie wśród ludności fabrycznej. Wycieńczenie sił ciężką lub działającą szkodliwie na zdrowie pracą fizyczną, począwszy od lat dziecięcych, oczywiście główną zjawiska tego jest przyczyną, a władzom wojskowym, i obawie iż ludność nareszcie straci siły fizyczne potrzebne ku obronie kraju, zapewne nie mało zawdzięczamy przyspieszenie reform w prawodawstwie przemysłowem. Zakaz zajmowania kobiet w fabrykach nocą, podyktowały względy na moralność, której poziom wśród robotników fabrycznych niestety bardzo się obniżył.

Co do uczniów i pomocników przepisuje ustawa, iż uczniów trzymać może tylko ten kto posiada odpowiednie uzdolnienie do wykształcenia ucznia w danym fachu. Do kategoryi pomocników zaliczeni są mniej więcej wszyscy, którzy w wykonywaniu rzemiosła lub przemysłu, albo też przy fabrykacyi pryncypałowi swemu są pomocni. Ustawa nakłada na pryncypała obowiązek utrzymywania dla nich zdrowych lokali do pracy i zdrowych pomieszkań tam gdzie takowe bywają udzielane. Bardzo chwalebną zaprowadzono też reformę zabraniając pryncypałowi zmuszać robotników do czynienia zakupów żywności, napojów i t. d. w pewnych z góry oznaczonych magazynach. Wiadomo iż mianowicie przy wykonywaniu większych robót przez Żydów małomiasteczkowych, ludność robocza pod tym względem bardzo była eksploatowana; przedsiębiorca bowiem nietylko niskie płacił ceny, ale jeszcze sam za drogie pieniądze robotnikom sprzedawał żywność i napoje, zachęcając o ile możności do rozpijania się. Taki stosunek obecnie surowo jest wzbroniony. Wolno wprawdzie przedsiębiorcy dawać robotnikom wynagrodzenie także w przedmiotach żywności, obok pieniędzy, ale one muszą być obliczone według ceny zakupna. Długów zaś zaciągnię-

tych u pryncypała za pobierane od niego przedmioty żywności i za napoje robotnik płacić nie potrzebuje.

Nie wchodzimy w dalsze mniej ważne szczegóły, nadmienimy tylko jeszcze, że pamiętając o prawach robotnika nie zapomniano także o jego obowiązkach. Znając dzisiejszy stan demoralizacyi klas roboczych, częste opuszczanie służby i t. d. nałożono na robotników obowiązek utrzymywania książki, wykazującej miejsce i czas jego zajęcia Przyjmowanie robotnika bez książki oczywiście jest wzbronione.

Najważniejszemi niewątpliwie reformami zaprowadzonemi w rozdziale szóstym ustawy przemysłowej, jest: ustanowienie normalnego dnia roboczego i odpoczynku w niedziele.

Przeciążanie robotników długą pracą, czasem do 16 lub 18 godzin dziennie dochodzącą, było przyczyną najliczniejszych skarg ze strony robotników. Otóż ustawa obowiązująca od 11 czerwca redukuje pracę na 11 godzin na dobę, pozwalając w razach wyjątkowych zająć robotnika przez 12 godzin, w jednym i drugim razie z przerwami mającemi trwać razem nie mniej jak $1^1/_2$ godziny. Dalej przepisuje ustawa, iż w niedziele wszelka praca ma być przerwaną a odpoczynek trwać ma najmniej 24 godzin.

Łatwo zrozumieć, że tak znaczne zredukowanie tygodniowej pracy robotnika, którego w wielu procederach i fabrykach wyzyskiwano do ostatniej godziny, rzeczywiście wpływ pewien na taniość i szybkość produkcyi wywrzeć musiało. Fabrykant i przedsiębiorca obawiali się, że przez to robotnik podrożeje, bo oni najlepiej o tem wiedzieli, że płacę jego tak zredukowali, iż się ona regulowała według teoryi Lassala o *ehernes Lohngesetz*. Robotnik zdegradowany przez wielką część nowoczesnych producentów fabrycznych do roli maszyny, wytężając całe siły swoje, zarabiał tyle ile na niezbędne utrzymanie swoje potrzebował. Oczywiście płacy jego obniżyć w takim razie nie można, choć czas pracy się skróci, bo przecież żyć robotnik musi. Więc albo przedsiębiorca, fabrykant, musi poświęcić część zysków swoich, albo, jeżeli to niemożebne, utrudni mu się przez podrożenie produkcyi możność konkurencyi, mianowicie z tymi krajami zagranicznymi, w których nie istnieją podobne ograniczenia.

Tak też argumentowali przeciwnicy reform dowodząc, że w obec zamierzonych nowelą przemysłową ścieśnień, przemysł austryacki

nie zdoła konkurować z zagranicznym i coraz bardziej upadać musi. Tak argumentowali też wszyscy posłowie lewicy w czasie rozpraw nad nowelą przemysłową, wszyscy oni obdarzeni proroczym duchem Kassandry przepowiadali ruinę przemysłu austryackiego.

A jednak, gdy przyszło do głosowania nad wymienionymi powyżej poszczególnymi przepisami noweli, nikt z nich nie śmiał głosować przeciwko reformom. Skąd taka sprzeczność? Każdy z posłów lewicy wygłaszał długie tyrady o szkodliwości zamierzonych reform, jak z rękawa sypał pioruny przeciwko „socyalistom arystokratycznym“, niestworzone wygadywał rzeczy o podszczuwaniu klas jednych przeciwko drugim, aby nareszcie głosować za reformami propagowanemi przez okrzyczanych socyalistów arystokratycznych. Zkąd więc ta sprzeczność? powtarzamy. Czy przekonali ich inicyatorowie reform o tem, że praca robotnika nie wycieńczonego ciągłym trudem, mającego raczej dosyć czasu wśród pracy do odpoczynku, do odświeżenia sił fizycznych i umysłowych, że praca taka więcej warta, że robotnik nietylko więcej ale i umiejętniej pracuje? Wszak przecież tę samą zasadę słusznie głoszono gdy chodziło o zniesienie pracy niewolnika i zastąpienie jej pracą człowieka wolnego. Czy może liberali uwierzyli w to, że przepisy te humanitarne nie utrudnią konkurencyi, bo w niektórych państwach, i to właśnie tam gdzie przemysł bardzo rozwinięty, mianowicie w Anglii i Szwajcaryi przepisy takie same już istnieją, a że niebawem także inne państwa pod presyą opinii publicznej, i głośnych a słusznych żądań, będą je musiały zaprowadzić?.

Wątpimy, iżby rzeczywiście temu uwierzyli. Bo wszakżeż jeden z posłów lewicy, sprzyjający nawet projektowi reform, ale zacietrzewiony w pojęciach zdawkowago liberalizmu zwracał uwagę na Francyę mówiąc: „o Francyi nie wspomina referent, a przecież to kraj stojący na straży praw ludu (!!!). A jednak, gdy w parlamencie francuskim poruszono myśl zaprowadzenia normalnego dnia roboczego i kwestyę pracy kobiet i dzieci w fabrykach, przyznano tylko pewne ulgi dla pracy kobiet i dzieci. Normalnego dnia roboczego nie zaprowadzono, pozostawiając kwestyę czasu pracy i wysokości płacy, dobrowolnej umowie pomiędzy pracodawcą a robotnikiem. Parlament francuski zaś wychodzi z wyborów dokonanych na szerokiej podstawie głosowania powszechnego“.

Zdaje się że nic lepiej nie charakteryzuje zdawkowego liberalizmu, liberalizmu wyznawanego dziś jeszcze przez znaczną większość niemców i parlamentu francuskiego „wybranego na szerokiej podstawie głosowania powszechnego“, jak przytoczone co dopiero odezwanie się p. Löblicha w parlamencie austryackim.

I czemuż tedy niemieccy liberali głosowali za ulgą w pracy kobiet i dzieci, za polepszeniem stosunku robotnika w obec chlebodawcy, nareszcie i za normalnym dniem roboczym i za odpoczynkiem w niedzielę, jeżeli to wszystko sprzeciwia się ich pojęciom o wolności?

Otóż dla tego, że nie mogli nie przyznać iż stosunki robotników są nieznośne, iż żądania reformatorów są uprawnione w imię humanitarności. A cóż wtedy wart cały nowoczesny zdawkowy liberalizm, który stoi w sprzeczności z zasadami humanitarnemi, z pojęciami o godności ludzkiej?

Mówiliśmy umyślnie zawsze o odpoczynku w niedzielę, nie zaś o święceniu niedzieli, bo tak się też wyraża ustawa nowa *(Sonn- und Feiertags***ruhe** nie *Heiligung)*. I rzeczywiście dosyć to jest charakterystyczne, że w parlamencie państwa katolickiego, składająca się nibyto z żywiołów konserwatywnych większość, nie ma jeszcze odwagi żądać ś w i ę c e n i a niedzieli według przykazań boskich, lecz mówi tylko o odpoczynku w niedzielę. Powiadamy, że nie ma j e s z c z e odwagi, bo nie tracimy nadziei, że jej z czasem nabędzie; dziś niestety jeszcze jest zahukana krzykiem prasy, o której dobrze wiemy, z jakich przeważnie się składa żywiołów. A pojęcia szerzone przez tę prasę, która dla wielu jest jedynym pokarmem duchowym, tak wsiąkły w krew pokoleń dzisiejszych, że u ludzi rządzących się najzdrowszemi zasadami, jeszcze w kwestyi rozróżnienia zdawkowego liberalizmu od pojęć zdrowych, frazesu od zdania poważniejszego, z prawdziwemi się spotykać trzeba niespodziankami. Ztąd brak odwagi do wystąpienia przeciwko pojęciom spaczonym. Inicyatorom reform zabrakło też odwagi do zażądania ś w i ę c e n i a n i e d z i e l i i ś w i ą t tak, jak to przepisują przykazania boskie. Zarządzili tedy tylko o d p o c z y n e k n a n i e d z i e l ę, a w dni świąteczne nałożyli obowiązek pozostawienia robotnikom tyle czasu, aby mogli być na nabożeństwie. O święceniu świąt w ustawie wcale mowy nie ma.

Pod jednym jeszcze względem niedomaga cała reforma. Otóż ustawa nadała ministrom odnośnym prawo ustanowienia wyjątków, pozwoliła zwalniać niektóre kategorye fabrykantów, przemysłowców, procederzystów, rzemieślników i kupców od trzymania się przepisów ustawy. Ministrowie mogą tedy pewnym kategoryom wymienionych przedsiębiorców pozwolić na zatrudnianie dzieci, na zajmowanie niedorostków i kobiet robotą w nocy, na skrócenie odpoczynku podczas roboty, na przedłużenie normalnego dnia pracy o jedną godzinę, i wreszcie udzielić zwolnienie z obowiązku odpoczynku niedzielnego.

Stało się to po wysłuchaniu zdania izb handlowych i przemysłowych. Otóż podnieść trzeba, iż ministrowie w rozporządzeniach wydanych 8 czerwca w szerokiej mierze i na wszystkie strony z tego prawa swego skorzystali; tak wiele udzielili zwolnień od zachowania przepisów ustawy, iż pewna wpływowa gazeta berlińska nie bez słuszności powiedzieć mogła, że wyjątki tu poczynione, raczej za regułę uważać należy, a tylko wyjątkowo przepisy ustawy znajdują zastosowanie. Przyczyniły się zaś do tego niemało izby handlowe, które skwapliwie popierają wszelkie wnioski o zwolnienia, niektóre z nich nawet już ogólne stawiają wnioski o zmianę przepisów ustawy. Świeżo naprzykład żądała izba handlowa w Libercu dozwolenia wszelkiego handlu w niedzielę do godziny trzeciej po południu. Dotychczas zaledwie do pierwszej w południe sklepy były pootwierane; izba handlowa w Libercu jeszcze dotychczasową praktykę chce pogorszyć.

W ogóle od chwili wprowadzenia noweli przemysłowej z dwóch stron rozpoczęto agitacyę. Jedni żądali obostrzenia przepisów i zniesienia wyjątków, inni rozszerzenia wyjątków do tego stopnia, iżby wartość całej ustawy stała się iluzoryczną. Robotnicy i wszyscy zgoła pomocnicy w fabrykach, przemyśle i handlu z radością przyjęli ulgi. Pomiędzy pryncypałami zdania są podzielone. Jedni zgadzają się na przepisy ustawy, innym się zdaje, że wielkie ponoszą straty przez to, iż w niedzielę handlować i procederem swoim zajmować się nie mogą. Dziwaczne to doprawdy zapatrywania, bo przecież przez to, że w niedzielę robota ustaje, potrzeby się nie zmniejszają, chyba prędzej powiększają, a ten, który sobie chciał kupić kapelusz lub buty w niedzielę, kupi je w sobotę, bo dlatego

że w niedzielę sklepy zamknięte, bez butów chodzić nie będzie. Sądzimy tedy, że nawet po małych miejscach targowych, gdzie odbyt towarów dotychczas za przybyciem okolicznego ludu do kościoła był więcej ożywiony, żądania kupców o zniesienie ograniczeń co do handlu w niedzielę, są zupełnie nieuprawnione, nawet patrząc tylko ze stanowiska ich własnego interesu.

Przybywający z sąsiedniej wsi włościanin, w każdym razie w potrzebne rzeczy zaopatrzyć się musi. Jeżeli zaś z namowy tylko kupuje rzeczy niepotrzebne, to państwo doprawdy nie ma ani obowiązku, ani przyczyny propagowania tego, za to ma tem większy obowiązek okazania, iż się trzyma nauk i przykładu Chrystusa Pana, który w niedzielę handlarzy z kościoła wypędzał. Będzie to dobrym przykładem i podniesie ducha religijnego w ludzie.

Dosyć naiwne jest żądanie żydów w niektórych okolicach Galicyi, aby ponieważ obchodzą szabas, pozwolono im kupczyć w niedzielę. Wszak ich współwyznawcy w prasie i w parlamencie o święceniu niedzieli nic wiedzieć nie chcą, więc też i święcenie szabasu z tego stanowiska za nic liczyć można. Nie stoimy wprawdzie na tem stanowisku, ale za to sądzimy, iż gdy żydzi żyją pośród społeczeństwa chrześcijańskiego, do niego zastosować się powinni, a wyjątkowych przywilejów, zwłaszcza ze szkodą tegoż społeczeństwa żądać nie mogą.

Gdy mówimy o różnej agitacyi, podniesionej w kwestyi przedłużenia lub skrócenia dnia roboczego i w kwestyi odpoczynku w niedzielę, nie możemy pominąć agitacyi dosyć hałaśliwej, która na mniej więcej dziesięć dni zwróciła uwagę całej monarchii na stolicę Morawii, na Berno.

Zaledwie nowe przepisy ustawy weszły w życie, aliści w Bernie wybuchły pomiędzy robotnikami fabrycznymi, licznie tam zebranymi, rozruchy, na których przytłumienie siły zbrojnej użyć było trzeba; rozruchy powtarzały się przez tydzień cały. Robotnicy żądali podwyższenia płacy i skrócenia czasu roboty. Gwałtowne ich wystąpienie z żądaniami, było wodą na młyn liberalnych dzienników. Zaraz zaczęły ponawiać oskarżenia swoje przeciwko „socyalistom arystokratycznym“, wskazywały wprost na mieszkającego pod Bernem inicyatora reform na polu przemysłowem, hr. Belcrediego, jako intelektualnego sprawcę rozruchów berneńskich. Ale nie długo się tem cieszyć mogły, bo w kilka tygodni przed katastrofą w Bernie

nastąpiła publikacya sprawozdania inspektorów przemysłowych za r. 1884, a kto zechciał zajrzeć do sprawozdania inspektora na Morawią, p. Czerwenyego, mógł się przekonać, że w wielu fabrykach berneńskich panowały najfatalniejsze dla robotników pod każdym względem stosunki.

Przeciętna płaca robotników fabrycznych bardzo była niska, natomiast ilość godzin pracy na dobę bardzo znaczna. Stosunki w zakładach samych też nie jedno pozostawiały do życzenia. Oczywiście, że cały ten materyał palny nagromadzony tam zatlił się; wniesiono doń iskrę z zewnątrz w formie propagandy socyalistycznej, której źródła jednakże nie w pałacu hr. Belcrediego, lecz po za granicami kraju szukać należało. Przyznać to musiały nareszcie te same dzienniki, że to nie hrabia Belcredi i reformatorowie na polu przemysłowem, lecz właśni ich przyjaciele polityczni, fabrykanci w Bernie pośrednią byli przyczyną domagania się przez robotników gwałtem tego, czego „na mocy ugody dobrowolnej“ fabrykanci im dać nie chcieli.

Jesteśmy przekonani, że zaczęta reforma ustawodawstwa przemysłowego przyczyni się do tego, iż podobne pożałowania godne wybryki, jakich świadkiem w czerwcu było Berno, ustaną, albo przynajmniej coraz rzadziej się będą powtarzały.

Jakkolwiek bowiem przepisy ustawy, a mianowicie przeprowadzenie ich pod niejednym względem jeszcze nie zadowalniają, to jednakże zbawiennych skutków już dziś im odmówić nie można. Widzimy to w samym Wiedniu, gdzie nareszcie ustało zgorszenie, jakie dawała stolica państwa katolickiego każdemu przyjeżdżającemu, choćby z Prus protestanckich. Czy to przy budowli gmachów nowych, nie wyjmując nawet publicznych, czy to przy przewozie materyałów wszelkiego rodzaju, nareszcie w handlu i u rzemieślników, wszędzie w niedzielę ruch był taki, jak w dzień powszedni, a przynajmniej do południa, w samym czasie nabożeństwa wszędzie pracowano. Robotnik przy najlepszej chęci nie mógł wysłuchać Mszy, i słowa Bożego w kościele. Kościół naturalnie stracił wpływ wszelki, pozyskiwały go zaś w coraz szerszej mierze zupełnie inne czynniki. Już w pierwszą niedzielę po zaprowadzeniu nowej ustawy zmieniła się fizyognomia miasta i ruchu na ulicach, na lepsze, a kościoły, mianowicie w częściach miasta zamieszkałych przez robotników,

znacznie większą wykazywały frekwencyą. Nowa ustawa ta znacznie się przyczyniła do spełnienia życzeń zecerów drukarń, drukujących dzienniki wiedeńskie, dla których niedziela dawniej nie istniała. Większe dzienniki tutejsze wychodzą, jak wiadomo, dwa razy dziennie. W niedzielę opuszczano wprawdzie wydanie numeru popołudniowego, natomiast w poniedziałek wszystkie gazety, z wyjątkiem *Vaterlandu* katolickiego, już o szóstej rano wychodziły. Zecerzy musieli przy składaniu pracować w niedzielę. Po kilkakrotnie udawali się do redakcyj dzienników z prośbą o zaprzestanie wydawania numeru w poniedziałek rano. Zgadzały się na to wszystkie z wyjątkiem *Tagblattu*, którego wydawcą jest zbogacony żyd galicyjski, p. Szeps, (piszący nazwisko swoje z kiepska po węgiersku, bo pisane po niemiecku nie brzmiałoby ładnie). Otóż upór wydawcy tego dziennika przeszkodził spoczynkowi niedzielnemu zecerów, bo inne dzienniki konkurencyi uledz nie chciały.

Ustawa przemysłowa położyła koniec temu skandalowi. Ale teraz wydawcy się wzięli na inny sposób, i w interesie handlu, wydają dzienniki w święta, czego dawniej nie było. W święta pracującym pryncypałowie muszą pozostawić tylko pójście na nabożeństwo, zresztą do pracy ich pociągać mogą. Zaczynają to czynić z powodu nowych wymagań wydawnictw dzienników, chociaż publiczność bez tej „strawy duchowej“ doprawdy mogłaby się obejść w niedzielę.

Mamy nadzieję, iż ta nowa praktyka zwróci uwagę kół parlamentarnych na to, iż w ustawie przemysłowej nietylko o odpoczynku w niedzielę powinna być mowa, lecz wyraźnie o tem, iż w państwie katolickiem należy niedzielę i dzień święty święcić.

A. D.

Lublana.

Słoweńcy; ich stanowisko etnograficzne i polityczne.

Telegramy i dłuższe opisy w dziennikach, które doniosły wam o serdecznych przyjęciach, jakich doznaje „Sokoł słoweński“ w Wiedniu, Bernie i Pradze, dają mi powód do dzisiejszego listu; chciał-

bym zapoznać bliżej naszych czytelników z tym narodem pobratymczym, który nietylko w Europie, ale i u nas tak mało jest znanym.

Ludy zajmujące górne wybrzeża Soczy, Sawy, Drawy i Adryatyku, prowincye które się nazywają Styrją, Karyntią, Krainą, Gorycą i Istrią, należą do trzech szczepów: romańskiego, germańskiego i słowiańskiego. Styria i Karyntia osiedlone są przeważnie Niemcami, Goryca i Istria Włochami; Słowianie zajmują południową Styrię, Karyntię nad Drawą, gęsto są osiedleni po wsiach w Istryi, w okolicach Gorycy i Tomina, w Krainie zaś nietylko wsie, ale i miasta są słowiańskie.

Od jak dawna Słowianie zamieszkują te kraje, niewiadomo. Niektórzy historycy utrzymują, że Słowianie za czasów rzymskich byli tutejszymi pramieszkańcami. Włosi nazywają ich *Sclavi*, Niemcy *Winden*. Nad Bałtykiem byli Wendy, byli i nad Adryatykiem, a nazwa późniejszych Wenetów, Wenicyan od Wendów mogła wziąść początek. O tem wszystkiem mało dotąd wiemy, historya wspomina dopiero o tutejszych Słowianach w wieku VI-ym naszej ery, o ich walkach z Bawarami i Abarami. Kraje, które zajmują dzisiaj, za Rzymian nosiły nazwy: Noryku, Panonii wyższej i Histryi; nazwy dzisiejsze są zgermanizowane, a Słowianie przerobili je po swojemu. Styria, Steiermark, nazywają *Sztajersko;* Karyntia, Carantanum, Kärnten, po słoweńsku *Koroszko;* Kraina, Carnie, Carniola, Chraina marche, dziś zowią *Kraińsko* (Kranjsko).

Słowianie tych krajów w różnych czasach różne dawali sobie nazwy: Pohorjancy, Poljancy, Goryczanie, Halożanie, Goreńcy, Doleńcy, Notrańcy, Kraszewcy, Piwczanie, Wipawcy, Rjezanie... Temi nazwami rozróżniają się jeszcze dziś mieszkańcy jednej okolicy od drugiej. Nazwiska więcej ogólne, t. j. prowincyi czyli województwa, jakie zamieszkują, są: Krańcy (Kranjcy), Koroszcy, Sztajerscy, Primorcy; nazwisko zaś wspólne, jakie sobie od niedawna dają, jest *Słoweńcy*.

Słoweńcy nie tworzyli nigdy samodzielnego państwa, ich dzieje historyczne są tylko urywkami z dziejów tych narodów, które ich w poddaństwie dzierżyły.

Pochód barbarzyńców na Rzym odbywał się po ziemiach Słoweńców; ciężkie jarzmo Gotów, Hunów i Abarów kolejno dźwigali, a skoro te ludy zniknęły z widowni dziejów, dostali się pod Fran-

ków. Za czasów Samki, mieli zdaje się swoich wojewodów, lecz już w r. 743 służyli w szeregach Bawarów. Borut (750) pierwszy z nazwiska znany wojewoda korutański, przyznał zwierzchność Franków.

Za Karola W. Słoweńcy zostali wcieleni do jego państwa, mianowicie po Drawę byli pod władzą namiestnika bawarskiego Gerolda, za Drawą zaś należeli do furlandzkiego księcia Eryka. Pribina i Kociel w dolnej Panonii, około Błotnego jeziora, posiadali w swej dzielnicy Słoweńców. W r. 876 Karloman, król bawarski oddał Korutanię i Panonię Arnulfowi. W ciągu kilku stuleci kraje Słoweńców przechodziły w ręce różnych Grafów bawarskich i niemieckich, w roku zaś 1282 cesarz Rudolf habsburski oddał je swemu synowi, z wyjątkiem Gorycy i Istryi; pierwsza miała swych osobnych grafów, druga należała do patryarchatu akwilejskiego. Odtąd kraje te zostawały prawie ciągle pod panowaniem domu habsburskiego; przez krótki czas, za Napoleona I. Kraina, Goryca, Triest i Istria odstąpione zostały Francuzom i znane były pod nazwą: „królestwa illyryjskiego".

W wieku VIII-ym Słoweńcy, częściowo przynajmniej, przyjęli religię chrześcijańską. Karat albo Gorazd, syn Boruty, ochrzczony został w Bawaryi. Następca jego Hotemar sprowadził biskupa Modesta, który wraz z Wirgilem († 785), biskupem solnogrodzkim, nawracali Korutan. Pierwszym biskupem Słoweńców był Teodoryk, konsekrowany przez biskupa solnogrodzkiego Arna; Oton i Ożbalt byli jego następcami. Kiedy apostołowie Słowian przybyli do Panonii kocielowej, Słoweńcy już byli nawróceni, należeli do obrządku łacińskiego i to tłumaczy nam, dlaczego wśród Słoweńców nie mogły się znajdować pamiątki po głagolicy i liturgii słowiańskiej. Słoweńcy we względzie kościelnym należeli do trzech dyecezyj: posawskiej, solnogrodzkiej i patryarchatu akwilejskiego.

Język Słoweńców najbardziej zbliżony jest do języka horwackiego, dzieli się na kilka wybitniejszych narzeczy, mianowicie: goreńskie, doleńskie, notrańskie, koroskie, sztajerskie, panońskie i reziańskie. Narzecza te wyrabiały się w mowie potocznej, między ludem; szlachta słoweńska, jeżeli tu nawet kiedy była, zcudzoziemczała, używała języka włoskiego lub niemieckiego. Kapłani jedynie używali języka ludowego w nauce religii, i najdawniejsze zabytki języka słoweńskiego, tak zwane fryzyńskie, pochodzą z klasztoru

S. Korbiniana i zawierają modlitwy i homilie, pisane łacińskiemi literami.

Za czasów reformacyi pierwsze księgi słoweńskie poczęli drukować protestanci. Kanonik lublański Trubar, na wzór Lutra, porzucił wiarę i zaczął drukować w ludowym języku nowinki sekciarskie. Dopomagał mu czynnie inny odstępca, słynny Paweł Verger, były biskup koperski, który zostając na żołdzie księcia wirtemberskiego i brandeburskiego brudnemi pismami siał rozterki i w naszym kraju. Za panowania Maksymiliana protestantyzm został wyparty z krajów słoweńskich. Biskup lublański Tomasz Kron (Chrön) wraz z duchowieństwem położył wielkie zasługi około przywrócenia pokoju i wiary; dla wyrugowania błędnych pism reformatorskich, wydał w języku słoweńskim Pismo św. (około r. 1600) i rozpowszechniał je między ludem. Jezuici: Habdelić, Jambrešić, Šušnik' i O. Velostenec z zakonu Paulinów pracowali nad językiem słoweńskim, lecz na tem kończyła się cała działalność literacka Słoweńców. Szlachty ani mieszczan słoweńskich nie było, lud sam mówił tylko swym językiem w domu, szkół niższych nie było żadnych, w wyższych uczono po niemiecku i łacinie, nie mógł się tedy język słoweński rozwijać. Za Maryi Teresy dopiero powstały szkoły ludowe, gdzie oprócz niemieckiego, uczono czytać po słoweńsku. Z początku używano liter niemieckich i pisowni Bohoricza, zastosowanej do dźwięków słowiańskich; taką pisownią wychodziły jeszcze do połowy tego stulecia różne drobne książki słoweńskie. Sam język nie był ustalony, wcisnęło się doń mnóstwo wyrazów cudzoziemskich, dość znaczne różnice w narzeczach i gwarach miejscowych, czyniły język książkowy niezrozumiałym. Największą zasługą około podźwignięcia języka ojczystego położył Bleiweis [1], doktór medycyny z Lublany. W r. 1843 założył czasopismo dla ludu pod tytułem „Novice“.

Trudne były pierwsze próby, trzeba było stwarzać pisownią i wyrabiać język. Poczucie narodowości, które się coraz więcej obudzało u ludu, i niestrudzona wytrwałość Bleiweisa umożebniały ciężkie zadanie. Po kilku latach istnienia czasopisma, przyjęto pisownią horwacką Gaja, czcionkami łacińskiemi, młodzi ludzie rzucili

[1] Bleiweis pochodził z rodziny czysto słoweńskiej, pradziad jego nazywał się jeszcze *Plawec*.

się do pióra, zacierały się gwary prowincyonalne, ustalał się język książkowy słoweński. Przyjęto w zasadzie odrzucanie naleciałości obcych a natomiast przyswajanie wyrazów i wyrażeń horwackich, w skutek tego język słoweński, z istoty swojej najbliższy horwackiemu, coraz więcej stawał mu się podobnym. Bleiweis rozumiał dobrze, iż bez udziału duchowieństwa, w narodzie tak głęboko wierzącym jak słoweński, skuteczna działalność jest niemożebną, zawiązał zatem ścisłe stosunki z klerem, co tem łatwiej mu przychodziło, iż sam był wiernym synem Kościoła i praktykującym katolikiem. Duchowieństwo, słowem i czynem szło ręka w rękę z dzielnym szermierzem narodowości słoweńskiej; rozszerzali księża popularne dzieła między ludem, datkami, często znacznymi, przyczyniali się do podtrzymywania sprawy: książe biskup lublański zapisał sto tysięcy reńskich na wydanie słownika słoweńskiego. Czterdzieści lat pracy Bleiweisa uwieńczone były znakomitym skutkiem: pod koniec jego życia istniał już naród i język słoweński, dziewiętnaście czasopism wychodziło w tym języku[1], Lublana, do niedawna jeszcze zniemczona, była duszą i stolicą ziemi słoweńskiej. Umiłowany od całego ludu, zaszczycony godnościami od tronu, zaopatrzony śś. Sakramentami, zakończył Bleiweis swój żywot doczesny w r. 1881.

Słoweńcy zamieszkują Krainę, Karyntyę, Styryę i wybrzeża adryatyckie, mianowicie Istryę, okolice Gorycy i Tryestu. Według urzędowej statystyki z r. 1880 w Cyslitawii liczono Słoweńców 1,140.304. Kraina jest czysto słoweńska, wśród 447.366 Słoweńców żyje zaledwie 29.392 Niemców; kraj gorycki (Goriszko) jest przeważnie słoweńskim, na 129.857 Słoweńców liczy się 73.425 Włochów i 2.659 Niemców. W trzech pozostałych krajach Słoweńcy stanowią mniejszość i tak: Karyntyę zamieszkuje Niemców 241.582, Słoweńców 102.252, powiat welkowski (Velikovec, Völkermarkt), prawie całkowicie jest słoweńskim; północne powiaty styryjskie są zupełnie niemieckie, południowe (Celski, Lutenbergski, Breski, Słoweńsko-gradecki, a w części Maryborski i Ptujski), są przeważnie słoweńskimi. Sztajerców słoweńskich liczy się 388.419 i stanowią

[1] W Lublanie wychodzą: Novice, Slovenski Narod, Slovenec, Učiteljski Tovariš, Vrtec, Zgodnja Danica, Ljubljanski Zvon; w Celowcu: Kres, Mir; w Tryeście: Edinost; w Maryborzu: Slovenski Gospodar; w Gorycy: Soča i inne.

¼ całej ludności. Tryest z okręgiem liczy Niemców 5.141, Słoweńców 26.263, Włochów 88.887; wreszcie w Istryi znajduje się 43.000 Słoweńców. W całym pasie nadbrzeżnym adryatyckim na 610.688 mieszkańców, liczy się: Włochów 276.603, Słoweńców 199.124, Horwatów 121.870, Niemców 12.579. Nadto w Translitawii, na pograniczu węgierskiem zamieszkuje około 55.000 Słoweńców a 27.000 we Włoszech, w dawnych ziemiach weneckich. Słoweńcy węgierscy przemieszkują w żupaniach: Zaladskiej, Żeleznej i Wesprimskiej, zowią się: „Prekmurciami", w znacznej części są protestantami; Prekmurcy katolicy od lat kilku mają własne czasopismo miesięczne, wychodzące w Peszcie, pod tytułem: „Prijatel". Słoweńcy weneccy przebywają głównie w okręgach: św. Piotra (San Petro al Natisone), Czedadu, (Cividale), Tarczentu (Tarcento), Glemońsku (Gemona) i Muzacku (Moggio). Z powodu górzystych okolic, jakie zamieszkują, mają małą styczność z sobą a tem mniej z braćmi swymi goryckimi, nazywają się jednak sami „Slowinami", mówią narzeczem słoweńskiem, w tymże języku używają książek do modlenia, lecz na tem jedynie ograniczają się oznaki ich narodowości. Rozległość ziem zamieszkałych li-tylko przez Słoweńców wynosi 437 mil kwad. Pod względem administracyjnym i politycznym Słoweńcy należą do namiestnictwa przymorskiego w Tryeście, kraińskiego w Lublanie, styryjskiego w Gradecu i karyntyjskiego w Celowcu. Sejmy prowincyonalne obradują w Lublanie, Gradecu, Gorycy i Celowcu.

Życie narodowo-polityczne jest w pełnym rozwoju w Krainie; przy ostatnich wyborach do rady państwa przeszli wszyscy kandydaci, postawieni przez komitet centralny, jako to: pp. Karol Klun, hr. Hohenwart, Adolf Obreza, W. Pfeifer, I. Hren, Dr. Poklukar, Szuklje, a w ostatnich czasach i książe Windischgraetz. W styryjskich okręgach zostali również wybrani słoweńcy: pp. Br. Goedel-Lanoy, B. Raicz i M. Vošnjak. W Karyntyi żaden Słoweniec nie otrzymał większości, lecz za to w tryestckim zwyciężył Nabergoj, pomimo zaciętej walki z Włochami; w goryckim z pomiędzy czterech kandydatów postawionych przez Słoweńców, trzech zostało wybranych, mianowicie: hr. Coronini, Dr. Tonkli i Dr. Valussi.

Posłowie słoweńscy w Wiedniu należą do klubu Hohenwarta, są konserwatystami i katolikami zarazem, głosują z dzisiejszą prawicą. Ogólnie Słoweńcy przywiązani są do domu Habsburskiego,

dążą do rozwoju swych instytucyj narodowych, pragną zbliżenia do pokrewnych sobie Horwatów, z którymi jeżeli się kiedyś nie zleją, będą mogli stanowić ścisły polityczny związek.

Liberali niemieccy usiłują po staremu germanizować Słoweńców, lecz są to tylko czyste mrzonki, a raczej ta chęć germanizacyi wywołuje silne oddziaływanie ze strony przeciwnej i przyczynia się bardziej do rozbudzenia ducha narodowego. Doszło już do tego, iż rada miejska Lublany nie zgodziła się na rozporządzenie rządowe, mające na celu założyć w tem mieście szkołę z wykładem niemieckim. Na południu, w Goryckiem, Istryi i Tryeście Włosi stanowią przewagę po miastach, dążą do Garybaldowskiej Italii i dlatego poniewierają Słoweńcami, którzy są wiernymi dla tronu. Irredenci tryestcy, należący do kluby „Concordia“ (Słoweńcy przekręcili tę nazwę na „Cykoria“, i członków klubu przezwali „Cykoriuszami“), niemało zachodu i pieniędzy użyli do przeprowadzenia swego Mauronera do rady państwa; kmiecie słoweńcy pieniądze wzięli, lecz głosowali za Nabergojem, który też został wybranym 2.144 głosami, to jest trzy razy tyle miał głosów co Mauroner.

W krajach zamieszkałych przez Słoweńców, większa własność znajduje się w rękach Włochów i Niemców, mieszkańcy miast z małymi wyjątkami do tych narodowości należą, lud wiejski jest tylko słoweńskim. Lecz kmieć słoweński jest już dosyć oświecony i dosyć zamożny, posyła swe dzieci do szkół; poniższy urzędowy wykaz zapowiada przyszłość i przewagę Słoweńców. Na 100 uczniów uczęszczających do szkół, znajdowało się r. 1884 w gimnazyum:

Rudolfowskiem	Słoweń.	93,8;	Niem.	6.2		
Lublańskiem	„	77,6;	„	32,3		
Ptujskiem	„	68,4;	„	31,6		
Celskiem	„	58,4;	„	41,4		
Maryborskiem	„	5,06;	„	49,4		
Goryckiem	„	44,5;	„	11,5;	Włoch.	43,6
Tryestckiem	„	30,8;	„	36,3;	„	33,6

Tegoroczne wybory w Karyntyi, jakkolwiek nie wypadły po stronie Słoweńców, okazały jednakże, iż mogą stanąć do walki, losy się tam już ważyły; czas i wytrwałość dokonają swego. Liczne stowarzyszenia: *Slovenska matica, Ceciljino družtvo, Glasbena ma-*

tica, Katoliška družba Kranjska, Družba sv. Mohora (liczy 25.000 członków), i nowo założone stowarzyszenie, pod wezwaniem śś. Cyryla i Metodego, popularnemi książkami podtrzymują i rozniecają poczucie narodowości w ludzie. Duchowieństwo słoweńskie jest gorąco katolickie i na tej prawdziwej podstawie dopomaga ludowi do rozwoju narodowego; pod tym względem Słoweńcy wyżej i lepiej stoją od Horwatów, którzy, z małymi wyjątkami, należą do krańcowych: jedni zbyt ulegli są Madiarom, inni łączą się ze Starcewiczem. Do ostatnich prawie czasów kapłani katoliccy byli jedynymi pracownikami na polu piśmiennictwa słoweńskiego; oprócz wyżej już wymienionych, biskupi Rawnikar, Slomszek, XX. Pohlin, Japel, Jarnik, Dajnko, Vertovec, a nadewszystko Vodnik, wielkie tu położyli zasługi. Piśmiennictwo słoweńskie jest jeszcze w kolebce, lecz przy ożywionym dziś ruchu umysłowym, przy wytrwałości i zdolności szczepowej można się spodziewać szybkich postępów: lud z którego łona wyszedł Kopitar i Miklosicz, ma przyszłość przed sobą.

Θ. X.

Korespondencya Redakcyi.

Od gremium chrześcijańskich kupców i przemysłowców we Lwowie otrzymaliśmy list, z prośbą o umieszczenie następującego ogłoszenia:

„Dnia 8-go b. m. odbyło się 6-te posiedzenie chrześcijańskich kupców i przemysłowców w sali posiedzeń Izby handlowo-przemysłowej w Ratuszu, na którem nieodwołalnie potwierdzono termin Zjazdu chrześcijańskich kupców i przemysłowców na 27, 28 i 29 września b. r. we Lwowie.

Uchwalono poczynić odpowiedne kroki w Dyrekcyach kolejowych dla otrzymania zniżenia ceny jazdy dla uczestników zjazdu. — W końcu wybrano z grona tutejszych najzacniejszych obywateli stanu handlowego i przemysłowego znanych z gorliwości dla spraw publicznych, komitet przyjęcia gości, Zjazdu“

Druk ukończony dnia 24 sierpnia 1885.

SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnica.

Z Welehradu, p. *ks. M. Morawskiego T. J.* (Dodatek) . I

„Plus catholiques que le Pape“, przez *ks. M. Morawskiego T. J.* 292

Emigracya naszych włościan 343

Artykuły naukowe i literackie.

O tłumaczeniu pisma św. na język słowiański, przez śś. Cyryla i Metodego, przez *Antoniego Kalinę* . 1

Darwinizm w obec rozumu i nauki, przez *ks. Władysława Zaborskiego T. J.* 15

Marchia brandenburska za Askańczyków, zawiązkiem monarchii pruskiej, przez *Ludwika Żychlińskiego* 42

Le Play i jego szkoła, przez *Achillesa Brezę* . . . 63

Przed 800 laty, (Dokończenie) przez *ks. Stanisława Załęskiego T. J.* 74, 218

Pamiętniki prefekta policyi, przez *X.* 92

Bóg i wolność, przez *ks. Juliana Felińskiego* . . . 179

Prawdziwy uczony, przez *Dr. I. Skrochowskiego* (Dok.) 190

Pojęcie o Bogu w chrześcijaństwie i u filozofów, przez *X. Antoniego Langera T. J.* 364

Z pamiętników dziennikarza, przez *N. N.* 383

Fizyka i moralność 399

Kongo, przez *M. S.* 247, 414

Przegląd piśmiennictwa.

Stronnica.

Pacowie. Materyały historyczno-geologiczne ułożone i wydane przez Józefa Wolffa. Petersburg 1885, przez *A. H. Kirkora* 113

Senatorowie i dygnitarze wielkiego księstwa litewskiego 1386—1793, przez Józefa Wolffa. Kraków 1885, przez *A. H. Kirkora* 120

Kalendarium manuale utriusque Ecclesiae orientalis et occidentalis auctore Nicolao Nilles S. J. Tomus I. Oeniponte 1879. Tomus II. 1881. — Symbolae ad illustrandam historiam Ecclesiae orientalis in terris coronae S. Stephani a Nicolao Nilles, przez *ks. Chotkowskiego* 267

Das Judenthum in Gegenwart und Zukunft, von Eduard Hartmann. Leipzig. Berlin 1885, p. *ks. A. Kraetziga* 271

Najnowsze powieści francuskie, przez *B.* 276

Powstanie i rozwój pesymizmu w Indyach, napisał Dr. Maurycy Straszewski, prof. filoz. na wszechn. Jag. Kraków 1884, przez *ks. M. Morawskiego T. J.* 437

Uchańsciana czyli zbiór dokumentów wyjaśniających życie i działalność Jakóba Uchańskiego, arcyb. gnieźn. legata urodzonego, Królestwa Polskiego prymasa i pierwszego księcia. Wydał Teodor Wierzbowski. II. Tomy. Warszawa 1885, przez *B. Jasieńczyka.* 442

Przegląd pism peryodycznych:

V. The Month, przez *M. S.* 123

Bibliografia. Z dzieł religijnych 282, 455
Z dzieł historycznych 128, 284, 458
Z dzieł literackich 132, 288, 289
Z dzieł filozoficznych 136, 289

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Lipiec.

Stronnica.

SPRAWY STOLICY św. List Ojca św. do kard. Wikarego w sprawie ukształcenia duchowieństwa. — Obchód ośmsetletniej rocznicy śmierci Grzegorza VII. w Salernie. — Deputacya stowarzyszenia kongresów katolickich. — Znieważenie zwłok Klemensa IV. w Salernie. — Kongres antyklerykalny w Rzymie. — Protestacya p. Rendu. — Wiec protestancki w Berlinie. — Dzienniki greckie. — Kościół św. Genowefy i Wiktor Hugo, przez *M. J.* 139

Z KSIĘSTWA POZNAŃSKIEGO Ciężka dola księstwa. — Pomyślne walki na polu religijno-moralnem. — Germanizacya. — Dotkliwe straty na polu ekonomicznem, przez *V. R.* . . 152

LISTY Z WIEDNIA. Charakterystyka akcyi wyborczej. — Jej rezultaty. — Porażka liberałów w Wiedniu i przyczyny tejże, przez *dra A. D.* 159

Z PETERSBURGA. Polemika religijna między p. Włodzimierzem Sołowjewem a p. Danilewskim 168

KORESPONDENCYA REDAKCYI. Kilka uwag z powodu artykułu o Słowniku synonimów polskich, przez biskupa A. J. Krasińskiego, m. czerwiec 1885 r., przez *E. Wojnarowicza* . . 176

Sierpień.

Z ANGLII: Upadek gabinetu Gladstona. — Sekciarsko-polityczna partya wstrzemięźliwości. — Popularność Gladstona. — Partya słuszności. — Herbata i wino, versus piwu i alkoholowi. — Klika birminghamska. — Koalicya sekciarstwa z radykalizmem. — Program radykalistów. — Torysi demokraci i lord Churchill. — Irlandzcy posłowie panami sytuacyi. — Autonomia dla Irlandyi. — Decentralizacya. — Przeddzień nowej ery socyalno-politycznej dla W. Brytanii i jutrzenka samorządu Irlandyi, przez *E. S. N.* 305

Z HISZPANII: Ministeryum „konserwatywno-liberalne". — Kwestya władzy doczesnej papieża w Kortezach. — Protesta biskupów i dziennikarzy. — Wystąpienie dziennika *El Siglo futuro* przeciw powadze nuncyusza. — Mowa profesora Morayty. — Zachowanie się Pidala w obec tej mowy. — Manifestacye uniwersyteckie antykatolickie i katolickie. — Wyznania ministra Silveli o obecnym stanie uniwersytetów. — Szkody zrządzone trzęsieniem ziemi. — Cholera . 316

ZE STANÓW ZJEDNOCZONYCH: Rozwój kościoła katolickiego. — Synod w Baltimore. — Dotychczasowy proceder w obsadzaniu biskupstw. — Stosunek proboszcza do biskupa i parafian. — Rozporządzenie propagandy. — Seminarya. — Stosunek zakonów w dyecezyi. — Konstytucya Leona XIII. — Szkoły i zakłady naukowe niższe i wyższe. — Uniwersytety. — Pochlebne zdanie o Polakach, przez *R.* 325

Z PRUS ZACHODNICH: Wzrost ludności katolickiej. — Zabiegi protestantów, by temu przeszkodzić. — Okólnik Massenbacha. —

Stronnica.

Zamachy protestantów na szkoły i kościoły. — Banicya Polaków zagranicznych. — Stowarzyszenia pobożne, ich działalność, kolekty, przez *J. K.* 334
Z Diakowy: Stosunki religijno-polityczne w Horwacyi, przez *P.* 339

Wrzesień.

Z księstwa poznańskiego. Stosunki gospodarskie. — Rozwój przemysłu i kupiectwa 470
Ze Sztokholmu. Materyalna pomyślność. — Dobroczynność. — Sympatye do katolicyzmu. — Stosunki religijne. — Ustawa konfessyjna 1873 r. — Szkoły, przez *X.* 476
Z Wiednia, przez *A. D.* 488
Z Lublany. Słoweńcy; ich stanowisko etnograficzne i polityczne, przez *Θ. X.* 497